

SANDRA BROWN

NIEBO I PIEKŁO

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Drzemała. Jej głowa spoczywała na zgiętym ramieniu, które zaczynało cierpnąć. Otworzyła oczy i przeciągnęła się leniwie. Wtedy go zobaczyła. Od razu oprzytomniała. Myślała, że to złudzenie, że sen nadal trwa. Przez chwilę mrużyła oczy. Nie zniknął. Jego sylwetka na tle zachodzącego słońca była wyraźna jak wycinanka z czarnego papieru.

Zastygł w bezruchu jak gałęzie otaczających ich drzew, których nie poruszał nawet najłżejszy wietrzyk.

W postawie tego mężczyzny, w sposobie, w jaki niedbale stał, wysunąwszy lekko jedną nogę, było coś niepokojąco wyzywającego.

Obecność przyglądającego się cicho nieznanego onieśmiała ją. Tym bardziej że ten zarozumiały i pewny siebie mężczyzna patrzył na nią jak na intruza.

Najbardziej zdziwiła ją motyka, którą trzymał na ramieniu. W tej części Belle Terre nie było nawet grządki cebuli.

Pola warzywne znajdowały się dość daleko stąd. Schyler miała więc powód do niepokoju.

Słońce już zachodziło, była sama i - prawdę mówiąc daleko od domu. Powinna zażądać od niego wyjaśnień, kim jest i co robi na jej ziemi. Nie powiedziała jednak ani słowa, być może dlatego, że wydawał się częścią Belle Terre, zlewał się z krajobrazem. To raczej ona nie pasowała do tego miejsca.

Nie wiedziała, jak długo już tak się sobie przyglądają. Usiadła.

Ruszył w jej stronę. Trawa pod jego stopami szeleściła, gdy poruszał się elastycznie, zdejmując jednocześnie motykę z ramienia i chwytając trzonek dwiema rękami.

Usiłowała przypomnieć sobie jakieś sposoby samoobrony, ale wszystkie trzeźwe myśli uciekły tchórzliwie w naj dalszy zakątek jej umysłu. Nie mogła się ruszyć. Nie potrafiła wymówić żadnego słowa. Próbowwała wziąć głęboki oddech, by móc krzyknąć, lecz powietrze było gęste i suche.

Instynktownie skurczyła się i zacisnęła powieki. Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrowały jej oczy, było błyszczące w promieniach słońca ostrze motyki, szybko opadające łukiem aż po głuchy odgłos towarzyszący jego lądowaniu. Schyliła się czekając na przedśmiertny ból, lecz ten nie nadchodził.

- Obudziłaś się, pichouefte?

Schyler przymrużyła oczy, zdumiona, że jeszcze żyje.

- Co?

- Obudziła się pani, panienko Schyler?

Osloniła oczy przed oślepiającym słońcem, ale wciąż nie mogła dostrzec jego twarzy. Znał jej imię. Jego rodzimym językiem był dialekt Cajunów. Nie potrafiła odgadnąć, kim jest.

Dźwięk, który tak ją wcześniej przestraszył, był odgłosem wbijania narzędzia w ziemię. Mężczyzna opierał się teraz na trzonku motyki, jednak jego łagodny wygląd nie czynił go mniej niebezpiecznym.

- Skąd mnie znasz? - zapytała.

Jego wargi nieznacznie się rozchyliły. Trudno było to nazwać dobrotliwym uśmiechem.

- Cała okolica wie, że panna Schyler Crandall wróciła z Londynu do domu.

- Tylko na jakiś czas i tylko z powodu choroby mojego ojca.

Wzruszył ramionami, okazując w ten sposób pogardę dla jej spraw. Odwróciwszy głowę, spojrzał w stronę zachodzącego słońca. Jego oczy odbijały promienie jak nieruchome lustro wody, gdy światło pada pod odpowiednim kątem.

O tej porze dnia powierzchnia wody wygląda tajemniczo i połyskuje jak miedź. Takie też były jego oczy.

- Nie powtarzam plotek, panno Schyler. Ja ich tylko słucham. Szczególnie interesuje mnie to, co dotyczy mojej osoby.

- Co tutaj robisz?

Ponownie zwrócił głowę w jej stronę.

- Przyglądam ci się.

- A wcześniej? - Jej głos stał się ostrzejszy.

- Zbierałem korzenie. - Klepnął skórzany woreczek przywiązany do pasa.

- Korzenie? - Ta odpowiedź wydawała się pozbawiona sensu, a jego bezceremonialna postawa irytowała ją. - Jakie korzenie?

- Za długo by wyjaśniać. Nigdy o nich nie słyszałaś.

- Wkroczyłeś na teren prywatny, nie masz tu nic do roboty.

W ciszy, jaka nastąpiła, słychać było brzęczenie owadów.

Mężczyzna ani na chwilę nie odwracał od niej wzroku. Gdy odpowiedział, jego głos był miękki i cichy:

- Ależ mam, pichouefte. Belle Terre jest moim domem.

- Kim jesteś?

- Nie pamiętasz?

W jej umyśle pojawiło się światelko.

- Boudreaux? - wyszeptała. Przełknęła ślinę. - Cash Boudreaux?

- Bien. W końcu mnie poznałaś.

- Nie. Słońce mnie oślepia. Zresztą minęły lata od czasu, gdy widziałam cię po raz ostatni.

Chrząknął z radosną satysfakcją, a dziewczyna, zakłopotana, rozejrzała się wokół.

- Jeśli mnie nie rozpoznałaś, skąd wiesz, kim jestem?

- - Jesteś jedyną osobą żyjącą w Belle Terre, która nie ...

- Która nie należy do rodziny Crandallów.

Potrząsnęła lekko głową, zdenerwowana przebywaniem sam na sam z Cashem Boudreaux. Jak daleko sięgała pamięcią, Ojciec zawsze zabraniał jej siostrze Tricii i jej rozmawiać z nim.

Jego matka, Monique Boudreaux, była tajemniczą kobietą, która zamieszkiwała chatę nad wijącym się wśród lasów BeBe Terre Kanałem Laurenta. Jako chłopiec Cash otrzymał pozwolenie przebywania na dalej położonych terenach, ale nigdy nie pozwolono mu się zbliżyć do domu Crandallów.

Nie chcąc wracać do tej kwestii teraz, Schyler uprzejmie zapytała:

- A twoja matka? Jak jej się wiezie?

- Nie żyje.

Ta szczerą odpowiedź zaskoczyła ją. Twarz Casha była nieprzenikniona w zalegającym mroku. Nigdy nie był rozmownym człowiekiem. Roztaczał wokół siebie taką samą aurę tajemniczości jak jego matka.

- Zmarła kilka lat temu.

Schyler strąciła komara, który wylądował na jej szyi.

- Przykro mi.

- Lepiej wracaj już do domu. Komary zjedzą cię tu żywcem.

Wyciągnął dłoń w jej kierunku. Spojrzała na nią jak na coś obrzydliwego. Równie chętnie wzięłaby do ręki jadowitego węża. Nie chciała jednak być niegrzeczna. W przeszłości już raz mu zaufała. Nie żałowała tego.

Podawała mu dłoń, a on uściskał ją tak mocno, że czuła stwardnienia skóry na jego palcach. Gdy tylko złapała równowagę, wyrwała rękę.

- Ostatni raz słyszałam o tobie, gdy wysłano cię do Wietnamu. Byłeś tam? - zapytała, otrzepując starannie spódnice.

- Tak.

- Ale to było dawno.

- Dla mnie nie.

- Cieszę się, że udało ci się wrócić.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie byłem lepszym żołnierzem niż ci, którzy tam zostali - jego wargi ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

Nie chciała dalej drażnić tego tematu. Właściwie próbowała wymyślić coś, co w grzeczny sposób zakończyłoby tę krępującą rozmowę.

Zanim jej się to udało, Cash Boudreaux sięgnął dłonią jej szyi i odgonił komara, który szukał tam kolacji.

Palce Cash miał szorstkie, ale ich dotyk był delikatny, kiedy sunęły po jej nagiej skórze, w dół, ku piersiom. Obserwował jej reakcję ze szczerym zainteresowaniem. Spoglądał na dziewczynę pożądliwie. Dokładnie wiedział, co robi - popełniał to, co niewybaczalne - Cash Boudreaux dotykał Schyler Crandall...

- One doskonale wiedzą, gdzie warto ukąsić.

Schyler bała się poruszyć pod wpływem jego spojrzenia.

- Nic się nie zmieniłeś, prawda? - powiedziała.

- Nie chciałbym cię rozczarować.

Schyler zamarła.

- Muszę wracać do domu. Już najwyższy czas. Miło było pana zobaczyć, panie Boudreaux.

- Jak on się czuje?

- Kto? Mój ojciec?

Skinał głowę.

- Nie widziałam go dzisiaj. Po kolacji jadę do szpitala. Dzisiaj rano rozmawiałam przez telefon z jedną z pielęgniarek i dowiedziałam się, że noc minęła spokojnie. - Pod wpływem

emocji jej głos zniżył się. - Trzeba być wdzięcznym za każdy kolejny dzień jego życia. Przekażę mu, że pan pytał o stan jego zdrowia - dodała chłodno.

Śmiech Boudreaux był ochryply i nieprzyjemny. Spłoszył ptaka, który wyfrunął z korony dębu.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Chyba nie pragniesz jego śmierci?

Pomyślała szybko, że Cash Boudreaux dobiegał czterdziestki, powinien więc wiedzieć, że nie mówi się w taki sposób o poważnie chorym człowieku. Rzeczywiście, ten mężczyzna niewiele się zmienił - pozostał ordynarny i niegrzeczny jak w czasach młodości.

Jego matka nie sprawowała nad nim żadnej kontroli, pozwoliła, by wyrósł na dzikusa. W głowie miał wiecznie jakieś psoty i nawet krótki okres przerwy, spowodowany egzaminami do szkoły średniej, nie trwał długo. Heaven w Luizjanie nigdy nie kształciło takiego bumelanta i łobuza jak Cash Boudreaux.

- W takim razie do zobaczenia, panie Boudreaux. Złożył jej zdawkowy ukłon.

- Do widzenia, panno Schyler.

Odkłoniła mu się chłodno i poszła w stronę domu. Zdawała sobie sprawę, że patrzy za nią. Gdy tylko znalazła się w cieniu drzew, pewna, że nie może jej zobaczyć, zerknęła do tyłu.

Cash oparł się o pień dębu, którego nie zdołałoby objąć dwunastu mężczyzn. Zauważyła płomyk, który na krótką chwilę oświetlił szczupłą twarz Casha, gdy ten zapalał papierosa. Zgasił zapalną. Zapach tytoniu płynął strumieniem wilgotnych zawirowań, aż osiągnął kryjówkę Schyler.

Boudreaux głęboko zaciągnął się dymem. Papieros żarzył się - jak samotne oko wyglądające z otchłani piekieł.

ROZDZIAŁ DRUGI

Schyler przemykała między drzewami, potykając się o korzenie, spiesząc do bezpiecznego domu. Na wąskiej i skrzypiącej kładce jej głowę otoczyła bzycząca chmura komarów. Mostek łączył brzegi strumienia, który oddzielał lasy od wypielegnowanego trawnika otaczającego dom.

Stanąwszy na szmaragdowym kobiercu trawy, Schyler zatrzymała się, by uspokoić oddech. Powietrze miało duszący, ciężki zapach. Brzegi strumienia porastało kapryfolium, gdzieś niedaleko kwitły gardenie, dzikie róże i drzewa magnolii.

Wszystkie te płynące zewsząd zapachy przywoływały wspomnienia z dzieciństwa, każdy związany był z czymś szczególnym. Ale dzieciństwo minęło, a ona nie była w Belle Terre przez sześć lat.

Żaden angielski ogród nie pachniał tak jak dom, jak Belle Terre. Nic tak nie pachniało. Gdyby oślepla i przyszła tutaj, rozpoznałaby niezwłocznie Belle Terre po zapachu i dźwięku.

Nocne koncertowanie ropuch i świerszczy wzmagало się. Za grzbietem góry, około mili stąd, wyły syreny pociągów towarowych. Żaden dźwięk nie brzmiał tak smutno.

Schyler, zamknawszy oczy, oparła się o chropowaty pień sosny i chłonęła wszystko, przypominając sobie to, co było jej tak bliskie. Nagle przestraszyła się, że kiedy otworzy oczy, zbudzi się ze snu, by zobaczyć, że nie jest w Belle Terre w pełnym rozkwicie lata, ale w Londynie, okryta zimnym całunem zimowej mgły.

Lecz kiedy otworzyła oczy, zobaczyła dom. Stał spokojnie w centrum polany, górując nad nią jak perła w diademie.

Żółte światło przenikało przez zasłony i padało na werandę. Wzdłuż ganku stało sześć kolumn, po trzy z każdej strony frontowych drzwi. Podtrzymywały one balkon znajdujący się na piętrze.

Weranda otaczała budynek ze wszystkich czterech stron.

Schyler pamiętała matkę opowiadającą o tym, jak podczas zjazdów rodzinnych spali tam - na siennikach - wszyscy kuzyni Laurentów.

Schyler zawsze wolała odkrytą część werandy. Pomalowane na białą wiklinowe fotele rozmieszczono tak, by z każdego miejsca widać było piękny trawnik rozciągający się przed domem.

Huśtawka, którą Cotton zawiesił dla Tricii i Schyler, znajdowała się w rogu werandy. Bliźniacze bostońskie paprocie rosły w donicach po obu stronach drzwi. Veda była bardzo dumna z tych paproci i krzątała się przy nich bezustannie, besztając każdego, kto je choć musnął, przechodząc zbyt blisko.

Matki nie było już w BeBe Terre. Vedy też. Cotton walczył o życie w Szpitalu Świętego Jana. Jedno wydawało się nie zmienione - dom. BeBe Terre.

Schyler powtarzała szeptem tę nazwę jak modlitwę. Ruszyła w stronę domu, ale zatrzymała się jeszcze, by zsunąć sandały przed marszem po chłodnej, wilgotnej trawie, którą automatyczna polewaczka obficie skropiła po południu.

Gdy przeszła z trawy na kamienną nawierzchnię podjazdu, wykrzywiła twarz z bólu, lecz to także wywołało wspomnienia z dzieciństwa. Bieganie boso w dół podjazdu stanowiło doroczną ceremonię powitania wiosny.

Noszenie butów i skarpet przez całą zimę wydelikacalo jej stopy. Kiedy już robiło się wystarczająco ciepło i Veda dawała pozwolenie, buty i skarpety szły w ką. Zawsze trwało kilka dni, zanim skóra stóp przyzwyczaiła się na tyle, by Schyler mogła swobodnie chodzić po drogach.

BeBe Terre nigdy się nie zmieniła. To był dom. Lecz teraz już nie dla niej. Nie, odkąd Ken i Tricia uczynili go swoim domem.

Siedzieli w jadalni przy długim stole. Jej siostra odstawiła szklaneczkę z bourbonem.

- Czekaliśmy na ciebie, Schyler - powiedziała z irytacją Tricia.

- Przepraszam. Wyszłam na spacer i straciłam poczucie czasu.

- Nic się nie stało, Schyler. Nie trwało to długo - załagodził Ken. Uśmiechnął się do niej.

Stał przy kredensie, napełniając szklanekę bourbonem z kryształowej karafki.

- Napijesz się czegoś?

- Proszę o dżin z tonikiem i dużą ilością lodu. Na dworze jest bardzo gorąco.

- Tu też. - Tricia wachlowała twarz białą serwetką.

- Mówiłam Kenowi, żeby włączył wentylator. Tato zawsze tak nerwowo reaguje na rachunki za elektryczność. Każe nam prażyć się przez całe lato. Do czasu jego powrotu moglibyśmy pozwolić sobie na tę odrobinę luksusu. Na zdrowie! - Uniosła szklanekę, zwracając się do siostry.

Ken wręczył Schyler drinka.

Umoczyła wargi i nie patrząc mu w oczy, powiedziała:

- Znakomity. Dziękuję.

- Ken, zanim usiądziesz, powiedz, proszę, pani Graves, że Schyler już wróciła i jesteśmy gotowi do kolacji. - Tricia wskazała mu drzwi łączące jadalnię z kuchnią. Posłał żonie pełne niechęci spojrzenie, ale zrobił, co poleciła.

Schyler zrzuciła sandały obok krzesła.

- Nie było cię w domu parę lat, Schyler, ale błyskawicznie odzyskujesz złe nawyki, które doprowadzały mamę do szału aż po dzień jej śmierci. Nie zamierzasz chyba siedzieć przy stole boso, prawda?

By nie rozdrażniać dodatkowo Tricii, złą już na nią za spóźnienie, Schyler nałożyła sandały.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie lubisz chodzić boso.

- A ja - dlaczego ty lubisz.

Pomyślała, że Michał Anioł mógłby obdarzyć uśmiechem Tricii jednego ze swoich aniołów.

Upiła nieco ze swojej szklanki, rozkoszując się chłodem dżinu i goryczką jałowca.

- Czy ciebie to nigdy nie dręczy? - zapytała Tricia.

- Co?

- Nieznajomość własnych korzeni. Czasami zachowujesz się w sposób godny „białej nędzy”, sprawiając przykrość całej rodzinie.

- Tricio, na miłość boską - wtrącił się z irytacją Ken, który wrócił przed chwilą z kuchni i siadał naprzeciw żony. - Daj temu spokój. Jakie to ma znaczenie?

- Myślę, że ogromne.

- Ważne jest to, co robisz ze swoim życiem, a nie - kto ci je dał. Zgadzasz się ze mną, Schyler?

- Nigdy nie myślę o swoich prawdziwych rodzicach - odpowiedziała Schyler. - Gdyby było inaczej, mogłabym w tych przykrych chwilach, kiedy na przykład mnie karcono ...

- Karcono? - powtórzyła z niedowierzaniem Tricia.

- Nie przypominam sobie niczego takiego. Kiedy to było?

Schyler zignorowała ją i mówiła dalej:

- Mogłabym mieć żal i myśleć, że gdyby mnie nie oddali, moje życie byłoby lepsze. -

Uśmiechnęła się zadumana. - Oczywiście, nie byłoby.

- Skąd wiesz? - Palec Tricii leniwie gonił kostkę lodu w szklance. - Jestem przekonana, że moja matka pochodziła z wyższych sfer. Jej rodzice, powodowani zazdrością i złością, kazali mnie oddać. Mój ojciec kochał ją namiętnie, lecz nie mógł jej poślubić, gdyż jego żona nie dałaby mu rozwodu.

- Oglądałaś zbyt wiele kiepskich filmów - rzekł Ken. Posłał Schyler kpiarski uśmieszek. Oddała mu uśmiech.

Oczy Tricii stały się wąskie jak szparki.

- Nie próbuj ze mnie żartować, Ken.

- Skoro jesteś przekonana, że twoi prawdziwi rodzice byli tak wspaniali, dlaczego nie starałaś się ich odnaleźć? zapytał. - O ile sobie przypominam, Cotton zawsze cię do tego zachęcał.

Tricia wygładziła leżącą na kolanach serwetkę.

- Ponieważ nie chciałam wprowadzać ich w zakłopotanie.

- Ponieważ mogłabyś stwierdzić, że nie są wcale tacy cudowni. Nie przelknęłabyś tego. - Dopił swoją whisky i odstawił pustą szklankę z satysfakcją gracza kładącego na stół najmocniejszą kartę.

- Być może nie byli bogaci - warknęła Tricia - ale na pewno nie byli też nędzarami jak rodzice Schyler.

Uśmiechnęła się słodko i sięgnęła przez stół ku dłoni siostry.

- Mam nadzieję, że nie zraniłam twoich uczuć, Schyler.

- Nie. Dla mnie, odwrotnie niż dla ciebie, miejsce, z którego przybyłam, nigdy nie miało znaczenia. Jestem zadowolona ze swojego nazwiska, choć otrzymałam je w wyniku adopcji.

- Zawsze byłaś oczkiem w głowie Cottona, prawda? Pojawienie się pani Graves przerwało rozmowę. Schyler miała wrażenie, że ziemia nigdy nie nosiła bardziej pośepnego indywiduum. Spoglądając na nią, z trudem powstrzymywała uśmiech.

Obecna gospodyni różniła się od Vedy tak bardzo, jak tylko to było możliwe. Schyler zatęskniła nagle za Murzynką. Obfite piersi Vedy były tak wygodne jak poduszka z gęsiego puchu, bezpieczne jak forteca, uspokajające jak modlitwa. Zawsze pachniała krochmalem, cytryną i lawendowymi perfumami.

Zastąpienie Vedy panią Graves, która była zimna i odpychająca, Schyler odczuła jako coś

bardzo przykrego.

Vichysoise był tak cienki i ulotny jak kobieta, która go przyrządziła i podała, a teraz skradała się z powrotem do kuchni. Po pierwszej łyżce zimnej zupy Schyler sięgnęła po solniczkę•

Tricia stanęła w obronie kucharki.

- Poleciłam pani Graves nie używać soli ze względu na ciśnienie taty. Teraz już się przyzwyczailiśmy.

Schyler dosypała więcej soli.

- Ja nie.

Ponownie spróbowała zupy, ale ta nie smakowała lepiej.

Odłożyła łyżkę i odsunęła talerz.

- Zbyt dobrze pamiętam Vichysoise Vedy. Był tak gęsty, że można w nim było postawić łyżkę.

Wystudiowanym ruchem Tricia wytarła usta serwetką.

- Rozumiem, że to zarzut pod moim adresem.

- - Nie miałam na myśli ...

- Ona była stara, Schyler. Nie widziałas jej przez ostatnie lata, więc nie masz podstaw do stawiania mi zarzutów. Veda stała się niechlujna i niezdarna, prawda, Ken? zapytała męża o opinię, nie dając jednak czasu na jej wyrażenie. - Nie miałam wyboru, musiałam ją zwolnić. Nie mogliśmy przecież płacić jej za pracę, której nie wykonywała. Czułam się okropnie, odprowadzając ją - wyznała Tricia, przyciskając dłoń do zgrabnych piersi. - Wiesz przecież, że też ją kochałam.

- Wiem, że tak - przytaknęła Schyler. - Nie miałam zamiaru cię krytykować. Po prostu tęsknię za nią. Była częścią Belle Terre.

Przebywając w tym czasie za granicą, nie mogła zmienić postanowienia siostry, jednak niechlujna i niezdarna Veda Frances to było zjawisko, którego nie potrafiła sobie wyobrazić.

Mimo zapewnień Tricii o miłości do' bylej gospodyni Schyler zastanawiała się, czy to przypadkiem nie zawiść kierowała jej siostrą, gdy zwalniała Vedę. Na palcach jednej ręki potrafiła zliczyć okazje, kiedy Tricia okazywała Vedzie uczucia. Pamiętała także chwilę, kiedy to siostra udzieliła gospodyni tak obraźliwej reprimendy, że Cotton stracił panowanie nad sobą. Doszło do okropnej awantury. Tricii zakazano opuszczać swój pokój przez cały dzień. Zabroniono jej również pójścia na przyjęcie, którego oczekiwała od tygodni.

Schyler była jednak pewna, że choć Tricia była zdolna nosić w sobie urazę bez końca, to istniała poważniejsza przyczyna wyrzucenia Vedy.

Sól i pieprz niewiele pomogły potrawce z kurczaka, która pojawiła się po zupie ziemniaczanej. Schyler próbowała uratować ją sosem tabasco, który był podstawową przyprawą na stole Cottona Crandalla, jednak nie odniósł on większych sukcesów, podobnie jak papryka. Na szczęście od czasu rozmowy z Kenem, kiedy to dowiedziała się, że Cotton miał zawał serca, apetyt niezbyt jej dopisywał.

- Jak on się czuje? - zapytała wtedy ze strachem.

- Źle, Schyler. W drodze do szpitala jego serce zupełnie przestało bić. Odratowano go, ale... nie będę cię nabierać. Wystarczy dmuchnąć, i do widzenia. Schyler starała się przyjechać do domu tak szybko, jak to było możliwe. Po kilku przesiadkach wylądowała w końcu w Nowym Orleanie. Tam złapała samolot do Lafayette, gdzie wypożyczyła samochód, i przyjechała dobrze zapamiętaną drogą do Heaven.

Gdy przybyła na miejsce, nieprzytomny ojciec leżał na sali intensywnej terapii w Szpitalu Świętego Jana, jego stan był wciąż krytyczny.

Schyler sądziła, iż Cotton w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że przyjechała do niego i że tak bardzo się o niego martwi. Chwile, w których odzyskiwał przytomność, wciąż były rzadkie i krótkie.

Podczas jednej z wizyt otworzył oczy i spojrzał na nią. Ale jego twarz wciąż pozostawała jakby martwa, oczy zamknęły się i nie rozpoznał córki. To puste spojrzenie łamało jej serce. Bała się, że Cotton umrze, zanim będzie mogła z nim porozmawiać.

- Schyler?

Spojrzała zaskoczona na Kena.

- Och, przepraszam. Tak, skończyłam, pani Graves - powiedziała do kobiety, która wzrokiem cenzora patrzyła na jej prawie nie tknięty talerz. Gospodyni zamieniła go na deser jagodowy, który wyglądał obiecująco. Szczęśliwie cukiernica nie została zabrana razem z solniczką.

- Czy w dalszym ciągu zamierzasz jechać po kolacji do szpitala, Schyler?

- Tak. Chcesz jechać ze mną?

- Nie dzisiaj - oznajmiła Tricia. - Jestem zmęczona.

- Taaak. Gra w brydża przez cały dzień to wyczerpująca praca.

Przytyk Kena został zignorowany.

- Nauczyciel z finansowanej przez tatę szkółki niedzielnej przyniósł kartkę z życzeniami od uczniów i prosił, by ją dostarczono. Powiedział, że to wstyd, iż Cotton odzyskał przytomność w katolickim szpitalu.

Schyler ubawiła ta historyjka, tak dobrze charakteryzująca miejscowe nastroje religijne. Macy była katoliczką i zabierała swoje przybrane córki do kościoła. Cotton jednak nie nawrócił się nigdy.

- W Heaven nie ma szpitala dla baptystów. Nie mamy wyboru.

- Wszyscy w mieście pytają o Cottona. Nie mogę przejść ulicą, żeby kilkunastu ludzi nie zatrzymało mnie, chcąc dowiedzieć się o jego stan.

Schyler zauważyła, że w ciągu tych sześciu lat obwód pasa Kena nieznacznie się powiększył.

- To zrozumiałe, że każdy się niepokoi - dodała Tricia.

- Cotton jest przecież jednym z ważniejszych ludzi w mieście.

- Mnie też ktoś pytał o niego po południu - rzekła Schyler.

- Kto to był? - Małżonkowie przestali jeść i spojrzeli na Schyler wyczekująco.

- Cash Boudreaux.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Cash Boudreaux. Proszę, proszę. - Tricia wsunęła łyżeczkę do ust i bez pośpiechu wylizała ją do czysta. - Czy miał przyspieszony oddech?

- Tricio!

- Daj spokój, Ken. Czy myślisz, że damy mojego pokroju nie słyszały o nim? Każdy w mieście wie o miłosnych przygodach Casha. Kiedy zerwał z panią Wallace, przez całą sobotę opowiadała w salonie kosmetycznym o ich wspólnych figlach. - Tricia porozumiewawczo zniżyła głos. - Nie pominęła żadnego szczegółu. Wszystkie byłyśmy zakłopotane, ale nie uroniłyśmy ani słowa z jej opowieści. Jeżeli on jest w połowie tak dobry, jak ona utrzymywała, to ... - Zakończyła szelmowskim mrugnięciem.

- Wnioskuje, że pan Boudreaux jest tutejszym ogierem.

- Nie przepuszcza żadnej spódnicy.

- Tutaj się mylisz, kochanie - poprawiła męża Tricia.

- Z tego, co słyszałam, jest bardzo wybredny. Dlaczego nie? Może sobie pozwolić na grymasy i kręcenie nosem. Kobiety wprost rzucają się na niego.

- Don Juan z Heaven w Luizjanie. - Zakończywszy kwestię, Ken powrócił do deseru.

Tricia jednak nie dawała za wygraną•

- Nie bądź taki cierpki. Jesteś po prostu zazdrosny.

- Zazdrosny? Zazdrosny o tego nieobliczalnego bękarta, który nie ma dziesięciu centów w kieszeni swoich podartych dzinsów?

- Kochanie, kiedy rozmowa schodzi na to, co on ma w spodniach, panie nie mówią o pieniądzach, więc najwidoczniej to, co on w tych dzinsach ma, czyni go bardziej wartościowym niż czyste złoto. - Tricia posłała Kenowi szyderczy uśmiech. - Ale nie potrzebujesz się obawiać. Ten prymitywny typ nigdy mnie nie interesował, choć na swój sposób jego osobowość jest fascynująca. Gdzie na niego wpadłaś? - zwróciła się do Schyler.

- Tutaj.

- Tutaj? - Łyżeczka Kena zatrzymała się w połowie drogi do ust. - W Belle Terre?

- Powiedział, że zbiera korzenie.

- Robi z nich lekarstwa.

- Jest znachorem?

- Zajmuje się tym od śmierci Monique.

Schyler spojrzała zdziwiona na siostrę.

- Nie mów mi tylko, że nie wiedziałas, iż Monique Boudreaux była czarownicą.

- Słyszałam, oczywiście, pogłoski, ale były one tak absurdalne!

- Nie były. Jak myślisz, dlaczego tato pozwolił takiej nędzy jak ona mieszkać w Belle Terre przez te wszystkie lata? Obawiał się, że gdyby ją wyrzucił, rzuciłaby na nas wszystkich klątwę.

- Jak zwykle, Tricio, jesteś bardzo melodramatyczna - stwierdził Ken. - W istocie, Monique była znana jako uzdrowicielka, traiteur. To tradycja Cajunów. Leczyła ludzi lub tylko tak wszyscy mówili.

- Tradycyjnie uzdrowiciele są leworęczni i zazwyczaj to kobiety, lecz tutejsi ludzie wydają się wierzyć, że Cash odziedziczył moc matki.

- On nie ma żadnej mocy - wtrącił się niecierpliwie.

- Słuchaj! - Tricia uderzyła dłonią w stół. - Na własnej skórze przekonałam się, że była czarownicą.

- Bzdura.

Tricia spiorunowała męża wzrokiem.

- Kiedyś w mieście spojrzała na mnie tymi swoimi szatańskimi oczami i tego samego popołudnia zaczął mi się okres. Dwa tygodnie przed terminem. Nigdy nie miałam tak bolesnych skurczów. Ani wcześniej, ani później.

- Jeśli Monique miała jakieś szczególne zdolności, to używała ich po to, by ludzie czuli się lepiej, nie gorzej powiedział Ken. - Jej receptury i zaklęcia pochodziły jeszcze z osiemnastego stulecia. Były nieszkodliwe, podobnie jak ona.

- Te znachorskie tradycje mają swoje korzenie w voodoo. To czarna magia.

Ken skrzywił się z dezaprobatą.

- Monique Boudreaux nie miała nic wspólnego z voodoo i nie była diabłem. Była po prostu inna. Była piękną kobietą i dlatego większość pań w tym mieście, nie wyłączając ciebie, chce wierzyć, że była czarownicą.

- Kto właściwie lepiej ją znał, ja czy ty? Zamieszkałaś tu na krótko przed jej śmiercią.

- Słyszałem opowieści o niej.

- To źle słyszałeś. Poza tym postarzała się i jej uroda już dawno wyblakła.

- Moim zdaniem wciąż wyglądała bardzo interesująco.

- A co się dzieje z Cashem? - Schyler wtrąciła się w ten dialog, który, jak zauważyła, powoli przechodził w małżeńską kłótnię. Nie potrzebowała wiele czasu, by stwierdzić, że Howellowie nie są szczególnie udanym małżeństwem. Starła się nie czerpać przyjemności z tego odkrycia. - W jaki sposób zarabia na życie?

To pytanie zaskoczyło ich. Dopiero po chwili uzyskała odpowiedź Kena.

- Pracuje dla nas. Dla „Crandall Logging”.

Schyler nie od razu pojęła to, co usłyszała. Cash Boudreaux znajduje się na liście płac jej rodziny? Jego zachowanie tego popołudnia trudno było uznać za stosowne w obecności pracodawcy.

- Co konkretnie robi?

- Jest zwykłym robotnikiem leśnym. - Skończywszy deser, Ken wytarł usta i odłożył serwetkę.

- Niezupełnie, Schyler - sprostowała Tricia. - Cash jest pilarzem i ładowaczem, prowadzi holowniki i wybiera drzewa do wycięcia. Robi prawie wszystko.

- Wstyd, prawda? - zauważył Ken. - Żeby mężczyzna w jego wieku i w dodatku tak zdolny, jak podobno jest, nie miał większych ambicji.

- Czy on wciąż mieszka w tej chacie nad kanałem?

- Oczywiście. Nie wchodzi nam w drogę, my jemu też nie. Cotton musi spotykać się z nim na placu przeładunkowym, ale na co dzień trzymamy się od siebie z daleka. Trudno uwierzyć, że podszedł dzisiaj tak blisko domu. Po śmierci Monique Cotton chciał usunąć Casha. Pamiętam, że między nimi padło wtedy sporo ostrych słów. W jakiś sposób Cash przekonał Cottona, by pozwolił mu zostać. Dziwne jest postępowanie Cottona.

- Wynika z egoizmu - stwierdziła Tricia. - On potrzebuje Casha.

- Myślę, że jest głupcem, ufając temu człowiekowi. Moim zdaniem odpowiednim miejscem dla Casha Boudreaux jest więzienie.

- Ken niespodziewanie pochylił się nad stołem i spojrzał na Schyler z uwagą. - Czy zrobił lub powiedział coś obraźliwego?

- Nie. Po prostu zamieniliśmy parę słów.

I dotyk, i spojrzenie. Oba wyrażały tak wiele lekceważenia i zmysłowości zarazem, że Schyler nie wiedziała, co przeszkadza jej bardziej - jego zainteresowanie czy też deklarowana

niechęć. ..

- Zaciekawiał mnie, to wszystko. Przez sześć lat nie słyżaalam o nim. Nie spodziewalam się, że go tu jeszcze zastanę•

- W porządku, ale jeśli kiedykolwiek przekroczy granicę przyzwoitości, daj mi znać.

- I co wtedy zrobisz? Spuścisz mu lanie? - Śmiech Tricii odbił się od kryształowych łoż żyrandola nad ich głowami. - Niektórzy mówią, że Cash przebywał w dżungli Wietnamu zbyt długo. Służył w piechocie morskiej. Wrócił o wiele gorszy, niż był przedtem. Wątpię, by się ciebie przestraszył, kochanie.

Schyler czuła, że napięcie między mężem i żoną znowu narasta.

- Jestem pewna, że taka sytuacja się nie zdarzy.

Wstała od stołu.

- Wybaczcie, proszę, ale przed wyjazdem do szpitala chciałabym się trochę odświeżyć.

Zajmowała teraz tę samą sypialnię, w której spała jako dziecko. Trzy duże prostokątne okna wychodziły na tyły posiadłości. Roztaczał się z nich widok na cieplarnię, która była zarazem wędzarnią, a teraz służyła jako szopa na narzędzia, na stajnię mieszczącą kilka koni i oddzielny garaż. Za budynkami był już las, a za nim kanał.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Tak bardzo tęskniła za tym pokojem. Drewnianą podłogę pokrywały wypłowiałe i zniszczone chodniki. Dębowe meble, pomalowane na białe, miały złote wykończenia. Ściany pociągnięto żółtą farbą o złocistym odcieniu. Biała też była narzuta na łożku, poduszki na krzesłach i zasłony. Schyler obstawała przy tym, gdy po raz ostatni urządzano pokój.

Na jedynym nowoczesnym sprzęcie - fantazyjnej półce na książki - poustawiano kilka pamiątek z minionych lat. Wiele razy Schyler postanawiała wyrzucić pożółkłe roczniki czasopism i stare zaproszenia na przyjęcia, ale sentymety zawsze brały górę. Niemniej jednak zdecydowała, że przed powrotem do Londynu gruntownie posprząta pokój i pozbędzie się wszystkich rupieci.

Przeszła do połączonej z pokojem małej łazienki. Przemyła nad umywalką twarz i ręce, poprawiła makijaż i wyszczotkowała włosy. Kiedy odsłoniła szyję, na wysokości krtani zauważyła różowy ślad po ukąszeniu komara.

„Doskonale wiedzą, gdzie warto ukąsić” - przypomniała sobie słowa Casha.

Odrzuciła niecierpliwie szczotkę, wróciła do sypialni po portmonetkę i kluczyki do

samochoodu i zeszła na dół.

W salonie, żywo gestykulując, Tricia rozmawiała z kimś przez telefon. Siostry rzuciły sobie „do widzenia” i Schyler wyszła na werandę.

Była już na schodach, gdy zatrzymał ją Ken. Porzucił bujany fotel i biorąc ją pod ramię, odprowadził do zaparkowanego na podjeździe samochodu.

- Może zawiozę cię do szpitala? - zaproponował.
- Nie, dziękuję. Byłeś tam już rano z Tricią. Teraz moja kolej.
- To bez znaczenia.
- Naprawdę nie ma potrzeby.
- Po raz pierwszy od twojego przyjazdu bylibyśmy sami.

Schyler nie podobał się ani kierunek, w którym zaczęła zmierzać ta rozmowa, ani konfidencjonalny ton Kena. Grzecznie, lecz stanowczo uwolniła swoje ramię.

- Masz rację, Ken. Nie byliśmy jeszcze sami. Myślę, że tak jest najlepiej, prawda?
- Najlepiej dla kogo?
- Dla nas obojga.
- Nie dla mnie.
- Ken, proszę. - Schyler próbowała odsunąć się od niego, lecz nie pozwalał jej na to.

Patrząc jej prosto w twarz, pogłaskał ją po policzku.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem, Schyler. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, czym było dla mnie znów cię zobaczyć.

- Nie. Czym to dla ciebie było? - Jej głos był szorstki. Pochylił głowę ze smutkiem i cofnął dłoń.

- Rozumiem doskonale, jak się czułaś, gdy dowiedzieliśmy się, że Tricia jest w ciąży.

- Nie. Nie rozumiesz. Chyba że ktoś kiedyś tak bardzo zawiódł twoje zaufanie, iż wszystko straciło dla ciebie sens. - Zwilżyła wargi i potrząsnęła głową. - Muszę iść.

Spróbowała go obejść i znów ją powstrzymał.

- Schyler, poczekaj. Musimy o tym porozmawiać.

- Nie.

- Uciekłaś do Londynu, nie dając mi szansy, bym ci wszystko wyjaśnił.

- Co chciałeś wyjaśniać? Mieliśmy już wysłać zaproszenia na nasz ślub, kiedy Tricia wyjawiała, że będzie miała dziecko. Z tobą, Ken - z naciskiem wymówiła każde słowo.

Przygryzł dolną wargę•

- Pokłóciliśmy się wtedy, pamiętasz?

- T o była głupia, nieważna sprzeczka. Nigdy nie przypomniałam sobie, o co nam właściwie poszło. Ale musiała to być dla ciebie prawdziwa kość niezgody, bo szybko zająłeś się moją siostrą•

- Nie wiedziałem, że mogła wtedy zajść w ciążę• Schyler zaparło dech. Nie sądziła, że był taki tępy• Sześć lat to dużo. Zmieniła się. Pozornie zmienił się także on. Niesamowite, że wciąż nie rozumiał, o co miała żal.

- Nie chodzi o to, że zaszła w ciążę. Boli mnie to, że poszedłeś z nią do łóżka.

Zbliżył się do niej o krok i chwycił za ramiona.

- Schyl er, nie powinnaś mnie winić. Tricia zachowała się wtedy tak jakoś dziko, gwałtownie. Do diabła, jestem tylko mężczyzną. Byłem przygnębiony, tęskniłem za tobą• Najpierw pomyślałem, że chce mnie pocieszyć, okazać sympatię, rozumiesz? Potem ...

- Nie chcę tego słuchać.

- Ale ja chcę ci to wreszcie powiedzieć. - Potrząsnął nią lekko. - Chcę, byś zrozumiała. Ona zaczęła ze mną flirtować. Pocałowała mnie. Następną rzeczą, jaką pamiętam, to ... to się po prostu raz zdarzyło.

Schyler spojrzała na niego z udanym zdziwieniem.

- W porządku, może kilka razy, ale to nigdy nie miało znaczenia. Kochałem tylko ciebie.

Zacisnął dłonie.

- Wciąż cię kocham.

Schyler wyrwała mu się ze złością.

- Ośmielasz się mówić mi coś takiego? To upokarza nas oboje. Jesteś mężem mojej siostry. - Ale nie jesteśmy szczęśliwi.

- Ja jestem.

- Z tym Markiem, u którego pracujesz?

- Tak. Mark Houghton jest wspaniałym człowiekiem. Kocham go, on mnie też.

- Nie tak, jak my się kochaliśmy.

Zaśmiała się krótko.

- Zupełnie nie w ten sposób. Łączy nas taki rodzaj miłości, którego ty nigdy nie rozumiałbyś. Poza tym mój związek z Markiem nie ma żadnego znaczenia, jeśli chodzi o nas.

Ożeniłeś się z Tricią, a to, czy twoje małżeństwo jest szczęśliwe, czy nie, wcale mnie nie obchodzi.

- Nie wierzę ci.

Szybko przyciągnął ją do siebie i pocałował. Mocno. Szarpnęła się i wydała zdławiony okrzyk, gdy jego język wsunął się w jej usta, ale on nie przestawał.

Przez moment pozwoliła mu na to, ciekawa swoich reakcji. Odkryła dość niespodziewanie dla siebie, że pocałunek Kena przyprawił ją tylko o mdłości. Wbiła palce w pierś mężczyzny i odepchnęła go. Bez słowa wsiadła do samochodu. Uruchomiła silnik i ruszyła, wyrzucając spod kół drobne kamienie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cash obserwował z ukrycia odjeżdżającą Schyler. Odczekał jeszcze, aż Howell wejdzie do domu, po czym wycofał się i oddalił w stronę kanału.

- Więc to z tej strony wieje wiatr - powiedział do siebie.

W Heaven wszyscy wiedzieli o sobie wszystko. Skandal, który wybuchł przed sześcioma laty, był głośny na całe miasto. Heaven buzowało plotkami jeszcze przez wiele miesięcy po wyjeździe Schyler do Londynu. Opinie co do daty jej powrotu były różne. Niektórzy twierdzili, że wróci za kilka tygodni. Inni - że za miesiąc lub dwa. Nikt nie podejrzewał, że upłyną lata, nim Schyler przyjedzie do domu, i to tylko z powodu choroby ojca.

Teraz znów znalazła się w Belle Terre i, jak podejrzewał, znowu w ramionach starego kochanka. Ten pocałunek wskazywał na to, że małżeństwo Kena z jej własną siostrą nie miało dla Schyler żadnego znaczenia. Widocznie uważała, że skoro miała go pierwsza, to gra fair. Tajemnicą dla Casha był natomiast fakt, z jakiego powodu jakakolwiek kobieta mogłaby w ogóle chcieć Kena Howella.

Co sprawiało, że Howell wydawał się siostrze Crandall tak atrakcyjny? Cash nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Jego zdaniem Howell był zwyczajnym świętoszkowatym sukinsynem, zadzierającym nosa przed każdym, kto nie miał odpowiedniej pozycji. Najwyraźniej zapomniał, że kiedy jego rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, otrzymał po nich w spadku jedynie długi. Gardził każdym, kto nie należał do tej samej klasy społecznej co on.

Być może stawiał siebie także ponad moralnością. Może sądził, że ma prawo mieszkać pod jednym dachem z żoną i kochanką?

Zamyślony Cash szedł przez las, lub raczej przekradał się między drzewami, ze zręcznością nabytą jeszcze w dzieciństwie. Trening w oddziałach marines rozwinął jego naturalny talent i przekształcił w wyrafinowaną sztukę. Nie musiał zastanawiać się dwa razy nad obraniem właściwej drogi.

To nie miało sensu. Co Schyler widziała w tym napuszonym gnojku? Była cudowną kobietą. Kształt jej ciała tak dobrze wrył mu się w pamięci. Z takimi piersiami z pewnością wygrałaby konkurs mokrej koszulki. Spanie na brzuchu chyba nie przychodzi jej z łatwością.

Myśli te wywołały uśmiech na twarzy Casha. Nie ostał się w okolicy żaden damski biust, którego on nie poddałby wnikliwej ocenie. Jako ekspert, mógł stwierdzić, że figura Schyler

Crandall zdecydowanie zasługuje na uwagę.

Wciąż pozostawał pod wrażeniem miodowych włosów i piwnych oczu dziewczyny. Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę ze swego uroku. Wątpił w to. Natomiast nie wątpił ani przez chwilę, że jest wspaniała.

Zły na siebie za te myśli o Schyler, wsiadł do czółna, które zostawił na brzegu kanału. Odepchnął się od dna rzeki długą żerdzią i łódka cicho odpłynęła, przecinając jak ostrze spokojne i ciemne wody Kanału Laurenta.

Był od niej kilka lat starszy. Nie wiedział dokładnie, o ile, gdyż Monique nie przywiązywała do dat specjalnej wagi, więc nie był pewien, kiedy tak naprawdę się urodził. Jako chłopiec często obserwował ją z ukrycia. Teraz mała, miła dziewczynka z płowym warkoczem stała się zmysłową kobietą•

Pamiętał, jak dumny z córki papa Cotton obwoził Schyler najnowszym modelem cadillaca. Pamiętał wstążki wplecione wtedy w jej włosy i ozdobione koronkami sukienki. Podczas gdy Cotton spoglądał za nią z zadowoleniem, ona rozweselała jego przyjaciół swą przedwczesną dojrzałością.

Lecz nie zawsze była taka. Schowany w krzakach, Cash często widział, jak galopowała na oklep i boso na koniu, a wiatr rozwiewał jej włosy.

Był ciekaw, czy wciąż jeszcze jeździ konno, a jeśli tak, to czy w ten sam sposób jak dawniej, gdy tylko on na nią patrzył.

Zaklął, kiedy poczuł przypływ pożądania. Otarł rękawem pot z czoła. Mimo późnej pory upał był nie do zniesienia. Zwykle' nie zwracałby na to uwagi. Teraz jednak nic nie było zwyczajne. Schyler Crandall wróciła do domu.

Schyler wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę szpitala.

Zanim dotarła do drzwi prowadzących do klimatyzowanego holu, ubranie przylepiło się do niej. Pomyślała, że powinna była wziąć prysznic i założyć czystą sukienkę przed wyjściem z domu.

Czekając na windę, przejrzała się ukradkiem w lustrzanej ścianie i zdecydowała, że choć daleko jej do ideału, jednak wygląda w miarę porządnie. Dostrzegła na brzegu bawełnianej spódniczki plamę od trawy, a bluzka bez rękawów była, co prawda, nieco wygnieciona, ale w tej części kraju wszyscy latem wyglądali podobnie. Upał i wilgoć sprawiały, że kanony mody generalnie ignorowano.

Żałowała, że nie zdjęła pończoch. Najchętniej rozstałaby się także z sandałami. Jediną biżuterią, jaką miała na sobie, był zwykły zegarek ze skórzanym paskiem i dyskretne złote kolczyki.

Przyglądając się sobie w lustrze, Schyler zobaczyła kobietę zbliżającą się niebezpiecznie do trzydziestki. Bardziej niż wiek kłopotał ją fakt, że w ciągu tych wszystkich lat niewiele udało jej się osiągnąć. Właściwie nic. Nie miała ani męża, ani dzieci. Nie zrobiła kariery, którą można by się chwalić. Nie miała nawet domu, o którym mogłaby powiedzieć: „mój”. Wciąż tkwiła na linii startu. Nie była w stanie ruszyć naprzód z powodu wspomnień, które przykuwały ją do przeszłości.

Przyjeżdżając do domu, miała nadzieję uporządkować przynajmniej niektóre sprawy. Myślała, że uda jej się wyjaśnić uczucia, jakie żywiła do Kena.

Zamiast tego pocałunek Howella zdezorientował ją jeszcze bardziej. Nie kochała go już, nie wiedziała tylko, dlaczego. Dlaczego jej serce nie tańczyło z radości za każdym razem, gdy spoglądał na nią, dlaczego nie roztopiło jej dotknięcie jego warg ...

Przez sześć lat Ken Howell pozostawał w jej pamięci takim, jakim zobaczyła go pierwszy raz: dusza studenckiego miasteczka w Tulane i największa gwiazda uniwersyteckiej drużyny koszykówki. Pochodził z dobrej rodziny związanej z nowoorleańską socjetą. Uczył się zarządzania biznesem, jego przyszłość rysowała się w jasnych barwach.

Chodzili ze sobą przez dwa lata. Małżeństwo wydawało się naturalną kolejną rzeczą, gdy tylko oboje skończą studia.

Pokłócili się. Nigdy później nie mogła sobie przypomnieć przedmiotu tego sporu. Nie spotykali się przez kilka miesięcy.

Schyler nigdy nie sądziła, że rozstanie jest ostateczne, i uważała, że czasowa separacja dobrze zrobi im obojemu. Wiedziała już, że rzeczywiście chce z nim być przez całe życie.

Ken w końcu się przełamał i zadzwonił do niej. Ich pojednanie było czułe i namiętne. Ustalili ostateczną datę ślubu i zaprosili na przyjęcie do Belle Terre swoje rodziny. Schyler wtedy kochała cały świat, wszystko było piękne.

Tricia zniszczyła wszystko. Tamtego dnia ubrała się w niebieską sukienkę, podkreślającą jeszcze kolor jej oczu. Wyglądała uroczo.

W środku zabawy podeszła do Kena i ujęła go pod rękę.

- Czy mogę prosić was o chwilę uwagi?

Kiedy śmiech i rozmowy zamarły, uśmiechnęła się do Kena.

- Kochanie, przypuszczam, że powinnam powiedzieć o tym najpierw tobie, ale wydaje mi się stosowne, by ogłosić to teraz, kiedy ludzie, których najbardziej kochamy, są razem z nami. - Wzięła głęboki wdech. - Będziemy mieli dziecko.

Z wyrazu jego twarzy można było sądzić, że Ken jest równie zaskoczony jak reszta gości. Był zdumiony i wściekły, ale nie zaprzeczał nawet wtedy, gdy Schyler obróciła się ku niemu z niedowierzaniem.

Jedynym możliwym rozwiązaniem było małżeństwo. Po paru dniach Tricia i Ken wzięli cywilny ślub. Osiem tygodni później Tricia poroniła.

W tym czasie Schyler wyjechała do Europy. Kiedy dotarła do niej wiadomość o tragedii siostry, nie czuła nic. Jej serce stało się puste jak łono Tricii. Ich zdrada wprowadziła ją w rodzaj odrętwienia. Odrętwienia, które dotąd nie minęło. Wspomnienie było wciąż bolesne, a pocałunek Kena niczego nie zmienił.

Wysiadając z windy, Schyler pomyślała, że gdyby nawet Cotton teraz umarł, to odszedłby ze świadomością, że czegoś w życiu dokonał, coś po sobie pozostawił. Jak dotąd nie mogła tego powiedzieć o sobie.

Postanowiła przed powrotem do Anglii wyjaśnić wszystko, co dotyczyło jej, Tricii i Kena. Bała się, że jeśli tego nie zrobi, do końca życia pozostanie w niepewności. Dopóki jej serce i umysł nie zamkną ostatecznie drzwi za przeszłością, była jak pojazd pozbawiony kierowcy, jadący donikąd.

- Dobry wieczór - powiedziała do pielęgniarki, którą spotkała na korytarzu. - Jak się czuje mój ojciec?

- Dobry wieczór, panno Crandall. Bez zmian. Doktor pytał wcześniej, czy pani już przyszła. Chce się z panią zobaczyć.

- Może mnie znaleźć w pokoju ojca.

- Powiem mu to.

Pielęgniarka odeszła, by poszukać lekarza. Schyler pospieszyła korytarzem w stronę ostatniej sali intensywnej terapii. Przez wąskie okienko zobaczyła Cottona leżącego na łóżku i podłączonego do urządzeń, których dźwięki wyrażały wątpliwości w możliwość spełniania funkcji życiowych przez jego organy wewnętrzne.

Poczuła ostry ból w piersi, widząc uwielbianego przez siebie człowieka w takim stanie.

Cotton nienawidził bezradności. Nigdy nie był od nikogo zależny. Teraz podstawowe funkcje jego ciała były wykonywane przez doskonałą technicznie maszynę. Wydawało się niemożliwe, żeby ten silny człowiek mógł leżeć tak spokojnie bez ruchu.

Kładąc dłoń na chłodnym szkle, wyszeptała:

- Tatusiu, dlaczego tak się stało? Powiedz mi.

Ich stosunki uległy oziębieniu, począwszy od tamtego okropnego dnia, kiedy bogowie stwierdzili, że Schyler Crandall zbyt dobrze się dotąd powodziło, i sprawili, że jej szczęście zgasło w ciągu jednego popołudnia.

Gdy oszołomieni goście odjechali, a Tricia i Ken załatwiali formalności związane ze ślubem, Schyler poszła do Cottona, oczekując, że utuli ją w swych czułych i kochających ramionach.

Po raz kolejny w tak krótkim czasie doznała bolesnego zawodu. Ojciec zachowywał się tak, jakby była mu obca. Nie chciał patrzeć jej w oczy. Szorstko posadził ją na krześle, kiedy przytuliła się do jego piersi.

Aż do tamtego dnia Schyler była oczkiem w głowie, ale tego nieszczęsnego popołudnia nie oponował, gdy zasugerowała, że wyjedzie za granicę. Nie był zły, nie wygłaszał żadnych kazań, nie wściekał się. Wolałaby, żeby tak właśnie się zachowywał. Takiego Cottona znała. Umiała się obchodzić z jego temperamentem.

Ale on potraktował ją obojętnie. Jego chłód przeszywał Schyler do szpiku kości. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ojciec już nie okazywał jej uczucia, którego tak rozpaczliwie potrzebowała.

Opuściła Belle Terre i przeniosła się do Londynu. Przepaść między Cottonem a nią pogłębiała się z każdym rokiem. Poza listami wysyłanymi raz na kilka miesięcy i sporadycznie przeprowadzanymi uprzejmymi, lecz chłodnymi rozmowami telefonicznymi w czasie świąt nie utrzymywali żadnego kontaktu.

Najwyraźniej nie dbał o to. Tak jakby wyrzucił ją ze swego serca na dobre. Nie chciała, by zmarł, żywiąc do niej urazę. Bała się, że nigdy się nie dowie, co zwróciło go przeciwko niej, co sprawiło, że z ulubienicy stała się pariasem.

- Nie zanoszą się chyba na następnego pacjenta?

Głos lekarza wyrwał ją z zamyślenia. Podniosła głowę i starła łzy z policzków.

- Witam, doktorze Cottins. - Uśmiechnęła się niepewnie.

- Wszystko w porządku. Jestem po prostu bardzo zmęczona.

Spojrzał sceptycznie, ale nie spytał o nic, za co Schyler poczuła wdzięczność.

- Czy nastąpiła jakaś zmiana?

Jeffrey Cottins był młodym człowiekiem, który zdecydował się praktykować w małym szpitalu, nie chcąc staczać bojów w większym mieście. Tak pilnie studiował kartę Cottona, że przypominał Schyler chłopca, który ma udzielić odpowiedzi przed całą klasą i pragnie bardzo dobrze wypaść.

- Nic znaczącego.

- T o dobrze czy źle?

- Zależy, z której strony na to spojrzeć. Gdyby miała nastąpić zmiana na gorsze, to wolelibyśmy raczej obejść się bez niej.

- Oczywiście.

- Będziemy musieli go operować. Wskazują na to zdjęcia rentgenowskie. - Zamknął metalowe okładki karty. Ale on nie jest jeszcze dość silny. Musimy mieć pewność, że nie będzie kolejnego zawału, zanim będziemy mogli go otworzyć.

- My?

- Nasz kardiolog, chirurg i ja.

Rozejrzała się, próbując znaleźć uprzejmy sposób powiedzenia tego, co zamierzała.

- Doktorze Cottins, nie chciałabym być niewdzięczna, zwłaszcza że tyle pan do tej pory zrobił, nie zamierzam też podważać pańskich kompetencji...

- Jest pani ciekawa, czy wiem, co, do diabła, robię?

- Uśmiechnęła się bezradnie.

- Tak. Czy pan wie, co, do diabła, pan robi?

- Nie potępiam pani za to. Jesteśmy małym szpitalem, ale fundatorzy, którzy go zbudowali, między innymi ojciec pani, nie szczędzili kosztów. Mamy wyposażenie nowoczesne i najwyższej klasy. Personel również jest dobry. Z pewnością znaleźlibyśmy pracę gdzie indziej.

- Przepraszam, że podejrzewałam pana o brak kwalifikacji.

Machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie uważa tego za obrazę.

- Kiedy przyjdzie czas na zabieg, jeśli będzie pani chciała przenieść ojca do innego szpitala, chętnie to zorganizuję. Odradzałbym jednak transport już teraz.

- Dziękuję, doktorze. Doceniam pańską szczerą i mam nadzieję, że pan moją również.

- Tak.

- I nie sądzę, by jego przenosiny były konieczne.

- Miło mi to słyszeć.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Czy mogę teraz wejść i zobaczyć się z nim?

- Dwie minuty, a tak na marginesie: proponuję, by jadła pani regularnie i zaczęła więcej odpoczywać. Nie wygląda pani najlepiej. Dobranoc.

Odszedł pewnym krokiem, który zadawał kłam pierwszemu wrażeniu, jakie na niej wywarł.

Schyl er rozluźniła się, skinęła głową siedzącej przy monitorach pielęgniarce i weszła do środka. Mimo jasnego światła lamp pokój przypominał grób.

Podeszła na palcach do łóżka. Cotton miał zamknięte oczy. Rurkę wychodzącą z jego ust przyklejono taśmą w poprzek warg. Węższe rurki umieszczono w nozdrzach chorego. Przewody, rurki, cewniki przyłączone do różnych maszyn ginęły pod okrywającym go prześcieradłem. Mogła tylko domyślać się, jakie nieprzyjemne funkcje spełniały.

Jedyną znajomą rzeczą w tym pomieszczeniu była gęsta czupryna jego białych włosów. Oczy dziewczyny zaszklily się łzami, gdy wyciągnęła rękę, by pogłodzić go po nich.

- Kocham cię, tatusiu. - Nie poruszył się. - Wybacz mi, cokolwiek zrobiłam.

Dwie minuty minęły. Pocałowała ojca w czoło i cicho opuściła pokój.

Gdy tylko drzwi za nią się zamknęły, Cotton Crandall otworzył oczy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tricia i Ken kłócili się. Schyler, wchodząc po schodach na werandę, widziała ich przez okna salonu. Nie mogła rozróżnić pojedynczych słów, ale nie musiała. Ich gesty wyrażały wszystko.

Okrażając snop światła padającego przez okno, zeszła na dół.

Nie chciała ani wtrącać się w cudze sprawy, ani rozdrażniać ich swoim widokiem, zwłaszcza jeśli to ona była przedmiotem sporu.

Tricia zapewne nie widziała, jak Ken całował Schyler przed odjazdem do szpitala. Nie zostałaby w ukryciu, odkładając konfrontację z mężem, lecz niezwłocznie wypadłaby z domu, by się z nimi zmierzyć.

Wizyta w szpitalu wyczerpała Schyler. Nie chciała wpaść w sam środek awantury. Zostawiła portmonetkę i kluczyki w samochodzie i ruszyła przez trawnik.

Miała nadzieję, że wysiłek fizyczny sprawi, iż zaśnie bez problemu. Ostatnio męczyła się przez całą noc. Leżała, myśląc o Cottonie, o Tricii i Kenie śpiących razem gdzieś niedaleko. Nienawidziła siebie za to, że ciągle jeszcze się tym przejmowała.

Tym ciekawsze było odkrycie, że pocałunek Kena niezbyt ją poruszył. Przez ostatnie sześć lat uważała, że wciąż go kocha.

Pierwszy pocałunek po tak długiej i łamiącej serce rozłące powinien zelektryzować ją, a wszystko, co dotąd czuła, to niejasny smutek i poczucie zagubienia, których nie umiała wyjaśnić.

Myślała o tym, idąc przez szeroki trawnik i wchodząc w otaczający go las. Powietrze było tylko minimalnie chłodniejsze niż o zachodzie słońca. Jej kroki płoszyły strzępy mgły unoszącej się nad ziemią. Eteryczne smugi owijały się wokół kostek i wspinały ku łydkom.

Szła wąską ścieżką, która biegła przez kilkaset jardów równoległe do drogi, po czym skręcała w lewo. Dalej wiała się przez las, stopniowo opadając, aż osiągała żyzne brzegi kanału.

Kilka masywnych drzew dźwigało na konarach hiszpański mech. W większości były to sosny, które później ustępowały cyprysom, wierzbom i topolom.

Schyler umiała nazwać każde drzewo w lesie. Dobrze pamiętała lekcje Cottona. Poznawała las wzrokiem, smakiem i dotykiem. Jej uszy z łatwością rozpoznawały teraz każdy dźwięk.

Poza jednym.

Pojawił się tak nagle, że nie zdążyła nawet zdziwić się, gdy potężnie zbudowany warczący pies zastąpił jej drogę.

Zwierzę wyglądało, jakby wyłoniło się z piekieł lub wynurzyło z bagien, by niespodziewanie stanąć kilka stóp od niej. Jego pierś była masywna, a trójkątna głowa zakończona tępym pyskiem. Wygięty w łuk ogon sterczał ku górze. Krótkowłose, pokryty był czarnymi i brązowymi cętkami. Szeroko rozstawione oczy spoglądały na nią wrogo. Drżące wargi odsłaniały zęby. Schyler nigdy nie widziała groźniejszego stworzenia. Pomruk, jaki wydawał, przerażał ją•

Odruchowo wstrzymała oddech. Serce waliło jej jak oszalałe. Wolno uniosła rękę i w tym samym momencie zwierzę pochyliło się i wydało trzy ostre szczeknięcia.

Zastygła w bezruchu, nie chcąc drażnić psa żadnym gestem.

- Leżeć, piesku, leżeć.

Słowa brzmiały tak absurdalnie. To nie miła maskotka, lecz morderca. Pies przestał warczeć, ale Schyler nie była tak głupia, by uważać, że zaniechał swych zamiarów.

Wołanie o pomoc uznała za daremne, za bardzo oddaliła się od domu. Poza tym niespodziewany krzyk mógł sprowokować psa do ataku. Nie chciała jednak stać tak do końca świata. Zdecydowała się zaryzykować i dała krok w tył. Pies wydawał się nie zwracać na to uwagi, więc uczyniła następny i jeszcze jeden.

Kiedy cofnęła się o kilkanaście jardów, postanowiła odwrócić się i szybko zaczęła oddalać się w stronę domu. Nie biegła, ale też nie traciła ani chwili.

Pełna obawy, obróciła się. Pies szczeknął groźnie. Dźwięk był tak ostry, głośny i przerażający, że potknęła się i upadła. Zwierzę rzuciło się w jej stronę. Schyler przekręciła się na plecy i zakrywając twarz jedną ręką, drugą z całej siły zdzieliła psa w bok.

To, co się potem stało, było jak przeżywany na jawie ohydny koszmar. Czuła wilgotny, gorący oddech potwora i ostre zęby kaleczące skórę. Jego ślina zmieszana z jej krwią ściekała lepkiem strumyczkiem po nadgarstku Schyler. Uderzenie sparaliżowało rękę na kilka sekund. Nie miała wątpliwości, że zwierzę rozerwie jej gardło, jeśli go nie powstrzyma. Szukając po omacku jakiegokolwiek broni, natrafiła na ułamany konar, który z trudem obejmowała palcami.

Kiedy pies przypuścił kolejny atak, uderzyła go w głowę.

Cios okazał się celny, lecz nie tylko nie powstrzymał zwierzęcia, ale jeszcze bardziej je rozwścieczył.

Wymachując dziko i w konsekwencji mało skutecznie sosnową gałęzią, Schyler jakoś wstała. Zaczęła biec. Kiedy przedzierała się między drzewami, pies dosłownie deptał jej po piętach. Niemal czuła jego zęby wpijające się w jej kostki. Kilka razy ledwie uciekła zaciskającym się szczękom.

, Niespodziewanie dwa silne snopy światła przecięły las i oślepiły ją. Mgła i kurz tańczyły niesamowicie w bliźniaczych snopach. Dziewczyna odruchowo zasłoniła ramionami oczy.

Ciszę przerwał przenikliwy gwizd. Pies przestał warczeć i szczekać i znieruchomiał. Następny przeraźliwy gwizd zelektryzował go. Zwierzę poderwało się i przemknęło obok niej. Jego rozpedzone ciało otarło się o bosa stopy dziewczyny, prawie przewracając ją. Chwilę później zniknęło w krzakach, biegnąc w kierunku światła.

Schyler zorientowała się, że uciekając dotarła do drogi.

Światła pochodziły z samochodu, który skręcił ostro. Przymrużyła oczy, skupiając wzrok na zarysie półciężarówki, wydającej się widmem w chmurze kurzu wirującego wokół.

Wysłuchała się w niesamowite odgłosy wydobywające się z samochodu. Silnik charczał i stukał. Ze skrzyni dochodziło ochryple szczekanie psów. Oszałałe, wstrząsały metalowymi klatkami, próbując się wydostać. Nie miała pojęcia, ile ich było.

Przerażona, zaczęła uciekać, pewna, że wkrótce cały spragniony krwi ładunek zostanie spuszczonej ze smyczy i rzuci się na nią. Błyskawicznie obejrzała się za siebie. Ciężarówka oddaliła się, zazgrzytał włączony bieg, pojazd ociężale skręcił na drogę i odjechał. Las ponownie pogrążył się w ciemności.

Szczekanie jednak trwało, więc Schyler nie przestawała biec, na chybił trafił wybierając drogę przez gęste zarośla. Mech, który muskał jej policzki, teraz budził strach. Korzenie i pnącza zastawiały sidła, owijały się wokół kostek i próbowały złapać ją w potrzask. Na próżno odpierała mgłę, która wznosiła się, by objąć ją upiornymi ramionami.

Wrzasnęła, gdy nagle wpadła na jakąś ludzką istotę. Usiłowała się wyrwać, lecz uniesiono ją i stopy straciły grunt. Użyła ich do kopania.

- Przestań! Co się, do diabła, z tobą dzieje?!

Pomimo panicznego strachu Schyler zauważyła, że ta zjawą w jej koszmarze wydawała ludzki głos. Tak, to z pewnością był człowiek. Odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na niego.

Cash Boudreaux przyglądał się jej z zainteresowaniem.

Kilka sekund minęło, odkąd pochwycił ją w ramiona, lecz wciąż nie była w stanie

wydobyć z siebie głosu.

Kurczowo trzymając się jego koszuli, starała się uspokoić oddech. Drżała na wspomnienie oślinionego, warczącego pyska. Lecz gdy resztki przerażenia zaczęły ustępować, poczuła zażenowanie.

Niepewnie wciągnęła powietrze.

- Może mnie pan teraz puścić, panie Boudreaux, już wszystko w porządku.

Nie puścił jej. Nawet nie zatrzymał się, lecz dalej maszerował w kierunku kanału.

- Słyszysz mnie pan?

- Oui.

- Więc proszę mnie postawić. To miło z pana strony, ale ...

- Nie jestem miły. Po prostu wygodniej cię nieść niż wlec za sobą.

- Poradzę sobie sama.

- Nie staniesz na nogach. Za bardzo się trzęsiesz.

To była prawda. Drżała na całym ciele. Ulegle przyznając mu rację, pozwoliła się nieść.

- Idziesz w złą stronę. Dom jest w przeciwnym kierunku.

- Wiem, gdzie jest dom. - Wyczuła sarkazm w jego głosie. - Myślałem, że coś lub ktoś cię przestraszył.

- Czegóż miałabym się tu obawiać?

- Ty mi powiedz.

- Napadł mnie ... pies.

Jej głos załamał się. Łzy w oczach upokarzały ją, lecz nie mogła temu zaradzić.

Boudreaux zatrzymał się.

- Pies?

Skinęła głową.

- Słyszałem szczekanie - powiedział. - Pogryzł cię?

- Nie jestem pewna. Chyba tak. Uciekałam.

- Jezu!

Ponownie ruszył, szybszym już krokiem. Chór ropuch narastał. Schyler rozpoznała wierzby, których długie gałęzie pochylały się nad ciemną wodą jak skruszony grzesznik oddający pokłon.

Ta odnoga kanału odprowadzała wodę z szerszego, wolniej płynącego Kanału Laurenta.

Na brzegu, na wpół wyciągnięta z wody, tkwiła łódka. Cash zręcznie postawił jedną nogę w środku i złożył Schyl er w wąskiej łodzi. Wyciągnąwszy pudełko zapalek z kieszeni na piersi, potarł jedną i zapalił lampę naftową. W żółtym świetle jego oczy wyglądały ponuro jak oczy grasującego na moczarach żbika. Zdmuchnął zapalną i podniósł latarnię.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

- Łowię raki. - W skazał głową sieci częściowo zanurzone w wodzie. W środku było kilka tuzinów czerwonych bagiennych raków.

- Wydaje mi się, że najlepiej czujesz się w miejscach, które nie należą do ciebie.

Nie skomentował tego.

- Napij się.

Na dnie pirogi leżała butelka bourbona. Odkręcił nakrętkę i poczęstował ją. Zignorowała ten gest.

- Śmiało - powiedział niecierpliwie. - To nie samogon z przemytu. Kupiłem go dziś po południu w porządnym sklepie.

- Dziękuję.

Nachylił się ku niej. W świetle latarni jego twarz wyglądała szatańsko.

- Kiedy na mnie wpadłaś, wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha. Nie mam kryształowych szklanek ani srebrnego wiaderka do lodu. To nie jest tak wspaniały koktajl jak te, które zwykłaś pić, ale da ci takiego kopa, że przestaniesz się trząść, więc napij się, do cholery!

Niezbyt podobał jej się władczy ton w jego głosie, lecz przyjęła butelkę i przytknęła ją do ust. Cotton nauczył ją pić, podobnie jak wszystkiego innego, ale nauczył pić jak damę, w sposób, jaki aprobowała Macy.

Alkohol Casha Boudreaux sparzył jej gardło i każdy cal przełyku na swej drodze do żołądka, gdzie eksplodował jak ginąca gwiazda. Zakrztusiła się i zaczęła przeraźliwie kaszleć. Otarła usta grzbietem dłoni i oddała butelkę. Spojrzał na nią z rozbawieniem i także się napił.

- Jeszcze?

- Nie, dziękuję.

Pociągnął kolejny raz, zanim nałożył nakrętkę i cisnął flaszkę na dno łódki. Przykucnął przy Schyler.

- Czy poza ramieniem gdzieś jeszcze cię zranił? Syknęła, gdy pociągnął ją za nadgarstek bliżej światła.

Dotyk Casha wywołał mrowienie, ale bardziej przejęła się krwią ciekącą z paru brzydkich zadraśnień na ramieniu.

- Nie zdawałem sobie sprawy. Mój Boże!

Delikatnie zbadał okolice ran.

- Jak on wyglądał?

- Pies? - Zadrżała na wspomnienie. - Okropnie. Jak buldog.

- To musiał być jeden z pitbulli Jiggera. - Podniósł wzrok. - Miałas szczęście, że tylko na tym się skończyło. Co mu zrobiłaś?

- Nic! - krzyknęła. - Szłam przez swój własny las i nagle ten pies wyskoczył na ścieżkę.

- Nie prowokowałaś go?

Wątpliwość w jego głosie rozzłościła ją. Wyszarpnęła ramię i spróbowała wstać.

- Jadę do szpitala. Dziękuję ...

Cash zerwał się i pchnął ją lekko.

- Siadaj!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ciężko wylądowała na drewnianej ławeczce. Przestraszona, spojrzała na niego.

- Sam się tobą zajmę.

Schyler nie była przyzwyczajona do tego, by kierował nią mężczyzna ani żeby w ogóle ktokolwiek jej rozkazywał. Biorąc pod uwagę, że na poziomie oczu miała rozparek jego obcisłych dżinsów, jej odpowiedź była i tak bardzo spokojna.

- Dziękuję za to, co pan zrobił, panie Boudreaux, ale myślę, że powinien na to rzucić okiem fachowiec.

- Niektórzy uważają mnie za fachowca. - Ponownie uklęknął przed nią. - Poza tym odmawiam zabrania cię do szpitala, a ty nigdy nie dostaniesz się tam o własnych siłach.

Spojrzał na nią kpiąco.

- Oczywiście, zawsze mógłby ci pomóc szwagier, ale najpierw musiałabyś dojść do BeBe Terre, a nie sądzę, byś była w stanie.

- Będę potrzebowała szczepionki przeciw wściekliznie. Mówiąc to, poczuła się chora na samą myśl o serii bolesnych zastrzyków.

Sięgając po skórzaną torbę leżącą na dnie pirogi, Cash pokręcił przecząco głową. Światło wylawiało złotawe kosmyki z jego długich ciemnych włosów.

- Żaden z psów Jiggera nie ma wścieklizny. Są zbyt cenne.

Obserwowała ze strachem zmieszonym z ciekawością, jak wyjmuje kilka brązowych buteleczek. Nie miały etykietek.

Masz na myśli Jiggera Flynna?

- Oui.

- On wciąż tutaj jest?

- Wszystkie dziwki z okolicy straciłyby pracę, gdyby kiedykolwiek wyjechał.

Gdy była dzieckiem, straszono ją Jiggerem Flynnem. Miał reputację stręczyciela i przemytnika.

- Moja matka zwykła mawiać Tricii i mnie, że Jigger Flynn porywa małe dziewczynki, które się źle zachowują.

- Wcale się nie myliła.

- Zawsze patrzyłyśmy na jego dom ze strachem, ilekroć przejeżdżałyśmy obok.

- Wciąż tam mieszka.

- Ktoś powinien wsadzić tego łobuza za kratki już dawno temu.

Cash zachichotał.

- Nie ma szans. Jego najlepsi klienci pochodzą z biura szeryfa.

Wiedząc, że prawdopodobnie ma rację, Schyler niewyraźnie skinęła głową. Niski śmiech Casha oszołomił ją. Wyrwała ramię z jego uścisku.

- Co to jest?

Nasączył bawełniany tampon jasnym płynem z jednej z butelek i podsunął go jej pod nos. Gryzący ostry zapach był łatwy do rozpoznania.

- Zwyczajny alkohol. Będzie piec jak diabli. Nie wstydź się krzyczeć.

Nim się zorientowała, przyłożył spirytus do skaleczeń na jej przedramieniu. Poczowała nadchodzącą falę bólu, zanim ta runęła z największą siłą. Była zdecydowana nie krzyknąć, ale nie mogła powstrzymać zdławionego jęku, który wyrwał się jej, nim zagryzła wargi i z trudem pohamowała go.

Jej zachowanie naj widoczniej bawiło Boudreaux. Wyszczrzył zęby, gdy cofał dłoń z przesiąkniętą krwią watą.

- To złagodzi ból. - Szybko odkorkował inną buteleczkę i używając własnych palców, rozprowadził jej zawartość po skaleczeniach. Oczyszczone z krwi, nie wyglądały już tak groźnie. Owinął jej rękę gazą od nadgarstka po łokieć.

- Noś to przez kilka dni.

- Czym je nasmarowałeś? - Skaleczenia w zadziwiający sposób przestały piec.

- Jednym z balsamów mojej matki. - Znów się uśmiechnął, widząc zaskoczenie malujące się na jej twarzy. - Zawiera mocz nietoperza i wyciąg ze śledziona świni. - Jego oczy błyszczały w świetle lampy. - Czarna magia - szepnął.

- Nigdy nie wierzyłam w to, że twoja matka uprawiała czary.

Jego uśmiech zmienił się w pełen goryczy grymas.

- Więc zaliczasz się do nielicznych. Czy pies zranił cię gdzieś jeszcze?

Schyler nerwowo oblizwała wargi.

- Chwytał mnie zębami za kostki, ale ...

Nim skończyła, podniósł jej spódnicę tak, że brzeg znajdował się dobrze powyżej kolan. Chwycił od spodu jej łydkę i uniósł stopę. Przekręcił ją pod światłem w jedną i drugą stronę.

- Zadraśnięcia nie są zbyt głębokie. Oczyszczę je, ale nie będą potrzebowały bandaża.

Sprawdził drugą kostkę i zobaczył na niej tylko jeden słaby znak. Nasączył alkoholem kolejny zwitek bawełny.

Schyler przyglądała się jego zręcznym dłoniom przemywającym skaleczenia. Zastanawiała się, jak Ken nazywał Cajunów, którzy zajmowali się leczeniem. Próbowwała myśleć o czymkolwiek poza swoimi stopami w poufały sposób ułożonymi na udzie Casha Boudreaux i jego twarzy spoczywającej prawie na jej łonie.

- Powiedziałaś, że miałam szczęście. Czy ten pies zaatakował już kogoś?

- Napadł dzieciaka kilka miesięcy temu.

- Dziecko? Pies zaatakował dziecko?!

- Nie wiem, czy to był dokładnie ten pies. Jigger miesza pitbulle z kundlami, by otrzymać najpodlejsze cechy.

- Dlaczego pies napadł tamtego dzieciaka?

- Mówią, że został sprowokowany.

- Kto tak mówi?

Wzruszył niechętnie ramionami.

- Każdy. Słuchaj, nie znam szczegółów, bo to nie była moja sprawa.

- Plotki, które nie mają dla ciebie znaczenia? Właśnie.

- Co się temu dziecku stało?

- Nic specjalnego, jak przypuszczam. Nie słyszałem nic więcej poza tym, że wzięli je do szpitala.

- Musiało pójść do szpitala? I nikt nic nie zrobił? - Z czym?

- Z psami. Czy Jigger Flynn nie musiał płacić grzywny lub czegoś w tym rodzaju?

- To nie była wina Jiggera. Po prostu dzieciak znalazł się w złym miejscu o złej porze.

- To była jego wina, jeśli pies nie był uwiązany.

- Punkt dla ciebie. Jego psy to prawdziwe sukinsyny w każdym tego słowa znaczeniu.

Jigger trenuje je do walki na arenie.

- Na arenie?

Rzucił jej drwiące spojrzenie i parsknął śmiechem.

- Nigdy nie słyszałaś o walkach pitbulli?

- Oczywiście, że tak, i wiem, że są nielegalne.

- Podobnie jak plucie na chodnik przed gmachem sądu, lecz nikogo to nie powstrzymuje.

Zaczął się pakować. Schyler obciągnęła spódnice. Nie uszło to uwagi Casha. Zignorowała jego lubieżny uśmiech.

- Czy to znaczy, że w okolicy odbywają się walki psów?

- Od lat.

- Jigger Flynn wychowuje psy, by zabijały i były zabijane?

- Oui.

- Ktoś musi położyć temu kres.

Cash potrząsnął głową, rozbawiony jej sugestią.

- Nie sądzę, by ten pomysł spodobał się Jiggerowi. T a hodowla to bardzo lukratywne zajęcie, Jego psy nie przegrywają zbyt często.

- Gdy tylko wrócę do Belle Terre, zadzwonię do szeryfa.

- Na twoim miejscu zapomniabym o tym.

- Ale to zwierzę mogło mnie zabić!

Niespodziewanym ruchem Cash zacisnął palce wokół jej szyi i nachylił ku dziewczynie twarz.

- Długo tu pani nie było, panno Schyler, więc proszę mnie wysłuchać, a zaoszczędzi sobie pani kłopotów. Przerwał i spojrzał jej prosto w oczy. - Odkąd opuściłaś to miejsce sześć lat temu, nic się nie zmieniło. Być może zapomniiałaś pierwszą niepisana zasadę. Brzmi ona: „Jeżeli coś ci się nie podoba, patrz w inną stronę”• Zrozumiałaś?

Była tak bardzo skoncentrowana na palcach dotykających jej skóry, że minęła chwila, nim pojęła jego ostrzeżenie.

- Tak, ale nie zmienię postanowienia. Cały czas myślę o tym, co mogłoby się stać, gdyby Jigger nie przejeżdżał i nie zabrał psa do ciężarówki.

- Rozszarpałby cię na kawałki i stałaby się cholerna szkoda, prawda? Ponieważ najlepiej wyglądasz w całości.

Jego kciuk sunął wolno w stronę jej dekoltu. Opuszki palców mężczyzny zbłądziły w okolicę lamówki bluzki i rozpoczęły bardziej wnikliwe badanie.

- Tamten komar ugryzł cię tutaj, prawda?

Schyler poczuła, że traci kontrolę nad sytuacją. Jego spojrzenie coraz bardziej ją krępowało, czuła się nieswojo. Podobała jej się twarz Casha, jego głos. Podziwiała szerokość

torsu i wąskie biodra. Uda Casha były szczupłe i mocne, a wybrzuszenie między nimi świadczyło, że opowieści o Boudreaux nie były przesadzone.

Nie uległa jednak czarowi Casha Boudreaux.

- Bądź łaskaw pozwolić mi odejść. Teraz pieścił jej szyję.

- Najpierw przyłożę coś na to ukąszenie.

- T o nie będzie konieczne.

Nie ruszyła się jednak, gdy cofnął dłoń i powtórnie spenetrował torbę, wyciągając małą fiolkę. Zapach tłustej substancji wywołał wspomnienia wakacyjnego obozu.

- Fałszywy z pana czarownik, panie Boudreaux. To zwykła maść na komary.

Nie wyglądał na skruszonego grzesznika.

- Ciepło.

Schyler nie wiedziała, dlaczego nie odtrąciła ręki, która znów ruszyła w jej stronę, dlaczego wciąż siedziała nieruchomo i pozwalała jego palcom bawić się dotykiem jej skóry. Nie wiedziała, dlaczego pozwalała mu szukać innych ukąszeń na szyi i ramionach, dlaczego pozwoliła mu odpiąć pierwszy guzik bluzki, gdy odkrył kolejne ślady pod kołnierzykiem. W sunął pod materiał dłoń i suto obmył ukąszone miejsce płynem do odkażania ran.

- Jeszcze? - Jego pytanie nie było jednoznaczne.

- Nie.

- Na pewno?

- Z całą pewnością.

Z rozbawieniem wycofał rękę i schował fiolkę do torby.

Wysiadł z łódki i wyciągnął dłoń, by pomóc dziewczynie wstać. Tym razem odrzuciła pomoc i poradziła sobie bez asysty, ale w chwili gdy prostowała się, straciła równowagę. Tylko jego szybka reakcja ochroniła ją przed upadkiem. Uniósł ją w ramionach.

- Postaw mnie. Nic mi nie jest.

- Jesteś pijana.

Rzeczywiście była, choć wydawało się to prawie niemożliwe po jednym łyku alkoholu.

- Okłamałeś mnie. To nie była zwykła whisky ze sklepu.

Mruknął coś niewyraźnie.

Księżyc wzniósł się ponad linię drzew. Zrobiło się trochę jaśniej. Cash dzięki ternu mógł iść szybciej. Wydawał się orientować lepiej niż Schyler, gdzie czyhają zakręty na ścieżce i niżej

rosnące konary.

Wypadek z psem i mocny alkohol spowodowały, że kręciło jej się w głowie. Nie miała dość siły, by utrzymać ją prosto. Oparła się policzkiem na jego piersi. Szła powłócząc nogami. Zamknęła oczy. Zatrzymał się. Dopiero po paru sekundach uniosła powieki. Zobaczyła jego twarz nad sobą.

- Czy dasz radę resztę drogi przebyć o własnych siłach? Schyler uniosła głowę. Belle Terre wyglądała jak perła usadowiona wygodnie na zielonym aksamicie. Wydawała się bardzo daleka. Perspektywa samotnego pokonania tego odcinka nie była pociągająca. Spróbowała wziąć się w garść.

- Tak.

Rozluźnił ramiona i uwolnił ją.

- Z radością niósłbym cię przez resztę drogi, ale twój ojciec prędzej zrzuciłby mnie do otworu wiertniczego, niż pozwolił, by mój cień padł na Belle Terre.

- Jesteś bardzo uprzejmy. Dziękuję za ...

Straciła oddech, gdy objął ją. Jego dłonie zamknęły się wokół jej talii. Poczowała na twarzy gorący oddech.

- Nigdy nie jestem uprzejmy dla kobiet. Strzeż się, pichouette. Moje ukąszenia są bardziej niebezpieczne niż psów Jiggera Flynna.

- T o tak mnie kochasz?

Cash stoczył się z leżącej pod nim kobiety. Sięgnął po papierosy, zapalił jednego i zaciągnął się głęboko.

- Nigdy nie nazywałem tego miłością.

Opuścił łóżko, ściągnął prezerwatywę i cisnął ją do kosza na śmieci. Jego ciało pozostało wciąż napięte, wciąż głodne.

Rhoda Gilbreath usiadła i naciągnęła prześcieradło na piersi. Cash nie marnował czasu na takie gesty. Stał przy oknie nagi, spokojnie paląc papierosa i podziwiając krzykliwy neon reklamujący motel „Pelikan”.

- Nie musisz się zaraz obrażać - mruknęła pojednawczo. - Ja też lubię czasami tak szybko. Nie chciałam ci robić wyrzutów.

Spojrzał na nią pogardliwie przez ramię.

- Nie masz powodów do skarg, Rhodo. Dogodziłem ci trzy razy, zanim straciłem rachubę.

- Najpierw się dąsasz, a później wściekasz. W gruncie rzeczy powinieneś być mi wdzięczny.

- Czego, do cholery, jeszcze chcesz? Popatrzyła na niego groźnie.

- Nie było mi łatwo rzucić wszystko i przybiec tu dziś wieczorem. Wyświadczyłam ci tę przysługę, gdyż twój głos w słuchawce brzmiał tak, jakby to była sytuacja krytyczna.

- Bo tak było - wymamrotał, przypominając sobie stan, w jakim był, kiedy opuścił Schyler w Belle Terre. Odszedł od okna i z papierosem przyklejonym do dolnej wargi sięgnął po dzinsy i wciągnął je na siebie.

Kobieta zacisnęła pięści.

- Co robisz?

- A jak sądzisz?

- Wychodzisz?

- Bingo.

- Teraz?

- Brawo.

- Przecież nie możesz. Właśnie przyszliśmy.

- Zawsze jesteś napalona jak kotka w rui. Dlatego tutaj przypędziłaś.

- A ty nie?

- Ja też, ale przyznaję się do tego. Ty natomiast zachowujesz się, jakbyś, spotykając się ze mną, dokonywała aktu dobroczynnego.

Zmieniła taktykę, ponownie stawiając na swój wdzięk.

Uniosła jedno kolano i kusząco zaczęła nim kołysać. W prawo i w lewo. W prawo i w lewo.

- Powiedziałam Dale' owi, że zamierzam odwiedzić chorego przyjaciela i prawdopodobnie posiedzę przy nim do rana.

Prześcieradło zsunęło się z niej.

- Mamy całą noc.

Obojętny na jej wysiłki, Cash wciągnął ubłocone kowbojskie buty i wsunął ramiona w rękawy koszuli, którą wcześniej ściągnął, nie rozpinając guzików.

- Ty masz całą noc. Ja wychodzę.

- Ty sukinsynu!

- Pokój jest opłacony. Masz tutaj kablową telewizję, a maszyna do lodu jest zaraz za drzwiami. Czegoż więcej mogłabyś pragnąć? Baw się dobrze.

- Ty bękarcie!

- Trafiłaś w sedno. - Uśmiechnął się cynicznie i zsalutował kpiąco, zanim zatrzaskał za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Śmiali się z niej.

Jedli śniadanie na osłoniętej części werandy na tyłach domu.

Kiedy Schyler zakomunikowała im swoje postanowienie, Tricia z wrażenia upuściła łyżkę, którą dłubała w czerwonym teksańskim grejpfrucie, a Ken zakrztusił się kawą. Niezdarnie odstawił filiżankę na spodek. Przez moment patrzyli na nią z niedowierzaniem, potem jednocześnie parsknęli śmiechem.

Kilka minut wcześniej Schyler pojawiła się przy stole, ubrana już w dzienny strój. O ósmej trzydziści wilgotność osiągnęła dziewięćdziesiąt procent. Włosy dziewczyny, układając się w loki, przylegały z tyłu do szyi. W ciągu kilku dni, jakie minęły od jej przyjazdu, słońce sprawiło, że najbliższe twarzy kosmyki stały się niemal białe. Bandaż na ramieniu z miejsca przyciągnął uwagę.

- Co się stało z twoją ręką, Schyler? - spytała Tricia. Nalała sobie kawy z dzbanka i podziękowała pani Graves, która chciała podać jej gorące śniadanie.

- Ostatniej nocy zostałam napadnięta w lesie przez pitbulla.

Oczy Tricii rozszerzyły się.

- Żartujesz.

- Chciałabym.

- To obrzydliwe psy.

- Nie znam się na całej rasie, ale tamten rzeczywiście taki był. Myślałam już, że rozerwie mi gardło. Tak bardzo się przestraszyłam.

- Ten pies był w naszym lesie? - zapytał Ken. - W Belle Terre?

- Tak. Załedwie kilkaset jardów od domu.

Schyler opowiedziała im całe zdarzenie, pomijając jedynie rolę, jaką w tej historii odegrał Cash Boudreaux.

- Ktoś powinien obejrzeć ugryzienia. - Ken był pełen obaw.

- Już to zrobiono.

Miała nadzieję, że nikt nie zapyta o szczegóły. Postano - wiła szybko zmienić temat.

- Zamierzam wnieść oskarżenie przeciw Flynnowi. Wtedy właśnie tak ich ubawiła.

- Schyler, kochanie, nie znajdziesz żadnego paragrafu na Jiggera Flynna. - Ken

uśmiechnął się protekcyjnie. - Dlaczego nie? Musi istnieć lokalny lub stanowy przepis zabraniający hodowli tych psów.

- Nie ma takiego. Tutejsi ludzie trzymają pitbulle od stu, a może więcej lat. Poza tym Jigger nie pozwala włączyć się swoim psom.

- Ostatniej nocy jednemu pozwolił.

- Prawdopodobnie ten pies przez niedopatrzenie wydostał się ze swojej klatki.

- Kosztowne niedopatrzenie. W dodatku nie był to pierwszy raz. Słyszałam o podobnym wypadku sprzed kilku miesięcy.

- Głupi bachor jechał na rowerze obok terenu Jiggera.

- T o wcale nikogo nie usprawiedliwia! - krzyknęła ze złością. - Zamierzam dopilnować, by taki wypadek nigdy więcej się nie powtórzył.

- Rozmowa z szeryfem niczego nie zmieni. Być może złożyłby wizytę Flynnowi w jego siedzibie, ale najpewniej zakończyłaby się ona przy wódzie i dziwkach Jiggera.

- Spodziewacie się, że po prostu przejdę nad tym do porządku dziennego? Nie pamiętajmy uraz?! Co było, to było?!

- Tak zapewne byłoby najlepiej. - Ken wstał, niedbale pocałował Tricię w policzek i pogłaskał Schyler po zdrowym ramieniu. - Jestem umówiony. Cześć, dziewczęta.

Schyler odprowadziła go wzrokiem pełnym konsternacji i oburzenia. Jego brak wyobraźni złościł ją i zwiększał determinację, by nie poddać się bez walki.

Uciekła tylko raz w życiu - kiedy Tricia powiadomiła o swojej ciąży. Nigdy więcej. Nauczyła się, że rezygnacja nie przynosi zysków, lecz jedynie pogardę i brak szacunku dla samej siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że Ken uważa, iż powinnam dać temu spokój. Zawsze był gotów do kruczaty na każde wezwanie. W college'u. On dorósł, Schyler.

- Sugerujesz, że ja też powinnam dorosnąć?

- Tak - stwierdziła Tricia. - To nie miasteczko studenckie. Koniec z kampaniami antywojennymi, koniec z szukaniem pomocy dla napływowych robotników i walką o edukację dla czarnych dzieci. - Tricia odłożyła herbatnika na talerz i oblizała ociekające masłem i miodem palce. Nie minął jeszcze tydzień, jak wróciłaś. Nie szukaj kłopotów.

- To nie ja zaczęłam. Nie wiedziałabym nawet, że te cholerne psy istnieją, gdyby jeden z nich nie rzucił się na mnie na terenie mojej własnej posiadłości.

Tricia westchnęła głęboko.

- Ty po prostu nie możesz pozwolić, by sprawy biegły swoim zwykłym torem, prawda? Zawsze wpychałaś we wszystko swój nos. Cotton cię jeszcze zachęcał do tego, a mnie i mamę doprowadzało to do szaleństwa. T o było tak krępujące, tak. .. tak niedystyngowane. - Pochyliła się ku siostrze i mówiła dalej z emfazą. - T o jest mój dom, Schyler. Nie próbuj robić niczego, co wprawiloby mnie w zakłopotanie, bym nie musiała spuszczać głowy, idąc przez miasto.

Schyler odsunęła krzesło i rzuciła serwetkę na pusty talerz.

- Jeżeli nikt nie pomoże mi załatwić tego bandziora i jego zwierzaków, to zajmę się tym sama. I nie dbam o to, w jak wielkie zakłopotanie cię to wprawi, Tricio.

- W ciągu ostatnich dwunastu godzin jego stan zaczął poprawiać się - oznajmił jej doktor Cottins, gdy przybyła do szpitala. - Zaczynam być ostrożnym optymistą. Jeżeli ten proces będzie trwał, powinniśmy być gotowi do zabiegu, nim upłynie tydzień.

- T o wspaniale.

- Powiedziałem „ostrożnym”. Serce ma ciągle bardzo słabe.

- Rozumiem.

Lekarz uśmiechnął się do niej ciepło. Cotton Crandall był już tak blisko śmierci, że nawet tej słabej nadziei uchwyciła się z całych sił.

- Czy mogę zajrzeć do ojca?

- Tak, ale maksimum dwie minuty co godzina. Mogłaby pani odłożyć jednak wizytę. Przez cały ranek był półprzytomny.

Schyler poszła do automatu telefonicznego i podzieliła się z Tricią dobrymi nowinami. Później pozwolono jej wejść do pokoju ojca. Była rozczarowana, że nie obudził się, nie okazał w jakiś sposób, że wie, iż stoi u jego łóżka. Pocieszał ją jednak raport lekarza. Nawet uspokajający uśmiech pielęgniarki wydawał się bardziej szczerzy.

Tricia i Ken przybyli wczesnym popołudniem. Czuwali godzinami w szpitalnej poczekalni, odwiedzając co godzina na zmianę pokój Cottona. Byli zmęczeni.

- Schyler, dlaczego nie idziesz z nami do domu? zapytał Ken.

- Wy idźcie. Wrócę na obiad. Chciałabym zobaczyć go jeszcze raz, zanim wyjdę ze szpitala.

- Jak chcesz.

Odeszli w stronę windy. Pomachali jej, nim drzwi się zamknęły. Chora od patrzenia na te

same cztery ściany, Schyler przechadzała się korytarzami, myśląc, że powinna zadzwonić do Marka.

Wspaniałomyślnie pozwolił jej wyjechać, nie wiedząc, jak długo miało trwać rozstanie. Nawet o to nie zapytał.

Pomógł jej się spakować, zawiózł na lotnisko, pocałował na pożegnanie i kazał zadzwonić, gdyby czegokolwiek potrzebowała. Na równi z nią niepokoił się stanem Cottona, którego nigdy nie miał okazji poznać, ale o którym wiele słyszał.

Postanowiła poczekać, aż prognozy dotyczące zdrowia ojca będą bardziej zdecydowane. Rozmowa z Markiem nie miała sensu, dopóki nie będzie w stanie przekazać mu jakichś konkretnych informacji poza tym, że bardzo za nim tęskniła.

- Panna Crandall?

Odwróciła się.

- Tak?

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Tata?

- Obudził się. Proszę się pospieszyć.

Schyler, deptając pielęgniarkę po piętach, pospieszyła do pokoju ojca. Cotton nie wyglądał dużo lepiej niż ostatniej nocy, niemniej jednak jego cera straciła kolor wosku, ustąpiło także sinawe zabarwienie warg. Ostrożnie uniosła jego dłoń.

- Cześć, tatusiu. T o ja, Schyler. Jestem tutaj od kilku dni. Jak się czujesz? Wszyscy tak się martwiliśmy, ale doktor mówi, że będziesz zdrow.

Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. Skóra pod kwadratowym podbródkiem znacznie zwiótczała, a linia włosów cofnęła się nieco. Najbardziej zauważalnej zmianie od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, uległy oczy. Przeraziła się, widząc je. Nie było w nich już światła, iskierki radości, życia.

To wcale nie chore serce ponosiło za to odpowiedzialność. Ona zgasła w nich światło. Nie wiedziała tylko, dlaczego.

- Wróciłaś - wyszeptał słabym głosem, w którym nie było ciepła.

- Tak, tato, wróciłam. Jestem w Belle Terre. I zostanę tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował.

Spoglądał na nią w milczeniu przez długą chwilę. Następnie jego pokryte żyłkami

powieki opadły, kryjąc spoglądające z potępieniem niebieskie oczy. Odwrócił głowę.

Podeszła pielęgniarka.

- Znowu zasnął, panno Crandall. Lepiej mu już więcej nie przeszkadzajmy.

Schyler niechętnie puściła dłoń ojca i odeszła od łóżka.

Czując pustkę, wyszła z pokoju.

Żadna córka nie kochała ojca bardziej, niż Schyler kochała Cottona. I odwrotnie. Tylko że on przestał ją kochać. Sześć lat temu. Dlaczego?

Upał w samochodzie stał się nie do zniesienia. Nawet pracujący na maksymalnych obrotach wentylator nie był w stanie wystarczająco ochłodzić wnętrza. Opuściła szyby. Wiatr szarpał jej włosy. Skręciła w drogę tak znajomą jak odbicie własnej twarzy w lustrze. Kiedy przejechała most na Kanale Laurenta, serce zaczęło uderzać silniej z radosnym oczekiwaniem. Droga kończyła się przed rodzinną firmą „Crandall Logging”.

Było sobotnie popołudnie. Plac już opustoszał. Nikt nie pracował na dziedzińcu ani na platformach przeładunkowych, wzdłuż których stał szereg wagonów towarowych. Obok nich parkowały brudne przyczepy. Nikt nie zwoził drzewa z otaczających lasów. Nic nie zakłócało przejmującej ciszy.

Pozostawiła drzwi samochodu otwarte i poszła w stronę budynku, w którym mieściło się biuro. Klucz, który wciąż miała przyczepiony do kółka wraz z innymi, pasował do zamka. Popchnęła drzwi i wkroczyła do środka.

W pomieszczeniu panował zaduch. Zostawiła uchylone drzwi. Zachodzące słońce rzuciło jej cień na zniszczoną podłogę i biurko Cottona. Zalegały je porozrzucane w nieładzie puste formularze i wciąż nie otwarta korespondencja. Zawsze tak było, Cotton nienawidził biurowej pracy, zaniedbywał ją miesiącami, aż w końcu Schyler zabierała się za papierkową robotę podczas ferii zimowych i letnich wakacji.

Podeszła do biurka, podniosła słuchawkę telefonu I wybrała numer.

- Belle Terre.

- Halo, pani Graves, mówi Schyler. Nie wrócę szybko do domu. Nie czekajcie na mnie z obiadem.

Gospodyni nie okazała żadnego zainteresowania i nie miała nic do powiedzenia, rozmowę zakończono więc w ciągu piętnastu sekund.

Odkładając słuchawkę, Schyler rozejrzała się po pokoju.

Okna, wychodzące na tory kolejowe, wymagały umycia. Cotton zawsze upierał się przy tym, chciał zobaczyć, co się dzieje za oknem.

Przesunęła czubkiem palca wzdłuż parapetu, na którym zebrał się cał kurzu. Powinna znaleźć kogoś, kto by tu posprzątał. Wróciwszy do biurka, stanęła za fotelem i położyła dłonie na wysokim oparciu.

Fotel Cottona.

Lata używania sprawiły, że brązowa skóra była miękka jak rękawiczka. Zamknęła oczy. Słone łzy popłynęły spod powiek gdy wspomniała czasy, kiedy wysiadywała na kolanach Cottona na tym fotelu, słuchając cierpliwie, jaki gatunek drzewa i dokąd zostanie wysłany.

Był zachwycony swą pilną uczennicą. Tricia nienawidziła placu przeładunkowego. Dla niej był on brudny i zbyt hałaśliwy. Wpadała w zły humor, ilekroć musiała tu przyjść. Macy w ogóle nie dbała o przedsiębiorstwo, choć pierwotnie należało do jej rodziny. Cotton zuchwale zmienił jego nazwę. Gdy tylko ostatni z Laurentów, ojciec Macy, został pochowany, Cotton uczynił się wyłącznym właścicielem i zarządcą firmy.

Macy było to obojętne, podobnie jak mąż, a nawet dwie córki, które adoptowała, zdesperowana, że sama nie może dać Cottonowi tak bardzo upragnionego potomka.

Macy pilnowała, by jej dziewczynki chodziły lepiej ubrane niż jakiegokolwiek inne dzieci w okolicy. Otrzymały wykształcenie w elitarnych szkołach prywatnych. Zaspokajała ich potrzeby materialne, lecz zaniedbała uczuciowe. Gdyby nie Cotton, Schyler nigdy nie zaznałaby miłości rodzicielskiej.

Lecz on już jej nie kochał.

Otworzyła oczy i otarła łzy. Nagle, zauważywszy długi cień na brudnej podłodze, poderwała głowę do góry. Rozpoznawszy opartego niedbale o futrynę drzwi mężczyznę, zmarszczyła brwi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nigdy nie podkradaj się chyłkiem do mnie. Skóra mi ścierpła.

- Dlaczego płaczesz?

- Z powodu Cottona.

Jego brwi uformowały się w łuk, wyrażając zainteresowane.

- Umarł?

Schyler pokręciła głową.

- Nie. Odzyskał przytomność. Rozmawiałam z nim.

- Nie rozumiem.

- Nie oczekuję, byś rozumiał - powiedziała krótko.

- Przestań wtrącać się w moje sprawy.

- W porządku. Następnym razem, gdy pogryzie cię pies, pozwolę, by twoje ramię zgniło.

Zaczęła ją boleć głowa. Przycisnęła dłoń do skroni.

- Przepraszam. Powinnam ci podziękować.

- Jak tam? - Wskazał brodą zabandażowane ramię.

- Chyba dobrze. Wcale nie boli.

- Podejź tutaj.

Spojrzała tylko na niego. Uniósł jedną brew i powtórzył miękko:

- Podejź tutaj.

Wahała się chwilę, po czym okrążywszy biurko, zbliżyła się do otwartych drzwi.

Wyciągnęła do przodu zranioną rękę z tak wielkim zapalem, z jakim wepchnęłaby ją do pieca hutniczego.

Widząc jej niechęć, uśmiechnął się sardonicznie, gdy odwijał bandaż. Schyler zdziwiła się, widząc prawie zupełnie zabliznione rany i nie stwierdzając śladu infekcji. Delikatnie zbadał skaleczenia.

- Zdejmij opatrunek wieczorem. - Ponownie owinał jej ramię. - Jutro rano umyj ostrożnie łapkę. Niczego więcej chyba nie będzie już potrzebowała.

Przyjrzała mu się badawczo.

- Świńska śledziona dokonała cudu.

Wyszarpnęła ramię.

- Jesteś leworęczny.

Uśmiechnął się szeroko.

- Wierzysz w przesady, prawda? W to, że wszyscy znachorzy są leworęczni.

Bez wahania, nie wypowiedziawszy słowa przeprosin, odchylił szeroki marynarski kołnierzyk jej sukienki i musnął palcami jej pierś tam, gdzie noc wcześniej odkrył ślad po ugryzieniu komara.

- Jak z ukąszeniami komarów?

Schyler strąciła jego dłoń.

- W porządku. Czy Monique była leworęczna?

- Oui. Była też kobietą. W tym miejscu wyłamuję się - jego głos zabrzmiał uwodzicielsko - ponieważ jestem mężczyzną, a jeśli masz jakieś wątpliwości co do tego, będę bardziej niż zadowolony, mogąc je rozwiać.

Jej twarz wykrzywił grymas.

- T o nie będzie konieczne.

- Tak właśnie myślałem.

„Pewność siebie tego faceta jest nie do wytrzymania” pomyślała Schyler, gdy spostrzegła jego usta układające się w leniwy, arogancki uśmiech. Duży, zły Cash Boudreaux, człowiek, którego ojcowie dojrzałych córek obawiali się najbardziej, zwrócił ku niej swoje zainteresowanie. Była trochę za stara, by zakreśliło jej się w głowie i zemdląła u stóp tego pawia.

Nie wątpiła w jego męskość. Przebijała ona w każdym szczególe surowej twarzy, szerokości barków, w słonym zapachu, który wydzielał w popołudniowym upale. Spod wijących się na czole włosów wyciekła kropla potu, spływając po skroni.

Każdy ruch Casha emanował męskością. Przyjrzała się jego dłoni, gdy sięgał po paczkę papierosów i wytrząsnął jednego. Poczęstował ją, ale odmówiła ruchem głowy. Włożył go między wargi i schował papierosy do kieszeni. Wyciągnął pudełko zapalek. Potarł jedną o futrynę drzwi i skrywając płomynek w dłoniach, zapalił papierosa.

Przypomniała sobie, jak te same dłonie obejmowały ją poprzedniej nocy. Silne palce przyciśnięte do jej żeber. Niełatwo było jej zrozumieć, w jaki sposób Cash Boudreaux potrafił tak ją zniewolić.

Gdy zaciągnął się, patrząc na nią przez chmurę dymu, opuściła wzrok. Jego mocną, opaloną szyję otaczała wzorzysta chustka. Pierś Casha zwiężała się w wąską talię i szczupłe

biodra.

Miała wrażenie, jakby jego oczy drążyły dziurę w wierzchołku jej głowy. Miał coś zmysłowego w spojrzeniu, ale jeśli pogłoski były prawdziwe, to wszystko, co Cash Boudreaux robił, odkąd skończył trzynaście lat, było umotywowane seksualnie.

Nie schlebiała sobie. Nie obawiała się. Gdyby chciał ją napastować, miał ku temu aż nadto sposobności w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Odczuwała jedynie urazę. Oczywiście, traktował ją podobnie jak wszystkie inne kobiety, które czuły się zaszczycone jego uwagą.

Musiała jednak uczciwie przyznać, że nie pozostawała całkowicie obojętna. Był niebezpieczny, zachowywał się lekceważąco i arogancko. Był gwałtowny, obrzydliwie i bez krzty szacunku traktował kobiety: Być może to tak bardzo pociągało je w nim.

Choć dorastali w tym samym miejscu, wychowywali się w innych, obcych sobie światach. Nie znajdowała nic, co mogłoby ich złączyć poza tym, że ona była kobietą, a Cash Boudreaux był bezdyskusyjnie mężczyzną.

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Śledziłeś mnie?

- Nie. Wpadłem na ciebie przypadkowo. Pomyślałem, że sprawdzę, jak sprawy stoją.

- Jestem pewna, że Ken jest zdolny kierować wszystkim w czasie choroby taty.

Ken nie potrafi znaleźć własnego tyłka obiema rękami.

- Panie Boudreaux ...

- On zamknął przedsiębiorstwo.

Słowa protestu zamarły jej na wargach.

- Co? Co masz na myśli, mówiąc, że zamknął „Crandall Logging”? - wykrztusiła.

- Mam na myśli to, że powiedział wszystkim pracownikom, iż są zwolnieni do odwołania.

Niezależnym kazał znaleźć inne miejsce zbytu na ich drzewo. Powiedział, że „Crandall Logging” czasowo wstrzymało działalność. Następnie zamknął drzwi na klucz i poszedł sobie. Nie sądzisz, że to równoznaczne z zamknięciem firmy?

Schyler cofnęła się o krok. Z konsternacją spojrzała na biurko, rozumiejąc już, dlaczego wyglądało tak smutno.

- Z jakiego powodu Ken to zrobił?

- Właśnie powiedziałem ci, dlaczego.

- Pytam poważnie.

- A ja odpowiedziałem poważnie. - Ciśnięty niedopałek zatoczył łuk i opadł w kurz opuszczonego placu. - Dzień po zabranii Cottona do szpitala twój szwagier splawił wszystkich.

- Czy Cotton o tym wie?

- Wątpię.

- Ja też. - Zagryzła dolną wargę, próbując wyobrazić sobie motywacje Kena. Przedsiębiorstwo musiało mieć wcześniej problemy finansowe, ale Cotton nigdy nie zwolniłby pracowników, nie chcąc powiększać liczby bezrobotnych.

Przezesłała palcami włosy.

- Jestem pewna, że Ken miał swoje powody. Może po prostu na pierwszy rzut oka nie są one oczywiste.

Sama nie bardzo w to wierzyła.

- Pozwól więc, że powiem, co jest oczywiste. - Oderwał się od drzwi i wszedł do pokoju.

- Prawie połowa rodzin w okolicy wydaje teraz swoje oszczędności. W niedługim czasie zupełnie skończą im się pieniądze. Podczas gdy twój szwagier marnuje czas w klubie z pływalnią, siorbiąc kosztowne drinki, dzieci chodzą bez śniadania, obiadu i kolacji.

Ken opuszczał dom każdego ranka i wracał po południu.

Schyler przypuszczała, że pracował w tym czasie. Z goryczą myślała o tym, jak niszczyje majątek, któremu Cotton poświęcił całe życie. Lecz może zbyt szybko wyciągała wnioski?

Ken zaczął pracować dla „Crandall Logging” po ślubie z Tricią. Gdy zginęli jego rodzice, sprzedał wszystko w Nowym Orleanie, zerwał wszystkie kontakty i przeniósł się do Heaven. Zainwestował w ten interes kilka lat życia. Musi istnieć logiczne wyjaśnienie jego czynu.

- Wymyśliłaś już jakąś dobrą wymówkę?

- Nie będzie pan uwłaczał mojemu szwagrowi, panie Boudreaux - smagnęła jak biczem.

Gwizdnął cicho.

- Słuchajcie, jak go broni. To się nazywa prawdziwa lojalność w rodzinie.

Pohamowała złość.

- Zapewniam cię, że niezwłocznie sprawdzę wszystko. Wiem, że Cotton nie pochwaliby tego, by zatrudnieni przez niego ludzie głodowali.

- Też to wiem.

- Bądź pewien, że zajmę się tą sprawą.

- Dobrze.

Spojrzała na niego uważnie. Potrafił doprowadzić ją do wściekłości. Nie zauważyła, by miał jakieś skrupuły. Potrzebowała właśnie takiego człowieka.

- Sądzę, że nie jesteś na liście płac.

- Twój szwagier mnie chyba nie lubi. Otrzymałem wypowiedzenie pierwszy.

- Czyli twoje finanse także znajdują się w opłakanym stanie?

Wzruszył ramionami. Zbliżyła się.

- Mam zajęcie dla ciebie.

- Ty?

- Tak, ja. Zapłacę ci dobrze.

- Jak dobrze?

- Ty mi powiedz!

- Świetnie. Teraz wszystko zależy od tego, na czym ta praca będzie polegała. - W jego głosie zabrzmiała lubieżna sugestia. - Co mam dla ciebie robić?

- Chcę, byś zabił psa, który napadł na mnie w nocy. Zamilkł. Jego oczy - zauważyła - miały odcień laskowych orzechów, ale więcej w nich było żółci i szarości niż zieleni. Były drapieżne jak oczy kota.

- Zabić go?

- Mówię chyba wyraźnie.

- Chcesz, żebyśmy zabił pitbulla Jiggera Flynna?

Uniosła brodę i odpowiedziała zdecydowanie:

- Tak.

Wsadził oba kciuki za skórzany pasek i pochylił się, aż ich twarze znalazły się na jednakowym poziomie.

- Straciłaś chyba rozum?

- Nie.

- W takim razie musisz uważać, że ja straciłem swój.

- Chcę, aby to zwierzę zostało zabite, zanim samo kogoś zabije.

- Wczorajszej nocy zdarzył się niezwykle wypadek. Jigger nie pozwala swoim psom biegać wolno.

- Ken też tak mówił, ale ...

- Ach! - przerwał jej. Przymrużył oczy. - Najpierw podrzuciłaś ten pomysł szwagrowi?
- Niezupełnie.
- Prosiłaś, by to zrobił, a kiedy na samą myśl o tym sfajdał się w gacie, przyszyłaś do mnie.

Zgadza się?

- Nie. - Odetchnęła głęboko z irytacją. - Powiedziałam Tricii i Kenowi, że napadł mnie pies. Zauważyli bandaże.

- Powiedziałaś, kto ci je nałożył?

- Nie.

- Tak myślałem - wycodził przez zęby.

Ignorując go, szybko mówiła dalej:

- Domagałam się, by coś zrobiono z tymi psami. Ken kazał mi zapomnieć o całej sprawie.

- Ten jeden raz zgadzam się z tym sukinsynem. Rzuć to.

- Nie mogę.

- Nie zbliżaj się do Flynnna. Jest gorszy od diabła.

- Ty też!

Zaległa głucha cisza. Z wilżyła wargi i zmusiła się do mówienia.

- Miałam na myśli to, że masz reputację... ostrego faceta. Na wojnie zostałeś dłużej, niż musiałeś. Z pewnością dobrze radzisz sobie z bronią.

- Cholernie dobrze - wyszeptał.

- Nie znam nikogo więcej, kto ... kto ... zabijał.

- Poza mną nie znasz nikogo wystarczająco podłego, by wykonał twoją brudną robotę?

- Nie powiedziałam tego.

- Ale tak myślałaś.

- Panie Boudreaux, poświęcił pan sporą część swojego życia, by zdobyć taką opinię. Wszyscy uważają cię za bardziej jadowitego od kobry. Nie wiń mnie, że przyciągnęła mnie twoja reputacja. Na pewno łamałeś już prawo.

- Zbyt wiele razy, by policzyć.

- Więc dlaczego masz wyrzuty sumienia, gdy chodzi o usunięcie publicznego zagrożenia, jakim jest pies zabójca?

- T o nie sumienie, lecz zdrowy rozsądek. Mam dość rozumu, by nie wywoływać gniewu Jiggera Flynnna.

- Ponieważ się go boisz! - krzyknęła.
- Ponieważ to nie moja sprawa - odpalił.

Schyler zrozumiała, że kłótnia zaprowadzi ją w ślepią uliczkę, przyjęła więc inną taktykę.

Wszak chciwość jest też nie złym bodźcem.

- Zapłacę ci sto dolarów. - Jego twarz pozostała nieruchoma. - Dwieście.
- Wypchaj się swoją forszą, panno Schyler. Nie chcę twoich cholernych pieniędzy.
- A czego chcesz?

Jego rozpustny uśmiech mówił wszystko. Honorarium nie miało być wypłacone w dolarach ani w żadnej innej walucie.

- Przeczytaj w moich myślach.

Schyler, wściekła, przecisnęła się obok niego w drodze na dziedziniec.

- Powinam była to przewidzieć, zanim cię poprosiłam.

Zacisnął palce wokół jej ramienia i zatrzymał ją przy stole.

- Ależ jesteś w gorącej wodzie kąpana, prawda? - Jego oczy zachłannie badały twarz dziewczyny. - Czy równie chętnie się kochasz, jak wywołujesz wojny?

Nigdy się nie dowiesz.

- Nigdy nie mów: nigdy.
- Puść mnie.
- Chodź ze mną•
- Mam iść z tobą? Dokąd?
- Pokażę ci, dlaczego żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zabije psa Jiggera.
- Nigdzie z tobą nie pójde.
- Dlaczego? Czego się obawiasz?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dokąd jedziemy?

Cash siedział za kierownicą podniszczonego pikapa. Schyler ciągle zastanawiała się, co skłoniło ją do przyjęcia zaproszenia. Może to, że miało formę wyzwania. Nie przemyślawszy ewentualnych konsekwencji, zamknęła biuro, zostawiła swój samochód na placu i wsiadła do kabiny rozpadającej się półciężarówki Casha.

Zamiast odpowiedzieć na jej pytanie zerknął na zegarek.

- Jeszcze wcześniej. Jesteś głodna?

- Myślałam, że nasz wyjazd ma związek z Jiggerem Flynnem.

- Bo ma. Bądź cierpliwa. To wasza wspólna cecha, wy zawsze się spieszycie.

- Wy?

- Bogaci obywatele, panno Schyler.

Nie zamierzała rozwijać tego tematu. Poruszyła natomiast inną kwestię.

- Dlaczego nie dasz sobie spokoju z tą „panną” i nie zaczniesz mnie nazywać po imieniu?

Niedbale wziął ostry zakręt, po czym zwrócił ku niej twarz, na której widniał szelmowski uśmiešek.

- Ponieważ to cię wkurza.

- A to twój główny cel w życiu? Wkurzanie ludzi?

- Jak to się stało, że nie pisze się go zgodnie z brzmieniem? - zapytał, ignorując jej pytanie. - Dlaczego nie Skyler?

- Nie miałam wyboru. Matka i ojciec w ten sposób wpisali moje imię do świadectwa chrztu.

- Kiedy cię adoptowali?

Nie była zaskoczona, że wiedział. Wszyscy w okolicy wiedzieli. Jednak nie nastroiło jej to przyjaźnie.

- Żyłam zaledwie od trzech dni.

- T o wciąż jednak nie to samo, prawda?

- Nie to samo?

- Co bycie ich rodzoną córką.

Rozmyślnie czy nie, Cash posypał solą stare rany.

- Dla mnie znaczy to samo.

Potrząsnął głową.

- To nie jest to samo.

Nim zdążyła odpowiedzieć, z piskiem opon zjechał z drogi i gwałtownie zahamował.

- Jesteśmy na miejscu.

Nie miała pojęcia, dokąd się wybierali, i wstrzymała oddech, poznając zrujnowany dom. Zbudowano go z drzewa cyprysowego, które teraz, poszarzałe ze starości, nadawało tej okropnej budowli jeszcze bardziej ponury wygląd.

Przez powybijane okna wystawały strzępy targanych wiatrem koronkowych firanek.

Na wbitych w ścianę gwoździach spoczywała kolekcja niegdyś lśniących, teraz zardzewiałych piast. Na podwórku leżały w kurzu zaniedbane narzędzia. W wypatroszonym samochodzie urządziło sobie grzędę kilka wychudłych kur. Stara lodówka, stojąca na ganku, podparła walczącą o życie winorośl. Za domem znajdowała się psiarnia otoczona zardzewiałym ogrodzeniem. Teraz nie było w niej psów. Całe miejsce wydawało się opuszczone.

- Wybraliśmy dobry czas na wizytę. Jiggera nie ma w domu.

Schyler poruszyła ramionami, jakby poczuła zimno.

- Zawsze bałam się nawet przejeżdżać obok tego miejsca.

- Nie winię cię za to. Jigger czasami traktuje mijających dom kierowców jak tarcze strzeleckie.

- Dlaczego on wciąż przebywa na wolności, robiąc takie rzeczy?! - zawołała ze złością Schyler. - Nie wiedziałam, iż sentencja: „Sprawiedliwość jest ślepa” znaczy, że nie dostrzega ona gwałtu. Dlaczego nigdy o nic go nie oskarżono?

- To proste. Ludzie się go boją.

- Ja nie.

- A powinnaś. - Cash włączył pierwszy bieg i ruszył wyboistą zwirową drogą w kierunku miasta.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy jesteś głodna?

Schyler z ulgą zostawiła dom Flynnna za plecami. Nawet w czasie nieobecności właściciela przerażał ją.

- Nie pomyślałam o tym. Chyba tak.

- Zapraszam cię na kolację do miejsca, w którym nigdy wcześniej nie byłaś.

- Och?!

- Do Reda Broussarda.

- Czy podłoga wciąż jest zasypana łupinami orzeszków ziemnych? - zapytała z figlarnym uśmiechem.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie mów mi, że odwiedzałaś to miejsce?

- Tata często mnie tam zabierał.

Uśmiech Casha stopniowo zniknął.

- Zapomniałem. Cotton lubi kuchnię Cajunów, prawda?

- Tak. Ja również.

- Nigdy cię nie widziałem u Broussarda.

- Zazwyczaj przychodziliśmy przed zachodem słońca.

- Do diabła, to miejsce jest prawie martwe przed zachodem.

Roześmiała się.

- Właśnie dlatego zawsze zabierał mnie wcześniej.

Głośne dźwięki akordeonu odbijały się od ścian restauracji, wycofywały się i atakowały ponownie jak wilk w bajce o trzech świnkach. Cash, nucąc francuską melodię, otworzył przed Schyler drzwi.

- Sobotnia noc. Stroją instrumenty przed [ais doda. Picie, tańce, zabawa - dodał drogą wyjaśnienia.

Obraziła się.

- Wiem, co to znaczy.

- Znasz zwyczaje Cajunów?

- Belle Terre, jak wiesz, nie jest wieżą z kości słoniowej.

- Nie, nie wiem. - Objął ją w talii i popchnął lekko w kierunku wejścia.

- Mam nadzieję, że jestem odpowiednio ubrana. Zrobiło jej się nieswojo.

- Niezupełnie. - Kiedy rzuciła mu szybkie przestraszone spojrzenie, dodał: - Mogę cię prosić, byś zdjęła buty?

Czworoboczny budynek stał na palach. Kroki tańczących bębniły w podłogę i odbijały się echem. Red Broussard, gruby, brodaty mężczyzna z obliczem świętego Mikołaja i oddechem o zapachu czosnku, powitał ich osobiście, wydając przy tym ochryply okrzyk radości i zgniatając w

niedźwiedzim uścisku zebra. Weisnął im w ręce lodowate butelki piwa i doprowadził do stolika w rogu sali, spychając na bok blokujących drogę tancerzy.

Schyler speszona przebiegała się przez ścisk, ale wydawało się, że nikt nie zauważył osobliwej towarzyszki Casha Boudreaux. To był jednak jego tłum, nie jej.

Gdyby zabrała go wieczorem do Country Clubu, z pewnością wywołałaby ogromne poruszenie. W tak zwanym towarzystwie o wiele łatwiej było spaść o jedną pozycję niż wskoczyć oczko wyżej.

Dotarli do stolika i Red podsunął jej krzesło.

- Kielbaski Boudin, mon cher? - zapytał Red z uśmiechem, który rozciął jego czerwoną twarz i odsłaniał zabarwione nikotyną zęby.

Schyler uśmiechnęła się do niego.

- Nie, dziękuję.

Kiedyś wyglądający na Cajuna kierowca przehandlował jej ojcu ładunek drzewa za wieprza i uparł się, by Cotton osobiście nadzorował ubój. Schyler błagała, by ją ze sobą zabrał. Mimo silnego protestu Macy zgodził się. Zawsze później żałowała tego. Nie mogła przełknąć wieprzowiny. - Poproszę o raki.

Red odrzucił do tyłu rudą głowę i ryknął śmiechem.

Wytknął w jej kierunku mięsisty palec.

- Pamiętam dzień, kiedy uczyłaś się, jak dobrać się do ich mięsa. Robiłaś to lepiej niż twój papa, Dui.

- Przynieś nam tacę, Red.

Gospodarz czule obdarzył Casha potężnym klepinięciem w ramię i ociężale oddalił się w stronę kipiących kadzi. Przekrzykując muzykę poprosił gości, by jedli i pili trochę więcej.

Cash sięgnął do leżącej na środku stołu miseczki z orzeszkami, skruszył między palcami łupinę i wytrząsnął orzeszki ze strączka. Wrzucił do ust i popił piwem, by splukać je do żołądka. Jego oczy prowokowały Schyler, by zrobiła to samo.

Zaakceptowała cichą zachętę i rzuciła łupiny na podłogę, tak jak robili to wszyscy inni goście. Nie poprosiła o szklanekę do piwa, lecz piła prosto z butelki.

- Myślałem, że myśl o przyjściu tutaj przerazi cię.

- Ponieważ mój arystokratyczny nos nie ścierpiałby tutejszych zapachów?

- Coś w tym stylu. - Łyknął piwa, patrząc na nią.

- Czyli zgodziłaś się tylko dlatego, by udowodnić mi, że się mylę?

- Nie. Byłam głodna.

Tylko tyle zdążyli sobie powiedzieć, zanim podeszła przysłana przez Reda kelnerka. Odsunęła świecę i miseczkę z orzeszkami i postawiła między nimi tacę z rakami. Zanim odeszła, rzuciła Cashowi uwodzicielskie spojrzenie. Schyler obserwowała ją, a gdy ta odeszła, zapytała:

- Czy ona jest jedną z twoich kobiet?

Wybrała raka i z wielką wprawą przystąpiła do jedzenia.

- Mogłaby nią zostać, gdybym zechciał. - Rzucił resztki skorupiaka na tacę i wziął kolejnego.

Schyler wytarła usta papierową serwetką.

- Takie to łatwe dla ciebie? Wystarczy sięgnąć ręką i każda kobieta, której pragniesz, jest twoja?

- Jesteś tym zainteresowana?

- Ciekawa.

- Tego, co je przyciąga?

- Nie, ciekawa tego, co pociąga ciebie.

- Ciekawość.

Spokojnie zjadła następnego raka, popiła piwem i ponownie wytarła usta, zanim spojrzała na niego.

Pociągnął ze swojej butelki i odstawiając ją na stół, odpowiedział na spojrzenie Schyler. Jego oczy wyraźnie dawały do zrozumienia: „zróbmy to, do cholery”.

Schyler poczuła wspinające się po jej ciele niepokojące dreszcze. Cash Boudreaux był niebezpiecznym mężczyzną, szalenie atrakcyjnym ulicznym spryciarzem i mistrzem w sztuce opowiadania bzdur, ale w poważnej rozmowie również był dobry. Zwłaszcza w słownych utarczkach.

- Nie lubisz mnie, prawda?

Odpowiedział uczciwie:

- Nie, sądzę, że nie.

- Postaram się o tym pamiętać - powiedziała oschle.

- Dlaczego mnie nie lubisz?

- Nie tyle o ciebie mi chodzi, ile o klasę, którą reprezentujesz.

- T o nie powinno być ważne.

- Dla kogoś spoza niej - jest ważne.

Jego uprzedzenie odczuła jako krzywdzące i niesprawiedliwe.

- Nigdy nie traktowałam cię jak gorszego.

- Naprawdę?

- Tak. Nawet cię nie znałam.

Jego oczy zwęziły się oskarżycielsko.

- Nie zrobiłaś także nic, by mnie poznać~

- T o nie moja wina. Nigdy nie byłeś zbyt przyjacielski.

Wydawało się, że jej złość go bawi.

- Masz rację, piehouette. Sądzę, że nie byłem.

- Użyłaś tego słowa już wcześniej. Co ono oznacza?

- Piehouette? - Zawahał się. - Oznacza ono małą dziewczynkę.

- Trudno mnie za taką uznać.

Patrząc na nią, zamknął kapslem butelkę.

- Pamiętam cię jako małą dziewczynkę. Miałaś długie jasne włosy i długie chude nogi.

Uśmiechnęła się.

- Skąd wiesz?

- Często obserwowałem cię, gdy bawiłaś się na trawniku w Belle Terre.

Nie musiała pytać, dlaczego nie przyłączał się do zabawy.

Jej rodzice kazaliby mu się wynosić, gdyby sam ze strachu nie uciekł. Ani Cotton, ani Macy, ani Veda nie pozwoliliby jej bawić się z chłopcem Monique Boudreaux. Był nieodpowiednim kompanem dla młodej panienki z dobrego domu.

- Pamiętam twoje urodziny - powiedział Cash. - Myślę, że był to dzień, w którym skończyłaś cztery lata. Na przyjęcie przyszło chyba z pięćdziesiąt dzieciaków. Cotton pozwolił im jeździć na kucyku, a kłown pokazywał magiczne sztuczki. Zapamiętałem, ponieważ nie zostałem zaproszony. Ale byłem tam. Oglądałem wszystko z lasu. Cholernie chciałem zobaczyć te czarodziejskie sztuczki z bliska.

Jego niechęć była zrozumiała. Potraktowano go niesprawiedliwie. Nie czuła się za to odpowiedzialna, ale z jakiegoś powodu było jej przykro.

- Nie zabijesz dla mnie psów Jiggera Flyna, prawda?

- Nie.

Zwinęła wilgotną serwetkę.

- Skrzywdziłam cię, prosząc o to.

- Też tak sędzę.

- Nie zamierzałam cię obrazić.

Wzruszył jedynie ramionami i wskazał tacę.

- Jedz jeszcze.

- Skończyłam już, dziękuję•

Red głośno wyraził niezadowolenie, że zostawiają jedzenie, i poprosił, by wkrótce znowu go odwiedzili. Kiedy schodzili po rozchwianych schodach, Schyler podziękowała Cashowi za to, że ją tutaj zabrał.

- Nie jadłam równie smacznego posiłku, odkąd tu jestem. Nowa gospodyni zatrudniona przez moją siostrę jest okropna. Nie znoszę ani jej, ani jedzenia, które podaje.

- Masz słaby żołądek?

Pytanie zostało zadane nieoczekiwanie poważnym tonem.

Uniosła głowę.

- Dlaczego pytasz?

- Bo niedługo zostanie wystawiony na próbę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Myślałam, że znam każdą drogę w okolicy, ale tędy nigdy nie jechałam. - Zerknęła na prędkościomierz, podczas gdy pikap podskakiwał na wybojach. - Dokąd mnie wiesz? - Do miejsca, w którym nigdy nie byłaś. - Spojrzał na nią spod oka. - Tym razem jestem tego pewny.

Była gorąca, cicha noc. Pozostawili za sobą miejskie światła. Towarzyszyły im tylko gwiazdy. Mieszkając w mieście przez ostatnich sześć lat, Schyl er zapomniała zupełnie, jak ciemny może być świat po zachodzie słońca. Atramentową czerń nocy rozcinały jedynie reflektory ciężarówki.

Nagle pikap wjechał na szczyt wzniesienia i zauważyła budynek. Cash nic nie mówił. Gdy wjechał na drewniany most, zaczęła się modlić, by ten wytrzymał do czasu, aż bezpiecznie znajdą się po drugiej stronie.

Błaszany hangar, pomimo tak trudnego dojazdu, był popularnym miejscem. Wyglądał jak stodoła. Wokół parkowały tuziny samochodów.

Cash zatrzymał samochód obok lśniącego mercedesa, który zupełnie nie pasował do tego odludnego miejsca.

Pomógł jej wysiąść i ruszyli w stronę wejścia, nad którym dyndała smętnie naga żarówka. Nie zauważyła żadnych wywieszek, afiszy, które mogłyby powiedzieć, co działo się wewnątrz budynku.

Chciała zawrócić, lecz Cash miałby satysfakcję, widząc jej strach, dlatego też pewnie przekroczyła próg, dziękując mu za przytrzymanie drzwi.

Wilgoć i zaduch, jakie panowały w środku, przypominały saunę. Było tak ciemno, że Schyler prawie wpadła na ustawiony kilka kroków za drzwiami stół. Zderzyłaby się z nim z pewnością, gdyby nie zatrzymał jej Cash.

- Cześć, Cash.

Siedząca na składanym krześle nędzna kreatura przyglądała się jej z tak obleśnym uśmiechem, że dziewczynie cierpła skóra.

- Kim jest ta nowa?

- Daj dwa.

Dziesięciodolarowy banknot powędrował do zapchanej pieniędzmi metalowej kasetki.

- Kto jak kto, ale ty zawsze znajdziesz świeże mięso.

- Chciałbyś jeść swoje jaja na śniadanie jutro rano?

Spokojny głos Boudreaux stał uśmiezek z twarzy biletera.

- To był tylko żart, Cash.

- Lepiej ze mną nie żartuj.

- Wszystko w porządku, no nie, Cash? Tu są twoje bilety. - Mężczyzna ostrożnie wyciągnął rękę, by wręczyć mu zerwane z rolki dwa świstki papieru.

Zza ściany za stołem dobiegł ich potężny ryk. Schyler zachwiała się. Cash objął ją ramieniem.

- Akurat zdążyliście na początek walki - powiedział bileter. - Jeśli się pospieszycie, pani będzie mogła postawić zakład. Dzięki temu będzie lepsza zabawa, no nie?

- Dzięki. Pomyślimy o tym. - Cash popchnął Schyler w stronę przepierzenia. Trochę się opierała, więc pchnął ją jeszcze raz, trochę silniej.

Przybrała gniewny wyraz twarzy.

- Co to jest? - zasyczała.

W Londynie widziała w Soho pornograficzne popisy na scenie. To nie był jej pomysł, wybrała się tam razem z kilkorgiem przyjaciół. Płacąc za wstęp, wiedziała, za co płaci.

Teraz sytuacja była odmienna. Prawie całe życie spędziła w południowo - zachodniej Luizjanie, ale nigdy nie słyszała o podobnym miejscu. Bała się tego, co znajdowało się za cienką ścianką, i człowieka, który przyprowadził ją tutaj.

- To walka psów.

Doznała wstrząsu.

- Pitbuli?

- Qui.

- Dlaczego przyprowadziłeś mnie tutaj?

- By pokazać ci, na co się porywasz, jeśli wciąż masz ten głupi zamiar zrobić kawał Jiggerowi Flynnowi.

- Mówiłam już, że nie boję się tego łobuza. - Odwróciwszy się do niego plecami, pierwsza minęła drzwi.

Zdumiał ją ogrom przestrzeni. Miejsce, w którym miały walczyć zwierzęta, otaczało kilkanaście rzędów krzeseł. Obszerny prostokątny dół w centrum pomieszczenia ogrodzony był zakrwawionymi deskami i oświetlony mocnymi reflektorami.

Po przeciwnych stronach areny właściciele i trenerzy przygotowywali swoje psy do walki. Pomimo upływu lat w jednym z trenerów rozpoznała Flynna.

Cash przysunął się do niej.

- Chcesz postawić na swojego faworyta?

- Idź do diabła.

Roześmiał się.

Znaleźli wolne miejsce na końcu czwartego rzędu. Kiedy wspinała się na trybunę, oszołomieni mężczyźni odrywali wzrok od tego, co działo się na dole. Zdając sobie sprawę, że była osobą szczególną w tym pomieszczeniu, przybrała wyniosłą pozę, z której Macy byłaby dumna, i obciągnęła spódnicę.

- T o nic nie pomoże - powiedział jej Cash do ucha. - Jeśli zakryjesz kolana, będą się gapić na twoje piersi.

Jej włosy smagnęły jego policzek, gdy się odwróciła.

- Zamknij się - warknęła.

Oczy Casha żarzyły się groźnie w ciemności.

- Uważaj, jak do mnie mówisz, mon cher - odrzekł jedwabistym głosem. - Kiedy wszyscy dostaną szału - skinał w stronę tłumu - mogę być jedynym, który odgrodzi cię od bandy gwałcicieli.

Ogromnym wysiłkiem woli zapanowała nad sobą, nie chcąc, by dostrzegł jej niepokój. Skierowała wzrok na arenę. Przebiegł ją dreszcz, gdy rozpoznała jednego z warczących na brudnym klepisku psów.

Groźniejszy i nikczemniejszy od obydwu psów wydał jej się jednak Jigger Flynn. Spoglądała z pełną obawy fascynacją, jak objął dłońmi pysk pitbulla i stojąc nad zwierzęciem okraciem, uniósł je tak, że tylko tylnymi łapami dotykało ziemi ..

Rzadkie szare włosy Flynn miał zaczesane gładko do tyłu. Brylantyna sprawiła, że jego głowa błyszcząca w świetle reflektorów. Małe, ciemne, głęboko osadzone oczy ginęły w zwałach tłuszczu. Wyglądały jak rodzynki wciśnięte w ciasto.

Miał mięsisty nos i cienkie wargi. Schyler wątpiła, by wiedziały, co to uśmiech. Nie był wysoki. Nadużywanie piwa sprawiło, że brzuch przelewał mu się przez pasek. Jego spodnie wyraźnie przegrywały bitwę o utrzymanie się na biodrach. Miał krzywe nogi i komicznie małe stopy.

Nikt nie znał wielkości jego majątku, ale uważany był za jednego z najbogatszych ludzi w okolicy. Wszystkie jego pieniądze pochodziły z nielegalnych przedsięwzięć. Nie wystawiał oczywiście, swego majątku na pokaz. Stare i poplamione ubranie wyglądało tak, jakby otrzymał je w darze z opieki społecznej. Niemalże cuchnął.

- Co on robi z tym psem?

Cash, który uważnie studiował reakcje Schyler, spojrzął na arenę. Jigger trzymał swego psa naprzeciw jego przeciwnika. Potrząsał zwierzęciem lekko, cały czas ściskając mu pysk. Drugi trener czynił to samo. Tylne łapy psów były o ziemię, wzbijając tumany kurzu.

- W ten sposób trenerzy pobudzają pitbulle do walki. Robią to tak, aby psy za swoje udrczenie obwinały siebie nawzajem. Walka jest skończona, kiedy jeden pies zabije drugiego. Także jeśli jeden z psów nie reaguje na prowokację, zwycięzcą zostaje jego przeciwnik.

- Masz na myśli ...

- One próbują przegryźć sobie nawzajem gardła.

Jedynie obawa, by nie wydać się Cashowi śmieszna, powstrzymywała Schyler przed ucieczką.

Wystąpił sędzia, który nakazawszy ciszę, wyliczył reguły obowiązujące w czasie walki. Oczywiście, była to rutynowa czynność i nie interesowała ona nikogo poza Schyler.

Podskoczyła, kiedy zwierzęta zostały puszczone i rzuciły się na siebie. Spodziewała się przemocy i gwałtowności, ale nie dzikiego okrucieństwa, z jakim się zaatakowały. Były niesłychanie silne i nieustępliwe. Raz za razem nacierały na siebie, a ich wigor zdawał się nie słabnąć. Kiedy pojawiła się pierwsza krew, Schyler odwróciła głowę i wtuliła twarz w ramię Casha. Czowała odrazę i przerażenie, zdając sobie sprawę, jakie miała szczęście, wychodząc ze starcia z psem jedynie z powierzchownymi obrażeniami.

Uniosła głowę i patrzyła, jak pies Jiggera zacisnął w imadle szczęk bark przeciwnika, podczas gdy ten wgryzł się w jego grzbiet.

- W ten sposób odpoczywają - poinformował ją Cash.

- Dadzą im minutę, nie więcej. Widzisz?

Obaj trenerzy weszli do dołu z ośmiocalowymi pałkami, które włożyli następnie do pysków swych zwierząt i podważyli nimi ich szczęki.

- Czas na odpoczynek się skończył.

Psy zostały rozdzielone i podjudzanie poprzedzające walkę powtórzono.

- Czy psy atakują czasem swoich trenerów? - zapytała. Była zahipnotyzowana błyskiem w oku Flynnna, z premedytacją rozdrażniającego psa.

- Słyszałem kiedyś o tym.

Cash kontynuował obserwację jej twarzy, gdy walka znów się rozpoczęła. Hałas na widowni wzrastał wraz z gwałtownością psów na ringu. Jak zwykle w sobotnią noc pomieszczenie pękało w szwach. Wszyscy pocili się obficie. Psy czekające na swoją walkę instynktownie wyczuwały napięcie. Czują krew i także pragnęły jej zasmakować. Ujadały wściekle w drucianych klatkach.

Nagle westchnienie tłumu przyciągnęło uwagę Casha. Pies Jiggera rozszarpał przeciwnikowi kark. Widownia szalała. Psy Flynnna były na ogół faworytami. Wielu graczy, którzy zainwestowali w tę walkę, ścisnęło teraz w dłoniach kwity z poświadczeniem zakładu i czuło zbliżające się zwycięstwo.

Czuł je też pies Jiggera. Ruszył na wroga ze zdwojonym impetem, wbił zęby w jego szyję i rozdarł ją. Trysnęła krew, obficie zraszając ogrodzenie.

Schyler zakryła usta i ponownie odwróciła głowę. Cash odruchowo objął ją. Ukryła twarz na jego piersi. Przyciągnął dziewczynę bliżej. Zerknął przez ramię i zaklął, widząc, że od momentu ich przybycia liczba widzów podwoiła się. Od wyjścia oddzielało ich wyjące morze mężczyzn wyciągających szyje, by zobaczyć koniec walki.

Schyler nie mogła oddychać. Miała wrażenie, że ściany napierają na nią. Otoczona była mgłą dymu unoszącego się z setek cuchnących cygar. Każdy haust powietrza przesycony był zapachem potu, psów, dymu i krwi.

Zacisnęła palce na koszuli Casha.

- Proszę•

Chrapliwie wypowiedziane błaganie przebiło się do miejsca, o którym sądził, że obumarło na zawsze w Wietnamie.

- Trzymaj się. Zabiorę cię stąd.

Niewiele już dbając o dumę, Schyler przylgnęła do niego kurczowo, słysząc bicie jego serca. Miała nadzieję, że wyciągnie ją z tego ryczącego tłumu spragnionych krwi maniaków.

Kiedy śmiertelnie ranny pies padł, wrzawa osiągnęła szczyty.

- To już koniec, ale przyjrzyj się dokładnie, przeciwko czemu chcesz wystąpić. - Na siłę uniósł kciukiem jej podbródek.

W dole Jigger wśród owacji oprowadzał na smyczy swego zwycięzcę wokół areny. Sierść psa pokryta była pianą i krwią. Mroczny uśmiech jego właściciela przyprawiał Schyl er o mdłości bardziej niż rozlana posoka.

- To zwierzę nie jest maskotką - usłyszała. - Jest maszyną szkoloną po to, by zabijała i zarabiała ciężką forszę. Jeśli zabijesz Jiggerowi psa, Jigger zabije ciebie.

Odczekał chwilę, by zyskać pewność, że zrozumiała, następnie przeskoczył przez barierkę i wyciągnął ku niej ramiona. Oparła dłonie na jego barkach i pozwoliła opuścić się na ziemię. Osłaniając ją własnym ciałem, zaczął przepychać się w kierunku wyjścia, które tarasowały tłumy wchodzących i wychodzących mężczyzn, liczących wygrane i przeklinających los za porażkę, gratulujących lub współczujących sobie nawzajem.

Nagle z tego rozwrzeszczanego tłumu dobiegł ją głos:

- Schyler, do jasnej cholery, co ty tutaj robisz?!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zatrzymała się i obróciła w kierunku, z którego usłyszała wołanie. Jej szwagier gapił się na nich czerwonymi, szklistymi od alkoholu oczyma.

- Odpowiedz mi! Co, do diabła, tutaj robisz?!

- Mogłabym ci zadać to sarno pytanie - zareplikowała. - Pomóż mi wydostać się stąd, Howell. Blokujemy ruch!

Ken rzucił Cashowi miażdżące spojrzenie, potem niezdarnie chwycił Schyler za rękę i zaczął spychać na bok ludzi, by przebić się do drzwi.

Na zewnątrz mężczyźni rozproszyli się wokół, pijąc, śmiejąc się, żartując i dyskutując o tym, czego właśnie byli świadkami.

Ken pchnął Schyler w stronę budynku i powtórzył po raz trzeci swoje pytanie.

- Co tutaj robisz? I na dodatek z nim? - Machnął pogardliwie ręką w kierunku Casha.

- Przestań na mnie wrzeszczeć! Nie jesteś moją niańką! Jestem dorosła i nie muszę tłumaczyć się ani tobie, ani nikomu innemu.

Nie zwracał uwagi na to, co do niego mówiła.

- Prosiłaś go, żeby cię tutaj przyprowadził?

Zawahała się.

- Tak. ... nie, niezupełnie, ale ...

- Trzymaj się od niej z daleka, słyszysz mnie, chłopcze?! - wydarł się na Casha. - Ty przekłety bękarcie, ja cię...

Nie udało mu się dokończyć zdania. Jednym płynnym ruchem Cash wy dobył ukryty nóż i jednocześnie pchnął Kena na ścianę z impetem, który pozbawił Howella oddechu. Ostrze zatrzymało się o włos od gardła zaatakowanego mężczyzny.

Schyler cofnęła się o krok, zdziwiona i przestraszona.

Nozdrza Casha drgały. Ken wybałuszzył przekrwione oczy. Pot ściekał po jego twarzy tak obficie jak łzy.

- Wynoś się stąd, zanim cię skaleczę, ty sukinsynu! Głos Boudreaux był jednocześnie groźny i ostry jak wyciągnięty przed chwilą nóż. Cash schował broń i cofnął się.

Ken chwycił się za szyję, jak gdyby pragnąc upewnić się, że nic mu się nie stało. Osunął się niezdarnie po blaszanej ścianie.

- Wynoś się - powtórzył Cash. Widok jego lodowatych oczu mroził Schyler krew. - I zabierz ją ze sobą.

Odwrócił się, lekceważąc możliwość ataku ze strony Kena. Schyler odprowadziła go wzrokiem, aż zniknął między zaparkowanymi samochodami.

- Gdzie jest twój samochód, Ken?

Uniósł się chwiejnie i wskazał ręką. Gdy dotarli wreszcie do jego sportowego wozu, zapytała o kluczyki.

- Ja poprowadzę - wymamrotał.

- Jesteś pijany. Ja prowadzę. - Jej cierpliwość była na wyczerpaniu. - Dawaj te cholerne kluczyki.

Wojowniczo rzucił je na jej wyciągniętą dłoń. Wsunęła się za kierownicę. Gdy zamknął drzwi ze swojej strony, ruszyła. Z rykiem silnika przeskoczyła most, który wcześniej budził w niej takie obawy.

Była zła na Kena, że zachował się głupio, zła na Casha Boudreaux, że naraził ją na to wszystko, zła na siebie, że pozwoliła, aby zaprowadził ją na tę masakrę.

- Co ty tu z nim robiłaś?

- Rany boskie, Ken, po prostu wyszliśmy razem z miejsca, gdzie jedno zwierzę w uroczy sposób wykończyło inne dla zabawy czarujących ludzi. Tam jest nielegalna jaskinia hazardu i Bóg jeden wie, co jeszcze, a ty pytasz o to, co ja robiłam z Boudreaux?!

Jej głos podwyższał się o ton z każdym słowem, aż zdała sobie sprawę, że zaczyna histerycznie krzyczeć. Odetchnęła głęboko, żeby się opanować.

- Próbowałam namówić go, by zabił psa, który mnie napadł. Postanowił pokazać mi, ile te zwierzęta znaczą dla Jiggera.

- Cholera - wyszeptał Ken, przeczesując palcami włosy. - Mówiłem ci, żebyś dała temu spokój. Zabić Flynnowi pitbulla? Równie dobrze mogłabyś wyzwąć go na pojedynek na głównej ulicy miasta.

- Nie bój się. Cash odrzucił moją ofertę.

- Zostaw to, Schyler.

Zmieniła temat.

- A co ty tutaj robiłeś, Ken?

Zwinał się na skórzanym fotelu swojego drogiego, eleganckiego auta.

- Jest sobotnia noc. Czy nie zasługuję na chwilę relaksu? Grałeś?

- Czy coś w tym złego?

- Nie, ale są zdrowsze zajęcia. Wyścigi w Lafayette, prywatna gra w pokera.

- Chociaż ty daj mi święty spokój. - Osunął się na siedzeniu niżej, wyglądając jak rozdrażnione dziecko. - Pokłóciłem się dzisiaj z Tricią, bo nie chciałem z nią iść do tego cholernego Country Clubu, więc daruj sobie wymówki.

Dała mu spokój. To nie była jej sprawa. Interesowało ją natomiast, dlaczego zawiesił działalność „Crandall Logging”, lecz nie był to odpowiedni czas ani miejsce, by poruszyć ten temat.

- Czy cię zranił? - spytała cicho.

- Do diabła, nie! Ale ty trzymaj się od niego z daleka. Widziałaś, co to za człowiek? Nie wolno mu wierzyć. Nie wiem, czego chce, dlaczego cię obwąchuje, lecz z pewnością ma swoje powody. Nie robi niczego, co nie przynosi mu korzyści. Mogę ci to zagwarantować.

- Sama będę decydować o tym, z kim chcę się widywać, Ken. Powiedziałam już, z jakiego powodu Cash wziął mnie na tę walkę.

- A czy powiedział ci, ile szmalu zgarnął dzisiaj?

Schyler ostro zahamowała na środku drogi i odwróciła się do szwagra.

- Co?!

Ken uśmiechnął się zadowolony.

- Rozumiem, że zaniedbał pochwalić się łatwym zarobkiem.

- Skąd wiesz?

- Boudreaux zawsze stawia na psy Jiggera, więc dziś wieczorem dużo wygrał. Nie wiem, co ci nagadał, ale on robi niezły interes na pitbullach.

- Nic dziwnego, że odrzucił moją propozycję - wymamrotała.

- Właśnie. Myślałaś, że zabije psa, który przynosi mu takie pieniądze? - Widząc jej rozczarowanie, dotknął w geście pocieszenia ramienia dziewczyny. - Słuchaj, Schyler. Boudreaux zawsze chroni najpierw własny tyłek. Ma taki sam instynkt przetrwania jak zwierzę w dżungli. Nie ufaj temu bękartowi.

Strząsnęła rękę Kena i uruchomiła silnik. Howell ponownie wyciągnął rękę, położył ją na jej udzie i ścisnął, niezupełnie po bratersku.

- Jesteś w domu bardzo krótko. - Poglaskał ją po udzie. - Po prostu pamiętaj, do jakiej

drużyny należysz, a nie spadniesz z huśtawki. Nie zadawaj się z białą nędzą. I nie prowokuj takich jak Jigger Flynn. To może przysporzyć ci kłopotów.

Jego protekcyjny ton doprowadzał ją do wściekłości.

Nie marnowała jednak energii.

Postanowiła sama zająć się sprawą, która tak bardzo ją teraz zaprzątała.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wiedziała, że od chwili, gdy psy zaczną szczekać, nie będzie miała dużo czasu. Zaniepokojony Flynn z pewnością wyjdzie, by sprawdzić, co spowodowało zamieszanie na podwórku.

Zadanie było trudne. Musiała dostać się wystarczająco blisko, by strzały z dubeltówki były skuteczne, jednocześnie zachować taką odległość, by psy jej nie zwietrzyły. Skoro postanowiła to zrobić, z radością przyzna się do wszystkiego.

Wyprawa w pojedynkę prawdopodobnie nie świadczyła o sprycie. Schyler zdawała sobie sprawę z ryzyka. Jednakże kiedy myślała o złu, jakie uosabiał Jigger Flynn, drżała na całym ciele.

Ostatniej nocy zabrała swój samochód z placu. Dziś wieczorem zaparkowała go przed frontem Belle Terre i poszła przez las do domu Flynnna. Ubrała się w stare dzinsy i ciemną koszulę. Myślała też o zakryciu swych jasnych włosów czapką, lecz pomysł ten wydał jej się odrobinę śmieszny.

Za dnia, gdy Ken z Tricią byli poza domem, a pani Graves zamykała werandę, Schyler udała się do schowka Cottona i wzięła ze stojaka dubeltówkę. Przeprowadziła pobieżne oględziny broni i uznała, że jest ona w doskonałym stanie.

Schyler nienawidziła broni, nienawidziła dotykać tej zimnej powierzchni. Odłożyła jednak teraz awersję na bok i skupiła się na czekającym ją zadaniu.

Zjadła z Howellami suty niedzielny obiad, tak że kolacja składała się tylko z zimnego kurczaka i sałatki owocowej. Tricia, wciąż skora do wybuchu gniewu z powodu poprzedniego wieczoru, dogadywała przez cały czas.

- Musiałam sama oglądać w telewizji film nocny skarżyła się - podczas gdy ty byłeś nie wiadomo gdzie.

Ken spojrzał nad stołem w oczy Schyler. Zawarli milczące porozumienie, by nie informować Tricii o jego eskapadzie.

- Mówiłem ci, że byłem z przyjaciółmi - powiedział Ken.

Wrócili do Belle Terre każde swoim samochodem. Tricia nie wiedziała, że jej siostra i Ken byli razem. Krępowano to Schyler, ale uznała, że utrzymanie Tricii z dala od wydarzeń ostatniej nocy jest najlepszym rozwiązaniem. To, czego jej siostra nie wiedziała, nie mogło jej

zranić.

Wspólna tajemnica nie zbliżała bynajmniej Schyler i Kena.

Przeciwnie. Howell był zręczliwy i niemyły przez cały dzień. Nie przeszkadzało to Schyler. Zdawała sobie sprawę z tego, że minione doświadczenia obciążają ich oboje.

Gdy tylko zjadła kolację, wróciła do swojego pokoju.

Tam zmieniła ubranie i tylnymi schodami opuściła dom, by uniknąć wyjaśnień, dokąd się wybiera ze strzelbą. Poza tym bała się, że stchórzy, jeśli będzie się dłużej zastanawiać.

Teraz stała ukryta za kępą jeżyn kilkaset jardów od domu Flynnna. Jej dłonie lepiły się od potu, a serce waliło jak oszalałe. Myśl o zabijaniu przyprawiała ją o wymioty.

Pomyślała o tym, jak ten dziki pies zaatakował ją, o tym, co stało się nieznanemu dziecku w wyniku podobnego ataku. Ostrożnie zaczęła przybliżać się do celu.

Cash miał rację: to nie były domowe psiaki. Jeżeli później Flynn zażąda rekompensaty, udzieli mu jej, ale żadnych przeprosin. Miała zamiar doprowadzić do zakazania walk pitbulli w okolicy, nawet gdyby oznaczało to konieczność zwrócenia się do przedstawiciela stanu w Kongresie.

Na podwórzu stała ciężarówka Flynnna. Światło padające z okien rzucało długie, niesamowite smugi. Gdy podkraśla się bliżej, usłyszała dźwięk telewizora lub radia grającego w domu.

Co jakiś czas w oknie migał cień czyjejś postaci. Przybite gwoździemi koronkowe firanki wznosiły się i opadały niechętnie pod wpływem podmuchów wiatru. Schyl er czuła zapach gotującego się mięsa. Liczyła, że dzięki temu psy nie odkryją jej obecności.

Stojąc po przeciwnej stronie drogi, zdecydowała zbliżyć się do domu od tyłu. Nieprzypadkowo wybrała dubeltówkę. Minęły lata, odkąd strzelała po raz ostatni. Strzelba o dwóch lufach .gwarantowała sukces. Jeśli nie zabije psów, spowoduje przynajmniej poważne zniszczenia.

Przykucnąwszy obserwowała dom przez jakieś pięć minut.

Psy w zagrodzie grasowały niespokojnie, ale nie czyniły hałasu. Odetchnęła głęboko i wyszła zza krzaków na zwirową drogę. Przebiegła odkrytą przestrzeń i ciężko dysząc, przylgnęła płasko do ściany zrujnowanej szopy.

Jeden z psów warknął. Ich ruchy wskazywały na rosnący na wybiegu niepokój. Usłyszała skowyt. Wydawało się, że zwierzęta wyczuwały zbliżające się niebezpieczeństwo.

Dwa naboje tkwiły w lufach. Dwa kolejne, zatknięte za pas, czekały na załadowanie. Wstrzymując oddech, odbezpieczyła broń. Cichy metaliczny trzask wywołał w zagrodzie następne warknięcie.

T o musiało zacząć się teraz.

Wystąpiła z ukrycia i wymierzyła dubeltówkę w ogrodzenie. Oceeniła odległość na ponad siedemdziesiąt stóp. Jej palec był tak mokry od potu, że ześliznął się ze spustu, gdy za pierwszym razem próbowała go nacisnąć.

Strzeliła.

Zapomniała, jak ogłuszający odgłos towarzyszy temu.

Kolba uderzyła ją boleśnie. Zignorowała szalone ujadanie dochodzące z psiarni i wściekle przekleństwa z wnętrza domu i skoncentrowała się na powtórным wycelowaniu.

Natychmiast po strzale zwolniła blokadę i lufy opadły.

Wyciągnęła łuski i zastąpiła je zapasowymi nabojami. Jej praktyka przydała się tej nocy. Przeładowanie broni zabrało mniej niż osiem sekund. Oddała trzeci strzał i właśnie miała odpalić ostatni ładunek, gdy Jigger Flynn wybiegł gwałtownie tylnymi drzwiami z domu.

Gdyby nie powaga sytuacji, roześmiałyby się na jego widok. Rzadkie włosy sterczały mu na szczycie czaszki, a podarty podkoszulek wystawał z opadających spodni. Tylko pistolet, którym wymachiwał, nie pobudzał do śmiechu.

Z jego ust płynęły potokiem plugawe groźby zmieszane ze śliną.

Schyler ogarnęło przerażenie. Nie pomyślała o tym, że Flynn może mieć broń. Oczekiwała, że będzie rozzłoszczony, a nawet wściekły, ale planowała porozmawiać z nim, gdy się uspokoi po szoku. Nie mogła jednak dyskutować z szaleńcem wymachującym bronią.

Nie zauważył jej dotąd. Na razie jego uwaga skierowana była na zagrodę dla psów. Ponieważ żaden nie wydostał się przez dziury w ogrodzeniu, Schyler przyjęła, że jej akcja zakończyła się sukcesem. Kilka zwierząt wciąż żyło. Słyszała ich żalosne skomlenie.

- Moje psy ... Ty sukinsynu ... zabiję cię! - Flynn odwrócił się i wystrzelił na oślep w ciemność, zdecydowany wykończyć winowajcę. - Zabiję cię, gnoju, będziesz żałował, że żyjesz, kiedy dobiore się do twojej nędznej skóry. Zabiję cię!

Schyler dostrzegła poruszenie za Flynnem.

- Co się stało? - zapytała kobieta, wychylając się z okna.

Schyler westchnęła, rozpoznając ją.

- Zamknij się, czarna suko! Wezwij szeryfa. Ktoś zastrzelił moje psy.

Firanka powróciła na miejsce. Flynn, bełkocząc niewyraźnie w furii, ponownie wypalił z pistoletu. Tym razem pocisk uderzył w ścianę szopy. Schyler usłyszała trzask pękającego drzewa niedaleko swojej głowy. Rzuciła się do ucieczki w stronę drogi.

Kilka sekund później rozpoznała jego wzburzony oddech i zrozumiała, że zauważył jej ruch. Biegł za nią przez podwórze, przeklinając przeszkody na swojej drodze.

Przepadły gdzieś myśli o dyplomatycznych negocjacjach, zaczął się wyścig, którego stawką było jej życie. Jedyłą szansą dla niej było przedostanie się za drogę i ukrycie w gęstym lesie. Ześliznęła się do płytkiego rowu i wdrapała na drugą stronę. Jej tenisówki zachrzęściły po żwirze. Modliła się, by nie skrećić kostki, choć było to absurdem w sytuacji, w której w każdej chwili mogła zostać zastrzelona. Jigger Flynn gonił ją, ciskając ohydne przekleństwa i strzelając z pistoletu.

Osiągnęła środek drogi, gdy zza zakrętu wyskoczyła półciężarówka, prawie najeżdżając na nią. Kierowca zatrzymał pojazd w tumanie kurzu. Drzwi od strony pasażera były otwarte.

- Wsiadaj, idiotko! - krzyknął Cash.

Schyler cisnęła strzelbę na skrzynię ciężarówki, chwyciła klamkę i wciągnęła się do kabiny. W drzwi uderzył pocisk.

- Głowę niżej!

- Wracaj, ty cholerny morderco! - ryczał Flynn. Wystrzelił znowu, ale wzburzenie nie pozwoliło mu wycelować dokładnie. Zanim opanował dostatecznie swój gniew, pikap skrył się za kurtyną nocy.

W kabinie Schyler, z głową wciśniętą między kolana i skrzyżowanymi ramionami, trzęsła się jak osika. Nie potrafiła powstrzymać drżenia, choć wiedziała, że jest już bezpieczna, a histeryczne wyzwiska Flynną ucichły.

Cash prowadził starą ciężarówkę tak, jakby to był porsche na gładkim torze wyścigowym, biorąc ostre zakręty z zawrotną prędkością przy wyłączonych reflektorach. Na pamięć znał tutaj każdą piędź ziemi i orientacja w terenie pomimo ciemności nie sprawiała mu problemu.

- Jesteś cała?

- Niedysponowana.

- Niedysponowana? Co to, do diabła, znaczy?

Schyler uniosła głowę i spojrzała na niego.

- T o znaczy, że zaraz będę rzygać.

Ciężarówka zatrzymała się po raz kolejny z piskiem opon.

Cash sięgnął i otworzył drzwiczki po jej stronie. Wyskoczyła z kabiny i zwymiotowała w porastających brzeg drogi krzakach.

Zgięta wół, z rękoma opartymi na kolanach, czekała, póki torsje nie przestaną szarpać ciałem. Jej uszy płonęły, skóra pokryła się lepkiem, zimnym potem. Była roztrzęsiona. Paniczny strach powoli zaczął niknąć. Otworzyła oczy. Ujrzała whisky.

Przyjęła butelkę i uniosła do ust. Napeniła usta palącym płynem, przemieszała językiem i wypluła, a raczej próbowała. Większość pociekła jej po brodzie.

- Do diabła! - Cash zdjął z szyi chustkę i podał jej.

Otarła brodę i przyłożyła materiał do załzawionych oczu.

- Nie potrafisz porządnie spluć, ale cholernie pewnie strzelasz. Zrobiłaś w tej psiarni cztery dziury szersze niż balia. Skóra i flaki ...

- Proszę, zamknij się - wyszeptała słabym głosem. Jej żołądek znowu zwinął się w węzeł.

- Zamierzasz jeszcze raz wymiotować?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jeśli tak, powiedz. Nie chcę, żebyś robiła to w moim samochodzie.

Rzuciła okiem na dziurę po kuli w drzwiach.

- Zawieź mnie z powrotem.

- Do Belle Terre?

- Do domu Flynna.

Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Czy ty masz gównem zamiast mózgu?

- Zawieź mnie z powrotem, Cash.

- Prędzej zawiózłbym cię do piekła. Zaczynam być zmęczony ciągłym ratowaniem cię z opresji.

- Nie prosiłam cię o to.

- Gdyby nie ja, byłabyś już trupem! - wrzasnął w odpowiedzi.

- Muszę wrócić. Muszę zaproponować mu odszkodowanie za ...

- Zapomnij. - Precyzyjnie odmierzał słowa. - Jigger nie może się nigdy dowiedzieć, kto to zrobił.

- Ale nie mogę tak po prostu ...

Chwycił ją za ramiona.

- Jak myślisz, dlaczego nadjechałem z wyłączonymi światłami? Żeby cię nie oświetlić. Mam nadzieję, że nie rozpoznał mojej ciężarówki.

- Słyszałam, jak krzyknął, że zamierza wezwać szeryfa. Jeżeli szeryf tam jest, mogę wszystko wyjaśnić. Pewnie ...

Cash potrząsnął ją tak mocno, że zamilkła.

- Schyler, nie zdajesz sobie sprawy, przeciwko jakiemu człowiekowi wystąpiłaś. On nie rozstrzyga sporów w sądzie. Rzuca się do gardła, tak jak jego psy. Radziłem, żebyś dała sobie z tym spokój, ale teraz już się stało. Nie przyznawaj się nikomu, że to zrobiłaś.

- Muszę wrócić - powtórzyła ze łzami w oczach.

- Cholera jasna! - Zwrócił oczy ku gwiazdom. - Nie słyszałaś, co powiedziałem?

- Widziałam Gaylę. Przez okno.

- Gaylę Frances?

- Tak, córkę Vedy. Znasz ją? Była w domu Flynna.

- Ona tam mieszka. - Puścił ją i cofnął się. Trzymając się kurczowo otwartych drzwi, Schyler patrzyła na niego, nie rozumiejąc. - Gayla żyje z Jiggerem od kilku lat.

Ziemia wywróciła się do góry nogami, cienie drzew zawirowały dziewczynie przed oczami.

- Gayla? Z Jiggerem Flynnem? To niemożliwe.

- Wsiadaj!

Bezceremonialnie wepchnął ją do szoferki i zatrzasnął drzwi, sam usiadł za kierownicą. Nie wyłączył wcześniej silnika, więc ruszyli w ciągu dwóch sekund.

Jechali drogami tak wąskimi, że gałęzie, przeplatając się ze sobą, tworzyły nad nimi sklepienie. Schyler nie sugerowała, by włączyć światła, Cash najwyraźniej wiedział, co robi. Z ulgą pozwoliła komuś decydować za siebie.

Wyczerpana, złożyła głowę na oparciu i pozwoliła, by wiatr chłodził jej twarz.

- Opowiedz mi o Gayli. Jak to się stało, że żyje z taką kreaturą.

- Kiedy dojedziemy do domu. Mojego.

- Wolałabym raczej nie.

- Ja też wolałabym nie ryzykować dzisiaj na ziemi Flynna nie pozwolić się wciągnąć w

twoje durne kaskaderskie popisy•

- Ty ...

- Czekalem za zakrętem.

- Byles taki pewny, ze to zrobie?

- Podejrzewalem, ze spróbujesz.

- Nawet po ostrzezeniu mnie, bym tego nie robila?

Spojrzał na nią spod oka.

- Ponieważ cię ostrzegalem, byś tego nie robila.

- Sądzę, że jestem ci winna następane podziękowania - powiedziała po chwili milczenia.

- Oui. Też tak uważam.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zatrzymał samochód, wciskając ze zgrzytem pedał hamulca. Odwrócił się do niej. Przez długą, pełną napięcia chwilę patrzyli na siebie.

- Co mi dasz za powtórne uratowanie ci życia? zapytał miękko. - Rachunek rośnie.

Na zewnątrz pozostała spokojna, lecz w środku wszystko drżało.

Jego wargi wygięły się w charakterystycznym dla niego uśmiešku.

- Rozluźnij się. Nie będę inkasować dziś wieczorem.

- Jakże to miło z twojej strony!

- Nie o to chodzi. Po prostu nie mamy zbyt wiele czasu. - Otworzył drzwi po swojej stronie. - Dalej pieszo, panno Schyler.

Rozmyślnie omijał drogi prowadzące do Belle Terre, więc podchodzili do jego domu dłuższą trasą. Trzymając Schyler za rękę, prowadził ją w dół zarośniętą ścieżką w stronę kanału i małego domu, który przycupnął na jego brzegu, przytulony do drzew.

Zbudowano go z drzewa cyprysowego i prawdopodobnie wiekiem dorównywał Belle Terre. Podobnie jak kafejkę Reda Broussarda ustawiono go na dość wysokich palach. Metalowy dach wystawał poza werandę. Schody prowadziły na piętro.

Cash zaprowadził ją do salonu. Znajdował się tam kominek i mała kuchenka. Pokój służył zarówno jako bawialnia, jak i jadalnia. Był czystszy i przyjemniejszy, niż się spodziewała. Dźwigał brzemień dziedzictwa Casha.

W przeszłości zwiedzała domy Cajunów, które stanowiły główną atrakcję turystyczną w tej części Luizjany. Architektura tego domu była typowa, tylko łazienka, do której mogła zajrzeć przez wąskie drzwi, stanowiła nowoczesny dodatek do oryginalnego planu piętra.

Na obudowanej werandzie, ciągnącej się wzdłuż centralnego pomieszczenia na tyłach domu, stało podwójne żelazne łóżko oraz półka zapełniona książkami i nowymi numerami czasopism. Zarówno panujący porządek, jak i tytuły książek zaskoczyły ją. Wywnioskowała, że Cash spędzał tutaj większość czasu.

- Co znajduje się na górze?

- Sypialnia mojej matki.

Niektóre meble zostały zrobione ręcznie, ale przez rzemieślników wykonujących swój fach po mistrzowsku. Nowoczesność zakradła się w postaci telewizora, kuchenki mikrofalowej i

zwisającego z sufitu wentylatora z trzciniowymi łopatkami. Pociągnęła za sznurek i wentylator zaczął mieszać powietrze.

- Napijesz się? - Podeszedł do szafki w kuchni, odsunął perkalową zasłonkę i wydobył butelkę whisky.

- Z chęcią. Dodaj, proszę, trochę wody.

- Lód?

Pokręciła przecząco głową. Wrócił, niosąc butelkę, i wręczył jej drinka.

- Usiądź.

Wskazał krzesło, które mogło zostać kupione w jakimkolwiek sklepie meblowym w całym kraju. Wydawało się absurdalnie nie na miejscu w tym interesująco urządzonym domu, ale Schyler opadła nań z ulgą. Jej zęby zadzwoniły o szklanekę, gdy piła.

- Dziękuję•

Usiadł naprzeciwko i postawił butelkę na niskim stoliku pomiędzy nimi. Położył na nim nogi, zakładając jedną na drugą.

- Gdzie nauczyłaś się strzelać?

- Cotton mnie nauczył.

Unosił właśnie szklanekę do ust. Jej słowa zatrzymały dłoń w połowie drogi. Dopiero po chwili upił trochę.

- Wykonał dobrą robotę•

- Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam dziś wieczorem.

- Twój tatuś byłby.

- Prawdopodobnie - przyznała niechętnie. Powoli przesuwiała palec wokół brzegu szklanki. - W związku z nauką strzelania powstała między nami różnica zdań powiedziała z zadumanym, smutnym uśmiechem. - Chciał, żebym towarzyszyła mu na polowaniach każdej jesieni, a ja nie mogłam zmusić się do tego. Był rozczarowany i zawiedziony.

Skończyła drinka, postawiła pustą szklanekę obok stóp Casha i wstała.

- Jeszcze jednego?

- Nie, dziękuję. - Przesunęła dłonią po oparciu.

- Dzisiaj wieczorem było inaczej. Musiałam to zrobić, ale nie chciałabym wysłuchiwać pochwał dotyczących celności moich strzałów. - Zaczęła przechadzać się po pokoju. Zobaczyła na parapecie zadbany zielony ogródek w skrzynkach. Posłała Cashowi pytające spojrzenie.

Wzruszył ramionami i nalał sobie następną porcję whisky.

- Moja matka zawsze hodowała zioła na tym oknie.
- Używasz ich do sporządzania lekarstw?
- Niektórych.

Przy pracującej głośno starej lodówce wisiało kilka fotografii przypiętych pinezkami do korkowej tablicy. Schyler pochyliła się, żeby lepiej się przyjrzeć. Zainteresowało ją zdjęcie przedstawiające kobietę z dzieckiem, małym chłopcem z niesfornymi, skręconymi włosami i dorosłymi, poważnymi oczami.

- T o ty i twoja matka?

- Oui.

Czarne włosy kobiety układały się w loki wokół trójkątnej twarzy, o figlarnie wysuniętym do przodu podbródka. Jej duże egzotyczne oczy mówiły: „Oto ja, znająca tysiące sekretów”, a tajemniczy uśmiech zaprzeczał tej wiedzy tajemnej. Wargi układały się na kształt serca, pełne, zmysłowe, kuszące.

Schyler nie pamiętała takiej Monique. Widywała ją zresztą tylko z daleka. Fotografia urzekła ją.

- Twoja matka była bardzo piękna.
- Dzięki.
- Ile miałaś wtedy lat?
- Może z dziesięć. Nie pamiętam.
- Z jakiej okazji zrobiono to zdjęcie?
- Też nie pamiętam.

Schyler przyjrzała się innym zdjęciom. Kilka z nich, zrobionych zniechęca, przedstawiało marines zmęczonych po bitwie. Na innych żołnierze, szczerząc zęby, przyjmowali głupawe pozy. Jeden ustawił się jak gracz przed uderzeniem w piłkę i trzymał karabin niczym kij do baseballa. Inny wyciągnął środkowy palec w kierunku fotografującego. Na paru zdjęciach rozpoznała Casha.

- Wietnam?
- Oui.
- Wydajesz się na nich doskonale bawić.

Parsknął szyderczym śmiechem.

- Tak. Bawiliśmy się tam świetnie. Facet udający baseballistę dostał w brzuch następnego dnia po zrobieniu tego zdjęcia. Lekarze mogli tylko zebrać wszystkie jego flaki do kupy i wsadzić je z powrotem w trupa, zanim go wywieziono.

Wskazał na inne zdjęcie.

- Nie jestem pewien, co stało się z tym facetem w śmiesznym kapeluszu. Byliśmy na patrolu. Kiedy usłyszeliśmy jego krzyki, zwialiśmy stamtąd do diabła.

Jego cyniczny komentarz oszołomił ją.

- Jak możesz mówić tak o poległych przyjaciółach?

- Nie mam i nigdy nie miałem żadnych przyjaciół.

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

- Dlaczego to robisz?

- Co?

- Traktujesz wszystko i wszystkich tak okrutnie?

- Z przyzwyczajenia, jak sądzę.

- Odwieź mnie do domu.

- Nie podoba ci się tutaj? - Rozłożył ramiona w udanym zdumieniu.

- Ty mi się nie podobasz.

- Większości ludzi z twojej klasy się nie podobam.

- Nie należę do żadnej klasy. Jestem sobą, a powodem, dla którego ludzie cię nie lubią, jest to, że jesteś fałszywym i złośliwym sukinsynem. Gdzie jest telefon? Jeżeli nie zawieszysz mnie do Belle Terre, zadzwonię po kogoś, żeby mnie zabrał.

- Nie mam telefonu.

- Nie masz telefonu?

Rozbawiło go jej zdziwienie.

- Dzięki temu nie muszę prowadzić rozmów, na które nie mam ochoty.

- Jak możesz sobie bez niego poradzić?

- Idę do biura na placu, jeśli rzeczywiście muszę zadzwonić.

- Przecież drzwi są tam zawsze zamknięte na klucz?

- Są na to sposoby.

Schyler osłupiała.

- Włamujesz się?

Jego uśmiech był równie jednoznaczny jak podpis pod przyznaniem się do winy.

- Jesteś więc także złodziejem.

- Do tej pory nikt się tym nie przejmował. A czy ktoś wie?

- Cotton wie.

Była zaskoczona.

- Cotton pozwala ci korzystać z rzeczy należących do niego? W zamian za co?

- To sprawa między nim a mną. - Nagle odstawił szklankę na stół i pochylił się, opierając łokcie na kolanach. - Nie planujesz żadnych szalonych akcji w związku z Gaylą Frances, prawda?

- Zamierzam z nią porozmawiać.

- Nie rób tego.

- Zrobię, do cholery! Chcę usłyszeć z jej własnych ust, że dobrowolnie wybrała życie z takim typem. Nie uwierzę, dopóki sama mi tego nie powie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Veda pozwoliła na to.

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Veda nie żyje.

Na chwilę straciła oddech. Kolana ugięły się pod nią i bezwładnie opadła na krzesło. Patrzyła na niego niewidzącymi oczyma.

- Chyba nie mówisz prawdy.

- Nie.

- Veda nie żyje?

Pochyliła głowę. Patrząc na swoje dłonie, próbowała wyobrazić sobie świat bez Vedy.

Solidna, niezawodna, kochająca Veda, potrafiąca zaradzić wszystkim bólom - otartym kolanom i sprawom sercowym, kiedy te układały się niepomyślnie.

- Kiedy to się stało?

- Kilka lat temu. Niedługo po twoim wyjeździe. Tricia ci nie powiedziała?

Powoli pokręciła głową.

- Nie, nie powiedziała. Poinformowała mnie tylko, że musiała ją zwolnić.

- Zwolniła ją, zgadza się. To był początek końca. Veda wkrótce zachorowała. Sądzę, iż to właśnie dlatego, że ta dziwka, którą nazywasz siostrą, wykopała ją z Belle Terre.

Opadł na oparcie krzesła.

- Veda była za stara, by dostać inną pracę, i zbyt chora. Gayla musiała rzucić college i wrócić do domu, by się zaopiekować matką. Dorywcza praca nie wystarczała. Gayla łapała się wszystkiego, co tylko mogła znaleźć. Najęła się do podawania drinków w barze. Tam właśnie wpadła Jiggerowi w oko. Zagarnął ją pod swoje skrzydła i przyuczył do bardziej intratnego zajęcia.

Schyler patrzyła z niedowierzaniem.

- Kłamiesz.

- Dlaczego miałbym kłamać? Spytaj kogokolwiek. To prawda. Gayla puszczała się w najtańszych spelunach w mieście.

- Nigdy by tego nie zrobiła.

- Ależ robiła to.

- Ona jest taka ładna, inteligentna i słodka.

- Sądzę, że dlatego właśnie została jego faworytą.

Schyler zagryzła wargę, próbując powstrzymać łzy.

- Między dziewczynami Jiggera Gayla błyszczała jak złota moneta. T o dlatego wziął ją do siebie. Tylko okazynie używa jej innym klientom i pobiera przy tym specjalną opłatę.

Skryła twarz w dłoniach, a Cash bez litości kontynuował:

- Veda zmarła przede wszystkim ze zgryzoty i wstydu. Tricia Howell rozgłosiła wokół, że stara i niekompetentna Murzynka niemal spaliła Belle Terre, pozostawiając włączone żelazko. Dołączyła się do tego sprawa jej córki. Veda nie mogła znieść takiej hańby.

T o było niemożliwe. Schyler znała Gaylę od urodzenia. Razem płakały, kiedy zginął pan Frances podczas eksplozji w rafinerii, gdzie pracował. Wtedy Cotton poprosił Vedę, by przeprowadziła się do Belle Terre. Schyler przyglądała się, jak Gayla przemienia się w śliczną nastolatkę. Ostatni raz spotkały się przed wyjazdem Schyl er do Anglii.

- A co z Jimmym Donem? - zapytała.

Jimmy Don Davison był ukochanym Gayli od przedszkola. Był gwiazdą drużyny futbolowej szkoły średniej w Heaven. Na boiskach nosił przydomek Barbarzyńcy z Heaven. Jako jeden z najbardziej wyróżniających się zawodników, otrzymał pełne stypendium na czas nauki. Był przystojnym, inteligentnym, młodym człowiekiem, lubianym zarówno przez czarnych, jak i białych studentów.

- Kibluje.

- Co? Masz na myśli więzienie? - wycharczała. - Za co?

- Był jeszcze w szkole, kiedy to wszystko się działo. Usłyszawszy, że Gayla pracuje dla Jiggera, poszedł do baru, upił się i rozniósł na strzępy prawie wszystkich, którzy byli w środku. Omal nie zabił faceta, który przechwalał się, że przeleciał Gaylę, i opowiadał, jaką była soczystą sztuką. Jimmy Don przyznał się do winy i odsiaduje wyrok. Chyba trzy lata.

Tyle ludzkich tragedii. Veda. Gayla. Jimmy Don. Schyl er poczuła się winna temu wszystkiemu.

Uniosła głowę i spojrzała na mężczyznę siedzącego niedbale naprzeciwko niej. Wydawało się, że dręczenie jej sprawia mu przyjemność.

- Rozkoszujesz się tym opowiadaniem, prawda?

Skinął głową.

- W ten sposób możesz poznać kaliber ludzi, z którymi mieszkasz w tym dużym eleganckim domu. Twoja siostra jest mściwą dziwką, a jej pozbawiony jaj mąż - żartem. Cotton zaś ... do diabła, nie wiem, co się z nim stało. Bezczyinnie przyglądał się, jak Tricia wyprawiała, co tylko jej się podobało.

Wojowniczo wysunęła podbródek. Można się przyznać do rodzinnych słabości, ale zupełnie czym innym jest słuchanie o nich od człowieka z zewnątrz, a Casha Boudreaux w szczególności.

- Nie twoja sprawa, co robią ludzie z Belle Terre. Nie będę słuchała, jak obmawiasz moją rodzinę.

Wstała i spojrzała nań z góry, wyniośle. Wytrąciła go tym z równowagi. W jednej sekundzie zerwał się na nogi i chwycił ją mocno za ramiona.

- Będę, do cholery, mówił, co chcę, o każdym człowieku i każdej rzeczy!

- Nie o mojej rodzinie.

Złapał ją z tyłu za włosy. Pochylił się tak, że ich twarze dzielił niespełna cal.

- Dobrze więc, powiem ci, co myślę o tobie.

- Nie obchodzi mnie to.

Musnął wargami jej usta.

- Przypuszczam, że kłamiesz.

- Przestań!

Dotknął jej ust po raz drugi.

- Myślę, że jesteś jedną z najbardziej interesujących kobiet, z jakimi stykałem się w ciągu długiego czasu, panno Schyler.

- Puść mnie! - Bezskutecznie próbowała umknąć jego wargom, które delikatnie pieściły jej twarz.

Próbowała go odepchnąć, ale te wysiłki szły na marne.

- Kobieta, która odważyła się stawić czoło Jiggerowi Flynnowi, jest, do diabła, zjawiskiem, które muszę poznać lepiej.

Wypchnął do przodu biodra, ocierając się o jej uda.

- Jesteś obrzydliwy.

Śmiech mężczyzny był niski i głęboki.

- Większość kobiet nie myśli tak, panno Schyler, a ty, jak sądzę, prawie umierasz z pragnienia, by móc potwierdzić prawdę o mnie.

Wiła się jak piskorz, ale skutecznie udaremniał jej wysiłki zmierzające do uwolnienia się. Odchylił jej głowę do tyłu i pocałował Schyler. Jego język wślizgujący się między jej wargi zdusił głos protestu. Leniwa penetracja wstrząsnęła nią. Zatoczyła się i chwyciła jego ramion, żeby nie upaść.

Po długim, mocnym pocałunku uniósł głowę.

- Dokładnie tak, jak przypuszczałem - powiedział zimno. - Przybierasz wiele póz, ale naprawdę jesteś jak fajerwerk na Czwartego Lipca, gotowa do odpalenia.

Objął ją w tali, szarpnął ku sobie i otarł się o nią.

- Czujesz go? Zapałka jest gotowa, by zapalić lont. Wymierzyła mu silny policzek. Jego oczy zwęziły się niebezpiecznie.

- o co chodzi? Nie jesteś przyzwyczajona do ...

- Do chamstwa, panie Boudreaux. Nie jestem przyzwyczajona do chamstwa.

- Czy twój szwagier nie używa nieprzyzwoitych słów, będąc z tobą w łóżku?

Zbladła z oburzenia.

- Jak udaje się Howellowi obsługiwać jednocześnie ciebie i twoją siostrzyczkę? - prychnął.

- Zamknij się!

- Rozumiesz, ludzie w mieście się dziwią. Czy krąży między sypialniami, czy też wszyscy śpicie w jednym dużym, szczęśliwym łóżku?

Pchnęła go z całej siły i wyrwała mu się. Uciekła frontowymi drzwiami i zbiegła po schodach. Dogonił ją, przytrzymał za nadgarstek.

- Nie musisz uciekać. Nie mam ochoty na resztki po Howellu. Teraz wsiadaj do ciężarówki. Odwiozę cię do domu.

- Nigdzie z tobą nie pojadę!

- Obawiasz się, że ktoś cię ze mną zobaczy?

- Tak. Boję się, że ludzie pomyślą, iż zrobiły na mnie wrażenie twoje szulerskie metody.

- Szulerskie?

- Postawiłeś pieniądze na psy Jiggera ostatniej nocy.

- Nie zaprzeczam temu.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, gdy prosiłam cię, byś zabił psa, że na tych walkach robisz pieniądze?

- To nie była twoja sprawa.

- Bawiłeś się mną! - krzyknęła. - Zabierając mnie do tamtego miejsca, odwołując od moich planów. Cały czas chroniłeś tylko swój własny interes.

- Jedno nie miało nic wspólnego z drugim.

- Kłamca. Wygrywałeś mnóstwo forsy.

- O tak, cholernie dużo.

Wzdrygnęła się w furii, słysząc tak spokojnie wypowiedziane wyznanie.

- Ludzie nie myślą się, mówiąc, że jesteś pozbawiony skrupułów.

Wyrwała się. Czowała do niego wstręt. Nienawidziła go. Próbowwała porozumieć się z nim jak z równym sobie, ale nie pozwolił na to.

Ken miał rację. Różnice między klasami były głęboko zakorzenione. System, w jakim żyli, był feudalny. Cash Boudreaux ściągnął ją do swojego poziomu i czowała się teraz skalana.

- Skoro mnie już zrugłaś, to wsiadaj do ciężarówki.

- Prędy szlag mnie trafi, niż to zrobię.

- Dokąd idziesz?

- Do domu.

Cash poszedł za nią.

- Nie bądź głupia. Nie pójdziesz piechotą do Belle Terre w środku nocy.

- Założysz się?

Zatrzymał ją i siłą odwrócił ku sobie.

- Jesteś wściekła, ponieważ powiedziałem o rzeczach, o których wiesz, ale nie chcesz słyszeć. Nazywają mnie śmieciem. W porządku. Nie dbam o opinię. Za kilka swoich wyczynów będę się smażyć w piekle, ale nigdy nie wyrzuciłbym na śmietnik starej kobiety, której życie zależałoby ode mnie, tak jak zrobiła to twoja siostra. Nie stałbym na uboczu, pozwalając na to, jak ten cudak Howell. Nie odwróciłbym wzroku jak Cotton.

Schyl er nawet w ciemności widziała, że naigrawa się z niej. Pocałował ją też tylko po to, aby jej ubliżyć, aby ukarać za to, kim była, i za to, kim nie była i nigdy nie będzie.

- Trzymaj się z dala od Belle Terre i każdego, kto tam mieszka. Szczególnie ode mnie. Jeżeli nie zrobisz tego, zastrzelę cię za naruszenie prywatnej własności.

Zabrała strzelbę z samochodu i ruszyła w drogę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gayla siedziała w wyplatany fotelu w rogu pokoju.

Jigger nie lubił, gdy odzywała się, kiedy przyjmował gości, chyba że robiła, co do niej należało. Dzisiaj gościł u niego szeryf, który preferował prosty seks. Tego wieczoru był jednak na służbie, co uwalniało Gaylę od obowiązku.

- Przysporzyłeś sobie ostatnio jakichś wrogów, Jigger? Szeryf Pat Patout spojrział tęsknie na szklanek pełną whisky, z której pił Jigger, ale odmówił propozycji przyłączenia się. Przed ostatnimi wyborami sam otwarcie donosił na swojego przeciwnika i teraz pocił się, czując na karku kolejne wybory. Ostatnio stał się ostrożny i skrupulatny jak stara panna.

- Nie mam wrogów na tym świecie, szeryfie - powiedział szyderczo Jigger. - Wiesz o tym.

Szeryf odchrząknął hałaśliwie i spojrział pożądliwie na Gaylę. Jej twarz pozostawała nie wzruszona, tak jakby dziewczyna była zbyt głupia, by pojąć znaczenie słyszanych słów.

Bierność to był jedyny sposób, dzięki któremu udało jej się przeżyć kilka ostatnich lat. Siedziała i pozwalała szeryfowi gapić się na jej piersi nabrzmiałe, tak jędrne i kształtne jak dwa dojrzałe jabłka. Jigger kazał jej ubrać się w cienką, obcisłą sukienkę, która podkreślała doskonały rysunek figury. Oczy dziewczyny pozbawione były życia, lecz umysł wyczarowywał epitety stosowne dla tej kreatury.

Patout otarł nerwowo usta grzbietem dłoni.

- Chyba jednak będę tego potrzebował. - Wskazał butelkę. - Upał wywołuje pragnienie. Cholernie tu gorąco.

Jigger nalał mu porządną porcję. Szeryf opróżnił szklanek jednym haustem. Prawie natychmiast na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Musiałeś kogoś cholernie wkurzyć, Jigger - wycharczał, czując w gardle piekący ból.

- Bękarty - mruknął Flynn.

- Myślisz, że było ich więcej?

- Jeden strzelał. Drugi prowadził półciężarówkę.

- Poznałeś samochód?

Jigger pokręcił łysą głową.

~ Było zbyt ciemno, a wszystko działo się bardzo szybko.

- A ty coś widziałaś?

Gayla podskoczyła, gdy zdała sobie sprawę, że Patout zwrócił się do niej. Podwinęła bosc stopy pod fotel i przycisnęła palce do splekanego i brudnego linoleum. Wyprostowała ramiona i wsunęła dłonie między uda. Rozluźniła się i cofnęła ręce, jakkolwiek zdawała sobie sprawę, że ta poza jeszcze bardziej uwydatniła jej piersi.

Pokręciła przecząco głową. Nawet podczas tortur nie podałyby nazwiska, które chcieli poznać. Brzmiało ono Schyler Crandall. Schyler stała na podwórku Jiggera i strzelała z dubeltówki do jego psów. Gayla nie widziała w tym żadnego sensu, jednak taka była prawda.

Rozpoznałyby tę kobietę wszędzie. Schyler teraz nie splunęłyby na jej cień, lecz mimo to jej powrót dodawał Gayli w jakiś sposób otuchy.

- Niczego nie widziałam, szeryfie - wymamrotała.

Jigger spojrzał na nią groźnie.

- Gdzie twoje dobre wychowanie? Przyrządź szeryfowi jakąś kolację•

- Dzięki, Jigger, ale już jadłem.

- Zrób mu kolację•

- On nie chce.

- Rób, co mówię! - wrzasnął, uderzając pięścią w stół z taką siłą, że butelka podskoczyła z łoskotem.

Gayla wstała. Jej stopy zaszurały po brudnej podłodze.

Zdjęła z półki nad piecem gazowym talerz. Przełożyła na niego z rondla poszarzały tłusty kotlet wieprzowy i resztki sałatki warzywnej. Odłamała kawał placka kukurydzianego i uwieńczyła nim swą kulinarną kompozycję. Bezceremonialnie postawiła talerz przed szeryfem.

- Dzięki. - Patout uśmiechnął się niepewnie.

Jigger otoczył ramieniem jej talię i przycisnął dziewczynę ku sobie. Wbił się barkiem w jej brzuch. Poklepał ją po pośladku i ścisnął jędrne ciało przez podniszczoną sukienkę•

- To dobra dziewczyna, przynajmniej stara się. A kiedy nie jest... - Z głośnym plaśnięciem zdzielił ją otwartą dłonią z wystarczającą siłą, by zabolęło. Gayla nie drgnęła.

Szeryf doprawił surówkę sosem tabasco i przypuścił żarłoczny atak na zawartość talerza, obawiając się, być może, konkurencji muchy, która krążyła nad nim od jakiegoś czasu. Wytarł talerz kawałkiem placka, który trochę rozmiękł.

Tymczasem Jigger skoncentrował się na dręczeniu Gayli, która całą swą uwagę

poświęciła musze. Patrzyła, jak ta siada na szczycie powyginanej metalowej solniczki. Jej matka umarłaby, nimby pozwoliła, żeby mucha wtargnęła do kuchni w Belle Terre.

Veda wolałaby umrzeć niż pozwolić na wiele rzeczy, na przykład na to, żeby jej córeczka została prostytutką.

Jigger wsunął twardą dłoń pod sukienkę i przesunął ją w stronę uda. Zareagowała odruchowo, chociaż nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Ile twoich pitbulli zostało zabitych?

- Dwa. Trzeciego musiałem dobić. Jego mózg wylewał się z czaszki. - Roześmiał się. - Ale ciężarna suka nie została nawet draśnięta. Gdy się oszczeni, znowu będę miał najlepsze psy w okolicy.

Patout chrząknął.

- Zrobię, co będę mógł, ale nie zostało zbyt wiele śladów.

- Znajdziesz bękarta, który zabił moje psy, a Gayla i ja damy ci mały prezent, nieprawdaż, kochanie?

Patout przestał jeść i zerknął na nią. Jego wargi i broda ociekały tłuszczem. Obdarzyła go spojrzeniem, w którym nie kryło się nic prócz pogardy.

Szeryf przełknął z trudem i odepchnął talerz. Wstał, podciągnął bryczesy i sięgnął po swój kowbojski kapelusz.

- W takim razie lepiej zajmę się tym natychmiast. Będę miał oko na pikapa z dziurą po kuli.

- Sprawdź wszystkie samochody w okolicy. - Jigger niedbale odepchnął Gaylę i dołączył do szeryfa stojącego przy drzwiach.

- Nie musisz mnie pouczać, jak mam wykonywać swoją pracę, Jigger. - Swoją kwestię zakończył o wiele spokojniej, niż zaczął, gdyż w oczach Flynnna dostrzegł niebezpieczne błyski.

- W takim razie powiem ci tylko tyle, że ktokolwiek to zrobił, o niebo lepiej dla niego będzie, jeśli znajdziesz go przede mną.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Patout założył kapelusz, przyjrzał się jeszcze raz Gayli i wyszedł. Drzwi ze zgrzytem i trzaskiem zamknęły się za nim.

- Zakop rano te zabite psy. Już śmierzdzą w tym upale - usłyszeli z podwórka.

- Przyjdź tutaj i sam je zakop, ty góro sadła - odpowiedział Flynn i machnął ręką na pożegnanie.

Jigger chciał, żeby zwierzęta śmierdziały. Chciał, by każdy w okolicy poczuł je i wiedział, co się stało, a ludzie, którzy to zrobili, byli pewni, że czeka ich zemsta. Dostanie ich i nie okaże litości. Będą przykładem, że nikt, kto wchodzi w drogę Jiggerowi Flynnowi, nie wychodzi z tego bez szwanku.

Zwrócił się ku Gayli, która myła w zlewie talerz po szeryfie.

- Czas do łóżka.

Zazwyczaj przerywała zajęcie, cokolwiek robiła, i udawała się za nim do sypialni. Im szybciej się oddawała, tym szybciej było po wszystkim. Ale pamiętała Schyler, która z nieznanych jej przyczyn wystąpiła przeciwko niemu. Odwaga Schyler udzieliła się teraz jej.

- Ja nie ... nie mogę dzisiaj, Jigger. Mam okres.

Błyskawicznie przyskoczył do niej i uderzył na odlew w twarz. Rozciął jej wargi, z których obficie pociekła krew.

- Ty zakłamana suko! Miałaś okres w zeszłym tygodniu. Co sobie myślisz? Że jestem głupi? Że zapomniałem?

Wymierzył jej kopniaka, który posłał ją na ścianę.

- Przestań, Jigger. Ja nie kłamię.

Przejechał palcami po jej krótkich kręconych włosach.

Objęła go, gdyż nie mogła wytrzymać bólu, kiedy ciągnął ją za nie po podłodze. Złapał ich w garść wystarczająco dużo, by wycisnąć jej łzy z oczu.

- Powiedziałem: czas do łóżka. Teraz.

Przesuwając wzdłuż ściany dłonie, prowadzona przez wplecione we włosy palce, potknęła się na progu sypialni. Pchnął jej głowę tak silnie, że omal nie złamał jej karku. Zatoczyła się na łóżko.

Stała teraz obok niego, uległa, rozpinając guziki sukienki. Zsunęła ją z ramion i pozwoliła opaść na podłogę. Położyła się z nadzieją, że nie będzie wiele od niej żądał tego wieczora.

Rozebrał się. Sprężyny ugięły się i zakołysały, kiedy usiadł na niej. Chrzękając jak wieprz, wszedł w nią.

Z bólu wygięła plecy w łuk, chwytając palcami szorstkie prześcieradło pod sobą, jej stopy kopały cienki materac.

Nie wydała żadnego dźwięku. Lubił, gdy krzyczała. Nie chciała mu dać tej satysfakcji. Po początkowej reakcji na jego brutalne wtargnięcie leżała zupełnie spokojna i cicha.

Ta ordynarna rutyna była tak niepodobna do aktów miłosnych, jakie przeżywała wraz z Jimmym Donem. Współżycie z nim rozpoczęła mając zaledwie piętnaście lat. Byli tacy młodzi, tacy zakochani. Nie potrafili utrzymać oczu i dłoni z dala od siebie. Pocałunki i pieszczoty nie wystarczały. Poszli za natarczywymi nakazami swoich ciał i było im tak dobrze ...

Kochali się często, a ona nigdy nie czuła się zbrukana.

Jigger traktował ją jak spluwaczkę.

Czasami myślała o śmierci. Samobójstwo absorbowало jej myśli, odkąd przyszło jej żyć z Jiggerem. Przed odebraniem sobie życia powstrzymywała ją tylko nikła nadzieja, że pewnego dnia ujrzy znów Jimmy' ego Dona i uzyska jego przebaczenie.

Myślała także o zabiciu Jiggera. Gdy wpadał w pijackie odrętwienie, fantazjowała o przejechaniu rzeźnickim nożem po jego gardle i położeniu kresu swej niedoli. Nie mogli jej potem zrobić nic gorszego niż to, co przeżywała przy nim każdego dnia.

Veda wychowała ją w duchu wiary chrześcijańskiej. Gayla uczęszczała do kościoła w każdą niedzielę i w środę na nocne spotkania modlitewne. Wstrząsające kazania o piekle i potępieniu trzymały ją na prostej i wąskiej ścieżce przez większość życia. Przerazała ją możliwość spędzenia wieczności w czeluściach piekła.

Bóg wybaczyłby jej miłość do Jimmy' ego Dona i zrobienie „tego” przed ślubem, zrozumiałby, że w swoim sercu była poślubiona Jimmy' emu Donowi.

Bóg wybaczyłby jej przyzwalanie na to, by mężczyźni używali jej jak naczyń, dzięki któremu zaspokajali pożądanie. Wizyty lekarza i lekarstwa dla mamy były bardzo kosztowne. Czarne dziewczęta, bez względu na urodę, rzadko otrzymywały posady w biurach, bankach i sklepach. Gayla była zbyt piękna, zbyt zmysłowa, by nająć się do sprzątania mieszkań. Żadna rozsądna kobieta nie chciała jej widzieć w pobliżu własnego męża lub syna.

Zrobiła więc to, co musiała. Bóg patrzył w jej serce i rozumiał ją. Lecz zamordowanie Jiggera Flynna mogło nadużyć Jego wyrozumiałości. Nie zabiła go. Znosiła upokorzenia, wierząc, że umrze naturalną śmiercią i wydestanie się z tego życia po to, aby kolejne spędzić w niebie z tatą, mamą, a może nawet z Jimmym Donem.

Tego wieczoru trwało to dłużej niż zazwyczaj. Czuła na wilgotnej, zimnej szyi jego cuchnący oddech. Pocił się jak świnia. Pot ściekał z jego ciała i kapał na jej piersi.

Nie mogła wytrzymać tego ani chwili dłużej.

Uniosła długie, zgrabne nogi i zaplotła je na plecach Flynna, wspomagając jego

pompujące biodra. Jęknęła namiętnie, parodiując westchnienie wydawane kiedyś na silnej piersi Jimmy'ego Dona. Jigger Flynn, odrzucając do tyłu głowę i rycząc jak osioł, osiągnął orgazm. Runął na nią i stoczył się na bok.

Leżał na plecach biały, pulchny i oślizły jak ślimak. Gayla odwróciła się do niego plecami i zwinęła w kłębek.

Leżała cicha i wdzięczna, że już się skończyło, że nie ucierpiała dzisiaj więcej poza uderzeniem w usta i kopniakiem.

Gdy Jigger zaczął chrapać, rozplakała się bezgłośnie.

Modliła się, a gorzkie łzy płynęły po atlasowych policzkach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Był telefon do pani - poinformowała pani Graves. - Zostawiłam wiadomość na biurku w gabinecie pana Crandalla.

- Dziękuję - odpowiedziała sucho Schyler.

Odgłos kroków na drewnianej podłodze odbijał się echem w szerokim holu, kiedy szła na tyły domu do małego pokoju schowanego za schodami.

W gabinecie centralne miejsce zajmowało masywne biurko.

Schyler rzuciła torbę i kluczyki od samochodu na szczyt sterty papierów i usiadła w skórzanym fotelu, przypominającym ten w biurze na placu przeładunkowym, choć mniej wspomnień przywoływał. Cotton nie używał tego fotela zbyt często.

Macy nie życzyła sobie, aby głowy dziewcząt zaśmiecano wiadomościami o drewnie i jego rynkach zbytu. Protestowała przeciw wizytom Schyler w tym pokoju i jej rozmowom z ojcem o sprawach zawodowych. W związku z tym lekcji udzielał córce na placu, a w domu rodzinnym panował spokój.

Myśli Schyler skupiły się na Cottonie. Przed niecałą godziną rozmawiała z kardiologiem.

- Jego stan nie wzbudza radości, ale możemy być zadowoleni, że nie ma pogorszenia - oznajmił.

- Czy jest pan w stanie określić termin operacji?

- Nie, ale im więcej czasu będzie miał na regenerację sił, tym lepiej. Każdy dzień zwłoki pracuje na jego korzyść.

Po krótkiej wizycie u Cottona wróciła do domu. Była przygnębiona. Brakowało jej Marka. Upał przytępił umysł. Pragnęła zjeść porządny posiłek. Nieustanne kłótnie pomiędzy Kenem i Tricią wykańczały ją. Chciało jej się spać.

Wybierając zanotowany przez panią Graves numer telefonu, uzmysłowiła sobie dwie główne przyczyny, dla których nie spała dobrze ostatniej nocy. Jedną była Gayla Frances, drugą - Cash Boudreaux.

- Delta National Bank.

Zorientowała się, że uzyskała połączenie i zaczęła się rozmowa.

- Słucham?

- Delta National Bank. Czym mogę służyć?

Nie spodziewała się, że rozmowa będzie dotyczyła biznesu.

Na notatce miała zapisane tylko nazwisko.

- Z panem Dale'em Gilbreathem, proszę.

- Jego linia jest zajęta. Czy chciałaby pani zaczekać?

- Tak.

W oczekiwaniu na połączenie zsunęła pantofle. Postanowiła od jutra przywrócić do łask sandały. W takim upale pończochy i wysokie obcasy zakrawały na masochizm.

Kim, do diabła, jest Dale Gilbreath? Nazwisko nie poruszało w pamięci żadnych dzwonek sygnalizujących, więc zwróciła myśli ku sprawom bardziej ją teraz interesującym.

Musi zrobić coś w sprawie Gayli. To, czego dowiedziała się od Casha, było zbyt nieprawdo podobne, nie uwierzyła mu.

Gayla, być może, nie powita z „radością wtrącania się w jej sprawy, niemniej Schyler musi wykonać jakieś posunięcie. Murzynka nie może dalej żyć z takim draniem. Obrażliwy sposób, w jaki Cash opowiadał jej historię, wskazywał, jak okropne musiało być to życie.

Cash Boudreaux. Co powinna z nim zrobić? Odpowiedź wydawała się pozornie prosta. Nic. Nie robić nic. Mieszkał w Belle Terre od zawsze i zaledwie wiedziała o jego istnieniu.

Dlaczego zaczęła się nim teraz przejmować? Pocałował ją i co?

Zapomnij o tym.

Kłopot tkwił w tym, że nie potrafiła zapomnieć. Jego pocałunek spodobał się jej, choć nie powinien. Za każdym razem, gdy go wspominała, przechodził ją niemal dreszcz rozkoszy.

- Mogę teraz połączyć panią z panem Gilbreathem.

Schyler podskoczyła.

- Och, dziękuję•

- Gilbreath, słucham.

- Mówi Schyler Crandall, w odpowiedzi na pański telefon.

Ton głosu w słuchawce zmienił się z chłodnego na ujmujący za serce.

- Witam, panno Crandall. To prawdziwa przyjemność rozmawiać z panią. Prawdziwa przyjemność. Dziękuję, że oddzwoniła pani.

- Czy ja pana znam?

Bezpośredniość tego pytania ubawiła go. Roześmiał się•

- Słyszałem o pani tak wiele, że czuję, jakbym panią znał.

- Jest pan pracownikiem banku?

- Jego dyrektorem.

- Gratuluję•

Nie wyczuł sarkazmu w jej głosie albo go zignorował.

- Robię z Cottonem sporo interesów. Powiedział mi, że mieszka pani w Londynie.

- To prawda.

- Jak on się miewa?

Zrelacjonowała mu ostatnią rozmowę z lekarzem.

- Jedyne, co jesteśmy w stanie teraz zrobić, to czekać.

- Mogło być gorzej - pocieszył ją•

- Tak, znacznie gorzej.

Rozmowa wlokła się niemiłosiernie. Schyler pragnęła odłożyć słuchawkę i wziąć aspirynę. Ból głowy nie dawał spokoju.

- Bardzo dziękuję za telefon, panie Gilbreath. Jestem pewna, że Cotton ucieszy się na wiadomość, że pytał pan o niego.

- T o nie jest czysto kurtuazyjna rozmowa, panno Crandall.

Potwierdziła to kolejna zmiana modulacji jego głosu. Nie brzmiał już tak miękko jak wcześniej.

- Och?

- Muszę się z panią spotkać w sprawach finansowych.

- Ze mną? Zapewne wie pan, że to mój szwagier kieruje ...

- Finansami „Crandall Logging”, oczywiście. Ale skoro sprawa ta może dotyczyć bezpośrednio Belle Terre, pomyślałem, że powinienem skonsultować się z panią.

Ból głowy nasilił się. Uniosła brwi. Na jej czole uformowała się głęboka bruzda.

- Co to za sprawa?

- Nie spłacona pożyczka, ale uważam, że powinniśmy pomówić o tym osobiście.

Nie wzbudził jej sympatii. Jego szacunek był sztuczny. Najchętniej posłałaby go do diabła, rozebrała się, wzięła chłodny prysznic i przespała się aż do kolacji. Myśli o relaksie musiała jednak odsunąć.

- Czekam u siebie w biurze.

- Nie bardzo mam czas.

- Proszę go znaleźć.

Godzinę później Schyler weszła do pokrytej tanią imitacją różowego marmuru siedziby Delta National Bank. Budynek był nowy. Pamiętała, że kiedyś w tym miejscu stała budka z wodą sodową. Teraz, zamiast coli i kanapek, można tu było dostać najwyżej kredyt. Z nostalgią wspomniała stary budynek bankowy, gdzie hol wyłożony był boazerią z ciemnego drzewa. Prawie fizycznie wyczuwało się zapach pieniędzy.

Tutaj było nowocześnie, sztywno i szkaradnie. Sterylnie jak na sali operacyjnej, bez charakteru i osobowości. Na morzu zielonego dywanu unosiły się wyspy twardych chromowanych krzesel. Cotton zwykł mawiać, że z krzesła nie ma pożytku, dopóki nie zacznie skrzypieć, kiedy posadzi się na nim tyłek. Schyler była tego samego zdania.

Ładna, uśmiechnięta sekretarka zaprowadziła ją do jednego z tych krzesel. Schyler usiadła i rozejrzała się wokół. Kilka twarzy było znajomych. Posyłały jej uśmiechy zza przeszklonych okienek kasowych. Odczuwała wdzięczność za te oznaki sympatii i poparcia. Słowa „Belle Terre” i „nie spłacona pożyczka” przestały krążyć w jej umyśle jak myszołowy, czekające, aż pozbawiona pomocy ofiara ulegnie.

- Pani Crandall, proszę tędy.

Kolejny przewodnik zawiódł ją do biura, w którym urzędował pan Dale Gilbreath, dyrektor Delta National Bank.

Z obłudnym uśmiechem uściskał jej dłoń.

- Panno Crandall, miała pani szczęście, że znalazłem czas, by przyjąć panią. Proszę usiąść. Kawy?

- Nie, dziękuję.

Kiwnięciem głowy odesłał sekretarkę. Zajął miejsce za biurkiem i założył ręce na brzuchu.

- Cieszę się, że w końcu mogę panią poznać.

Nie uważała za konieczne uciekać się do kłamstwa, dlatego też nie usłyszał słowa: „nawzajem”.

- Dziękuję•

Intuicja jej nie zawiodła. Gardziła nim od pierwszego spojrzenia. Zamierzał przynieść złe wiadomości, spowodować nowe kłopoty, jakby nie miała ich dosyć.

Taksował ją wzrokiem odrobinę za długo, by mogła jego spojrzenie uznać za

pochlebstwo. Graniczyło raczej z obrażą•

- Co pani sądzi o naszym nowym banku?

- Robi wrażenie. - Wywarł na niej wrażenie, to prawda. Nie czuła jednak potrzeby wdawania się w szczegóły.

- Nieprawdaż? Jesteśmy z niego dumni. Już najwyższy czas usunąć z Heaven zmarszczki, nie sądzi pani?

- Jestem sentymentalna.

- To znaczy?

Ten człowiek nie wiedział, kiedy przestać.

- T o znaczy, że lubiłam tę dzielnicę taką, jaka była. Zrzędała mu mina.

- Zaskakujące podejście u tak nowoczesnej kobiety jak pani.

- Przyznaję się do staromodnych upodobań.

Miała dość oleju w głowie, by wyczuć zarzuconą przynętę•

Nie знаła tego człowieka, a jego opinie zupełnie jej nie interesowały, toteż odrzuciła jego subtelne zaproszenie do utarczki słownej.

Gilbreath nasunął na nos okulary i otworzył leżącą na biurku teczkę.

- Ubolewam nad tym, że musiałem panią wezwać, panno Crandall. - Spojrzał na nią znad okularów. Wytrzymała to spojrzenie. - Ale moim obowiązkiem jest chronić interesy banku, choć obowiązek bywa czasami nieprzyjemny.

- Dlaczego nie przejdzie pan do sedna sprawy? Nieważne, jak nieprzyjemnego.

- Bardzo dobrze. - Ożywił się. - Choroba Cottona zaskoczyła nas wszystkich. Obawiam się, że może ona wyrzucić wpływ na stosunek banku do sprawy kredytu, jaki Cotton u nas zaciągnął.

Grając na zwłokę, Schyler powoli założyła nogę na nogę.

Próbowała zachować zimną krew, lecz za każdym razem, gdy na Belle Terre padał cień, jej wnętrzości zaczynały niebezpiecznie się kurczyć.

- Nie wiem nic o długu. Jaki jest dokładny termin spłaty?

Odchylił się na oparciu fotela.

- Cotton pożyczył rok temu trzysta tysięcy dolarów. Uzgodniliśmy kwartalne raty. Wszystkie spłacono w terminie.

- W takim razie nie rozumiem, w czym problem.

Oparł się na biurku z miną uczestnika konduktu pogrzebowego.

- Potencjalny problem, podkreślam potencjalny, polega na tym, że termin płatności ostatniej raty i odsetek od weksla przypada na piętnasty dzień następnego miesiąca.

- Jestem pewna, że mój ojciec wie o tym i ma odłożone pieniądze. Mogę dokonać przelewu z jego konta.

Sympatyczny uśmiech dyrektora nie uspokoił bynajmniej jej żołądka.

- Pragnąłbym, by okazało się to takie łatwe. - Rozłożył ręce w geście wyrażającym bezradność. - Osobiste konto Cottona nie pokryje nawet odsetek.

- Rozumiem.

- Długu nie pokryje też kapitał na koncie „Crandall Logging”.

- Bank nie ryzykowałby tak bardzo. Pożyczka takiej kwoty z pewnością była gwarantowana.

- W istocie.

Wstrzymała oddech, ale wiedziała już.

- Gwarancję stanowiła Belle Terre. Jaka jej część?

- Dom i spora ilość ziemi.

- To absurdalne. Dom jest wart daleko więcej niż trzysta tysięcy. Mój ojciec nigdy by się na to nie zgodził.

Gilbreath wzruszył ramionami.

- Zwracając się o pożyczkę, nie miał wyboru. Znalazł się w poważnych tarapatach. To były najlepsze warunki, jakie byłem w stanie mu zaproponować. Musiał je przyjąć. Ja także zrobiłem to, co musiałem.

- Lichwa?

- Proszę, panno Crandall. Chciałbym się z panią rozstać w przyjacielskiej atmosferze.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi. I wątpię, czy kiedykolwiek nimi zostaniemy. - Wstała i spojrzała na niego z góry. - Co do reszty, zapewniam, że dopilnuję, aby pożyczka została spłacona w terminie.

Także powstał, marszcząc brwi w wyrazie dezaprobaty.

- Ponoszę winę za pani zły humor. Nie otrzymuje pani ostatnio dobrych wiadomości, ale nie może mnie pani winić za stan zdrowia Cottona i zamknięcie jego przedsiębiorstwa. Jestem zobligowany do ochrony interesów banku.

- Nie ma powodu do obaw. Dług zostanie uregulowany w terminie.

Jej uśmiech był równie fałszywy jak uprzejmość Gilbreatha, który dzielnie jej sekundował.

- Przejęcie Belle Terre odczuwałbym jako wielką tragedię.

- Nigdy! Może pan to wyryć na jednej z tych różowych kolumn w siedzibie pańskiego banku. Do widzenia, panie Gilbreath.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Resztę popołudnia Schyler spędziła w gabinecie Cottona w Belle Terre, sprawdzając rachunki bankowe. Rzeczywiście, ojciec miał niewiele gotówki.

Spoglądała na alarmująco niski ostateczny wynik żmudnego dodawania, gdy do pokoju wpadł Ken.

- Drinki czekają na werandzie.

Pierwsze kilka dni po walce pitbulli Ken zachowywał się dziwnie. Obecnie zmienił front i popadł w żartobliwy nastrój. Nie miała ochoty na żarty.

- Ken, muszę z tobą porozmawiać. - Odłożyła ołówek i splótła dłonie na biurku. - Dlaczego wstrzymałaś działalność „Crandall Logging” po zawale taty?

Wysiłkiem woli udało mu się utrzymać na twarzy uśmiech.

- Kto ci o tym powiedział?

- Co za różnica? Wcześniej czy później i tak by mnie poinformowano. Wytłumacz mi, proszę.

- Dlaczego pytasz?

Westchnęła z rezygnacją.

- Rozmawiałam z Gilbreathem z Delta National Bank.

- To gnojek. Nie miał prawa ...

- Miał prawo, Ken. Jesteśmy winni jego bankowi mnóstwo pieniędzy i ja mam prawo wiedzieć, co się, u diabła, wokół dzieje, i oczekuję, że dowiem się tego od ciebie.

- Dobra, a ja mam prawo wiedzieć, dlaczego wróciłaś ostatniej nocy tak późno do domu.

Przez moment pomyślała, że Ken wie o jej wizycie w domu Casha, a być może nawet o pocałunku. Odczuła ulgę, gdy ponownie się odezwał.

- W mieście aż huczy, bo ktoś powystrzelał psy Jiggera Flynn. Jigger z pianą na ustach szuka teraz tego ktosia. Przymrużył oczy. - Nic na ten temat nie wiesz, prawda?

- Kiedy to się stało?

- W niedzielę w nocy.

- Położyłam się wcześniej, pamiętasz?

Przysiadł na rogu biurka i z uwagą obserwował wyraz jej twarzy.

- Tak, pamiętam. - Podniósł mosiężny przycisk do papieru i przerzucił go z ręki do ręki. -

Zdaniem Jiggera półcieżarówka pojawiła się na drodze niczym diabeł z piekieł i zabrała faceta, który zabił psy. Mówi, że strzelał do samochodu z pistoletu i trafił wabinę. - Skrzyżował przedramiona na udzie i pochylił się nisko, szepcząc: - A teraz, jak sądzisz, czyj pikap jeździ sobie ze świeżą dziurą po pocisku?

- Czyj?

- Casha Boudreaux.

- Czy Boudreaux podał jakieś wyjaśnienia dotyczące tej sprawy?

- Tak. Stwierdził, że otrzymał postrzał podczas ucieczki z sypialni żonatego mężczyzny, a dokładniej - uciekając przed żoną żonatego mężczyzny.

- Trudno o tym dyskutować.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Możliwe, ale wiesz, jakie jest moje zdanie na ten temat?

Spokojnie czekała, aż dokończy. Zniżył głos.

- Myślę, że to ty powybiłaś psy Jiggera, a Boudreaux ci pomagał. Zastanawiam się tylko, czym mu zapłaciłaś, bo ten Cajun nie robi niczego za darmo.

Gwałtownie wstała z fotela i okrążyła biurko.

- Zmieniasz temat.

Złapał ją za nadgarstek. Jego uśmiezek znikł, a twarz wykrzywiła się ze złości.

- Wydawało mi się, że ostrzegałem cię, byś omijała go z daleka, Schyler.

Uwolniła się szarpnięciem.

- A ja mówiłam, że nie potrzebuję niańki, ale najwidoczniej potrzebujesz jej ty, gdyż inaczej przedsiębiorstwo ojca nie znajdowałoby się na granicy bankructwa.

- To też moja firma.

- Więc dlaczego ją zamknęłaś?

- Dlaczego tak wrzeszczycie? - Tricia wkroczyła do gabinetu z drinkiem w dłoni. - Uciszcie się, jeśli łaska. Zamknęła za sobą drzwi. - Pani Graves tutaj nie mówi wiele, ale usta jej się nie zamykają, gdy stąd wychodzi. Co się dzieje?

- Nic, co by dotyczyło ciebie - warknął Ken.

- Ona też mieszka tutaj i powinna wiedzieć, że Belle Terre znajduje się w niebezpieczeństwie - sprzeciwiła się Schyler.

Tricia przeniosła wzrok z męża na siostrę•

- O czym wy, u diabła, mówicie? - Upiła ze szklanki. Schyler zreferowała obojgu rozmowę z Gilbreathem.

- Wiedziałem, że ten sukinsyn dostanie nas - parsknął Ken.

- Jego pochodzenie niewiele mnie obchodzi - stwierdziła ze złością Schyler. - Fakty pozostają nie zmienione. Mamy dług i nie widzę żadnego sposobu, by go spłacić. - Zajmę się tym - odburknął Howell.

- Jak, Ken, jak? - Schyler usiadła. Przekładając rachunki, uniosła ręce w geście rezygnacji. - Jesteśmy bez grosza.

- Zrujnowani?! - Tricia zaniósła się pełnym niedowierzania śmiechem. - T o niemożliwe.

- Tata użył Belle Terre jako gwarancji dla trzystu tysięcy dolarów pożyczki. Nie mogę sobie tego wyobrazić, ale tak było.

- Zachował się jak desperat - powiedział Ken. - Uważałem, że to głupi pomysł, ale on nie posłuchał mojej rady, bo przecież nigdy tego nie robił.

- Jestem pewna, że uczynił to, co uważał za konieczne.

Nie mógł przewidzieć swojego zawału ani tego, że zamkniesz interes, gdy go zabraknie - broniła ojca Schyler. - Ciągłe się mnie czepiasz. W porządku, w końcu udało ci się mnie wkurzyć, jeśli o to ci chodziło.

- Nie o to. Nie możemy pozwolić sobie na luksus obrażania się na siebie. Żądam wyjaśnień.

Ken przygryzł wargę. Wsunął ręce do kieszeni spodni i wtulił głowę w ramiona.

- To zwykła ekonomia. Traciliśmy więcej pieniędzy, niż zarabialiśmy. Nie mieliśmy żadnych zamówień, ale Cotton wypłacał pensje w tej samej kwocie co zwykle.

- Nigdy nie oszczędzał na pracownikach.

- I prawdopodobnie dlatego „Crandall Logging” znalazło się w tak opłakanej sytuacji - stwierdził z zapalem Ken. - Myślałem, że lepiej zamknąć interes, gdy jesteśmy jeszcze do przodu, niż wyrzucać pieniądze w błoto.

Schyler nie miała podstaw, by się spierać ze sposobem jego rozumowania, choć niezbyt przypadł jej do gustu. Cotton zawsze był bystrym biznesmenem. Trudno jej było uwierzyć, że stracił kontrolę nad interesami. Nieudolność Cottona jawiła się jej jako możliwość zgoła absurdalna. W każdym razie musiała coś z tym fantem zrobić.

- Czy są jakieś propozycje co do sposobu zdobycia pieniędzy? Mamy czas do piętnastego

przyszłego miesiąca.

Tricia opadła na drugi fotel i nonszalancko oglądała swoje wypielegnowane paznokcie. Ken podszedł do okna, nerwowo przygryzając wargę.

- Mogłabyś mi przynieść drinka? - zapytał żonę.

- Kiedy zaczniesz być troskliwym mężem, ja stanę się uprzejmą żoną.

Schyler miała ochotę krzyknąć. Ken odwrócił się nagle do niej.

- A wasz spadek po matce?

- Zapomnij o tym - wycodziła Tricia. - Nie zaryzykuję moich pieniędzy, by wydostać „Crandall Logging” z opresji ani by uchronić Belle Terre. Pierwsza bym ją sprzedała.

- Nie waż się nawet mówić takich rzeczy. - Schyler miała ochotę wymierzyć jej policzek.

Tricia nigdy nie troszczyła się o posiadłość.

Pod jednym względem jej siostra miała jednak rację.

Schyler nie mogła użyć majątku po matce. Gdyby Cotton zmarł, potrzebowałyby tych pieniędzy, aby zachować Belle Terre.

- Twój facet z Londynu mógłby pomóc. Jest bogaty, nieprawdaż?

- Nie mogę prosić Marka o pieniądze.

- Dlaczego? Sypiasz z nim przecież.

Ignorując tę wypowiedź, Schyler pokręciła zdecydowanie głową•

- Mark nie wchodzi w rachubę.

- Więc co proponujesz? - zapytał protekcyjnym tonem Ken.

- Otworzyć „Crandall Logging” i zarobić pieniądze na pokrycie długu.

- Przepraszam?

- Słyszałeś dobrze, Ken.

- Nie możesz tego zrobić.

- Pamiętam, że mama musiała codziennie wywlekać cię z tamtego okropnego miejsca - prychnęła Tricia.

- Zabraniam ci to zrobić! - krzyknął Ken.

Minutę temu Schyler nie widziała jeszcze wyjścia z całej tej opresji. Teraz decyzja została podjęta. Chciała to zrobić dla ojca i dla spokoju własnego sumienia.

- Nie masz prawa zabraniać mi czegokolwiek, Ken stwierdziła dobitnie. - Jutro chcę mieć akta przedsiębiorstwa z ostatnich kilku lat w biurze na placu. Wszystkie. Kontrakty, listy płac,

raporty podatkowe, pokwitowania wydatków, wszystko.

- Cotton dowie się o tym. - Ken zazgrzytał zębami. Schyler wymierzyła w niego oskarżycielsko palec.

- Masz cholerną rację. Chcę wiedzieć, dlaczego „Crandall Logging” w ciągu sześciu krótkich lat z dochodowego przedsiębiorstwa stało się firmą stojącą nad grobem.

- Twoim zdaniem to moja wina. Myślisz, że upadek zaczął się z chwilą, gdy ja wszedłem do interesu.

- Proszę, Ken, nie bądź dziecinny - odpowiedziała zmęczona. - Nie winię nikogo.

- To wina gospodarki - tłumaczył Howell. - Nie rozumiesz jej. Wszystko się wokół zmieniło.

- Więc może my także powinniśmy się zmienić?

- Takie grube ryby jak „Weyerhaeuser” czy „Georgia Pacific” nie dadzą nam szans.

- Z pewnością jest na rynku miejsce dla usług na mniejszą skalę.

Ken przeczesał palcami włosy.

- Czy masz pojęcie, jak skomplikowany jest ten biznes?

- Poradzę sobie.

- Zamierzasz zrobić ze mnie idiotę. Podczas niedyspozycji Cottona ja odpowiadam za „Crandall Logging”! wrzasnął.

- Już nie - zareplikowała zimno Schyler. Wstała. Opuściła pokój. Ken, prychnąwszy, spojrzał za nią, a następnie na żonę, która, zwinięta w fotelu, ospale popijała drinka. Pogardliwie wrzuszając ramionami, wyraziła swój stosunek do całej sprawy i opróżniła szklanę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Schyler?

- Hmm?

- Co tutaj robisz?

- Myślę.

Ken z wahaniem usiadł obok niej na huśtawce. Była już noc.

Tricia oglądała w telewizji Johnny Carsona.

- Sądzę, że jestem ci winien przeprosiny - powiedział, patrząc przed siebie na ciemny trawnik.

Piersi Schyler uniosły się i opadły w głębokim westchnieniu.

- Nie chcę twoich przeprosin, Ken. Chcę twojej pomocy. Nie walcz ze mną. Pomóż mi.

Sięgnął po jej dłoń i przykrył swoją•

- Pomogę. Wiesz, że to zrobię. Poniosło mnie dzisiaj trochę, to wszystko. Nie co dzień kobieta tak po prostu wkracza i odwraca role, rozumiesz mnie?

- Uważasz, że właśnie to robisz? Nie mam zamiaru osłabiać twojego autorytetu.

- Tak to jednak będzie wyglądać w oczach innych ludzi.

- Zrobię wszystko, by przekonać ich, że tak nie jest.

Przesunął delikatnie palcem po grzbiecie jej dłoni.

- Co ciebie zmusza do mieszania się w tę sprawę?

- Nie mam wyboru, prawda? Jeśli nie spłacimy długu, stracimy Belle Terre. Miałeś rację co do Gilbreatha. Ten gnojek nie okazałby litości.

- Z pewnością wymyślimy inny sposób zdobycia gotówki, jeżeli ruszymy trochę głową.

- Być może, ale brakuje nam czasu. Następną pożyczka tylko by nas pogrzyżyła jeszcze bardziej i na krótko odsunęła ostateczną katastrofę. Nie zamierzam oddać ani kawałka Belle Terre. Sama myśl o sprzedaniu jednego akra ziemi czy nawet spodka z kolekcji chińskiej porcelany przyprawia mnie o dreszcze. Poza tym dochodzi do tego sprawa farmerów, którym wydzierżawiliśmy tereny. Nie mogę sprzedawać domów, w których mieszkają.

- Nie powinnaś zaprzętać sobie głowy problemami wszystkich ludzi.

Uśmiechnęła się do niego.

- Muszę coś zrobić. Siedzę tutaj, czekając na wizyty w szpitalu, i powoli zaczynam

dostawać szału.

Przycisnął gwałtowniej jej dłoń.

- Wiem, że nie jesteś przyzwyczajona do bezczynności, ale obawiam się, że bierzesz na siebie zbyt dużo.

- W takim razie, gdy padnę na twarz lub jeszcze bardziej wszystko zagmatwam, będziesz miał największą satysfakcję, mogąc stwierdzić: „Mówiłem, że tak będzie”.

- To nie jest temat do żartów, Schyler.

- Wiem - powiedziała miękko, zwieszając głowę.

- Cotton także nie uzna tej sprawy za zabawną.

- Jestem tego pewna.

Chciała dokonać tego właśnie dla Cottona. Kochał Belle Terre bardziej niż cokolwiek na świecie. Przybył tu jako zwykły robotnik. Gdyby Schyler uratowała posiadłość, może znowu zaskarbiłaby sobie jego miłość. Wybaczyłby jej grzech, jaki nieświadomie popełniła. Znowu by się kochali tak jak przed jej wyjazdem do Londynu. Chciała stanąć przed nim zwycięska i zobaczyć miłość i wdzięczność w jego oczach.

- Jesteś fascynującą kobietą, Schyler.

Prawie to samo powiedział jej Cash; jednak Boudreaux, w przeciwieństwie do Howella, nie uśmiechał się wtedy tak łagodnie.

Ken przysunął się bliżej, aż ich uda się zetknęły. Huśtawka kołysała się powoli.

- Twoja determinacja irytuje mnie, ale też czyni cię tak cholernie pociągającą. - Dotknął dłonią jej policzka. - Pamiętasz te wszystkie godziny, które spędziliśmy dyskutując o tym lub o tamtym, atakując różne sprawy lub broniąc ich?

- Byliśmy parą krzyżowców, prawda?

Pokręcił przecząco głową.

- T o ty byłaś krzyżowcem, ja tylko twoim cieniem.

- Nie, nieprawda. Twoje przekonania były równie silne jak moje., Po prostu nie pamiętasz.

- Może - ustąpił.

Uczciwie rzecz biorąc, Schyler powątpiewała w szczerłość jego intencji. Pragnęła jednak wierzyć w bezkompromisowość Kena, w jego prawość niezachwianą jak skała.

- Tym razem naprawdę nadstawiam karku, Ken. Potrzebuję twojej pomocy.

Delikatnie otoczył palcami jej szyję•

- Sprawiasz, że czuję się silniejszy. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Dokonałem złego wyboru. Ożeniłem się z niewłaściwą kobietą, Schyler.

- Nie mów tak, Ken.

- Posłuchaj mnie.

Jego głos przepełniony był pożądaniem, czuła to także w jego dotyku. Przysunął się jeszcze bliżej.

- Każdego dnia mojego życia żałuję tego, co się zdarzyło z Tricią. Ona nie jest tobą. Jest małostkowa, płytka.

- Przestań, Ken.

- Nie. Chcę, byś to usłyszała. Ona nawet w najmniejszym stopniu nie może się równać z tobą. Miło na niej zawiesić oko, przespać się z nią, to wszystko. Tricia to egoistka, nie ma twojego ducha, twojego ognia, zapалу do życia i miłości .

Wstrząsnęły nią te słowa. Zacisnęła powieki.

- Nie mów już nic więcej. Proszę. Nie mogę tutaj zostać, jeśli ty ...

- Schyler, nie odchodź. Tak bardzo cię potrzebuję.

Przyłgął do niej i pocałował ją namiętnie i desperacko. Początkowo zeszywniała, ale stopniowo rozluźniła się.

Jej usta odpowiadały na pocałunki. Ręka Kena ześliznęła się z jej szyi na piersi. Ścisnął je przez ubranie. Cofnął się nieco, szepcząc czule jej imię, okrył jej twarz szybkimi pocałunkami. Jednak gdy spróbował znów ją pocałować, odepchnęła go i zeskoczyła z huśtawki.

- Do przeszłości nie ma powrotu, Ken. Nie dotykaj mnie w ten sposób nigdy więcej.

Podszedł do niej i objął ją w talii, mrużąc jej imię i całując włosy. Odwróciła się.

- Przestań. Mówiłam poważnie.

W świetle padającym przez okno ujrzał zdecydowanie malujące się na jej twarzy. Rozczarowanie, a później złość zacisnęły jego usta w wąską linię. Wściekły przebiegł werandę, schody i wskoczył do samochodu. Włączył silnik i odjechał z dużą prędkością. Patrzyła za nim, póki czerwone światła nie zginęły za zakrętem drogi.

Nie zdawała sobie sprawy ze swojego zmęczenia, dopóki nie spróbowała ruszyć do domu. Powoli weszła do środka i wspięła się po schodach do sypialni. Gotowa do snu, usadowiła się na poduszkach i sięgnęła po telefon. Budzik Marka i tak zadzwonił za godzinę. Musiała z nim

porozmawiać.

- Cześć, to ja - powiedziała, gdy uzyskała połączenie z mieszkaniem, które dzieliła z Markiem Houghtonem.

- Schyler? O Boże, która godzina?

- Tutaj czy tam? - Roześmiała się, wyobrażając sobie jego sterczące blond włosy i dłonie niezdarnie po omacku szukające przy łóżku zegarka.

- Chwileczkę, pozwól mi zapalić papierosa.

- Obiecałeś, że rzucisz palenie podczas mojej nieobecności.

- Kłamałem. - Po chwili był z powrotem przy telefonie. - Mam nadzieję, że nie masz złych wiadomości.

- O tacie nie.

- T o wspaniale.

- Ale nie wrócę do Londynu zbyt szybko.

- To już trochę gorzej.

- Będą mu robić poważną operację. Nie mogę wyjechać, dopóki ojciec nie znajdzie się bezpieczny w domu.

- Rozumiem, ale tęsknię za tobą. Brakuje mi ciebie w mieszkaniu i w galerii. Kilku naszych stałych klientów nie chce mieć do czynienia z nikim prócz ciebie. Obawiam się, że jeśli nie zobaczą cię wkrótce, to wsadzą mnie do Tower.

Pierwszy raz spotkała Marka, gdy zatrudnił ją jako swą asystentkę w sklepie z antykami. Był nie tylko jej pracodawcą, lecz również nauczycielem, a ona okazała się bystrą uczennicą. Niebawem orientowała się we wszystkim równie dobrze jak on, jeśli nie lepiej. Z tego powodu jego pochlebstwa mogła przyjmować za prawdę.

- Kilku nadzianych klientów koniecznie chce się dostać do ciebie.

Bawiąc się sznurem od słuchawki, zbierała myśli.

- Dopóki stan Cottona nie poprawi się, muszę dopilnować rodzinnych interesów.

Gwizdnął.

- A co z Kenem?

Mark znał całą historię.

- Obraził się, że ingeruję w jego sprawy, ale myślę, że mu przejdzie, gdy tylko się przyzwyczai.

- Na pewno dasz sobie radę ze wszystkim.

- Naprawdę tak myślisz?

- Nie wątpię w to ani przez chwilę•

- Nie wydawaj zbyt pochopnych sądów. Jest coś jeszcze. Nadchodzi termin spłaty pożyczki, a kasa pusta.

Zamilkli oboje. Mark odezwał się pierwszy.

- Ile potrzebujesz?

- Nie prosiłam o pieniądze.

- Ale ja ci proponuję.

- Nie, Mark.

- Pozwól, proszę, abym ci pomógł.

- Nie. Muszę zrobić to sama.

„Muszę zarobić na prawo do życia w Belle Terre” dopiero w tej sekundzie uzmysłowiła to sobie.

Żyła w Belle Terre dzięki uśmiechowi losu. Gdyby inne dziecko urodziło się godzinę przed nią, Macy i Cotton wzięliby je zamiast niej.

Po śmierci Cottona odziedziczy wraz z Tricią Belle Terre.

Tricia uważała to za naturalne.

Ale nie Schyler. Musiała na to zapracować, choć nie potrafiłaby nikomu wyjaśnić, dlaczego uważała takie postępowanie za konieczne.

- Czy dasz sobie radę beze mnie jeszcze przez jakiś czas, Mark?

Westchnął.

- Czy mam inną możliwość?

- Obawiam się, że nie.

- Więc nie ma o czym mówić.

- Tak bardzo potrzebuję, byś mnie przytulił - powiedziała szeptem jak przerażona dziewczynka. - Mark, co ja, do diabła, wiem o kierowaniu takim przedsięwzięciem?

Roześmiał się.

- Chyba tyle, ile wiedziałas o antykach, przychodząc do mnie. Szybko się nauczysz.

- Jeśli chodzi o antyki, miałam znakomitego nauczyciela.

- Kocham cię, maluszku.

- Ja też cię kocham.

Przeciągała rozmowę, opowiadając o Jiggerze Flynnie i pitbullach. Z trudem dawał temu wiarę.

- Uważasz, że ta dziewczyna, Gayla, trzymana jest tam siłą? Myślałem, że Południe jest takie jedynie w sztukach Tennessee Williamsa i powieściach Williama Faulknera.

- Nie osądzaj nas przez pryzmat Jiggera Flynna.

Zaniepokoił się o jej bezpieczeństwo, gdy wspomniała o Cashu.

- Znam go od dawna. T o znaczy zawsze wiedziałam o jego istnieniu. Zawsze czaił się w cieniu.

- Masz pewność, że możesz mu ufać? Wygląda równie niebezpiecznie jak Flynn.

Skubnęła brzeg prześcieradła.

- Sądzę, że tak.

Godny zaufania? Być może. Lecz także niebezpieczny.

Kobieta powinna obawiać się przebywania z nim sam na sam. Porównywanie jego pocałunku z pieszczotami dawnego kochanka nie było najlepszym pomysłem. Howell zdecydowanie zajął drugie miejsce.

Pozwoliła Kenowi pocałować się z czystej ciekawości.

Nie odczuła żadnej przyjemności. Natomiast za każdym razem, gdy przywoływała w pamięci pocałunek Casha, jej serce biło szybciej, a przez całe ciało przebiegały dreszcze.

Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Markowi. Zrozumiałby ją, niemniej odstąpiła od tego pomysłu. Nie potrafiła oddać słowami swoich uczuć do Casha.

- Schyler?

- Jestem wciąż tutaj, ale muszę zakończyć rozmowę. Znajduję się o krok od ruiny, a nabijam astronomiczny rachunek za telefon.

- Przemyśl wszystko, zanim zadzwonisz następnym razem.

- Przepraszam, że obudziłam cię tak wcześnie. Spróbuj jeszcze zasnąć.

- Właśnie zadzwonił mój budzik.

- Przykro mi.

- A mnie nie. Dzwoni, kiedy tylko będziesz potrzebowała rozmowy, czegokolwiek.

- Dobrze.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Odkładając słuchawkę, żałowała, że wszystkie układy w jej życiu nie są tak szczerze i nieskomplikowane jak ten z Markiem. Zgasiła światło i położyła się, obserwując przesuwające się po suficie cienie i smugi księżycowego światła.

Rano musi uruchomić „Crandall Logging”, przywrócić do pracy drwali, poinformować niezależnych, że w dalszym ciągu skupuje od nich drewno. Ich nazwiska znajdzie w kartotekach. Trzeba będzie przeanalizować rynki zbytu i nawiązać kontakty.

Tak dużo do zrobienia.

Tak dużo do przemyślenia ...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Hej, chłopcze!

Atletyczne ciało Jimmy'ego Donavisona napięło się, gdy uprzytomnił sobie, że jako jedyny pozostał pod prysznicem.

Popelnił okropny błąd. Wysunął głowę spod strumienia ciepłej wody i spojrzał w stronę wołającego go człowieka.

- Mówisz do mnie?

Potęźnie umięśniony mężczyzna leniwie opierał się o wilgotną ścianę. Z jego wyciągniętej prawej ręki zwisał ręcznik.

- A do kogóż, kochanie?

Jimmy Don zignorował pieśczośliwe słówko i zakręcił zardzewiały kurek.

Strzepnął wodę z ciała, świadomy, że intruz obserwuje jego ręce, przesuwające się po wciąż prężnych - dzięki codziennym treningom na więziennym dziedzińcu - mięśniach. Sięgnął po ręcznik. Razz w ostatniej sekundzie wyrwał mu go.

Po kilku próbach Jimmy'emu Donowi udało się złapać tkaninę. Natychmiast owinał ręcznik wokół bioder. Nie okazując zdenerwowania, rozejrzał się szybko. Tak jak się obawiał, byli sami.

- Kogo szukasz, chłopcze? Strażnika? Nie przejmuj się nim. Przyniosłem mu nowy świerszczyk, pewnie marzy teraz w spokoju.

Ordynarny śmiech Razza odbił się echem w pustym pomieszczeniu.

- Wybacz, Razz. Jestem zajęty.

Jimmy Don szcztokował włosy, gdy mięsista dłoń zacisnęła się wokół jego ramienia. Dawny gracz w futbol znajdował się w doskonałej kondycji fizycznej. Na bieżni odstawiłby Raza na milę, nie zasapawszy się nawet.

Teraz sytuacja wyglądała jednak inaczej. Mężczyzna o skórze różowej i gładkiej jak tyłek niemowlaka był od niego cięższy prawie o sto funtów i silny jak wół. Razz doprowadził swoje mięśnie do nienaturalnych rozmiarów. Golił i natłuszczał swoją głowę. Przypominał zwierzę.

- Dokąd się spieszysz, kochanie? - zanucił obłudnie.

- Zostaw mnie w spokoju.

Na moment uśmiech Razza przycichł, a jego świńskie oczy spoczęły na twarzy Jimmy'

ego Dona. Potem wstrętny uśmiezek powrócił. Figlarnie trącił Davisona pięścią w ramię.

- Rozwścieczenie Razza byłoby prawdziwą głupotą ze strony murzyńskiego chłopca, nieprawdaż? - Przesunął palcem po pięknej, umięśnionej klatce piersiowej Jimmy'ego. - Szczególnie odkąd wiem to, co wiem.

Jimmy Don cofnął się pod wpływem dotyku Razza, nie odpowiadając w obawie ujawnienia morderczej nienawiści, jaka go trawiła. Dość wcześnie nauczył się niepisanego prawa panującego w więzieniu, prawie równie brutalnego jak prawo dżungli. Tylko ci, którzy umieli się przystosować, przeżywali. By przetrwać i wydostać się na wolność, trzeba było ze stoickim spokojem wytrzymać niewymowne okrucieństwo współwięźniów.

A on chciał się wydostać - tylko na tak długo, by dokonać tego, co musiał zrobić. Nie dbał o to, co się z nim stanie później, w tym czy przyszłym życiu. Po wyrównaniu rachunków diabeł mógł go już zabrać.

- Czy nie jesteś ciekaw tego sekretu, który dotyczy ciebie? - Razz podrapał sutek Jimmy'ego Dona paznokciem kciuka.

Twarz chłopaka pozostała bez wyrazu. Nauczył się znosić wiele, gdyż sprzeciw równał się wyrokowi śmierci.

W porównaniu z tym, co mogło człowieka czekać z rąk panów więzienia, krzesło elektryczne wydawało się wielce humanitarnym rozwiązaniem.

Pudło stanowiło księstwo Razza. Sprawował despotyczną władzę nad pozostałymi więźniami i wieloma spośród strażników. Najwyżsi urzędnicy administracyjni pozostawali nieświadomi tego faktu lub obojętni na to.

- Poproś mnie ładnie, a powiem ci, co wiem - szydził Razz.

- Sram na twoje wiadomości.

Jimmy Don był szybki. Przebiegał setkę w dziesięć sekund. Ale nie nauczył się walczyć w zaułkach. W przeciwieństwie do Razza. Zanim Davison zareagował, Razz trzymał rękę pod jego rękami i zaciskał w garści jądra Jimmy'ego.

- Jesteś pewny? - Razz przekręcił dłoń. Don stanął na palcach. - Poproś ładnie, żebym powiedział. - Dyszał tuż przy twarzy chłopaka. Szczercząc zęby, zwiększył siłę ucisku. Davison wykrzywił z bólu twarz. - Poproś ładnie albo je oderwę•

- Proszę, proszę, powiedz mi. - Nienawidził siebie za to, że musiał się poddać, ale nie chciał umrzeć ani zostać okaleczony.

- O, widzisz, że potrafisz? - Razz stopniowo rozluźnił ucisk, ale nie cofnął dłoni. Przynął się bliżej i pochylił, by podzielić się tajemnicą. - Wychodzisz warunkowo, chłopcze. Wkrótce. Naprawdę niedługo.

Jimmy Don przestraszył się tak, że jego serce zamarło.

Odetchnął głęboko i przymrużył oczy.

- Pieprzysz.

- Ja? - zapytał Razz z urazą.

- Skąd wiesz?

- Mały ptaszek mi powiedział. - Razz przybrał smutny wyraz twarzy. - Wiedziałem, że się ucieszysz, lecz mnie ta nowina smuci. Bardzo lubię takich ładnych czarnych chłopców jak ty.

Ponownie ścisnął jądra Jimmy'ego Dona, tym razem pieszczotliwie.

Davison odepchnął rękę Razza.

- Trzymaj łapy z daleka ode mnie, ty sukinsynu.

Nagle został uniesiony i rzucony na ścianę. Uderzył w nią policzkiem, przeszył go ogromny ból. Razz wykręcił mu ramię. Jimmy Don wrzasnął z bólu pomimo całej swojej determinacji.

- Jedynie to, że nienawidzę niszczyć ładnych rzeczy, powstrzymuje mnie od roztrzaskania twojej twarzy o tę ścianę - zasyczał Razz.

Jimmy Don w odpowiedzi wbił łokieć w brzuch prześladowcy. Razz chrząknął, ale jego uchwyt nie zelżał. Przydusił swoim ciałem młodszego mężczyznę do ściany i przycisnął wargi do jego ucha.

- Lepiej bądź dla mnie miły, kochanie - zasyczał złowrogo. - Zrobisz to, co Razz mówi, albo dopilnuję, aby twoje szanse na zwolnienie warunkowe spadły do zera. Zrozumiałeś? Nie zostało mi dużo czasu na zabawę z tobą, ale dopóki tu jesteś, należysz do mnie, rozumiesz?

Jimmy Don kiwnął głową. Walka z Razzem była stratą sił i czasu. Odsunęłaby jedynie to, co nieuchronne. W tym wypadku mogła też oznaczać utratę szans na zwolnienie.

Numer dwadzieścia jeden - Barbarzyńca z Heaven usłyszał zgrzyt zamka błyskawicznego. Poczł na ciele rękę Razza.

Wiedział, co za chwilę nastąpi. Zniesie to. Wytrzyma wszystko i wydostanie się stąd. Żył dniem, w którym zemści się na Jiggerze Flynnie i jego dziwce, Gayli Frances.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Zrobiłeś to?

- Zrobiłem co? - odpowiedział pytaniem Cash, podczas gdy palec zakończony ostrym paznokciem pieścił jego wargi. Rhoda Gilbreath uśmiechnęła się. Nigdy nie widział równie krwiożerczego uśmiechu.

- Czy zabiłeś pitbulle Jiggera Flynna?

- To nie były prawdziwe teriery, przecież wiesz. Błędna nazwa.

- Nie zagaduj mnie. Zrobiłeś to.

- Nie.

Cash odepchnął ją i ruszył w głąb pokoju. Wcześniej, zaledwie zamknęła za nim drzwi swego domu, uwiesiła się na nim i po pierwszym pocałunku postawiła pytanie.

- Wszyscy tylko o tym mówią•

- Nic na to nie poradzę. Nie zastrzeliłem jego psów.

- Spodziewasz się, że ci uwierzę?

- Jigger uwierzył.

Jej oczy wyrażały zaskoczenie.

- Rozmawiałeś z Jiggerem?

- Niecałą godzinę temu. Podaj mi piwo.

Wyciągnąwszy puszkę z lodówki w kuchni, poszła za Cashem do bawialni. Rozwalił się na jej najwytworniejszej sofie i oparł obute stopy na stoliku do kawy z dymnego szkła. Siorbnał z oszronionej puszką.

Rhoda usiadła obok niego.

- Gdzie?

- Gdzie co?

- Gdzie się spotkałeś z Jiggerem?

- Zauważyłem jego ciężarówkę przed jedną ze spelunek na peryferiach miasta.

Zatrzymałem się i wszedłem tam.

- Co zrobił, gdy cię zobaczył?

Cash wzruszył ramionami nonszalancko.

- Postawił mi kilka poważnych zarzutów. Zaprzeczyłem i stwierdziłem, że musiałbym być

idiotą, by strzelać do zwierząt, które regularnie przynosiły mi duże pieniądze.

Łyknał piwa, podczas gdy Rhoda rozważała każde jego słowo.

- Powiedział, że nie pomyślał o tym. Potem zapytał, gdzie zarobiłem tę dziurę w boku mojej ciężarówki.

- Gdzie?

- Pewien cholerny dureń z Allen wbił sobie do głowy, że rzną jego żonę.

- Robisz to?

Jego uśmiezek nie potwierdził podejrzeń ani im nie zaprzeczył. Doskonale się bawił, dręcząc Rhodę. Nigdy nie uwodził żony kochającej swojego męża. Brał do łóżka tylko takie, których marki był pewien. Rhoda natrafiła na niego któreś nocy w Country Clubie. Rozstał się właśnie z kolejną kochanką.

Podczas przerwy w rozgrywkach pokerowych wyszedł na zewnątrz, aby zapalić. Rhoda Gilbreath podążyła za nim.

- Co sądzisz o tej partii pokera? - zapytała.

- Nudna.

- A o tym? - Ściągnęła przez głowę sweter i stanęła przed nim półnaga.

Zaciągnął się dymem i niedbale spojrzał na jej biust.

- Kosztowały mnóstwo pieniędzy.

Wymierzyła mu policzek. Oddał jej. Spokojnie założyła z powrotem sweter.

- Jutro o trzeciej po południu w motelu Evangeline powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.

Przyłożył wskazujący i środkowy palec do skroni i oddał jej kpiarski salut. Wróciła do środka. Skończył palić papierosa i także przyłączył się do towarzystwa.

Następnego dnia okna pokoju dwieście osiemnaście motelu Evangeline były przez kilka godzin zasłonięte. Po powrocie do domu Rhoda czuła się sponiewierana, lecz zarazem tak wspaniale jak nigdy dotąd.

Od tamtego popołudnia spotykali się w rozmaitych motelach, ale lubił odwiedzać ją w domu. Czerpał przyjemność, naruszając spokój mieszkania, które dzieliła z Dale'em Gilbreathem. Lubiał kłaść zabłocone buty na jej drogich meblach. Mógł sobie pozwolić na takie traktowanie Rhody, gdyż miała więcej do stracenia niż on i oboje o tym wiedzieli.

Była atrakcyjna. Gdyby się rozstali, z pewnością znalazłaby innego kochanka, który

doceniłby jej blond włosy i zimne błękitne oczy, uwielbiałby jej figurę i nie uśmiechał się z pogardą na jej widok.

Twarz Rhody przyciągała uwagę, lecz jedna cecha sprawiała, że nie mogła uchodzić za ładną. Było to wyrachowanie w jej oczach, nie znikające nawet w wirze namiętności. Cash zauważył to tej samej nocy, gdy się poznali. Był to jeden z powodów, dla których wydała mu się atrakcyjna. Tej pani nie można było zranić zbyt głęboko. Nigdy nie miał kobiety, która znosiła wszystko, co jej serwował.

Rhoda taka właśnie była. Od pierwszego spojrzenia, które posłała mu przy stoliku do gry w karty, wiedział, że należy do niego. Kobiety jej pokroju niszczyły swoich mężów psychicznie, były seksualnie niewyżyte, zazdrosne o swój wygląd, spojrzenia i pieniądze mężczyzn. Były głodnymi, niespokojnymi i samolubnymi harpiami. Rhoda Gilbreath przewodziła temu stadu. Nie zasługiwała na szacunek.

Wysączył piwo i odstawił pustą puszkę na stolik.

- Dopóki nie zaczniesz pijać piwa, nie zapomnij wyrzucić jej przed powrotem Dale' a.

Przesunęła palce po jego koszuli w poszukiwaniu pępka.

- Być może pozwolę mu odkryć, że mam kochanka.

Uniósł sceptycznie brew.

- Nie sądzisz, że on już wie?

- Prawdopodobnie. - Błysnęła zębami w nieprzyjemnym uśmiechu. - Być może pozwolę wydobyć mu z siebie wiadomość, kto jest tym kochankiem. To mogłoby być podniecające. Chciałabym zobaczyć, jak wyrównujecie rachunki w sposób, w jaki uczyniłeś to z Jiggerem Flynnem.

- Taka rzecz nigdy nie zdarzyłaby się.

- Och? Dlaczego nie?

- Ponieważ Jigger swoje psy kochał.

Przeszyła go wzrokiem pełnym nienawiści.

- Ty sukinsynu, lepiej uważaj. Jeszcze nie wybaczyłam ci twojego zachowania podczas naszego ostatniego spotkania w tamtym trzeciorzędym motelu.

Załoczył ręce za głowę i wyciągnął się na sofie.

- Nie zagroziysz mężczyźnie, który nie ma absolutnie nic do stracenia, Rhodo.

Ze złością wpatrywała się w jego twarz, następnie, na znak pojednania, złożyła głowę na

jego piersi.

- T o jest właśnie to. Im bardziej obłudnie się zachowujesz, tym bardziej jesteś pociągająca. - Parsknął krótkim śmiechem.

Jeden po drugim rozpinęła guziki jego koszuli.

- Mógłbyś mieć coś do stracenia. Jeżeli Crandallowie sprzedadzą Belle Terre, zostaniesz wyrzucony. Wątpię, czy następny ...

Unieruchomił błędzącą dłoń Rhody, przyciskając ją do swego brzucha.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Crandallowie tracą Belle Terre?

Uwolniła rękę i powtórnie dobrała się do guzików.

- Dale powiedział, że pożyczył Cottonowi Crandallowi sporo pieniędzy. To było w zeszłym roku. Teraz nadchodzi termin zwrotu. Dale zaczął obawiać się o pieniądze, gdyż Ken Howell zamknął interes, więc spotkał się z córką Cottona, tą starszą, jak jej na imię?

- Schyler.

- Właśnie. Ona jednak nawet nie wiedziała o pożyczce. Podobno, dowiedziawszy się, że Cotton jako gwarancji użył Belle Terre, dostała niemal apopleksji. Starła się opanować, ale wyszła błada jak śmierć. Wygląda na to, że bank ma realne szanse na przejęcie Belle Terre.

Jedną z przyczyn, dla których Cash wciąż spotykał się z Rhodą Gilbreath, były cenne informacje, w które go zaopatrywała. Dale naj widoczniej nie obawiał się poruszać poufnych spraw bankowych przy żonie, która z kolei bez wahania dzieliła się nimi z kochankiem.

Cash skierował wzrok na sufit. Rhoda lekkimi pocałunkami pokrywała gęsty kobierzec włosów na jego piersi.

- Co bank może zrobić z takim domem jak Belle Terre? - zapytał.

- Hmm? Nie wiem. - Przesunęła końcem języka wokół jego sutka. - Sprzeda go, jak sądzę.

- Ciekawe, ile mógłby za niego dostać - dumął na głos.

- Dlaczego? Jesteś zainteresowany, Cash?

Wplątał palce w jej włosy i przyciągnął ku sobie twarz kochanki. Pocałował ją szybko, ogniskując myśli Rhody tylko na jednym. Jej umysł był zbyt urodzajnym polem, by ryzykować zasianie w nim ziarna podejrzeń.

- Dlaczego nie kończysz tego, co zaczęłaś? - Z kieszeni dzinsów wyłowił foliową paczuszkę, z którą nigdy się nie rozstawał. Rzucił ją Rhodzie.

Kobieta oblizwała wargi. Z wprawą rozpięła klamrę paska i błyskawiczny zamek dzinsów

Casha. Głowa mężczyzny ponownie opadła do tyłu. Patrzył w górę na kryształowe łyżki pretensjonalnego żyrandola. Powoli zapadł w odrętwienie, lecz nie dzięki rytmicznym ruchom zachłannych ust Rhody, ale dwóm słowom, monotonicznie tłukącym się w jego umyśle: Belle Terre, Belle Terre ...

- Belle Terre - wymówił z dumą Cotton Crandall.

- T o piękna nazwa dla pięknego domu.

Monique Boudreaux uśmiechała się do niego, jej oczy promieniały radością. Cotton pochylił głowę i pocałował lekko wargi tej pięknej kobiety.

- Rozumiesz, dlaczego poślubiłem Macy?

- Rozumiem, Cotton.

Cash, grzebiąc palcami bosych stóp w ciepłej ziemi, odgiął do tyłu głowę i obserwował, jak uśmiechnięta twarz matki staje się smutna. Gdy wyruszyli z Nowego Orleanu do miasta, w którym żył wysoki mężczyzna z białymi włosami, Cash miał nadzieję, że już nigdy matka nie będzie płakać i leżeć godzinami w odrętwieniu na łóżku, aż do czasu gdy musiała wstać i wyjść do pracy w barze, gdzie podawała piwo ordynarnym i gwałtownym marynarzom.

Zawsze mówiła mu, że pewnego dnia człowiek, którego nazywała Cottonem Crandallem, pośle po nich. Potem będą szczęśliwi.

Dzień, w którym otrzymała tamten list, rzeczywiście był dniem szczęścia. Uściskała synka tak mocno, że ledwie mógł oddychać.

- Spójrz, mon cher, wiesz, co to jest? On chce, byśmy zamieszkali z nim w cudownym miejscu, zwanym Belle Terre.

Pokryła twarz chłopca radosnymi pocałunkami.

Dwa dni później, z całym skromnym dobytkiem i w najlepszych ubraniach, wsiedli do pociągu. Podróż trwała według Casha zbyt krótko. Gdy przybyli do miejsca przeznaczenia, on stał cicho naprzeciw buchającej parą lokomotywy, spozierając na mężczyznę, do którego podbiegła jego matka.

Rzuciła się w jego ramiona. Uniósł ją i okręcił wokół.

Cash nigdy nie widział tak wysokiego i silnego człowieka. Monique odrzuciła do tyłu głowę, śmiejąc się z taką radością, jakiej Cash wcześniej nie słyszał w jej głosie. Czarne loki matki błyszczały w promieniach słońca.

Całowała się z tym człowiekiem tak długo, że Cash pomyślał, iż zapomniała o nim.

Ogromne ręce mężczyzny otoczyły ją, dotykając w sposób, na jaki na pewno nie pozwoliłaby klientom baru. W końcu uwolniła się z jego ramion i żywym gestem nakazała Cashowi, by podszedł. Niechętnie ruszył w stronę wysokiego mężczyzny. Ten uśmiechnął się do Casha i zwichrzył mu włosy.

- Nie sędzę, by mnie pamiętał.

- Był małym dzieckiem, gdy wyjechałeś, mon cher - powiedziała Monique. W jej oczach błysnęły łzy, ale usta układały się w szeroki uśmiech.

Serce małego Casha biło radośnie - jego mama była szczęśliwa. Nie widział jej jeszcze takiej. Ich życie rozpoczęło się na nowo. Nie będą dłużej mieszkali w ciemnym, obskurnym pokoju w pełnym pluskiew mieszkaniu.

Wprowadzą się do domu na wsi, otoczonego trawą, drzewami i świeżym powietrzem. Nareszcie dotarli do Belle Terre.

Dom, do którego zawiózł ich Cotton, niezupełnie odpowiadał oczekiwaniom Monique. To był mały szary dom, usadowiony na brzegu kanału, który on nazwał Kanałem Laurenta. Między dorosłymi wybuchła kłótnia. Cashowi kazano pobawić się przed domem.

Posłuchał niechętnie, ale nie ruszył się dalej niż na werandę, wciąż nieufny w stosunku do poznanego właśnie człowieka.

- To zwykła chałupa - powiedziała Monique podniesionym głosem.

- Została solidnie zbudowana. Kiedyś mieszkała tu rodzina zbieraczy mchu, lecz przez ostatnie kilka lat nie używano jej.

- Śmierdzi moczarami.

- Pomogę ci doprowadzić ją do porządku. Spójrz, już zacząłem. Dobudowałem łazienkę.

Jej głos załamał się•

- Nie będziesz tutaj z nami mieszkać, prawda?

Po krótkiej pauzie Cotton westchnął.

- Nie. Nie będę. To wszystko, co mogę dla was zrobić.

Cotton ożenił się z damą o imieniu Macy. Monique nie spodobało się to. Wrzeszczała na niego, używając wyzwisk, które Cash słyszał w barze, ale zabroniono mu ich powtarzać. Miejscami przechodziła na swój ojczysty język i mówiła z takim podnieceniem, że nawet jej rodzony syn z ledwością ją rozumiał.

Gdy zapadła ciemność, przestał podsłuchiwać i skoncentrował się na łapaniu światełek.

Matka poszła z Cottonem na górę do sypialni i nie wracała dłuższy czas. Poczł senność i zwinął się na chropowatej podłodze werandy. Gdy w końcu wrócili, obejmowali się i uśmiechali. Wysoki mężczyzna pochylał się i dotknął policzka Casha, potem pocałował na pożegnanie Monique i odjechał swoim samochodem. Gdy pojazd zniknął w ciemnym tunelu drzew, Monique objęła wąskie barki Casha.

- To jest teraz nasz dom, Cash. - W jej głosie pobrzmiwało zadowolenie.

Monique dokonywała cudów. W ciągu następnych miesięcy przemieniła chałupę w dom pełen kolorów i światła. Na oknach, w skrzynkach, kwitły kwiaty. Podłogi pokrywały dywaniki, a okna ozdobione zostały nowymi firankami.

Mieszkali tam już od dłuższego czasu, zanim Cotton dał się uprosić Monique i poprowadził ich przez las, by pokazać dom na plantacji.

Ten dzień na zawsze pozostał w pamięci Casha. Nigdy dotąd nie widział domu tak ogromnego. Był nawet większy niż rezydencja na St. Charles Avenue, którą Monique pokazywała mu z okna tramwaju. Okazałość Belle Terre budziła w nim strach.

Stojąc w cieniu drzew, Monique oparła policzek na piersi Cottona i podziwiała ogrom domu.

- Opowiedz mi o nim. Jak wygląda w środku?

- Jest piękny, Monique. Wypolerowane podłogi są gładkie i lśniące jak lustra. W jadalni ściany pokrywa żółty jedwab.

- Jedwab? - powtórzyła pełnym czci szeptem. - Szkoda, że nie mogę tego zobaczyć.

- To niemożliwe. - Cotton odsunął ją od siebie i spojrzał jej w oczy. - Nigdy, Monique, rozumiesz? Dom należy do Macy. Cashowi i tobie nie wolno przekroczyć tej granicy.

Skinęła głową.

- Rozumiem, Cotton. Po prostu żałowałam, że nie mogę zobaczyć czegoś tak pięknego.

Wyraz twarzy Cottona zmienił się. Objął ją gwałtownie, przytulił mocno i przylgnął głową do jej twarzy. Cash przyglądał się domostwu, dziwiąc się, że komuś zaszkodziłoby, gdyby on i jego mama weszli do środka, żeby obejrzeć pokryte żółtym jedwabiem ściany. Może tej kobiecie - Macy. To prawdopodobne, gdyż była ona żoną Cottona.

- Czy ona przebiera się do kolacji? - chciała wiedzieć Monique.

- Tak.

- W eleganckie stroje?

- Czasami.

Monique przysunęła się do Cottona, jak gdyby chcąc ukryć w ten sposób swoją prostą bawełnianą sukienkę. Z miłością pogłaskał jej czarne kręcone włosy. Po chwili uniósł palcem jej brodę.

- Skoro mowa o kolacji, mam nadzieję, że przygotowałaś coś smacznego.

Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

- Oui.

- W takim razie wracajmy. Umieram z głodu. - Obrócili się jednocześnie i skierowali z powrotem w stronę kanału. - Cash, idziesz, chłopcze?! - zawołał Cotton, zorientowawszy się, że chłopiec pozostał w tyle.

- Idę.

Ale nie ruszył się z miejsca, oszołomiony pięknem Belle Terre.

Rhoda pieściła Casha z wprawą, nieświadoma, że kochanek błądzi wśród wspomnień. Kiedy wszystko wokół niego pociemniało, gdy zacisnął powieki i obnażył zęby, osiągając rozkosz, nie imię Rhody, lecz inne odbiło się echem w jego głowie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Schyler pochyliła głowę. Zamknawszy oczy, napięła mięśnie karku i pokręciła obolałą głową, by odegnąć zmęczenie. Usiłowała ponownie skupić się nad dokumentami, lecz okazywało się to niemożliwe. Jej zmęczone oczy odmawiały posłuszeństwa. Wstała od biurka i podeszła do ekspresu do kawy. Nalała kawy do filiżanki, chcąc choć na chwilę oderwać się od męczącej pracy. Upiła kilka łyków, odstawiła filiżankę i podeszła do okna.

Ludzie wynajęci do sprzątania umyli szyby, ale to, co widziała przez czyste już okna, nie było wcale bardziej zachęcające.

Gapiała się na pustą platformę przeładunkową; nawet tory kolejowe wydawały się zbierać kurz. Pociągi unikały tego miejsca, gdyż nie było tu drewna, które można by załadować i przetransportować do nabywcy.

Już trzy dni temu zamieściła w gazecie ogłoszenie, że „Crandall Logging” wznawia działalność. Oczekiwała, że będzie zmuszona zrezygnować z usług niezależnych drwali, nie będąc w stanie zapłacić im za drewno, dopóki nie otrzyma kilku zamówień. Jej optymizm okazał się nieuzasadniony.

Jak dotąd ani jeden ładunek nie pojawił się na placu. Osobiście zawiadomiła przez telefon dawniej tutaj zatrudnionych pracowników. Żaden nie przybył, by znów podjąć pracę. W tej sytuacji szukanie potencjalnych nabywców nie miało sensu.

Z przygnębieniem przetarła przemęczone oczy. Ostatnią noc spędziła w szpitalu w nadziei, że Cotton odzyska przytomność. Jak dotąd udało się jej porozmawiać z ojcem tylko jeden raz. Odwrócił się wtedy od niej. Za każdym razem, gdy wracała myślami do tego zdarzenia, wpadała w rozpacz.

Podjeżdżała, że podczas jej wizyt w szpitalu jedynie udawał głęboki sen. Prognoza doktora Cottinsa wciąż była ostrożna, choć ogólnie pomyślna. Tricii i Kenowi udało się przeprowadzić z Cottonem krótką rozmowę, Schyler ciągle nie miał nic do powiedzenia.

Każde jej odwiedziny w szpitalu kończyły się niepowodzeniem. Podobnie jak każdy dzień pracy. Spędzała godziny w biurze na placu, czekając na jakąkolwiek zmianę.

Wciąż się nie poddawała. Musiało jej się powieść, nawet gdyby oznaczało to konieczność najęcia kogoś mówiącego językiem drwali, potrafiącego skoordynować ich działania i dać im motywację do pracy.

Oznaczało to zatrudnienie Casha Boudreaux.

Jego nazwisko padało przy każdej okazji. Towarzyszyło wszelkim jej przedsięwzięciom. W ciągu ostatnich kilku dni słyszała je tak wiele razy, że zaczęło się ono pojawiać nawet w jej snach i było pierwszą rzeczą, o której myślała po przebudzeniu.

- Chcesz, żebym wrócił do roboty? Świetnie! Gdy tylko pojawi się Cash, będę... - słyszała nieodmiennie w słuchawce.

- Obawiam się, że pan Boudreaux nie wróci.

- Co pani chce przez to powiedzieć? On jest najważniejszym człowiekiem.

- Już nie.

- Rozumiem. Cóż eee ... dostałem tymczasową pracę• I tak to szło.

Wybrała następne nazwisko z listy.

- A co z Cashem?

. - Zawsze pracuję z Cashem Boudreaux. On ...

- Boudreaux nie pracuje już dla was? Widzi pani, on ... Dzwoniła do każdego drwala, którego „Crandall Logging” kiedykolwiek zatrudniało. Bezskutecznie. Nie namówiła nikogo. Sfrustrowana, porozumiała się z Kenem.

- Zaczynam myśleć, że Cash Boudreaux sam ścinał te cholerne drzewa. Co on dokładnie dla nas robił?

- Generalnie przysparzał kłopotów. Powściągnęła swoje rozdrażnienie.

- A bardziej precyzyjnie?

- Dokładnie, on... - Ken wykonał nieśmiały gest.

- Mniej więcej robił wszystko.

- Masz na myśli wszystkie zajęcia? Na placu, w biurze, w lesie?

- Psiakrew! Schyler, nie wiem. Moje biuro mieści się gdzie indziej. Rzadko bywam na placu.

- Rozumiem, Ken. Przepraszam, że zawracałam ci głowę• Dziękuję za informację i wybacz, że ci przeszkodziłam. - Odwróciła się, by odejść, czując się teraz skrępowana każdym sam na sam z Kenem.

- Schyler?

- Tak?

Zdawał się toczyć wewnętrzną walkę, zanim się odezwał. - Usłyszałem kiedyś

przypadkowo, jak Cotton powiedział...

- Co?

- Powiedział, że Boudreaux wie o leśnictwie więcej niż wszyscy pozostali leśnicy.

- W ustach Cottona to zaskakujący komplement dumiała głośno Schyler.

- Ale to urodzony twórca kłopotów. Bezustannie buntuje drwali. Nie było dnia, żeby on i Cotton nie skakali sobie do oczu. Moim zdaniem lepiej” będzie spróbować obejść się bez niego.

Schyler uważała podobnie. Stanowił niszczycielską siłę, szczególnie dla niej. Z zasadniczych względów nie powinna zwracać się do niego z prośbą o ponowne podjęcie pracy dla jej rodziny.

Gapiąc się przez okno na rdzewiejący w garażu sprzęt, przyznała, że nie może pozwolić sobie na unikanie Boudreaux ani chwili dłużej. Jeżeli uzyska możliwość zdobycia pieniędzy kosztem upokorzenia się przed Cashem, to zrobi to. Wszystkie pozostałe możliwości zostały wyczerpane.

Zamknęła drzwi biura na klucz i ruszyła przez dziedziniec.

Na jego przeciwległym końcu czekała przywiązana do drzewa klacz, pasąc się na krótkiej trawie w cieniu.

Schyler dosiadła jej. Wraz z Markiem wybierała się czasami na przejażdżki konne, lecz nie bardzo regularnie, więc na drugi dzień czuła się cała obolała. Nie przejmowała się tym. Gotowa była zapłacić przejściową niedyspozycją za dreszczyk towarzyszący przejażdżce po terenach Belle Terre, jak za dawnych czasów, odkąd była dość duża, by usiąść w siodle.

Ruszyła. Powinna zacząć poszukiwanie Casha Boudreaux od jego domu. Jeśli go tam nie znajdzie, zostawi wiadomość. Niemożność porozumienia się z nim irytowała ją. Wcześniej czy później będzie zmuszona ujrzeć jego arogancką twarz.

Galopowała przez pola i zagajniki. Klacz zręcznie wybierała drogę przez gęsty las. Nagle do uszu Schyler dobiegło wycie piły łańcuchowej. Zaintrygowana, skierowała konia w tamtą stronę•

Cash dostrzegł ją w momencie, gdy wypadła pomiędzy drzew, ale nie rozpoznał jej. Przyłożył piłę do gałęzi powalonego drzewa. Dotknięta jego ostentacyjnym lekceważeniem, Schyler ściągnęła wodze, hamując konia, ale pozostała w siodle.

Był bez koszuli. Słońce opaliło mu skórę na ciemny brąz.

Twarz zdobiły kropelki potu pomimo zawiązanej na głowie chustki. Jego umięśnione

ramiona pewnie trzymały piłę, która kroiliła bez trudu sosnowe drzewo, wypuszczając pióropusz dymu i trocin.

Po odcięciu ostatniej większej gałęzi Cash wyłączył silnik i piła umilkła. Chwycił ją jedną ręką. Obciążenie sprawiło, że pod skórą wyraźnie zarysowały się grube żyły. Uniósł wolno ramię i otarł pot z brwi.

- Powinam kazać cię zamknąć za kradzież drzewa. Niewinny uśmiezek pojawił się na moment na jego ponurej, opalonej twarzy.

- Powinnaś podziękować mi za uwolnienie cię od kłopotów z tym zwalonym drzewem.

Położył piłę na ziemi obok pnia. Na dzinsy miał nałożony gruby fartuch, sięgający do kolan, który służył do ochrony ud, przynajmniej teoretycznie. Z szerokiego skórzanego pasa zwisała plastikowa butelka z paliwem do piły. Z kieszeni na udzie wystawała taśma miernicza. Ręce okrywały rękawice.

Wolno podszedł do klaczy i oparł łokieć na siodle.

- Pragniesz przegonić szkodniki ze swojego lasu, panno Schyler?

By powstrzymać się od patrzenia na jego obnażoną pierś i porastającą ją wilgotne poskręcane włosy, skierowała wzrok na pocięte drzewo.

- Kiedy ono runęło?

- Około dwóch miesięcy temu mieliśmy tutaj silny huragan. Pod pniem są już larwy. Sprawdziłem.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Wywiozę je stąd jutro - spojrzał na nią w górę - jeśli, oczywiście, pożyczysz mi ciągnik.

Była zdecydowana nie dać się sprowokować.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie w ten sposób.

- Słucham?

- Zsiadaj.

Zdarł żółte skórzane rękawice robocze z rąk i cisnął je na ziemię. Wyciągnął ku niej ramiona.

- Poradzę sobie sama. - Przerzuciła prawą nogę przez siodło i zeskoczyła, wyciągając lewą stopę ze strzemia. Odwróciła się. Wciąż stał blisko, nie ustępując jej ani kawałka miejsca.

- Zabawne spodnie.

Miała na sobie czarne bryczesy i brązowe buty do konnej jazdy.

- Zostawiłam je tutaj, kiedy wyjeżdżałam do Anglii.

- Z tego, co słyszałem, wyjeżdżałaś w wielkim pośpiechu.

- Jestem zadowolona, że zostawiłam strój do konnej jazdy. Dzisiaj znowu na niego pora. -

Przy jej nosie zabrzęczała końska mucha. Przegoniła ją. Cash nawet nie drgnął. - Trochę jednak za gorąco na przejażdżkę.

- Kiedyś jeździłaś na oklep i boso.

- Mama zakazała mi tego. Powiedziała, że damie nie wypada tak jeździć.

Obejrzał ją od stóp do głów.

- Twoja mama miała rację. Wyglądało to wręcz nieprzyzwoicie.

- Skąd wiesz?

- Często ci się przyglądałem.

- Gdzie?

- Wszędzie. Przez cały czas. Nie mogłaś podejrzewać, że ktoś cię obserwuje.

Schyler odsunęła się. W powietrzu unosił się piżmowy, zwierzęcy zapach. Ostatnio, kiedy stała tak blisko Casha, pocałował ją.

Za każdym razem, gdy na nią patrzył, miała wrażenie, że jego oczy przypominają jej to zdarzenie. Pamiętał tamten pocałunek i wiedział, że ona także go pamięta. Niespokojnie odwinęła szerokie rękawy białej koszuli i rozluźniła kołnierzyk.

- Napijesz się? - Podniósł rękawice i wetknął je za pas.

- Nie, dziękuję. Przyjechałam tutaj w interesach.

Podszedł do skrzyni zaparkowanego niedaleko w cieniu samochodu. Tylne klapy były opuszczone. Wyciągnął duży niebieski termos, zdjął z niego nakrętkę i przechylił pojemnik nad plastikowym kubkiem. Wypełnił go lodowatą wodą. Spragniony, przełknął całą zawartość kubka jednym haustem. Trochę wody pociekło mu po brodzie i spoconej szyi, i niżej na muskularną pierś.

Schyler nie chciała na to patrzeć, zauważyła natomiast jego kask z osłoną na oczy, chroniącą przed drobinami drewna.

- Kask nie pomoże ci, leżąc w ciężarówce. Dlaczego go nie nosisz?

- Nie mam ochoty.

- Ale gdybyś został ranny na mojej ziemi, mógłbyś mnie zaskarżyć.

- Nie obarczam nikogo odpowiedzialnością za siebie, panno Schyler.

- Prosiłam, żebyś mnie tak nie nazywał.

- To prawda. Prosiłaś. - Uśmiechając się jak grzesznik, który nie zamierza żałować, wychylił następny kubek. - Na pewno nie chce ci się pić?

Woda wyglądała równie kusząco jak jego wilgotne wargi.

- Skoro nalegasz.

Ponownie napełnił kubek i podał jej. Przyjęła go, ale nie piła od razu, spoglądając niepewnie na ociekające naczynie. Cash zmarszczył ze złością brwi.

- Mój język swego czasu był w połowie drogi do twojego gardła - burknął. - Trochę za późno na obawy przed piciem po mnie.

Nigdy w życiu nikt jej tak nie obraził. Jednym gwałtownym ruchem wylała całą zawartość kubka na ziemię.

- Ty śmieciu!

- Takich słów używa się w Londynie? W tej okolicy ludzi takich jak ja określa się mianem białej nędzy.

- A jak świat szeroki, jesteście zwani bękartami.

Jego policzek drgnął, a żyła na skroni tak nabrzmiała, jakby za chwilę miała pęknąć. Schyler natychmiast pożałowała swoich słów. Chciała wyciągnąć dłoń i dotknąć go na znak pojednania, ale nie zrobiła tego. Bała się.

Wyrwał jej kubek i cisnął go do samochodu.

- Przebyłaś całą drogę w taki upał, żeby nazwać mnie po imieniu?

Pokręciła głową.

- Przyjechałam w interesach.

- Kogo mam zabić tym razem?

Zasłużyła sobie na to.

- Chcę, żebyś wrócił do pracy dla „Crandall Logging”.

- Dlaczego?

- Ponieważ cię potrzebuję.

Spojrzał jej prosto w oczy. Podjęła decyzję•

- Uruchomiłam z powrotem przedsiębiorstwo. Umiem sobie poradzić z papierkową

robotą, gdyż wykonywałam ją zwykle dla Cottona. - Próbowala zwilżyć wargi, lecz jej język był suchy jak pieprz. - Ale nie wiem, jak zorganizować pracę drwali. Nie wiem, gdzie kazać im ścinać, co i ile. Nie potrafię ocenić jakości przywiezionego drewna i nie będą wiedziała, czy płacę im za dużo, czy za mało. Z tego, co wiem, ty się tym zajmowałeś.

- To prawda.

- W takim razie chciałabym, byś rozpoczął pracę, którą przedtem wykonywałeś dla Cottona.

- Innymi słowy, chcesz, żebym uratował twój tyłek.

Wyprostowała się•

- Słuchaj, przykro mi z powodu głupot, które powiedziałam wcześniej. Po prostu wyrwało mi się. Ale jeśli masz zamiar zadrećcać mnie tym i być nieznośny ...

- Chcesz, bym uratował Belle Terre ze szponów Dale' a Gilbreatha?

Schyler zamilkła. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, Cash wojowniczo, ona z zakłopotaniem.

- Skąd o tym wiesz?

- Wiem.

- Czy Cotton powiedział ci, że pożyczył pieniądze od Gilbreatha?

Odwrócił się do niej plecami i zaniósł piłę do. samochodu.

- Twój tatuś mi się nie zwierza.

- W takim razie gdzie o tym słyszałeś?

Heaven było małym miasteczkiem. Każdy wtykał nos w cudze sprawy, ale myśl, że ludzie w mieście siedzieli niczym Rzymianie w Koloseum, by zobaczyć, czy Belle Terre przetrwa tę rozgrywkę, była trudna do zniesienia.

Schyler chwyciła ze złością rękę Casha i obróciła go ku sobie. Spojrzał na jej dłoń. Palce dziewczyny wbiły się w jego ciało. Popatrzył jej w oczy.

- Gdzie słyszałeś o pożyczce?

- W łóżku.

Puściła go. Uśmiechnął się sardonicznie i ponownie ruszył do pikapa. Położył piłę na skrzyni, obok niej ułożył resztę narzędzi. Zamknął tylną klapę. Zdjął koszulę z otwartego okna ciężarówki i wciągnął ją przez głowę.

- Interesują cię szczegóły? - zapytał. - Czas, miejsce, z kim?

- Nie.

Posłał jej szelmowski uśmiech. Miała ochotę zetrzeć go z jego twarzy mocnym ciosem.

- Zakład, że kłamiesz?

Posłała mu pełne nienawiści spojrzenie. Roześmiał się.

- Szkoda, że nie jesteś zainteresowana. To soczysta historia. Pewnie byłabyś tak zde gustowana jak ja.

Ten facet był nieznośny. Gdyby go nie potrzebowała a potrzebowała go rozpaczliwie - dopilnowałaby, aby zniknął z Belle Terre jeszcze tego dnia, niewiele dbając o umowy, jakie wiązały go z Cottonem.

Miała nadzieję, że nie będzie musiała długo tolerować jego arogancji. Uniosła swoje ciężkie falujące włosy i odsłoniła szyję na podmuchy mile chłodzącego wiatru.

- Będziesz dla mnie pracował czy nie?

- Zależy.

- Od czego?

- Od tego, kto będzie szefem ..

- Ty byłeś brygadzystą. Zostałeś nim znowu.

- Czy Howell będzie patrzył na mnie z góry?

- Obowiązki Kena pozostaną nie zmienione.

- Czyli nie będzie robił nic?

- Dla twojej wiadomości: wyrażał się bardzo pochlebnie o twoich kwalifikacjach.

- Skłamałby, mówiąc co innego.

- Nie zwracaj sobie głowy dziękowaniem mu - powiedziała zjadliwie.

- Nie będę. - Uśmiechnął się wyzywająco. - Pochlebia mi, że poświęciliście część waszego cennego czasu, by mówić o mnie.

Schyler zacisnęła pięści. Mówienie spokojnym tonem kosztowało ją wiele wysiłku.

- Ken pozostanie w swoim biurze.

- A gdzie ty pracujesz?

- Zajmę się nawiązywaniem kontaktów handlowych i nadzorem wysyłki towaru zgodnie z harmonogramem. Ty pomożesz mi z robotnikami i drzewem.

- Co z niezależnymi?

- Będziemy korzystać z ich usług, tak jak zawsze to robiliśmy.

- Czy płace pozostaną bez zmian?

- Tak.

- A ja jestem szefem drwali, tak?

Schyler miała niejasne uczucie, że Cash ją naciąga. Zmuszał ją do słownych zobowiązań, ale nie była pewna, dlaczego to robi. Wahala się

- Tak, jesteś szefem - potwierdziła w końcu.

- W takim razie zgadzam się

Opierał się o tył ciężarówki, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Teraz odepchnął się i ruszył w jej stronę. Zużyła całą siłę woli, by nie cofnąć się. Stała w miejscu, aż podszedł tak blisko, że między ich ciała z trudem udałoby się wsunąć kartkę papieru.

- Przestań nosić przezroczyste bluzki.

- Co ...

- Ten koronkowy biustonosz, który masz na sobie, jest diabła wart. Doprowadzasz mężczyzn do szaleństwa. Jeśli wymagasz od drwali pełnej wydajności, nie rozpraszaj ich uwagi. Nie chodzi mi o to, czy w weekendy obracają swoje żony i dziewczyny na materacu, ale od poniedziałku do piątkowego popołudnia mają pracować.

Zerknął na jej włosy.

- I zaczesz włosy gładko do tyłu, bo będą wymykać . się chyłkiem do lasu i sobie dogadzać.

- Jesteś ...

- Nie. - Przerwał, chwytając ją za ramiona. - Będziesz mnie słuchać. - Pochylił się nad nią.

- Płyniesz bez wiosła w rzece pełnej gówna, panno Schyler. Jeśli chcesz mojej pomocy w uratowaniu twojego przedsiębiorstwa przed bankructwem i Belle Terre przed przejęciem, będziesz trzymać buzię na kłódkę i robić wszystko tak, jak powiem, rozumiesz? - Potrząsnął nią i podniósł głos. - Rozumiesz?!

- Tak!

Uwolnił ją równie niespodziewanie, jak chwycił.

- Dobrze. Zaczynamy jutro.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Gilbreath.

- Halo, mówi Schyler Crandall. Dziękuję, że zgodził się pan na rozmowę, choć jest już tak późno.

Bankier odchylił się na oparciu fotela i oparł stopy o róg biurka.

- Mam nadzieję, że ma pani dla mnie dobre wieści.

- Tak sądzę.

- Jest pani gotowa spłacić pożyczkę?

- Obawiam się, że moje wiadomości nie są aż tak dobre.

Dale z rozmysłem uczynił długą pauzę. - To przykre. Dla nas obojga.

- „Crandall Logging” rozpoczyna pełną produkcję rano, panie Gilbreath - poinformowała go energicznie. - Przyjęłam do pracy poprzedniego zarządcę.

- Pana Boudreaux, jak sądzę?

- Zgadza się. Mój ojciec ma do niego ogromne zaufanie. Podobnie jak nasi pracownicy. Wszyscy z zapalem powrócili do pracy. W ciągu kilku dni powinniśmy mieć dość drewna, by poszukać nabywców.

- To wszystko jest bardzo interesujące, panno Crandall.

Rzeczywiście, podjęła pani parę kroków, by zreorganizować rodzinny interes, lecz nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to dotyczyć banku?

- Jeśli przedstawię wystarczającą liczbę umów handlowych, by zysk z nich pokrył sumę pożyczki, mógłby pan pozwolić mi zapłacić odsetki i przedłużyć termin spłaty głównej sumy. Maksymalnie sześć miesięcy.

Nie była trwożliwą południową pięknością z sieczką zamiast mózgu. Nie można było nie doceniać Schyler. Chwyła byka za rogi.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, pani Crandall, nawet jeśli zawrze pani te umowy, w co zresztą wątpię. - Pozwoli pan, że sama się o to zatroszczę. Podpisany kontrakt jest tyle wart, ile gotówka, na którą opiewa.

- Niezupełnie - powoli cedził słowa. - Może pani nie być w stanie wykonać zamówienia.

- Będę.

- Jaką mam gwarancję?

- Miałby pan Belle Terre jako zastaw.

- Ja już mam Belle Terre. Czy potrafi mnie pani zachęcić w inny sposób?

- A co z ludzką przyzwoitością?

- Niepotrzebnie mnie pani obraża, panno Crandall.

Westchnęła ciężko, ale nie przeprosiła.

- Ubijmy interes, panie Gilbreath - powiedziała pewnie. - „Crandall Logging” nie jest w stanie zarobić tylu pieniędzy w wymaganym przez pana czasie.

- Zdaje się, że to nie mój problem - usiłował utrzymać napuszony ton.

- A jeśli zapłacę odsetki i część głównej sumy?

- Pani Crandall - rzekł wylewnie - proszę przestać stawiać mnie w niezręcznej sytuacji. To nie jest wyłącznie moja decyzja. Odpowiadam przed zarządem. Jesteśmy i tak bardzo wyrozumiali dla „Crandall Logging” i Cottona. Był przez lata klientem naszego banku, ale nie możemy kierować się sentymentami.

- Dziękuję, panie Gilbreath, . . . odpowiedział mi pan na moje pytanie. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę, nie dając mu szansy na dokończenie wyjaśnień. Uśmiechając się z zadowoleniem, Gilbreath także odłożył swoją. Bawił się, patrząc, jak możni tego świata zmierzają ku upadkowi.

Kiedy trzy lata temu przybył z Pensylwanii do Heaven, filary tutejszej społeczności okazywały mu ostentacyjne lekceważenie lub drwinę. Szybko zorientował się, że nie zostanie zaakceptowany. Piętno człowieka z zewnątrz zdejmowano, gdy na rodzinnym drzewie genealogicznym pojawiło się kilka pokoleń, które wzrastały w Heaven.

Starzy mieszkańcy ignorowali obcych, a Dale i Rhoda tak bardzo pragnęli zaistnieć wśród tutejszej elity.

Zostali zmuszeni do opuszczenia domu w Pensylwanii.

Paru ich współników poczuło się nagle chrześcijanami podczas krucjaty, która jak powódź zaląa całe miasto. W pełnej łez spowiedzi przed ogromnym zgromadzeniem współwyznawców dali świadectwo wszystkim swoim grzechom, nie pomijając przy tym żadnego nazwiska współgrzesznika. Następnego dnia Dale został dyskretnie poproszony przez wyższych urzędników banku, którego był wicedyrektorem, o złożenie rezygnacji. W zamian za to otrzymał odpowiednie rekomendacje.

W ten sposób pojawił się w Delta National Bank w Heaven w stanie Luizjana.

Zaświadczenie o wysokich kwalifikacjach spełniło zadanie. Nie oferowano mu olśniewającej gaży, lecz nie mógł pozwolić sobie na luksus odrzucenia oferty. Oczarował zarząd, podając jako powód opuszczenia poprzedniego miejsca pracy chęć przeniesienia się do cieplejszego klimatu.

Pożałował swojej decyzji, zanim jeszcze wóz meblowy firmy „Mayflower” dostarczył jego dobytek. Nienawidził tego miasta, upału, ludzi o ciasnych horyzontach i ich wysokiego mniemania o sobie.

Jedyną osobą, która traktowała go po przyjacielsku, był Cotton Crandall. Gilbreath odkrył, że Cotton stanowił pewne kuriozum w tym towarzystwie. Swą pozycję zawdzięczał poślubieniu dziedziczki rodu Laurentów.

Gilbreath nie miał takiej okazji, ale dostrzegł inną drogę do ugruntowania swojej pozycji w tutejszej społeczności. Nie było to idealne miasto, ale zdecydowali się pozostać w Heaven, nawet jako obywatele drugiej klasy. Nie był to duży staw, ale Dale zamierzał stać się w nim największą rybą.

Gdyby przejął na własność Belle Terre, ludzie musieliby traktować go z szacunkiem. Cała reszta tych bydlaków mogłaby go najwyżej pocałować w dupę.

Rozmowę z Schyler Crandall zakończył pracę dzisiejszego dnia. Sprężystym krokiem opuścił bank i udał się w stronę znajdującego się niedaleko parkingu. Zastał na nim jedynie swojego lincolna. Otworzył drzwi i wśliznął się za kierownicę.

- Czekam już prawie godzinę - odezwała się osoba siedząca na miejscu dla pasażera. - Włącz klimatyzator. Gorzej tu niż w piekle. Wydawało mi się, że umawialiśmy się na piątą. Co cię zatrzymało tak długo?

Chichocząc Dale uruchomił silnik i podregulował klimatyzator.

- Wierz albo nie, rozmawiałem z Schyler.

- Z Schyler? W banku?

- Zadzwoiła do mnie.

- W jakiej sprawie?

- Myślę, iż obawia się, że wszystko, co dla niej najcenniejsze, niedługo zostanie jej odebrane.

- I ma rację, nieprawdaż?

- Dla naszego wspólnego dobra lepiej, żeby tak było.

- Czego chciała?

- Dobić targu.

- Mam nadzieję, że odrzuciłeś jej ofertę.

Dale uśmiechnął się złośliwie.

- Oczywiście, aczkolwiek z ogromnym żalem.

- Z pewnością nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Jest sprytna.

- Boisz się, prawda?

- Zgadłeś, do cholery. Z czego się śmiejesz? To poważna sprawa.

- Mnie to mówisz? - warknął z irytacją. - Schyler pozyskała z powrotem Casha Boudreaux. - Spojrzał na swojego rozmówcę. - Jest przeświadczona, że zdobędzie parę zamówień w ciągu następnych kilku dni.

- Myślisz o kontraktach na poważne sumy?

Dale skinął głową.

- Brakuje jej jednak przede wszystkim czasu. Nie uważam, by istniało dla nas jakieś zagrożenie.

- Może się pojawić, jeśli nie przypilnujemy Schyler.

- Dlatego potrzebuję od ciebie informacji o każdym jej posunięciu. Chcę znać każdy ruch Schyler, nawet taki, który tobie wyda się błahy.

- Mam być szpiegiem?

- Tak. Masz także sabotować wszystkie jej działania, w miarę swoich możliwości. I nie dać się złapać.

- W porządku.

- Przydałoby się w jakiś sposób rozproszyć jej uwagę.

- Na przykład?

- Nie wiem. Romans? Oczywiście, najlepszym wyjściem byłaby śmierć Cottona. - Dale ostrożnie obserwował gwałtowną reakcję współnika. Jego brwi uniosły się pytająco. - Zaniepokoiłem cię?

Bez odpowiedzi. Gilbreath zmarszczył teraz brwi w wyrazie dezaprobaty.

- Widzę, że tak. Liczę na to, że twoja lojalność jest bezsporna.

- Zachowuję lojalność jedynie w stosunku do siebie. Czy twoje słowa nie powinny mnie zaniepokoić?

- Jeśli rzecz stanie się niebezpieczna, czy nie zwinięsz żagli?

- Nie.
- Słyszę wahanie w twoim głosie.
- Nie!
- Teraz lepiej - stwierdził Dale.
- Schyler zastrzeliła psy Jiggera Flynna.
- Czy to pewne? - zapytał oszołomiony Dale. - Słyszałem pogłoski, że ...
- Pogłoski są fałszywe. Zrobiła to Schyler. Użyła jednej ze strzelb Cottona.
- Skąd wiesz?
- Wiem, musi ci to wystarczyć.

Gilbreath postanowił nie drążyć tego tematu. Rozważał możliwości wykorzystania tak cennej informacji.

- Jigger z radością powita tę wiadomość.
- To znaczy?

- Nie udawaj niewiniątka. Myślisz o tym samym, co ja, inaczej te słowa nie padłyby z twoich ust. Używałem już wcześniej Jiggera Flynna. Jest maksymalnie wydajny i relatywnie drogi. Gdyby się dowiedział, że Schyler ponosi odpowiedzialność za śmierć jego psów, zająłby się nią za darmo. - Cienkie wargi Gilbreatha rozchyliły się w zimnym uśmiechu. - Mam rację?

- Muszę iść - odpowiedział szorstko pasażer, otwierając drzwi.
- Nie pozwolisz, by twoje mętne uczucia do Cottona stanęły ci na drodze, prawda?
- Nic mi nie przeszkodzi.
- T o właśnie chciałem usłyszeć.

Całkowicie usatysfakcjonowany przebiegiem spotkania, Dale patrzył, jak jego informator niknie w zaułku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Odczuwając przyjemne zawroty głowy, Ken opuścił Gator Lounge. Nie zataczał się, ale był wystarczająco pijany, by szukać niezdarnie w kieszeniach kluczyków od samochodu i upuścić je na żwirową alejkę. Schylił się, by je podnieść, lecz nie zdążył ich dotknąć, gdy lśniący czarny but pojawił się znikąd i przycisnął do ziemi dłoń Kena z taką siłą, że omal nie zmiądzzył mu kości.

- Cześć, Kenny.

Ken prostował się powoli. Zerknął szybko przez ramię i zauważył, że ów człowiek nie był sam.

- Cześć. - Howell uśmiechnął się sztucznie. Wzruszył ramionami i uniósł ręce w geście poddania się. - Zanim się wkurzycie, chcę wam powiedzieć, że nie mam forsę dziś wleczko ...

Twarda jak skała pięść wylądowała z impetem na jego brzuchu. Pod wpływem ciosu zgiął się w pół. Drugi bandyta chwycił go za włosy i podciągnął do pozycji pionowej. Ken zawył z bólu.

Nikt go nie słyszał. Skąpany w rubinowym świetle neonu parking był pusty. Gdyby nawet jego wołanie zwróciło czyjąś uwagę, nikt nie przybyłby z pomocą. Ci faceci byli śmiertelnie niebezpieczni.

Pierwszy z napastników, najwidoczniej ważniejszy, stanął przed Howellem.

- Już jestem wkurzony. Trzy dni temu miałeś oddać mi to, co jesteś mi winien, Kenny - przemówił! jedwabistym głosem.

- Twoje kłamstwa ranią mi serce. - Na jego palcu zabłysnął diamentowy pierścień, gdy przycisnął dłoń do piersi.

- Nic na to nie poradzę. - Ken z trudem chwycił powietrze. - Mam duże wydatki. Musiałem zapłacić rachunki za szpital i lekarzy Crandalla.

- Kenny, Kenny, łamiesz mi serce. - Napastnik pokiwał ponuro głową. - Wiesz, kim jesteś? Nie tylko kłamczuchem, ale także wielkim pechowcem. W zeszłym tygodniu przegrałeś na walce pit bulli, a koń, na którego postawiłeś w gonitwie w Lafayette, należy do fabryki kleju. - Splunął Kenowi w twarz. - Jesteś cholernym pechowcem. Nienawidzę przegranych facetów. Na ich widok robi mi się niedobrze.

Ken poczuł, jak pot spływa mu po plecach.

- Słuchaj, człowieku. Daj mi więcej czasu. Ja ... Kopnięcie w krocze przerwało jego wypowiedź. Wydał kolejny okrzyk bólu.

- Nie życzę sobie słuchać żadnych śmiesznych wykrętów. Nie pokryję swoich wydatków wymówkami. Chcę szmalu. Kiedy dostanę swoją forszę?

- Wkrót...ce - wyjąkał Ken. - Mam na oku duży interes.

- Duży? Jak duży? Zamierzasz wygrać w bingo? Mężczyzna trzymający Kena zachichotał.

- Nie - wysapał Howell. - Coś naprawdę dużego.

- Przypomina to inne bzdury, które plotłeś.

- Nie, przysięgam, ale nie mogę wam podać szczegółów. Jeszcze ich nie dopracowałem.

Moja firma ...

- Wznowiła działalność. Tak, tak. Wiem. Boudreaux wrócił. - Błysnął w uśmiechu zębami. - Czy pieprzy tę seksowną siostrzyczkę twojej żony?

- Nie! - Ken szarpnął się. Bandyta jedynie mocniej zacisnął palce na jego włosach i uspokoił swoją ofiarę. - T o podłe kłamstwo!

Prześladowca roześmiał się.

- Wykopała cię najpierw ze swojego łóżka, a teraz z rodzinnego interesu. Nie wstyd ci?

- To nieprawda. Wciąż kontroluję księgi rachunkowe. Wciąż jestem wicedyrektorem firmy.

- Ale to ona trzyma wszystko w garści, a Boudreaux udziela jej korepetycji, kiedy ją rżnie. Czy nie tak?

Ken próbował pokręcić przecząco głową. Z jego oczu pociekły łzy.

- Nie. Ja jestem szefem.

- Ty? - Bandyta parsknął śmiechem, któremu towarzyszył trzask otwieranego noża sprężynowego. Howell poczuł, jak ostrze narzędzia wsuwa się między jego uda, dokładnie pod genitalia. Zakwilił i uniósł się na czubki palców.

- Zdobędę pieniądze - zaskamlał przerażony. - Ale musisz mi dać więcej czasu.

- Twój czas się skończył, Kenny. - Mężczyzna przycisnął mocniej ostrze noża.

- Nie, nie. Proszę, na miłość boską, nie. Będę miał forszę dla ciebie.

- Całą?

- Co do centa.

- Kiedy?

- Za ... miesiąc.

Drugi napastnik puścił jego włosy. Howell w ostatniej chwili uniknął nadziania się na ostrze.

- Za dwa tygodnie - poprawił się. Powolnym ruchem mężczyzna wycofał nóż.

- Dobrze. Dwa tygodnie. - Wyszczrzył zęby, a po chwili spojrzał groźnie. - Nie kłopotz się szukaniem nas. Będziemy nad tobą krążyć jak muchy nad kupą gówna, Kenny.

Razem z towarzyszem opuścił płamę światła neonu i zniknął w ciemnościach nocy.

Ken opadł na kolana i zwymiotował. Gdy ustąpiły skurcze, zaczął na kolanach rozpaczliwie szukać kluczyków od samochodu.

Światła samochodu wyrwały Schyler z zamyślenia. Siedząc na werandzie, leniwymi ruchami bosych stóp poruszała huśtawką. Powoli zapadała w drzemkę. Dopóki nie zaczęła pracować w biurze, nie wiedziała, czym jest zmęczenie. Zawsze rano przybywała pierwsza i kończyła pracę dobrze po zmierzchu.

Uśmiechnęła się do Kena, gdy ten z trudem wspinał się po schodach.

- Cześć! Wyglądasz tak, jak ja się czuję.

- Ja ... Mam rozstrój żołądka.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Pokręcił głową.

- Czy to dlatego nie było cię na kolacji?

- Nie. Po prostu nie miałem czasu. - Przemierzył werandę w kierunku wejścia do domu.

- Jeśli masz trochę wolnego czasu, chciałabym cię o coś zapytać.

Zatrzymał się i zwrócił ku dziewczynie.

- Ja także chcę cię o coś zapytać - powiedział z trudem.

- Śmiało!

- Czy sypiasz z Cashem Boudreaux?

Uśmiech znikł z twarzy Schyler. To pytanie zawierało w sobie zniewagę. Poza tym uważała, że nikt nie ma prawa ingerować w jej życie osobiste.

- Oczywiście, że nie.

Postąpił krok w jej kierunku.

- Krąży po mieście taka plotka.

Ciemność ukryła rumieniec, jaki zalał jej twarz. Nie dała jednak poznać po sobie, jak bardzo jego słowa wytrąciły ją z równowagi. Machnęła ręką.

- Wiesz, jak ludzie w okolicy lubią gadać.

- W każdej plotce tkwi odrobina prawdy.

- Nie tym razem.

- Spędzasz z nim całe dni.

- Ale nie noce! - Była zbyt zmęczona, by spierać się z Kenem. - Pracuję z Cashem. Jestem zmuszona spędzać z nim dużo czasu. Pracowałam z wieloma mężczyznami, ale nie znaczy to jeszcze, że z nimi sypiałam.

- Wyjątek w osobie Marka Houghtona daje jednak dużo do myślenia.

Schyler zeskoczyła raptownie z huśtawki.

- Nie mam zamiaru rozmawiać z tobą o swoim prywatnym życiu .. T o nie twój cholerny interes. Dobranoc!

Złapał ją za ramię, gdy mijała go z podniesioną głową. - Schyler, Schyler - błagał. - Nie odchodź. Zostań i porozmawiaj ze mną.

- Porozmawiaj? W porządku. O tym, czy śpię z Boudreaux lub z kimkolwiek innym? Nie!

- Do diabła! Nie rozumiesz, co ludzie o tym myślą?

- Mogą myśleć, co im się podoba, ale po tobie spodziewałam się czegoś lepszego.

- Nie mogę znieść myśli, że twoje imię jest związane z Cashem.

- Co radziłbyś mi zrobić? Pracujemy razem.

- Wyrzuć go.

- Nie mogę! - krzyknęła Schyler. - Nie chcę. Jest mi potrzebny.

- Z początku tak nie myślałaś.

- Myliłam się. To znakomity pracownik. Wynagrodzenie, które otrzymuje, jest zbyt małe w stosunku do pracy, jaką wykonuje.

- W takim razie ty odejdziesz. Pozwól mi kierować firmą•

Schyler nie spodobała się ta propozycja. Miałyby się poddać? Jej starania o zamówienia od dawnych klientów dotychczas nie odniosły wielkiego skutku, ale myśl o rezygnacji wydała jej się nie do przyjęcia. Nie wierzyła, by ktokolwiek inny, nawet Ken, potrafił walczyć tak zaciekle jak ona, by zachować Belle Terre. Powiedzenie mu tego wprost byłoby zbyt grubiańskie, próbowała więc odrzucić jego propozycję w miarę dyplomatycznie.

- Nie możesz być w dwóch miejscach jednocześnie.

- Przenieś się do biura na placu.

- Nie możesz tego zrobić, Ken.

- Mogę - perswadował uparczywie. - Daj mi szansę.

- To nie jest konieczne. Szczególnie teraz, kiedy ...

Zacisnął mocniej dłoń na jej ramieniu.

- Ja nie chcę. Nie zamierzam pozwolić ci na wykonywanie pracy stosownej dla prostego chłopca!

- Nie jestem taka!

- Szybko się stajesz. - Przyciągnął ją ku sobie. - Pamiętam, jak słodka i kobieca byłaś, gdy

...

- Ken, proszę.

- Pozwól mi skończyć. Wciąż cię ko ...

- Wydawało mi się, że słyszę twój głos. Już najwyższy czas, byś przywłókł się do domu.

Proszę, proszę. - Tricia zaśmiała się lekko, stając w progu. - Co wy tutaj robicie oboje?

Milczenie trwało długą chwilę. W końcu głos zabrała Schyler.

- Pytałam Kena o dokumenty, których zapomniał mi przynieść dzisiaj do biura - odpowiedziała spokojnie.

Jeszcze parę tygodni temu Schyler sprawiłoby przyjemność zranienie Tricii. Teraz nie miało to już dla niej żadnego znaczenia, a zapewnienia Kena o dozgonnym uczuciu wręcz ją mierziły.

- Poszukam jutro tych papierów na twoim biurku, jeśli znajdę wolną chwilę, dobrze? - zapytała go.

- Eee, pewnie, w porządku.

Pochyliła się i podniosła sandały, które zostawiła pod huśtawką.

- Jestem wyczerpana. Muszę wstać o szóstej rano. Idę do łóżka. Dobranoc!

Tricia, opierając się o balustradę ganku, rzuciła mężowi oskarżycielskie spojrzenie.

- Dla mnie także był to długi dzień. Chce mi się ..

- Zostaniesz tu, gdzie stoisz, panie Howell. - Ken niechętnie podporządkował się jej rozkazowi. Ledwie trzymał się na nogach.

- Śmierdzisz nędzną speluną.

Opadł ciężko na huśtawkę i przetarł oczy.

- Masz rację. Tam właśnie byłem.

- Topiąc smutki w morzu bourbona?

- Tak - odpowiedział pogardliwie. - A główny smutek to żona, która jest dziwką.

- Zapomnij o mnie. Jestem najmniejszym z twoich kłopotów.

- Co masz na myśli?

- Zamierzasz pozwolić, by przejęła nad wszystkim kontrolę?

- Nad czym? Kto?

- Schyler, ty idioto. Nie widzisz, co ona robi? Nie obchodzi cię to?

- Obchodzi, ale ona mnie nie słucha, Tricio.

- Może za mało się starasz. - Odwróciła się do niego plecami i założyła ręce na piersiach, powstrzymując gniew. Po chwili spojrzała na Kena przez ramię•

- Czy wspomniałeś już Schyler o tym, o czym rozmawialiśmy?

Roześmiał się szyderczo, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- O sprzedaniu Belle Terre?

- Belle Terre, „Crandall Logging”, wszystkiego.

- Schyler nigdy się na to nie zgodzi.

- Skąd wiesz? Nie zapytałeś jej jeszcze.

- Ty też tego nie zrobiłaś.

- Mnie nigdy nie słuchała. Jeśli ktokolwiek ma na nią wpływ, to jedynie ty. - Zmrużyła powieki. - Czy już straciłeś go na rzecz Casha Boudreaux? Nie do wiary, wszyscy mielią ozorami tylko o tym. Wyobraź sobie, jakie łamańce ta dwójka wyczynia w łóżku. Schyl er Crandall i bękart Monique Boudreaux. Kto by pomyślał?

- Nikt, kto ma odrobinę rozsądku.

- Nie mów zbyt pewnie.

- Właśnie przed chwilą pytałem ją o to. W tej pogłosce nie ma odrobiny prawdy.

- Myślisz, że powiedziała ci?

- Tak - odpowiedział, choć w rzeczywistości nie był tego taki pewien. - Sądzę, że tak.

- To bez znaczenia - stwierdziła Tricia. - Jeśli ludzie uważają, że oni sypiają ze sobą, to jest to jednoznaczne z tym, jakby istotnie tak było. Kładzie się do brudnego wyra białej nędzy. - Przygryzła wargę. - Zniszczy naszą reputację. Nie byłabym zaskoczona, gdyby właśnie dlatego

zadawała się z Cashem Boudreaux. Powróciła, by zrujnować nas za ... za to, co się stało przed naszym ślubem.

Tricia uderzyła pięścią w poręcz huśtawki.

- Dobrze. Dostarczyła nam jeszcze więcej powodów, by wynieść się stąd. Belle Terre - zasyczała - ładna nazwa dla ... czego? - Zatoczyła wokół dłonią. - Trochę ziemi i drzew. Śmierdzący stary kanał, będący jedynie wylęgarnią komarów i raków. Nawet dom nie jest ładny. Nie ma w nim nic specjalnego. Prawdziwy dom spaliła armia Unii, ten jest tylko repliką.

- Schyler go kocha. - Ken posłał żonie oskarżycielskie spojrzenie. - Myślę, że z tego powodu upierałaś się, byśmy zamieszkali tutaj.

- A ty dzięki temu nie musiałeś wydawać swoich pieniędzy. Nie dołożyłeś ani centa na utrzymanie domu. Cholernie przyjemnie spędziłeś te sześć lat naszego małżeństwa. - Przerwała na moment i rzuciła pogardliwie: - T o się zmieni.

- Nie odgrażaj się, Tricio.

- Przyjmij to jako ostrzeżenie. Jeśli nie będziesz uważał, Schyler cię wykołuje. Po prostu staniesz się niepotrzebny jak uschłe drzewo, a Cotton wytnie cię bez wahania.

Ken wstał i ponownie skierował się w stronę drzwi. Gdy mijał żonę, Tricia zatrzymała go. Zmieniając taktykę, przytuliła się do męża i przyłgnęła policzkiem do jego piersi, z trudem znosząc zapach wydzielany przez Howella.

- Nie gniewaj się, kochanie. Nie wściekaj się. Mówię to dla twojego własnego dobra. Przekonaj Schyler, by pozbyła się Belle Terre. Ten wielki stary dom nie jest nam do niczego potrzebny. Nie zamierzamy przecież zapełnić wszystkich pokoi wnukami Cottona. Za pieniądze ze sprzedaży moglibyśmy kupić nowoczesne mieszkanie w dużym mieście. Moglibyśmy podróżować ...

- Tricio - przerwał jej ze znużeniem - nawet gdyby Schyler zgodziła się, czego nie zrobi, to pozostaje Cotton. On nigdy nie zostawi tego miejsca.

- Cotton kiedyś umrze.

Ken przyjrzał się żonie. Jej twarz była pozbawiona wyrazu jak maska. Przebiegł go dreszcz.

Jej rysy nieco złagodniały.

- Musimy przygotować się na taką ewentualność. Podsuniesz Schyler pomysł sprzedania Belle Terre czy nie?

- Mam teraz mętlik w głowie - mruknął wykrętnie.

- Ale przyrzekam, że pomyślę o tym.

Uwolnił się i wszedł do domu. Tricia odprowadziła go wzrokiem, obserwując, jak wspina się po schodach z opuszczoną głową, przygarbiony, wlokąc rękę po poręczy, niczym pozbawiony życia starzec. Przyłgnęła do ściany, zaciskając pięści i przygryzając wargę, by powstrzymać się od krzyku.

Jej nadzieje znowu okazały się złudne. Chciała i chciała, i chciała, i nigdy nie otrzymywała tego, czego pragnęła. Otaczający ją ludzie, a szczególnie mąż, byli w jej oczach tak mierni.

Nikt nie dbał o to, że życie upływało coraz szybciej.

Zadowalali się byle czym, podczas gdy na świecie czekało ich tak wiele. Gnicie w Heaven całkowicie im odpowiadało.

Z niecierpliwością pragnęła wydostać się stąd i zmienić życie. Ta żądza była tak silna, że przyprawiała ją niemal o zawroty głowy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pacjenci tak ciężko chorzy na serce jak Cotton byli zupełnie bezradni, ponieważ przy życiu utrzymywały ich tylko skomplikowane urządzenia medyczne i ludzka życzliwość.

Kiedy Cottonowi zmieniano kroplówki, udawał bardziej osłabionego, niż w rzeczywistości był. Średnio ciekawiło go, co wlewano mu do żył. Wolał przyglądać się kręcącej się wokół niego pielęgniarka. Była młoda i ładna. Gdy pochylała się nad nim, by zmierzyć mu ciśnienie, mógł przyglądać się zarysowi jej piersi pod opiętym kitem. Ciekaw był, co zrobiłaby, gdyby doznał erekcji.

Miał ochotę się roześmiać, ale był tak słaby, że zdobył się zaledwie na słaby uśmiech.

„Gówno - pomyślał pogardliwie. - Sam nie potrafię się nawet wysikać”.

Pielęgniarka pogłaskała go przyjaźnie po ramieniu i opuściła pokój. Zostawiono go w spokoju. Jak długo jeszcze tu zostanie? Jak szybko wróci do domu, do Belle Terre? Modlił się, by Bóg pozwolił mu umrzeć w ukochanym miejscu.

Wątpił jednak, czy Bóg, jeżeli w ogóle istnieje, pamięta imię Cottona Crandalla.

Wciąż jeszcze miał nadzieję. Śnił, że śmierć przychodzi po niego, gdy siedzi na werandzie w BeBe Terre, ze szklanką pełną bourbona w jednej ręce, drugą obejmując Monique. Poczuł, jak serce gwałtownie i boleśnie zabiło mu w piersi. Dla bezpieczeństwa odegnał myśl o Monique.

Zamiast tego pomyślał o żyjących w BeBe Terre. Jak zwykle skoncentrował się na Schyler. Jej imię wywoływało w nim sprzeczne uczucia - miłości i głębokiej niechęci.

Gdy zdał sobie sprawę, że wróciła do domu, jego chore serce przepełniło się radością, ale nie potrafił zapomnieć o przeszłości. Nie potrafił jej wybaczyć.

Dziwił się, że wciąż przychodziła, by go zobaczyć. Odwiedzała go każdego dnia, chociaż nie okazywał, iż jest świadom jej obecności. Nie chciał się do tego przyznać, ale jej wizyty były najmiłszymi chwilami jego ostatnich dni, spędzonych w miejscu, gdzie nie istniały wschody ani zachody słońca, a godziny były odmierzane następującymi po sobie zmianami pielęgniarek.

Wierzył, że zobaczy jeszcze zachód słońca w BeBe Terre.

Pierwszy zachód oglądany z werandy pamiętał tak dobrze, jakby to się działo wczoraj.

Pracował dla starego Laurenta, najbardziej fałszywego sukinsyna, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. Był zwykłym pilarzem. Wyплаты dostawał w postaci kwitu, który można

było zrealizować jedynie w sklepie należącym do spółki. Mimo to był wdzięczny za pracę.

Pewnego dnia na placu pojawiła się Macy Laurent. Przyjechała lśniącym czerwonym samochodem. Była jak zakazany owoc, który kusi, by go zerwać. Jednak żaden człowiek pokroju Cottona nie mógł nawet zbliżyć się do niej. Poświęciła mu nie więcej uwagi niż innym robotnikom, którzy pozerali ją oczami. Naciągnęła ojca na świeżutki banknot dwudziestodolarowy. Większość z nich zarabiała tyle w ciągu tygodnia.

Kilka dni później na jednej z bocznych dróg jej lśniący czerwony samochód złapał gumę. Przeznaczenie sprawiło, że idący do pracy Cotton natknął się na nią. Zaproponował, że zmieni koło. Ryzykował w ten sposób obcięcie wypłaty za spóźnienie, ale nie wahał się.

Opląciło się. Jego doskonale zbudowane ciało i prawie białe włosy zrobiły wrażenie na Macy. Za zmianę koła zaproponowała mu dolara. Odmówił, więc w zamian zaprosiła go do swego domu na lody brzoskwiniowe. Zgodził się.

- Przyjedź po kolacji - powiedziała i odjechała, machając ręką na pożegnanie.

Kolacja w należącym do firmy pensjonacie, w którym mieszkał Cotton, była o szóstej. Nie wiedział, że obywatele pierwszej klasy nie zasiadają do stołu przed wpół do ósmej, więc przybył za wcześnie. Potężna czarna kobieta w nieokreślonym wieku głosem nie znoszącym sprzeciwu surowo przykazała mu czekać na pannę Macy na werandzie. Poczęstowała go też lemoniadą, by splukał kurz, którego nałykał się w czasie długiego spaceru z miasta.

Popijając małymi łykami lemoniadę z wysokiej, oszronionej szklanki, zobaczył po raz pierwszy zachód słońca w Belle Terre. Kolory oślepiły go. Pragnął tym wrażeniem podzielić się z Monique, ale ta wciąż mieszkała w Nowym Orleanie.

Wtedy na werandzie pojawiła się Macy i wymówiła jego imię, przeciągając głoski tak, że wydawały się gęste jak miód i miękkie jak skóra, i Cotton zapomniał o Monique Boudreaux. Monique kojarzyła mu się zawsze z czerwoną różą. Macy była białą orchideą.

Jej skóra była prawie przezroczysta. Miał wrażenie, że powietrze przenika ją, gdy skierowała się w stronę jednego z wyplatanych foteli i zapraszającym gestem wskazała mu sąsiedni.

Gdy pocałował Macy pierwszy raz, co zdarzyło się około tygodnia później, powiedział jej, że smakuje jak nektar. Jej śmiech zabrzmiał niczym dzwoneczek. Nazwała go niemądrym poetą.

Gdy pierwszy raz dotknął jej małych jędrnych piersi, pisnęła i powiedziała, że jest jej

słabo i że gdyby tata przyłapał go na tym, musieliby się pobrać.

Odpowiedział, że nie ma nic przeciwko temu. Wiadomość o ich zaręczynach, oczywiście, wstrząsnęła miastem. Laurentowie nie potrafili powstrzymać delikatnej jak porcelana, lecz upartej jak muł córki i pozwolili jej poślubić Cottona. Dla zachowania twarzy wymyślili dla zięcia zagmatwaną historię o rodzinie pochodzącej z Wirginii. Fikcyjna historia rodzinna obfitowała w równie fikcyjne nieszczęścia. Biedny Cotton był jedynym potomkiem nie fortunnej gałęzi zasłużonej rodziny.

Nie obchodziło go, co Laurentowie opowiedzą o nim swoim przyjaciołom. Był zakochany w Macy i w Belle Terre. Nie dbał o to, że matka Macy wycofywała się wieczorami do swojego pokoju, bo nie mogła patrzeć, jak zięć profanuje niewyszukanym językiem i manierami białej nędzy święte salony Belle Terre. Kiedy umarła, nie opłakiwał jej, podobnie jak teścia, który pożegnał się ze światem tylko trzy miesiące później.

Zajął po nim fotel dyrektora spółki drzewnej. Natychmiast sprzedał sklep spółki i zlikwidował zaszczurzone pensjonaty. Kiedy zarząd jednogłośnie zganił jego innowacje, rozwiązał ten problem, rozwiązując zarząd.

Obiecał drwalom, że ich interesy zawsze będzie uważał za najważniejsze. Potraktowali to zapewnienie ostrożnie, ale wkrótce doszli do przekonania, że Cotton Crandall dotrzymuje słowa. Jego obietnice miały prawdziwą wartość.

Nazwa kompanii została zmieniona. Biorąc pod uwagę ogrom zmian w polityce przedsiębiorstwa, przejście to wykonano bardzo sprawnie. Nie można było tego powiedzieć o sprawach rodzinnych. Cotton odkrył, że jego piękną damę przyzwyczajono do pobłażania sobie i rozpieszczono. Dla człowieka dorastającego w wierze w etos ciężkiej pracy, dla którego wieczorny posiłek zależał od tego, czy przepracował uczciwie cały dzień, czy nie, jej bezczynność była niepojęta.

Podobną zagadkę stanowiła awersja Macy do seksu. Pod tym względem różniła się od Monique, jak dzień różni się od nocy. Monique, oczywiście, nie była dziewicą, gdy poznał ją w drugorzędnym nocnym klubie we francuskiej dzielnicy w ostatnich dniach wojny. Żołnierzy i marynarzy było tam pełno, ale ona wybrała właśnie jego.

Flirtowali z ożywieniem. Zaproponował jej drinka. Chętnie się swoimi wyczynami wojennymi, a ona udawała, że wywierają na niej wrażenie. Kochali się tamtej pierwszej nocy. Nigdy nie spotkał tak zmysłowej kobiety. Była gwałtowna, ale też ślepo oddana, istniała tylko dla

niego.

Wynajęli mieszkanie w zniszczonym budynku i wszystkie noce spędzali razem aż do czasu, gdy zmuszony był wyjechać w poszukiwaniu pracy.

Nigdy nie poruszyli tematu małżeństwa, choć żyli razem już trzy lata. Małżeństwo nie było jej potrzebne do szczęścia, Cotton zaś w głębi duszy czuł, że czeka na niego coś znacznie lepszego.

Myślał, że znalazł to coś u boku Macy. Na ironię losu zakrawało, że ona przesadzała, mówiąc, iż jego pieśczoćy onieśmielają ją. Prawie zemdląła podczas ich poślubnej nocy, gdy po godzinach bezskutecznych perswazji wziął ją przemocą. Popłakiwała potem, a on ze skruchą obiecywał, że najgorsze już za nimi. Jednak nigdy nie było lepiej. Nie chciała go oglądać ani pieścić, wydawało jej się to wulgarne, nieprzyzwoite. Znosiła jego zabiegi z chłodną pogardą, biernie. Wyraźnie pamiętał dzień, kiedy Macy odtrąciła go zupełnie.

- Cotton?

- Hmm?

Z powodu deszczu nie wyszedł do pracy. Przeglądał księgi rachunkowe w gabinecie za schodami.

- Czy mógłbyś patrzeć na mnie, kiedy mówię do ciebie?

Uniósł głowę. Macy stała w drzwiach pokoju. Światło padające z holu obrysowywało jej wiotkie kształty.

- Przepraszam, kochanie. Zamyśliłem się. - Odłożył ołówek. - O co chodzi?

- Przeniosłam twoje rzeczy.

- Moje rzeczy?

Zacisnęła nerwowo palce.

- Z mojej sypialni do innej, po drugiej stronie holu.

Nigdy w życiu nie wpadł w taką złość.

- To spowoduje mnóstwo kłopotów, moja droga. Zwłaszcza że będziesz musiała przenieść każdą z tych cholernych rzeczy z powrotem.

- Prosiłam cię, byś nie przeklinał.

Jej drobne piersi uniosły się i opadły pod wpływem wzburzenia.

- Mama i tata nigdy nie dzielili sypialni. Cywilizowani ludzie tego nie robią. Ta nocna rutyna, do której jesteś przyzwyczajony, jest...

- Fajna. - Stanął przed nią. - Większość ludzi uważa ją za przyjemność.

- We mnie budzi ona odrazę•

Dotknęło go to do żywego. Przyznał, że Macy była tak bardzo atrakcyjna przez swą niedostępność. Nie przypominał gładko mówiących chłopców z college'u, którzy jej nadskakiwali i zabiegali o względy. To było jak w bajce o kopcuszkę, tylko role się odwróciły. Myślał, że wdarł się na mury zamku i zdobył księżniczkę, ale dla niej wciąż pozostawał nieokrzesanym, pozbawionym skrupułów drwalem o spalonym przez słońce czerwonym karku. Jego duma została głęboko zraniona.

- A co z dziećmi? - zapytał zimno. - Co z dynastią, którą chcemy założyć?

- Oczywiście, chcę mieć dzieci.

Przysunął twarz tak, że ich nosy prawie się zetknęły.

- Dobrze, Macy, ale żeby mieć dzieci, trzeba się pieprzyć.

Odczuł perwersyjną przyjemność, oglądając jej twarz pozbawioną barwy. Zachwiała się, jakby uderzył ją na odlew, ale nie ruszyła się z miejsca. Podziwiał jej opanowanie.

- Każdego miesiąca powiadomię cię o dniach mojej płodności.

Kilka miesięcy później odkrył opuszczony dom nad kanałem. Posłał po Monique. Do dzisiaj pamiętał popołudnie, w które przyjechała ze swoim synkiem.

Sytuacja nie wyglądała różowo. Usłyszawszy, że jest żonaty, złapała za nóż i zagroziła, że poderżnie mu gardło. Udało mu się wyjaśnić przyczyny ożenku i załagodzić jej gniew, który przemienił się w pożądanie.

Nadzy i lśniący od potu kochali się potem w sypialni na piętrze.

Nigdy nie zachodził do sypialni Macy bez zaproszenia.

Po adopcji dziewczynek nie pojawił się tam ani razu. Jednak dotrzymał danego Macy słowa; nawet po śmierci żony Monique żyła zgodnie z warunkami, jakie ustanowił w dniu jej przybycia do Belle Terre.

Aż do dnia śmierci Monique nigdy nie skarżyła się na ich układ. Zawsze gdy odwiedzał ją w domu nad kanałem, bez względu na porę dnia czy nocy, rzucała, dawała mu to, czego potrzebował: posiłek, śmiech, rozmowę, zrozumienie, miłość.

Jej ciekawość, jaka jest Macy, nigdy nie słabła, lecz nie była o nią zazdrosna. Monique wszystkie swoje uczucia poświęcała Cottonowi.

Jak bardzo kochał tę kobietę!

Nie żyła już prawie od czterech lat, ale ból spowodowany jej śmiercią ciągle był tak samo przejmujący jak wtedy, gdy jej uśmiechnięte wargi po raz ostatni wyszeptały jego imię, a słabnące palce delikatnie ścisnęły jego dłoń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- . Cash?

Zatrzymał się i odwrócił. Schyler stała w drzwiach biura.

- Czy wracasz już do domu?

Przymrużył oczy, spoglądając ku zachodzącemu słońcu.

- Dzień pracy już się skończył, prawda?

- T ak, ale jeśli możesz poświęcić mi minutę, chciałabym z tobą porozmawiać.

Myślała, że zignorował ją, gdyż odwrócił się i bez pośpiechu podeszedł do ciężarówki.

- Siedziałaś w tej klinice przez cały dzień? - Spojrzał przez ramię.

- Tak.

Wyjął z samochodu kilka piw.

- Chodź, napijemy się•

- Dokąd mamy iść?

Patrzył na nią długo.

- Czy to ma znaczenie?

- Zaczekaj chwileczkę•

Wróciła do biura i wyłączyła światło, zamknęła drzwi na klucz i podeszła do Casha.

Poczęstował ją piwem, wyjął kolejne dla siebie i odłożył resztę•

- Dokąd się wybieramy?

- Za siedem gór i siedem rzek.

- Do domu, w którym mieszka stara babuleńka? - Śmiejąc się, Schyler usiłowała dorównać mu kroku. - Nigdy nie miałem babci.

Jej uśmiech zamarł. Niepewnie postawiła kolejny krok.

- Ja też.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Nie znam jej - dodała półgłosem. - Dlaczego to robisz? - zapytała po chwili.

- Co?

- Obwiniasz mnie za doznane w życiu krzywdy?

- Żeby cię rozwścieczyć.

- Przyznajesz się do tego?

- Dlaczego nie? To prawda. Nie potrzebuję księdza, by wyznać grzechy.

- Jesteś katolikiem?

- Moja matka była.

- A ty?

- Nie potrzebuję Boga. Religia nie pomogła mojej matce, prawda? W Wietnamie zdobyłem różaniec. Wyjąłem go z rąk poległego żołnierza. Modlitwa nie uratowała go.

- Jak możesz być tak cyniczny?

- Życie mnie tego nauczyło.

Szli dalej, ale Schyler nie rezygnowała:

- A co z rodziną twojej matki?

- Co cię interesuje?

- Skąd pochodzą?

- Z Terrebonne, lecz nigdy nie poznałem żadnego z nich.

- Dlaczego?

- Wyrzekli się jej.

Schyler ponownie zatrzymała się i zwróciła ku memu twarz.

- Wyrzekli się?

- Oui. Z mojego powodu. Gdy mój kochany stary porzucił nas, jej krewni także nie chcieli mieć z nami do czynienia.

Na twarzy Casha nie pokazał się nawet cień smutku, ale wiedziała, że te wspomnienia są dla niego bolesne.

Podążali w dół wijącą się przez las zarośniętą ścieżką.

- Być może moja prawdziwa matka oddała mnie do adopcji. Może rodzina zagroziła, że wyprze się jej, jeśli zatrzyma nieślubne dziecko? Twoja matka musiała cię bardzo kochać.

- Tak, choć to nie ułatwiało jej życia. - Odchylił nisko wiszącą gałąź, by ułatwić jej przejście. - Tam.

Wskazał płytki i wąski dopływ kanału u podnóża stoku. Gałęzie wierzby pochylały się nad wodą, łaskocząc ją delikatnie.

- Jak tu pięknie - wyszeptala Schyler. - I cicho, jakby najbliższe miasto znajdowało się setki mil stąd.

- Usiądź.

Przysiadła na pniu nad brzegiem. Otworzyła puszkę piwa, z której trysnęła fontanna piany. Pociągnęła łyk i oblizwała wargi. Cash obserwował ją, oparty o pień cyprysu.

- Skąd znasz takie miejsce? - zapytała.

Rozejrzał się.

- Gdy dorastałem, moim ulubionym miejscem był las. Przemierzyłem całą okolicę na piechotę wzdłuż i wszerz. Osunął się po pniu i przysiadł na piętach. Podniósł patyk i wbił go w przybrzeżny muł.

- Tutaj żyje mnóstwo raków - powiedział.

Spojrzała na niego. Ten zagadkowy, pełen sprzeczności mężczyzna intrygował ją. Pracował ciężko, ale pieniądze nie miały dla niego żadnej wartości.

- Czy kiedykolwiek myślałeś o innym zajęciu? Upił z puszki.

- Jakim?

- Nie miałeś ochoty zmienić swojego życia, wyjechać gdzieś?

- Na przykład: dokąd?

- Nie wiem - odpowiedziała rozdrażniona. - Gdzieś. Nie rozważałeś możliwości podjęcia innej pracy?

Pokręcił głową.

- Zawsze chciałem pracować w lesie.

- Rozumiem. Jesteś znakomity w swoim fachu. Otrzymałbyś pracę wszędzie, gdzie handluje się drewnem. Czy nie zastanawiałeś się nad opuszczeniem Heaven?

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w spokojną powierzchnię wody.

- Myślałem o tym.

- W takim razie dlaczego tego nie zrobiłeś?

Dokończył piwo.

- Po prostu nie załatwiłem tutaj wszystkich spraw.

- Czego nie załatwiłeś? Chodzi o pracę? - naciskała Schyler.

- Nie.

- Więc o co?

- Po prostu nie mogłem wyjechać - zniecierpliwił się.

- Oczywiście, że mogłeś. Co cię zatrzymywało?

Wykonał kilka nerwowych ruchów. Odetchnął głęboko.

- Moja matka. Nie mogłem wyjechać z jej powodu.

Ta odpowiedź, choć zaskakująco szczerza, niewiele jednak wyjaśniła.

- A po jej śmierci? Dlaczego wtedy nie wyjechałeś? Milczał. Spoglądała na niego wyczekująco. W końcu odezwał się.

- Obiecałem jej, że zostanę.

Patrzyli sobie prosto w oczy tak długo, że Schyler poczuła się skrępowana. Intuicyjnie wyczuwała, że za jego słowami kryje się coś ważnego, w co zamieszana była także ona. Wątpiła jednak, czy kiedykolwiek pozna prawdę. Życie Casha Boudreaux stanowiło tajemnicę nie do rozwiązania.

Przypomniała sobie powód, dla którego zatrzymała go.

- Cash, czy nie mówiłeś mi wczoraj rano, że dwie przyczepy miały łyse opony?

- Qui, ale zadbano o nie. Oddałem je do warsztatu Otisa.

- Nie martwię się o nie - mruknęła. - Czy nie uważasz, że to niezwykle?

- Co?

- Żeby dwie przyczepy miały zniszczone opony?

- Zbieg okoliczności.

Jej wyraz twarzy wskazywał, że nie podzielała jego pewności.

- Masz inną teorię?

Jej piersi uniosły się w głębokim wdechu, wyraźnie zarysowując się pod bluzką. Nie zdawała sobie z tego sprawy, choć nie umknęło to jego uwagi. Odkąd zgodził się ponownie objąć posadę w firmie Crandallów, konsekwentnie wkładała skromne ubrania, nie chcąc narażać się na jego krytyczne uwagi.

- Przypuszczam, że to po prostu zwariowany zbieg okoliczności. Prawdopodobnie nie roztrząsałabym go, gdyby nie ...

- Dokończ.

Zrobiło się jej głupio.

- Tego ranka zastałam drzwi do biura uchylone. Nie przyjechałeś przede mną, prawda?

Pokręcił przecząco głową i zmarszczył brwi.

- Wiatr?

- Jaki wiatr? - zapytała z lekkim uśmiechem. - Pozwoliłabym wyrwać sobie ząb, byle poczuć jego podmuch choć przez chwilę. Poza tym drzwi zamknęłam na klucz. Upewniam się o

tym co wieczór przed wyjściem. Czy ostatniej nocy korzystałeś z telefonu?

Uśmiechnął się krzywo i zaprzeczył.

- Sądziś, że ktoś manipulował przy oponach?

- Nie. To brzmi absurdalnie, prawda? - Rozmasowała sobie kark. Dręczące ją przez cały czas podejrzenia wydawały się nonsensowne, gdy wypowiadała je głośno. Żałowała, że nie zachowała ich dla siebie.

- Czy w biurze czegoś brakowało?

- Nie.

- Coś zniszczono, naruszono porządek?

- Nie, ale trochę się przestraszyłam.

- Jestem pewien, że nie ma powodów do niepokoju, ale być może powinnaś wracać do domu wcześniej. Nie zostawaj tak późno sama.

- Ken mówi ta sama. Przyjeżdża po mnie co wieczór.

- Czy Hawell był tam ubiegłej nocy?

- Tak - odpowiedziała, zaskoczona tym pytaniem. - Da czego zmierzasz?

- Czy kręcił się obok garażu?

- Ta bzdura.

- Nie. Howell ma dwa niezłe powody, by być wkurzonym.

- Jakie?

- Ta, że przejęłaś kierownictwa „Crandall Lagging”, oraz krążącą o nas plotkę.

- O nas? - Była ciekawa, ile wiedział.

- Tak. Ludzie mówią, że nie tylko interesy nas łączą. Kładą nas na łóżka i rozpowiadają, jak świetnie się tam bawimy.

Zatkała ją. Nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Nie miała dość siły, aby wytrzymać jego spojrzenie. Oczy Casha w jednej sekundzie były szare, zaraz potem zielone jak mech. - Gdybyś była Howellem, czy nie czułabyś się jak gównno?

- Ken nie ma powodów, by żywić urazę. Dalej wykonuje swoją pracę, a jeśli chodzi o nas, mimo że to głupia plotka, to nie jego sprawa. Jest mężem mojej siostry.

- Racja - wycedził przez zęby Cash, pijąc kolejne piwa. - Ale on nie może znieść myśli, że doceniam jakość czegoś, co on odrzucił. Skończyłaś?

- Ca? - zapytała ochryple.

Wskazał puszkę, którą ścisnęła w dłoniach.

- Och, jeszcze nie.

- Dobrze, co. tutaj mamy?

Podczas gdy drżącą ręką unosiła napój do ust, Cash pochylał się i podniósł coś z mulistej ziemi obok jej stóp. Zesztywniała z przerażenia, zobaczywszy ciało węża, zwisające z jego dłoni. Grzbiet długiego na dwie stopy gada pokrywały ciemne plamy.

Cash niedbale odrzucił węża w ciemność. Po chwili do ich uszu dobiegł plusk wody w kanale.

Schyler spojrzała na Casha.

- To był wodny mokasyn - szepnęła.

- Uhm.

- Po prostu podniosłeś go..

Dopiero teraz dostrzegł jej przerażenie. Wykrzywił usta w grymasie.

- Dorastałem nad brzegiem kanału, Schyler. Nie boję się węży. Żadnych. - Wyciągnął rękę i pomógł wstać dziewczynie. Przesunął ciepłymi dłońmi po jej ramionach. - Masz gęsią skórę. Niewiele węży spotyka się wokół rezydencji, prawda? - zapytał, wciąż rozcierając jej ramiona.

Podtrzymując za łokieć, poprowadził ją z powrotem w kierunku placu. Ugięły się pod nią kalana. Przygoda z mokasynem wytrąciła ją z równowagi, podobnie jak zachowanie jej towarzysza - jego delikatny dotyk, gorące spojrzenia, słowa, które padły z jego ust.

- Zanim zapomnę - powiedziała, dochodząc do siebie.

- Jest jeszcze coś, a czym chciałam z tobą porozmawiać.

- Zamieniam się w słuch.

- Ustaliłam termin spotkania z Joem Endicatem Juniorem w jego. wytwórni papieru.

- We wschodnim Teksasie?

- Tak. Robiliśmy z nim wcześniej interesy.

- Pamiętam. Dostaliśmy od nich parę niezłych zamówień.

- T a była kilka lat temu. Czy wiesz, dlaczego przestali z nami współpracować?

- Nie.

- Ja też. Potraktował mnie chłodno, ale w końcu prze - łamałam jego niechęć i zgodził się na spotkanie. Jutro a dwunastej.

Przerwała, by nabrać powietrza.

- Cash, czy pojedziesz ze mną?

Spojrzał zaskoczony, ale odpowiedział szybko.

- Pewnie.

- Potrzebuję twego doświadczenia. Mam wrażenie, że Joe chce mieć sporo drewna dobrej jakości, a jego stali dostawcy nie są w stanie podolać wymaganiom. Dla nas mogłoby to oznaczać duży kontrakt. Gdybyśmy spełnili ich wymagania, spłaciłabym dług.

Nie obawiała się już poruszać przy nim spraw rodzinnego przedsiębiorstwa. Odkąd zaczęli razem pracować, odkryła, że jeżeli ktokolwiek orientuje się w wewnętrznych układach w „Crandall Logging”, to osobą tą jest jedynie Cash. Znał jej sytuację finansową i nie miało sensu udawanie, że wszystko idzie dobrze.

- Cieszę się, że mogę wyświadczyć ci przysługę - powiedział. - Czy już wypijaś to piwo?

Skinęła głową i podała mu puszkę, choć pozostała w niej jedna trzecia zawartości. Wlał do gardła resztę i odrzucił pustą na tył ciężarówki.

Oparł ręce o samochód w taki sposób, że uwięził ją między ramionami. Spojrzał na nią.

- Nigdy potem nie piłaś piwa, prawda? - Schyler uciekła wzrokiem w dal. - Sądzę, że zdarzenie nad stawem Thibodaux obrzydziło ci je na długo.

Przyglądała się pierwszej wieczornej gwiazdzie, lśniącej srebrzystym blaskiem na niebie.

- Zastanawiałem się, czy pamiętasz.

- Pamiętam. - Pochyliła głowę, prawie dotykając brodą jego piersi. - Gdy było już po wszystkim, wpadłam w popłoch na myśl o tym, jak mogło się to skończyć.

- Niewiele brakowało i narobiłabyś sobie cholernych kłopotów, a miałaś wtedy zaledwie ... piętnaście lat?

- Tak.

Opuścił ramiona i oparł się bokiem o ciężarówkę, twarzą do dziewczyny. Schyler, nie patrząc na niego, czuła na sobie jego wzrok.

- Moja matka umarła zaledwie kilka miesięcy wcześniej. - Z jakiegoś powodu czuła potrzebę wyjaśnienia mu, dlaczego tak się zachowała tamtej nocy dawno temu. - Nigdy nie była specjalnie czuła. To znaczy - dodała pośpiesznie - nie kochała nas tak bardzo jak Cotton. Uwagę matki pochłaniały zawsze inne sprawy.

Cash nie przerywał jej.

- Ale ona nas wychowała. Odkąd pamiętam, zawsze klóciła się o to z Cottonem.

Oczywiście, jedną z przyczyn zatargów Cottona z Macy było to, że wyrzuciła go ze swej sypialni. Schyler nigdy nie zauważyła, by dzielili sypialnię. Pamiętała szok, jakiego doznała, dowiedziawszy się w wieku ośmiu lat, że zwykle mama i tata śpiąją nie tylko w tym samym pokoju, ale także w jednym łóżku.

- Po jej śmierci - kontynuowała - zaczęliśmy z Tricią testować wyrozumiałość Cottona. Wiedziałam, że nie zaaprobowałby mojego udziału w takiej imprezie. Kupił mi nowy samochód, chciałam pojechać nim na to przyjęcie nad stawem i pochwalić się przed tamtymi wszystkimi starszymi dziećmi. Myślę, że pragnęłam pokazać im, iż śmierć matki nie zrobiła na mnie wrażenia. - Westchnęła niepewnie. - Więc pojechałam.

- I spotkałaś Oarrella Hopkinsa. Śmiejąc się drwiąco, spojrzała na niego. - Pamiętasz wszystko.

- Pamiętam wiele wydarzeń tamtej nocy. - Jego głos stał się ochrypły. - Miałaś na sobie białą sukienkę. Pamiętam, jak w niej wyglądałaś w blasku ogniska. Miałaś włosy dłuższe niż teraz i spięte tutaj spinką. - Wykonał gest, wskazując miejsce.

- Nie mogę uwierzyć, że pamiętasz tyle szczegółów.

- Nigdy nie zapomnę też łap tamtego chłopaka błądzących po twoim tyłku, gdy tańczyliście.

Schyler przestała się śmiać. Spuściła oczy.

- Sprawy zaszły zbyt daleko, zanim zdałam sobie sprawę z tego, co się działo. Taniec nad brzegiem stawu ze starszym chłopakiem wydawał mi się tak romantyczny, gdy nagle on zaczął mnie obmacywać. Wpadłam w panikę i zaczęłam się bronić. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Wtedy właśnie wkroczyłeś. Pojawiłeś się znikąd. Później zastanawiałam się, co tam robiłeś. Nie widziałam cię wieki.

- Przyjechałem do domu na przepustkę z Fort Polk. Naszły ją wspomnienia.

- Miałaś prawie ogoloną głowę.

Przejechał dłonią swe długie włosy i uśmiechnął się.

- Qui. Włóczyłem się po mieście i usłyszałem o świetnym przyjęciu z mnóstwem piwa nad stawem. Pomyślałem: pójdę tam i zobaczę, może nadarzy się jakaś okazja do bitki.

- Zabrałeś mnie stamtąd do domu, do taty.

- Ale najpierw strzeliłem Darrella Hopkinsa w głowę. Wiesz, gdy spotkałem go nie tak

dawno temu, przeszedł na drugą stronę ulicy. Wciąż brak mu przedniego zęba. - Cash zwinął palce lewej ręki w pięść. - Powinien wiedzieć, że nie szuka się zwady z żołnierzem, który wybiera się na wojnę w dżungli.

Schyler spoważniała.

- Ledwo mnie znałeś. Dlaczego to zrobiłeś, Cash?

Powietrze między nimi wydawało się gęste i naelektryzowane jak przed burzą. Cash wodził wzrokiem po jej twarzy.

- Może byłem zazdrosny. Może chciałem zatańczyć z tobą i także cię dotknąć. Może współczułem ci.

Schyler miała ochotę rozplakać się albo krzyknąć i nie wiedziała, dlaczego.

- Nie wierzę w to, Cash. Myślę, że nie zrobiłeś tego z sympatii do mnie.

- Mówiłem ci już, że nigdy nie jestem miły. Szczególnie dla kobiet.

- Ale ja byłem dziewczynką. „Uważam, że wtrąciłeś się, nie chcąc, by niewinnej dziewczynie wyrządzono krzywdę.

- Może. - Starał się nadać głosowi nonszalancki ton, ale nie udało mu się. Nie mógł oderwać od niej oczu. - Ale nie sądzę, by tak było. Pamiętam coś jeszcze z tamtej nocy.

- Co takiego?

- W drodze do domu położyłaś głowę na moim udzie. Wciąż widzę twoje włosy rozsypane na moim ... Wyglądały jak jedwab, było ich wszędzie pełno. Podniecało mnie to. - Jego oczy pociemniały, pochylił się nad nią. - Powinienem być wykorzystać tę szansę, miałem u ciebie dług za spełnienie dobrego uczynku.

- Szansę na co?

Ręka Casha wynurzyła się z ciemności. Oplótł palce wokół szyi Schyler, głaszcząc kciukiem skórę. Przyciągnął dziewczynę do siebie, aż poczuł przez koszulę jej piersi.

- By cię skosztować.

- Czy to dlatego pocałowałeś mnie?

- Zrobiłem to, ponieważ cholernie tego chciałem.

- Tamtej nocy także. Dlaczego wtedy nic nie zrobiłeś?

- Istniały pewne powody.

- Cotton?

- Tak, Cotton.

- Dlaczego tak się na ciebie wściekł? Przecież gdyby nie ty, straciłabym dziewictwo przez ożłopanego piwem chłopaka. Nie piłam dużo. Może ze dwa piwa, ale tyle wystarczyło, by stracić rozsądek.

- Nie pamiętasz wszystkiego, co się wtedy wydarzyło?

Wprawił ją w zakłopotanie. Odpowiadała wolno, przeszukując pamięć.

- Pamiętam leżącego na ziemi nieprzytomnego Darrella. Z ust i nosa ciekła mu krew. Chciałam mu pomóc, sprawdzić, czy nie stało mu się nic poważnego, ale ty niemal wciągnąłeś mnie do swojego samochodu. Mojego samochodu! - wykrzyknęła. - Zawiozłeś mnie do domu moim samochodem?

- Qui.

- W takim razie jak dostałeś się z powrotem nad staw Thibodaux, by zabrać swój?

- Poszedłem z Belle Terre do szosy i złapałem okazję.

Nigdy nie analizowała tak dokładnie zdarzeń z tamtej nocy. Dotarcie do prawdy wydawało jej się ważne, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego.

Spojrzała ponownie na Casha.

- Cotton dostał szału, prawda?

- Nic dziwnego. Jego dumę i radość przywieziono do domu pijaną.

- Tak, ale obrócił swą złość przeciwko tobie. Dlaczego? To nie była twoja wina. - Bezskutecznie przeszukiwała pamięć w nadziei znalezienia strzępków wspomnień. - Gdy dotarliśmy do Belle Terre, wniosłeś mnie po schodach. Na werandzie paliło się światło i ... - przerwała, zamykając oczy, by przywołać z pamięci obraz - Cotton tam stał.

- Wyglądał groźnie niczym święty Piotr u wrót niebios - dodał złośliwie Cash. - Nie pozwalając mi nic wyjaśnić, obrzucił mnie przekleństwami. Ciebie Veda zagoniła do środka.

- Pamiętam: - Śmiejąc się dodała: - Rozebrała mnie i wepchnęła do łóżka. Zrugowała mnie za brak rozumu i ostro skrytykowała chłopaków z białej nędzy, nie okazujących szacunku tak przyzwoitym młodym dziewczętom jak siostry Crandall.

Przywołała obraz Vedy szczotkującej jej włosy.

„Niech jej Bóg da wieczne odpoczywanie” - pomyślała Schyler, uśmiechając się smutno. Veda z pewnością spuściłaby Cashowi lanie, gdyby tylko mogła. Usłyszał jednak mnóstwo obraźliwych słów od Cottona. Ją na górze kołysano do snu, a Cashowi stawiano niesprawiedliwe zarzuty.

- Cała odpowiedzialność spadła na ciebie, gniew Cottona skupił się wyłącznie na tobie. - Wspomnienia powracały teraz jasno i wyraźnie. - Idąc po schodach na górę, słyszałam, jak wrzeszczał na ciebie. Cotton nie rozumiał, że to nie ty spiłeś mnie piwem.

- Cotton nie chciał tego zrozumieć - stwierdził Cash gorzko.

- Powinien był podziękować ci, a tylko krzyczał na ciebie. - Znalazła się w ślepych zaułku. - Dlaczego Cotton wtedy na ciebie krzyczał?

- Za to, że przywiozłem cię pijaną do domu.

- Musiało chodzić o coś innego - upierała się

- Nie pamiętam - odrzekł sucho. Szybko pochylił głowę i musnął pocałunkiem jej wargi. -

Poza tym co za różnica? T o stara historia.

Różnica była ogromna. Czują, że zataił przed nią coś bardzo ważnego.

- Dlaczego nie pomożesz mi przypomnieć sobie?

- Wolę tworzyć wspomnienia - wyszeptał jej do ucha - ale jeśli pragniesz ożywić przeszłość, pojedziemy na przejażdżkę twoim samochodem, teraz. Ja poprowadzę, a ty położysz głowę ... wiesz, gdzie. - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta.

- Przestań! - krzyknęła, rozgniewana jego zachowaniem. - Muszę z tobą o tym porozmawiać, Cash.

- Rozmowa między mężczyzną a kobietą jest marnowaniem czasu. - Objął ją w talii i przyciągnął bliżej. - Jeśli ma to być spacer zaułkami wspomnień, to zabierzmy resztę piwa nad staw Thibodaux. - Chwycił wargami czubek jej nosa. - Wypijemy trochę, rozbierzemy się i wykapiemy. - Pocałował ją w usta. - Będziemy się tarzać w trawie, okryję pocałunkami całe twoje ciało. - Delikatnie dotknął jej piersi. - Kto wie, może będę miał więcej szczęścia niż Hopkins?

Schyler odepchnęła go i otarła usta. Była wzburzona.

- Powinam cię była zastrzelić, kiedy miałam okazję

Posłał jej leniwy uśmiech.

- A ja powinienem był cię zgwałcić, kiedy miałem swoją szansę. Dobranoc, panno Schyler. - Odwrócił się do niej plecami i niespiesznie odszedł w mrok.

Schyler walczyła z napadami gniewu jeszcze parę godzin później, gdy leżała w łóżku, próbując zasnąć. Cash Boudreaux był najbardziej denerwującym człowiekiem, jakiego знаła.

Od pierwszego spotkania dawno temu zawsze był przyczyną jej kłopotów. Noc, kiedy

odwiózł ją do domu znad stawu, pozostała okryta kurtyną zapomnienia, ale wspomnienia dzisiejszego wieczora lśniły blaskiem niczym smugi światła w ciemnych zakamarkach jej mózgu.

Najbardziej intrygowało ją to, co zaszło pomiędzy Cashem i jej ojcem, o czym Cash nie chciał powiedzieć.

Ciągle poszukiwała wiarygodnego wyjaśnienia, gdy na nocnym stoliku zadzwonił telefon. Niezdarnie odnalazła go w ciemności i podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Pani Crandall?

- Tak.

- Mówi doktor Cottins.

Zacisnęła palce na słuchawce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Ojciec? - zapytała ze strachem.

- Proszę przyjechać do szpitala tak szybko, jak to możliwe - powiedział lekarz. - Miał następny rozległy zawał. Musimy przeprowadzić zabieg teraz. Nawet gdyby... po prostu nie wiem.

- Już wyjeżdżam.

Odrętwienie nie trwało dłużej niż pięć sekund. Wybiegła boso do holu. Ken stał w bieliźnie przed sypialnią, którą dzielił z Tricią.

- Podniosłem słuchawkę w naszym pokoju i usłyszałem koniec rozmowy - powiedział. - Jedziemy z tobą.

- Spotkamy się na dole za pięć minut.

Szpital był dobrze oświetlony nawet w godzinach nocnych. Na korytarzach panował spokój. W milczeniu jechali windą na piętro, gdzie często gościli w ciągu ostatnich kilku tygodni. Obie kobiety nie miały makijażu i w świetle szpitalnych lamp wyglądały blado. Ken, z opuchniętymi oczyma i zarostem na twarzy, też nie prezentował się najlepiej.

Wysiedli z windy i pospieszyli w kierunku dyżurki pielęgniarek. Schyler wyprzedziła Howellów i dotarła tam pierwsza.

- Gdzie jest doktor Cottins?

- Przygotowuje się do zabiegu. Zostawił dla pani ten formularz do podpisania.

Schyler, obrzuciwszy wzrokiem dokument, złożyła podpis.

- Czy mojego ojca zabrano już na salę operacyjną?

- Nie, ale w jego pokoju są teraz sanitariusze.

- Mogę go zobaczyć?

- Jest w ciężkim stanie, podano mu środki uśmierzające ból.

- To nie ma znaczenia. Muszę go zobaczyć.

- Dobrze. Tylko proszę im nie przeszkadzać w przygotowaniach.

- Nie będę. - Odwróciła się do siostry i Kena. - Chcecie iść ze mną?

Tricia, rozcierając energicznie zziębnięte ramiona, pokręciła przecząco głową. Ken przeniósł spojrzenie ze swej żony na Schyler.

- Idź sama. Widok jego cierpienia za pierwszym razem był dla nas wystarczająco bolesny.

Schyler ruszyła wzdłuż korytarza. Drzwi do pokoju Cottona były otwarte. Dwóch sanitariuszy przenosiło go z łóżka na wózek. Wpadła pospiesznie do pokoju. Sanitariusz spojrzeli na nią pytająco.

- Jestem jego córką.

- Zabieramy go na salę operacyjną - poinformował ją jeden z nich.

- Rozumiem, ale pielęgniarka pozwoliła mi porozmawiać z ojcem. Czy jest przytomny?

- Nie sędzę. Dostał głupiego jasia.

Okryli Cottona białym prześcieradłem. Schyler stanęła przy wózku wystarczająco daleko, by nie zawadzać sanitariuszom, lecz dość blisko, by ująć rękę ojca. Grzbiet jego dłoni pokrywały ślady po kropłówkach.

Według Schyler ta dłoń była piękna; znała każde zgrubienie jej naskórka. Tysiące wspomnień wiązały się z tą ręką. To ona z dumą gładziła ją po głowie za piątkę z matematyki, ona uspokajała i uśmierzała ból po upadku z konia, ona ocierała dziewczęce łzy, gdy Cotton wyjaśniał, że Macy ją kocha, tylko po prostu nie wie, jak to okazać.

Przycisnęła jego rękę do swojego policzka.

- Dlaczego przestałeś mnie kochać, tatusiu? - Schyler wyszeptała tak cicho, że nikt nie mógł jej usłyszeć, ale jakby w odpowiedzi Cotton otworzył oczy i spojrzał na nią. Wydała cichy radosny okrzyk i uśmiechnęła się promiennie przez łzy. Jej ojciec nie umrze, nie wiedząc, jak bardzo go kocha.

- Schyler? - wychrypiał Cotton.

- Musimy już iść, proszę pani - powiedział sanitariusz, próbując odsunąć ją na bok.

- Tak, wiem, ale ... O co chodzi, tatusiu? Co chcesz mi powiedzieć?

Wciąż ją kochał. Starał się powiedzieć jej to teraz. Zawisła oczami na jego ustach.

- Dlaczego ...

- Proszę pani?

- Proszę! - krzyknęła. Sanitariusz cofnął się i Schyler znowu pochyliła się nad Cottonem.

- Co, tatusiu? Dlaczego co?

- Dlaczego zabiłaś mojego wnuka?

- Boudreaux!

Zamyślony Cash nie słyszał ani zbliżającego się do jego domu samochodu, ani kroków na werandzie. Od wpół do czwartej pił kawę, czekając na świt, by móc zgłosić się do pracy na plac.

Od niedawna w chwilach bezczynności coraz częściej kierował się myślami ku kobiecie, dla której pracował. Przeklinając intruza, odstawił gorącą filiżankę na stół.

Cash gwałtownie otworzył drzwi i zobaczył Jiggera Flynna.

Przymrużył oczy.

- Bon jour, Jigger. Co sprowadza cię do mnie tak wcześnie rano?

- Potrzebuję czegoś dla mojej kobiety - burknął opryskliwie Flynn, nie zwracając sobie głowy powitaniem.

- Której?

- Tej czarnej dziwki, która u mnie mieszka. A o której myślałeś?

Spojrzenie Casha stało się lodowate.

- Gayli?

Jigger chrząknął i kiwnął głową.

- Co jej się stało?

- Krwawi.

- Krwawi? - powtórzył zaniepokojony Cash. - Skąd?

- Zewsząd. Obudziłem się w kałuży krwi. Powiedziała, że poroniła.

- Jezu!

Cash potarł dłonią twarz. Nie pierwszy raz Jigger prosił go o pomoc dla swojej prostytutki, która spartaczyła spędzanie płodu lub dostała lanie od klienta. Flynn unikał lekarzy, gdyż o takich incydentach musieliby informować policję. Większość tutejszych stróżów porządku siedziała u niego w kieszeni, ale Jigger nie podejmował niepotrzebnego ryzyka.

- Jeżeli poroniła, to lepiej zawieźć ją szybko do szpitala.

- Twoja matka dawała mi wcześniej lekarstwa, dzięki którym doprowadzałem swoje dziwki od porządku.

- Ona znała się na tym lepiej niż ja.

W oczach Jiggera pojawił się błysk nienawiści.

- Na dobrą sprawę Gayla powinna zdechnąć w kałuży swojej własnej krwi.

Dał w ten sposób do zrozumienia, że nie zamierza zabierać Gayli do szpitala.

Boudreaux zazgrzytał zębami.

- Zaczekaj tutaj.

Parę minut później wrócił z papierową torbą.

- Tutaj są dla niej dwa różne lekarstwa. Zapiszę ci, jak je podawać. - Wyciągnął torebkę w stronę Jiggera. Ten chwycił ją, ale Cash nie puszczał. Jigger spojrzał na niego pytająco. - Zostaw ją w spokoju, dopóki zupełnie nie wyzdrowieje - poradził mu Cash. - Rozumiesz, co mówię?

- Mam się z nią nie pieprzyć.

- Właśnie. Inaczej mógłbyś ją zabić.

Jigger łypnął okiem.

- Podoba ci się Gayla? Powiem ci coś, Boudreaux. Pozwolę ci zabawić się z nią któreś nocy. W zamian za lekarstwo.

- W zamian za lekarstwo dasz mi dwadzieścia dolców.

Wzruszając ramionami, Jigger wyłowił banknot z kieszeni spodni i wręczył go Cashowi.

- Na pewno nie chcesz Gayli? - Cash nie odpowiedział. Jigger zarechotał i odwrócił się, by odejść. Po pierwszym kroku gwałtownie się zatrzymał. - Dlaczego pracujesz dla tej Schyler Crandall?

- Dobrze mi płaci.

Jigger zmrużył oczy.

- Gilbreath mówi, że ta panna zastrzeliła moje psy. To prawda? - Cash pominął jego pytanie milczeniem, ale Jigger kontynuował. - Zapłaci za to - syknął groźnie.

- Zostaw Schyler Crandall dla mnie.

Jigger, rechocząc, odrzucił do tyłu głowę. Wycelował wskazujący palec, zakończony brudnym paznokciem, w Casha.

- Zapomniałem, że ty też masz na pieńku z Crandallami.

- I załatwię to na swój własny sposób. Trzymaj się od nich z daleka.

Jigger przymknął oczy.

- Jesteśmy po tej samej stronie, no nie, Boudreaux? W jednej drużynie.

Powoli zszedł po schodach werandy i podszedł do zaparkowanej ciężarówki. Roześmiał się i machnął ręką na pożegnanie, zanim odjechał.

Cash skończył ubierać się do pracy, umył dzbanek do kawy i opuścił dom zaledwie kilka minut po Jiggerze. Nieobecność Schyler na placu zaskoczyła go. Pozwolił sobie wejść do biura, zastanawiając się, czy powinien wspomnieć jej o wizycie Flynnna. Zdecydował się, że nie zrobi tego. Wiadomość o Gayli jedynie wytrąciłaby ją z równowagi i bardziej niż prawdopodobne, że sprowokowałaby do jakiegoś nierozważnego czynu. Poza tym, im mniej Schyler wiedziała, tym

lepiej.

Gdy zaczęli się schodzić pracownicy, a jej wciąż nie było, Cash wykręcił numer telefonu Belle Terre. Gospodyni poinformowała go, że panny Crandall nie ma w domu.

- A gdzie jest? - zapytał.

- W szpitalu. Pan Crandall miał następny zawał.

Cash odłożył słuchawkę. Opadł na oparcie fotela i zagapił się w przestrzeń przed sobą.

W końcu jeden z drwali wstąpił do środka po wytyczne na ten dzień pracy. Rzut oka na twarz Casha wystarczył, by mężczyzna wycofał się bez słowa. Coś złego działo się z jego szefem i Boże dopomóż człowiekowi, który naraziłby się Boudreaux, gdy był w takim nastroju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Słowa ojca wciąż odbijały się echem w jej głowie: „Dlaczego zabiłaś mojego wnuka?”

Choć tyle razy je powtarzała, ciągle nie znajdowała w nich sensu.

Ukryła twarz w dłoniach i odetchnęła głęboko. Nie wolno mu umrzeć, dopóki nie porozmawiają o tym jeszcze raz. Bóg nie może być tak okrutny.

- Kawy, Schyler?

Odjęła dłonie od twarzy i zobaczyła pochylonego nad nią Kena.

- Nie, dziękuję.

Uścisnął uspokajająco jej ramię i usiadł na kanapie obok Tricii. Ujął żonę za rękę. Schyler przyglądała się im z zazdrością. Potrzebowała tego rodzaju kontaktu z kimś bliskim właśnie teraz, z kimś, kto pocieszyłby ją i pomógł przetrwać te godziny.

Tricia podchwyciła długie spojrzenie Schyler. Przysunęła się do Kena i przylgnęła do niego, przytrzymując kurczowo ramię męża. Schyler zignorowała gest siostry, ale zaczęła się jej przyglądać. Bez makijażu Tricia wydawała się starsza. Kosmetyki nie maskowały ostrych linii wokół ust, nie zasłaniały wyrachowania malującego się na jej ładnej twarzy.

I wtedy zrozumiała.

W jednym ułamku sekundy wszystko stało się jasne. Wiedziała, kto ponosi winę.

- Czy ... - głos Schyler był zimny i ochryply. - Trici o, czy powiedziałaś tacie, że usunęłam ciążę?

Pozbawione różu policzki Tricii przybladły jeszcze bardziej. Opadła jej szczeka, nadając twarzy głupi wyraz. Mrugnęła raz, drugi. Drżąc, bez słowa, skierowała wzrok na kobietę będącą jej siostrą jedynie z nazwiska.

- Zrobiłaś to. Zrobiłaś.

Schyler miała wrażenie, jakby ziemia usuwała się jej spod nóg, a powietrze stało się tak gorące i gęste, że nie mogła go wciągnąć do płuc. Zacisnęła powieki. Po kredowo białych policzkach popłynęły jej łzy.

- Pani Crandall?

Uniosła głowę i otworzyła oczy. Doktor Cottins stał obok i przyglądał się jej z niepokojem. Miał na sobie zielony fartuch. Odwiązana maska wisiała na jego piersi jak śliniaczek.

- Chirurg właśnie zszywa ranę.

- Czy mój ojciec żyje?

Młody lekarz uśmiechnął się.

- Tak. Przeżył bardzo skomplikowany zabieg.

Po raz pierwszy od kilku godzin odetchnęła spokojnie.

- Wyzdrowieje?

Lekarz podrapał się w policzek.

- Jeśli odzyska przytomność, na pewno będzie w lepszym stanie niż przed zabiegiem. Ale przez parę najbliższych dni nie można być niczego pewnym.

- Rozumiem. Dziękuję za uczciwą odpowiedź.

- Chciałaby pani porozmawiać z chirurgiem?

- Jeśli znajdzie czas. To nie jest konieczne. - Tak. - Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

- To była długa noc. Proponuję; by wróciła pani do domu i złapała trochę ...

Zamilkł w połowie zdania. Schyler gwałtownie pokręciła głową.

- Nie! Muszę być tutaj, kiedy tata się obudzi.

- To mogłoby ...

- Muszę tu być - powtórzyła stanowczo. Lekarz zrozumiał, że nie wygra z nią•

- Poprawa nastąpi mniej więcej za trzydzieści sześć godzin. Poinformuję panią. Może pani wchodzić do niego co jakiś czas, choć to nie bardzo przyjemny widok. Jeśli pani chce, oczywiście.

- Chcę.

- W porządku. W takim razie proszę być przy drzwiach co dwie godziny.

Skinął głową Howelom, którzy milczeli przez cały czas, posłał Schyler ostatnie spojrzenie i opuścił poczekalnię.

Schyler z trudem przełknęła ślinę. Nie chciała rozplakać się teraz, ale łkanie rozsadzało jej piersi. Wytarła spocone dłonie w chusteczkę do nosa, która w ciągu nocy przesiąkła wilgocią tak, że można ją było wykręcić.

Wstała z wysiłkiem. Zrobiła trzy kroki, zmniejszając do połowy dystans dzielący ją od siostry. Spojrzała Tricii prosto w twarz.

- Zejdź mi z oczu - wymówiła wyraźnie każde słowo.

Następnie, tłumiąc narastającą furję, z godnością opuściła poczekalnię.

Schyler nie chciała opuścić oddziału pooperacyjnego, wciąż czuwała nad ojcem, którego stan „niestety” nie polepszał się. Pomimo usilnych starań doktor Cottins nie umiał rozproszyć jej obaw.

Przyglądała się ojcu zmagającemu się po odzyskaniu przytomności z tkwiącą w jego gardle rurką intubacyjną. Unieruchomiono mu ramiona, by nie wyszarpnął igieł i cewników.

Wciąż śledziła na monitorze wykres pokazujący pracę serca Cottona, obawiając się, że nagle to ukochane serce przestanie bić. Lekarze powiedzieli jej, że każda przeżyta przez niego godzina zwiększa szansę. Uczepiła się tej nadziei. Drugiego dnia zaczęła wierzyć, że Cotton powróci do zdrowia. Żeby jakoś przetrwać kolejną noc, zadzwoniła do Marka. Pod wpływem jego czułego i pełnego współczucia głosu wybuchnęła płaczem.

- Czy on umarł, kochanie?

- Nie, nie. - Łamiącym się głosem przekazała mu najnowsze wiadomości.

- Jestem pewny, że wróci do zdrowia. Lekarze mają nadzieję, nieprawdaż?

- Tak. Powiedzieli jednak niewiele.

- A co z tobą? Mówisz, jakbyś goniła resztkami sił.

- T o prawda - przyznała. Przed Markiem nie musiała udawać.

- Jestem wyczerpana, ale chcę być tutaj, dopóki nie będę miała pewności, że ojciec znalazł się poza niebezpieczeństwem.

- Nie pomożesz mu nie śpiąc, żyjąc w takim napięciu.

- Muszę z nim zostać.

Wiedział, że nie należy spierać się z Schyler, gdy jej głos przybierał ten osobliwy ton. Taktownie zmienił temat.

- Jak interesy? Dokonałaś jakiegoś postępu?

Przedstawiła mu pokrótce położenie „Crandall Logging”.

- Oczywiście od operacji taty nie byłam na placu, ale przypuszczam, że Cash panuje nad wszystkim.

Mark ponownie zaproponował pieniądze. Odmówiła. - Tęsknię za tobą, Schyler - powiedział w końcu.

- Ja za tobą też. Tak bardzo pragnę, żebyś mnie przytulił.

- Wróć do domu, do mnie.

Z całej siły przygryzła dolną wargę, by powstrzymać się od płaczu.

- Nie mogę, Mark. Jeszcze nie. Muszę być teraz z tatą.

- On nie zasłużył na tyle poświęcenia z twojej strony.

- Zasłużył. - Mark nie wiedział o postępkach Tricii, lecz nie chciała mówić o tym przez telefon.

- Moim miejscem jest teraz Belle Terre. Muszę zostać.

Gdy odłożyła słuchawkę, czuła się jednak bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek. Ze zwieszoną głową wracała korytarzem do pokoju, który był teraz dla niej najważniejszym miejscem na świecie.

Zauważyła Casha dopiero wtedy, gdy wpadła na niego.

Chwyił ją za ramiona, patrząc z niepokojem na jej twarz. Zdała sobie sprawę, że musi okropnie wyglądać. Przez dwa dni unikała luster w damskich toaletach.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

- To publiczny szpital, prawda? A może bękartom i Cajunom nie wolno tu wchodzić?

- Och, to wspaniale, co mówisz. Tego właśnie potrzebuję. Twojego wstrętnego, ordynarnego sarkazmu. Próbowала go minąć, lecz zastąpił jej drogę.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie, gdy to się stało?

Roześmiała się gorzko.

- Cóż, byłam trochę zajęta. Miałam parę innych rzeczy na głowie.

- Nie pomyślałaś, że chciałbym wiedzieć, co się stało?

- Przecież sam się dowiedziałeś.

- Bo zadzwoniłem do Belle Terre, by zapytać, co się z tobą dzieje.

- W takim razie co cię tak wyprowadziło z równowagi?

- Ta dziwka, która powiedziała mi przez telefon, że Cotton miał kolejny zawał, prawdopodobnie śmiertelny.

Siedząca za biurkiem pielęgniarka podniosła głowę i spojrzała na nich gniewnie znad okularów. Cash odwzajemnił jej spojrzenie.

- Potrzebuje pani czegoś?

- Proszę zachowywać się ciszej.

Wziął Schyler pod ramię i pociągnął ją przez hol na dziedziniec, gdzie wśród bujnej roślinności postawiono kamienne ławki.

- Co z nim?

Nerwy Schyler były napięte jak struny.

Szczególnie denerwowało ją to, że jest zadowolona widząc Casha Boudreaux.

Gdyby zachowywał się jak dżentelmen, a nie uliczny rzezimieszek cieszyłaby się mając go teraz przy boku. Jego szeroka pierś wydawała się doskonałym miejscem odpoczynku dla jej zmęczonej głowy. Gdyby wyciągnął ku niej ramiona, skwapliwie pozwoliłaby się wziąć w objęcia. Cash jednak nie kwapił się z pocieszaniem jej, był wręcz niemiły.

- Zadałem ci pytanie. - Jego słowa zabrzmiały tak ostro, że aż drgnęła.

- W porządku.

- Gównu.

- Dobra, nie za bardzo w porządku! - krzyknęła.

- Przecięli mu mostek, osierdzie, wymienili cztery naczynia wieńcowe, a jego serce było zbyt słabe, by na nowo rozpocząć pracę. Myślisz, że jak się może czuć po tym wszystkim? Nigdy nie powiedzieliście sobie dobrego słowa, więc co cię to obchodzi?

Pochylił się nad nią.

- Chcę wiedzieć, czy biznes, za który nadstawiam tyłek, odwała kitę razem z właścicielem.

Schyler odwróciła się gwałtownie i odeszła.

- Słuchaj - odezwał się, dogoniwszy ją w drzwiach.

- Drwale pytają o niego. Zadzwoiłem do szpitala, ale nie powiedzieli mi niczego. Howell też nabrał wody w usta. Muszę coś powiedzieć ludziom.

Odzyskawszy zimną krew, odwróciła się do niego z kamienną twarzą.

- Powiedz im, że teraz powinno być już lepiej. Lekarz uważa, że jutro, być może, nastąpi poprawa. Jeżeli będzie jakieś jutro.

- Dziękuję.

- Proszę.

- Czy przydzielili ci już jakieś łóżko?

- Co?

- Łóżko szpitalne. Wyglądasz jak przekręcona przez wyżymaczkę do bielizny.

- Cóż za urocze powiedzonko, panie Boudreaux!

- To prawda, wysłowiłem się bardzo oględnie. Jak dawno jadłaś gorący posiłek? Czy

spalaś choć kilka godzin? Kapałaś się? Dlaczego winisz siebie za chorobę Cottona?

- Nie winię siebie.

- Naprawdę?

- Tak i nie potrzebuję, byś mówił mi, jak źle wyglądam. - Wyprostowała się. - Ken dostarczy czeki na piątkowe wypłaty. Nie bój się, zostaniesz dobrze opłacony za narażanie tyłka dla „Crandall Logging”.

Opuściła go, klnącego pod nosem.

Następnego dnia odszukał ją doktor Cottins. Odpoczywała w poczekalni z głową opartą o ścianę. Usiadł obok niej, ujmując ją za rękę. Wyrężyła się, oczekując najgorszego.

- Nie chciałbym zapeszyć, ale jak na razie stan naszego pacjenta wykazuje znaczną poprawę.

Odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu!

Lekarz uścisnął jej dłoń.

- Zatrzymam go na oddziale intensywnej terapii przez następny tydzień, ale myślę, że krytyczny okres ma już za sobą.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Tak.

- Kiedy?

- Za pięć minut. W tym czasie proponuję wyszczotkować włosy i pociągnąć usta szminką. Nie chcemy przerazić biednego człowieka po tym wszystkim, co przeszedł.

Roześmiała się cicho.

Pięć minut później patrzyła na Cottona. Zauważyła, że jego skóra utraciła szary kolor. Opiekująca się pacjentem pielęgniarka wycofała się, pozwalając Schyler pozostać sam na sam z Ojcem.

Pochyliła się nad Cottonem i dotknęła jego włosów. Otworzył oczy i odszukał ją wzrokiem.

- Wyzdrowiejesz - wyszeptała. Pogładziła jego czoło nad siwymi krzaczastymi brwiami. - Gdy poczujesz się lepiej, wyjaśnię ci wszystko. - Oblizała wargi, mimo że przed chwilą pomalowała je szminką. - Ale chcę, żebyś coś wiedział. - Przerwała, by upewnić się, że jest całkowicie przytomny. - Nigdy nie byłam w ciąży. Nigdy jej nie usuwałam. Nigdy nie zabiłabym

twojego wnuka. - Położyła dłoń na jego policzku. - Tatusiu, słyszysz mnie?

Jego oczy zaszkliły się łzami. Otrzymała odpowiedź.

- Nigdy cię nie okłamałam. Wiesz o tym. T o, co powiedziałam teraz, to także prawda. Przysięgam na Belle Terre, którą kocham z całego serca. Nigdy nie byłam w ciąży. To wszystko było ... niefortunnym nieporozumieniem.

W wyrazie twarzy Cottona nastąpiła zmiana, jakby pierwszy promień jutrenki przełamywał ciemność nocy. Zamknął oczy. Spod pomarszczonych powiek pociekły łzy. Schyler otarła je kciukiem, następnie pochyliła się jeszcze bardziej i z miłością pocałowała go w czoło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Po powrocie do Belle Terre Schyler wzięła gorący prysznic. Potem poszła prosto do łóżka i spała przez szesnaście godzin.

Następnego ranka obudził ją skręcający wnętrzości głód.

Ubrała się i zeszła od kuchni. Omlet z trzech jaj, szynki i sera był prawie gotowy, gdy pojawiła się pani Graves. - Dzień dobry - przywitała ją uprzejmie Schyler, zręcznie przekładając omlet z patelni na talerz.

Gospodyni, rozdrażniona wtargnięciem Schyler do jej królestwa, majestatycznie odwróciła się na pięcie i nie odpowiedziałwszy, opuściła pomieszczenie. Ubawiona Schyler usiadła przy kuchennym stole i do ostatniej okruszyny zjadła zawartość swego talerza, popijając sokiem pomarańczowym i dwiema filiżankami kawy.

Zmywając naczynia, zauważyła, że pada deszcz. Pociemniałe niebo pokrywały gęste chmury.

Wyszła z domu, nie spotkawszy się z Kenem i Tricią, i pojechała do szpitala. Wszedłszy do pokoju Cottona, znieruchomiała nagle. Jej ojciec, wspierając się na ramionach szczupłej pielęgniarki, stał obok łóżka. Uniósł głowę i uśmiechnął się do córki.

- Boli jak diabli, ale czuję się wspaniale.

Schyler podeszła do niego i po raz pierwszy od sześciu lat wzięła ojca w objęcia.

Pielęgniarka przerwała tę wzruszającą scenę.

- Mam nadzieję, że pani potrafi sobie z nim poradzić, panno Crandall - powiedziała. - Jest najbardziej kłótliwym i nie przebierającym w słowach pacjentem, jakiego kiedykolwiek miałam.

- To cholerne kłamstwo.

Kobiety mrugnęły do siebie porozumiewawczo za plecami Cottona. Wspólnymi siłami położyły go do łóżka. Był tak wyczerpany, że natychmiast zapadł w sen. Schyler obserwowała go przez chwilę i wyszła do mieszczącego się w holu sklepu z upominkami, by zamówić dla Cottona kwiaty.

Spał przez kilka godzin. Doktor Coli in s i kardiochirurdzy zapewniali ją, że sen jest teraz dla niego najlepszym lekarstwem. Wyszła ze szpitala, nie porozmawiawszy ponownie z ojcem, ale uśmiech, którym ją powitał, uspokoił ją.

Niepokoiliła się stanem przedsiębiorstwa, pragnęła jak najszybciej znaleźć się na placu, ale

musiała wcześniej zrobić coś innego. Firma może poczekać kilka godzin. Schyler chciała najpierw załatwić sprawę odkładaną o wiele dłużej. Dokładnie sześć lat.

Wczesnym rankiem wróciła do Belle Terre. Pogoda nie zmieniła się. Schyler biegła od samochodu do werandy, by jak najszybciej wydostać się spod strug rześistego deszczu. W pokojach na parterze nie znalazła nikogo. Usłyszała krzątającą się po kuchni panią Graves. Poszła na górę. Z sypialni Tricii dobiegł głos spikera radiowego. Schyler otworzyła drzwi bez pukania i weszła do środka.

Tricia w narzuconym na halkę atlasowym kimonie siedziała przy toalecie, nakładając makijaż. Zobaczywszy Schyler w lustrze, obróciła się ku niej.

- Nie słyszałam, żebyś pukała.

- Nie pukałam.

- To niegrzecznie. Zapomniałaś o podstawowych zasadach dobrego wychowania?

Schyler nie dała się sprowokować. Podeszła do radia i wyłączyła je. W pokoju zapadła nagle zupełna cisza. Schyler stanęła przed siostrą.

- Nie zasługujesz, bym była dla ciebie uprzejma. Ciesz się, że nie dostaniesz tego, co ci się należy. - Schyler była wystarczająco wściekła, by podejść do Tricii i wytargać ją za włosy. - Dlaczego, Tricio? Dlaczego powiedziałaś Cottonowi, że usunęłam ciążę?

- Na jakiej podstawie sądzisz, że to zrobiłam?

- Koniec gier! - Głos Schyler był jak smagnięcie biczem. - Wiem, że to twoja wina. Na miłość boską, z jakiego powodu zmontowałaś takie kłamstwo?

Tricia zerwała się na równe nogi, podeszła i rozsunięszy zasłony, wyjrzała przez okno. Opuściła zasłonę i odwróciła się do Schyler.

- Żeby przestał mnie dręczyć, dlatego. Chciałam, by przestał potępiać mnie za poderwanie ci Kena. Nie musiałam go długo podrywać. - Uniosła dumnie głowę. Włosy rozsypały się jej na ramionach. - Wystarczyło, żeby raz poszedł ze mną do łóżka.

Kilka lat temu takie słowa zabiłyby Schyer.

- Cotton czynił ci za to wyrzuty?

Tricia roześmiała się krótko i bez wesołości.

- Czynił wyrzuty, zadreślał, traktował jak dziwkę, nazywaj to, jak chcesz. Zachowywał się tak, jakbym wydarła ci serce z piersi. Ciągle rozwodził się nad tym, jak zdradziłam cię z premedytacją, jak nadstawiłam się Kenowi, by zdobyć go tylko dlatego, że ty go kochałaś.

Schyler pogładziła palcami oparcie szeszlona wyrzeźbione z drzewa różanego. Kiedyś odpoczywała na nim Macy, obca i wyniosła, gdy córki przychodziły pocałować ją na dobranoc. Schyler przypomniała sobie, jak chłodne wargi matki ledwo muskały jej policzek. Tricia zawsze spychała Schyler na bok, roszcząc pretensje do tych skąpo rozdzielanych beznamiętnych pocałunków.

- A nie miał racji? - Schyler zapytała cicho. - Nie chciałaś Kena tylko dlatego, że miałam go ja?

- Nie! - odpowiedziała piskliwie Tricia. - Zakochałam się w Kenie. Tak samo jak ojciec zawsze myślałaś o mnie źle.

- Nie starasz się, by było inaczej, Tricio. Snułaś intrygi przez całe życie. Ale to ... to ... - Schyler błędziła wzrokiem po pięknym pokoju, szukając słów. - Jak mogłaś zrobić mi takie świństwo?

- Zranienie cię nie było moim celem, Schyler.

- Uważasz, że nie powinno mnie to dotknąć? Jak ty sobie to wyobrażałaś?

- Wyjechałaś do Londynu i rozpoczęłaś nowe życie.

Ojciec był strasznie wściekły.

- Dlatego, że jego córka miała skrobankę?

- Och, na miłość boską! To była pierwsza rzecz, jaka mi wpadła do głowy, gdy zapytał mnie, jak mogłam tak skrzywdzić biedną, małą Schyler. - Kpiąco przycisnęła dłoń do piersi. - Nie wierzę ci. Powiedziałaś to, aby odsunąć ode mnie ojca. Wiedziałaś; że czegoś takiego mi nie wybaczy.

- Bzdura. - Tricia podeszła do toaletki i podniosła kredkę do oczu. Pochyliła się nad lustrem i odciągnęła dolną powiekę. - Nie rób z tego tragedii. Aborcja po prostu wydawała mi się wiarygodnym powodem twojej kłótni z Kenem. Nie przypuszczałam, że tata będzie się tym tak zadreślał przez całe życie.

- Dlaczego nie wyjawiałaś mu prawdy?

- Bo nie chciałam, żeby mnie znienawidził.

- Woliałaś, by nienawidził mnie.

Tricia odwróciła się gwałtownie.

- Tak. Nadszedł czas, by zmieniono stare układy, nieprawdaż?

Schyler cofnęła się o krok, zaskoczona jawną nienawiścią Tricii.

- Co masz na myśli? - zapytała z niepokojem.

- Ja też miałam prawo do jego względów, do jego miłości. - Jej kształtne piersi zafalowały pod kimonem. Dławiła w sobie te słowa przez lata. Teraz wyrzucała je z siłą górskiego potoku. - Kochał cię do szaleństwa. Wszystko, co robiłaś, było wspaniałe. Jeśli przypadkiem spojrział na mnie, nie wydawał się specjalnie zadowolony.

- Tricio, to nieprawda. Tricia zignorowała siostrę•

- Dla mnie miał tylko słowa krytyki.

Zrzuciła szlafrok, podeszła do szafki i ściągnęła z wieszaka sukienkę. Uroda siostry nie umknęła uwadze Schyler. Jedyne widoczny na twarzy cień goryczy szpecił nieco piękny obraz.

Tricia ponownie podeszła do stolika z kosmetykami i podniosła szminkę.

- Nie mam pojęcia, dlaczego, do diabła, oni mnie adoptowali. - Potarła wargi i odłożyła szminkę na miejsce.

- Chcieli cię.

Tricia parsknęła śmiechem.

- Twoja naiwność jest zenująca, Schyler. Mama miała bzika, gdyż nie mogła mieć własnego dziecka.

- Chciała dać tacie dzieci.

Tricia z jękiem pokręciła głową. Zapięła wokół talii pasek i poprawiła go.

- Nie dała tacie niczego poza cholernie ciężkim losem. Chciała mieć dziecko tylko dlatego, że gwarantowałyby to zatrzymanie Belle Terre w rodzinie Laurentów. Niezdolność do urodzenia dziecka czyniła ją mniej doskonałą. Nie potrafiła tego zaakceptować, dlatego tak zdziwaczała.

- Nie mów tak. Mama nie była zbyt szczęśliwą kobietą, ale ...

- Do jasnej cholery, Schyl er, ona była nieszczęśliwa jak nikt na świecie. Tak! - Zaakcentowała ostatnie słowo, widząc, że Schyler chce protestować. - Była nieszczęśliwą, egocentryczną babą, a jej głównym zajęciem było unieszczęśliwianie każdego z nas. Nie kochała nas. Kochała jedynie siebie. Ale ty miałaś Cottona, który czcił ziemię, po której stąpałaś. Co pozostawało dla mnie? He? Nic. Pojawił się Ken Howell ze złamanym sercem. Masz cholerną rację, że go chciałam. Dlaczego nie? Nadeszła moja kolej! - krzyknęła, bijąc się dłonią w pierś. - Zrobiłabym wszystko, by oderwać go od ciebie.

- Wszystko? Nie było nigdy żadnego dziecka, prawda, Tricio? Nigdy nie zaszłaś w ciążę.

Kolejne kłamstwo. Poronienie po ślubie to wymysł.

- Co za różnica ...

- Powiedz mi!

- Nie byłam w ciąży!

Powietrze wokół nich zgęstniało. Potwierdzenie przez Tricię podejrzeń Schyler zabrzmiało niczym dzwonek sygnalizujący koniec rundy i odsyłający obie do własnych narożników, by złapały oddech. Pierwsza przemówiła Schyler.

- Czy Ken zdaje sobie sprawę z tego, że go oszukałaś? Tricia, zapalając papierosa, wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że tak. Nie jest może Einsteinem, ale kompletnym durniem także nie. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Myślę, że stara się wierzyć w oficjalną wersję wydarzeń. Dzięki temu lepiej zniósł utratę ciebie. - Obrzuciła siostrę pogardliwym spojrzeniem. - Jestem dla niego znacznie lepszą żoną, niż ty kiedykolwiek byłabyś. Twój silny charakter przeraża Kena - podziwia go, ale nie akceptuje. Zbyt obnaża jego braki.

- Jak śmiesz wmawiać mi, jaką żoną byłabym dla Kena!

- Kochałam go.

Kąciki ust Tricii uniosły się.

- Tak - powiedziała cicho. - Wiem.

- Wróciłby do mnie. Nie zniosłabyś tego. - Słowa Schyler trafiły w czuły punkt. Tricia ze złością strzepnęła popiół do popielniczki. - Dlatego wymyśliłaś to kłamstwo o ciąży. Chciałaś zranić nas oboje. Znalazłaś sposób, by zniszczyć mnie i usidlić Kena. - .

Porządkując myśli, Schyler podeszła do okna. Deszcz się nasilił. Na trawniku tworzyły się kałuże.

- Musiałaś też wytłumaczyć się przed tatą. Wiedziałaś, że ponad wszystko cenił Belle Terre. Stale mówił o założeniu dynastii. Pragnął, by w tym domu wyrastały kolejne pokolenia, niekoniecznie noszące jego nazwisko. To było jego największe marzenie. Wiedziałaś, iż nic go tak nie zrani jak wiadomość, że jedna z nas usunęła ciążę.

- Och, Schyler - westchnęła Tricia, gasząc papierosa.

- Jesteś równie sentymentalna jak on. Nasze dzieci nie byłyby jego wnukami. Nie jesteśmy jego córkami. Całe to gładzenie o dynastii śmieszyło mnie tylko. Cotton nie należy do Belle Terre bardziej niż my. Wszyscy w okolicy wiedzą, że ożenił się z Macy jedynie po to, by

zamieszkać tutaj.

- To kłamstwo. On kochał mamę•

- I chodził do Monique Boudreaux!

Schyler zabrakło słów. Patrzyła osłupiała na siostrę• Tricia wybuchnęła śmiechem.

- Ty nie wiedziałaś, prawda? Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała zdumiona. - Naprawdę nie wiedziałaś, że Monique była kochanką Cottona? Niesamowite. - Kręciła głową, śmiejąc się kpiąco. - Myślałaś, że on jest mnichem? Święty Cotton? Sądziłaś, że obywatel się bez kobiety przez te wszystkie lata, kiedy nie sypiał razem z mamą?

- Jesteś wulgarna.

- Masz rację - mruknęła Tricia. - To dlatego z taką łatwością zwabiłam Kena do swojego pokoju.

- Niezupełnie.

Obróciły się jednocześnie, by spojrzeć na stojącego w drzwiach Kena. Odezwał się do żony, lecz patrzył na Schyler.

- Pozwól, że odświeżę te wspomnienia, Tricio. Przywlokłaś się do mnie niczym suka z cieczką.

- Nie wzgardziłeś mną•

- Wcisnęłaś mi te same kłamstwa, które zaaplikowałaś Cottonowi.

- Powiedziała ci, że usunęłam twoje dziecko? - zapytała Schyler.

- Bez skrupułów.

- A ty uwierzyłeś?

Schyler popatrzyła na stojącego przed nią mężczyznę zastanawiała się, jak mogła kiedykolwiek go kochać.

Pozwolił, by mściwa kobieta zdominowała go i decydowała o jego przyszłości. Prawdziwy mężczyzna nie pozwoliłby wodzić się za nos. Cash Boudreaux nie dopuściłby do tego.

Ken bezradnie rozłożył ręce.

- Do diabła, Schyler, nie było trudno jej uwierzyć. Zawsze wypowiadałaś się za prawem kobiety do wyboru ...

- Tak, ale nie znaczy to, że ja ... - Przerwała. Nie chciała wciąż powracać do tej sprawy. Zniszczeń dokonano wiele lat temu, lecz, dzięki Bogu, ruiny nie miały stać wiecznie. - Wczoraj

powiedziała tacie prawdę. Pogodziliśmy się - ignorując Kena, mówiła do Tricii. - Nie ma powodu, byś uważała, że tato cię nie kochał. Kocha cię i zawsze będzie. W dodatku masz Kena. Od tej chwili topór wojenny zostaje zakopany, ale ja nigdy nie wybaczę ci tej podłości.

Skierowała się ku wyjściu, lecz Tricia zastąpiła jej drogę.

- Nie obchodzi mnie, czy wybaczysz mi, czy nie. Chcę tylko swojej części. Wtedy z radością zostawię cię w spokoju na zawsze.

- O jakiej części mówisz?

- Tricio - wtrącił się Ken - to nie jest odpowiedni moment.

- Chcemy sprzedać Belle Terre.

Sens słów Tricii dotarł do Schyler dopiero po chwili.

Wydawało się jej to tak absurdalne, że roześmiała się.

- Sprzedać Belle Terre? - Oczekiwała, że uśmiechną się, dając do zrozumienia, że to był dowcip. Na próżno. Tricia przesywała ją wzrokiem pełnym nienawiści. Ken opuścił głowę.

- Czy wy oboje oszaleliście.? - zapytała chrapliwie. - Belle Terre nigdy nie zostanie sprzedana.

- Dlaczego nie?

- Bo należy do nas. Do Cottona i do nas.

- Nie. - Uśmiechnęła się szyderczo Tricia. - Była własnością Laurentów. Oni wszyscy nie żyją.

Schyler wyprostowała się.

- Co prawda Cottona nie łączą z Belle Terre więzy krwi, ale poświęcił tej posiadłości całe życie. On nigdy nie pozbędzie się jej. - Spróbowała wyminąć Tricię, lecz ta gwałtownie złapała ją za ramię•

- Cotton może zmienić zdanie.

- Nie wierzę w to. Nawet nie próbuj go namawiać. - Straciła rękę Tricii.

- Cotton jest starym człowiekiem, Schyler, i śmiertelnie chorym. Cierpi na tym również jego przedsiębiorstwo. Wpakował się w długi tak głęboko, że nigdy się z nich nie wygrzebie.

- T o ty tak uważasz.

- Możemy go ubezwłasnowolnić.

Schyler z całej siły powstrzymała się, by nie uderzyć siostry.

- Jeżeli cokolwiek przytrafi się Cottonowi, będziesz miała do czynienia ze mną, Tricio.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Schyler zacisnęła dłonie na kierownicy. Prowadziła stanowczo za szybko. Wycieraczki w szaleńczym tempie przesuwały się po przedniej szybie, lecz przegrywały z ulewą.

Była potwornie zmęczona. Konfrontacja z Tricią i Kenem otworzyła stare rany' i przyniosła nowe. Czowała się tak jakby lada moment coś miało rozerwać ją na tysiąc kawałków.

Odczuwała potrzebę działania. Gdyby zaczęła rozpamiętywać wszystko, co powiedziano w ciągu ostatniej godziny, dostałaby pomieszania zmysłów. Usiłowała skoncentrować się na prowadzeniu samochodu, ale jej myśli wciąż uporczywie powracały do tego, o czym wspominała Tricia.

Cel Schyler był jasny i nic nie powstrzyma jej przed osiągnięciem go. Musi ochronić Belle Terre, utrzymać ją dla Cottona. Poświęci temu wszystkie swoje siły.

Przemknęła przez most i znalazła się na placu przeładunkowym. Nacisnęła hamulec. Samochód prześliznął się jeszcze parę jardów, zanim się zatrzymał. Wycieraczki kontynuowały swą miarową pracę. Ulewny deszcz bębnił w dach samochodu. Schyler oddychała szybko, jakby dystans dzielący ją od posiadłości przebiegła, a nie przejechała. Rozglądała się po placu.

Miejsce było opuszczone. Nikt nie pracował.

Drzwi do biura zastała zamknięte na głucho. Ciężkie drzwi do hangaru zabezpieczono łańcuchem. Na platformach przeładunkowych także nie było żywej duszy.

Schyler przełknęła z konsternacją ślinę i próbowała przypomnieć sobie, jaki dziś dzień tygodnia. Częste wizyty w szpitalu sprawiły, że straciła poczucie czasu. Przewertowała w pamięci kartki kalendarza. T o na pewno nie był weekend.

Dlaczego nikt nie pracuje? Gdzie, do diabła, podziewa się Cash? Do cholery z nim!

Przebiegł ją dreszcz. Zdjęła stopę z hamulca; wcisnęła pedał gazu i tylne koła zabuksowały, próbując złapać przyczepność na rozmiękłym gruncie, wzbijając fontannę błota za samochodem.

- Cholera! - Schyler walnęła pięścią w kierownicę i mocno wcisnęła pedał gazu.

W końcu koła znalazły oparcie. Samochód nagle szarpnął do przodu i w bok zarzucając tyłem niebezpiecznie blisko betonowej konstrukcji mostu. Schyler odruchowo skrzyła kierownicę i samochód wystrzelił na główną drogę.

Strugi deszczu ograniczały mocno widoczność. Zbyt późno dostrzegła boczną drogę.

Nacisnęła hamulec. Samochód ześliznął się z drogi. Klnąc wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła się. Jej furia rosła proporcjonalnie do prędkości samochodu.

Dotarłszy do celu, zatrzymała się z piskiem opon, szarpnęła klamkę i wypadła na zewnątrz. Lekceważąc deszcz, pomaszrowała w stronę domu Casha.

Siedział na zadaszonej werandzie, zapatrzony w strugi deszczu. Odchylając się niebezpiecznie na wyplatany z trzciny krzesło, balansował, opierając się bosymi stopami o stół.

Był bez koszuli i w dżinsach. Obok krzesła stała butelka whisky i szklanka. Otworzył szeroko oczy, gdy na werandę wpadła Schyler i krzyknęła wzburzona:

- Co ty, do diabła, sobie myślisz?

Bez pośpiechu wyjął papierosa z ust i spojrzał na nią zdziwiony.

- Napijesz się?

Schyler zatrzęsała się ze złości.

Strąciła jego stopy ze stołu. Przednie nogi krzesła wylądowały ciężko na werandzie. Jak wystrzelony z procy Cash w mgnieniu oka zerwał się i stanął przed nią. Zgniółł papierosa o balustradę.

- Igrasz z ogniem, panno Schyler. - W jego głosie brzmiało coś niby groźba.

- Powinnam cię z miejsca wylać.

- Za co?

- Za obijanie się, gdy nie stoję nad tobą. Dlaczego nikt nie pracuje? Gdzie są drwale? Nawet nie wyciągnięto dzisiaj sprzętu. Pojechałam na plac. Biuro jest zamknięte. Hangar też. Nic się nie dzieje. Dlaczego?

Wydawał się rozluźniony. Zwykły facet, przyjemnie spędzający czas przy papierosku i whisky. Jednak w rzeczywistości jego nerwy były napięte. W ciągu ostatnich kilku dni nie spał wiele dłużej niż ona. Poza tym pochłoniął więcej alkoholu, niż czynił to zazwyczaj. Wtargnięcie Schyler i jej zachowanie rozjuszyło go na dobre.

Gdyby była mężczyzną, podnosiłaby się teraz z błota, wypluwając zęby. Cash jednak, choć zdolny był do wielu podłości, nigdy nie uderzył kobiety.

Uciekł się więc do lekceważenia.

- Pogoda, panienko - wyrzekł głosem pełnym pogardy. - Czy spodziewasz się, że każę drwalom pracować w taki dzień jak dzisiaj? - Zatoczył ręką łuk.

- Najęłam cię do pracy przy każdej pogodzie. T o nie jest przelotny kapuśniaczek.

- Nie obchodzi mnie to. Chcę, by drwale ścinali drzewa.

- Oszalałaś? Kiedy pada taki deszcz, las staje się śmiertelnie niebezpieczny. Nie możemy nawet zebrać sprzętu. Błoto ...

- Zagonisz ich do roboty czy nie?

- Nie.

Oddychała głęboko, nie potrafiąc opanować złości.

- Powinam była posłuchać innych. Mówili, że jesteś bezwartościowy.

- Nie można pracować w lesie podczas takiego deszczu. Jeśli kiedyś zetknęłaś się z tego typu pracą, to zdajesz sobie z tego sprawę. Cotton nie wysłałby swoich ludzi do pracy w takich warunkach i ja tego też nie zrobię.

Przypomniała sobie nagle słowa Tricii.

- Twoja matka i mój ojciec. Czy to prawda? Czy oni byli ...

- Tak - stwierdził dobitnie. - Byli.

Schyler z trudem powstrzymała łkanie.

- Miał żonę, rodzinę! - krzyknęła histerycznie. - Ona była dziwką.

- A on sukinsynem - warknął Cash. - Nienawidziłem chwil, gdy pojawiał się tutaj. - Ruszył do przodu, popychając Schyl er. - Musiałem z tym żyć dzień w dzień, praktycznie przez całe życie. Ty nie. Ciebie chroniono w Belle Terre, gdy ja musiałem oglądać, jak przez lata wykorzystywał i ranił moją matkę. Nie mogłem nic na to poradzić.

- Twoja matka była dorosłą kobietą. Dokonała wyboru.

- T o cholernie kiepski wybór: śmierdzący sukinsyn, Cotton Crandall.

Schyler uniosła głowę.

- Nie odważyłbyś się powiedzieć tego jemu.

- Zrobiłem to. Zapytaj go.

- Chcę, żebyś wyniósł się z BeBe Terre do końca tygodnia.

- Kto przygotuje drzewo na sprzedaż?

- Ja.

- Bzdura. Nie poradzisz sobie beze mnie. Wiesz o tym. Zdawałaś sobie z tego sprawę, zanim tu przyjechałaś. Oparł dłoń o ścianę w pobliżu głowy Schyler i pochylił się. - Wiesz co? Myślę, że przyjechałaś tu po coś zupełnie innego.

- Jesteś pijany.

- Jeszcze nie.

- Słyszałeś, co powiedziałam. Masz opuścić ...

Odsuwała się od niego, gdy złapał ją za ramiona i pchnął z taką siłą, że zaniemówiła. Ujął za podbródek i uniósł jej twarz.

- Twój problem, panno Schyler, polega na tym, że nie wiesz, kiedy przestać. Wciąż pchasz i pchasz, póki nie zapędzisz człowieka na skraj urwiska.

Nakrył ustami jej wargi. Schyler zareagowała gwałtownie.

Szarpała się, próbując uwolnić się z jego objęć.

- Przyznaj się. T o dlatego tutaj przyjechałaś.

- Puść mnie.

- Nie mogę, panienko.

- Nienawidzę cię.

- Pragniesz mnie.

- Gówno.

- Chcesz mnie. T o właśnie cię tak złości.

Ponownie ją pocałował. Tym razem był to o wiele bardziej namiętny pocałunek. Głośne bębnienie deszczu o dach zagłuszyło odgłosy jej protestu. Powoli przestawała się bronić.

Nie podjęła tej decyzji świadomie. Rozum ucichł, a do głosu doszły uczucia, zmysły.

Ostatkiem sił walczyła jeszcze o swoją godność. Coś w niej krzychało, że to nie ma sensu, że nie może do tego dopuścić. Udało jej się oderwać od niego. Czowała w ustach smak whisky. Smak Casha Boudreaux. Nie mogła tego ścierpieć. Oparła dłonie na jego nagich ramionach, zamierzając go odepchnąć. Cash jednak pochylił się ponownie, miażdżąc jej usta w pocałunku. Wbiła z całej siły paznokcie w jego plecy.

Gdy uwolnił jej usta, odwróciła głowę w bok.

- Przestań - jęknęła.

Nie odpowiedział, tylko zaczął całować jej szyję.

- Chcesz tego tak samo jak ja.

- Nie.

- Tak. - Językiem pieścił jej ucho. - Ile minęło czasu, odkąd naprawdę porządnie z kimś się kochałaś?

Nie zdołała powstrzymać słabego jęku. Poddała się jego żarłocznym wargom.

Pieszczotliwy język Casha pozbawił ją resztek dumy i zniweczył opór.

Nakrył dłońmi jej piersi i zaczął je brutalnie ugniatać. Bez szczególnej ceremonii potraktował guziki jej wilgotnej bluzki i zapięcie biustonosza. Niewiele delikatniej potraktował miękkie ciało, które wypełniło jego dłonie.

- Nie - westchnęła, gdy gładził jej piersi, wodząc kciukiem po nabrzmiąłych brodawkach.

- Czyż to nie jest przyjemne, panno Schyler?

- Idź do diabła!

- Jeszcze nie. Najpierw skończymy to, co tutaj zaczęliśmy.

Odchyliła głowę i oparła ją o ścianę. Zaciśnęła powieki i wczepiła się palcami w porastające jego pierś włosy. Stęknął, odczuwając ból, a zarazem przyjemność. Chwycił zębami jej dolną wargę. Rozchyliła usta, zapraszając gościnnie język Casha. Nie pozwolił jej czekać.

Rozdzielili się nagle, dysząc ciężko. Ich oczy spotkały się. Wziął ją na ręce. Kopnięciem otworzył drzwi i zaniósł ją do obudowanej werandy na tyłach domu.

Żelazne łóżko zastali nie zasłane. Białe i czyste, choć zmiętoszone nieco prześcieradła dodatkowo rozbudziły ich żądze. Gdy tylko mokre włosy Schyler dotknęły poduszki, ich usta ponownie się połączyły.

Wsunął dłoń pod jej spódnicę i skierował ją w górę smukłego uda. Odetchnęła głęboko, powoli wypuszczając powietrze. Chwycił za brzeg pończoch i ściągnął je.

Schyler wpatrywała się w niego, czując, jak serce trzepocze się w niej dziko. Jego potężne barki zdawały się grozić jej szczupłemu ciału, że oto za chwilę zmiażdżą je, złamią na pół. Twarz Casha wyrażała siłę, jego oczy płonęły pożądaniem, nabierały coraz bardziej intensywnego koloru.

Wpatrywała się w nie, gdy niecierpliwie ściągnął jej bluzkę i biustonosz. Brodawki Schyler były różowe i twarde.

Cash pochylił się i przesunął językiem po jednej z nich.

Ta pieszczota wywołała gwałtowny dreszcz. Jej ciało wygięło się w łuk.

- Rozepnij mi spodnie! - rozkazał ochrypłym głosem, pieszcząc ustami jej piersi.

Gdy po kilku chwilach stało się jasne, że nie zamierza wykonać polecenia, wyprostował się i sięgnął do rozporka.

Rozpiął zamek i powoli zsunął dzinsy. Schyler spojrzała na niego i zobaczyła, jak bardzo jest podniecony. Rozchylił nogi dziewczyny i podciągnął jej spódnicę. Zamknęła oczy.

Zapraęnęła nagle odwołać wszystko, cofnąć czas.

Wtedy dotknął jej tam. Była wilgotna, gotowa na przyjęcie go. Wpatrywał się w twarz dziewczyny rozkoszując reakcją, której nie była w stanie ukryć.

Jęknęła bezradnie.

- Otwórz oczy. Chcę, żebyś widziała, z kim to robisz. To nie było potrzebne, dobrze wiedziała, kto z nią jest i do czego ją nakłonił. Napięła się i wykrzywiła z bólu twarz, gdy wszedł w nią.

Wycofał się i zatonał w niej ponownie.

- Nazywam się Cash Boudreaux.

- Wiem, kim jesteś.

- Powiedz to. - Miażdżył ją swoim ciałem. - Powiedz.

Zagryzła dolną wargę, czując nad górną krople potu.

Mimowolnie starała się, by jej ciało wychodziło na spotkanie za każdym razem, gdy czuła go w sobie.

- Chcę usłyszeć własne imię, do cholery!

Jego dłonie poprzez pieszczotę potęgowały jeszcze Jej podniecenie. Z gardła Schyler wydobywał się cichy jęk, w który Cash chciwie się wsłuchiwał. Zalała ją fala gorąca, docierając do wszelkich zakamarków ciała. Zacisnęła palce na oparciu łóżka za swoją głowę.

- Wymów moje imię. - Zacisnął zęby. Czoło zalewał mu pot. Obsypywał jej piersi namiętymi, gwałtownymi pocałunkami. Jego pośladki opadały i unosiły się w rytm kolejnych uderzeń.

Schyler, nie panując nad reakcjami, krzyknęła.

- Jak mam na imię? - wydyszał, z trudem łapiąc powietrze.

- Ca ... Cash.

Zamknęła oczy i wygięła szyję w łuk, bijąc głową w poduszkę. Z całej siły obejmowała Casha.

Ulegając pragnieniu, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczył, opadł na nią i ukrył twarz w zgięciu jej ramienia. Ich ręce połączyły się na wezglowiu. Miażdżył torsem jej piersi. Ich oddechy nasiliły się i stały się bardziej chrapliwe. Wbijał się w nią raz za razem.

Jednocześnie doznali rozkoszy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Trwało to długo, ale dla nich czas jakby przestał istnieć. Cash uspokoił się. Spojrzał na jej nieruchomą twarz.

Wciąż nie otwierała oczu. Oparłszy się impulsowi, by pocałować ją w usta, powoli opuścił jej ciało i przetoczył się na bok. Odruchowo sięgnął po leżące na stoliku papierosy i zapalniczkę.

Gdy zapalił papierosa, Schyler usiadła i zwiesiła nogi po przeciwnej stronie łóżka, unikając spojrzenia mężczyzny. Obciągnęła spódnicę i odszukała wśród skotłowanych prześcieradeł pończochy. Pochyliła się i naciągnęła je. Okryła piersi biustonoszem i zapięła go. Następnie zajęła się bluzką. Zapięła guziki, lecz nie wsunęła jej do spódnicy.

Odwróciła się i zawiesiła na nim wzrok, jakby zamierzała coś powiedzieć. Przełknęła ślinę i rozchyliła wargi, ale zaraz zamknęła je, nie wydając żadnego dźwięku. Cash wetknął papierosa do ust i założył ręce za głowę, niewiele się przejmując tym, że dzinsy wciąż sięgały mu zaledwie do połowy ud.

Na to, jak zachowa się teraz Schyler, postawiłby miesięczną wypłatę. Zgadł. Odwróciła się i wyszła. Odgłos jej kroków nił stopniowo, gdy frontowymi drzwiami wybiegła na werandę. Usłyszał, jak uruchomiła silnik samochodu.

Leżał nieruchomo przez dłuższą chwilę, póki papieros nie zaczął parzyć go w usta. Zgasił go. Ściągnął dzinsy, zwinął je i gniewnie cisnął w najdalszy kąt. Z głośnym plaśnięciem padły na podłogę. Usiadł nagi w łóżku i zagapił się na świat za szybą. Padało coraz mocniej. Z trudem dostrzegł przez srebrną kurtynę drugi brzeg kanału. Potężne konary pochylały się pod ciężarem deszczu.

Przesunął wzrok na leżącą obok poduszkę. Położył dłoń na wgnieceniu pozostawionym przez głowę dziewczyny. Ciągle było ciepłe.

- Schyler...

Schyler. Cash pamiętał dzień, w którym po raz pierwszy usłyszał to imię. Uważał, że to bardzo zabawne imię dla małej dziewczynki. Podobnego zdania była Monique. Rozmawiali o tym po wyjściu Cottona.

Zdarzyło się to zimnego listopadowego dnia. Kanał spowiła mgła. Cash obserwował, jak jego oddech zamienia się w małe obłoczki pary. Udawał, że pali camele jak starsi chłopcy.

Przyłapał go na tym Cotton.

- Dlaczego nie poszedłeś do szkoły, Cash? - zapytał, wysiadając z eleganckiego lśniącego samochodu.

- Mama nie kazała mi dzisiaj. Pączki? - Wskazał palcem niesioną przez Cottona białą torbę.

Cotton rzadko przychodził z pustymi rękoma. Zwykle przynosił każdemu jakiś mały prezent. Kwiaty, błyskotki dla Monique i komiksy, cukierki lub drobne zabawki dla Casha.

Nigdy nie dawał im pieniędzy. Próbował, ale Monique nie przyjmowała ich. Często wybuchały między nimi o to kłótnie, z których Monique zawsze wychodziła zwycięsko.

Tego dnia obeszło się bez sporów. Monique wyszła na werandę, wycierając mokre dłonie w ścierkę do naczyń.

- Musiałeś wyczuć, że robię obiad - docięła Cottonowi. - Zawsze zjawiasz się w takich chwilach. Jak ty to robisz?

Cotton odpowiedział uśmiechem.

- Witaj, obiadku - rzekł. Ale zaraz groźnie zmarszczył brwi. - Dlaczego Cash nie jest w szkole?

Monique wzruszyła ramionami.

- Zaspaliśmy.

- On powinien być w szkole, Monique. Jeśli sam nie pójdzie, przyjadą po niego.

Roześmiała się i schyliła, by przytulić do piersi rozczochraną głowę Casha.

- Potrzebuję go dzisiaj do roznoszenia lekarstw. Tylu ludzi choruje.

- Mam w dupie lekarstwa - wymamrotał Cotton, czyszcząc przed werandą buty z błota. - Sprzedajesz ludziom znachorskie bzdury.

Śmiejąc się przylgnęła do niego, ściskając między ich ciałami chłopca. Złapała Cottona pięknymi białymi zębami za ucho.

- Nic się nie zmieniłeś.

Cotton westchnął.

- Bez wątplenia. - Pocałował ją długo i namiętnie, głaszcząc jej plecy dużymi, spracowanymi dłońmi. - Kiedy obiad będzie gotowy?

- Za godzinę. Czy możesz zostać tak długo?

Cotton zerknął na Casha.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Usiedli przy stojącym obok kominka stole. Monique podała pączki i kawę.

- Będziemy mieli dziecko - wyjawiał Cotton kłopotliwą nowinę•

Cash, zlizując z palców lukier, szybko spojrzał na matkę.

Czuł, że wiadomość ją zmartwi. Miał rację.

Obserwował, jak splata delikatnie dłonie i zaciska palce tak mocno, aż bieleją kostki.

- Bebe?

- Adoptujemy dziecko. Macy ... Macy ... - Cotton westchnął i zagapił się w filiżankę. -

Okazało się, że jest bezpłodna. Cholernie ją to gryzie. Chce dzieci. Belle Terre potrzebuje dzieci.

Monique rzuciła okiem na Casha.

- Tak, potrzebuje - stwierdziła spokojnie. - Powinieneś zapełnić dom tyloma dziećmi, iloma tylko zdołasz.

Cotton zmusił się do uśmiechu.

- Na razie zajmijmy się jednym. To dziewczynka. Macy chciała chłopca, ale ... -

Wzruszył ramionami. - Ta dziewczynka właśnie się urodziła i Macy postanowiła ją wziąć. Ojciec Martin załatwia adopcję. Musiałem się zobowiązać, że wychowam ją na katoliczkę.

- Zawsze lepiej niż na baptystkę.

Udawała wesołość, choć była ona tak sztuczna jak jego śmiech po tym żarcie. Cotton odchrząknął hałaśliwie.

- Ona ma tylko trzy dni.

- Jak wygląda?

- Urodziła się w Baton Rouge. Nie widzieliśmy jej jeszcze, ale Macy już nazwała ją Schyler.

- Dziwne imię dla małej dziewczynki, ale ładne powiedziała Monique ze źle ukrywanym żalem w głosie.

- To rodzinne imię Laurentów.

Ich usta mówiły jedno, lecz w swoich oczach czytali zupełnie inne treści. W końcu oboje zamilkli, słysząc było jedynie trzask płonących w kominku polan. Cash ostrożnie prznosił wzrok z matki na jej kochankę.

Po chwili Cotton wyciągnął nad stołem rękę i przykrył nią splecione dłonie Monique.

- To niczego nie zmienia.

- Musi.

- Nie. Wiesz, że mam rację. Wiesz. - Milcząco wpatrywała się w jego oczy, usiłując wyczytać z nich prawdę. Na twarzy Cottona malowało się nieme błaganie.

- Mówiłaś, że obiad będzie zaraz gotowy.

Twarz Monique rozjaśniła się, a czarne jak węgiel oczy zabłysły, choć w kąciakach błyszcząły jeszcze łzy.

- Możesz zostać?

- Mogę.

- Dopóki nie będzie gotowy?

- Dopóki nie zjem dokładki.

Zerwała się z krzesła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Pocałowali się tak namiętnie, jakby ktoś chciał ich na zawsze rozdzielić. Następnie poszli patroszyć ryby. Monique wrzuciła je razem z krewetkami, warzywami i przyprawami do rondla, gdzie miały się dusić w czerwonym winie.

Tymczasem Cotton pomógł Cashowi załadować wózek.

Chłopiec często brał ten wózek załadowany buteleczkami z lekarstwami i pchając go przed sobą, przemierzał ulice miasta w towarzystwie cichego brzęku szkła.

- T ak naprawdę to nie palisz? - Cotton zapytał chłopca, wspominając wcześniejszą zabawę Casha.

- Nie, proszę pana. - Monique pouczyła go, w jaki sposób ma się zwracać do Cottona.

- Dobrze. Palenie to okropny nałóg i bardzo szkodliwy.

- Dlaczego?

- Bo niszczy płuca.

- Pan czasami pali.

- Ja jestem dorosły.

Cash, zadzierając głowę, patrzył na Cottona i miał nadzieję, że pewnego dnia też będzie taki wysoki i silny.

- Czy to nowe dziecko zamieszka w dużym białym domu?

- Oczywiście.

Cash myśląc o tym czuł, jak bardzo zazdrości dziecku.

- Czy wciąż będzie nas pan odwiedzał, kiedy już ją dostanie?

Cotton przerwał pracę i spojrzał na poważną twarz Casha.

Z uśmiechem wyciągnął rękę i dotknął policzka chłopca.

- Tak. Będę was odwiedzał. Nic nie mogłoby mnie przed tym powstrzymać.

Po namyśle uznał odpowiedź Cottona za szczerą•

- Powiedział pan, że jak się nazywa ta dziewczynka?

- Schyler.

Cash, trzymając dłoń w zagłębieniu poduszki, wyczuł pozostawioną przez włosy dziewczyny wilgoć. Zaciśnął pięść, a następnie otworzył ją. Była pusta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Jeśli nie przestaniesz przemierzać tego pokoju, to wydepczesz wkrótce w dywanie ścieżkę. - Dale Gilbreath nie dostrzegł posłanego mu przez żonę nienawistnego spojrzenia. Opuścił nieco gazetę i uśmiechnął się protekcyjnie, wiedząc, że denerwuje ją to. - Coś nie tak, kochanie? Źle się czujesz?

- Czuję się dobrze. - W głosie Rhody wyczuć można było zniecierpliwienie.

- Jesteś rozdrażniona przez cały wieczór. - Udając zainteresowanie, przeglądał gazetę.

- T o deszcz. - Rhoda podeszła do okna i gwałtownie podniosła żaluzje. - Pogoda tutaj jest fatalna. Wilgotność jest tak duża, że człowiek ma wrażenie, jakby nie miał czym oddychać. Nie pada całymi tygodniami, a kiedy już zacznie, to mamy cholerną powódź.

- Kupiliśmy to w zamian za surowe zimy.

Tym razem podchwycił przeznaczone dla siebie spojrzenie. Rhodę denerwowały jego głupie uwagi, tym bardziej że ich nienawiść do klimatu Luizjany była wspólna.

- Przerzucenie kilku łopat śniegu nie zaszkodziłoby ci.

Zaczyna ci rosnać brzuch, co właściwie jest zrozumiałe, skoro siedzisz za biurkiem przez cały dzień. Nigdy nie czujesz potrzeby zażycia choć odrobiny ruchu?

Rhoda chodziła do sali treningowej każdego ranka oprócz weekendów. Forsowny wysiłek fizyczny był jej potrzebny jak chleb i woda. Miała idealną figurę i wiedziała o tym.

Dale wymienił gazetę na fajkę i spokojnie zaczął napełniać ją specjalną mieszaniną tytoniu ze skórzanego kapciucha.

- Masz chyba rację. Mógłbym trochę poćwiczyć. Przyłożył zapalną i zaczął ssać cybuch. Kilkoma powolnymi ruchami zgasił zapalną i patrząc na żonę przez chmurę dymu, zapytał: - Ale czy dziś wieczorem naprawdę chcesz się ze mną kłócić, Rhodo?

Głos Dale'a był chłodny i kpiący. Ten człowiek wiedział, jak wyprowadzić z równowagi Rhodę. Nienawidziła go za to. Czasami czuła, że już dłużej nie wytrzyma jego złośliwości i przyjemności, jaką czerpał z dokuczania jej.

Cash zapewnił ją, że zadzwoni po południu, by ustalić czas i miejsce ich spotkania. Nie zrobił tego. Często zastanawiała się, czy dlatego nie zainstalował u siebie telefonu, by uniknąć towarzystwa kobiety, kiedy nie miał na to ochoty. Ten Cajun był sukinsynem pierwszej klasy.

Pojechałaby do jego domu, lecz nie miała pewności, czy trafiłaby tam. Gdy pytała o

drogę, tłumaczył w sposób irytujący i mętny.

W miarę upływu czasu przyszła jej do głowy myśl, by narazić reputację, wyrzec się durny i spróbować go odszukać. Odrzuciła ją jednak. Nie zamierzała ryzykować, że jej BMW ugrzęźnie na jednej z tych błotnistych, zapuszczonych dróg leśnych.

Popołudnie zapowiadało się tak interesująco, a Cash beztrąsko przekreślił jej miłosne plany. Złościło ją to tym bardziej, że teraz musiała znosić przykrą obecność Dale' a. - Mógłbym na przykład zacząć od twego młodzieńczego przywiązania do ostatniego kochanka ~ rzucił od niechcienia.

Rhoda zamarła, lecz ze wszystkich sił starała się opanować. Dale pragnął, by zaprzeczyła. Uwielbiał atakować ją insynuacjami, prowokować, póki nie wpadła we wściekłość.

Powoli odwróciła się do niego, z zachwycającą zręcznością przywołując na twarz wyraz zdumienia.

- Ostatniego kochanka?

Wypuścił kłęb dymu i uśmiechnął się, ściskając w zębach cybuch fajki.

- Powinnaś była zostać aktorką, Rhodo. Potrafisz świetnie udawać, lecz ja wiem o tobie więcej, niż sądzisz. Wyczuwam, kiedy cię trapi gorączka pożądania.

- Cóż, ja natomiast jestem zadowolona, że nie zostałeś poetą. Słowa, których używasz, są po prostu okropne, a to, co mówisz, jest śmieszne.

- Znakomicie potrafisz też zmieniać temat.

- Temat, który ty poruszyłeś, jest nudny.

Dale zachichotał.

- Rhodo, ty i twoi kochankowie nigdy nie jesteście nudni.

- Skąd ta pewność, że teraz też jakiegoś mam? - zapytała, stanąwszy przed mężem z opartymi na biodrach rękoma.

- Zawsze masz jakiegoś - błaznował. - Przynajmniej jednego.

- Zazdrosny?

- Po co pytasz? Przecież wiesz.

- Ach, prawda - stwierdziła z drwiącym uśmiechem.

- Zawsze byłeś lepszym kibicem niż graczem.

- Obserwowanie ciebie dużo bardziej mnie bawi.

- Porozmawiajmy o czymś innym albo, jeszcze lepiej, nie mówmy w ogóle.

Dale pyknął z fajki z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Zachowuj się roztropniej, kochanie, by mnie nie rozgniewać. - Udało mu się wreszcie wzbudzić jej zainteresowanie.

- Och, dlaczego?

- Prawie ubiłem spory interes ... W banku.

- Hmm. Z tej transakcji będziesz bardzo zadowolona.

- Czy to legalne?

Spojrzał na nią z dezaprobatą spod zmarszczonych brwi.

- Wstydź się. Oczywiście, że legalne. Właściwie będzie to ukoronowanie mojej rocznej pracy.

- Co to oznacza dla mnie?

- Szybką realizację marzeń. Dla nas obojga. Koniec życia na marginesie elity towarzyskiej Heaven. Zaczną nas całować po rękach. Będziemy mogli pozwolić sobie na wszystko.

Rhoda czuła, jak dreszcz rozkoszy przebiega całe Jej ciało. Wzdrygnęła się. Usiadła na poręczy fotela i nachyliła się ku mężowi.

- Opowiedz mi o tym.

- Jeszcze nie. Chcę, żeby to była niespodzianka. - Opróżnił fajkę i włączył stojącą na końcu stołu lampę. Wstał z fotela i skierował się do sypialni. Rhoda deptała mu po piętach.

- Cholera jasna, Dale. Nienawidzę, gdy mnie traktujesz w ten sposób.

- Przeciwnie, kochanie, uwielbiasz to. Ciekawość sprawia, że rozkwitasz.

- Nie mogę nic zrobić, jeśli nie wiem, czego dotyczy sprawa. Powiedz mi, nad czym pracujesz.

- Spróbuję cię naprowadzić. - Zapalił w sypialni światło. - O czym w ostatnich dniach wszyscy rozmawiają w tym mieście?

Zastanawiała się, obserwując, jak Dale zdejmuje aparat fotograficzny ze szklanej półki na etażerce. Założył rolkę filmu i ustawił czułość. Nagle z gardła Rhody wydobył się diaboliczny chichot.

- Cotton Crandall! - wykrzyknęła. - Twoje machinacje nie dotyczą chyba Crandalla i Belle Terre, prawda?

- Dlaczego nie? - Dale dostosował natężenie światła lampki nocnej do swoich potrzeb.

Spojrzał na żonę • Zaczęła się rozbierać.

- Belle Terre? Uważasz, że jest szansa ... Dale zacisnął palce na podbródku żony.

- T o nie jest temat do rozmów poza tym pokojem, rozumiesz?

Skinęła głową. Puścił ją i zaczął rozpinąć guziki jej bluzki.

- Jego córeczka - wyszeptwała Rhoda - pali się do czynu. Cotton udzielił jej dobrych lekcji.

- Schyler? Nie ma obawy - odpowiedział Dale z wyrazem zatroskania na twarzy. -

Zadbano o nią.

- Co masz na myśli?

- T o jeden ze szczegółów, którymi nie powinnaś się interesować. W tym wypadku stawka jest zbyt wysoka, Rhodo, i dlatego musimy zachować maksymalną ostrożność. - Zdjął z niej bluzkę i cisnął na krzesło. Przesunął dłońmi po piersiach kobiety. - Byłoby wielkim nieszczęściem, gdyby bezmyślna niedyskrecja spieprzyła wszystko, prawda? - Uszczypnął sutek zbyt silnie, by mogła uznać ten gest za pieszczotę. Skrzywiła się. - Tak. Słowo „pieprzenie” oddaje, moim zdaniem, całą głębię problemu.

- Wyrażaj się konkretniej.

- W porządku. Znajdź sobie kochanka, który nie jest tak związany z Crandallami i nie wypełź z kubła na odpadki.

Patrzyła mu w oczy bez zmrużenia powiek. Nie trwożyło jej, że wiedział o romansie z Cashem. Właściwie była zadowolona. Reputacja Casha owiana była legendą. To, że wybrał ją spośród wielu, tylko potęgowało jej atrakcyjność.

- Nigdy wcześniej nie przejmowałeś się moimi kochankami.

- Tamci pochodzili zawsze ze stosownej warstwy społecznej. Tym razem zajęłaś się parszywym typem.

Za milczącą zgodą obojga nie padło nazwisko Casha Boudreaux. Doświadczenie nauczyło ich, że wypowiedanie nazwisk jest niemądre. „Nie przyznawaj się do niczego” stanowiło credo, do którego stosowali się oboje.

- Moglibyśmy go wykorzystać.

- Jest użyteczny, lecz posługuję się nim na swój własny sposób. Przedstawia większą wartość w miejscu innym niż twoje łóżko. Nie możemy pieprzyć go jednocześnie.

Ponownie parsknęła gardłowym śmiechem.

Wykorzystywaliśmy już wcześniej tę taktykę. Ale nie z tego typu człowiekiem.

- Masz rację - przyznała bez wahania.

- Nie potępiam cię, że wybrałaś właśnie jego, ale dopóki nie sfinalizujemy naszych zamierzeń, umilaj sobie czas z kimś dorównującym ci pochodzeniem.

- I tobie. - Wiedziała, o co mu chodzi. Dale nie przejmował się rogami, lecz tym, kto je przyprawia.

- I mnie - przyznał. Pomógł jej zdjąć spódnice i zamilkł, podziwiając koronkowy pas do pończoch i ciemną grządkę włosów między podwiązkami. Wsunął dłoń między uda Rhody. - Jesteś mokra.

- Wiedziałaś, że będę.

Nie przestając jej pieścić, roześmiał się•

- Żadna pieniędzy dziwka. Zwykła rozmowa o forsie może doprowadzić cię do orgazmu.

- T o nasza wspólna cecha, kochanie.

- Pamiętam, jak powiedziałaś mi kiedyś, że gdyby moja męskość dorównywała moim aspiracjom, nie musiałabyś szukać rozrywki poza małżeńskim łóżem.

- A ty zawsze mówiłaś, że cieszy cię moja pobudliwość seksualna, bo jest ci ona bardzo potrzebna.

- Wiele razy pomogła w osiągnięciu moich zamiarów.

Później, gdy usychając z tęsknoty spoczywała na poduszkach, Dale przysunął ku niej aparat fotograficzny. Zwolniwszy migawkę, parsknął śmiechem.

- Pozwolisz mi wejść do środka, tak dla żartu? Zastanawiam się, co powiedzieliby członkowie zarządu banku, zobaczywszy cię w takiej pozie i w takiej sytuacji.

Rhoda klepnęła go, chichocząc idiotycznie.

- Większość z nich widziała, mój drogi, większość z nich widziała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Schyler wróciła do Belle Terre i pobiegła prosto do swego pokoju. Napelniła wannę po brzegi wrzątkiem i moczyła się w niej, dopóki woda nie stała się zimna. Poprosiła panią Graves o przyniesienie obiadu do pokoju, ale nie mogła niczego przełknąć. Nie odczuwała głodu. Cały posiłek stygł nietknięty. Schyler wciąż wracała myślami do tego, co się niedawno zdarzyło.

Wiedziała, że w swoim życiu popełniła wiele niewybaczalnych błędów. Nie doceniła zazdrości Tricii ani jej talentu do snucia intryg. Zbyt łatwo zrezygnowała z Kena i potem zbyt długo czepiała się kurczowo wygasłej miłości. Niemal pozwoliła Tricii zniszczyć swoje stosunki z ojcem.

Jednak to, co zrobiła z Cashem Boudreaux, biło wszystkie dotychczasowe pomyłki na głowę.

By uchronić się przed rozpamiętywaniem tego wydarzenia, wzięła tabletkę nasenną i wcześniej położyła się spać. Jednak zanim łagodny środek zaczął działać, wspomnienia przesuwają się niczym na ekranie kina'.

Jej ciało wciąż czuło dotyk jego ust i dłoni. W środku wciąż rozlewało się to cudowne ciepło.

Nie potrafiła zapomnieć go nagiego, silnego, pięknego.

Kochał się z nią z siłą, pasją, szaleńczo.

Jego reputacja była w pełni uzasadniona. Nawet samo wspomnienie podniecało. Nigdy jeszcze Schyler nie doświadczyła tego typu uczuć, nigdy jej zmysły nie były tak wzburzone.

Nigdy nie czuła się równie nieszczęśliwa jak wtedy, gdy było już po wszystkim. Nie rozplakała się, choć miała na to ochotę. To dobrze, że powstrzymała łzy. One oznaczałyby przyznanie się do upokorzenia i zwycięstwa Casha, gdyż w tamtym łóżku stoczyli bitwę. Udowodnił, że potrafi ją pokonać.

Gdyby z jego ust padło choć jedno słowo, nie byłoby jej teraz tak ciężko. Nie zmuszał jej do niczego. Kiedy niósł ją do łóżka, ona tego chciała.

Zadzwoiła do szpitala i zamieniła kilka słów z doktorem Cottinsem. Przeprowadziła nawet krótką miłą pogawędkę z Cottonem. Biorąc pod uwagę swój obecny stan ducha, radziła sobie całkiem nieźle. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na łzy, rozmawiając z ojcem.

Zasnęła.

Krzyk pani Graves zakołysał wszystkimi żyrandolami w całym domu. Jasny poranek obiecywał dzień lepszy od poprzedniego. W kałużach na trawniku pluskały się ptaki. Słońce świeciło mocno, a niebo tylko gdzieniegdzie przyozdabiały jasnoróżowe słodkie obłoczki.

Krzyk gospodyni obudził Schyler. Wskoczyła naga z łóżka, owinęła się prześcieradłem i wypadła na korytarz, prawie zderzając się z Kenem i Tricią. Oni również wyglądali na wyrwanych ze snu.

- Co się, do diabła, dzieje? - wymamrotał Ken.

- Nie wiem.

Schyler pierwsza dotarła na dół. Pani Graves stała w progu frontowych drzwi, skrywając twarz w dłoniach. Wydawane przez nią dźwięki świadczyły, że z trudem powstrzymuje wymioty. Schyler odepchnęła ją na bok i przekroczyła próg domu.

Jej pusty żołądek skurczył się i poczuła smak żółci w gardle. Nie dalej niż trzy stopy od drzwi leżały dwa koty. Na rozciągniętej na grzbiecie kotce spoczywał samiec. Z poderżniętego gardła kotki ciągle jeszcze wyciekała krew, a sierść była aż czarna od posoki. Martwymi oczyma zajęły się już mrówki. Samiec także był martwy, lecz przyczyna jego śmierci nie była tak oczywista.

- O rany! - syknął Ken. - Nie podchodź, Tricio. I, do cholery jasnej, zatkaj jej gębę. - Niecierpliwym gestem wskazał panią Graves.

Dwie kobiety wycofały się ze wstrętem. Ken obszedł Schyler, która wydawała się przyrośnięta do progu. Opadł na jedno kolano i obejrzał z bliska makabryczną kompozycję. Zerknął w górę ku Schyler.

- Masz z tym coś wspólnego?

- Oczywiście, że nie. - Dwa nieżywe koty znalezione na werandzie można byłoby przypisać małoletnim kawalarzom. Dwa koty, brutalnie zabite i ułożone tak, by przedstawiały kochających się ludzi, mogły być dziełem tylko chorego umysłu. Pozostawało znaleźć odpowiedź na pytanie: czyjego?

- Sądzę, że powinniśmy zadzwonić do szeryfa. Schyler pokręciła głową.

- On nic nie zdziała. Po prostu pozbądź się ich i doprowadź werandę do porządku.

- Nie myśl, że to zrobię! - wykrzyknął Ken. - Nie jestem czarnuchem od sprzątania padliny.

Schyler zaczęła dygotać. Zaciśnęła pięści, czując, że traci panowanie nad sobą.

- Sprzątnij to - wycedziła przez zęby. - Chyba że wolisz pójść na plac i pracować z drwalami.

Mięśnie twarzy drgały mu nerwowo, ale w końcu odszedł w kierunku szopy z narzędziami, omijając kałuże na drodze. Schyler przyjrzała się deskom w podłodze werandy. Były czyste. Na schodach również nie znalazła śladów stóp. Ktokolwiek podrzucił koty, mógł przyjść z wnętrza domu. Tak czy inaczej, dokonał tego niezły cwaniak.

Wróciła do swego pokoju, lecz nie pozwoliła sobie już na luksus zagrzebania się w pościeli. Przeciwnie, usiadła na brzegu łóżka i założyła ręce na piersiach. Zaczęła się kołysać w przód i w tył.

Ktoś wiedział, co wydarzyło się między nią a Cashem.

Ale kto, poza nimi obojgiem?

Cash? Wyrzuciła go z pracy. Nie lubił jej, ale czy był w stanie zrobić coś tak głupiego i okrutnego? Oczywiście, że tak. Dlatego przecież prosiła go, by rozprawił się z pit bullami Jiggera Flynna. Na własne oczy widziała też, jak groził Kenowi nożem.

Tricia. i Ken bez wątplenia po wczorajszej konfrontacji byli na nią wściekli, ale oni nie uciekliby się do czegoś takiego, nawet gdyby wiedzieli o jej przygodzie.

Nagle Schyler uświadomiła sobie; że kilkoro ludzi w Heaven, a w BeBe Terre w szczególności, wiodłoby szczęśliwe życie, gdyby pozostała w Anglii na zawsze.

Potrzeba było czegoś więcej niż dwojga martwych zwierząt, by wzbudzić w niej strach. Musiała spłacić pożyczkę przed upływem ostatecznego terminu.

Wczorajsza pogoda uniemożliwiała pracę, dzisiaj więc robotnicy musieli dać z siebie dwa razy więcej, by nadrobić stracony dzień. Po zwolnieniu Casha będzie musiała pokierować wszystkim sama, lecz nie powinno to powstrzymać działalności „Crandall Logging”. Już od dłuższego czasu zmuszona była polegać wyłącznie na sobie.

Przybywszy na plac, zastała tam trzech pracowników znoszących w pośpiechu do ciężarówki łańcuchy i zwinięte liny. Nie tracili czasu, nie zatrzymali się nawet, by porozmawiać z nią. Coś się musiało stać.

- Co się dzieje?! - zawołała, wysiadając z samochodu.

- Wypadek - poinformował jeden, żując tytoń. - Przepraszam panią. - Odsuwając ją na bok, z ogromną siłą cisnął na ciężarówkę duży zwój grubej liny.

- Wypadek? Gdzie? Jaki wypadek?

- Wywróciła się naczepa do transportu pni.

- Czy ktoś został ranny?

- Tak, proszę pani. Jeden facet.

Nie potrzebowała więcej informacji. Sytuacja była krytyczna. Drwale lubili rozprawiać o przerażających historiach związanych z pracą, jaką wykonywali. Schyler nieraz słyszała te okropne opowieści. Wypadki przy wycinaniu drzew zazwyczaj kończyły się na cmentarzu.

- Czy jest ciężko ranny? Dlaczego mnie nie powiadomiono?

- Dzwoniliśmy do domu, ale pani już wyjechała.

- Wezwaliście karetkę?

- Pewnie. Pracujemy głęboko w lesie i trudno tam się dostać, ale powiedzieli, że dadzą radę. Hej! Panno Schyler, co pani robi? .

- Swoim samochodem tam nie dotrę, więc jadę z wami.

Ich spojrzenia mówiły, że nie uważają tego za najlepszy pomysł.

- Nie ma sensu, by pani w ogóle tam jechała.

- To nie jest miejsce dla kobiety.

- Marnujemy czas. - Wsiadła do kabiny i zatrzasnęła drzwi, ucinając wszelkie dyskusje.

Wzruszając ramionami i mamrocząc pod nosem, kierowca usiadł obok niej. Dwaj pozostali wdrapali się na przyczepę•

Ciężarówka z mozołem posuwała się usianą zakrętami, wąską szosą. Skręcając w boczną drogę, zjechali w las tak gęsty, że światło dzienne ledwo się przebijało przez gałęzie. Kierowca, przeklinając, pokonywał wyboje. Jakąś milę dalej znajdowało się miejsce, gdzie wycinali sosny wysokie jak wieże.

- O, tam - wskazał kierowca skinieniem głowy. Porozrzucane na całej polanie pnie wyglądały jak bierki wielkoluda. Powietrze było przesycone wilgocią i ostrym zapachem żywicy. Później, gdy nadejdzie upał, to miejsce pokryje kurz, ale o tak wczesnej godzinie intensywna zieleń niepodzielnie panowała nad porębą.

Schyler zawsze lubiła spędzać poranki w lesie, lecz tego dnia nie mogła sobie pozwolić na przerwę, by rozkoszować się jego świeżą zielonością. Wywrócona na środku polany naczepa wyglądała jak leżący na boku dinozaur.

Nie czekając, aż ciężarówka zatrzyma się, pomagając sobie barkiem, otworzyła drzwi i zeskoczyła na ziemię. Jej pantofle natychmiast ugrzęzły w błocie. Uwolniła się z tej pułapki i

unosząc spódnicę ponad kolana, podążała w stronę grupki mężczyzn stojących w milczeniu.

- Przepraszam, przepraszam. - Łokciami torowała sobie drogę między stłoczonymi drwalami. Jej głos oddziaływał na nich niczym laska Mojżesza. Rozstępowali się przed nią jak wody Morza Czerwonego przed uciekinierami z Egiptu.

Dotarłszy do pierwszego rzędu gapiów, zatrzymała się.

Zobaczyła leżącego na plecach człowieka, którego nogę przygniatał potężny pień. Odetchnąwszy głęboko, podeszła do rannego i uklękła przy nim.

Miał zupełnie sine wargi, a jego twarz wyglądała jak odlana z wosku. Czarny zarost nieprzyjemnie kontrastował z tą niemal trupią bledością. Zaciskając zęby, ścisnął dłoń Casha Boudreaux z taką siłą, jakby od tego chwytu zależało jego życie.

- ... najlepszy burdel, jaki kiedykolwiek widziałem mówił cicho Cash. - Właśnie ten na przedmieściach Sajgonu. Czy dotarłeś kiedyś do któregoś z tamtych burdeli, Glee? Azjatki znają takie numery ...

Drwal krzyknął z bólu.

- Gdzie jest ta cholerna whisky? - ryknął Cash. Butelka wędrowała przez tłum podawana z ręki do ręki, aż trafiła do Schyler. Dziewczyna wręczyła ją Cashowi. Pod wpływem jego spojrzenia zadrżała, ale starała się ukryć swoją reakcję.

Bez słowa odebrał butelkę i odkorkował. Przytknął ją do ust leżącego, drugą ręką podtrzymując głowę.

- Gdzie ten pieprzony ambulans? - zapytał Schyler półgłosem.

- Powinien wkrótce dojechać.

- Cash? - zapytał ranny człowiek. - Czy ją odetną? Moją nogę? Czy ją ciachną?

- Nie chrzań, takie małe skaleczenie? - Cash oddał Schyler butelkę i otarł wargi Glee własnymi palcami.

- Przestań pieprzyć. Czy ją odetną?

Cash ściszył głos.

- Nie wiem, Glee.

Usta mężczyzny zadrżały.

- Boli jak diabli, Cash. To nie żarty. - Z trudem łąpał powietrze, próbując zapanować nad bólem.

- Wiem, ale musisz wytrzymać.

- Jak wyżywię swoje dzieciaki, mając zmiądzoną nogę, Cash?

- Nie martw się o to. - Cash uśmiechnął się i puścił do niego oko. - Zastanów się lepiej nad tym, jak przypilnować tych sępów otaczających Marybeth podczas najbliższych tańców. Chyba nie będziesz mógł wziąć w nich udziału.

- Marybeth jest znowu w ciąży. W siódmym miesiącu. Nie może pracować. Jak nakarmię dzieci?

Mężczyzna zaczął płakać. Schyler gapiła się na niego, usiłując ogarnąć ogrom jego cierpienia. Nieszczęścia, których dotąd zaznała, wyglądały teraz tak śmiesznie. Nigdy przedtem nie widziała kogoś, kto rozpaczałby, wiedząc, że jego rodzinie grozi głód.

Mój Boże, co się z nią dotąd działo? Tutaj dopiero poznała prawdziwe życie. Wielokrotnie występowała w obronie uciśnionych i biednych, ale po raz pierwszy bezpośrednio zetknęła się z ludzką nędzą.

- Wyżywienie rodziny to najmniejszy z twoich problemów - powiedział cicho Cash. - Dopilnuję, by nie chodzili głodni. Przysięgam na grób matki. - Uniósł nagle głowę. - Rany boskie, jedzie karetka. Słyszysz ją, Glee? Jesteś w drodze na miłe, długie wakacje.

- Cash? - Ranny uczeplił się koszuli Casha. - Nie zapomnisz o swojej obietnicy?

- Nie zapomnę - zapewnił Cash, mocniej ściskając ramię mężczyzny.

Udręczona twarz Glee rozluźniła się na sekundę przed jego zemdleniem.

Cash złożył głowę rannego na ziemi i wstał.

- Zejść z drogi! - krzyknął, spychając ludzi na bok.

- Zabrało to wam cholernie dużo czasu - warknął do sanitariuszy wysiadających z karetki.

- Jedliśmy śniadanie.

- Dajcie temu człowiekowi coś, co zmniejszy ból.

- Wiemy, co robić.

- Więc na co czekacie? Tank, Chip ... gdzie jesteście?

Dwaj mężczyźni wypadli naprzód w takim pośpiechu jak rekruci przed dowódcę.

- Ładowarka na miejscu?

- Gotowa do pracy.

- W porządku. Wszyscy wiedzą, co robić.

Wszyscy poza Schyler. Rozglądała się bezradnie, podczas gdy mężczyźni rozchodzili się w różnych kierunkach. Cash odwrócił się gwałtownie na pięcie i z impetem wpadł na Schyler.

- Rusz się - wyrzucił z siebie ochryple. - Przeszkadzasz.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz uzmysłowiła sobie, że nie był to najlepszy czas, by krytykować sposób jego zachowania. Z godnością, na jaką mogła się w tych niezwykłych warunkach zdobyć, brnęła z powrotem przez błoto do ciężarówki. Ten teren bezapelacyjnie należał do mężczyzn.

Obserwowała, jak dźwig obsługiwany przez Casha ostrożnie podnosi przygniatający nogę pień. Zgruchotana noga drwala była bezkształtną masą potrzaskanych kości i rozszarpanego mięsa, utrzymywaną razem jedynie dzięki postrzępionym spodniom. Nieprzytomnego sanitariusze przenieśli z błota na nosze.

Stojący na polanie drwale ponuro przyglądali się, jak Gleenika w ambulansie. Pełne powagi milczenie zakłócał jedynie szczebiot ptaków. Cisza trwała, póki karetka nie zniknęła w lesie, kierując się w stronę miasta.

- Co jest? - przerwał milczenie Cash. - Wakacje? Bierzcie się do roboty. - Po chwili, usiłując załagodzić ich ponury nastrój, dodał: - Stawiam każdemu piwo, jeśli nadrobimy połowę tego, co straciliśmy wczoraj. - W odpowiedzi usłyszał pomruk aprobaty. - Stulić mordy. Postawcie z powrotem tę przyczepę. Będzie potrzebna nowa podpórka z tyłu. Układać bale dokładniej. Ruszać się!

Przez chwilę pilnował, czy jego polecenia są dokładnie wykonywane, potem zerknął na zegarek. Wyglądało na to, że nic poza zwykłymi obowiązkami nie obchodzi go w tej chwili.

- Zwolniłam cię wczoraj, ale widocznie zapomniałeś.

Podniósł głowę.

- Co tutaj jeszcze robisz?

- Czy słyszałeś, co powiedziałam?

- Qui, słyszałem cię. A odpowiadając na twoje pierwsze pytanie - nie zapomniałem niczego, co wydarzyło się wczoraj.

Patrząc mu głęboko w oczy, zastanawiała się, ile kpiny kryło się w tym, co przed chwilą powiedział, ale w jego spojrzeniu nie było fałszu. Nie wiedział nic o zwierzętach podrzuczonych na werandę w Belle Terre. Albo nie poczuwał się do winy.

Ta świadomość nie dodała jej jednak otuchy. Jeśli nie• zrobił tego Cash, winowajca wciąż był nieznany, a jeśli zrobił to i nie uważał tego za powód do bicia się w piersi, musiał być psychopata. Jednak to nie w stylu Boudreaux zakradać się pod osłoną nocy. Jeżeli groził komuś,

czynił to wprost, bez stosowania wybiegów.

- Zwolniłam cię - powtórzyła. - Dlaczego zgłosiłeś się dzisiaj do pracy?

- Ponieważ nie tak łatwo się mnie pozbyć, panno Schyler. Najęłaś mnie do pewnej pracy i zamierzam ją wykonać. Nie dla ciebie i nie dla Cottona, lecz dla siebie. - Wyprostował się. - Zainwestowałem w tę firmę sporo lat życia i nie pozwolę, by poszła ona na dno bez walki.

- . - I moje słowa są tu bez znaczenia? Uśmiechnął się wyzywająco.

- Możesz mówić, co tylko chcesz. Sęk w tym, że potrzebujesz mnie. Oboje od początku mieliśmy tego świadomość.

Skierowała wzrok na zgrany zespół drwali przymocowujący grube liny do przewróconej przyczepy.

- Nie mogę wyrzucić cię, skoro tak znakomicie opanowałeś sytuację po wypadku. Dziękuję ci za to, co zrobiłeś dla tamtego człowieka.

- On ma na imię Glee.

- Wiem - zareagowała gniewnie. - Glee Williams. Dopilnuję, by rodzina otrzymała pełną rekompensatę za jego pobyt w szpitalu.

- Prawdopodobnie straci nogę - rzekł wyzywająco Cash, chcąc sprawdzić, jak daleko jest w stanie się posunąć.

- Tak długo, jak to będzie konieczne, będzie otrzymywał pełne wynagrodzenie - odpowiedziała.~

Cash wybałuszył na nią oczy. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu czuła się tak, jakby dowodziła swej niewinności przed nie znającym litości sądem.

- Co jeszcze mogę zrobić?! - krzyknęła.

- Nie powinniśmy byli podejmować dzisiaj pracy. - Wskazał głową przewróconą przyczepę. - Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Grunt za bardzo rozmiękł. Jeśli pnie przesuną się o ułamek cala, przyczepa się przewróci, gdyż ziemia nie daje bezpiecznego podparcia. Stało się dokładnie to, czego się obawiałem. Mój brak rozsądku kosztował mnie dobrego człowieka. Glee zapłacił za to swoją nogą. Ale ja nie chciałem, byś uważała mnie za bumelanta, nie chciałem, byś zarzucała mi, że pozwalam uciekać cennym dniom. - Założył skórzane rękawice szybkimi gniewnymi ruchami. - Myśl o tym za każdym razem, gdy będziesz podpisywała czek dla Glee Williamsa.

Włożył na głowę kask ochronny i odwrócił się.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Jigger powrócił do domu w kiepskim nastroju. Był pijany.

W takich chwilach kojarzył się Gayli z wcielonym diabłem, antychrystem, o którym czytała w Apokalipsie.

Choć czasami znajdowała w sobie siły, by mu się przeciwstawić, nigdy nie czyniła tego, gdy był pijany. Wtedy naj słabszy protest mógł go sprowokować.

Teraz nadeszła właśnie jedna z takich nocy. Zamknął z trzaskiem drzwi, zatoczył się na kuchenny stół i opadł na krzesło.

Gayla bez słowa postawiła przed nim talerz z kolacją.

Z ordynarnym przekleństwem odsunął go na bok i zażądał czystej whisky. Nalała mu szklanekę.

- Ten bękart Boudreaux - mruknął pomiędzy łykami. - Niezły z niego spryciula, z tego Cajuna.

Gayla usiłowała wyłowić z pijackiego belkotu choć parę słów, które ułożyłyby się w logiczną całość.

Zrozumiała, że wcześniej tego wieczoru Cash Boudreaux postawił wszystkim drwalom pracującym dla „Crandall Logging” piwo za dobrze przepracowany dzień.

- Uważa, że już zajął fotel szefa. - Jigger zerknął kątem prawego oka na Gaylę. - Wierz mi, że stacza się po równi pochyłej. Teraz się chępli, ale poczekaj, jak wszystko się rozpieprzy. O tak! - Klasnął w dłonie. Niezdarnie nalał alkohol do szklanki. - Schyler Crandall też. Suka.

Gayla wytarła spocone dłonie w tanią bawełnianą sukienkę.

- Co ona ci zrobiła?

- Ta dziwka zabiła moje psy. To zrobiła. - Tym razem nie zawracał sobie głowy szklanką i napił się prosto z butelki. - Ale jeszcze się do niej dobiore.

- Co zamierzasz zrobić Schyler?

Zarechotał złowieszczo, aż dziewczynie przebiegły ciarki wzdłuż kręgosłupa.

- Myślisz, że skoro twoja mamusia pracowała w Belle Terre, to choć trochę obchodzisz Crandallów? Ona pluje na takie czarne łachmany jak ty.

Gayla ze wstydem opuściła głowę. Prawdopodobnie miał rację. Od tamtej nocy, gdy zabito psy Flyna, modliła się, by Schyler nie zorientowała się, że jej dawna przyjaciółka tu

mieszka. Schyler nigdy by nie zrozumiała i nie wybaczyła Gayli tego, kim się stała.

- Co chcesz jej zrobić? - powtórzyła, nie podnosząc głowy. Gdyby zawczasu poznała plany Jiggera, może mogłaby je udaremnić, ostrzec w jakiś sposób Schyler. Gayla żyła z Jiggerem dość długo, by nauczyć się, że nigdy nikomu nie groził dla zabawy. Był zdolny porwać się nawet na Belle Terre, szczególnie teraz, gdy Cotton przebywał w szpitalu.

- To moja sprawa - warknął. Wstał i by nie upaść, przytrzymał się krawędzi stołu. - A twoja to przygotować się na spotkanie z pewnym dżentelmenem, który nadjedzie niebawem.

Gayla bojaźliwie cofnęła się pod ścianę.

- Nie mogę z nim pójść, Jigger. Nie jestem jeszcze zdrowa.

- Ten śmierdzący Cajun dał mi kiepskie lekarstwo, a ja zabuliłem za nie dwadzieścia dolców. - Wycelował w nią palec. - Dziś wieczorem pracujesz. Musisz zarobić na swoje utrzymanie.

- Nie mogę.

Podszedł do niej chwiejnie i mocno złapał za piersi.

Potrafił zadawać dotkliwy ból, nie narażając przy tym jej pięknej twarzy.

- Zapłacił za ciebie sto dolarów. Pójdziesz.

Po policzkach dziewczyny ciekły łzy.

- Ja naprawdę nie mogę, Jigger. Ciągle jeszcze krwawię. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego. Proszę.

- Ubijam z tym człowiekiem interes, a ty jesteś częścią naszej umowy.

Jej rozpaczliwe błagania nie robiły na nim żadnego wrażenia. Usłyszawszy chrzęst opon na zwirowej drodze, chwycił ją za rękę i pociągnął do drzwi. Wypadli na podwórze. Wlokła się za nim, potykając się i zapadając w rozmięklej po wczorajszym deszczu ziemi. Zobaczyła elegancki samochód z przyciemnionymi szybami.

Przednie reflektory niemal ich oślepiły. To Bóg oświetlał jej grzech. Jigger otworzył drzwi od strony pasażera i wepchnął ją do środka. Kiedy opadła na miękkie siedzenie, dotyk chłodnej, dzięki klimatyzacji, tapicerki odczuła jak pieczętę•

- Jakieś problemy, Jigger? - zapytał siedzący za kierownicą mężczyzna. Gayla przypomniała sobie ten głos. Flynn pożyczał ją temu człowiekowi już wcześniej.

- Żadnego - odpowiedział Jigger. - Podobasz się jej.

- T o dobrze - powiedział cicho kierowca - ponieważ ona też mi się podoba.

Gayla, siedząc z opuszczoną głową, nie widziała groźnego spojrzenia, jakie Jigger posłał jej, zanim zamknął drzwi. Mężczyzna uruchomił samochód, lecz zaledwie zniknęli z pola widzenia Flynnna, zatrzymał się•

Obrócił się do niej i pogłaskał delikatnie po policzku. Wyczuł wilgoć łez.

- Nie zrobię ci krzywdy, Gaylo.

Mówił prawdę. Nie był jednym z tych niepohamowanych bydlaków. Robił jedynie pornograficzne zdjęcia.

Był jej obojętny. Nie mógł jej urazić. Przetrwiała tylko dlatego, że przestała czuć.

- Joe Junior to cholerny sukinsyn - stwierdził Cotton, leżąc w szpitalnym łóżku. - Spryt odziedziczył po swoim starym. Jest arogancki jak diabli. Wejdzie w tyłek za dolara. Jeśli mu pozwolisz, będzie się targował o każdego centa.

Schyler uśmiechnęła się zadowolona, że jej ojciec wrócił do dawnej formy. Odzyskiwał siły z każdym dniem i z każdym dniem jego język stawał się coraz bardziej niecenzuralny.

Tego dnia przeniesiono go z sali pooperacyjnej do zwykłego pokoju i zaczął zachowywać się jak król, który pokonawszy śmierć, ponownie objął rządy. Sprawiało jej przyjemność myślenie, że przyczyniła się do tak szybkiej poprawy stanu zdrowia ojca przez to, iż zaczęła z nim rozmawiać o sprawach zawodowych. Lekarz zaaprobował ten pomysł, gdyż jednym z warunków powodzenia terapii było sprawienie, by Cotton przestał się czuć jak inwalida.

- Pacjenci z chorym sercem przechodzą okresy depresji, które osłabiają organizm w podobnym stopniu jak ich fizyczna dolegliwość. A jakże! Rozmawiaj z nim o interesach. Oczywiście, nie poruszaj spraw, które mogłyby go zdenerwować, ale niech nadal czuje się potrzebny. Nie rozpieszczaj go.

Zaznajomiła Cottona z działalnością „Crandall Logging” prowadzoną podczas jego nieobecności.

- Przykro mi, że obarczyłem cię splatą tego długu, Schyl er. Nie zdawałem sobie sprawy, jak szybko nadchodzi termin płatności.

- Trudno, byś przewidział zawał - usprawiedliwiła go z uśmiechem. - Nie przejmuj się, załatwimy to.

- Jak?

- Trzymam parę srok za ogon.

Nie domagał się szczegółów, więc chętnie zrezygnowała z wyjaśnienia, że żadna ze

„srok”, którymi się chwaliła, nie przedstawia wystarczającej wartości, by pokryć dług. Codziennie opuszczał plac pociąg załadowany drewnem, lecz pobierane przez nią zaliczki zapępniały lukę w finansach w tempie przypominającym napełnianie stodoły garściami orzeszków ziemnych. Zamówienia od Endicotta potrzebowała wręcz rozpaczliwie.

Schyl er odniosła wrażenie, że Cotton zadowolony był z tego, iż okoliczności skłoniły ją do przejęcia kierownictwa rodzinnej firmy. Uważała tylko, by nie wymienić nazwiska Casha, niepewna reakcji Cottona na wieść, że odgrywa on tak ważną rolę w tym przedsięwzięciu.

Trudno było jej się przyznać do tego przed samą sobą, lecz nie miała pojęcia, jak poradziłaby sobie bez niego. Wydawało jej się, jakby jednocześnie pracował w kilku miejscach. Spotykała go kilka razy dziennie, lecz od wypadku Glee nie wdawali się w dłuższe konwersacje. Wszystko szło gładko, jeśli schodzili sobie z drogi.

Z tych myśli wyrwał ją nagle głos Kena.

- Może powinienem pojechać jutro z Schyler do Teksasu? - zaproponował.

Howellowie przyłączyli się do działalności Schyler, jak gdyby dla uczczenia szybkiego powrotu Cottona do zdrowia. Znaleźli się tu razem po raz pierwszy od pamiętnego sporu na temat sprzedaży Belle Terre. Dla dobra Cottona udawali wzajemne przywiązanie niczym trzech muszkietierowie.

- Miałem już wcześniej do czynienia z Joem Juniorem.

- Być może dlatego tak nam ciężko z nim idzie - przygadał mu Cotton. - Niech Schyl er załatwi to sama.

- Ona nie ma żadnego doświadczenia. - Ken nie rezygnował.

Cotton spojrział z dumą na starszą córkę.

- Więc go trochę nabędzie, prawda? Pertraktując z Endicottem, przejdzie swój chrzest bojowy.

- Dobrze, ale jeśli sknoci ten interes, nie wiń mnie.

- Nawet o tym nie pomyślałem - odparł ostro Cotton.

- Odwiedziłam dzisiaj Glee Williama - zmieniła temat Schyler, bojąc się, że ojciec zdenerwuje się tą rozmową•

- Jak się czuje?

Powiedziała Cottonowi o wypadku dopiero wtedy, gdy lekarze powiadomili ją, że Glee nie grozi amputacja nogi. Miał utykać do końca życia, trudno było określić, jaką pracę będzie w

stanie wykonywać, lecz zachował nogę.

Cieszyło ją, że Cotton interesował się swoimi pracownikami. Znał osobiście Glee i jego żonę.

- Wyglądał znacznie lepiej niż wczoraj - odpowiedziała Schyler. - Podają mu silne środki przeciwbólowe. Dostarczono mu zamówione przez ciebie kwiaty. Prosił, wspólnie z Marybeth, by przekazać podziękowania. Na mój gust ona nie wygląda na dość dorosłą, by głosować, a co dopiero, by mieć trójkę dzieci i czwarte w drodze.

- Myślę, że jest wystarczająco dorosła - odparł ze śmiechem Cotton. - Glee przespał się z nią pierwszy raz, gdy chodzili do ósmej klasy.

Tricia uniosła oczy ku niebu, a Schyler posłała ojcu uśmiech. Mimo licznych upomnień Macy Cotton zawsze używał niewybrednego języka w rozmowie z córkami.

- Towarzystwo ubezpieczeniowe zapewne odbierze nam zniżki po wybuleniu na jego operację. - Ken skrzywił się. - Schyler sprowadziła ortopedę aż z Nowego Orleanu.

- Ale on dokonał cudu i uratował nogę Glee - odpowiedziała, zmartwiona, że Ken nie rozumie spraw tak bardzo dla niej oczywistych.

Ken zignorował ją i dalej mówił do teścia:

- Potem postanowiła płacić Williamsowi pełną gażę przez czas nieokreślony. Będzie to nas kosztowało fortunę i nie dostaniemy nic w zamian.

- Pochwalam decyzję Schyler. - Ton Cottona wskazywał, że ta sprawa nie podlega dalszej dyskusji.

Czując narastające napięcie, Schyler starała się zrobić wszystko, by nie dopuścić do sprzeczki.

- Tricia organizuje zbiórkę odzieży i pieniędzy dla rodziny Williamsa. Za kilka tygodni urodzi mu się następny potomek. więc na pewno się przydadzą.

Cotton obrzucił młodszą córkę badawczym spojrzeniem.

- To bardzo przyzwoity gest, Tricio. Oni także go docenią.

- Jestem zadowolona, że mogłam choć trochę pomóc.

- Myślę, że lepiej już pójdziemy i pozwolimy ci odpocząć. - Schyler wzięła torebkę i pochyliła się, by pocałować ojca na pożegnanie. - Dobranoc, tato. Śpij dobrze.

- Nic innego tu nie robię, tylko śpię jak zabity, gdy zapakują mi na noc ten cholerny czopek w tyłek. - Gderliwy ton niezbyt jednak kamuflował jego zmęczenie. Kilka chwil później

wyszli.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Tricia zacisnęła palce na ramieniu Schyler, wbijając paznokcie w ciało siostry.

- Dlaczego, do diabła, powiedziałaś mu to? Niczego nie organizuję, rozumiesz? Zbiórka starych łańców, jeszcze czego! Czy sądzisz, że któryś z moich przyjaciół pójdzie w tym celu do jakiegoś zakazanego sąsiedztwa?

Schyler wyrwała rękę.

- To nie organizuj. Sądziłam, że sprawi mi przyjemność wiadomość, że angażujesz się w sprawy rodziny, i miałam rację, ucieszył się.

- Nie potrzebuję, byś wymyślała takie kłamstwa o mnie. - Tricia zacisnęła blade usta. - Biorę udział w rodzinnych przedsięwzięciach, to prawda, ale w sposób, który mógłby ci się nie spodobać, siostrzyczko. - Skierowała kroki w stronę windy i dotarwszy tam wcisnęła ze złością guzik, narażając na niebezpieczeństwo swój wypielęgnowany paznokieć.

Ken dotknął łokcia Schyler.

- Na pewno nie chcesz, bym z tobą pojechał? To spora transakcja.

Schyler nie informowała nikogo, że w wyprawie do Endicotta miał jej towarzyszyć Cash. Była to najlepsza decyzja ze wszystkich, jakie podjęła ostatnio.

- Nie, dziękuję, Ken. Wolałabym raczej, byś dopilnował tutaj wszystkiego podczas mojej nieobecności.

Westchnął, przeczesując palcami włosy.

- Wciąż jesteś na mnie zła, prawda?

- Nie, na moją decyzję nie miały wpływu żadne sprawy osobiste.

- Puśćmy tamten spór w niepamięć, Schyler. Nie mogę już wytrzymać ciągłego napięcia, wzajemnego unikania się i cichej wrogości.

- Razem z Tricią zająłeś jedno stanowisko, ja - drugie.

- Zapomnij o Tricii, mówię o nas. Nie chcę się nigdy więcej z tobą kłócić.

- Jedyną przyczyną niezgody między nami jest Belle Terre. Jeżeli ty i Tricia obstajecie przy sprzedaży posiadłości, będę z tobą walczyć. Poza tym pozostajemy przyjaciółmi.

- Tylko przyjaciółmi? - zapytał, zniżając głos.

- Przyjaciółmi. - Spojrzała na niego chłodno i przyłączyła się do Tricii, niecierpliwie oczekującej ich w otwartych drzwiach windy.

Pieprzona dziwka.

T e idiotyczne, obraźliwe słowa ktoś nabazgrał farbą na drzwiach jej biura. Schyler rozejrzała się, lecz nie zauważyła nikogo. Było kilkanaście minut po godzinie dziewiątej. Zawahała się wchodząc do środka, ale doszła do wniosku, że prawdopodobieństwo, by ktoś kręcił się w pobliżu, było niewielkie. Otworzyła kluczem drzwi i weszła do budynku.

W ciemności mrugnął ku niej rozżarzony koniuszek papierosa. Czując, że serce podchodzi jej do gardła, sięgnęła do kontaktu i włączyła światło. Za biurkiem, opierając stopy o blat, siedział Cash.

- Sądzę, że dostałaś wiadomość. - Skinął w stronę drzwi.

- Czy to ty zostawiłeś ją tam dla mnie? Parsknął śmiechem i opuścił nogi na podłogę.

- Nie marnowałbym dobrej farby na to, co bez trudu mógłbym powiedzieć ci osobiście.

Zamknęła drzwi.

- Nie sądzę, byś także złożył w ofierze dwa Bogu ducha winne koty, mam rację?

Zmarszczył brwi i przyjął wygodniejszą pozycję.

- O czym ty mówisz? Jakie koty?

Wyjaśniła mu wszystko.

- Ken pozbył się ich. Powiedział mi później, że samiec był wypatroszony. Czy używasz kocich wnętrzności do przygotowywania leków?

- Nie przypominam sobie - odpowiedział wymijająco Cash, z twarzą nie zdradzającą żadnych uczuć.

Rzuciła portmonetkę i klucze na biurko.

- Mam ochotę na drinka, a ty?

- Właśnie strzeliłem sobie jednego, ale chętnie napiję się z tobą.

Schyler pokręciła ponuro głową na widok stojącej na biurku szklanki, na dnie której zobaczyła resztkę bursztynowego płynu. Wyjęła z najniższej szuflady butelkę bourbona i naląła dwie porcje.

- Co tutaj robiłeś poza podkradaniem mojego alkoholu?

- Odrabiałem pracę domową. - Wskazał leżący przed nim plik akt.

Schyler usiadła na zwolnionym przez niego fotelu. Skórzane obicie zachowało ciepło jego ciała. Czowała je na plecach, pośladkach i udach. Starła się nie zwracać na to uwagi, by nie zarumienić się ze wstydu.

- Endicott - przeczytała nagłówek na arkuszu korespondencyjnym.

Cash usiadł na rogu biurka.

- Z tych listów wynika, że kontakty handlowe między Cottonem i Endicottem Seniozem przynosiły korzyści obu stronom.

Schyler sięgnęła po szklankę i pociągnęła solidny łyk.

- Cotton nazwał Joego Juniora cholernym sukinsynem, ale wiem, że gdy chodzi o interesy, nie lekceważy go jako partnera.

- Jak się czuje Cotton? - zapytał. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Znacznie lepiej. Przeniesiono go z oddziału intensywnej terapii.

Cash skinął głową. Machnął trzymaną w ręku szklanką nad stosem dokumentów.

- Przeczytałem całą korespondencję, ale wciąż nie potrafię pojąć, co zniechęciło Endicottów do robienia z nami interesów.

- Sądzę, że dowiemy się tego jutro.

- My?

- Nie jedziesz ze mną?

- Wciąż chcesz, żebym jechał?

Obecność Casha na jutrzejszym spotkaniu uważała za konieczną. Dla dobra „Crandall Logging”. Dla Cottona. Dla Belle Terre. I dla niej.

- Tak, Cash, chcę.

Obserwując dziewczynę, wypił duszkiem resztę alkoholu.

- Na którą godzinę się umawiamy?

- Spotkamy się tutaj o dziewiątej rano.

- W porządku. - Wstał. - Chodźmy już.

- Mam jeszcze trochę roboty. - Zatoczyła ręką nad panującym na biurku bałaganem.

- Myślę, że nie powinnaś zostawać tutaj sama. Idziemy. - Wsunął kciuki za pas. Jego postawa mówiła, że wszelka dyskusja jest daremna.

- Jestem zmęczona - przyznała.

- A jutro czeka nas długi dzień. Poza tym ten zbir wciąż może się tu kręcić.

Albo stać przed nią, niczym wilk przebrany za owcę.

Zanim ostatecznie poddała się jego woli, wychyliła desperacko bourbona. Gest ten wywołał uśmiech na twarzy Casha.

Przepuścił ją pierwszą przez drzwi. Wyszli na dziedziniec.

- Dziękuję, Cash.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Puściła mimo uszu tę pełną drwiny wypowiedź. Gdy dotarli do jej samochodu, przysunął się.

- Kimkolwiek ten sukinsyn jest - stwierdził, wskazując w stronę drzwi - trafił w sedno sprawy, nieprawdaż?

Tego nie potrafiła zignorować. Powoli traciła panowanie nad sobą.

- Chcesz o tym pogadać, jak przypuszczam?

- O czym? O pieprzeniu się z tobą?

- Tak.

Powoli jego wargi przybierały kształt uśmiechu.

- Pewnie. Dlaczego nie? Pomówmy o tym.

- Dobrze. - Odetchnęła głęboko, przybierając znudzoną minę, by pokazać mu, jak mało ją to wszystko obchodzi. - Popeliłam błąd, idąc z tobą do łóżka. Żałuję tego, ale stało się. Ponoszę pełną odpowiedzialność za swoje zachowanie, jednak zamierzam zapomnieć o całej tej sprawie. Od ciebie także tego oczekuję.

- Naprawdę?

- Tak.

Poczuła mocny zapach alkoholu, gdy roześmiał się jej prosto w twarz. Pochylił się nad nią•

- Nie, do cholery! Czy wiesz, czym jest dla białej nędzy, dla bękarta takiego jak ja, doprowadzenie panny Schyler do szczytu rozkoszy?

Odepchnęła go od siebie i szarpnęła drzwi samochodu.

- Nie pochlebiaj sobie zbytnio. Trochę mi tego brakowało, to wszystko.

Odjechała, obsypując jego buty żwirem. Odprowadzał wzrokiem czerwone światła, póki nie znikły w ciemności.

Cash pił prosto z brązowej butelki. Chlupoczący w niej płyn wskazywał, że półlitrowka została prawie całkowicie opróżniona. Beknął.

Gdzie jest ta dziwka?

Po odjeździe Schyler wrócił do biura i zadzwonił. Mineła godzina. Czekał na stacji

benzynowej na autostradzie do Lafayette. Po drugiej stronie szosy znajdował się motel. Czekał na Rhodę.

Przywitała go przez telefon bardzo chłodno. Jasne było, że jest wkurzona. Wyjaśnił, że przez długi czas był zajęty, lecz nie zrobiło to na niej wrażenia. Wciąż wygłaszała złośliwe komentarze, które sprawiały, że z chęcią chwyciłby ją za gardło.

- Świetnie. W ciemności jeden dzban z miodem jest równie słodki jak inny - powiedział w końcu. - Nie chcesz się pobawić dziś wieczorem? Dobra. - Jego chamstwo podziałało na Rhodę jak afrodyzjak. Cash podał czas i miejsce. Zgodziła się szybciej, niż oczekiwał.

Teraz żałował jednak, że nie utopił gniewu w butelce taniej whisky, był zły na siebie, że zadzwonił do Rhody. Byli już sobą znudzeni i dlatego ich romans przygasał. Cash miał jej dosyć, szczególnie odkąd stała się władczą i wierna. Nie potrzebował tego.

Z wyjątkiem dzisiejszego wieczoru. Potrzebował kogoś lub czegoś, by dać upust swej złości. Cholerna Schyler Crandall. Zraniła go tak bardzo, przypominając, że tylko chwilowo zastąpił przyjaciela z Londynu, który wciąż zajmował główne miejsce w jej sercu, myślach i łóżku.

- Gówno. - Opróżnił butelkę, cisnął ją do beczki na ropę, służącej teraz za kosz na śmieci przy męskiej toalecie.

Więc Schyler chciała zapomnieć ich wspólnie spędzone popołudnie? Pragnęła, by nikt się o tym nie dowiedział? Odpowiadało mu to.

Nigdy nie pozwoliłby sobie zostać przedmiotem kpin jak Cotton Crandall. Ludzie kłaniali mu się w pas, ponieważ był bogaty i silny - największy przedsiębiorca drzewny w okolicy. Gdy jednak zniknął z pola widzenia, przypomniano sobie prostego robotnika o spalonym przez słońce karku, który dobrał się do Belle Terre, romansując z córką Laurentów. W tych stronach zasada: „Pieniądze pobierają się z pieniędzmi” stała się jedenastym przykazaniem. Cotton miał czelność złamać niepisane prawo i dotąd mu tego nie wybaczone.

Cash Boudreaux wiedział, że nie może dopuścić do sytuacji, w której twarz patrząca na niego z lusterka budziłaby w nim wstręt przez świadomość, iż jest człowiekiem, który zaskarbił sobie szacunek ziomków dzięki znaczącej pozycji żony. Szczupłe, jedwabiste uda Schyler rozchyliły się przed nim, dając dostęp do naj słodszych miejsc, jakie może posiadać kobieta, lecz nigdy nie użyłyby go jako bramy, przez którą miałby wkroczyć do Belle Terre.

Dostał to, czego chciał, na własnych warunkach. Pograżony w myślach, dostrzegł nagle

BMW Rhody wjeżdżające na parking. Wysiadła z samochodu, nie wyłączwszy silnika. Weszła do recepcji i po chwili pojawiła się ponownie. Jej piersi podskakiwały przy każdym kroku.

Cash zateęsknił gwałtownie za pieścizotami i ciałem, ale nie tym należącym do Rhody. Przeklinając podszedł do ciężarówki i wśliznął się do kabiny. Zagapił się na spoczywający w dłoni kluczyk i zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie zostawić Rhody i nie pojechać do domu, by w samotności rozdrapywać swoją ranę•

Obserwował, jak ta obca mu w gruncie rzeczy kobieta wchodzi do motelu. Była z pewnością rozpalona pożądaniem, gotowa sprawić mu każdą przyjemność, jakiej by sobie zażyczył, zdecydowana zadowolnić go pod każdym względem.

Na co, do diabła, czekał?

Zaciskając cienkie, blade wargi wsunął kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. Ryzykując przejechał w poprzek drogi i zahamował obok drzwi, za którymi czekała Rhoda.

Pragnąc Schyler Crandall, wszedł do środka, by spędzić noc z niewierną żoną bankiera.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- O co chodzi? Czy mam brudny krawat?
- Twój krawat jest w porządku.
- Więc dlaczego wciąż się na niego gapisz?

- Zastanawiam się, jakim cudem on się tam znalazł.

Cash miał nadzieję, że Schyler będzie w dobrym nastroju.

Zawiedziony, nachmurzył się i spojrzał na nią spode łba.

- Być może dorastałem z błotem z kanału między palcami stóp, ale nie jestem ignorantem.

Potrafię nawet czytać i pisać. Wiem, kiedy spotkanie wymaga krawata.

- Czy chcesz, żebym prowadziła?

- Nie.

- Pamiętasz, jak to się robi?

- Mówiłem ci, że tak.

- Myślałam, że jesteś dzisiaj ucieleśnionym cierpieniem.

- Dlaczego miałbym być dzisiaj inny?

- Racja.

Odwróciła głowę, by podziwiać widoki za oknem. Cash prowadził zbyt szybko, krajobraz zlewał się w barwne plamy i ze świstem uciekał do tyłu. Przypomniała sobie noc, gdy zabrał ją spod domu Jiggera. Uciekali wtedy przed gniewem Flynna, a raczej przed kulami z jego pistoletu.

Jedynym wytłumaczeniem jego niebezpiecznej jazdy teraz był kiepski humor, nie opuszczający go od porannego spotkania na placu.

Półgębkiem udzielił odpowiedzi, gdy zapytała o polecenia wydane drwalom na ten dzień. Jej propozycję, by siadł za kierownicą, zaakceptował chrząknięciem. Później prawie wcale się nie odzywał.

Z ponurym obliczem przygarbił się, gotów obrazić się za najlżejszy nawet afront. Nie odrywał wzroku od drogi. Przynajmniej takie odnosiła wrażenie, gdyż oczy ukrył za okularami przeciwsłonecznymi.

- Być może powinnam była zabrać Kena, skoro tak bardzo mu na tym zależało - dumiała na głos. Cash jakby nie słyszał. Nie rezygnowała jednak. - Chciał ze mną pojechać.

- Może masz rację.
- Stanowiłby lepszą kompanię.
- Jest uroczy, to prawda. Swoim wdziękiem potrafi oczarować każdego. - Zerknął kątem oka na Schyler. - Dziewczęta Crandallów wydają się szczególnie podatne na jego powab.
- Ty po prostu kochasz zachowywać się jak prostak, prawda?
- Twój tchórzliwy bohater nie jest wart funta kłaków.
- Za to ty groziłeś mu nożem!
- Zawsze go bronisz, prawda?

Schyler zacisnęła zęby, zła na siebie, że pozwoliła wciągnąć się w tę głupią sprzeczkę. Było jasne, że tylko czyhał na taką okazję. Palce spoczywające na kierownicy wyprostowały się, by zaraz się zacisnąć z taką siłą, jakby chciał wyrwać kierownicę z deski rozdzielczej.

- Nie potrafisz przegrywać, panie Boudreaux. Odwrócił ku niej twarz.
- A co to ma znaczyć?
- Wczorajszej nocy odrzuciłam twoją ofertę. Najwyraźniej większość kobiet ci nie odmawia. Jesteś wstrętny, okrutny i zły.

Stopniowo rozluźnił się, przyjmując pozę tak nie dbałą, jak to było możliwe w tych warunkach. Opuścił nonszalancko jedno ramię. Już nie wyglądał, jakby miał zamiar walczyć z całym światem.

- Jeśli o to chodzi, panno Schyler, to masz rację. Rzeczywiście, inna, którą zapytałem ostatniej nocy, powiedziała „tak”.

Tym razem gwałtownego zwrotu dokonała głowa pasażerki. Uśmiech znikł z jej twarzy jak pod wpływem zaklęcia. Opanowała się szybko, mając nadzieję, że Cash nie widział jej gwałtownej reakcji.

- Gratulacje.
- Błysnął zębami w zabójczym uśmiechu.
- Dziękuję. Masz ochotę na kawę? - Wskazał głową motel i restaurację, do której zbliżali się z niebezpieczną prędkością.
 - Tak, chętnie się napiję.

Gdy tylko zahamował, Schyler wysiadła i skierowała się do damskiej toalety. Umyła ręce i spojrzała w lustro.

- Jeżeli nie chciałaś wiedzieć, trzeba było go nie prowokować.

Domaganie się od niego szacunku było śmieszne, zwłaszcza gdy tak pozwoliła mu się potraktować tamtego dnia, w jego domu. Nie miała żadnego prawa wymagać wierności ze strony Casha Boudreaux. Kobietom tak na nim zależało, że same się do niego garnęły. Jeśli nawalą jedna, brał następną.

Zanim opuściła toaletę, wygładziła na sobie elegancki kostiumik, poprawiła starannie makijaż. Rozczesała nawet włosy. Chciała, by patrząc na nią dzisiaj, widział swojego szefa, a nie byłą kochankę.

- Czy możesz wypić to w samochodzie? - zapytał Cash, podając Schyler kubek z kawą, gdy przyłączyła się do niego w bufecie.

- Oczywiście.

- To dobrze. Nie mogę znieść zapachu tych hot - dogów.

Cash opuścił okulary na nos. Schyler udało się jednak wcześniej dostrzec jego zmęczone oczy.

- Teraz już wiem, co jest z tobą nie w porządku powiedziała, gdy wracali do samochodu. - Masz kaca.

Otworzył przed nią drzwi. Wśliznęła się na swój fotel, zastanawiając się, w jakim stopniu romanse Casha mają wpływ na jego pracę zawodową.

- Sądzę, że ubijemy interes, panie Endicott - powiedziała Schyler. - Pozostaje jedynie kwestia ceny.

- Zapropnowałem maksymalną stawkę. Wszystkim płacę tyle. Nie robię was w konia.

Nie podobał się jej ten swobodny ton w czasie spotkania, na którym ważyły się losy tak ważnego kontraktu handlowego. O jej irytacji świadczyła jednak tylko uniesiona brew. Jeśli dostrzegł jej niezadowolenie, to ignorował je. W gruncie rzeczy czego mogła spodziewać się po człowieku takim jak jej rozmówca?

Joe Endicott Junior wydawał się jej napsuszonym dupkiem, niedbale rozciągniętym w swoim fotelu, z malującym się na twarzy bezczelnym uśmiechem. Z pewnością uważał, że trzyma w ręku wszystkie atuty. Nieszczęśliwie złożyło się, że miał je naprawdę.

Nie wiedział jednak, że negocjowany przez nich kontrakt znaczył dla „Crandall Logging” być lub nie być. Jak dotąd udawało jej się ukryć przed Endicottem podniecenie, jakie ją ogarnęło.

- Zawsze uważaliśmy drewno sprzedawane przez Crandallów za towar najwyższej jakości.

- Jest mi niezmiernie miło to usłyszeć - odpowiedziała na komplement Schyler. -
Wracając do warunków naszej umowy: czy wolałby pan płacić nam po otrzymaniu każdej dostawy, czy też raczej wysłać nam czek pod koniec każdego tygodnia na łączną sumę?

- Ani tak, ani tak.

- Słucham?

- Nie przejęzyczyłem się•

- Nadal nie rozumiem.

- Nie zapłacę wam, dopóki nie otrzymam całego zamówionego towaru.

- Zapewne sądzisz, że masz do czynienia z durniami? - Cash nie powiedział dotąd zbyt wiele. Mamrotał jedynie odpowiedzi na zadawane pytania lub komentował uwagi zgłaszane przez Schyler.

- Wiem, że nie jest pan głupcem, panie Boudreaux.

- W takim razie dlaczego oczekuje pan, że dostarczymy mu drewno, nie dostając w zamian nic?

- Dostanie pani swoje pieniądze, pani Crandall. Jak dostanę swoje drewno. Wszystko, co zamówiłem.

- Nie możemy przystać na takie warunki.

Endicott rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Więc nie ubijemy interesu.

Schyler zerknęła na Casha. Jej towarzysz patrzył na Endicotta wzrokiem mówiącym, że z dziką rozkoszą rozdeptałby go jak karalucha. Schyler, obawiając się wybuchu jego gniewu, spokojnie zwróciła się do Endicotta:

- Czy wolno mi zapytać, z jakiego powodu domaga się pan zgody na takie warunki?

- Oczywiście. Ponieważ nie zawsze dostarczacie towar.

- Czy mogę prosić o powtórzenie?

- Ja nie ...

- To, co mówi, jest prawdą - wpadł mu w słowo Cash.

Endicott posłał mu uśmiech, lecz wyraz oczu Casha stał mu go z twarzy.

- „Crandall Logging” naciągnęło nas na kilkanaście tysięcy dolarów. Mój ojciec wypłacił wam zaliczkę zgodnie z umową, lecz nigdy nie otrzymaliśmy ostatniej z przewidzianych kontraktów dostaw. Z tego właśnie powodu nie robiliśmy z wami interesów przez ostatnie parę

lat.

Schyler wyprostowała się.

- Zapewniam pana, że musiało się tak stać na skutek jakiejś pomyłki lub błędu w dokumentach. Mój ojciec cieszy się opinią uczciwego biznesmena. Jeśli wypłacono awansem czek ..

- Wypłacono. Został zaaprobowany przez bank i zrealizowany.

- Przez mojego ojca?

- Tak.

- Nie rozumiem.

Cotton był wzorem człowieka uczciwego. Wierzył w przedsiębiorczość i wykorzystywał każdą okazję do zarobienia paru dolarów, ale zawsze postępował zgodnie z zasadami.

- Dlaczego nie wyjaśniliście całej tej sprawy?

- Myśli pani, że nie próbowałem? - Nerwowo wyłamywał palce. - Wszystkie nasze listy pozostały bez odpowiedzi.

- Dlaczego nie wniósł pan oskarżenia do sądu?

- Ponieważ mój stary był zbyt sentymentalny. - Joe wzruszył ramionami. - Zawsze mawiał, że Cotton Crandall jest jednym z najlepszych kontrahentów w południowozachodniej Luizjanie. Dokonali wspólnie wielu transakcji. Chciał, żebyśmy zapomnieli o całym wydarzeniu.

- No cóż, postaram się wyjaśnić tę sprawę - poinformowała go Schyler stanowczym tonem. - Zrekompensujemy panu poniesione straty. Na razie jednak pańska odmowa płacenia nam za kolejne transporty wiąże nam ręce. W jaki sposób, pańskim zdaniem, pokryjemy koszty operacyjne?

Powolnym, teatralnym gestem przeczesał włosy.

- To nie mój problem, nieprawdaż?

- Więc nie otrzymamy żadnych pieniędzy przed wysyłką ostatniego transportu?

- Dokładnie tak.

- Nikt nie robi interesów w ten sposób. - Cash niemal zerwał się z fotela.

- Ja też ... Zazwyczaj. - Endicott obrócił się z fotelem, by rzucić okiem przez szklaną ścianę za swoimi plecami, za którą rozciągał się widok na bocznice kolejową, na której rozładowywano pociągi z drewnem. - Ale muszę chronić własny tyłek Nie zapłacę Crandallowi złamanego centa, dopóki nie otrzymam całego zamówienia.

Schyler spojrzała zdesperowana na Casha. Odwzajemnił jej spojrzenie i ponownie odwrócił się do Endicotta.

- Muszę zapalić. - Wstał nieoczekiwanie. - Schyler? - Wyciągnął do niej rękę. Przyjęła ją i pomógł jej wstać. Skierowali się do drzwi.

- Hej, robimy interes czy nie? Zabieracie mój cenny czas. Czeka mnie kupa roboty, a wy idziecie sobie zapalić.

- Zrelaksuj się, Junior - odpowiedział Cash. - Zdrzemnij się. Zaraz wracamy.

Zatrzasnął drzwi. Przeszli przez gabinet sekretarki, ignorując jej zdziwione spojrzenie. Znaleźli się w holu, na końcu którego dostrzegli duże okno i krzesła. Cash poprowadził tam Schyler. Wyciągnął papierosy z kieszeni koszuli i wytrząsnął jednego. Zapalił go i gniewnie wydmuchnął obłok siwego dymu w kierunku sufitu.

- No i? - zapytała. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że z chęcią przyłożyłbym mu w tę jego beczelną gębę i posłał razem z tym obrotowym fotelem prosto za szklaną ścianę.

- Co powinnam mu powiedzieć?

- Żeby spieprzał ze swoimi głupimi warunkami.

- Cash! Pytam poważnie.

- Jestem poważny. - Spojrzawszy na jej smutną twarz, powiedział: - W porządku, żarty na bok.

- Czy wiesz coś na temat tamtej nieszczęsnej transakcji?

- Uważasz mnie za firmowego kanciarza?

- Zadałam ci proste pytanie.

Zaciągnął się mocno i zgasił papierosa w popielnicze.

- Nie wiem, dlaczego ostatni transport nie został dostarczony ani dlaczego listy pozostały bez odpowiedzi. Chcesz mnie sprawdzić?

Westchnęła i rozmasowała sobie skronie. Wolno policzyła do dziesięciu i ponownie zwróciła się do niego:

- Czy powinnam przyjąć jego warunki? I nie mów mi tego, co, twoim zdaniem, chcę usłyszeć, lecz co naprawdę, według ciebie, powinnam zrobić.

- Czy masz inną możliwość?

- Wrócić do domu i ponownie zacząć szukać kontrahentów. Oczywiście, to duża strata

czasu. Wiele dni upłynęło, nim zorganizowałam pierwsze spotkanie. Nie bardzo mogę sobie pozwolić na to, by się teraz wycofać.

- Istnieje jeszcze sporo innych rynków zbytu, Schyler.

- Wiem, ale nie ma drugiego aż tak chłonnego. Mogłabym, co prawda, wypełnić małe zamówienia tu i ówdzie, jak robiłam dotychczas, lecz zarobionych pieniędzy starczyłoby ledwie na wypłaty dla pracowników. Natomiast zamówienie Endicotta, pozwoliłoby spłacić pożyczkę z banku i dałoby dodatkowo spory kapitał operacyjny na wiele miesięcy.

- W takim razie sądzę, że znalazłaś odpowiedź na swoje pytanie.

- A jeśli po dostarczeniu mu całości zamówienia Endicott nie wypłaci nam całej sumy?

- Nie śmiałyby porwać się na to - odparł, wyłamując palce, jak to przed chwilą robił Joe Junior. - Z pewnością ceni własne życie.

- Czy możemy wywiązać się z tego zamówienia?

- Chwileczkę. - Usiadł na krawędzi małej sofy i sięgnął po leżące na pobliskim stoliku czasopismo. Na jego okładce wykonał kilka szybkich obliczeń. - Pomijam tu niezależnych, którzy także będą dla nas pracować. Liczę pięć tysięcy stóp drewna jako pojedynczy ładunek, jeden transport może zawierać ...

- Trzydzieści tysięcy stóp.

- Trzy transporty na dzień. - Spojrzał na nią. - Możemy wysłać codziennie dziewięćdziesiąt stóp tarcicy plus to, co kupimy od niezależnych.

- On zamawia ponad dwa miliony. Do ostatecznego terminu spłaty pożyczki pozostało około miesiąca.

Powiedzmy: trzydzieści dni.

- - Mniej.

- Więc będziemy musieli pracować trochę w nadgodzinach.

- Co z pogodą?

- Jeśli zacznie padać, to leżymy.

- O Boże!

Sprawdził swoje kalkulacje.

- Jesteśmy w stanie to zrobić - stwierdził w końcu.

- Tak sądzisz?

- Tak.

- Przed terminem?

- Zgadza się.

- Okazuję ci w tej chwili wielkie zaufanie.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- Wiem.

Poważny wyraz jego twarzy i łagodny, prawie smutny ton głosu zmieszały ją. Ponownie zebrała myśli.

- Gdyby mnie tutaj nie było i musiałbyś zrobić to sam, gdybyś ponosił odpowiedzialność za tę decyzję, to co byś zrobił?

Wstał i podszedł do okna. Wsunął ręce do kieszeni.

Spodnie leżały na nim równie dobrze jak dzinsy, które nosił na co dzień. Buty Casha sprawiały wrażenie, jakby dopiero przed chwilą opuściły sklepową półkę. Podobało się Schyler, że tak poważnie traktował spotkanie z Endicottem.

Powoli odwrócił się.

- Ten facet denerwuje mnie od samego początku, nie spotkałem dotąd takiego palanta. - Wskazał brodą biuro dyrektora na drugim końcu korytarza. - Miałem ochotę poradzić mu, by wpakował sobie naszą umowę w tyłek. Jak ważna jest ta transakcja dla ciebie?

Niespodziewanie ujrzała przed sobą twarz Cottona, mówiącego do niej: „Dlaczego zabiłaś mojego wnuka?” Nie zapomni tego do śmierci. Wiara i miłość Cottona do niej legły w gruzach. Musiała znowu na nie zasłużyć.

- Jest bardzo ważna, Cash - powiedziała ochryple. - Nie tylko dla mnie, ale i dla Cottona. Dla Belle Terre. W grę wchodzi nasza przyszłość. Dla Belle Terre zrobię wszystko, poświęcę nawet swą dumę. Czy to rozumiesz?

Jego policzek zadrgał nerwowo.

- Qui. Rozumiem.

- Więc mamy wrócić do Joego Juniora i podpisać z nim kontrakt?

- Pamiętaj, że jestem z tobą.

Ken Howell runął na ciało żony sekundę po chwili najwyższej rozkoszy. Odzyskawszy oddech, okrył pocałunkami jej czoło.

- Było wspaniale. Jak się czujesz?

Zepchnęła go z siebie i usiadłszy na brzegu łóżka, okryła ciało zwiewnym szlafrocikiem.

- Czy Schyler także pytałeś o to za każdym razem, gdy z nią byłeś?

- Schyler nigdy nie musiałem o to pytać.

Tricia spojrzała na niego przez ramię. Jej ranne pantofle klapały o gołe pięty, gdy szła do łazienki. Przekrzykując szum wody, zapytała:

- Czy wciąż ją kochasz?

Ken wszedł nagi do łazienki. Stał w drzwiach, czekając, aż Tricia skończy myć zęby.

- Obchodzi cię to?

Wyprostowała się i wycierając ręcznikiem usta, obserwowała go w lustrze nad umywalką.

- Tak, myślę, że obchodzi.

- Jedynie dlatego, że nie chcesz, by miała coś, czego ty nie posiadasz.

Wzruszyła ramionami i zrzuciła z siebie peniuar.

- Prawdopodobnie.

- Przynajmniej jesteś szczera.

Tricia odkręciła kurek prysznica. Sprawdziła ręką temperaturę wody i posłała mężowi wymowne spojrzenie. Ken z przygnębieniem patrzył na wyłożoną kafelkami podłogę.

- Nigdy nie byłam szczera.

Uniósł głowę.

- Tak, wiem.

Para szybko wypełniała łazienkę.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Że nigdy nie było żadnego dziecka? - zapytał. Tricia skinęła głową. Ken przygładził zmierzwione włosy. - Nie wiem, może od samego początku wiedziałem.

- A jednak poślubiłeś mnie.

- Było to najłatwiejsze i najmniej kłopotliwe wyjście z tej sytuacji.

- Woląłeś raczej zostać ze mną niż błagać Schyler o wybaczenie?

- Nigdy nie uważałem siebie za specjalnie odważnego.

- A tamte koty?

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Przyprawiły mnie o rozstrój żołądka.

- Nie udawaj tępaka, Ken. Zrobiłeś to?

- Oczywiście, że nie. A ty?

- Też nie.

Ich oczy mówiły jednak, że nie wierzą sobie nawzajem. Tricia weszła pod prysznic, ale nie zamknęła drzwi do kabiny.

- Miałeś ją powstrzymać.

- Staram się - odparł Howell.

- To staraj się bardziej. Ona stara się załatwić dzisiaj w Teksasie transakcję, która wyciągnie „Crandall Logging” z kłopotów. Jeżeli staniemy się wypłacalni, o wiele trudniej będzie przekonać Cottona do sprzedaży Belle Terre.

Ken, pocierając dłonią szczękę pokrytą szorstkim zarostem, zagapił się na swoje odbicie w lustrze. Widok niezbyt przypadł mu do gustu. Hulaszczy tryb życia odcisnął swe piętno na jego twarzy.

- W dodatku pojechał z nią Cash Boudreaux! - krzyknęła Tricia spod prysznic. - Rozumieją się pewnie jak para złodziei.

- Boudreaux pracuje dla niej, kieruje brygadą drwali, to wszystko.

Śmiech Tricii odbił się głośnie echem w niewielkim pomieszczeniu. Zakręciła kran.

- Ależ ty jesteś naiwny, Ken. A może po prostu chowasz głowę w piasek? Nie chcesz uwierzyć, że oni są kochankami.

- Kto tak mówi?

- Wszyscy. - Otuliła się ręcznikiem. - Każda kobieta, której zechce Cash, w końcu kapituluje i idzie z nim do łóżka. Te, które z nim spały, mówią, że jest najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miały.

Ken obdarzył ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem i wszedł pod prysznic. Odkręcił oba kurki i woda pociekła mocnym strumieniem.

- Babskie bzdury. Czy to jedyny temat waszych rozmów?

- A czy wy nie lubicie dyskutować o cyckach i tyłkach?

- To męski przywilej.

- Już nie, maluszku - zarechotała.

Zdegustowany, pokręcił głową i zaczął mocno szorować swoje ciało. Tricia skończyła się wycierać i cisnęła ręcznik do stojącego w rogu kosza.

Wyszła z łazienki zadowolona z siebie. Jeżeli Ken nie będzie mógł lub chciał z nią trzymać, zwyczajnie go zostawi. T o także będzie w porządku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Chateaubriand i szparagi na lunch. Jakież to typowe dla ludzi twojego pokroju!

Cash z pobłażliwym uśmiechem lekko popchnął Schyler w stronę samochodu. Była pijana ze szczęścia. Zatrzymali się w przydrożnej restauracji na spóźniony lunch. Odkrywszy, że lokal zostanie otwarty dopiero po czwartej, zdecydowali się poczekać, zabijając czas spacerowaniem brzegiem lasu. Zamówienie uzyskane od Endicotta, mimo swych ujemnych stron, wprowadziło ich w doskonały humor.

Posiłek był wyśmienity. Będąc jedynymi gośćmi w lokalu o tak wczesnej porze, zostali potraktowani po królewsku.

Schyler zamówiła szampana, by wznieść toast za ich sukces. Zdaniem Casha dwie butelki zakupione przez nią stanowiły cały zapas szampana w restauracyjnej piwnicy. Z pewnością rzadko zamawiano tego rodzaju trunków w miejscu, gdzie naj częstszymi bywalcami byli przygodni turyści i okoliczni farmerzy.

Pierwszą butelkę wypili do obiadu, drugą, tuląc do piersi, Schyler zabrała do samochodu.

- Opuśćmy szyby i jedźmy naprawdę szybko - zaproponowała podniecona.

Cash nigdy nie widział jej tak ożywionej, z włosami lśniącymi bursztynowym blaskiem. Szampan wywierał dobry wpływ na samopoczucie Schyler Crandall. Promieniowała radością. Przestała odgrywać rolę szefa, nie była już księżniczką z BeBe Terre. Stała się stuprocentową kobietą. Sto procent jego ciała zdawało sobie z tego sprawę•

- W porządku, ale ja będę prowadził. - Uśmiechając się do siebie, otworzył drzwi samochodu i wpuścił ją do środka. - Dlaczego nie zdejmiesz żakietu?

- Dobry pomysł. - Postawiła butelkę na siedzeniu obok siebie i poruszając ramionami, strząsnęła żakiet. Pochyliwszy się do przodu, ściągnęła razem ramiona, by uwolnić się z rękawów. Piersi Schyler zakolysały się pod bluzką, co wywołało w Cashu dreszcz podniecenia.

Położył żakiet na tylnym siedzeniu razem ze swoją marynarką. Obchodząc samochód, rozluźnił krawat i rozpiął parę górnych guzików koszuli.

Wjechali na autostradę. Schyler zrzuciła na podłogę eleganckie pantofle ze skóry aligatora. Odchyliła głowę na oparciu i wsunęła stopę pod udo drugiej nogi, szeroko rozchylając kolana. Poprawiła spódnicę, wciskając ją między uda.

Cash miał zdecydowanie nieprzyzwoite myśli.

- Co za wstrętny facet! - Ziewnęła tak szeroko, że Macy Laurent załamałaby ręce. Nie uczyniła żadnego gestu, by zasłonić usta.

- Kto jest wstrętny? Ja? - zapytał.

Nie unosząc głowy, spojrzała na niego i uniosła kąciki ust w łagodnym uśmiechu. Po szmince dawno już nie zostało śladu, lecz nie umalowane usta Schyler podobały mu się nawet bardziej. Jej wargi były doskonale wykrojone, stworzone do namiętych pocałunków.

- Nie, nie ty. Joe Endicott.

- To skończony palant.

Zachichotała.

- Niezbyt delikatne znalazłeś określenie, ale prawdziwe. - Przyglądała mu się przez moment. - Jak to się dzieje, że kiedy używasz takich wyrażení, one wcale nie brzmią tak okropnie?

- Naprawdę?

- Tak - odpowiedziała zakłopotana. - Podobnie jest z Cottonem. Z przekory używa takich słów, że coś okropnego. Zawsze tak robił. Przekleństwa, które przypadkowo usłyszałam od niego, stanowiły kilka z pierwszych słów, jakich się nauczyłam. Mama, odkąd pamiętam, usiłowała go uczyć panowania nad swoim językiem. - Ponownie ziewnęła.

- Czy wiatr nie jest zbyt silny?

Jej piersi kołysały się leciutko pod bluzką, która straciła już swoją poranną świeżość. Cash miał szaloną ochotę dotknąć ich i nie mógł zrozumieć, dlaczego po prostu tego nie zrobił. Nigdy wcześniej nie zachowywał się w ten sposób wobec kobiety, zwykle brał, czego chciał.

- Nie, wiatr jest wspaniały. - Westchnęła i zamknęła oczy. - Obudź mnie, kiedy dojedziemy do Heaven. - Po raz drugi zachichotała i zaczęła śpiewać:

Kiedy dotrę do nieba,

Wciągnę buty i będę

Spacerować po całym boskim niebie.

Uśmiechnęła się ujmująco.

- Veda, kołysząc mnie na werandzie, często śpiewała tę murzyńską pieśń.

Cash sądził, że już zasnęła, lecz po chwili odezwała się znowu.

- Głupia nazwa dla miasta, nie sądzisz? Heaven. Kocham je i nienawidzę go. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Oui.

- To tak jak z pieprzykiem, który mam na biodrze. Jest brzydki i nie lubię go, ale ... to część mojego ciała. Mogłabym go usunąć, ale za każdym razem patrząc na miejsce, w którym się znajdował, przypominałabym sobie o nim. To właśnie czuję do Heaven i Belle Terre. Mogę wyjechać, uciec w inną stronę świata, lecz one pozostaną tutaj na zawsze. Ze mną. - Otworzyła oczy. - Czy jestem pijana?

Nie potrafił opanować śmiechu na widok obawy malującej się na jej twarzy.

- Jeżeli potrafisz jeszcze rozmawiać w ten sposób, to nie odjechałaś zbyt daleko.

- Och, to dobrze. - Zamknęła oczy. - To był wyśmienity szampan, prawda? - Pociągnęła językiem po dolnej wardze.

Cash czuł, że coraz bardziej pragnie tej pięknej kobiety.

- Oui, wspaniały.

- Jesteś w domu? - Schyler uniosła się, lekko zaspana.

- Niezupełnie. Chcę ci coś pokazać.

- Tu nie ma nic do oglądania - marudziła.

Zewsząd otaczał ich gęsty las. Sądząc po długich cieniach drzew, słońce chyliło się ku zachodowi.

Cash otworzył drzwi i wysiadł, zabierając ze sobą szampana.

- Chodź, nie daj się prosić. Nie zapomnij butów. Schyler włożyła swoje szpilki i wysiadła, lecz zaraz oparła się niepewnie o bok samochodu. Podparła dłonią głowę.

- Wszystko w porządku? - zapytał Cash, obchodząc z tyłu samochód.

- Mam uczucie, jakby w mojej głowie rozgrywano turniej gry w kręgle.

Roześmiał się, płosząc z najbliższego drzewa ptaki. Zaszcebiotały w proteście.

- Mam tutaj to, czego w tej chwili potrzebujesz. Potrząsnął przed jej oczami butelką. Jęknęła z dezaprobatą. Ujął ją pod ramię i poprowadził ku otaczającej ich świątyni drzew.

- To nie są buty do wędrowki, Cash - poskarżyła się, czując, jak wysokie obcasy grzęzną w miękkim gruncie. Łodygi mleczy pękały pod naporem jej nóg i zraszały swym białym sokiem pończochy.

Chwycił ją silniej, pomagając iść.

- T o niedaleko - pocieszał.

- Co?

- Miejsce, do którego zdążamy.
- Nie wiem nawet, gdzie jesteśmy.
- W Belle Terre.
- W Belle Terre? Nigdy tutaj nie byłam.

Kroczyli pod górę wśród porastających wzgórze purpurowej werbeny i krzewów dzikiej róży, tonąc w aromatycznym zapachu ich kwiatów.

Dotarli na szczyt.

- Ostrożnie, jest mokro, a z drugiej strony zaczyna się urwisko - ostrzegł Cash.

U stóp wzgórze płynął Kanał Laurenta. Cyprysy porastały jego muliste brzegi, stopniowo ustępując miejsca sosnom i dębom. Promienie słoneczne pokrywały dywan poszycia złotymi cętkami.

Upływające lata nie naruszały dziewiczości tego cudownego miejsca. Wyglądało tak, jakby dopiero przed chwilą zakończono tu odprawiać pogańskie obrzędy.

- Cash! - krzyknęła przerażona Schyler, zauważywszy skrzydlate zwierzę szybujące między drzewami. - Czy to był nietoperz?

- Latająca wiewiórka. Zazwyczaj nie pojawiają się przed zmierzchem.

Obserwowała akrobacje zwierzątka, póki nie zniknęło w koronie pobliskiego drzewa. Zapanowała cisza tak absolutna, że niemal słyszeli korniki wygryzające sobie ścieżki w powalonych pniach. Mieniające się barwami tęczy owady prześlizgiwały się nad miedzianą powierzchnią wody. Pszczoły buszowały wśród ukwieconego poszycia.

Schyler chłonęła wszystkimi zmysłami urok tego miejsca, nie tkniętego dotąd stopą człowieka. Pozostawiona sama sobie Natura trwała niezmiennie przez wieczność.

Pomyślała ponuro, że musi być jeszcze pijana. Starła się swoje wrażenia ubrać w słowa, podzielić się nimi z Cashem. Przyjął to bez zwykłych kpin i ironii.

- Odczuwam to podobnie. Wokół nas wciąż wszystko się nieustannie zmienia. - Rozejrzała się, lecz nie dostrzegła żadnych drastycznych zmian. Roześmiał się. - Musielibyśmy zostać tu przez kilka stuleci, by je zobaczyć.

Zerknęła na zegarek.

- Powinam chyba wrócić przed dziesiątą. - Parsknął śmiechem, doceniając jej dowcip. Po raz pierwszy słyszała jego śmiech pozbawiony sarkazmu.

Oparł stopę o zwalony pień drzewa, błędząc wzrokiem po otaczającym ich lesie.

- Przypuszczam, że pierwotny las został zniszczony przez ogień. Stało się to jakieś tysiąc lat temu. Spójrz za siebie. Jakich drzew widzisz najwięcej?

- Dęby.

- Właśnie, ale po pożarze pierwsze wyrosły sosny. Później ptaki przyniosły nasiona drzew liściastych z sąsiednich lasów.

- I one przejęły inicjatywę ~ dodała z zadowoleniem, że potrafiła wyjaśnić rozwój sytuacji.

- Wiesz, dlaczego?

Zastanawiała się chwilę, próbując znaleźć odpowiedź, lecz w końcu pokręciła tylko głową.

- Pamiętam jedynie, jak Cotton powiedział mi kiedyś, że drzewa liściaste żyją dłużej niż sosny.

- W nasłonecznionej glebie nasiona sosny kiełkują szybko, ale pozbawione promieni słońca młode drzewa umierają. - Czyli im wyższe stają się dęby, tym bardziej odcinają poszycie lasu od światła i ...

- Ostatecznie sosny muszą ustąpić pola mocniejszym drzewom.

- W takim razie dlaczego wszystkie lasy nie stają się ostatecznie liściaste?

- Ponieważ człowiek poskramia większość z nich. To, co widzisz tutaj, zdarza się tylko wtedy, gdy obłaskawiony las na powrót zamienia się w dziką puszcze.

Jego wiedza zrobiła na niej wrażenie.

- Najbardziej podoba ci się właśnie taki, prawda? - zapytała, przyglądając się uważnie jego twarzy.

- Tak, ale cholernie trudno zarobić na życie, podziwiając widoki. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodź.

Sprowadził ją po stromym stoku. Stąpali po kostki zanurzeni w sosnowych igłach. Cash przywiódł ją do powalonego u podnóża urwiska drzewa. Zauważyła teraz, że woda w kanale wcale nie była tak nieruchoma, jak jej się wydawało, gdy patrzyła stojąc na górze.

- Myślałam, że nie pozwalasz, by w lesie pozostawały zwalone pnie.

Cash zerwał folię otaczającą szyjkę butelki i schował ją do kieszeni. W podobny sposób pozbył się także drucika przytrzymującego korek.

- Na ogół tak, ale tutaj ... - Rozejrzał się wokół z szacunkiem i cziłą należą świętemu

miejscu. - Tutaj pozostawiam wszystko w naturalnym stanie. Przyroda potrafi sama rozwiązać swoje problemy, więc jej nie przeszkadzam.

- Ale to przecież część Belle Terre.

Nagle korek wystrzelił w górę i szampan wytrysnął, oblewając Schyler. Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Czy nie zachowujesz się trochę jak właściciel tej ziemi? - zapytała Schyler żartobliwym tonem.

Spowaźniał.

- Zabiłbym każdego, kto spróbowałby zakłócić spokój tego miejsca.

- Nie powinieneś tak mówić. Los bywa na tyle przewrotny, że może zmusić cię do spełnienia groźby.

Pokręcił głową.

- Cotton czuje to samo, co ja.

- Cotton? - Schyler nie kryła zaskoczenia.

- Moja matka tutaj została pochowana.

Schyler powiodła wzrokiem ku szczytowi wzgórza, z którego przed chwilą zeszli.

- Nie miałam pojęcia.

- Ksiądz nie pozwoliłby pochować jej w poświęconej ziemi, bo ... - Upił trochę szampana prosto z butelki. - Po prostu nie pozwoliliby.

- Bo była kochanką mojego ojca.

- Tak przypuszczam.

- Musiała go bardzo kochać.

Wypuścił powietrze z głośnym sykiem, który przerodził się w gorzki śmiech.

- Rzeczywiście, ona go kochała. - Napił się jeszcze.

- Bardziej niż kogokolwiek innego. Bardziej niż mnie.

- Wątpię w to, Cash - zaprotestowała szybko Schyler.

- Żadna matka nie przedłoży mężczyzny, nie będącego nawet jej mężem, nad swoje dziecko.

- Ona to zrobiła. - Oparł stopę o pień i pochylił się, kładąc dłoń na kolanie. - Pytałaś, dlaczego siedzę tutaj tyle czasu.

- Tak.

- Chcesz wiedzieć, z jakiego powodu żyję tutaj, choć każdy uważa mnie za ostatniego łajdaka?

- Tak, zastanawiałam się nad tym.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Moja matka, zanim umarła, kazała mi przyrzec, że nie opuszczę Belle Terre przed śmiercią Cottona Crandalla. Musiałem złożyć jej przysięgę.

Schyler nerwowo przełknęła ślinę.

- Ale dlaczego... dlaczego miałyby cię prosić o coś takiego?

Wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć? Może mam grać rolę anioła stróża?

- Chronić go? Ale przed czym?

- Może przed nim samym - odpowiedział i nagle zmienił temat. - Napijesz się? - Nie powinnam.

- Co, do diabła? - Tracił ją butelką w ramię. Przyjęła ją i zaczęła pić.

- Jest zbyt ciepły - stwierdziła, oddając mu butelkę.

Spostrzegła, że Cash przygląda jej się z dziwnym wyrazem twarzy. Las, chwilę wcześniej tętniący życiem, nagle zamarł. Czowała fale ciepła płynące z ziemi, przenikające do wnętrza jej ciała. Cisza dzwoniła jej w uszach. Mimo że dopiero co przełknęła szampana, miała zupełnie suche usta.

- Chodźmy już lepiej. - Wyprostowała się. Cash zsunął stopę na ziemię, ale poza tym nie uczynił żadnego ruchu. Nie przestawał się w nią wpatrywać. - Dziękuję za pomoc w sprawie Endicotta i za pokazanie tego miejsca zaczęła paplać nerwowo, przerywając ciszę. - Nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Tutaj jest pięknie, jest...

Cash, wciąż ściskając w dłoni butelkę szampana, objął dziewczynę wolnym ramieniem, unieruchamiając jej głowę w zgięciu łokcia. Wycisnął na zaciśniętych wargach Schyl er gorący pocałunek. Otoczyła ramionami jego barki, wbijając palce w silne, szerokie plecy. Ich ciała połączyły się tak ściśle, jakby tworzyły jedną całość.

Kolejny pocałunek był bardziej namiętny. Ich wargi i języki starały się posmakować siebie nawzajem - ile tylko mogły i tak gwałtownie, jak to było możliwe. Gdy wreszcie się rozłączyli, ich oddechy były bardzo przyspieszone.

- Złamałem z tobą wszystkie swoje zasady. - Cash obserwował swą dłoń, zbliżającą się ku

piersi Schyler. Dotknął delikatnie jej ciepłego ciała i poczuł, jak się pręży i nabrzmiwa. - Nigdy nie wiązałem się z żadną kobietą. Zawsze dostawałem to, czego chciałem, i szybko o wszystkim zapomniałem. - Ich oczy spotkały się ponownie. - Ciebie zapomnieć nie mogę. Próbowałem. - Jego ręka wędrowała w dół. - Cholera, chcę jeszcze - burknął.

- Ja też.

- Qui.

- Tak. Gdzie?

- Tutaj.

- Tutaj?

- Qui.

- Ja ...

- Tak.

Znów zaczęli się całować. Próbował językiem jedwabistego wnętrza jej ust. Odpowiadała namiętnie. Jęknął i przycisnął ją do siebie, czując bijące z niej ciepło. Teraz i ona zaczęła go pieścić. Jednocześnie, nie przerywając pocałunku, opadli na kolana.

Chwycił ją w ramiona i odchylił do tyłu. Opadła na posłanie z zeschniętych liści i igieł, szeleszczące niczym atlasowe prześcieradła.

Schyler zareagowała z równą jego namiętnością. Zapraszając, rozchyliła uda.

Unosząc biodra, starała się podciągnąć spódnice, by ułatwić mu zadanie. Cash, rozchylając usta, brutalnie ocierał twarz o piersi Schyler. Zaczął mocować się ze sprzączką swego paska, lecz narastające pożądanie czyniło go niezręcznym.

Zaklął, chwytając powietrze szeroko otwartymi ustami.

Schyler odepchnęła jego palce i sama zaatakowała upartą klamrę, lecz jej także zabrakło zręczności. Ich dłonie walczyły ze sobą gorączkowo, by rozpiąć pasek.

W tym momencie zdali sobie sprawę, że w otaczającą ciszę wkradły się inne dźwięki oprócz ich miłosnych westchnień. Cash błyskawicznie zsunął się z dziewczyny i usiadł.

- Cash! Słyszałeś?

- Sza! - Gestem nakazał jej milczenie.

Wsluchiwali się w ciemność. Znów usłyszeli ten dziwny, niski dźwięk.

Cash wstał cicho i jak cień pomknął między drzewami w kierunku, z którego dobiegał hałas. Miesiące treningu w dżungli przydawały się teraz. Prześlizgując się wśród gałęzi drzew,

wydobył nóż z pochwy. Skradając się wzdłuż grząskiego brzegu kanału, okrążył lepki pień cyprysu.

- Jezu!

Schyler poderwała się z miłosnego gniazdka i popędziła za nim, ślizgając się w mule.

Co to? - zapytała.

- Gayla!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Młoda czarna kobieta patrzyła na nich z przestraczeniem w oczach. Obrzęki i krwawiące skaleczenia zniekształcały połowę jej twarzy. Postrzępione ubranie odsłaniało poranione ciało. Zgubiła jeden but.

Cash zbadał wzrokiem oba brzegi kanału i wznoszące się nad nimi wzgórce. Schyler ukłękła.

- Gayla, mój Boże! Gayla - powtórzyła imię przyjaciółki z dzieciństwa. Dotknęła jej, a Gayla wzdrygnęła się. - Nie bój się, Gaylo, to ja, Schyler. - Przeniosła spojrzenie na Casha. - Ona mnie nie poznaje.

- Poznaje, Schyler. - Gayla przesunęła językiem po głębokim rozcięciu na dolnej wardze. Krew na moment przestała płynąć. - Nie patrz na mnie. Po prostu odejdz, proszę•

Z jej oczu wytrysnęły łzy. Zwinęła się w kłębek, usiłując ukryć swój wstyd. Schyler uniosła głowę Gayli i ułożyła ją na swoim udzie, gładząc zdrowy policzek przyjaciółki.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - szepnęła Schyler.

- Mamy sobie tyle do opowiedzenia. Gdy tylko poczujesz się lepiej, znowu będziemy chichotać, jak małe dziewczynki, wspominając dawne czasy.

Twarz Gayli skurczyła się z wyrazem ogromnego bólu.

- Już nigdy więcej nie będę dziewczynką, Schyler. Jestem ...

- Jesteś moją przyjaciółką. - Schyler położyła nacisk na ostatnim słowie.

Gayla zamknęła oczy i teraz zaczęła już płakać na dobre.

- Nie zasłużyłam na to.

- Dzięki Bogu, żadne z nas nie otrzymuje tego, na co zasługuje.

Cash przeszukał najbliższą okolicę•

- Czy widzisz kogoś? - zapytała Schyler.

- Nie. - Klękł obok i przyjrzał się dokładnie obrażeniom na ciele Murzynki. - Czy to Jigger cię pobił?

Gayla skinęła głową.

- Śmierdzący sukinsyn! - złorzeczył Cash. - Pewnie spuścił jej lanie, a potem wyrzucił ją. Wygląda, jakby spadła z urwiska.

Włosy Gayli przypominały leśne poszycie. Drobne gałązki i liście nie oszczędziły także

jej ubrania. Nogi Murzynki pokryte były smugami kurzu.

- Nie, panie Boudreaux. Spadłam ze wzgórza, ale Jigger nie porzucił mnie tutaj. Uciekłam od niego.

- Przeszłaś całą drogę pieszo?

- Tak.

- Czy on cię szuka?

- Nie. Nie wiem. Zostawcie mnie. Zapomnijcie, że mnie spotkaliście. Pozwólcie mi umrzeć, a będę szczęśliwa. Nie mogę wrócić, bo on mnie zabije. Nie chcę żyć, ale nie chcę też dać mu przyjemności zabicia mnie.

- Jigger nic ci nie zrobi. Obronię cię i na pewno nie zostawię tutaj - stwierdziła Schyler surowym głosem. - Czy dasz radę zanieść ją na górę? - zapytała Casha. - Zostanę tam z nią, a ty pojedziesz i wezwiesz pomoc.

- Nie! - Gayla prawie poderwała się z ziemi. - Nie, proszę. On mnie znajdzie i zabije.

- W szpitalu będziesz bezpieczna.

Gayla pokręciła zdecydowanie głową, nie zwracając uwagi na ból, jaki ten ruch wywołał.

- Jigger mnie zbił, a potem zamknął w szopie na narzędzia, ale wydostałam się stamtąd. Gdy odkryje, że mnie nie ma, wpadnie w szal.

- On już jest szalony.

- Znajdzie mnie wszędzie. Zabije mnie za karę, że uciekłam, Schyler. Przysięgam na Boga, że to zrobi. Powiedział mi to. - Chwyciła się kurczowo ramienia Schyler. Jeżeli mi pomożesz, zemści się także na tobie. Odejdźcie, proszę. Nie dotykajcie mnie. Jestem brudna, jestem dziwką.

- Dość tego! - krzyknęła Schyler. - Nie boję się Jiggera Flynna. Jeśli się tylko do nas zbliży, własnoręcznie go zastrzelę. - Gayla znowu zaczęła popłakiwać. Schyler dodała nieco już spokojniejszym głosem: - Jeśli w szpitalu nie będziesz się czuła bezpiecznie, zabierzemy cię do Belle Terre. Obiecuję, że tam nie zagrozi ci niebezpieczeństwo.

Cash odsunął Schyler na bok.

- Chodź, Gaylo. Czy możesz złapać mnie za szyję? Na pewno dasz radę - namawiał delikatnie, gdy przecząco pokręciła głową. - Spróbuj. O właśnie, to jest to. - Wsunął ramiona pod jej plecy i kolana i podniósł ją.

- Cash, ona krwawi - wysapała Schyler. Tył sukienki przesiąknięty był krwią. - Gaylo, co

on ci zrobił?

- Zemdlała - poinformował ją Cash. Głowa Murzynki spoczywała bezwładnie na jego ramieniu. - Lepiej nie mogło się stać. Czeka nas trudna przechadzka.

Schyler podniosła porzuconą przez Casha butelkę i pogramoliła się za nim. Buty miała oblepione błotem, gałęzie szarpały materiał drogiej spódnicy, lecz nie zważała na to. Zastanawiała się, jak Gayla przeżyła upadek z urwiska.

Zakończywszy wspinaczkę, która Schyler wydała się wejściem na Mount Everest, podeszli do samochodu. Schyler, utykając, wyprzedziła Casha i gwałtownym szarpnięciem otworzyła tylne drzwi. Wskoczyła do środka.

- Podaj mi ją. Jedź do szpitala tak szybko, jak możesz. Nieważne, co powiedziała. Ona musi się dostać pod fachową opiekę.

Cash ułożył Gaylę na siedzeniu. Nie wycofał się jednak, lecz pochylony spojrzał na nią.

- O co chodzi? jedźmy - zakomenderowała szorstko Schyler.

- W szpitalu będą musieli wezwać szeryfa. T en przeprowadzi rutynowe śledztwo, ale w gruncie rzeczy nie zrobi nic. Po kilku dniach zostanie zwolniona. Jigger będzie na nią czekał i nie potraktuje jej tak łagodnie jak teraz.

Schyler przyjrzała się zmasakrowanej twarzy Gayli i uznała, że Cash ma rację.

- W takim razie zabierzemy ją do Belle Terre. Nie wiem tylko, czy będę mogła ściągnąć tam lekarza.

- Ja to zrobię.

Zatrzasnął drzwi i po paru sekundach siedział za kierownicą. W następnej chwili znaleźli się na szosie, pędząc przez mrok.

- Napijesz się jeszcze, Tricio?

- Nie, dziękuję kochanie. Pani Graves powinna zaraz zawołać nas na kolację.

Tricia delektowała się popołudniowym wydaniem „The Heaven Trumpet”, w którym znajdowało się pełne sprawozdanie z akcji dobroczynnej przeprowadzonej na rzecz rodziny Glee Williamsa. T o zadowolenie zatruwała jednak kropelka goryczy. Jej, co prawda, przypisano zdumiewającą szczodrość, lecz to Schyler była faktyczną organizatorką tej akcji; to jej siostra angażowała się w zbiórkę żywności i używanych ubrań.

- T o zaczyna być nie do zniesienia! - dała upust swemu rozdrażnieniu. - Co wieczór ze względu na Schyler musimy czekać z kolacją. Ona zawsze się spóźnia:

- Trudno jej było określić, kiedy wróci od Endicotta. - Ken, ssąc wyjętą ze szklanki kostkę lodu, stanął w obronie Schyler. - T o dość daleko stąd.

- Przecież mogła zadzwonić.

- Rozluźnij się, właśnie nadjeżdża. - Ken odstawił pustą szklankę na wiklinowy stolik i zszedł po schodach z werandy. - Prowadzi jak szaleniec. To nie w jej stylu.

- Może wreszcie dotarło do niej, że nie wolno się tak spóźniać.

Tricia teatralnym gestem odłożyła gazetę i wstała z fotela.

- Co, u diabła? - zapytał Ken.

Cash zahamował ostro zaledwie kilka stóp przed schodami. Wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi. Pochyliwszy się zniknął do połowy we wnętrzu pojazdu, by po chwili pojawić się z Gaylą w ramionach.

- Co się, do diabła, tutaj dzieje? - Ken zastąpił Cashowi drogę w momencie, gdy ten postawił stopę na pierwszym stopniu. - Schyler, oczekuję, że wyjaśnisz mi ... - Zejdź z drogi, Ken. Tricio, czy któryś z pokoi gościnnych jest przygotowany?

Howellowie gapili się na Casha i Gaylę, jakby ci byli przybyszami z obcej planety.

- Odpowiedz mi - zażądała Schyler. - Czy któryś z pokoi gościnnych jest przygotowany?

Tricia spojrzała siostrze w oczy.

- Co jest tej dziewczynie?

- Została niemal na śmierć pobita. W której sypialni mogę ją położyć?

- Nie masz chyba zamiaru zanieść jej do domu? Schyler westchnęła rozdrażniona. Zwróciła wzrok ku Kenowi, oczekując od niego wsparcia. T en jednak gapił się na Casha, stojąc stopień wyżej i zagrządzając drogę Boudreaux.

- Co się z wami dzieje?! - wykrzyknęła Schyler. - Nie poznajecie Gayli?

- Wiem, kim ona jest - warknęła Tricia.

- Jest w bardzo złym stanie, krwawi.

- Więc proponuję odwieźć ją do szpitala.

- Ona zostanie tutaj.

Schyler obeszła Kena, wskazując Cashowi, że powinien zrobić to samo. Cieszyła się, że jej towarzysz niesie w ramionach Gaylę, inaczej użyłby siły, by usunąć Kena z drogi. Sądząc po morderczych błyskach w jego oczach, sprawiłoby mu to ogromną frajdę.

Schyler przeszła szybko przez werandę i wyciągnęła rękę ku klamce, gdy Tricia

zagroziła jej drogę, opierając się o drzwi.

- Mama przewróciłaby się w grobie, wiedząc, kogo wpuściliśmy do Belle Terre.

- Gayla była już tutaj wiele razy. Często bawiliśmy się razem, pamiętasz? Jej matka prasowała twoje ubrania, myła po tobie naczynia, przygotowywała posiłki, które jadłaś, a w dodatku była czarniejsza od Gayli.

- Mój sprzeciw nie ma żadnego związku z kolorem jej skóry.

- Więc z czym?

- Zmuszasz mnie, żebym była niemiła, Schyler. Ona jest dziwką Jiggera Flynna! - wrzasnęła Tricia.

Schyler również straciła panowanie nad sobą.

- A czyja to wina?

Tricia zająknęła się, lecz szybko odzyskała głos.

- Przypuszczam, że sugerujesz, iż to ja ponoszę odpowiedzialność.

- Cóż, może nie?

- Winisz mnie za całe zło, które się wokół dzieje!

- Nie mam czasu, by się z tobą teraz spierać, Tricio. To jest dom, a nie sanktuarium. Ani Gayla, ani Cash go nie sprofanują. Mama nigdy się nie dowie, kto wchodzi do środka. Nawet jeśli patrzy teraz na nas z dezaprobatą z wysoka, nic na to nie poradzi. Zejdź mi z drogi.

Schyler zepchnęła siostrę na bok i szarpnięciem otworzyła drzwi.

- Wiesz, co Cotton o nim myśli?! - krzyknął za nią Ken.

Odwróciła się i zastanawiała przez chwilę nad jego słowami.

- Cotton także nic teraz nie może na to poradzić.

Następnie wskazała Cashowi hol. Po raz pierwszy w życiu Cash Boudreaux przekroczył próg Belle Terre.

Pani Graves stała w holu niczym ostatni strażnik wrót Nieba.

- Czy są przygotowane jakieś gościnne pokoje? - zapytała ją Schyler.

- Nie dla takich jak ona. - Skrzyżowała ramiona na wyschniętych piersiach, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza uczestniczyć w tym, co się tu dzieje.

- W takim razie Gayla skorzysta z mojego pokoju powiedziała spokojnie Schyler. - Proszę przygotować dla mnie pokój gościnny. - Ruszyła w stronę schodów. - Tak na marginesie: będzie to pani ostatnie zadanie w Belle Terre. Zechce pani łaskawie zwolnić kwatery. Za godzinę

znajdzie pani czek na stoliku w holu.

Schyler wbiegła po schodach, wskazując Cashowi drogę.

Ten niemal deptał jej po piętach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Pani Graves pozostała na dole z rozdziawionymi ustami. Kamienne twarze Howellów nie zdradzały żadnych uczuć. Schyler zaprowadziła Casha do swego pokoju. Wszedł pierwszy i ułożył Gaylę na łóżku.

- Wszystko się okropnie popłami. - Kiedy wysunął ręce spod bezwładnego ciała Murzynki, zauważyła, że przód jego koszuli pokrywa skorupa zakrzepłej krwi.

- To bez znaczenia. Na dole zrobiłam większy bałagan - mruknęła Schyler, pochylając się nad dziewczyną. - Rozbiorę ją, a ty wezwij lekarza.

- Żadnego lekarza!

- Co? - Schyler wyprostowała się gwałtownie.

- Rozbierz ją, zanim wrócę. - Ruszył do drzwi.

- Czekaj! - Schyler pobiegła za nim i zacisnęła palce na jego ramieniu. - Myślałam, że powiedziałeś, iż dasz radę sprowadzić tu lekarza. Dokąd idziesz?

- Ja sam spróbuję jej pomóc, ale muszę przynieść lekarstwa.

Schyler zbladła nagle.

- Oszalałeś? Ona potrzebuje fachowej pomocy. Może umrzeć. T o nie jest ukąszenie komara, Cash. Ona poważnie krwawi, a ja nie wiem ...

- T o krwotok spowodowany poronieniem. - Schyler wstrzymała oddech i szeroko rozwarła oczy. - Moja matka także straciła dziecko. Nie było komu się nią zaopiekować, więc musiałem zrobić to ja. Ona mnie instruowała. Wiem, jak sobie z tym poradzić.

Schyler rzuciła się do telefonu, ale zanim przyłożyła słuchawkę do ucha, Cash wyrwał ją z jej dłoni i odłożył z powrotem.

- Obiecałaś Gayli!

- Nie mogę podjąć takiej odpowiedzialności!

- Obiecałaś!

- Ale nie miałam pojęcia, że jest aż tak źle. Co się stanie, jeśli ona umrze?!

Cash złapał ją za ramiona i potrząsnął. Zniżył głos.

- Mogę jej pomóc. Zaufaj mi. - Uścisnął ją mocno. - Zaufaj mi.

Przez pełną napięcia chwilę patrzyli sobie w oczy. Następnie Schyler skierowała wzrok ku Gayli. Spojrzawszy ponownie na Casha, postanowiła się poddać. Wiedziała, że nie ma innego

wyjścia.

- Jeżeli ktokolwiek na dole spróbuje cię zatrzymać ...
- Poradzę sobie. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Schyler odprowadziła go wzrokiem, modląc się, by jej decyzja okazała się słuszna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Schyler, czekając na powrót Casha, obmyła Gaylę z krwi i brudu. Gąbka odsłoniła ślady wcześniejszego pobicia. Patrzyła na zmaltretowane ciało i czuła, jak narasta w niej nienawiść do Jiggera Flynna. Gdy do pokoju wszedł Cash, otarła łzy z twarzy.

Ma sińce i blizny na całym ciele - oznajmiła. - Wątpię, by Jigger był czułym kochankiem.

- To bestia. Powinno się go zamknąć w więzieniu.

Cash usiadł na brzegu łóżka i przyjrzał się uważnie Gayli.

- Zauważyłaś coś poza tym?

- Przestała krwawić.

- To dobrze. Czy jest przytomna?

- Tak. Pojękiwała, gdy ją myłam.

Cash położył dłoń na czole dziewczyny i cicho zawołał ją po imieniu:

- Gaylo, obudź się. Muszę zadać ci kilka pytań. Otworzyła oczy i spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na Schyler.

- Jesteś w Belle Terre. Bezpieczna.

- Bezpieczna. - Spuchnięte wargi z trudem powtórzyły to słowo. Dziewczyna ponownie zamknęła oczy, a jej twarz wypogodziła się.

- Nie zasypiaj jeszcze. - Cash potrząsnął nią delikatnie.

- Chcę ci pomóc, ale najpierw muszę cię o coś zapytać.

Pokonała słabość i otworzyła oczy.

Cash wyjął ze swojej skórzanej torby słoik z maścią.

Odchylił prześcieradło i zaczął pokrywać woskowatą, żółtą substancją szramy na jej piersiach i ramionach.

- Jak zaawansowana była ciąża?

W jej oczach pojawiły się łzy, a twarz wykrzywiła się w wyrazie udreki.

- Nie mogłam urodzić jego dziecka. To diabeł. Po prostu nie mogłam.

- Już nie ma dziecka. - Cash uściśnął uspokajająco jej dłoń. - Jak długo byłaś w ciąży? Jak dawno miałaś okres?

- Sześć, może osiem tygodni temu.

- Bien.

- Brałam lekarstwo, które mi zaleciłeś.

- Lekarstwo?! - wykrzyknęła Schyler. - Wiedziałaś o tym wcześniej?

Uciszył ją gestem. Gayla mówiła dalej słabym, jakby dochodzącym z daleka głosem.

- Jigger powiedział, że to przywróci mi dawną formę.

- Dałeś temu człowiekowi lekarstwo dla niej? - natarczywie dopytywała się Schyler.

- Qui, a teraz zamknij się.

- Zadawałeś się z takim typem? - Nie mogła ukryć zdumienia i oburzenia.

Cash w końcu odwrócił ku niej głowę.

- Tak. Przyszedł do mnie i powiedział, że Gayla ma krwotok. To było poronienie. Co twoim zdaniem miałem robić? Zignorować całą sprawę?

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- A co byś zrobiła? Ta sprawa ciebie nie dotyczyła. Ostrzelałabyś jego dom jeszcze raz?

Zamilkła, lecz wciąż była bardzo zagniewana.

- Poza tym było to wtedy, gdy stan Cottona bardzo się pogorszył. Nie wyglądało, że przeżyje. Nie potrzebowałaś kolejnych zmartwień.

Wciąż delikatnie rozprawdzał maść po ciele Gayli. Zwrócił uwagę na bliznę na jej piersi.

- Oparzenie papierosem - wyszeptał. Gayla drgnęła na dźwięk jego głosu. Rysy twarzy Casha zmiękły nieco. - Co spowodowało poronienie?

Gayla odwróciła się na bok i ukryła twarz w poduszce.

Schyler wymieniła z Cashem pełne współczucia spojrzenia.

- Gaylo, powiedz mi, co się stało. Czy Jigger obchodził się z tobą zbyt brutalnie?

Pokręciła powoli głową. Łzy spływające po zabiedzonych policzkach zmywały zaschniętą krew.

- Zrobiłam to sama.

- Cholera! - Cash odetchnął głęboko. Schyler przycisnęła obie dłonie do skroni.

- Nie mogłam mieć jego dziecka - wyszeptała Gayla ochryłym głosem. - Pójdę za to do piekła, prawda? Bóg pošle mnie do piekła za zamordowanie własnego dziecka.

Znajdowała się na granicy hysterii. Cash pochylił się nad nią i ścisnął mocno jej ramiona.

- Nie pójdziesz do piekła, Gaylo. Nie jesteś grzesznicą. To przeciwko tobie grzeszono. Czy moje lekarstwo pomogło?

- Tak. Dziękuję, panie Boudreaux. Kiedy Jigger je przyniósł, było ze mną naprawdę

kiepsko. Zastosowałam się do instrukcji i zużyłam wszystko. Przestałam krwawić. Poczułam się znacznie lepiej, ale wtedy ...

Rozejrzała się ostrożnie po pokoju, jakby zeznawała przed ławą przysięgłych, a obrońca był gotów zabić ją na miejscu, jeśli wyzna prawdę.

- Co, Gaylo? - dopytywał się spokojnym głosem Cash, przykładając do skaleczenia na ramieniu watę nasączoną wodą utlenioną.

Gayla spojrzała na Schyler. Jej ciemne oczy lśniły od łez.

- Zmusił mnie do pójścia z jednym mężczyzną. Mówiła ledwo słyszalnym szeptem. - Nie chciałam. Powiedziałam mu, że nie jestem jeszcze zupełnie zdrowa, ale ... - Odwróciła ponownie twarz. - Ten człowiek zapłacił sto dolarów. Jigger kazał mi iść.

Cash spojrzał na Schyler, która kręciła głową z niedowierzaniem. Historia Gayli przypominała średniowiecze. Takie niewolnictwo nie mogło zdarzyć się w dwudziestym wieku. A jednak zdarzyło się.

- Czy tamten człowiek zmusił cię do stosunku?

Gayla skinęła głową. Cash zaklął ordynarnie.

- Dlaczego Jigger cię dzisiaj pobił?

- Dzisiaj znowu odmówiłam pójścia z tym mężczyzną. Powiedziałam Jiggerowi, że źle się czuję, że znowu zaczęłam krwawić. Ale on nie chciał złościć tamtego klienta.

- Czy to był ten sam co poprzednio?

- Tak sądzę. Widziałam jego samochód.

- Kto to był?

- Nie znam jego nazwiska. Ale on ...

- Co?

- On ... robi mi zdjęcia.

Schyler zadrzała. Cash zanotował w pamięci tę informację.

- Co dokładnie wydarzyło się tego popołudnia?

- Powiedziałam, że nie pójdę. Tamten facet znudził się czekaniem i odjechał. Wtedy Jigger zbił mnie pasem do ostrzenia brzytwy. Owinął wokół pięści łańcuch i - dotknęła obrzmiałej twarzy - uderzył mnie tutaj.

Cashowi wyrwało się kolejne rynsztokowe przekleństwo, jednak Schyler nie oburzała się. Jigger w pełni na nie zasłużył.

- Powiedział, że gdy zamknie mnie w szopie, będę mogła zastanowić się nad tym, co zrobiłam. - Wargi Gayli zaczęły drżeć. - To było najgorsze lanie, jakie kiedykolwiek mi sprawił. Następnym razem mnie zabije. Wiem o tym. Musiałam uciec.

Jej twarz wykrzywiła się strachem.

- Zabije mnie, kiedy mnie odnajdzie.

- Nie tknie cię nawet, póki tutaj jesteś. - Schyler pogłaskała ją uspokajająco. - Już nigdy więcej nie będziesz musiała się go bać.

Gayla nie była tego taka pewna.

- Nie nienawidzisz mnie, Schyler, za to, co robiłam?

- Oczywiście, że nie. Byłaś ofiarą.

- Mama nie mogła pracować. Była chora. Musiałam o nią dbać, kupować jej lekarstwa. Nie mogłam znaleźć dobrej pracy, więc zaczęłam podawać drinki w knajpie. Mama zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, co robiłam. Powie~ działałam, że pracuję w mleczarni.

Zwilżyła wargi i zmięła nerwowo brzeg prześcieradła. - Z mamą było coraz gorzej. Poprosiłam Jiggera o podwyżkę. Odpowiedział, że zna tylko jeden sposób, w jaki mogłabym zarobić więcej pieniędzy.

- Szsz ... Gaylo, nic nie mów - powiedziała Schyler.

- Z pierwszym facetem poszłam, bo miałam za to dostać pięćdziesiąt dolarów. Później długo płakałam z powodu Jimmy'ego Dona. Znienawidziłby mnie, gdyby się kiedykolwiek o tym dowiedział. Myślałam, że to będzie tylko ten jeden raz. Przysięgam. Nie chciałam zostać prostytutką.

- Wiem. Nie musisz opowiadać więcej.

- Ale tamte pięćdziesiąt dolarów szybko zostały wydane, a potrzebowałam pieniędzy. - Przeszedł ją dreszcz. - Poszłam z następnym i jeszcze jednym. Jigger ich przyprowadzał.

- Gaylo, nie musisz się nam spowiadać - wtrącił Cash, kołysząc w ramionach szlochającą kobietę. - Muszę ją zbadać - powiedział do Schyler. - Czy możesz jej przynieść coś do picia? Gorącą herbatę? Cokolwiek.

Schyler przed odejściem jeszcze raz uścisnęła ramię Gayli.

Znalazłszy się na korytarzu, zamknęła za sobą drzwi i oparła się plecami o ścianę, oddychając głęboko. Była zmęczona zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale nie mogła pozwolić sobie na odpoczynek. Jeszcze nie. Zeszła na parter.

Tricia przemierzała salon tam i z powrotem. Zobaczywszy Schyler, poszła za nią wzburzona do kuchni. Schyler włączyła palnik i nastawiła wodę.

- Nie mówiłaś poważnie, zwalniając panią Graves, prawda?

- Dziękuję, że mi przypomniałaś, Tricia. Muszę wypisać czek dla niej.

- Nie pozwolę ci jej wyrzucić.

- Już to zrobiłam. Gardzę tą kobietą. Nie cierpię jej od chwili, gdy ją tu po raz pierwszy zobaczyłam.

- Przecież nie możesz jej tak po prostu wyrzucić. - Tricia pstryknęła palcami przed nosem Schyler. - Tylko dlatego, że wyraziła głośno to, o czym ja i Ken myśleliśmy. Zmieniłaś się, Schyler, zachowujesz się nierozsądnie.

- Zwolniłam panią Graves, ponieważ obraziła moją przyjaciółkę, nawet jeśli Gayla była wtedy nieprzytomna i nic nie słyszała. Co do braku rozsądku - powiedziała z zadumą - być może masz rację.

Spokojnie zaparzyła herbatę. Wzięła tacę z parującym imbrykiem i zwróciła się do siostry:

- Pani Graves może zostać tu do rana. Nie mam teraz czasu na wypisywanie czeku.

Tricii zrzęda mina. Podreptała za Schyler w stronę schodów.

- Chwileczkę, Wasza Wysokość. Przyjechałaś po sześciu latach do domu i zaczęłaś się szarogęsić, niszczyć wszystko, czego w tym czasie dokonałam.

Schyler zatrzymała się•

- Ponieważ wszystkie twoje dzieła wymagają poprawek, Tricia.

Tricia zamarła.

- Cotton dowie się o tym z samego rana - warknęła przez zaciśnięte zęby.

Schyler odstawiła tacę na stolik i popchnęła siostrę pod ścianę•

- Cotton nie dowie się o niczym - zasyczała. - Rozumiesz?

- Założymy się?

- A jeśli po twojej opowieści dostanie kolejnego ataku serca? Jeśli umrze? Wiesz, jak wtedy będą wyglądać twoje plany sprzedaży Belle Terre? Jestem pewna, że tata zapisał ją nam obu, a ja prędzej ujrę cię w piekle, niż pozwolę na sprzedanie mojej połowy. Twoje szanse na przekonanie Cottona są tak mizerne, że aż niemal równe zeru, ale ze mną nie masz już żadnych. - Podniosła tacę. - Pomyśl o tym, kochana siostrzyczko, zanim pójdziesz do Cottona i zaczniesz

paplać.

W sypialni Cash otulał delikatnie Gaylę kołdrą. Schyler spojrzała na niego pytająco.

- Nie sądzę, by się naprawdę groźnie okaleczyła. Odgarnął dłonią opadający mu na czoło kosmyk włosów. - Wierz mi, nie miałabyś ochoty wysłuchiwać szczegółów. To cud, że się nie wykrwawiła na śmierć.

- Czy konieczna będzie transfuzja? - zapytała Schyler, zniżając głos.

- Gdybym tak uważał, sam zawiózłbym ją do szpitala. To nie było krwawienie z macicy. Ona ... e ... skaleczyła się wewnątrz.

Schyler poczuła dreszcz przebiegający jej ciało.

- To skaleczenie otworzyło się ... wiesz, kiedy. W wypadku, gdyby krwawienie znów się pojawiło, daj mi znać. Jeżeli zostanie w łóżku przez kilka dni, wszystko będzie w porządku. - A co z jej twarzą?

- Nie stwierdziłem uszkodzeń kości. Po zejściu opuchlizny będzie równie śliczna jak dawniej. Skaleczenia zagoją się tak, że nie zostanie po nich nawet ślad.

- Nie wiem, czy po tych wszystkich latach spędzonych z tym bydlakiem kiedykolwiek całkowicie odzyska zdrowie. - Wyciągnęła do niego tacę. - Oto herbata.

Cash wyjął z torby małą buteleczkę. Odkorkował ją i odmierzył kilka kropel płynu, który wlał do herbaty.

- Co to jest? - zainteresowała się Schyler.

- Receptura przekazywana z pokolenia na pokolenie w rodzinach traiteurs. Dzięki tym kropelkom Gayla zaśnie na kilka godzin.

Uniósł głowę swej pacjentki i podtrzymał delikatnie.

- Gaylo, wypij to. - Przytknął brzeg filiżanki do spuchniętych warg. - Za chwilę poczujesz się, jakbyś podążała na latającym dywanie do krainy szczęścia.

Gayla upiła mocnej, zaprawionej narkotykiem herbaty.

Zerknęła na Schyler.

- Dlaczego robisz to wszystko dla mnie?

- Głupie pytanie, Gaylo. Kochałam twoją matkę i ciebie też kocham.

- Nie zasłużyłam na niczyją miłość - skomentowała sennie. - Nawet Boga.

- On także cię kocha.

Gayla pokręciła zdecydowanie głową.

- Nie teraz, gdy zabiłam własne dziecko. To grzech śmiertelny. - Przerwała na moment. - Właściwie to bez znaczenia. Jimmy Don brzydziłby się mną, skoro spało ze mną tylu mężczyzn. A ja kochałam Jimmy' ego Dona bardziej niż kogokolwiek na świecie. - Spojrzała na nich błyszczącymi oczami. Specyfik Casha zaczynał działać. - Może dlatego Bóg pozwolił Jiggerowi zrobić ze mnie dziwkę? Może był zazdrosny o Jimmy' ego Dona?

Cash odstawił pustą filiżankę na stolik nocny.

- Nie jestem prorokiem, Gaylo, ale nie sądzę, aby Bóg dokonywał porachunków na ludzki sposób z tymi, którzy mu podpadli.

Gayla wydawała się czerpać zadowolenie z tych słów pocieszenia. Zamknęła oczy i rozluźniła się•

- Śpi - stwierdził Cash. Wstał.

Schyler dopiero teraz zauważyła jego zmęczenie.

- Cash, nie wiem, jak ci dziękować - zaczęła z zakłopotaniem.

- Daj spokój. Nie zrobiłem tego dla ciebie.

- Tak, ale ...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Była zbyt oszołomiona, by odpowiedzieć. Cash chrząknął i zrobił to za nią•

- Kto tam?

- Zastępca szeryfa, Walker.

- Proszę chwilę zaczekać.

Cash otoczył ramieniem Schyler, przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował w usta tak, że jej wargi poczerwieniały, stały się wilgotne i lśniące. Przeciągnął szorstką brodą po jej szyi, odpiął dwa górne guziki jej bluzki i wsunawszy pod materiał dłoń, zsunął z ramienia ramiączko biustonosza.

- Zachowuj się tak, jakbyśmy się przed chwilą kochali.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

- Czego, do diabła, chcesz, Walker? Lepiej dla ciebie, żeby to było cholernie ważne.

Zastępca szeryfa cofnął się, by uniknąć zderzenia z pchniętymi przez Casha drzwiami. Przeklinał swój parszywy los. Patout dobrałby mu się do skóry, gdyby nie zareagował na to wezwanie, ale, do diabła, nie życzył sobie rozróby z Boudreaux. Cajun wyglądał na 'cholernie rozdrażnionego. W takich chwilach każdy, kto nieostrożnie zbliżał się do niego, miał spore szanse na zarobienie nożem między żebra. Mimo wszystko sprawdzenie tego zgłoszenia było jego obowiązkiem.

Cash oparł się o framugę drzwi, zasłaniając sobą wnętrze pokoju. Policjant starał się zajrzeć do środka ponad jego ramieniem, usiłując nadać jednocześnie swemu obliczu oficjalny i surowy wyraz.

- Cześć, Cash. Panno Schyler!

Uchylił przed nią kapelusza. Stała w głębi pokoju, pocierając dłonią usta. Jej twarz zdradzała zażenowanie. Cholerny szczęściarz Boudreaux. Jego legendarny kogucik załatwił mu zaproszenie nawet między uda najwyższej klasy.

Walker powrócił do spraw zawodowych.

- Rodzinna kłótnia. Zgadza się?

- Rodzinna ... - Cash wznosił oczy do góry i zaklął. - Co za bzdura! Czy mówisz o Gayli? Gayla miała maleńki wypadek. Parę zadrapań. Ja cierpię w tej chwili o wiele bardziej niż ona.

- Co masz na myśli, Cash? Co się stało?

- Cóż ... - Cash przeciągnął się i zerknął przez ramię na Schyler. - Nie muszę opowiadać ci wszystkiego, prawda?

Zastępca szeryfa odkaszlnął.

- Taaak, musisz. Wszystko - stwierdził z powagą. Cash przekleństwem wyraził swą irytację.

- W porządku. Wyobraź sobie, wybraliśmy się z Schyler na mały piknik do lasu. - Przechylił głowę, pozwalając Walkerowi zauważyć stojącą na nocnym stoliku opróżnioną do połowy butelkę szampana. - Rozumiesz, o co chodzi? - Walker z trudem przełknął ślinę i kiwnął głową. - Właśnie - kontynuował Cash - bawiliśmy się doskonale, kiedy napatoczyła się jedna z dziewczyn Jiggera. Stoczyła się ze wzgórza.

Walker ryknął rubasznym śmiechem.

- Obaj nieraz widywaliśmy dziwki zadzierające pięty. Cash spowaźniał, jego oczy stały się zimne. Natomiast Walker zaczął się pocić i przeklinać swoją głupotę. Zagalopował się. Cash przeszedł jednak do porządku nad jego słowami.

- To prawda. Nie zawracałbym sobie tym głowy, ale zapomniałem, że Schyler zna Gaylę. Zdenerwowała się, gdyż Gayla potłukła się trochę. Poprosiła mnie, bym jej pomógł. Przerwaliśmy więc nasz ... hmm ... piknik i przywieźliśmy Gaylę tutaj. Ona teraz śpi, ale jeśli chcesz, możesz wejść i sprawdzić sam. - Przesunął się na bok i gestem zaprosił go do środka.

Policjant zerknął na łóżko, gdzie rzeczywiście spokojnie spała dziewczyna Jiggera. Przeniósł wzrok na Schyler. Zaczerwieniła się po same uszy. Przyłapanie w towarzystwie Casha Boudreaux musiało ją krępować jak diabli. Przeszupując z nogi na nogę, zaczęła się nerwowo bawić guzikiem bluzki.

Miał ochotę rzucić okiem na jej dekolt z bliska, lecz Cash z pewnością nie byłby z tego zadowolony. Walker odstąpił od tego pomysłu.

- Nie, wszystko w porządku, Cash. Nie ma potrzeby. - Walker zbierał się do odejścia. - Tylko ... cóż, pan Howell stwierdził, że w sprawę może być zamieszany Jigger.

- Jigger? Czy zauważyłaś tam Jiggera, Schyler? zwrócił się do niej Boudreaux.

- Och, nie. - Półprzyciennie przyglądała dłonią zmierzwiłone włosy. - Nie widziałam go. Cash wzruszył ramionami.

- Jedyne, czego byliśmy świadkami, to efektowny zjazd Gayli.

- Co ona robiła sama w lesie?

- Skąd, do diabła, miałbym ... nie, poczekaj. W drodze powrotnej mamrotała coś o rozmowie z Bogiem. - Z Bogiem?

- Słuchaj, trudno było ją zrozumieć, nie wiem, o czym mruczała. W porządku?

- Eee ... tak.

- Czyli wszystko gra? Nooo ...

- Jeśli tak, to daj sobie spokój. Mamy coś lepszego do roboty. - Nachylił się do ucha policjanta. - Jeśli zaraz sobie stąd nie pójdziesz, będzie ze mną źle - szepnął.

Walker roześmiał się i szturchnął Casha w żebro.

- Znam ten ból, człowieku.

- Więc zrozum mnie i wynieś się stąd do diabła.

- Tak, lepiej, jeśli wszyscy zajmiemy się własnymi sprawami - oświadczył zastępca szeryfa głośniej, niż było to potrzebne. - Przykro mi, że wam przeszkodziłem. Mrugnął porozumiewawczo do Casha, - Panno Schyler! - Uchylił na pożegnanie kapelusza i odwrócił się

Dogoniła go przy schodach.

- Odprowadzę pana, panie Walker.

„T o się nazywa mieć klasę - pomyślał Walker. - Dama nawet z opuszczonymi majtkami pozostanie damą”.

Schodząc po schodach uznał, że spisał się całkiem nieźle.

Po służbie opowie żonie podniecającą historyjkę. Zapewne zarzuci go pytaniami, jak to czy tamto wyglądało. Cholera! Zapomniał zwrócić uwagę na kolor sypialni Schyler Crandall. Coś wymyśli, żona i tak nigdy tego nie sprawdzi.

Gdy przechodzili obok salonu, przeżyła chwilę napięcia.

- I? - zapytał Ken, wkraczając do przedpokoju.

- Cash i ja wyjaśniliśmy wszystko panu Walkerowi. Zgodził się, że Gayla powinna tutaj zostać - odpowiedziała gładko Schyler. Odprowadziła policjanta do drzwi. - Bardzo dziękuję, że się pan pofatygował.

Zamknęła za nim drzwi, zanim się zorientowała, co się właściwie dzieje. Stała przed Howellami. Oboje wyglądali na gotowych, by ją rozszarpać. Zanim zdążyła zebrać myśli, jej uwagę przyciągnęło poruszenie u szczytu schodów. Cash schodził, wlokąc niedbale dłoń po poręczy.

Tricia i Ken spojrzeli na niego z nie ukrywaną wrogością. Obecność tego człowieka dodatkowo ich rozjątrzyła.

- Ta czarna dziwka nie będzie spała pod moim dachem - wyrzuciła z siebie Tricia.

- Nie masz wyboru - stwierdziła Schyler. - Gayla pozostanie u nas tak długo, jak to będzie konieczne. Wyjaśnię sytuację Cottonowi i jestem pewna, że w pełni zgodzi się z moją decyzją.

Teraz do ataku przystąpił Ken.

- A co z nim? Jego też prosiłaś, by spędził u nas noc?

- Dzięki, ale mam inne plany - odpowiedział grzecznie Cash z cynicznym uśmiechem na ustach.

Tricia, mijając go w drodze na górę, posłała mu pełne pogardy spojrzenie.

- Przepraszam - rzekła z nutką kokieterii. Podążający za nią Ken nie bawił się w takie subtelności.

- Będiesz tego żałował, Boudreaux.

- Wątpię.

Parę sekund później trzaśnięcie drzwi ich sypialni zatrzęsło całym domem. Schyler odetchnęła z ulgą.

- Nie wygląda na to, by ktoś w tym domu pragnął mojego towarzystwa.

- Czy to ma znaczenie?

- Nie, jeśli będę miał coś w zamian.

Patrzyła na niego zakłopotana, na przemian splatając i rozplatając palce. Potrafiła przeciwstawić się Kenowi i siostrze, ale pod uważnym spojrzeniem Casha traciła odwagę.

Przypomniała sobie nie dawną rozmowę z szeryfem. Jej usta wciąż były nabrzmiałe po pocałunkach Casha. Wiedziała, że Ken i Tricia dostrzegli ten piękny kolor jej warg i domyślili się przyczyny.

- Zobowiązanie względem ciebie nie sprawia mi przyjemności - wyznała szczerze.

- Co mi dasz?

- Czego chcesz?

- Cholernie dobrze wiesz, czego chcę - odburknął.

- Ale w tej chwili jeden drink skasuje wszystkie długi.

- Tędy.

Poprowadziła go do salonu.

Zatrzymał się w progu jadalni, której ściany pokrywał żółty jedwab. Schyler przyjrzała się Cashowi ciekawie.

- Cash, idziesz?

- Oui - przytaknął stłumionym głosem. - Za ciebie, maman - wyszeptał.

Schyler podeszła do kredensu i wyjęła karafkę z bourbonem. Nalała do szklanki porządną porcję.

- Z lodem? Wodą?

Nie słysząc odpowiedzi, odwróciła się i przyłapała go na tym, że powoli przyglądał się każdemu szczegółowi pomieszczenia.

- Cash? - powtórzyła. Wzdrygnął się. - Z czym chcesz pić?

- Czystego. - Podeszedł do niej i przyjął szklanke.

Wychylił duszkiem całą zawartość i podstawił naczynie, by nalała jeszcze. Kolejną porcję wypił w podobny sposób.

- T o był już drugi drink - zauważyła.

- W takim razie sędzę, że teraz ja będę twoim dłużnikiem.

Gdy odstawił szklanke, zamknęła karafkę.

- Ty nie pijesz?

- Wodę z lodem. - Dwie kostki lodu wyjęte ze srebrnego kubelka zagrzechotały głośno w jej szklance. Zalała je wodą i wypila. - Szampan zawsze przyprawia mnie o pragnienie.

- 1... powiedzmy: oszalamia.

- Powinam była cię uprzedzić.

- Nic nie szkodzi.

Oderwał wzrok od dziewczyny.

- Nigdy dotąd nie byłeś w Belle Terre, prawda?

- Tak - odrzekł. - Interesujący wystrój.

- Większość mebli i innych przedmiotów w tym pokoju to kopie tych, które były tu przed wojną. Armia Unii nie okazała temu domowi zbyt wiele wyrozumiałości. Opuszczając dom, żołnierze spalili go. Jedynie dywan i zegar na kominku są autentyczne. Któryś z Laurentów zdołał je chyłkiem wynieść.

- W jaki sposób udało im się wszystko odbudować?

- Zawsze, oczywiście, pozostawało drzewo. Poza tym przywiezione z Francji pieniądze zainwestowali w kilka plantacji. Trzcina cukrowa, ryż. Większość rodziny nigdy ich nawet nie widziała, gdyż znajdowały się daleko stąd.

- Kto to?

Spojrzała na portret wiszący nad marmurowym kominkiem.

- Prababka Macy.

Cash oglądał szcuple bładą kobietę na obrazie.

- Niezła.

Odwrócił się do Schyler, pozwalając oczom błądzić po jej włosach, twarzy, sylwetce. W przeciwieństwie do Walkera nie unikał wzrokiem jej dekoltu. Dotknął nawet gładkiej skóry palcami, zamieniając ten gest w delikatną pieśczętę.

- Czy twój portret także zawisnie tutaj któregoś dnia? - zapytał. - Czy kiedyś para twoich potomków stanie na tym miejscu i będzie się zastanawiać, jaka byłaś?

- Wątpię, czy kiedykolwiek ktoś namaluje mój portret, a gdyby do tego doszło, nie byłoby to odpowiednie miejsce dla niego.

- Dlaczego?

- Nie należę do Laurentów. Nawet w połowie. Żyję w Belle Terre dzięki przypadkowi.

Przyglądał się jej uważnie przez kilka sekund i nagle cofnął rękę.

- Muszę iść. Za parę dni Gayla dojdzie do siebie. Zostawiłem trochę maści na stoliku przy łóżku. Nakładaj ją dwa razy dziennie na jej skaleczenia.

- Czy sądzisz, że Jigger będzie jej tutaj szukał?

- T o możliwe. Bądź ostrożna.

Dotarł do drzwi, zanim zaskoczona jego pośpiechem Schyl er zorientowała się, że odchodzi. Poczula się rozczarowana.

- Czy będziesz rano na placu?

Pokręcił przecząco głową.

- Pojadę prosto na poręby i zacznę oznaczać drzewa. Mamy przecież spore zamówienie do zrealizowania, pamiętasz?

- Przez moment zapomniałam o tym. Tyle się wydarzyło od naszego spotkania z Joem. - Podążyła za Cashem na werandę, chcąc jakoś odsunąć moment pożegnania. Cash? - Odwrócił się. - Dlaczego powiedziałaś taką bzdurę Walkerowi?

Niezupełnie przecież skłamałam, prawda? - Tak, ale nie pochwalam tego.

- Trudno. Nie miałem czasu, by się najpierw skonsultować z tobą.

- Jutro całe miasto będzie trąbić o tym, co robiliśmy w lesie.

- To cena opieki nad Gaylą. Żałujesz?

- Nie. Oczywiście, że nie. Tylko ...

- Tylko?

- Żałuję jedynie, że nie wymyśliłaś innej przekonującej historii.

- Musiałem skupić jego myśli na nas i odciągnąć od niej.

- Cóż, z pewnością udało ci się.

- Oui.

Zwilżyła wargi, na których wciąż czuła smak jego pocałunków.

- Czy kłamstwa zawsze przychodzą ci tak łatwo?
- Zawsze - rzucił przez ramię, odchodząc w ciemność.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zapewne sądzisz, że będę śledzić każdy jej krok?

- Przeciwnie, Tricio. Oczekuję, że będziesz zachowywać się tak, jakby Gayli wcale tu nie było.

- Taki właśnie mam zamiar.

Do sprzeczki doszło na parterze przy schodach. Schyler zdążyła już przeprowadzić rozmowę telefoniczną z Cottonem, zakończoną obietnicą odwiedzin po południu z pełnym sprawozdaniem ze spotkania z Endicottem i szykowała się właśnie do wyjścia do pracy.

- Gayla na śniadanie wypila tylko herbatę i znowu zasnęła - powiadomiła Tricię. - Spodziewam się, że prześpi większość dnia. Zostawiłam na stoliku w jej pokoju sok owocowy i kilka upieczonych wczoraj przez panią Graves bułek. Jeśli Gayla zgłodnieje przed moim powrotem, będzie mogła posilić się, nie wchodząc ci w drogę. Zostawiłam jej także notatkę, by zadzwoniła do biura, gdyby czegoś potrzebowała.

- Pani Graves odeszła rano.

- To dobrze. Jeden problem mam z głowy.

- Nie spodziewaj się, że zajmę się gospodarstwem. Nie kiwnę nawet palcem, choćby wszystko miało zgnić.

- Rozejrzę się za nową gospodynią.

- A co ja, według ciebie, powinnam robić do tego czasu?

- Możesz przygotować sobie coś do jedzenia sama albo chodzić głodna - odpowiedziała niecierpliwie Schyler.

Oczy Tricii zwięzły się.

- Nie próbuj rozstawiać mnie po kątach, jak robisz to ze wszystkimi, nie wyłączając mojego męża. To się musi skończyć, słyszysz mnie, Schyler?!

- Jestem pewna, że usłyszeli cię wszyscy w okolicy, Tricio. Bądź uprzejma nie krzyżeć na mnie.

- Mam ku temu wszelkie prawa. Sprowadziłaś do mojego domu białą nędzę i czarną dziwkę!

Schyler skoczyła ku siostrze, by wymierzyć jej policzek.

Zrobiłaby to, gdyby nie dzwonek telefonu, który rozległ się w holu. Podniosła słuchawkę.

- To do Kena.

Położyła słuchawkę na stół, zabrała torbę i odeszła, zanim uległa pragnieniu, by wytargać swą przyszywaną siostrę za włosy.

Ken odebrał telefon na górze.

- Halo?

- Cześć, Kenny.

Pot wystąpił mu na czoło.

Odczekał chwilę, by się upewnić, że odłożono słuchawkę w holu.

- Na co, do diabła, sobie pozwalasz, dzwoniąc tutaj?

Mówiłem, żebyś nigdy tego nie robił.

- Twoje słowa są gównem. Gdyby było inaczej, już dawno otrzymałbym swoje pieniądze, nieprawdaż? Cholernie mnie wkurza, gdy ludzie nie dotrzymują słowa.

- Prosiłem cię, byś dał mi więcej czasu. - Ken klapnął na łóżko i otarł pot z czoła.

- A ja zaufałem ci i dałem go. Co dostałem w zamian? Nic.

- Będziesz miał te pieniądze. Jutro.

- Ale ...

- Jutro.

Wierzyciel odłożył słuchawkę. Ken gapił się przez dłuższy czas pustym wzrokiem, zanim zrobił to samo. Siedział zgarbiony na brzegu łóżka, jakby nagle opuściły go wszystkie siły. Gdy w końcu uniósł głowę, dostrzegł przyglądającą mu się ciekawie Tricię.

- Kto to był?

- Nikt. - Wstał i podszedł do szafy. Wybrał na chybił trafił krawat, który wyglądał w jego ręku jak pętla przygotowana dla skazańca.

- Nie próbuj mnie zbywać. - W jej głosie pobrzmiwało rozdrażnienie. - Nie spodobał mi się jego głos.

- A mnie nie podoba się twój. - Posłał jej spojrzenie pełne nienawiści. - Od samego rana mnie denerwujesz.

- Musimy porozmawiać.

- Rozmawialiśmy prawie do świtu.

- I nie podjęliśmy żadnych decyzji. Co zamierzasz z nią zrobić? - Wyciągnęła palec w kierunku sypialni Schyler, zajmowanej teraz przez Gaylę Frances.

- Niewiele mogę na to poradzić. Wezwaliśmy szeryfa; widziałas, jak się skończyła jego wizyta. Osobiście nie chcę mieć do czynienia z Jiggerem Flynnem. Jeśli masz trochę oleju w głowie, to podzielisz moje zdanie.

Zapaliła papierosa.

- Jeszcze tylko jego tu brakowało. Niedługo motłoch przejmie kontrolę nad Belle Terre. Jeżeli Schyler nie zmieni swego postępowania, przeobrazimy się w siedzibę Armii Zbawienia.

Ken roześmiał się z dowcipu.

- Dziwię się, że uważasz to wszystko za zabawne warknęła. Schodziła po schodach, depcząc mu' po piętach. - Nie widzę nic śmiesznego w tym, że córka naszej dawnej służącej rezyduje tutaj niczym królowa, ani w tym, że ta szumowina - z lubością wymówiła to słowo - z którą sypia moja siostra, stąpa po naszym domu dumnie, jakby stanowił on jego własność.

- Boudreaux nie jest jej kochankiem.

Tricia roześmiała się głośno.

- Kiedy ty dorosniesz? Oczywiście, że jest jej kochankiem. Nie widziałeś, w jaki sposób patrzyła na niego, gdy schodził po schodach? Jesteś ślepy czy po prostu przymykasz oczy na to, czego nie chcesz zobaczyć?

Mając w pamięci niedawną rozmowę telefoniczną, Ken nie miał zamiaru pakować się w kolejne kłopoty.

- Słuchaj, nie podoba mi się, że Schyler zdominowała dom i firmę, ale nie mam pomysłu, jak ją powstrzymać.

Tricia, odrzucając do tyłu włosy, spojrzała na niego wyzywająco.

- No cóż, lepiej, żebyś znalazł sposób, kochanie.

- Bo co?

- Bo sama się tym zajmę. - Posłała mu pogardliwy uśmiech. - A jestem o wiele mniej łagodna niż ty.

- Nie przeszkadzam?

Schyler, przyciskając słuchawkę telefonu brodą do ramienia, machnęła do Kena na znak, żeby wszedł. Zamknął za sobą drzwi. Jeśli zauważył, że są świeżo pomalowane, nie uczynił na ten temat żadnej uwagi.

- To wspaniale, pani Dunne - powiedziała Schyler do słuchawki. - Opatrzność nam panią zsyła. Oczekujemy pani w Belle Terre... Dzisiaj po południu? Bardzo dobrze. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i głośno krzyknęła z radości:

- Nie mogę w to uwierzyć! Pani Dunne pracowała w stołówce szkoły prywatnej. Ma znakomite referencje. Odeszła stamtąd, żeby zaopiekować się chorym mężem. Po jego śmierci skontaktowała się z agencją w Nowym Orleanie, zatrudniającą pomoce domowe. To oni mi ją zaproponowali. Czyż nie wspomniały zbieg okoliczności? Nie będzie musiała daleko się przemieszczać, a mnie ominie zawracanie sobie głowy przesłuchiwaniami kandydatek. Opieka nad tatą, po jego powrocie do domu, także nie będzie dla niej problemem.

Zrobiła przerwę na złapanie oddechu i uśmiechnęła się szeroko.

- No i co o tym myślisz?

- Mam nadzieję, że serwowane przez nią posiłki me będą przypominać zarcia ze studenckiej stołówki.

- Na pewno będą smakować lepiej niż dania pani Graves - stwierdziła. - Gdzie Tricia znalazła taką ofertę?

- Nie mam pojęcia. To jej sprawa.

- Dlaczego nie sprzeciwiłaś się, kiedy wyrzucała Vedę?

- Dla mnie Veda była jedynie gospodynią - bronił się. - Nie dorastałem na jej kolanach jak wy.

- Ja uważałam ją za członka rodziny. - Posmutniała.

- Zaskoczyło mnie, że Tricia nie odczuwa tego podobnie. - Odrzuciła od siebie te smutne wspomnienia. - Co cię sprowadza na plac? Skoro już jesteś, oto twoja kopia kontraktu z Endicottem.

- Nawet nie wspomniałaś o tym wczoraj w nocy.

- Nie było okazji.

- Czy Boudreaux pojechał z tobą?

- Tak - przyznała. - Jego asysta okazała się konieczna.

- Hmm, czyli spędziłaś z nim cały dzień.

- To długa podróż.

Miał ochotę zadać jej więcej pytań, ale tracił nad sobą panowanie.

- Jak minęła?

- Z pewnością cię usatysfakcjonuje. - Unikając odpowiedzi na kłopotliwe pytanie, wręczyła mu dokument. Oczekiwała słów krytyki, gdy doszedł do klauzuli o sposobie

wynagrodzenia. Ken jednak przejrzał pobieżnie umowę i złożony ją, schował do kieszeni.

- Nie interesuje cię?

- Przeczytam później - odpowiedział. - Na pewno wszystko jest w porządku. - Unikał jej wzroku. W ogóle zachowywał się niespokojnie, jak dziecko, które coś zbroiło. - Właściwie przyszedłem tu w sprawie osobistej.

Schyler z westchnieniem wstała z fotela.

- Jeżeli dotyczy Gayli, to wszystko, co miałam do powiedzenia, powiedziałam wczoraj.

- Nie o to chodzi.

Usiadła na rogu biurka, prostując nogi.

- Więc o co?

- O pieniądze. - Spojrzył na nią z determinacją. - Potrzebuję trochę pieniędzy.

- Czyż nie potrzebujemy ich wszyscy? - zapytała spokojnie.

Uśmiechnął się niepewnie.

- Ja muszę je mieć natychmiast.

Mówił poważnie. Zdając sobie sprawę, że sytuacja nie jest zabawna, Schyler dostosowała się do jego nastroju.

- Ile, Ken?

Wyprostował się i kaszlnął.

- Dziesięć tysięcy.

- Dziesięć tysięcy dolarów? - Nawet nie próbowała ukryć zdumienia.

- W zaokrągleniu. - Znowu spróbował się uśmiechnąć, lecz z podobnym jak poprzednio rezultatem. - To poważna sprawa.

- Chodzi o twoje zdrowie?

Roześmiał się głośno, jakby powiedziała świetny dowcip.

- W pewnym sensie.

- Ken? - Wstała i położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie jesteś chory, prawda? Czy coś ...

- Nie, nie o to chodzi, ale to dla mnie ważne, Schyler. Inaczej nie przyczołgałbym się tutaj jak przekłety żebrak. Wierz mi, lepiej, żebyś nie wiedziała, po co mi te pieniądze. Zwrócę ci całą sumę. Obiecuję.

- Nie chcę od ciebie wyjaśnień ani gwarancji. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, to znaczy, że ich potrzebujesz. Jeśli kierujesz się osobistymi pobudkami, uszanuję twoją tajemnicę•

- Więc pożyczysz mi?

- Żałuję, ale nie mogę.

- Nie możesz?

- Nie mam pieniędzy.

- Nie masz?

Drażnił ją ciągłym powtarzaniem, ale próbowała nie okazywać irytacji.

- Suma, jaką dysponuję, zaledwie starczy mi na utrzymanie. Czekam dopiero na otrzymanie następnego czeku.

Ken półprzymtomnie przeczesał palcami włosy.

- Jakiego czeku?

- Spadek po mamie złożyłam w depozyt. Adwokat w Londynie wypłaca mi określoną sumę na początku każdego miesiąca. Są to odsetki od całości. Nigdy nie tknęłam podstawowego kapitału i nie zamierzam tego robić, chyba że stanie się to absolutnie konieczne.

- To znaczy, że nie możesz wydawać swoich pieniędzy wtedy, gdy masz na to ochotę?

- Mogłabym, ale pociągnęłoby to za sobą konieczność poniesienia wysokich sankcji finansowych, gdybym opróżniła konto. Oprócz tego, jeśli „Crandall Logging” nie wygrzebie się z długu, zmuszona będę użyć części spadku jako gwarancji kolejnej pożyczki.

- A Mark ci nie płaci? Przecież pracujesz dla niego.

- Tak, ale nalegałam, aby moje wynagrodzenie stanowiła prowizja z zysku. Jak wiesz, wyjechałam z Londynu przeszło miesiąc temu. - Ken przemierzał pokój nerwowo jak człowiek, któremu grunt usuwa - się spod nóg. - Jestem pewna, że mógłbyś otrzymać pożyczkę z banku.

- Nie dysponuję żadnym zabezpieczeniem. Nie mogę ruszyć swojego spadku przed ukończeniem czterdziestu lat. Nie mam ani grosza na bieżące wydatki.

- A Tricia?

Ken uspokoił się nieco.

- Już dawno wydała pieniądze pozostawione przez matkę. Teraz podlizuje się Cottonowi, a ten płaci mi marnie.

- Na pewno dostaniesz zasłużoną podwyżkę.

- To mi nie pomoże, Schyler! - krzyknął. Zaraz jednak opanował się, widząc, że wprawił ją w osłupienie. Zbliżył się do dziewczyny i objął ją mocno. - Przepraszam, nie chciałem podnosić na ciebie głosu.

- Przerażasz mnie, Ken. Nie wiedziałam, że może ci tak zależeć na pieniądzach.

W głowie Kena rozległy się ostrzegawcze dzwonki. Nie mógł sobie pozwolić na ujawnienie przyczyny swojego zachowania. Starał się odprężyć i zmusił się do uśmiechu.

- Nie zależy mi na nich tak bardzo, żebyś musiała się martwić. - Wygładził zmarszczkę na jej czole. - Poradzę sobie jakoś. - Przesunął palce na policzek i usta Schyler. - Taka piękna i silna. - Odetchnął głęboko. - Schyl er, czy zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś podniecająca? Wraz z twoim pojawieniem się powietrze staje się jakby gęstsze.

Schyl er spróbowała odsunąć go.

- Ken, przestań. Tyle razy cię prosiłam, byś nie zachowywał się wobec mnie w ten sposób.

- Ciągle cię pragnę• Wiem, że ty także wciąż o mnie myślisz.

Schyler zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Stajesz się męczący, ciągle wracając do tego wyczerpanego tematu. Powiedzieliśmy sobie już wszystko. Mówię po raz ostatni - daj mi wreszcie spokój!

Ken wydawał się nie słuchać jej, był bardziej zdesperowany niż zwykle. Objął ją jeszcze mocniej. Odepchnęła go, lecz nie dawał za wygraną. Uwięził ją w swych ramionach.

- Schyler, nie odtrącaj mnie. Pozwól, bym cię kochał. - Oddychał coraz szybciej. - Do diabła, czy nie byłoby wspaniale zrobić to tutaj? Właśnie teraz. - Przycisnął ją do krawędzi biurka.

- Chyba postradałeś zmysły - odpowiedziała, chwytając oddech.

- Tak, szaleję za tobą•

- Ale to nie ma sensu.

- Ależ ma, skoro tak bardzo cię kocham. To, co było między nami, wciąż trwa. Przekonasz się.

Schyler przestała się szarpać.

Nie! - odpowiedziała zdecydowanie.

- Dlaczego? Jesteśmy tutaj sami.

- Niezupełnie. - Odskoczyli od siebie na dźwięk czyjegoś głosu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Cash Boudreaux opierał się niedbale o futrynę drzwi.

- Przykro mi, że przerywam tę czułą scenę, ale mam coś do powiedzenia pannie Schyler.

Schyler usiłowała zbagatelizować całe wydarzenie.

- Wszystko w porządku, Cash. Ken właśnie wychodził.

Kenowi opadła szczeka.

- Odsyłasz mnie, żeby porozmawiać z nim?

Nie chciała, by Cash myślał, że jej romans z Kenem wciąż trwa.

- Cash i ja musimy omówić parę spraw związanych z interesami. Rozmowa z tobą może poczekać.

Ken nie krył zdenerwowania.

- Dobra, niech będzie - powiedział. Wychodząc, potrącił stojącego w progu mężczyznę.

Cash odczekał, aż opadnie kurz wzbity przez samochód Kena.

- Czy on zarabia teraz utrzymywaniem twoich hormonów w równowadze?

- To sprawa między nim a mną.

- Oczywiście.

- I nie życzę sobie, by pan się wtrącał, panie Boudreaux.

Atmosfera uległa odczuwalnemu zageszczeniu. W oczach Casha widoczna była ostra nagana, jednak pod naciskiem spojrzenia Schyler opuścił wzrok. Wiedziała, że nie może dać się sprowokować, by tłumaczyć się przed Cashem.

- Nie rozumiem cię.

- Nie zależy mi specjalnie na twoim zrozumieniu, ale do czego zmierzasz?

- Masz taki dom jak Belle Terre, ale uciekasz i żyjesz na drugim końcu świata.

- Mam swoje powody.

- Na to, by wyjechać stąd, zgoda. Ale dlaczego siedzisz tu już tak długo? - Wsunął dłonie w tylne kieszenie dżinsów, kręcąc wyzywająco głową. - Myślę, że facet, z którym tam żyjesz, ucieszyłby się•

- Tak, Mark rzeczywiście byłby szczęśliwy, mając mnie przy sobie.

Cash wydał wargi.

- Cóż to za gra, he? Podburzasz nawzajem Howella i tamtego angielskiego gnojka, a przy

okazji przyjmujesz chętnie każdego, kto przyprawi cię o dreszcz podniecenia.

- Nie podburzam nikogo przeciwko komukolwiek odparła Schyler, kipiąc ze złości. - Ken jest mężem mojej siostry. Co do Marka - on nie jest Anglikiem. A poza wszystkim: taki typ jak ty nigdy nie zrozumiałby uczucia, jakie mnie z nim łączy. To coś więcej niż żądza i pot.

- A ja sądziłem, że to wystarcza.

- Może tobie, ale nie mnie. Nie Markowi.

Powoli skinął głową, lecz wyraz jego oczu nie zmieniał się•

- Nie daje mi spokoju coś jeszcze. Przyjmujesz u siebie kobietę taką jak Gayla, na którą najszacowniejsze panie nie splunęłyby, gdyby nawet płonęła żywcem, a jednocześnie nie gryzie cię sumienie, gdy pieprzysz się ze swoim szwagrem.

Schyler miała ochotę rzucić się na niego i rozszarpać gołymi rękami, ale zdawała sobie sprawę, że chciał ją właśnie do tego sprowokować. Nie zamierzała do tego dopuścić. Gdyby nie potrzebowała go w „Crandall Logging”, krwawo by się z nim rozprawiła. Żałowała, że nie może tego zrobić, a w zamian za to musi się godzić na jego impertynencje. Kiedyś jednak to się skończy.

- Trochę się zagalopowałeś, panie Boudreaux. - Starła się, by jej głos brzmiał protekcyjnie. - Jeżeli przyszedłeś do mnie ze sprawą dotyczącą interesów, to proszę uprzejmie wyłożyć ją. Jeżeli nie, to pora się rozejść, bo oboje mamy sporo roboty.

Cash przymknął nieznacznie powieki, uśmiechając się sardonicznie. Jednak zanim zadał następne pytanie, wyjął rękę z kieszeni.

- Co z Gaylą?

- Spała całą noc. Rano wypila trochę herbaty, wykapała się i znowu się położyła.

- Czy jeszcze krwawiła?

- Nie.

- T o dobrze. Zawiadom mnie, gdyby zaszła jakaś zmiana.

- Zrobię to na pewno.

W trakcie wymiany zdań Cash przybliżył się do me] znacznie. Pachniał wczesnowiosennym lasem. Zdała sobie sprawę, że marzy o dotyku jego dłoni. Zapragnęła, żeby wziął ją teraz w ramiona, i zaraz zezłościła się na samą siebie.

- Czy to wszystko?

- Nie.

- Więc coś jeszcze? - Serce biło jej coraz szybciej, pomyślała, że mogłby ją teraz pocałować.

- Gdy przyszedłem dziś rano do biura, znalazłem to przypięte do drzwi. Spóźniłaś się, więc zatrzymałem to, myśląc, że powinnaś zobaczyć.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął zdjęcie. Podał jej, by mogła się lepiej przyjrzeć. Zaniepokojona, przyjęła fotografię i obejrzała spokojnie, zaraz jednak spojrzała na niego pytająco. ..

- Nie znajduję w niej żadnego związku ze mną.

- To suka rasy pitbull i jej potomstwo. Cztery szczeniaki, jeśli mnie wzrok nie myli.

Nagle zrozumiała, co chce powiedzieć Cash.

- To Jigger - wymówiła powoli.

- Zgadza się. Daje ci do zrozumienia, że nie skończył z hazardem, mimo przejściowych kłopotów.

- Dzwoniłam do biura naszego kongresmana kilkanaście razy, ale nie udało mi się porozmawiać z nim osobiście. Jego sekretarka nie zainteresowała się moim problemem i zasugerowała, bym zwróciła się do władz lokalnych.

- I co?

- Niczego nie zyskałam. Jigger pewnie śmieje się ze mnie do rozpuku.

- Ostrzegalem cię•

Schyler pstryknęła palcami w fotografię i położyła ją na biurku.

- On ciągle żywi do mnie urazę•

- Mówiłem ci, że tak będzie.

- Czy mógłbyś w swej dobroci przestać ucierać mi nosa? Już wiem, że jesteś wszechwiedzący. - Przerwała mu. - Jeżeli chcesz coś powiedzieć, lepiej poradź, co teraz powinnam zrobić.

- Dobrze. - Nachylił się ku niej tak, że znowu musiała się cofnąć. - Pragniesz mojej rady? Wynoś się stąd do diabła i wracaj do Anglii.

- Co?!

- Wszystko stanęło tu na głowie, odkąd wróciłaś.

- To nie moja wina.

- Naprawdę?

- Tak.

- Wymień choć jedną sprawę, w którą nie wetknęłaś swojego wścibskiego nosa.

- Co oni wszyscy by zrobili, gdyby nie pracowali dla mnie?

Cash wyprostował się nagle, ponieważ to, co powiedziała Schyler, było prawdą. Odwrócił się do ściany i uderzył w nią pięścią. Pokręcił głową i ponownie zwrócił się ku dziewczynie.

- Dlaczego nie wyjechałaś wcześniej, kiedy wszystko układało się jeszcze jako tako ...

- Ponieważ wcale nie było „jako tako”.

- Pies Jiggera zaatakował cię zupełnie przypadkowo. Nie mówiłbyś tak, gdyby wpadł na ciebie albo twoje dziecko.

- Nie mam dzieci.

- To już nie jest moja wina.

Zapowiadała się kolejna kłótnia. Cash za wszelką cenę dążył do niej.

- Cotton mógł znaleźć inny sposób, aby oddać pożyczone pieniądze.

- Jak? Przecież nie miał gotówki.

- To spryciarz. Ma przyjaciół z forsa, takich kumpli od kieliszka. Sypnęliby za niego szmałem w każdej chwili. Ale nie, ty musiałaś się wtrącić! - krzyknął, uderzając dłonią w blat biurka. - Aby sprawdzić swoje siły.

- T o wcale nie jest tak, jak mówisz.

- Czemu więc to robisz?

- To moja sprawa.

- Dlaczego? Dlaczego, do jasnej cholery, nie zostawisz nas w spokoju?

- Musiałam to zrobić.

- Musiałaś i koniec. I masz w nosie wszystkich dookoła, którym cholernie poplątałaś życie! - Ruszył do drzwi. Schyler zagroziła mu drogę.

- Cash! Nie walcz ze mną. Pomóż mi. Jak daleko Jigger może się posunąć?

- Widziałaś Gaylę?

- Czy byłby na tyle bezwzględny, by uniemożliwić dostarczenie Endicottowi transportów drewna, gdyby miał ku temu sposobność?

- Prawdopodobnie.

Kładąc rękę na ramieniu Casha, spojrzała mu głęboko w oczy. Bała się teraz, cała złość na niego gdzieś się ulotniła.

- Co ja mam zrobić?

W jego oczach nie znalazła żadnych oznak zrozumienia.

Nie wydawał się zainteresowany jej problemami, choć ich rozwiązanie miało wielki wpływ także na jego sprawy.

- Nie brak ci sprytu. - Bezlitośnie strząsnął jej rękę. - Jak zwykle spadniesz na cztery łapy.

Długi paznokieć Rhody błędził po brzuchu Casha.

- Tak dawno już tego nie robiliśmy - westchnęła, delikatnie całując wspaniały biceps Casha. - Cieszę się, że zadzwoniłeś.

Cash leżał, opierając głowę na zgiętym ramieniu, ze wzrokiem utkwionym w sufit, i obserwując, jak dym z jego papierosa dociera do wilgotnych plam na suficie.

Zastanawiał się, czy Rhoda wie, że pomimo jej niezwykłego talentu i wyrafinowanych zabiegów on wciąż nie jest wystarczająco podniecony. Będzie wściekła, odkrywszy, że jej wysiłki nie wywołały oczekiwanych efektów.

Cash pożałował innej kobiety. Rhoda nie była w stanie go zaspokoić. Wiedział o tym, zanim do niej zadzwonił, ale miał nadzieję, że przynajmniej na chwilę zapomni o trawiącej go namiętności.

Jak dotąd nic nie wskazywało na to, że tak się stanie.

Czuł się podle i narastała w nim wściekłość. Odepchnął Rhodę i wstał z łóżka.

- Dokąd idziesz?

- Goręcej tu niż w piekle.

- Nieprawda. Wentylator pracuje na maksymalnych obrotach. Rzekłabym raczej, że jest za zimno.

- No, dobra, w takim razie jest za zimno. - Cash przełożył popielniczkę na kredens i zgasił w niej papierosa. Gdyby równie łatwo mógł ugasić ogień trawiący jego wnętrze ...

- Znowu jesteś w fatalnym nastroju.

- Wydarzenia ostatnich dni zupełnie mnie wykończyły.

„No, może niezupełnie” - pomyślał. Wczoraj o tej porze patrzył, jak Schyler z każdym wypitym kieliszkiem szampana staje się łagodniejsza i coraz bardziej zmysłowa. Później przyglądał się jej w samochodzie, gdy swobodnie rozpierała się w fotelu, a wiatr rozwiewał jej włosy. Śpiąc z lekko rozchylonymi ustami, była zupełnie bezbronna i taka pociągająca.

- Cash?

- Co? Do cholery, czego ty znowu chcesz?

- Sądziłam, że przyszedłeś tu, aby myśleć o mnie - powiedziała Rhoda.

Miał już na ustach ostrą odpowiedź, ale ugryzł się w język. Co się z nim dzieje? W łóżku czeka na niego gorąca dziewczyna. Jest naga, nieprzyzwoicie naga, a on zastanawia się jak nieśmiały uczeń przed pierwszą nocą z kobietą.

- Masz rację, Rhodo. Rzeczywiście przyszedłem, aby myśleć wyłącznie o tobie. Zrób coś, aby tak właśnie się stało.

Przygniótł ją swym ciałem i wpił się gwałtownie w jej usta.

- Cash, no, no! - Gwałtownie chwyciła powietrze.

- Uspokój się, kochanie. Nie musimy się tak spieszyć.

- Musimy - wymamrotał, dotykając ustami jej szyi. - Naprawdę musimy. - Udało mu się wreszcie zapanować nad własnym ciałem. Chciał załatwić to szybko, zanim przypomni sobie, że Rhoda nie jest tą, o której marzy.

- Poczekaj, chcę ci coś pokazać. - Zignorowała jego niecierpliwość i uśmiechnęła się obiecująco. - Spójrz na to. - Sięgnęła po leżącą na toalecie torebkę.

Cash usiadł, mając dość zarówno jej, jak i siebie. Miał dość wszystkiego. Beznamiętnie spojrzął na podany mu plik fotografii.

- Zdjęcia.

Spojrzawszy na pierwsze z nich, okazał nagle spore zainteresowanie. Dokładnie przyglądał się kolejnym fotkom. Nie unosząc głowy, spojrzął na Rhodę. Na jej twarzy pojawił się rozpustny uśmiech. Powrócił do fotografii i obejrzał je po raz drugi.

- Masz na tych zdjęciach wspaniały, szeroki... uśmiech - stwierdził zde gustowany, lecz Rhoda nie zauważyła wyrazu niesmaku na jego twarzy.

- Zgadnij, kto je robił.

- Nie lubię zgadywanek.

- Dale - odpowiedziała chichocząc.

- Lubi robić zdjęcia nagim kobietom?

Jego namiętność do Rhody nie tylko ostygła, ale wręcz zamarzała. Uderzał nerwowo kciukiem w pornograficzne zdjęcia, wspominając przejmującą opowieść Gayli o facecie, który najbardziej podniecał się, robiąc zdjęcia rozebranym paniąkom.

Zaczęła ogarniać go wściekłość, ale Rhoda o tym nie wiedziała. Położyła się, przybierając

pozę, jaką widział wcześniej na jednym ze zdjęć.

- Które ci się najbardziej podobało?
- Nie zastanawiałem się nad tym.
- Co się stało? Zazdrosny?
- Niespecjalnie mnie obchodzą twoje zdjęcia.

Rhoda zaniepokoiła się.

- Myślałam, że po obejrzeniu ich będziesz podniecony.

- Ach, jestem, jestem. - Pochylił się nad nią i chwycił ją za rękę. - Połóż jedną tutaj. - Ułożył jej dłoń na piersi. - A drugą tutaj, tak jak na zdjęciu. - Drugą dłoń położył między szeroko rozchylonymi udami. - Teraz nawet za mną nie będziesz tęsknić. Baw się dobrze. - Szybko zapiał dzinsy i zdążył założyć koszulę, zanim Rhoda zorientowała się, że odchodzi.

- Nie możesz mi znowu tego zrobić, ty draniu.

Odpowiedziało jej trzaśnięcie drzwi. Rhoda zerwała się, otworzyła je szeroko, nie bacząc na to, że jest zupełnie naga i dokładnie widoczna nawet z autostrady, przy której znajdował się hotel. Krzyknęła głośno, aż usłyszano ją w kilku sąsiednich pokojach:

- Boudreaux, ty sukinsynu! Zapłacisz mi za to!

Schyler dostała zamówienie od Endicotta.

Dale Gilbreath odetchnął głęboko.

- Jak duże?
- Najpierw muszę wiedzieć, czy nasza umowa jest wciąż aktualna.
- Oczywiście - odparł bankier. - Ja chcę tylko domu. Reszta posiadłości należy do ciebie.

Możesz z nią zrobić, co ci się podoba.

- Bank przejmie Belle Terre?
- To tak jakby należał do mnie - wyjaśnił Dale.
- Jak to?
- Przed oficjalną sprzedażą dom będzie wystawiony na prywatną licytację.
- A ty będziesz licytował i kupisz posiadłość.
- Dokładnie tak - oznajmił Dale z przebiegłym uśmiechem.
- Okaze się, że naj wyższa oferta została zgłoszona przez ciebie?

Dale ponownie przytaknął.

- A jeśli ktoś będzie chciał sprawdzić transakcję?

- Zatrąszczę się o to.

- Mimo wszystko zmuszony będziesz do wyłożenia sporej kwoty. Czy dysponujesz taką sumą?

- Zdobycie Belle Terre jest tylko jednym z moich posunięć. Zawsze zajmuję się kilkoma sprawami.

- Jest pan bardzo operatywny, panie Gilbreath.

- To prawda. - Dale spróbował ocenić w myślach swoje zalety. Jego motywacja była całkowicie jasna. Pragnął Belle Terre, ponieważ wraz z nią przychodziły siła i poważanie. Ale co powodowało innymi? Czy ich motywacje były równie przejrzyste jak jego? Może wyjaśnienia należy szukać w przeszłości? W gruncie rzeczy nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Musi się skoncentrować na własnym działaniu. Musi też dbać o swego obecnego rozmówcę, który ma wpływ na upadek Crandalla i na Belle Terre. Jaką wartość przedstawia kontrakt z Endicottem? - zapytał.

- Wystarczającą, by spłacić pożyczkę. Właściwie większą.

- Cholera!

- Ale istnieje pewna nadzieja. „Crandall Logging” otrzyma zapłatę dopiero po dostarczeniu całości zamówienia.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Po prostu wiem.

Dale przyjrzał się twarzy swojego rozmówcy i uznał, że jego informacja jest wielce prawdopodobna. Tak, to była prawda. Oto miał kolejny atut. Wypuścił ze świstem powietrze.

- Pozostało więc jedynie zadbać, by ostatnia partia towaru nie dotarła do miejsca przeznaczenia.

- Tak. Codziennie będą odchodzić transporty kolejowe, ale jak powiedziałeś, najważniejszą sprawą jest zatrzymanie ostatniej dostawy.

- Jaki jest przewidywany termin?

- Zamówienie jest ogromne, co zmusi firmę do pracy w zwiększonym wymiarze godzin bez względu na pogodę. Jeśli zdąży, to na styk.

- Czy mogę liczyć na twoją pomoc?

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne.

Gilbreath uśmiechnął się, czując smak zwycięstwa, które bez wątplenia nadejdzie za kilka

tygodni.

- Porozmawiam z Jiggerem. Gdy wspomniałem mu o naszym małym projekcie, odniósł się do niego z aprobatą.

- Powinniście obaj wiedzieć jeszcze o jednym. W Belle Terre zadomowiła się obecnie Gayla Frances, która w tej chwili leży w łóżku Schyler.

- Flynn oddałby wszystko za tę informację.

- Przekażesz mu ją.

- Co się stało tej dziewczynie?

- Dlaczego pytasz?

- Jestem ciekaw, to wszystko.

- Na pewno. Wyglądasz blade. Nie byłeś jej stałym klientem, prawda?

- Co z dziewczyną? - Tym razem Dale nie ukrywał rozdrażnienia.

- Jigger ją pobił i uciekła. Schyler przygarnęła ją pod swoje skrzydła. To już drugi powód, dla którego Jigger nie odmówi nam pomocy.

- A jeśli coś pójdzie nie tak i przyłapią go?

- Do nas nie dotrą.

- Przecież nie będzie siedział cicho. Oskarży nas o współudział.

- Powiemy, że kłamie. Nasze zeznanie przeciwko jego zeznaniu. Kto uwierzy Jiggerowi, nie mając innych dowodów naszej winy?

Gilbreath obdarzył współnika promiennym uśmiechem.

- Nie trać ze mną kontaktu.

- Wszystko pójdzie jak z płatka. Zanim Schyler się połapie, będzie po zabawie.

Jimmy Don Davison długo obracał w rękach kopertę, zanim zdecydował się ją otworzyć. Przed dotarciem do adresata została dokładnie sprawdzona przez strażników więziennych. Adres zwrotny brzmiał: Belle Terre, Heaven, Luizjana.

Kto z Belle Terre mógłby napisać do niego? Kto wiedział i przejmował się tym, że on znalazł się właśnie tutaj?

W końcu, usadowiwszy się na pryczy, oparty o ścianę, z piętami wbitymi w cienki materac; wyciągnął pojedynczy arkusz papieru. Przed rozpoczęciem lektury zerknął na podpis. Schyler Crandall. Z wrażenia osłupiał.

- Mówiłeś coś, Jimmy? - odezwał się kumpel z górnej pryczy.

- Nie do ciebie, Stu.

„Drogi Panie Davison” - głosił nagłówek. W samym liście nadawczyni uprzejmie przypominała mu, kim jest, choć przecież nikomu mieszkającemu w tamtej okolicy nie trzeba było mówić, kim jest Schyler Crandall. Następnie przeszła do przyczyny, dla której napisała ten list. Informowała go, że Gayla Frances mieszka od pewnego czasu w Belle Terre i jeśli chciałby skontaktować się z nią, może wysłać korespondencję pod tym adresem.

Przeczytał zagadkowy list kilka razy, by pojąć dokładnie jego sens. Na pierwszy rzut oka wyglądał on jak zawiadomienie o zmianie adresu, ale co panna Schyler chciała powiedzieć między wierszami? Że powinien skontaktować się ze swoją byłą dziewczyną? Widocznie stoczyła się tak nisko, że nawet Jigger Flynn nie mógł jej ścierpieć pod swoim dachem.

W myślach Jimmy Don obrzucał teraz swą czarnoskórą przyjaciółkę naj gorszymi epitetami. Dostało się też i owej białej kobiecie, która wtykała swój cholerny arystokratyczny nos w nie swoje sprawy. Zgniół ze złością elegancki papier listowy i cisnął go na podłogę.

- Hej, co było w liście?

- Zamknij się - warknął Jimmy do Stu.

Schyler Crandall wydawało się, że on ciągle interesuje się Gaylą. Przynajmniej będzie wiedział, gdzie jej szukać, gdy już znajdzie się na wolności. Nikt nie zdąży jej ostrzec, zemsta będzie szybka i ostateczna.

Jego ciemne oczy zwięzły się gniewnie, a pięści zaciskały się raz po raz. Zdrada Gayli ciągle przepełniała go bólem. Wciąż myślał i zadawał sobie pytanie: dlaczego tak się stało?

Tyle razy przecież rozmawiali o ukończeniu college'u, o małżeństwie i dzieciach. Ich dzieciach. Do diabła, nawet znali imiona dla pierwszej trójki czy czwórki. To on był jej pierwszym mężczyzną. Obojgu brakowało w tych sprawach doświadczenia, uczyli się wszystkiego razem.

Teraz wykorzystywała te doświadczenia, żeby się lepiej sprzedawać. Doprowadzało go to do furii. Zapewne kochała się z Jiggerem Flynnem z tą samą słodyczą i czułością. Myśląc o tym, mógłby z uśmiechem na twarzy zabić ich oboje.

Tak się zapamiętał w tworzeniu słodkich wizji okrutnej zemsty, że nie zauważył grupy więźniów zgromadzonych przed jego celą. O tej porze cele były otwarte i więźniowie mogli bez przeszkód spacerować. Jimmy dostrzegł ich dopiero wtedy, gdy zaczęli wchodzić do jego celi, próbując zmieścić się w tak małym pomieszczeniu.

Razz powitał go uśmiechem.

- Co słyhać, chłopcze?

- Nikt cię nie zapraszał, Razz.

Ta wizyta nie zapowiadała niczego dobrego. Razz i jego czterech pomocników przeciwko niemu i staremu Stu.

W tym zamkniętym świecie, jakim było więzienie, Stu odgrywał rolę nieszkodliwego głupka. Sędziowie pozwolili mu żyć, chociaż zabił glinę. Zasługiwał na krzesło, ale stary Stu nie narzekał na tę niesprawiedliwość. Nie miał rodziny, jego domem było więzienie. Nikomu nie przynosił pożytku, lecz szkody także nie. Wyznawał zasadę: niczego nie słyszeć, niczego nie widzieć, nic nie robić, i to dawało mu szansę przeżycia.

Razz nie przestawał się uśmiechać.

- Nie jesteś zbyt gościnnie, a przecież przyszliśmy, by urządzić przyjęcie z okazji twojego odejścia, prawda, chłopcy?

Czterech osiłków zgodnie przytaknęło swojemu szefowi. - Ale ja się nigdzie nie wybieram.

- Wychodzisz stąd, chłopcze. Już niedługo. To pewne. Nikt ci jeszcze o tym nie mówił? .

Wyznaczono mu już spotkanie z komisją do spraw zwolnień warunkowych, lecz nie miał zamiaru wspominać o tym Razzowi.

- Oficjalnie niczego nie słyszałem.

- Nie? - Razz udał zdziwienie. - Cóż to będzie za wstyd, jeśli narozrabiasz przed spotkaniem z komisją, nieprawdaż? - Delikatnie pogłaskał Jimmy' ego po policzku. Ten strząsnął rękę napastnika i ujrzał, że koleżka Razza zaczął przeglądać jego Biblię.

- Trzymaj swoje brudne łapy przy sobie - usiłował protestować.

- Hej, człowieku, nie zakłócaj spokoju Biblii naszego małego Jimmy' ego - powstrzymał kolegę Razz. - Na pewno dostał ją od swojej mamusi, prawda, Jimmy?

Jimmy Don przesunął się na krawędź pryczy.

- Powiedziałem, żebyście zostawili moje rzeczy w spokoju.

W odpowiedzi jeden z mężczyzn otworzył Pismo Święte na pierwszej stronie, na której widniała dedykacja.

- Co my tutaj mamy? Czyż to nie słodkie? Ty i Bozia? No, no, Jimmy Donie, wstydź się. - Napastnik wydarł ozdobną stronicę i zgniótł ją w taki sam sposób, w jaki Jimmy Don postąpił

wcześniej z listem od Schyler.

- Ty gnoju! - Jimmy Don zeskoczył z łóżka, wyciągając dłonie ku gardłu zbira.

Razz chwycił go za koszulkę i pociągnął do tyłu.

- Zostawcie już tę jego świętą księgę - powiedział, dławiąc się ze śmiechu. - Nie widzicie, jak chłopak kocha Bożę? W kościółku odradza swoją duszę. Może w końcu wytrzepią mu diabła zza skóry. Ciągle tam chrzcza, plotą kazania, bawią się swoimi ... całym tym gównem.

Na podłogę opadło kilka kolejnych stron Biblii. - Sukinsyny - warknął Jimmy Don.

- Czy tak się rozmawia z przyjaciółmi? No? - Razz zwracał się do niego jak do niegrzecznego dziecka. - Przecież przyszliśmy, aby podarować ci mały prezent na odchodne.

- A może damy mu nieco większy? - Jeden z więźniów pogłaskał się po rozporku. Jego kumple ryknęli śmiechem.

Jimmy Don próbował się jeszcze bronić, ale wiedział, że przegrał tę walkę. Nie mógł pokonać wszystkich. Wołanie strażnika także nie miało sensu, gdyż ten ze strachu stanąłby po stronie Razza. Natomiast ściąganie na siebie uwagi zamieszaniem w celi gwarantowało przedłużenie pobytu w więzieniu. Nie wymierzyłby wówczas sprawiedliwości w Belle Terre.

Zacisnął zęby, starając się przetrwać zbiorowy gwałt, jakiego dokonano na nim w chwilę potem. Stary Stu leżał na górnym łóżku, obcinając paznokcie u nóg, zadowolony, że jego wiek i uroda odstręczały członków gangu Razza.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

- Szlag by to trafił! - tym okrzykiem podsumowała swoje wysiłki, żeby dokonać bilans rachunków firmy. Biedziła się nad tym od ponad godziny. Albo nie miała głowy do liczb, albo jej kalkulator był do niczego, albo też rzeczywiście na koncie „Crandall Logging” brakowało kilkunastu tysięcy dolarów.

Potrzebowała pomocy Kena. On był księgowym, jemu płacono za tropienie nieuczciwości i błędów w księgach rachunkowych. Wyciągnęła rękę do telefonu, lecz ten zadzwonił, zanim zdążyła go dotknąć.

- Halo?

- Schyler? Mówi Jeff Cottins.

Mówili sobie po imieniu od operacji Cottona.

- Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

- Dlaczego ludzie myślą o najgorszym, gdy dzwoni do nich lekarz?

Roześmiała się.

- Przepraszam. Czy jesteś zwiastunem dobrych wieści?

- Mam taką nadzieję. Twój ojciec może już jutro opuścić szpital.

- To wspaniale! - wykrzyknęła.

- Powinnaś najpierw porozmawiać z pielęgniarkami, zanim zaczniesz okazywać radość - zachichotał lekarz. - Może w ciągu tygodnia zechcesz odesłać go z powrotem.

- Żwawy staruszek.

- Z tych najzwawszych.

- Nie mogę się doczekać jego powrotu do domu.

- Jeśli chcesz, wpadnij do mnie po południu, przygotuję odpowiednie formularze. W ten sposób oszczędzisz sobie załatwiania wszystkiego jutro rano.

- Dzięki za pomoc, Jeff. Będę.

Już miała odwiesić słuchawkę, gdy odezwał się ponownie: - Jeszcze go nie powiadomiliśmy. Pomyślałem, że może chciałabyś zrobić to osobiście.

- Dziękuję, doceniam to. Do zobaczenia wkrótce.

Wzdychając z ulgą, Schyler schowała do teczki sprawdzone rachunki razem z komputerowym wydrukiem stanu konta. Ten nieznośny problem w gruncie rzeczy mógł

poczekać.

Cotton Crandall wracał do Belle Terre.

- Widziałeś panią Crandall? - zapytał Cash drwala ważącego przywieziony właśnie ładunek.

- Odjechała jakieś pięć minut temu - odpowiedział, żując tytoń. - Co tutaj robisz?

Pomyślał, że tak wczesne urywanie się z pracy było dla Schyler raczej niezwykle.

- Czy powiedziała, dokąd się wybiera?

- Do szpitala.

Cash, wycierający właśnie spoconą twarz chustką ściągniętą z szyi, zamarł bez ruchu. Przyglądał się robotnikowi odwróconemu do niego plecami. W końcu chwycił go za ramię i obrócił do siebie.

Do szpitala?

- Tak powiedziała, Cash.

- Czy powiedziała, dlaczego wyjeżdża? Czy to miało coś wspólnego z Cottonem?

- Ona nie informuje mnie o przyczynach swoich wyjazdów. Wiem tylko, że bardzo się spieszyła. Przed odjazdem krzyknęła do mnie, że gdyby ktoś o nią pytał, mam powiedzieć, że będzie w szpitalu.

Na obliczu Casha malowało się głębokie niezadowolenie.

Marszcząc brwi, spoglądał w kierunku mostu.

- Coś nie tak? - zapytał zaniepokojony drwal.

- Nie. Chyba wszystko w porządku. - Otrząsnął się z przykrych myśli, próbując zlekceważyć całą sprawę. - Miej oko na to, co się tu dzieje, dobrze? Przed fajrantem przygotuj całe drzewo do załadunku. Jeśli nie wrócę, dopilnuj przed odejściem, żeby drzwi do biura zamknięto na klucz. I każ komuś siedzieć tam teraz i odbierać telefony.

- Dobra, Cash, ale dokąd ty się wybierasz?

Cash jednak już go nie usłyszał, spiesząc do swego pikapa.

- Przemebuję gabinet za schodami tak, by mógł służyć ci za sypialnię. Jeśli zdążę z tym do jutra, to będziesz mógł, leżąc w łóżku, wyglądać na trawnik przed Belle Terre.

- Lubilem swoją starą sypialnię - zrzędził, lecz Schyler wiedziała, z jaką przyjemnością powitał wiadomość o powrocie do domu, dlatego też starała się ukryć pobłażliwy uśmiech.

- Doktor Cottins powiedział, że nie powinienes się męczyć, wchodząc na schody.

Wycelował w nią wskazujący palec.

- Nie będziesz mnie niańczyć. Ani nikt inny. Miałem tego dosyć tutaj. Nie jestem inwalidą.

Był nim jednak i miał tego świadomość. Schyler nie uważała jednakże za konieczne dawać mu to odczuć.

- Masz rację, nie jesteś. Nie spodziewaj się, że będziemy cię rozpieszczać. Gdy tylko trochę wypoczniesz, zaraz zagonię cię do roboty.

- Z tego, co słyszałem, więcej masz rąk do pomocy niż pomysłów, jak je wykorzystać. - Obserwował jej reakcję przenikliwym wzrokiem.

- Czy Tricia powiadomiła cię o zatrudnieniu pani Dunne?

- Tak.

Podsunęła mu pod nos kartkę papieru.

- Będzie umiała przygotować wszystkie dietetyczne potrawy z tej listy, którą dał mi dla ciebie Jeff.

- Gównno.

- Daj spokój, to nie jest takie złe - przekomarzała się z ojcem. - Ale koniec z sosem kielbasianym. Nawet nie próbuj przekupywać pani Dunne, jest lojalna przede wszystkim w stosunku do mnie.

Cotton wyraźnie nachmurzył się.

- Wspominając o nowych rękach do pomocy, nie miałem na myśli gospodyni.

Schyler nie przestawała się uśmiechać. O kim on myślał?

O Cashu? Może Tricia, pomimo ostrzeżenia, wygadała się?

- Dziewczyna Vedy - rzekł Cotton. - Słyszałem, że zamieszkała w Belle Terre.

Odetchnęła nieco.

- Tak, na moje zaproszenie. Miałam wrażenie, że za jej nieszczęście odpowiedzialność ponosimy my, Crandallowie. - - Słyszałem, że kiepsko z nią.

- Dobrze słyszałeś - odpowiedziała, przeklinając w duchu długi język Tricii. - Nic w tym dziwnego. Jigger Flynn nie patyczkował się z nią. Omal jej nie zabił, na szczęście udało się jej uciec. Pragnę, by pozostała z nami, dopóki nie powróci do zdrowia.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

Udała, że nie zauważyła sarkazmu w jego głosie.

- Dziękuję ci.

Schyler kierowała się jednak nie tylko wielkodusznością.

Ostatnio lista jej przyjaciół skurczyła się tak drastycznie, że przyjaźń Gayli była dla niej cenna jak skarb.

W dodatku po raz kolejny swoim postępowaniem uraziła Kena. Nie dość, że odmówiła mu pieniędzy, to jeszcze wygoniła go ze swego biura w obecności Casha. Ken także zaczął jej unikać, odzywał się tylko wtedy, gdy było to całkowicie konieczne.

Cash zrezygnował z ich porannych sesji przy kawie.

Wiedziała, że przychodził codziennie do biura, ale od czasu ostatniej kłótni starał się opuszczać je, zanim zjawiała się tam ona. Jeżeli powracał na plac przed jej wyjazdem, spędzał czas na dziedzińcu, między ludźmi, dokonując przeglądu dziennego ładunku i nadzorując rozmieszczenie go na wagonach.

W wypadku konieczności konsultacji z nią dokonywał tego tak oficjalnie i krótko, jak tylko to było możliwe. Jego twarz sprawiała wrażenie, że uśmiech jest jej zupełnie obcy. Wydawał się tak odległy i skory do obrazy jak podczas ich pierwszego spotkania. Wrogość Casha wynikała z głębszych przyczyn. Wiedziała o tym, gdyż czuła to samo.

Traciła spokój. Dni miała całkowicie wypełnione wyczerpującą pracą, której oddawała się bez reszty, ale w nocy, gdy sen nie przychodził, a ona rzucała się rozgorączkowana na łóżku, przychodziły tłumnie wstydlive myśli i marzenia. Nienawidziła świadomości, że tak bardzo tęskni za Cashem. Potrzebowała go, była w stanie godzić się na każdą jego impertynencję. Wciąż nie opuszczały jej wspomnienia tamtego popołudnia.

Pocieszenie znajdowała jedynie w cichych rozmowach z Gaylą.

Opowiadała o Marku i ich życiu w Londynie. Gayla z płaczem opisywała koszmar pobytu u Jiggera. Jednak, mimo gorących prośb Schyl er, nie chciała nawet słyszeć o wniesieniu oskarżenia.

- On zabiłby mnie, zanim doszłoby do procesu. Znalazłby sposób, choćby zamknięto go w więzieniu. Poza tym kto by mi uwierzył? - ' zapytała.

Rzeczywiście, kto? Przeżycia Gayli wydawały się nieprawdopodobne.

- Była taka dziewczyna, pracowała w Pelican Lounge - opowiedziała jej pewnego dnia Gayla. - Jigger udusił ją, gdyż nie odpalała mu doli ze swoich zarobków. Jej zwłoki znaleziono na śmietniku za lokalem. Sprawcy nie odnaleziono. Powiadomiłam anonimowo szeryfa, lecz na

nic to się nie zdało.

- Jak przedstawiciel prawa mógł zlekceważyć doniesienie o morderstwie?

- Też się bał Jiggera. Inna z dziewczyn zaszła z jednym z klientów w ciążę. Kochała jednak tego człowieka i chciała urodzić dziecko. Jigger wiedział, że jeśli ona donosi ciążę, on straci cenną pracownicę. Bił ją tak długo, aż poroniła.

Jeżeli któryś z graczy spóźnia się ze zwrotem pieniędzy, Jigger wpada w szał. Pewien człowiek był mu winien sporo forsy za walkę pit bulli, więc Jigger nasłał na niego wynajętych bandziorów, żeby ją wydostali od nie słownego dłużnika. Klient nie dysponował jednak wystarczającą ilością gotówki, więc pewnego dnia wypadł ze swojej łódki, łowiąc ryby. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek. W poszukiwaniu jego ciała przeczesano całe jezioro, lecz do tej pory spoczywa na dnie. Gwarantuję, że nigdy go nie odnajdą.

Wraz z upływem dni, dzięki maści Casha i obfitym posiłkom pani Dunne, stan Gayli znacznie się poprawił. Skaleczenia i obrzęk na twarzy wkrótce zanikły i jej uroda znowu stała się widoczna. Krwawienia ustały, lecz dziewczyna wciąż reagowała nerwowo na każdy głośniejszy hałas. Schyler zdawała sobie sprawę, że miną miesiące, może nawet lata, zanim Gayla pokona dręczące ją strachy.

Jej czarnej przyjaciółce powoli upływały beczynne dni.

- Nie mogę tutaj zostać, jeśli nic nie robię, Schyler upierała się przy każdej nadarzającej się okazji.

Schyler odmawiała jej z równym uporem.

- Chcę, żebyś tutaj została, Gaylo. Potrzebuję przyjaciela.

- Ale nigdy nie będę w stanie ci się odplacić.

Nie musisz tego robić.

- Nie mogę się godzić na twoją wielkoduszność.

Schyler zastanowiła się nad tym przez moment.

- Nie stać mnie na płacenie ci pensji od zaraz. Czy zechcesz pracować w zamian za pokój i wyżywienie?

- Przecież przyjęłaś właśnie panią Dunne.

- Jest bardzo dużo do zrobienia.

- Na przykład? - zapytała podekscytowana Gayla. - Wynajmujesz ekipę, która dba o dziedziniec, ktoś inny zajmuje się końmi. Co pozostało dla mnie?

- Chciałabym, żebyś skatalogowała książki w salonie. Inwentaryzacji zawartości tamtych półek nie przeprowadzano przez lata. Nie śpiesz się, pracuj tylko wtedy, kiedy czujesz się na siłach.

Obie doskonale zdawały sobie sprawę, że ta praca nie jest nikomu potrzebna, ale udawały, że wszystko jest w porządku.

- Dobrze, przeprowadzę tę inwentaryzację. Domowe rośliny także wymagają troski - postanowiła Gayla, dumnie unosząc podbródek. - Mama zemdłałaby na widok takiego zaniedbania.

Gayla przeprowadziła się z sypialni Schyler do małego pokoiku przylegającego do kuchni. Odmówiła spożywania posiłków razem z rodziną Crandallów. Mimo próśb Schyler jadła z panią Dunne w kuchni. Szybko zaprzyjaźniły się ze sobą, gdyż dobroć gospodyni była niezmierną.

- Gayla spisuje się znakomicie - opowiadała teraz Schyler ojcu. - Właściwie nie mam pojęcia, jak radziłam sobie bez niej. Spodziewam się, że zastaniesz wszystko w Belle Terre w najlepszym porządku.

Zmarszczył z powątpiewaniem brwi.

- Jeśli tak się nie stanie, na pewno się o tym dowiesz.

- Niewątpliwie. - Wstała. - Do zobaczenia rano. Śniadanie zjesz jeszcze tutaj. Weź kąpiel i powinieneś się ogolić. Przyjadę około dziesiątej, dobrze? - Pochyliła się i pocałowała go na pożegnanie.

Przytrzymał ją za rękę.

- Jestem z ciebie dumny za kontrakt z Endicottem. Wykonałaś kawał dobrej roboty, Schyler.

Nie wyjawiała mu przyczyn, dla których Endicott wcześniej zrezygnował z ich dostaw. Ojciec zadowalał się pobieżnymi informacjami, a ona nie chciała dawać mu powodów do zdenerwowania.

- Dzięki, tato. Miło mi, że to doceniasz.

Po raz pierwszy od długiego czasu opuszczała szpital sprężystym, niemal skocznym krokiem. Dotarła już prawie do drzwi, gdy rozsunęły się one przed wchodzącym do budynku szpitala mężczyzną.

Rozpoznawszy go, Schyler na chwilę zastygła w bezruchu.

- Mark!

Cash odpalił kolejnego papierosa od niedopałka poprzedniego. Gapiąc się na fasadę Szpitala Świętego Jana, głęboko zaciągnął się gryzącym dymem. Oczekiwał, że lada moment pojawi się ktoś z ozdobionym czarnymi szarfami wieńcem, by powiesić go na szklanych drzwiach.

Od pół godziny siedział w kałuży własnego potu w kabinie ciężarówki, paląc i zbierając się na odwagę, by przejść przez ulicę i dowiedzieć się w recepcji, czy Cotton Crandall żyje, czy nie.

Jednak nie chciał wiedzieć.

Sądził, że to właśnie z tego powodu Schyler tak nagle opuściła firmę. Tylko coś naprawdę ważnego mogło ją do tego skłonić. Przypomniawszy sobie jej relacje o stanie zdrowia Cottona, które w gruncie rzeczy kazały patrzeć w przyszłość optymistycznie. Jego serce z każdym dniem było silniejsze, ale wciąż jeszcze pozostawało za słabe. Jego stan poprawiał się, ale nie całkowicie.

Operacja zakończyła się sukcesem, jednak chirurdzy nie byli w stanie naprawić wszystkiego. Życie Cottona ciągle wisiało na włosku. Byle blahostka mogła mu zaszkodzić. Widocznie stało się właśnie coś takiego.

Wypalone papierosy wysuszyły i podrażniły mu gardło.

Niecierpliwie cisnął za okno kolejnego, którego zapalił przed chwilą. W tym momencie zauważył mężczyznę zmierzającego do szpitala. - .

Nieznajomy pasował do południowo - zachodniej Luizjany w równym stopniu, co Eskimos do Tahiti. W białych marynarskich spodniach i granatowym blezerze wyglądał jak nie z tego świata. Nosił białe buty, a z kieszeni na piersi sterczała - nie do wiary! - czerwona chustka. Jego proste blond włosy, ze starannie zaczesanym na lewej stronie głowy przedziałkiem, połyskiwały w słońcu. Oczy osłaniał ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi.

Pewnym krokiem wbiegł po stopniach. Robił wrażenie człowieka, który czuje się jak w domu w miastach, na które inni obcy gapili się gamoniowatym wzrokiem, nie potrafiąc nawet zapamiętać ich nazw. Wyglądał niczym mężczyzna z okładki najpoczytniejszego czasopisma dla ludzi z wyższych sfer.

Cash poczuł, że zaczyna go boleć brzuch.

Jego najgorsze przeczucie potwierdziło się, gdy mężczyzna stanął w wejściu twarzą w twarz z Schyler. Cash usłyszał, jak zaskoczona wykrzykuje jego imię. Zobaczył, jak na twarzy

Schyl er pojawia się uśmiech radości i jak sekundę później rzuca się na szyję niespodziewanego gościa. Ramiona w pięknym blezerze objęły ją i zatrzymały w silnym uścisku, kołysząc nią radośnie. Potem mężczyzna pocałował Schyler w usta.

Nawet z drugiej strony ulicy Cash widział promienną radość, z jaką wpatrywała się w jasnowłosego bożka, bełkocąc pytania przerywane wybuchami krótkiego śmiechu świadczącego o jej wielkim podekscytowaniu.

Jedno było cholernie pewne. Nie wyglądało na to, by ktoś tu nosił po kimś żalobę.

Cash uruchomił silnik, prawie łamiąc kluczyk w stacyjce.

Skrzynia biegów rzęziła żałośnie, gdy włączył trójkę, by po chwili zatrzymać się na rogu przed znakiem stopu. Chciał zwrócić uwagę Schyler, chciał pokazać jej, że zamożny, dobrze ubrany angielski gnojek nie robi •na nim żadnego wrażenia.

Gapiąc się we wsteczne lusterko, stwierdził jednak, że pochłonięta bez reszty swym przyjacielem nawet go nie zauważyła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

- Mój Boże, to Tara.

Schyler rozpromieniła się, słysząc komplement Marka.

- Jest piękniejsza od Tary.

Mark Houghton zerknął na nią.

- Ty także jesteś rozkoszniejsza od Scarlett.

- Jesteś aniołem, mówiąc tak, ale kłamiesz w żywe oczy. Widać po mnie zmęczenie spowodowane pracą.

Pokręcił głową.

- Wyglądasz wspaniale.

Schyler zapomniała już, jak wielką przyjemność może sprawić komplement. Uśmiechnęła się.

- Jeżeli naprawdę ładnie wyglądam, to tylko dlatego, że twój widok napędza mnie szczęściem.

Uściskała jej dłoń.

- Pospieszmy się. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażesz mi swój dom.

W połowie podjazdu zaczęła naciskać klakson. Na werandzie pojawiły się pani Dunne i Gayla ciekawe przyczyny takiego hałasu.

- Przywożę same dobre wieści! - zawołała Schyler, wysiadając z samochodu. - Mark przyjechał, a tata przybędzie jutro.

Mark objął ją w talii i śmiał się zadowolony, że zachowywała się jak szczęśliwe dziecko.

Razem weszli na schody.

- Z pewnością mam przyjemność z panią Dunne - Mark zwrócił się do gospodyni. - T o ze mną rozmawiała pani przez telefon. Tak jak pani powiedziała, znalazłem Schyler w szpitalu. Dziękuję.

- Proszę przygotować jeszcze jedną porcję kurczaka, pani Dunne. Mark będzie przecież jadł z nami.

- Co za zbieg okoliczności, tak się właśnie złożyło, że mam jedną porcję ekstra. Dzisiaj będą kurczaki nadziewane dzikim ryżem. - Gospodyni uśmiechnęła się do szczęśliwej pary.

- Znakomicie. Czy pokój gościnny jest gotowy?

- Właśnie zmieniałam pościel.

- Więc proszę dopilnować tego wspaniałego dania.

- My zaniemiemy bagaże Marka na górę. Nie zabrał ze sobą zbyt wiele.

Pani Dunne zniknęła we wnętrzu domu.

- Mark - powiedziała Schyler - to moja serdeczna przyjaciółka Gayla Frances. Gaylo, przedstawiam ci Marka Houghtona.

- Miło mi panią poznać, panno Frances. - Mark ucałował jej dłoń.

- Ja także cieszę się z tego spotkania, panie Houghton - odrzekła Gayla drżącym głosem. - Schyler wiele opowiadała mi o panu.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy. - Uśmiechnął się rozbrajająco.

Gayla spojrzała nerwowo na Schyler, oczekując jej pomocy. Wciąż tak bardzo obawiała się obcych, szczególnie mężczyzn.

Na werandę wkroczyła Tricia.

- A cóż to ... - przerwała i ze zdumieniem wybałuszyła oczy na gościa Schyler. Widać było, że wywarł na niej oszałamiające wrażenie. - Witam wszystkich. - Ton jej głosu był teraz równie słodki jak uśmiech.

- Dzień dobry - odpowiedział uprzejmie Mark. Przyzwyczał się do tego rodzaju reakcji kobiet na swój widok. Może próżność nie była całkowicie obca jego naturze, lecz z drugiej strony trudno mu było nie pamiętać o swej aparycji.

Schyler dokonała prezentacji. Tricia z zakłopotaniem zaczęła bawić się naszyjnikiem.

- Powinnaś była mnie uprzedzić, Schyler.

- Sama jestem zaskoczona. Wizyta Marka to dla mnie cudowna niespodzianka.

- Mam nadzieję, że nie sprawię zbyt dużego kłopotu - włączył się do rozmowy Mark.

- Och, nie, nie. Po prostu, gdybym wiedziała, że będziemy mieli takiego gościa, ubrałabym się bardziej odpowiednio.

- Moim zdaniem wygląda pani doskonale, pani Howell.

- Proszę, zwracaj się do mnie po imieniu. - Mówiąc to, przyglądała się krytycznie swojej sukience. Niezadowolona, uniosła głowę. - Właśnie wybierałam się na spotkanie w mieście. Zaraz zadzwonię, żeby je odwołać.

- Proszę nie przejmować się tak bardzo moją osobą.

- Och, chcę koniecznie być na kolacji i bliżej cię poznać. Schyler tak się tobą zachwycała

- komplementowała go Tricia, przyjmując przy tym pozę modelki. - Wybaczcie mi, że was teraz opuszczę, ale idę się przebrać. Kochanie, przynieś sukienkę, którą pani Dunne miała dzisiaj odprasować dla mnie. - Ostatnie słowa skierowała do Gayli i zniknęła za drzwiami.

- Tricio! - zawołała zdziwiona jej zachowaniem siostra. Gayla uspokajająco położyła rękę na ramieniu przyjaciółki.

- Wszystko w porządku, i tak wybieram się na górę, by sprawdzić pokój gościnny. Zajmij się panem Houghtonem.

- Nie jesteś służącą Tricii. Gdy następnym razem wyda ci polecenie, poślij ją do diabła.

- Niezły pomysł. - Gayla roześmiała się dobrodusznie i weszła do środka.

- Czarująca kobieta - zauważył Mark, gdy Gayla znalazła się poza zasięgiem jego głosu. - Czy to jest ta, która ...

- Tak. - Schyler opowiedziała mu historię przyjaciółki podczas jednej z długich telefonicznych rozmów.

- Trudno uwierzyć. - Pokręcił głową. - Dokonałaś wielu wspaniałych rzeczy dla tej dziewczyny.

- Jestem jej przyjaciółką. Zrobiłaby dla mnie to samo. Mark przeczesał palcami włosy i spojrzał na nią oczami pełnymi miłości.

- Widzę, że weszło ci to już w krew.

- Co takiego?

- Wyciąganie dłoni do ludzi rozpaczliwie poszukujących pomocy. Przypominam sobie pewnego tułacza w Londynie i Amerykankę, która sprawiła, że wędrowiec ten przestał się czuć tak samotny.

- Nie całkiem tak było. To on mi pomógł. - Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w usta. - Nigdy nie będę w stanie wynagrodzić ci tego. Dziękuję, że przyjechałeś. Tak bardzo cię potrzebowałam.

Jak zwykle, gdy byli tylko we dwoje, jego piękny uśmiech zabarwiony był odcieniem smutku i drwiny.

- Pokaż mi Belle Terre.

- Od czego zaczniemy? Wspominałaś coś o koniach?

Ken poznał Marka ostatni.

Popijali przed obiadem drinki w salonie. Wcześniej Mark obejrzał najbliższą okolicę. Po

powrocie z przejażdżki Schyler postanowiła odświeżyć się przed obiadem. Mark, wciąż wyglądający bez zarzutu, udał się do swego pokoju, by zrobić to samo.

Schyler, ubrana w skromną sukienkę, zeszła po schodach do salonu. Zastała tam swojego gościa zabawianego przez Tricię. Przemiana, jakiej uległa jej siostra, wprowadziła Schyler w zdumienie. Co prawda sukienka Tricii była zbyt elegancka jak na tę okazję, lecz Schyler przyzwyczała się już do tego. Kreacja znakomicie podkreślała piękne kształty Tricii, może jedynie dekolt ukazywał zbyt wiele.

Tricia paplała jak najęta.

- Nie pamiętam dokładnie, kiedy Kennedy sprawował urząd prezydenta, ale oglądałam o nim parę archiwalnych filmów. Masz identyczny głos. Oczywiście, sądzisz zapewne, że zwracam ci w ten sposób uwagę, iż dostrzegłam twój akcent.

Wyszedł na spotkanie Schyler z dziwnym ogniem w oczach i ujmując jej dłonie, pocałował ją w policzek.

- Wyglądasz wspaniale. Mam wrażenie, że tutejszy gorący klimat służy ci niczym oranżeria orchidei. Napijesz się?

- Chętnie. - Zarumieniona, zajęła jedno z wolnych miejsc, podczas gdy Mark, czując się jak u siebie w domu, przygotowywał przy kredensie sporą porcję dżinu z tonikiem. Jego troskliwość nie umknęła uwadze Tricii, której radosny nastrój został mocno zamażony przybyciem Schyler.

- Mark osobiście zna Kennedych - poinformowała siostrę Schyler. - Czy wspominał ci o tym?

Oczy Tricii po raz drugi tego dnia rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie! Tych Kennedych? To fascynujące.

Mark podszedł i podał Schyler szklanę. Miał zamiar zająć miejsce obok, ale Tricia poklepała leżącą przy niej poduszkę. Powodowany grzecznością przyjął to zaproszenie.

- Opowiedz, jak ich poznałeś. Czy znałeś także Jackie?

- Są naszymi sąsiadami. Moi rodzice mają dom w Hyannis Port.

- Naprawdę? Och, zawsze pragnęłam tam pojechać. Położyła dłoń na jego udzie. - Czy rzeczywiście jest tam tak pięknie?

- Cóż ...

W tej właśnie chwili do salonu wkroczył Ken. Rozejrzył się wokół z kwaśną miną.

- Cześć, Ken - przywitała go Schyler.

- Dzwoniłem do biura na placu. Telefon odebrał jakiś ignorant i powiadomił mnie, że w szpitalu zdarzył się nagły wypadek. Zadzwoiłem więc także tam, ale nie uzyskałem żadnych wyjaśnień.

- Nic się nie stało. Tata jutro wychodzi. - Ta informacja nie odeгнаła jednak ciemnych chmur z jego oblicza. - Mark sprawił mi dzisiaj niespodziankę swoim przyjazdem - dodała pośpiesznie Schyler. - Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyłam cię powiadomić.

Przedstawiła sobie obu mężczyzn. Mark powstał, strząsając niezbyt grzecznie rękę Tricii. Uścisnęli sobie dłonie. Twarz Kena pozostawała nadąsana, lecz to zachowanie nie dziwiło specjalnie Schyler. Po chwili mąż Tricii przeprosił towarzystwo i poszedł do swego pokoju.

Kiedy pojawił się ponownie, miał na sobie jasny garnitur i krawat w pastelowych barwach. Jego wilgotne włosy świadczyły o odbytej właśnie kąpieli. Pachniał jak perfumeria na Maison - Blanche w Nowym Orleanie.

- Czy ktoś ma ochotę na następnego drinka? - zapytał, zmierzając do kredensu.

Rzucił okiem na żonę, która zagarnęła dla siebie Marka i szczebiotała o tym, że kiedyś została wybrana królową piękności tej okolicy.

- Tamtego lata skończyłam osiemnaście lat. Och, czy to rzeczywiście było tak dawno? - Westchnęła. - Pamiętam, jak się martwiłam, czy moje suknie zostaną przygotowane na czas. Nie wyobrażasz sobie, ile przyjęć organizowano w tamtym czasie. Mój konkursowy pokaz oszołomił wszystkich. Ludzie mawiają, że żadna następna królowa nie dorównała mi. Bawiłam się wtedy wspaniale. - Ściągnęła ze smutkiem wargi. - Schyler przepuściła wspaniałą okazję, gdy proponowano jej udział w konkursie ... Kogo obwołano królową zeszłego lata?

- Chyba Dorę Jane Wilcox.

Schyler była wściekła. Przez godzinę obserwowała, jak dłoń Tricii przesuwają się po udzie Marka. Kokietyjny uśmiech jej siostry przyprawiał Schyler o mdłości.

Niezależnie od przyczyn takiego zachowania - chęci wywołania zazdrości jej, Kena czy też po prostu z potrzeby uczestnictwa w dobrej zabawie - budziło ono niechęć obecnych. Schyler kipiała ze złości, wiedząc, że Mark otrzymał zbyt dobre wychowanie, by zareagować na te głupie zaloty.

- Jak mogłam zapomnieć?! - wykrzyknęła Tricia.

- Dora Jane Wilcox. Cóż, tyle razy mówiłam ci, Schyler, że zbyt wiele czasu spędzałaś z

tatą na placu, zamiast poznawać przyszłych członków jury.

- A ja zawsze odpowiadałam ci, że nie interesuje mnie puszenie się w towarzystwie.

- Byłam do tego zmuszona ze względu na mamę. Potrafiła rozmawiać tylko o zbliżających się przyjęciach i tym podobnych sprawach. Uważała, że powinnam brać udział w wydarzeniach, którymi ona tak żyła. - Tricia westchnęła i pokiwała głową, dając Markowi do zrozumienia, że w wypadku Schyler sprawa jest beznadziejna. - Wciąż cały czas spędza pracując. Chciałam wprowadzić ją w krąg swoich znajomych, ale ona nie chce o tym słyszeć. Najważniejsze dla niej to praca i jeszcze raz praca. Szarpie się, by utrzymać Belle Terre, nawet kosztem własnego zdrowia. Najlepsze, co mógłbyś dla niej zrobić, to zabrać ją z powrotem do Londynu. - Zerknęła na niego kokieteryjnie, trzepocząc rzęsami. - Oczywiście nie mówię tego po to, byś myślał, że nie jesteś tu mile widzianym gościem.

- Obiad gotowy, pani Crandall - zawiadomiła pani Dunne, stojąc na progu.

- Dziękuję. - Gniew nie pozwalał Schyler wydusić z siebie więcej niż to jedno słowo. -
Idziemy.

Tricia posłała gospodyni mordercze spojrzenie. Wstając, władczo ujęła pod ramię Marka i przyłgnęła do niego.

- Mark odprowadzi mnie do jadalni. Ken, zajmij się Schyler.

Ken, pochłaniając kolejną porcję bourbona w wielce nierozważnym tempie, jedną ręką zagarnął karafkę, drugą przytrzymał łokieć Schyler. Razem przeszli do jadalni.

Mark przysunął Tricii krzesło. Podziękowała mu uśmiechem.

- Usiądź obok mnie, Mark. Ken i Schyler zajmą miejsca po przeciwnej stronie. U szczytu stołu zawsze siadał tata. Szkoda, że nie może nam dzisiaj towarzyszyć, prawda?

Przy kolacji wszystko potoczyło się zwykłym trybem.

Tricia cierpkim głosem zauważyła, że Ken pije zbyt dużo. Potem zignorowała męża zupełnie i wdała się w żywą konwersację z Markiem, który odpowiadał z ujmującym wdziękiem.

Z każdym kolejnym znakomicie przygotowanym daniem napięcie przy stole rosło. Schyler kipiała ze złości, Ken toczył wokół wściekłym wzrokiem, a Mark zaniepokoił się widząc, że z oczu Schyler zniknęła radość. Tylko Tricia bawiła się doskonale.

Nie mogło się skończyć inaczej. Podano deser.

Tricia powiedziała coś, co w jej mniemaniu było niewiarygodnie dowcipne. Chichocząc pochyliła się do Marka, przyciskając piersi do jego ramienia. Mark przez chwilę udawał

rozbawienie, następnie osuszył usta płócienną serwetką•

- Zaoszczędzę ci dalszych wysiłków, Tricio.

Nagle przestała się śmiać i spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Wysiłki? Co masz na myśli?

- Możesz przestać ścisnąć moje udo pod stołem i muskać mnie piersiami. Pozwól także odpocząć trzepoczącym powiekom. Nie jestem zainteresowany.

Widelec Tricii brzęknął o talerz. Zbladła. Obdarzył ją ujmującym uśmiechem.

- Widzisz, jestem homoseksualistą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

- Chyba nie sądzisz, że będę przepraszał.

- Ken, jako jej mąż, powinien stanąć w jej obronie.

Zamiast tego ryknął śmiechem.

- Tak. - Mark wykrzywił się z odrazą. - Moja wypowiedź sprawiła mu przyjemność. Wie teraz, że nie stanowią zagrożenia.

- Zagrożenie? - Schyler odwróciła głowę. - Dla kogo?

- Dla niego. Nie zdawałaś sobie sprawy, jak tego człowieka pożerała zazdrość?

- Z powodu Tricii.

Pokręcił przecząco głową.

- Z twojego powodu. On wciąż cię kocha, Schyler.

- Nie sądzę. Może myśli, że mnie kocha, ale, moim zdaniem, czuje coś innego. Jestem silną kobietą, a on potrzebuje oparcia.

- Dlaczego? Czyżby stracił równowagę? - Mark zamierzał błysnąć dowcipem, ale Schyler odpowiedziała mu bardzo poważnie.

- Tak, myślę, że tak. Dzieje się coś złego ... coś niedobrego z Kenem. Nie jestem pewna, co.

- A ja wiem, o co chodzi.

Spojrzała na niego zaciekawiona.

- Ken zdaje sobie sprawę, że popełnił poważny błąd. Poślubił nie odpowiednią kobietę. Pozwolił, by wszystkie decyzje podejmowali za niego Tricia i twój ojciec. Jego życie jest głównie warte. Mężczyźni trudno się do tego przyznać.

Zawsze podziwiała Marka za to, że mówił bez ogródek, nawet kiedy jego słowa raniły.

- Zapewne masz rację - przyznała cicho. - Zrobił mi kilka niedwuznacznych propozycji.

- Jakie to romantyczne! Jak zareagowałaś?

- Odmówiłam, rzecz jasna.

- Ze względu na to, że jest żonaty?

- Niezupełnie.

- To nie było zbyt uprzejme.

Schyler, opierając się o kolumnę na werandzie, splotła ręce na piersi. Kojący wiatr owijał

lekką sukienkę wokół jej ciała i bawił się kosmykami włosów.

Noc była piękna, niebo usiane gwiazdami, a księżyc rzucał srebrne światło na konary dębów. Owady zaczęły już swój wieczorny koncert. W parnym powietrzu unosiły się słodkie zapachy kwiatów.

- Podobnie jak jej zachowanie względem ciebie. Mark rozsiadł się w jednym w wiklinowych foteli. Przed chwilą z lubością delektował się brandy. Teraz, wysączywszy ją, odstawił pustą szklaneczkę na mały okrągły stół.

- Wiesz, że to nie w moim stylu zachowywać się niegrzecznie, ale nie mogłem sobie poradzić i nie wytrzymałem. Tricia zasłużyła na to, by utrzeć jej nosa za głupie zapędy.

- Jakie zapędy?

- Robiła wszystko, by odciągnąć mnie od ciebie.

Z przykrością musiała przyznać mu rację. Zagapiła się w przestrzeń.

- Utarcie nosa to za słabo powiedziane. To był solidny cios, który zwałił ją z nóg.

Mark przeciągnął się, wysuwając przed siebie stopy.

- Prawdopodobnie z tego powodu zaraz uciekła na górę. Gdyby spojrzenia zabijały, byłbym już trupem, tyle w jej wzroku było jadu. Twoja siostra to żmija.

- Nie powinieneś tak się o niej wyrażać.

- Więc już go nie kochasz?

- Nie - potwierdziła ze smutkiem. - Nie Kocham go. Kiedy mnie dotknął, nie czułam nic. Myślę jednak, że musiałam wrócić tutaj, by zdać sobie z tego sprawę.

- Zdradzić ci tajemnicę? - Nie czekając na odpowiedź, oznajmił: - Sądzę, że przestałaś go kochać dawno temu, jeśli w ogóle kiedykolwiek go kochałaś.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś tego wcześniej?

- Miałem ochotę, ale nie uwierzyłybyś. Musiałaś przekonać się o tym sama.

- Zmarnowałam tyle czasu. - W jej głosie słychać było żal.

- Nie wierzę w stratę czasu, gdy ktoś przychodzi do zdrowia, a w tobie musiało się zagoić wiele ran. Czy mogę napić się jeszcze trochę brandy? - Skinął w stronę wniesionej przez panią Dunne srebrnej tacy z karafką i dwoma kieliszkami.

- Proszę, obsłuż się.

- A ty?

- Nie, dziękuję. - Schyler przyglądała się, jak jej gość przygotowuje kolejnego drinka.

Upił nieco, odchylił głowę na oparcie i przymknąwszy oczy, delektował się alkoholem. - Mark? - Spojrzał na nią. - Wierzę, że to, co powiedziałeś o Kenie, to prawda, ale mówisz tak, jakbyś chciał dać mi do zrozumienia, że twoje życie też jest gównem warte.

Uśmiechnął się smutno.

- Wystarczy, że pożyjesz z kobietą sześć lat, a ona stwierdzi, że już cię zna.

- Znam cię.

Uniósł kieliszek i patrzył na jego zawartość koloru bursztynu.

- Być może.

- Widzę, że ogarnęła cię melancholia.

- Nie trwóż się zbytnio. Wiesz, że miewam takie okresy z regularnością podobną do twojego cyklu menstruacyjnego. Pokonam ten zły nastrój za dzień lub dwa. Do tego czasu rozdrapię stare rany. Znowu będę się dziwił, dlaczego nie pozwoliłem rodzicom, by oszukiwali się, że jestem normalny, i nie ożeniłem się z wybraną przez nich kobietą. Wszyscy byliby szczęśliwi.

- Nikt nie byłby szczęśliwy, Mark, szczególnie tamta kobieta. Nie mógłbyś okłamywać jej zbyt długo, siebie też. - Ale moi rodzice czuliby się szczęśliwi. Nie patrzyliby na jedyne go syna i spadkobiercę z przerażeniem i odrazą.

Zabolało ją serce. Należący do bostońskiej elity rodzice Marka uważali homoseksualizm syna za wielkie okrucieństwo ze strony losu. Wyrzucili go z domu i ze swego życia.

- Miałeś od nich ostatnio jakieś wiadomości?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedział, rozprawiając się z zawartością kieliszka. - Ale nie to jest powodem mojego złego nastroju.

- Och?

- Martwi mnie fakt, że cię tracę.

Schyler uśmiechnęła się leciutko i nagle pochyliła głowę.

- Skąd wiesz?

Podniósł się z fotela i stanął przed nią, kładąc dłonie na jej policzkach.

- Przyrównanie cię do cieplarnianej orchidei było skandalicznie poetyckie, ale wierne. Rozkwitłaś tutaj, Schyler. - Rozejrzał się dookoła, patrząc w mrok. - Należysz do tego miejsca.

Westchnęła głęboko.

- Wiem. Mimo wszystkich jego wad kocham je. W jej oczach pojawiły się łzy. -

Prowincjonalne miasteczko, ograniczeni ludzie, lasy, kanały, zapach ziemi, wilgoć i upał. Belle Terre. Kocham je.

Objął ją mocno, gładząc jej włosy.

- Nie przepraszaj za to. Zostań tutaj, Schyler, i bądź szczęśliwa.

- Ale będę za tobą tęsknić.

- Niedługo.

- Zawsze.

Odchylił jej głowę i delikatnie otarł łzy z policzków.

- Gdy się poznaliśmy, oboje byliśmy w pewien sposób okaleczeni. Nasz związek podtrzymywał nas i chronił. Ty nie miałaś problemów z adoratorami, ja, mieszkając z tobą, ukrywałem przed światem swój homoseksualizm. Większość par małżeńskich nie darzy się przyjaźnią równą naszej. Uśmiechnął się ze smutkiem. - Nie możemy jednak żyć tak bez końca. Potrzebujesz czegoś więcej, ja nie jestem w stanie dać ci tego. - Pochylił się i wyszeptał: - Potrzebujesz Belle Terre.

- Ona także mnie potrzebuje.

Przytuliła się do Marka, wiedząc, że jego zainteresowanie jej problemami jest szczere. Już podczas konnej wycieczki cierpliwie słuchał, gdy opowiadała mu o swojej obecnej sytuacji.

- Jutro tata wróci do domu. Jestem szczęśliwa, ale jego powrót oznacza, że będę musiała dzielić swój czas między niego i pracę na placu. Zamierzam pozwolić mu uczestniczyć w mojej pracy i w podejmowaniu decyzji, ale nie wolno mu za bardzo się angażować, ponieważ od tego tylko krok do kolejnego zawału. Będzie to wymagało istic zonglerskiej sprawności.

Poradzisz sobie.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. - Przechesał palcami jej włosy. - Kiedy miałaś zamiar powiedzieć mi, że postanawiasz tu zostać?

- Nie wiem. Nie jestem nawet pewna, czy byłam świadoma, dopóki ty nie powiedziałeś tego głośno. Sądzę, że ta decyzja czekała w podświadomości, aż ktoś wydobędzie ją na światło dzienne.

- Hmm. - Skinął w zamyśleniu głową. - Czy twoja podświadoma decyzja ma coś wspólnego z tym tajemniczym papierosem?

- Jakim papierosem?

Podbródkiem wskazał las za dziedzińcem.

- Żarzy się tam, odkąd jesteśmy na werandzie.

Schyler zwróciła głowę we wskazanym kierunku.

- Cash - wyszeptała.

- Mister Boudreaux - powiedział sucho Mark. - Jego nazwisko wciąż pojawiało się w naszych rozmowach. Dziwię się, że nie zdajesz sobie sprawy, jak często padało z twoich ust: „Cash mówi to” lub „Cash robi tamto”.

Udawała, że jedyną rzeczą, która ją w tej chwili interesuje, jest węzeł jego eleganckiego krawata.

- To nie tak jak myślisz. To o wiele bardziej skomplikowana sprawa.

- Tak zazwyczaj bywa z miłością.

- Nie, Mark to nie tylko kwestia układów między mężczyzną a kobietą.

- Jest nieodpowiedni dla ciebie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Jego reputacja, jeśli chodzi o kobiety, jest dość jednoznaczna.

- Bardzo jednoznaczna. Krótko mówiąc, nie przepuści żadnej kobiecie.

- Naprawdę tak to wygląda?

- W przybliżeniu. Chodzi nie tylko o to, że Cash Boudreaux jest dziwkarczem. On ...

- Pochodzi z niewłaściwej strony kanału.

- Nie jestem snobką - zareagowała gwałtownie.

- Nie chodzi o ciebie, ale o innych - przypomniał łagodnie. - Ostatecznie należysz do rodziny Crandallów, pochodzisz z Belle Terre. Co pomyśleliby sąsiedzi?

- To bardziej złożony problem. Nigdy nie przywiązywałam wagi do tego, co inni o mnie myślą. Tym martwiła się mama, w przeciwieństwie do Cottona. On zawsze mówił to, na co miał ochotę. - Mark roześmiał się. Schyler przyjęła to z zadowoleniem; tak dawno nie słyszała jego śmiechu. Wzruszając ramionami, kontynuowała: - Ja tkwię gdzieś między tymi dwiema skrajnościami. Naprawdę nie dbam o opinię obcych, ale jednocześnie czuję się odpowiedzialna za moją rodzinę i za Belle Terre, a to zobowiązuje.

- Zmieniasz temat. Co z Cashem Boudreaux?

- Nie wiem. On jest ... jest ... - Zamknęła oczy i zacisnęła pięści. - Tak cholernie dziwny.

Nie ufam mu i ...

- Pragniesz go.

Otworzyła oczy i spojrzała na przyjaciela. Nigdy nie potrafiła okłamywać Marka. Był na to zbyt uczciwy.

- Tak - przyznała cicho. - Pragnę go.

Mark wziął ją w objęcia.

- Dobrze. Jestem zadowolony. To bardzo zdrowe uczucie. - Chichocząc dodał: - Będę się tym interesował, nawet z daleka. - Pocałował ją w czoło, potem w usta. - Bądź szczęśliwa, Schyler.

Puścił ją i ruszył w kierunku wejścia do domu.

- Nie kłopotz się pokazywaniem mi drogi. Znam ją doskonale. Wybacz, że nie dotrzymam ci dłużej towarzystwa, ale jestem wyczerpany. Podróżą i tymi wszystkimi emocjami. - Posłał jej całusa i wszedł do środka.

Schyler, nie ruszając się z miejsca, zagapiła się w drzwi, za którymi zniknął. Po kilku chwilach odwróciła się, wciąż nie opuszczając werandy, i spojrzała w ciemność.

Czerwony ogienek papierosa mrugał do niej.

Zbiegła po schodach i przeszła po wilgotnej zimnej trawie.

Wydawało się, że dotarcie do lasu zabierze jej wieczność, ale nagle stanęła twarzą w twarz z Cashem. Cisnął papierosa i wgniół go w ziemię czubkiem buta.

- Dlaczego kryjesz się tutaj, w ciemności? - zapytała ze złością Schyler. - Jeśli mnie szpiegujesz, to czemu ...

- Zamknij się.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Popchnął Schyler silnie, opierając ją o pień drzewa, i przywarł do niej gwałtownie całym ciałem, całując namiętnie. Zarzuciła ręce na szyję mężczyzny i zanurzyła palce w jego włosy. Uwolnił jej usta i przesunął dłońmi w górę i w dół ciała Schyler, jakby brał ją w ten sposób całą w posiadanie.

Odsunął się i spojrzał jej prosto w oczy wzrokiem pełnym pożądania. Nocną ciszę zakłócały jedynie ich przyspieszone oddechy.

- Cholera jasna, powiedz, że mnie chcesz.

Schyler zwilżyła suche wargi.

- Chcę. Dlatego tutaj jestem.

Zamknął jej nadgarstek w obręczy swoich palców i pociągnął dziewczynę głębiej w las. Potykając się podążyła za nim, śmiejąc się i płacząc na przemian. Nie bała się. Jej serce biło z radości, a nie ze strachu. Zawsze pociągało ją nieznane. Choć uwięził jej rękę, czuła się wolna i bezpieczna.

Zaprowadził ją do miejsca nad kanałem, gdzie kilka tygodni wcześniej opatrywał jej rany zadane przez psa. Czekala tam ta sama piroga i ta sama latarnia.

- Wsiadaj.

Weszła do małej łódki i chwiejnie usiadła na ławeczce.

Cash pchnął pirogę ku rzece i jednym płynnym ruchem wsiadł do niej. Odpychając się od dna rzeki długą żerdzią, skierował łódkę na środek kanału.

Stał na dziobie, nie spuszczać oczu z Schyler. Na tle rozjaśnionego światłem księżyca nieba jego ciemna sylwetka była olbrzymia i groźna. Promienie księżyca sprawiały, że las wydawał się tętnić jakimś tajemniczym życiem, pełnym szelestów liści i dziwnych cieni. Płynęli, nasłuchując rechotu ropuch i nawoływania nocnych ptaków.

- Dlaczego go zostawiłaś i przyszedłaś do mnie?

- Pytasz o Marka?

- Zerwałaś z nim?

- Niczego nie musiałam zrywać.

- Jeśli będziesz się ze mną bawić w kotka i myszkę, może stać ci się krzywda, Schyler.

Nie wątpiła w to ani przez chwilę.

- Mark jest homoseksualistą. Nasz związek jest czysto platoniczny.

Nie roześmiał się. Nie zarzucił jej kłamstwa. Nie wyraził niedowierzania. Oczekiwała którejś z tych reakcji, lecz Cash bez słowa kierował łódką za pomocą drewnianego drąga.

Miejscami kanał tak się zwężał, że gałęzie splatały się nad nim na kształt baldachimu. Po paru zakrętach Schyler straciła orientację. Nawet księżyc wydawał się zmieniać położenie na niebie.

Rejestrowała tyle odgłosów i zapachów, których wcześniej nigdy nie zauważała. Wyczuwała skumulowaną wokół energię, tętniące niewidoczne życie. To był obcy świat, świat Casha. On był jego panem, więc nie miała się czego bać.

W końcu piroga zaryła dziobem w brzeg. Cash wyskoczył i wciągnął ją na suchy grunt. Odrzuciwszy drąg, wyciągnął rękę i pomógł Schyler wsiąść. Niosąc w wolnej dłoni latarnię, poprowadził dziewczynę w górę stoku do swojego domu.

Dostali się do środka przez werandę. Cash postawił lampę na nocnym stoliku i odwrócił się ku Schyler. Przez bardzo długą chwilę nie odzywali się do siebie, patrząc jedynie, jakby obawiali się tego, co za chwilę miało nastąpić.

Jednocześnie padli sobie w ramiona. Jego palce zatonęły w jej włosach i odchyliły głowę. Pocałował ją w usta, potem w szyję, potem znowu w usta, mruczając nie zrozumiałe w języku swojej matki.

Choć słowa były nie do odróżnienia, ton jego głosu mówił jej dokładnie to, co teraz chciała usłyszeć. Schyler odpowiedziała mu równie namiętnie, gotowa na przyjęcie tego szalonego uczucia. Ciało dziewczyny wygięło się w łuk.

Jej sukienka była tak miękka i przewiewna, jakby została utkana z pajęczej sieci.

Całował delikatnie usta dziewczyny, smakując językiem ich słodycz i delektując się nią aż do upojenia.

Jego ręce ruszyły w dół sukienki. Tkanina wydawała się topić pod jego gorącymi dłońmi. Spojrzał na Schyler z uśmiechem.

- O właśnie, to lubię. - Pochylił głowę i pocałował ją w usta, sięgając do guzików. Śledził ruchy własnych palców uwalniających guziki z dziurek. Rozdzielił materiał i odsłonił skąpy biustonosz.

Dotknął jej piersi delikatnie, pieszcząc jednocześnie sutki.

- Cash - jęknęła cicho, obejmując go w pasie i odginając się do tyłu.

Patrzył z zadowoleniem, jak wzrasta jej pożądanie, pochylił się i dotknął ustami brodawek.

- Ciągłe nie mam ciebie dosyć - wyszeptał, odrzucając głowę. Przytrzymał obiema rękami twarz Schyler i przeszył ją pełnym wściekłości wzrokiem. Jego pożądanie graniczyło z furją. Powtórzył to zdanie jeszcze raz i ponownie rozgniół pocałunkiem jej usta.

Spleceni razem opadli na posłanie. Ściągnął z niej sukienkę i cisnął na łóżko. Przez chwilę podziwiał jej bieliznę, zanim pomógł Schyler pozbyć się jej.

Położył dłoń na brzuchu dziewczyny i przesunął w dół, w stronę klina delikatnych jasnych loków, które jakby starały się usidlić w splotach jego palce.

Szybkimi, gwałtownymi ruchami rozpiął koszulę i strząsnął ją z ramion. Sprzączka paska wymagała trochę więcej czasu. Wykrzykując parę przekleństw, rozpiął wreszcie dzinsy i przewróciwszy się na plecy, ściągnął je, unosząc biodra.

Nagi i rozpalony wtoczył się na Schyler i ujął dłońmi jej głowę. Pocałował ją gwałtownie.

- Zabiję cię, jeśli skłamałaś o nim.

- Nie kłamie. Przysięgam ci.

- Więc to dla mnie. T o ja cię tak rozpalam.

- Tak - wyszeptała.

Podążając cał po calu w dół, pieścił wargami jej szyję i piersi. Zacisnęła palce na jego ramionach, gdy znaczył pocałunkami każdy odcinek drogi przez brzuch, przygryzając lekko skórę. Schyler z trudem chwyciła powietrze.

Złapała go kurczowo za włosy.

- Przestań, Cash, przestań. Nie. - Jej brzuch napinał się coraz bardziej, piersi nabrzmiały. Czuli się tak, jakby balansowała na krawędzi urwiska, patrząc w dół.

- Chodź - wyszeptał. - Chcę, żebyś wyszła naprzeciw moich ust.

Nawet gdyby chciała, nie była już w stanie zapanować nad sobą. Kiedy opadła ostatnia fala uniesienia i Schyler otworzyła oczy, ujrzała odbicie swojej twarzy w jego pełnych szarości, zieleni i złota oczach. Uśmiechnęła się.

- Cóż tam? - Tracił ją delikatnie, patrząc na jej spokojne już teraz ciało.

- Wyglądam rozpustnie.

- Masz rację. - Spowaźniał, wodząc wzrokiem po jej zaróżowionej i zroszonej kroplami potu twarzy. Skupił się na pełnych i wilgotnych od jego pocałunków wargach.

- Wyglądasz pięknie.

Nie należał do mężczyzn, którzy 'szafują komplementami.

Schyl er wiedziała, że nigdy nie powiedział innej kobiecie, iż jest piękna, po prostu nie musiał tego zrobić, bo i tak zawsze miał to, czego chciał.

- Ty także. - Poglaskała go po piersi. Przyciągnąwszy jego głowę, pocałowała go w usta.

Cash westchnął, czując, jak napływa fala pożądania. Przył9nął mocniej do Schyl er, by poczuła, jak bardzo wciąż jej pragnął.

- Chodź, chcę się znaleźć w tobie - wydyszał jej prosto w ucho, które zaraz zaczął pieścić językiem, szepcząc miłosne zaklęcia. Schyl er zapragnęła przeżyć jeszcze raz rozkosz razem z nim. - Jesteś taka ciepła i wilgotna. Jesteś taka słodka i cudowna - szeptał.

Wkrótce ich przyspieszone oddechy zrównały się ze sobą. Razem dotarli do szczytu rozkoszy, ich ciała połączył jeden potężny dreszcz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Leżąc obok Casha, Schyler przyglądała się jego ciału, pieszcząc je czule.

- Co ci się przydarzyło? - Dotknęła blizny na jego piersi.

- Walka na noże w Wietnamie.

- Miałeś tak bliski kontakt z wrogiem?

- To nie był wróg.

- O co się biliście?

- Niech mnie diabli porwą, jeśli pamiętam. To nie miało znaczenia. Wymyślaliśmy powody do bójk.

- Dlaczego?

- By rozładować emocje.

- Prawdziwe bitwy nie wystarczyły?

- Qui, ale to nie była walka fair. Pojedyunki w barakach - tak.

- Byłeś zawodowym żołnierzem?

- Powiedzmy.

- Czym szczególnie się zajmowałeś?

- Materiały wybuchowe. - Jego twarz była pełna napięcia. - Można policzyć na skórze moje sukcesy.

Spróbowała wygładzić jego brwi.

- Dlaczego więc zgłosiłeś się na ochotnika? Mówiono mi, że nawet przedłużyłeś pobyt na froncie.

Wzruszył ramionami.

- Nie miałem nic innego do roboty.

- A college?

- Byłem uczniem, ale w swojej specjalizacji wiedziałem więcej niż moi wykładowcy.

- Co to był za kierunek?

- Leśnictwo.

- Nie musiałeś jechać do Wietnamu, by wydostać się z college'u, Cash. Mogłeś zostać tutaj i pracować.

Pokręcił przecząco głową.

- Poróżniłem się z Cottonem.

- Czy on ponosi odpowiedzialność za twoje pójście do wojska? Dlaczego?

Zanim odpowiedział, popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Z powodu śmierci mojej matki.

- Nie rozumiem. Co to miało wspólnego z tobą?

Przewrócił się na plecy i zagapił w sufit. Podpierając się na łokciu, Schyler spojrzała na niego badawczo. Unikał jej wzroku.

- Po śmierci Macy spodziewałem się, że Cotton ożeni się z moją matką. Nie zrobił tego.

Jej dłoń gładząca pieszczotliwie piersi Casha nagle znieruchomiała.

- Nie wiem, co powiedzieć, Cash. Niewielkie mam o tej sprawie pojęcie.

- Ja natomiast jestem diabelnie pewien, że wiem, co mówię. Rzuciłem to wszystko Cottonowi w twarz. Okropnie się wtedy pokłóciliśmy. Gdyby nie interwencja mojej matki, doszłoby może do rękoczynów.

Z tego, co wiedziała o Monique, Schyler potrafiła sobie wyobrazić, jak ta kobieta musiała się czuć, gdy dwóch mężczyzn, których kochała, rzucało się sobie do gardła.

- Co zrobiła?

- Głupie pytanie, oczywiście - broniła Cottona. Zawsze stawiała po jego stronie, usprawiedliwiała każdy jego czyn, nigdy nie dostrzegła, jakim jest sukinsynem.

Kochanek nazwał jej ojca sukinsynem, ale Schyler nie stanęła w obronie Cottona. Oburzenie Casha nie dziwiło jej. W podobnych okolicznościach czułaby to samo.

Dla niej i Tricii Cotton był dobrym ojcem. Uwielbiała go mimo jego licznych wad, ale niewiele mogła powiedzieć o jego życiu poza Belle Terre. Jeszcze kilka tygodni temu nawet nie wiedziała o jego związku z Monique Boudreaux. Schyler domyślała się, że oboje mieli bardzo gwałtowne usposobienie i pewnie z tego powodu często się kłócili.

- Tej nocy, gdy przynieśliśmy do Belle Terre Gaylę, wspomniałeś, że twoja matka kiedyś poroniła.

- Qui.

- Dziecko mojego ojca?

Dostrzegła błysk w jego oczach.

- Moja matka nie była dziwką, nie spała z nikim innym.

- Nie zamierzałam sugerować ...

- Jestem głodny, a ty? - Stoczył się z łóżka i chwycił dzinsy.

Schyler z zakłopotaniem wsunęła ramiona w rękawy koszuli, którą jej rzucił.

- Tak. Co masz do jedzenia?

- Czerwoną fasolę i ryż.

- Brzmi zachęcająco.

- To nic nadzwyczajnego, zaraz przyrządzę.

Ruszyli razem w głąb domu, zapalając po drodze światła.

Schyler usiadła na krześle przy stole, a Cash zaczął się krzątać po małej kuchni. Wkrótce z rondla uniósł się aromatyczny zapach dziwnej, nie znanej jej potrawy. Kiedy podał dziewczynie pełny talerz, zauważyła, że fasolę i ryż uzupełniały ogromne plastry pikantnej kiełbaski.

- Właśnie taka, jaką lubię - stwierdziła, wbijając zęby w mięso. - Hmm, wspaniała. Kto ją zrobił?

- Ja. - Przestała żuć. Na widok jej niedowierzania parsknęła śmiechem. - Myślałaś, że jedyne, co pozostawiła mi matka, to recepty, jak leczyć kurczaki i niestrawność?

Schyler jadła z wilczym wręcz apetytem i niedługo Cash odniósł jej pusty talerz do zlewu. Obserwowała jego szerokie, mocne plecy, wąskie biodra i długie, szczupłe nogi.

Odwrócił się i przyłapał jej rozmarzone spojrzenie.

- Widzisz coś, co ci się podoba? - zapytał zuchwale.

- Brak ci skromności, ale tak, podoba mi się wszystko, co widzę.

- Nie wygląda na to, by cię to czyniło szczęśliwą? O co chodzi?

- Zastanawiam się nad tym, co będzie jutro.

- Jutro?

Niespodziewanie zakłopotana, Schyler spojrzała na swoje dłonie, które nerwowo splatała i rozplatała na stole. Brzeg koszuli ledwo sięgał jej ud.

- Myślę o tym, co będzie z nami. Tata wraca do domu.

- Wiem. - Podniosła na niego wzrok - Dzwoniłem do szpitala - powiedział Cash, tłumacząc się. - Dowiedziałem się, że opuściłaś plac w pośpiechu, pomyślałem więc, że stało się coś złego.

- Przeciwnie, ojciec czuje się znacznie lepiej, ale ciągle jest chory. Nie może się denerwować. - Oblizwała spieczoną wargę. - Nie wiem, jak by zareagował na ... romans między nami.

- Wpadłby w szal.

Mówiła dalej, chociaż postawa Casha nie zachęcała do tego. - Wiesz, jak będziemy zajęci w ciągu najbliższych tygodni. Musimy wypełnić w terminie zamówienie Endicotta. Nie mogę pozwolić, by cokolwiek, szczególnie moje sprawy osobiste stanęły temu na drodze. Nie będzie dużo czasu na ... na ...

Cash oparł się o zlew i skrzyżowawszy bosc stopy, przyjął pozę pełną nonszalancji. Jego milczenie sprawiło, że mówiła coraz szybciej.

- Nie mam pewności, czy jestem gotowa do nowego związku. Z Markiem łączyły mnie szczególne więzi. Będę za nim tęsknić. Wiem, że spotykasz się z innymi kobietami.

Miała nadzieję, że skomentuje jakoś jej słowa, jeszcze bardziej życzyła sobie, by powiedział, że zerwał z tym wszystkim. On jednak wciąż stał milczący, z kamienną twarzą. Była rozgoryczona, że reagował w ten sposób na zwierzenia płynące z głębi jej duszy.

- Do cholery, powiedz coś.

- W porządku. - Gwałtownie poderwał Schyler na równe nogi. - Wracaj do łóżka.

Minutę później leżeli wśród pachnących piżmem prześcieradeł. Rozgorączkowanymi dłońmi pieścił całe jej ciało. - Czekałem na to bardzo długo - wymamrotał. Schyler postanowiła zapomnieć teraz o wszystkich swoich wątpliwościach. „Zignoruj jutro, niech je porwą diabli! Żyj chwilą”. Może później będzie musiała ponieść konsekwencje, zapłacić królewski okup, 'ale teraz, czując namiętne pocałunki Casha, nie dbała o to.

- Powinieneś teraz chyba powiedzieć: odkąd cię poznałem, prawda?

- Nie. Pragnąłem ciebie, jeszcze zanim się poznaliśmy.

- Jak to? - Spojrzała na niego zaintrygowana. Przewrócił ją na plecy i oparłszy się na łokciu, wolno gładził jej piersi.

- O ile pamiętam, po raz pierwszy stwierdziłem, że już nie jesteś małą dziewczynką, gdy spotkałem cię w Magnolia Drug. Miałem wtedy jakieś dwadzieścia pięć lat. Weszłaś z grupą przyjaciół. Chichotaliście, w ogóle zachowywaliście się głupawo. Sądzę, że zaczynałaś naukę w szkole średniej. Zamówiłaś wodę sodową.

- Nie pamiętam.

- Nie ma powodu, dla którego powinnaś. Dla ciebie to był zwyczajny dzień.

- Czy rozmawialiśmy wtedy? Roześmiał się gorzko.

- Uciekłabyś przerażona, gdyby zakała Heaven przemówiła do ciebie.

- Czy jeździłeś motocyklem? - Skinął głową. Roześmiała się.

- Masz rację. Kompromitujące dla mnie byłoby nawet przywitanie się z tobą.

- Gdyby Cotton to zwęszył, zamordowałby mnie. Brałem wszystko, co nosiło spódnicę i mówiło „tak”. Kiedy weszłaś, właśnie płaciłem za prezerwatywy. Zdecydowałem się pozostać i zamówiłem drinka.

- Tylko po to, żeby móc mi się przyglądać? Skinął głową.

- Miałaś różowy sweter. Puszysty różowy sweter, a twoje piersi doprowadzały mnie do oblędu. Były małe, ale tak wyraźnie rysowały się pod tym swetrem. Męczyłem swojego ciepłego już drinka ponad godzinę, przyglądając się, jak plotkujesz z koleżankami. Cały czas żałowałem, że nie mogę sięgnąć pod twój sweter i dotknąć tych ślicznych małych piersiątek.

Schyler słuchała jak zahipnotyzowana. Cash dłuższy czas patrzył w jej duże szkliste oczy, potem pochylił się i całował piersi dziewczyny. Każdy taki pocałunek to lata oczekiwania.

- Moje dotychczasowe doświadczenia pozwalały mi na dość interesujące fantazje - mruknął. - Nigdy nie wziąłem siłą żadnej dziewczyny. Byłaś za młoda dla takiego jak ja. Sądziś, że świntuszę?

- Bardzo.

Uniósł głowę i posłał jej szelmowski uśmiešek.

- Ale podoba ci się to?

- Tak - przyznała mu rację, śmiejąc się zażenowana. - Sądzę, iż każdej kobiecie schlebiałoby, że kiedyś była obiektem fantazji erotycznych.

- Tak, panno Schyler. Byłem białą nędzą, nie ślubnym mętem, ty - księżniczką z Belle Terre. Ja byłem dorosły, ty - tylko dzieciakiem. Byłaś dla mnie tak nieosiągalna, że nie mogłem tego uznać nawet za zabawne. Ale straciłem nad sobą kontrolę, chciałem cię choć dotknąć.

- Ponieważ nie mogłeś tego zrobić.

- Prawdopodobnie.

- Zawsze pragniemy tych rzeczy, które są nieosiągalne.

- Potem opuściłaś z koleżankami knajpę, a ja wsiadłem na motor i pojechałem na koniec miasta. Zaparkowałem i wyobraziłem sobie, że jestem z tobą. - Pocałował ją mocno. - Jeden telefon i mogłem mieć pod sobą dziewczynę w ciągu pięciu minut, ale nie chciałem żadnej. Poradziłem sobie sam, myśląc o Schyler Crandall. - Znowu ją pocałował. Mocniej.

- Nigdy nie widziałam Belle Terre z tej strony dziedzińca - zauważyła Schyler, siedząc w

kabinie pikapa Casha.

- Ja nigdy nie widziałem jej w inny sposób. Odwróciła szybko głowę, ale wyraz jego twarzy nie wskazywał na jakieś wrogie uczucia. Właściwie niczego nie można było z niej wyczytać. Spróbowała rozładować sytuację żartując.

- Czuję się głupio, zakradając się ukradkiem o świcie do własnego domu.

- Ciekawe, co pomyślą mieszkańcy tego domu o twojej nieobecności przez całą noc.

- Mark! Zapomniałam o nim. Powinnam tam być, zanim się obudzi. - Położyła dłoń na klamce, ale nie kwapiła się z pożegnaniem. - Co zamierzasz teraz robić? Wracasz do łóżka?

- Nie.

- Chyba nie wybierasz się tak wcześnie do pracy?

Na horyzoncie niebo było wciąż szare.

- Mam parę spraw do załatwienia.

- O tej porze?

Jego oczy stały się jeszcze bardziej chłodne.

- Wybacz mi - powiedziała z rozdrażnieniem Schyler.

- Nie miałam zamiaru wtrącać się w twoje sprawy. - Pchnęła drzwi, które wciąż nosiły ślad po kuli Jiggera Flynna, i zeskoczyła na ziemię.

- Schyler?

- Co? - Odwróciła się rozgniewana, że zarzucił już poprzednią czułość, która tak bardzo jej się podobała. - Do zobaczenia później.

Jego przesłonięte mgłą oczy rozbroiły ją i przegnały oburzenie. T on głosu dawał do zrozumienia, że chciałby, aby już było to „później”. Cash z uśmiechem wrzucił bieg i odjechał.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Jiggera obudził bolesny skurcz. Zapomniał, że Gayli już nie ma, i poszukiwał jej przez chwilę po omacku. Zamiast ciepłej, pięknej kobiety znalazł jedynie brudną pościel.

Przeklinając Murzynkę za to, że nie ma jej wtedy, gdy jest potrzebna, począł do łazienki i napił się wody. Gapiąc się w lustro wiszące nad obtłuczoną umywalką, ryknął śmiechem na widok swego oblicza.

- Wyglądasz jak sęp. Rzygać się chce.

Był bardziej odrażający niż grzech. Kilkudniowy zarost znaczył obwisłą skórę policzków. „Zbyt dużo whisky wypilem ostatniej nocy” - pomyślał.

Czknął i wykrzywił się, poczuwszy w ustach ohydny smak. Jeszcze raz spojrzął na swoje przekrwione oczy.

Oblepiony, powyciągany podkoszulek był cały w dziurach, a bokserskie spodenki tylko cudem trzymały się na jego tyłku.

Kuśtykał z powrotem do łóżka, gdy nagle zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, co go naprawdę obudziło.

- Co, do diabła? - mruknął. Nigdy nie słyszał podobnego odgłosu. Promień słońca poraził nabiegłe krwią oczy. Jigger zaklął szpetnie.

Gdy tylko oczy przyzwyczyły się do światła, zaczął uważnie przypatrywać się podwórzu. Nie działo się tam nic niezwykłego. Przy suce kręciły się szczeniaki, szczekaniem domagając się śniadania. Wszystko było normalnie.

Poza tym dźwiękiem.

Przeczuwając jakieś nieszczęście, poczuł, jak jego wnętrzności gwałtownie się skurczyły. Instynkt nie zawodził go w takich sprawach, potrafił zwęszyć kłopoty na milę. Ten odgłos nie oznaczał niczego dobrego, zwiastował niebezpieczeństwo. Ale skąd, do diabła, pochodził?

Nie zawracał sobie głowy ubieraniem. Gdy wszedł do kuchni, myszy rozpierzchły się po linoleum jak wysypane z worka kulki do gry. Od czasu ucieczki Gayli dom w przyspieszonym tempie zaczął obracać się w ruinę.

Otworzył tylne drzwi i przedarł się przez zasłonę. Psy na wybiegu zaczęły szczekać.

- Zamknijcie się, wy sukinsyny! - Podniósł dłoń do tętniącej skroni.

- Szlag by to trafił!

Zaledwie przekleństwo padło z jego ust, spostrzegł nagle beczkę stojącą na podwórzu.

To była zwyczajna beczka po ropie, nieco zardzewiała, ale ogólnie jeszcze w dobrym stanie. Właśnie z niej wydobywał się ten cholerny, niezwykle dźwięk.

Teraz Jigger rozpoznał go. Taki odgłos wydawał grzechotnik. Niech go szlag trafi, jeśli czyniony przez niego hałas nie wskazywał na potężne rozmiary węża.

Beczkę ustawiono na środku podwórka, pomiędzy kuchennymi drzwiami a szopą na narzędzia. Kto ją przyniósł?

Jigger, opierając dłonie na kościstych biodrach, gapił się na niespodziankę, roztrząsając ten problem. Ktokolwiek to zrobił, musiał być niezłym spryciarzem, skoro psy nie podniosły alarmu. Albo potrafił obchodzić się ze zwierzętami, albo był duchem.

Na rękach Jiggera pojawiła się gęsia skóra.

- Gówno!

To był zwykły wąż. Nie bał się węży. Dawniej kilkanaście razy wyjeżdżał do zachodniego Teksasu, by polować na grzechotniki. To były cholernie dobre czasy. Wódka płynęła strumieniami. Mnóstwo grzechotników pozbawił ich cholernego jadu.

To nie wąż mu przeszkadzał. O dreszcze przyprawiał go tajemniczy sposób, w jaki gad został dostarczony.

Jeśli ktoś pragnął sprawić mu prezent, dlaczego po prostu nie przyszedł i nie wręczył go osobiście? Dlaczego kazano mu odkryć niespodziankę, kiedy męczył go potworny kac i nie pił nawet porannej kawy?

Kawa. Tego potrzebował, kawy czarnej jak egipskie ciemności i mocnej jak diabli. Potrzebował kobiety, która każdego ranka przygotowałaby mu kawę. Postanowił sobie, że rozejrzy się dzisiaj i znajdzie nową kobietę. Miał tę czarną dziwkę o wiele za długo. Potrzebował takiej, która trzymałaby głowę na kłódkę i byłaby zawsze gotowa spełniać jego zachcianki. Wkrótce powinien otrzymać trochę forsy, sumkę nie do pogardzenia. Kupi za nią najlepszą cipkę w okolicy.

Ciągnął w myślach ten monolog, obchodząc jednocześnie beczkę i badając ją wzrokiem z każdej strony. Pokrywa beczki przygnieciona była sporym kamieniem. Uznał, że powinien zajrzeć do środka i przekonać się, czy wąż rzeczywiście jest tak ogromny, jak się wydawał.

Grzechot zawzięcie brzmiał mu w uszach, napinając nerwy do ostateczności. Wąż musiał być porządnie rozdrażniony tym, że został uwięziony. Flynn starał się przypomnieć sobie, na jaką

odległość grzechotniki mogą być niebezpieczne.

Poznał kiedyś faceta, który był wielkim znawcą grzechotników. Powiedział on Jiggerowi, że mogą uderzyć na odległość równą ich długości. Jigger nie uwierzył mu wtedy, bo uważał go za urodzonego kłamcę. Poza tym był pijany jak bela, a jego bajania długością przypominały kosmaty ogon psa, który' niemal cały czas lizał jego ucho.

Ale teraz, w tej niesamowitej sytuacji, Jigger zastanawiał się, czy przypadkiem facet nie miał racji.

A może to puste naczynie tak potęguje hałas?

- Do diabła, to jest to. On wcale nie jest taki duży.

Czując przyływ odwagi, zbliżył się do beczki, otuchy dodawało mu też ściskane w dłoni grube polano, które znalazł pod ścianą szopy. Za jego pomocą zepchnął kamień.

Przekładając polano z ręki do ręki, wytarł spocone dłonie o brudne spodenki. Potem stojąc dość daleko, zahaczył kij o obręcz pokrywy i ostrożnie ją uniósł.

Na drzewie, dokładnie nad jego głową, zaskrzeczała ochryple sójka, sprawiając, że Jigger prawie wyskoczył z gaci. Polano spadło na jego gołą stopę•

- A niech to szlag! - wrzasnął. Krzyk wprawił sukę w szal. Warcząc, z oślinionym pyskiem, raz po raz rzucała się na siatkę ogrodzenia. Stracił kilka minut, zanim uspokoił ją i szczeniaki oraz przegonił ptaka.

Ponownie zbierając do kupy rozdygotane nerwy, uniósł kij i podważył wieko. Uniósł je nie więcej niż na cal, ale natężenie złowrogiego dźwięku zwiększyło się dziesięć razy. Podeszedł na palcach i spróbował zajrzeć do środka, ale widział jedynie przeciwległą ścianę beczki.

Sprawdził, czy nikt za nim nie stoi, i wzięwszy głęboki oddech, zrzucił pokrywę na ziemię, odskakując jednocześnie do tyłu jak oparzony. Jego serce waliło jak młot, a krew pulsowała w skroniach. Nic nie było w stanie zagłuszyć mrożącego krew w żyłach grzechotu.

Wąż nie zaatakował. Jigger podkradł się do pojemnika i zajrzał przez krawędź do środka, wychylając się tak daleko, jak tylko zdołał.

- Cholera jasna!

Zobaczył jedynie część grubego jak ramię kulturysty węzowego ciała. Błyskawicznie zlustrował podwórko, rozglądając się za czymś, na czym mógłby stanąć. Dostrzegł wiadro leżące na stercie rupieci. Przyniósł je biegiem i ustawił w bezpiecznej odległości. Wszedł na nie i dokładnie przyjrzał się wężowi.

To było monstrum. Zwinięty na dnie beczki, wydawał się mierzyć jakieś osiem stóp długości. Minimum sześć. Wypełniał z pewnością trzecią część pojemnika. Sterczący ze środka śmiertelnych splotów ogon nie zatrzymywał się ani na sekundę.

Ten wściekły jak diabli król grzechotników jest jego. Jigger klasnął z radości i z zadowoleniem splótł ręce pod brodą, gapiąc się na wzbudzający grozę cudowny prezent.

Wąż, który skusił Ewę, nie mógł być wstrętniejszy niż ten. Możliwość oglądania czegoś tak doskonale złego, tak wspaniale nikczemnego, wprawiała Jiggera w zachwyt.

Wszystko w tym gadzie emanowało szatańskim pięknem - geometryczny wzór na skórze, złotozielone oczy, rozwidlony język, który wysuwał się i znikał, nieustanny złowieszczy grzechot.

Szybko, ale ostrożnie Jigger zamknął wieko i przycisnął je kamieniem. Bał się, że wąż mógłby się wydostać. Jigger w mgnieniu oka poczuł ogromne przywiązanie do nowego zwierzaka. Kochał swojego węża.

Pobiegł do domu pełen planów, jak wykorzystać ten niespodziewany dar. Teraz był tego pewny: ktokolwiek go podrzucił, nie zamierzał zrobić Flynnowi krzywdy.

Tłumaczył sobie, że węża zostawił któryś z jego dłużników. Mógł nim być prawie każdy w południowo - zachodniej Luizjanie. Nie zamierzał łącać sobie nad tym głowy, zanadto zaprzętały go plany przyszłych zysków.

Przede wszystkim musiał załatwić odpowiednią reklamę dla swojej nowej atrakcji. Do zmroku podwórko powinno zaroić się od gości pragnących zobaczyć jego pupila. Jaką podać cenę? Dolar? Okrągła suma. Dobrze.

Wszedł do domu. Skrzypiące drzwi ze zgrzytem zatrzęsły się za nim, ale nie słyszał nic poza niesamowitym grzechotem fantastycznego węża. W uszach Jiggera brzmiał on jak najpiękniejsza muzyka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Cotton był nieznośnym rekonwalescentem. Zmuszał wszystkich do ciągłego zajmowania się nim i spełniania coraz to nowych życzeń.

Tricia po upływie pierwszego tygodnia pobytu Cottona w Belle Terre przestała dokładać specjalnych starań, by ojciec zawsze miał w zasięgu ręki to, czego potrzebował.

- Zawsze był przekornym sukinsynem - powiedziała pewnego dnia przyciszonym głosem do Schyler, którą spotkała w holu. - Teraz jest jeszcze gorszy.

- Toleruj jego humory. Nie rób ani nie mów niczego, co mogłoby go rozzłościć.

Schyler obawiała się, że siostra i Ken, zniescierpliwieni tym, że sprawa sprzedaży Belle Terre wciąż nie została rozstrzygnięta, przedłożą ten projekt Cottonowi. Doktor Cottins wielokrotnie przed wypisaniem Cottona ze szpitala powtarzał, że jest to człowiek nadal chory na serce, którego trzeba traktować ze szczególną ostrożnością, bez względu na to, jak byłby uciążliwy.

Tricię rozzłościła uwaga Schyler.

- Boisz się tego, prawda? Czy to dlatego nie sypiasz po nocach?

- O czym ty mówisz?

- Daj spokój, nie udawaj niewiniątka - zakpiła Tricia z szelmowskim uśmiechem. - Mimo całego sprytu nie udało ci się ukryć swojego powrotu nad ranem. - Pokręciła głową i roześmiała się zjadliwie. - Uczciwie mówiąc, masz, siostrzyczko, okropny gust, jeśli chodzi o wybór mężczyzn. Panienska z dobrego domu i kocur z białej nędzy.

- A twój własny mąż? - odpaliła Schyler. - Ublizas sama siebie. Nie zapominaj, że miałam go przed tobą krótko ucięła dyskusję. Ciągłe kłótnie z Tricią zaczynały ją już męczyć. Małostkowość siostry, jej pogarda dla wszystkiego i wszystkich drażniła Schyler.

Po odbyciu obowiązkowej wizyty w pokoju chorego po jego powrocie ze szpitala Ken unikał spotkań z Cottonem. Właściwie większość czasu Ken poświęcał sobie. Często popadał w nieprzyjemne dla otoczenia nastroje, nadmiernie pił i przeprowadzał szeptem potajemne rozmowy przez telefon.

Szczególnie zgryźliwy był zwłaszcza dla Schyler. Przypuszczała, że powodem jego nieustannych fochów jest odmowa pożyczki, na której mu zależało. Przez telefon rozmawiał prawdopodobnie z niecierpliwymi wierzycielami. Współczuła mu, był jednak dorosłym

człowiekiem i powinien się nauczyć załatwiać swoje sprawy samodzielnie.

Z początku Gayla odnosiła się do Cottona z onieśmieleniem. Z trudem udało się ją przekonać, by weszła do jego pokoju. Ale wkrótce znaleźli wspólny język.

Cotton jakby zapomniał o latach spędzonych przez nią z Jiggerem. Przekomarzał się z nią często, opowiadając ze wszystkimi detalami zdarzenia z jej dzieciństwa, kiedy była skaraniem boskim dla Vedy.

Lody pomiędzy nimi zaczęły pękać. Oboje podporządkowali się niepisanej umowie regulującej ich wzajemne stosunki. Oboje powracali do zdrowia po ciężkich przeżyciach. Jedyne Gayla potrafiła przekonać go do zjedzenia posiłku, który mu nie smakował, do zażycia o określonej porze przepisanych lekarstw czy do regularnych zabiegów higienicznych.

Pierwszego dnia prawie pobił się z panią Ounne, gdy przejawiała ochotę do matkowania mu tak jak poprzednio swojemu mężowi. Cotton nie mógł tego ścierpieć i poinformował o tym gospodynię w dość nie cenzuralnych słowach. Gdy jednak atmosfera się poprawiła, zaczęli traktować się z ostrożnym, co prawda, ale szczerym szacunkiem.

Ze wszystkich domowników najlepszy wpływ na niesfornego pacjenta miała Schyler. Zawsze wiedziała, jak łagodzić jego temperament, kiedy unosił się gniewem, i jak podnieść go na duchu podczas napadów depresji. Opiekowała się nim, wykorzystując przy tym kobiecą przebiegłość i spryt.

Pozwolono mu oglądać wiadomości w telewizorze, który umieszczono w jego pokoju. Do obowiązków Gayli należało zaopatrzenie go w lokalną prasę natychmiast po jej dostarczeniu do Belle Terre. Ale gdy pytał o „Crandall Logging”, Schyler wyrażała się raczej mgliście.

- Wszystko w najlepszym porządku - powtarzała podczas wieczornych odwiedzin.

- Jakies problemy z wykonaniem zamówienia Endicotta?

Żadnych. Jak się czujesz?

- Pociągi jeżdżą zgodnie z harmonogramem?

- Tak. Pani Ounne powiedziała, że zjadłeś dzisiaj cały lunch.

- Czy ścinają odpowiednie drzewa?

- Najwyższej jakości. Zdrzemnąłeś się po południu?

- Czy spłacimy dług w terminie?

- Tak, jestem tego pewna. Teraz połóż się wygodniej.

- Schyler, tak mi wstyd, że musisz naprawiać moje błędy.

- Nie martw się, tato. Ciężka praca mi służy. Właściwie podoba mi się.

- To zbyt wielkie obciążenie dla kobiety.

- Jak możesz tak mówić?! Czy uważasz, że jestem za słaba, aby kierować rodzinnym interesem?

- Sądzę, że jestem staromodny. - Spojrzał na nią, zmarszczywszy brwi. - Kiedy byłem w twoim wieku, ekscentryczności raczej unikano. Normalne kobiety nie rwały się do interesów. Dlaczego nigdy nie udało mi się poznać Marka Houghtona? Ukryłaś go przede mną?

- Nie. - Udało jej się utrzymać poprzedni ton głosu.

Tricia albo Ken wygadali. Prawdopodobnie Tricia zrobiła to z zemsty za kosza, jakiego dostała od Marka. - Mark musiał wyjechać przed twoim powrotem ze szpitala, to wszystko.

Tamtego ranka, po powrocie z domku Casha, znalazła kartkę od Marka przypiętą do poduszki. Wyraził nadzieję, że przyjemnie spędziła wieczór. Wyjaśnił też, że w środku nocy otrzymał wiadomość o niespodziewanej chorobie matki i, niestety, musiał natychmiast wyjechać. Napisał, że wezwał taksówkę z Heaven, obiecując kierowcy suty napiwek za podwiezienie do Lafayette, gdzie mógł rano złapać samolot.

Zrozumiała, że Mark unikał w ten sposób ostatecznego pożegnania. Należała do Belle Terre, a on nie.

Do ich rozstania doszło tamtego pamiętnego wieczora, choć żadne nie chciało przyznać, że tym w istocie była ostatnia rozmowa na werandzie. Mimo szczerego żalu Schyler była zadowolona, że Mark wybrał takie rozwiązanie. Rozstanie w klasycznym wydaniu przysporzyłoby im tylko niepotrzebne cierpienia.

- Jak mogłaś żyć z takim pedałem?

- Nie masz pojęcia, jakim człowiekiem jest Mark, tato. Nigdy go nie poznałeś.

- Pedał to pedał.

- Jest homoseksualistą, zgoda, ale jest także inteligentny, wrażliwy, dowcipny. Traktował mnie jak prawdziwego przyjaciela.

- Za moich czasów, gdyby taki typ stanął komuś na drodze, wytrzepano by z niego diabła.

- Mam nadzieję, że nie jesteś z tego dumny.

- Specjalnie zawstydzony też nie. Dawniej potrafiliśmy popędzić pedałem kota. Dopiero później zaczęto głosić te bzdury o społecznej równości.

- Dzięki Bogu, że tak się stało. Przebyliśmy daleką drogę od czasów, gdy tych, którzy byli

inni, ganiano po ulicach.

Cotton nie dostrzegł żartu w jej odpowiedzi.

- Jesteś bardzo wygadana, panno Crandall.

- Nauczyłam się tego od ciebie.

Przez moment przyglądał się jej badawczo.

- Wiesz, twoje dramatyczne rozstanie z Kenem wyprowadziło mnie z równowagi, ale teraz cholernie się cieszę, że tak się stało. To gnojek. Pije za dużo, jest nałogowym hazardzistą, pozwala Tricii wodzić się za nos. Taki układ pasuje mu doskonale, ale ty zniecierpliwiłabyś go szybko. Jesteś za silna dla Kena Howella. - Westchnął nieco zdenerwowany. - Ale uwolniwszy się od tego fajtlapy, co robisz? Przykuwasz się kajdanami do jeszcze słabszego mężczyzny.

- Mylisz się. Mark jest jednym z najsilniejszych ludzi, których znam. Porzucenie życia w Bostonie wymagało od niego wielkiej odwagi. Lubiłam go, było nam ze sobą dobrze. Wierz albo nie, ale nie zamieszkałam z nim po to, żeby zrobić ci na złość.

Cotton sceptycznie zmarszczył brwi.

- Ładnie to wygląda, prawda? Kiedy znajdziesz prawdziwego mężczyznę, który przysporzy mi w końcu wnuków?

- Mark mógłby, gdyby chciał. Nie chciał.

- Uważam, że to jedna z przyczyn, dla których związałaś się z nim. Nie był dla ciebie zagrożeniem.

- Darzyłam go sympatią za to, kim był, a nie za to, kim nie był.

- Nie baw się ze mną w utarczki słowne, młoda damo - zbeształ ją ostro. - Twój problem polega na tym, że upodobałaś sobie ludzi o dość wątpliwym pochodzeniu.

- Naprawdę?

- Od dziecka czułaś pociąg do takich jak Gayla czy Glee Williams.

Dostrzegła szansę na zmianę tematu.

- Skoro jesteśmy przy Glee. Wiedzie mu się bardzo dobrze. Dzwoniłam dzisiaj do szpitala, zamierzają go niedługo zwolnić. Jedyne co parę dni będzie musiał chodzić na ćwiczenia rehabilitacyjne. Sądzę, że znajdziemy mu pracę za biurkiem.

- Jacy my?

- Nie rozumiem.

- Powiedziałaś, że wy znajdziecie mu pracę.

- Och, eee ... ty i ja. - Pod wpływem przenikliwego spojrzenia ojca Schyler oblała się rumieńcem. - Glee nie podoba się pobieranie pensji za nic.

Burknięciem dał do zrozumienia, że jej gładka odpowiedź go nie satysfakcjonuje.

- Nie odziedziczyłaś tej wielkodusznej natury po mnie. Oczywiście po Macy też nie, jej serce było z kamienia. Kto cię natchnął taką dobrocią?

- Podejrzewam, że to kwestia więzów krwi. Kto wie? Rozmowa zaczynała zmierzać w niebezpiecznym kierunku. Zerknęła na zegarek.

- Już czas, byś położył się do łóżka. Specjalnie przeciągasz rozmowę, aby odwlec ten moment. Naprawdę, tato, jesteś jak małe dziecko.

Pochyliła się nad nim i poprawiła poduszkę. Pocałowała go w czoło i zgasiła nocną lampkę. Złapał córkę za rękę.

- Uważaj, Schyler, by twoje dobre serce nie obróciło się przeciwko tobie - ostrzegł ją.

- Co masz na myśli?

- Zdobyte w życiu doświadczenie nauczyło mnie, że ludzie znajdują upodobanie w gryzieniu ręki, która ich żywi. Daje im to przedziwną satysfakcję. Leży to po prostu w ludzkiej naturze. Nie zmienisz tego. - Poglaskał palcem jej dłoń. - Upewnij się, że nikt nie myli twojej wielkoduszności ze słabością. Ludzie twierdzą, że wielbią świętych, ale faktycznie gardzą nimi. Napawają się widokiem, gdy ci potykają się i rozbijają sobie tyłki o twardą ziemię.

- Przemyślę to, co powiedziałeś.

Cotton wyznawał osobliwą filozofię. Schyler miała ochotę uśmiechnąć się pobłaźliwie, przyznać mu głośno rację i potraktować jego gadanie jako bajdurzenie starego człowieka. Jednak jego słowa pobrzmiewały jeszcze w jej uszach, gdy wyszła na werandę. Prześladowało ją silne przeczucie, że Cotton oględnie ostrzegł ją przed Cashem Boudreaux. Nie powiedział jednak tego otwarcie.

Ciągle nie wyjawiała, w jakim stopniu Cash zaangażował się w rodzinny interes Crandallów ani jak wiele od jego pracy zależało.

Cottonowi taka sytuacja nie przypadłaby do gustu. W trosce o jego zdrowie omijała osobę Casha w rozmowach z ojcem. Cotton podchwyciłby najmniejszy nawet sygnał. Zawsze podziwiała umiejętność tego człowieka do wyciągania właściwych wniosków ze strzępków informacji.

Musi wiedzieć, że Cash kieruje najważniejszymi operacjami „Crandall Logging”. Bez

wątpienia oburzało go to, ale zdawał sobie sprawę, że bez doświadczenia syna Monique Schyler nie miała szans na odniesienie sukcesu.

Podjeżdżał natomiast osobiste zaangażowanie Schyler w związek z Cashem. Biorąc pod uwagę jego stosunki z Monique, przecucia Cottona znajdowały pewne uzasadnienie.

Schyler dręczyło coś więcej niż zwykłe obawy. Była wręcz przerażona uczuciem, jakie żywiła do Casha. Ciągłe nie mogła nasycić swego pożądania. Ciągłe tęskniła za jego pocałunkami i gwałtowną miłością. Nigdy nie czuła podobnej radości życia jak w jego towarzystwie i takiego pomieszania uczuć, gdy był nieobecny.

Nie spotkała dotychczas podobnie intrygującego mężczyzny. Jego namiętność czasami wprawiała w zakłopotanie. Uzależniła się od niego, a jednocześnie nie dowierzała mu. Jego pieszczoty zdumiewały swą intensywnością, ale w następnej chwili Cash skrywał się pod nieprzeniknioną maską.

Kiedy głód ich ciał został zaspokojony, omdlewając w jego objęciach, często miała wątpliwości. Bała się, iż Cash pragnął jej tylko dlatego, że symbolizowała to, do czego jemu odmawiano dostępu.

Znał bardzo wiele kobiet. Większość z nich była bardziej interesująca niż ona. Dlaczego stanowiła dla niego taką atrakcję? Czy dlatego, że zdobywając jej ciało, miał wrażenie, iż wkracza do Belle Terre?

Ta myśl prześladowała ją szczególnie natrętnie. Było jej duszno, wyszła więc na zewnątrz, by przespacerować się po werandzie i zaczerpnąć świeżego powietrza. Obchodząc róg budynku, wpadła na Gaylę. Czarnoskóra kobieta z cichym okrzykiem przyłgnęła gwałtownie do ściany.

- Gaylo, co się z tobą dzieje? - zapytała Schyler, oddychając gwałtownie. - Przestraszyłaś mnie.

- Przepraszam. Ty też mnie przestraszyłaś.

Schyler przyjrzała się przyjaciółce dokładniej. Oczy Gayli były wielkie jak spodki, a na jej twarzy malował się strach.

- Co się stało?

- Nic. Po prostu wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza. Sądzę, że czas już na mnie.

Gayla odsunęła się od ściany i odwróciła, by odejść, lecz Schyler zatrzymała ją, chwytając za ramię.

- Nie tak szybko, Gaylo. Co się stało?

- Nic.

- Nie mów takich bzdur. Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Usta Murzynki zaczęły drżeć, jakby tłumiała łkanie. W dużych ciemnych oczach pojawiły się łzy.

- Chciałabym, żeby tak było.

Schyler podeszła do niej jeszcze bliżej, zaintrygowana niezwykłym zachowaniem Gayli.

- Co się stało?

Gayla sięgnęła w odpowiedzi do kieszeni spódnicy i wyciągnęła coś. W padającym przez okno świetle Schyl er rozpoznała brzydką, ręcznie zrobioną lalkę przypominającą Gaylę. Namalowane jasnoczerwoną farbą serce lalki przebite było szpilką.

- Voodoo? - wyszeptła Schyler, obrzucając przyjaciółkę badawczym spojrzeniem. - Czy o to chodzi? - Nie mogła uwierzyć. - Gdzie ją znalazłaś?

- Ktoś podrzucił ją na moją poduszkę.

- W twoim pokoju? Znalazłaś to w swoim pokoju? Uważasz, że zrobił to ktoś z domowników? - Okrucieństwo tego czynu było niepokojące. Nawet Tricia nie zdobyłaby się na coś takiego. Nie kochały się, co prawda, z Gaylą, ale ... czarna magia?

- Nie. Nie podejrzewam nikogo z domowników - odpowiedziała Gayla.

- Kiedy ją znalazłaś?

- Ostatniej nocy.

- Opowiedz mi dokładnie o wszystkim.

- Usłyszałam tutaj, na werandzie, jakiś hałas.

- O której godzinie?

- Nie wiem. Po twoim wyjściu. - Spojrzały na siebie speszone, by za chwilę uciec wzrokiem w dal. - T o było późno.

- Dalej.

- Wydawało mi się, że słyszę dobiegające stąd odgłosy. - Gayla rozejrzała się z lękiem. - Nie byłam pewna. Pomyślałam, że ulegam złudzeniu. Ostatnio wydaje mi się, że widzę Jiggera dosłownie za każdym krzakiem.

- Ta zabawka nie jest z pewnością wytworem twojej wyobraźni. - Schyler skinęła ponuro głową w kierunku lalki.

- Zebrałam się na odwagę i wyszłam na zewnątrz, żeby sprawdzić, co to takiego.
- Nie powinnaś tego robić.
- Nie chciałam wyjść na idiotkę, budząc wszystkich.
- Na drugi raz nie przejmuj się tym. Co wydarzyło się na dworze?
- Niczego nie zauważyłam ani nie usłyszałam. Po powrocie znalazłam to na łóżku. -

Schowała lalkę i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Czy to mógł zrobić Jigger?
- Nie osobiście, brak mu sprytu. - Zastanawiała się przez chwilę. - Ale mógł wynająć

kogoś do tej roboty. Chciał powiadomić mnie, że nie zapomniał.

- Kto teraz zajmuje się czarami voodoo?
- Wielu czarnych.
- Chrześcijanie?

Gayla poważnie skinęła głową.

- Czarna magia jest starsza niż wiara w Jezusa Chrystusa. Przetrwiała do dziś.
- Czy Jigger w nią wierzy?
- Wątpię. Ale inni wierzą, więc on wykorzystuje voodoo do straszenia ludzi.
- Robił to już przedtem? - Schyler przypomniała sobie znalezione na werandzie dwa

martwe koty.

- Tak sędzę.
- Czy wiesz, kto się tym dla niego zajmuje? - Gayla patrzyła wszędzie, tylko nie na Schyl

er. - Kto, Gaylo?

- Nie wiem. Nie jestem pewna.
- Ale podejrzewasz kogoś. Kto to jest?
- Jigger w ciągu tych sześciu lat, które z nim spędziłam, wymienił tylko jedno nazwisko.
- I?
- Chyba kłamał, bo ten człowiek nie jest czarny.
- Nazwisko. Wyduś je w końcu z siebie.

Gayla oblizwała wargi.

- Jigger powiedział, że robił to dla niego Cash Boudreaux.

Usłyszał skrzypnięcie deski na werandzie. Odłożył gazetę i na wszelki wypadek wyciągnął nóż z pochwy. Przyłgął do ściany i zaczął przesuwając się carpo calu w stronę frontu

domu. Drzwi były otwarte. Teraz ciszę zakłócały jedynie owady tłumnie nadlatujące w kierunku światła. Mimo to Cash wciąż był czujny. Instynkt ostrzegł go, że ktoś znajduje się w pobliżu.

Błyskawicznym ruchem otworzył drzwi na oścież i ruszył do przodu. Zaskoczony intruz kulił się pod ścianą. Cash wyrznął go barkiem w brzuch i przycisnął ostrze noża do gardła mężczyzny.

- Jezu! - krzyknął ze strachu napadnięty. - To ja.

Cash uspokoił się i schował nóż.

- Dlaczego, do diabła, zakradasz się tutaj?

- Sądziłem, że po to mnie wynająłeś, abym węszył wokół.

Cash wyszczerzył zęby i klepnął gościa w ramię.

- Ale nie wokół mnie. Chcesz drinka, mon ami?

- Cholernie chętnie użyję trochę twojego alkoholu. Dzięki.

Weszli do środka. Cash nalał dwie porcje bourbona.

- Jak poszło?

- Tak, jak przewidywałeś. - Mężczyzna wychylił szklanekę i dodał z szerokim uśmiechem:

- Nigdy się nie dowiedzą, że tam byłem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

- Co cię tak bawi? - zapytała Rhoda Gilbreath męża.

Odłożyła widelec na talerz i sięgnęła po kieliszek wina.

- Ludzi, którzy się śmieją sami do siebie, zamykają w domu wariatów, Dale.

Gilbreath, nie reagując na jej kąśliwą uwagę, wytarł serwetką usta i odsunął talerz. Rhoda chciała zachować zgrabną sylwetkę i dlatego posiłki w ich domu nie były specjalnie obfite. Zresztą nie miał ochoty na preferowaną przez żonę zdrową żywność. Każdego ranka pochłaniał na śniadanie imponującą ilość świeżych pączków, a później jadł porządny lunch, więc nie groziło mu, że wieczorem pójdzie głodny do łóżka.

- Wybacz, kochanie. Oczywiście, zdradzę ci powód mojego rozbawienia. - Spłukał chłodnym winem smak posiłku. - Czy słyszałeś o ostatniej atrakcji, o której teraz mówi się w mieście?

- Ponownie otworzyli kino dla zmotoryzowanych. Nic nowego, Dale.

- Nie o to mi chodzi.

- Wstrzymuję oddech - odpowiedziała kpiąco. Jigger Flynn dostał w prezencie węża. Świetnie!

Dale odchylił się na krześle.

- To nie jest byle jaki wąż, to grzechotnik. Wygląda makabrycznie.

- Poszedłeś do Jiggera obejrzeć gada?

- Nie chciałem być jedynym w mieście, który go nie widział. - Zachichotał. - Wszyscy tylko o tym mówią.

- Co wymownie świadczy o miernym poziomie inteligencji tutejszej społeczności.

- Nie unoś się. Naprawdę warto rzucić okiem na to monstrum.

- Umierasz z ochoty, żeby mi wszystko dokładnie opowiedzieć, prawda? Dobrze, mów.

Jednak kiedy to zrobił, uświadomił sobie, że jego opowieść wywarła na niej wrażenie.

- Rzeczywiście nie wie, kto go podrzucił?

- Przynajmniej tak twierdzi, ale nigdy nie można mieć pewności, czy Jigger kłamie, czy nie. - Dale wspominał podniecenie Flynn'a, gdy ten pokazywał swoją „maskotkę”. - Myślę, że to coś więcej niż kolejny sposób zarabiania pieniędzy.

- Jak to?

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że Jigger popadł w coś w rodzaju uzależnienia od swojego grzechotnika.

- W jaki sposób?

- Psychiczenie. - Dale pochylił się nad stołem i dodał spokojnym głosem: - Myślę, że właśnie o to chodziło ofiarodawcy.

- Od kiedy interesujesz się psychologią, mój drogi? Dale zignorował złośliwą uwagę żony. Wyglądał tak, jakby szukał rozwiązania skomplikowanej zagadki.

- Ktokolwiek dał Jiggerowi tego grzechotnika, chciał wytrącić go z równowagi. Cholera, to bydlę słycać z odległości dwunastu jardów. Nigdy nie doświadczyłem podobnego uczucia jak dzisiaj na podwórku Jiggera.

Rhoda, przesuwając szczupłymi wypiełgnowanymi palcami po nóżce kieliszka, spojrzała przenikliwie na męża.

- Nie masz z tym nic wspólnego, prawda?

Dale udał zaskoczenie.

- Kto, ja? Oczywiście, że nie.

Roześmiał się na widok jej niedowierzania.

- Uczciwie mówiąc, nie wiem nic o pochodzeniu węża Jiggera Flynna.

Rhoda upiła łyk wina.

- Gdybyś wiedział, odpowiedziałbyś tak samo.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo jesteś sukinsynem.

Dale zmarszczył brwi. Alkohol nie poprawił humoru Rhody.

- Chciałbym wiedzieć, kto doprowadził cię do takiego stanu, że przez cały tydzień masz w nosie muchy i stajesz się nie do wytrzymania.

- Miałam mnóstwo spraw na głowie.

- Jedną z nich były rozważania o tym, kto zostanie twoim następnym kochankiem.

Dale wyszedł z jadallii, zanim Rhoda zareagowała na jego słowa. Po chwili poderwała się z krzesła i podążyła za nim. Dopadła go w gabinecie, gdzie spokojnie zapalał fajkę. Paląca się zapałka zatrzymała się w pół drogi, gdy żona złapała go za ramię•

- Co to niby miało znaczyć?

Dale uwolnił się, zapalił fajkę i zgasił zapałkę. Dopiero wtedy poświęcił uwagę żonie.

- W całym mieście huczy, że twój obecny kowboj ujeżdża Schyler Crandall. Psi los, Rhoda.

- Co masz na myśli?

- Ujeżdżanie? To znaczy ...

Pchnęła go silnie w pierś.

- Przestań! Wiesz, o co mi chodzi. Co to oznacza dla nas? Dla twoich planów przejęcia Belle Terre?

Spojrzał na nią groźnie i wypuścił kłęb dymu.

- Uwzględniłem ich romans. To może ją drogo kosztować. Czuję, że Boudreaux kieruje się czymś więcej niż zwyczajnym pociągami seksualnym. Między ich rodzinami istnieje ostra animozja związana z jego matką i starym Crandallem.

Nastrój Rhody poprawił się nieco. Pragnęła, by niebo runęło na Casha i Schyler. Jak powiedział Dale, całe miasto plotkowało, że sypiają ze sobą. Rozpowszechnianiem tych pikantnych plotek zajmowała się młodsza siostra Schyler. Z czarującym uśmiechem pozwalała chciwym każdego szczegółu słuchaczom wyciągać z siebie informacje.

- Wszyscy w Belle Terre jesteśmy zdegustowani Cashem. Pamiętacie, kim była jego matka?

Rhoda nie dała się oszukać. Tricia zazdrościła siostrze jej romansu z Cashem. Głupie babsko.

Schyler Crandall spowodowała niespodziewaną zmianę w osobowości Casha. Ten sukinsyn rzucił ją dla takiej gęsi. Zapłaci za' to z nawiązką.

- Możesz wykorzystać jedno przeciwko drugiemu - zasugerowała Dale' owi.

W podzięcie poklepał ją po policzku.

- Jesteś odrażającą kobietą, kochanie. Odrażającą, ale także sprytną•

- Czy mogę ci pomóc w jakiś sposób?

- Dziękuję, ale całkowicie kontroluję sytuację. Znalazłem znakomitego informatora.

- Mam nadzieję, że ufasz tej osobie.

- Ma do zyskania równie dużo jak my.

Rhoda przytuliła się do męża i położyła dłonie na jego piersi.

- Jeżeli będziesz mnie potrzebował, nie omieszkaj o tym wspomnieć, kochanie.

Przeraźliwy dźwięk klaksonu obudził Schyler. Odrzuciła pościel i wybiegła do holu. Z

okna dostrzegła pickapa Casha.

Boudreaux stał przy otwartych drzwiach.

- Ubieraj się! - krzyknął. - Mamy problem.

- Co się stało?

- Powiem ci po drodze.

Po paru minutach była na dole. Wrzuciła do kabiny buty i wskoczyła do środka.

- Podniosłeś alarm w całym domu. Mam nadzieję, że powód takiego zachowania jest rzeczywiście ważny.

- Na autostradzie pękł łańcuch jednej z przyczep i pnie rozsypały się na całej szerokości drogi. Wezwałem ludzi, którzy starają się teraz je usunąć.

- Czy ktoś został ranny?

- Nie.

- Dzięki Bogu. - Gdyby do wypadku doszło w godzinach, w których szosa jest zatłoczona samochodami ... Schyler wzdygnęła się na myśl o konsekwencjach. - Tak wcześnie zdążyliście załadować przyczepę?

- Wszyscy moi ludzie pracują w nadgodzinach. Zaczynamy o świcie. Do terminu uzgodnionego z Endicottem pozostał tydzień, zapomniałaś?

- A jeśli nie uprzątniemy szybko drogi, nie będziemy mieli dzisiaj ludzi do pracy na porębie.

- Liczy się każda minuta. - Cash prowadził nie respektując żadnych przepisów drogowych.

- Jak długo, twoim zdaniem, to potrwa?

- Nie wiem. - Zerknął na nią. - Szkoda, że nie włożyłaś dzinsów. Może się zdarzyć, że skończysz dzisiaj przy wycinaniu lasu.

- Chętnie, nawet w spódnicy. Musimy wykorzystać każdą chwilę, póki pogoda nam sprzyja - mruknęła, przygryzając wargi. - Dlaczego ten łańcuch zerwał się właśnie teraz?

- Ktoś mu pomógł. - Schyler spojrzała zaskoczona na Casha.

- Przecięto go - wyjaśnił. - Wystarczyło, że ciągnik wyjechał na drogę i bale zaczęły się staczać.

Cash, jesteś pewny?

- Tak.

- Kto to zrobił?
- Skąd, do diabła, mam wiedzieć?
- Kto prowadził?

Wymienił nazwisko kierowcy i zdecydowanie pokręcił głową.

- Pracuje w firmie od lat. Cotton Crandall jest dla niego niemal Bogiem.
- A jego córka? Co o niej myśli?

Obdarzył ją uśmiechem.

- Dosłownie?

Zadał to pytanie w taki sposób, iż uznała, że lepiej nie domagać się odpowiedzi.

- Jest lojalny?
- Bez zastrzeżeń.
- A inni w jego grupie?

Przez chwilę analizował w pamięci listę pracowników.

- Powierzyłbym każdemu swoje życie. Zresztą, jaką mogliby mieć motywację? Jeśli „Crandall Logging” wypadnie z interesu, stracą pracę.

- Jeśli któremuś sypnięto by większą forszą, nie przejmowałby się bezrobociem.

- Nagłe bogactwo zdradziłoby go, a pozostawieni na lodzie kumple postaraliby się, żeby zdrajca nie cieszył się długo forszą. Nikt nie byłby tak głupi, by spróbować. Poza tym są lojalni względem siebie w podobnym stopniu jak względem twojego taty.

- A niezależni?
- Znowu brak motywu. Dobry rynek zbytu, dzięki czemu mniej ich kosztuje transport.
- Dalej myślisz, że to sabotaż?
- A ty nie?
- Jigger? - zapytała. Spojrzeli na siebie, znając odpowiedź.

Gdy dojechali, na miejscu znajdował się już policjant, który gorączkowo kłócił się z drwałami.

Cash przepchnął się między nimi.

- Co się dzieje?

Policjant odwrócił się.

- Ty tu kierujesz?
- Ja.

- Będzie cię sporo kosztowało, mój panie. Przyczepa była przeładowana.

- Pokaż mi taką, która nie jest.

- Tak, ale przyłapałem ciebie - odparł policjant słodkim głosem.

- Pękł łańcuch.

- Ponieważ przesadziłeś z obciążeniem. - Wyciągnął z kieszeni bloczek. - Każ swojemu kierowcy usunąć przyczepę z drogi.

- Słuchaj - powiedział Cash, usiłując zachować cierpliwość. - Nie możemy po prostu zepchnąć tego drzewa na bok. Trzeba je przeładować na inny ciągnik.

- Tak?

- Tak. Musimy ściągnąć dźwig i sprowadzić nową przyczepę. Trochę to potrwa, nie skonstruowano ich tak, by osiągały zawrotne prędkości.

- Nie można zablokować drogi. Będziesz musiał zrobić to w nocy.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Nie zaryzykuję życia moich ludzi, zmuszając ich do pracy po zmroku.

Policjant zwrócił się w kierunku, z którego dobiegł go kobiecy głos. Obrzucił Schyler spojrzeniem, które miało za zadanie onieśmielić ją.

- Kim pani jest?

- Schyler Crandall.

Jej nazwisko podziałało na niego niczym wiadro zimnej wody na ogień.

- Och, panna Schyler - wyjąkał, dotykając kapelusza. - Cóż, właśnie mówiłem pani pracownikom ...

- Słyszałam, co pan powiedział. Nie mogę się na to zgodzić. - Zaskoczony stróż prawa otworzył usta, ale zanim padło z nich jakiegokolwiek słowo protestu, Schyler kontynuowała: - Proponuję kompromis. Może pan puścić ruch pasem południowym, a zamknąć tylko północny? Spowolni to ruch, ale i tak hamowałiby go niedzielni kierowcy. Zamknięcie tylko jednego pasa nie wstrzymałoby całkowicie ruchu, a stanowiłoby ogromną pomoc dla nas. Ściągniemy potrzebny sprzęt i przystąpimy do pracy na jednym pasie. W ten sposób odblokujemy go szybciej, co byłoby z korzyścią dla wszystkich. Mam rację?

- Mam rację? - przedrzeźniał ją chwilę potem Cash, trzepocząc rzesami.

- Sam nie dogadałbyś się z tym sztywniakiem - odparła. - Co miałam robić?

- Gdybyś dała mu całusa, poszłoby jeszcze lepiej, ale i tak spisałaś się na medal.

Spiorunowała go wzrokiem, ale nie widział już tego, pochłonięty wydawaniem poleceń.

Miała wrażenie, że praca posuwa się w ślimaczym tempie, jednak pni stopniowo ubywało z drogi. Cash osobiście zasiadł za sterami dźwigu i zajmował się podnoszeniem bali z imponującą wprawą•

Schyler, dostarczywszy drwalom jedzenie, poczęstowała policjanta pączkiem. Odtąd nie sprawiał już żadnych kłopotów.

- Dzięki - powiedział sucho Cash, odbierając z rąk Schyler butelkę wody sodowej. W przeciwieństwie do reszty pracowników prostujących ramiona w cieniu drzew nie korzystał z dziesięciminutowej przerwy, lecz wolny czas poświęcił na sprawdzenie nowej przyczepy. Wypił zimny napój jednym długim łykiem. - Szkoda, że to nie piwo stwierdził, oddając jej pustą butelkę.

- Postawię ci całą skrzynkę piwa, jeśli do zmroku nadrobisz to, co straciliśmy rano.

Spoglądając ponuro na nią z góry, naciągnął wytarte skórzane rękawice i włożył kask na głowę.

- Dobra, podnosić tyłki! To nie piknik! - krzyknął, odwracając się do drwali. - Wracamy do pracy.

Odpowiedzieli pomrukiem niezadowolenia, ale wykonali polecenie. Schyler znała tylko jednego człowieka, którego komendy spotykały się z równym posłuszeństwem załogi - Cottona.

W miarę upływu czasu upał stawał się nie do wytrzymania. Powietrze było tak suche, że wszyscy z trudem oddychali. Mężczyźni zdjęli przepecone i lepiące się do pleców koszule. Wielu zawiązało na czołach pod kaskami chustki dla ochrony oczu przed zalewającym je potem. Tylko policjant nie ściągnął munduru, ale wielkie plamy pod jego pachami świadczyły, że upał daje się mu się we znaki. Często zdejmował kapelusz, by wytrzeć czoło i twarz. Schyler, stojąc przy ciężarówce Casha, rozdzielala zimną wodę.

Boudreaux nie pozwalał sobie na przerwy, więc przynosiła mu kubki z piciem. Wkładał kawałki lodu do ust i polewał głowę wodą, która ściekała po policzkach i ramionach na pierś, niknąc wśród gęstych włosów. Przepeconą koszulę owinął wokół pasa.

- Niepotrzebnie tu sterczysz - powiedział, obrzucając ją krytycznym spojrzeniem. - Spalisz się w tym słońcu. Już masz czerwony nos.

- Zostaję - oznajmiła stanowczo. Nie mogła opuścić swoich ludzi.

Wróciwszy do pikapa wyciągnęła bluzkę na wierzch spódnicy. Pot ściekał jej po plecach.

Włosy opadały ciężko na szyję. Szczęśliwie znalazła w kieszeni kawałek sznurka i związała je w węzeł.

Nigdy nie czuła się gorzej. Włosy wciąż grzały ją w kark.

Powoli odwróciła głowę i spojrzała w stronę lasu.

Częściowo ukryty za pnem drzew stał Jigger Flynn.

Patrzył na nią, wyraźnie śmiejąc się do siebie.

Westchnęła z przestraszeniem, udało jej się jednak zapanować nad swą reakcją na tyle, by nie dostrzegł jej Jigger. Wytrzymała spojrzenie jego małych, głęboko osadzonych oczu.

Wyśmiewał się z niej, napawając się spowodowanym przez siebie zniszczeniem. Prowokował ją do stawienia mu czoła, a jednocześnie przestrzegał, że jeśli to zrobi, on odpłaci tym samym. Dzisiejsze zdarzenie było tylko małą próbką tego, na co stać Flynną.

Rozważyła szybko możliwość przywołania policjanta i wskazania mu przypuszczalnego winowajcy wypadku, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Jigger wyparłby się, nie mrugnawszy okiem.

Alibi miał z pewnością nie do podważenia. Potrzebowała dowodu.

Wydawało się, że Jigger rozumie jej dylemat, gdyż uśmiechał się jeszcze szerzej. Nawet twarz szatana nie mogła wyglądać ohydniej. Schyler zadrżała. Odniosła wrażenie, że spojrzenie Flynny dotyka jej ciała jak macki.

Odwróciła się przestraszona i otworzyła usta, by zawołać Casha, ale zauważyła, że zajęty był ładowaniem ostatniego pnia na przyczepę. Policjant mówił do radiotelefonu w wozie patrolowym. Musiała więc sama stawić czoło temu czającym się za drzewem człowiekowi.

Wzięła głęboki oddech, ale gdy ponownie skierowała wzrok w stronę lasu, po Flynnie nie pozostało już ani śladu, jakby otworzyły się czeluści piekiel i diabli porwali go ze sobą.

Nagle jej uwagę przyciągnęła gromka owacja drwali. Na przyczepie został umieszczony ostatni pień i zabezpieczono ładunek.

- Odstaw pustą przyczepę na plac przeładunkowy i wracaj na porębę! - krzyknął Cash do kierowcy ciężarówki. - Reszta niech się ładuje na dźwig. Spotkamy się na miejscu, gdy odwiezę Schyler.

W skoczył do kabiny samochodu.

- Wsiadaj! - zawołał do Schyler, która wciąż dygotała ze strachu. Posłuchała. Cash wyjechał na szosę. Gdy mijali policjanta, Schyler pomachała mu w podziękowaniu.

- Czy wy dwoje umówiliście się?

Znosić jego złośliwości chwilę po spotkaniu z Jiggerem było dla niej zbyt trudne.

- Obchodzi cię to?

- Żebyś wiedziała! - Wsunął dłoń między jej uda i zacisnął palce na trójkątnym wzgórku.

- T o należy do mnie, dopóki mi się nie odechce, rozumiesz?

Doprowadzona do wściekłości Schyler odepchnęła jego dłoń.

- Trzymaj łapy z daleka ode mnie. Jeśli chcesz, możesz od razu iść do diabła.

- Co byś beze mnie poczęła, gdybym to zrobił?

Ostentacyjnie odwróciła głowę. Za ledwie pikap zatrzymał się za mostem na Kanale Laurenta, wyskoczyła z samochodu. Cash ruszył za nią i dopadł przy drzwiach biura. Odwrócił dziewczynę i przyciągnął do swej nagiej i wilgotnej piersi. Jego pocałunek pozbawił ją oddechu.

Język Casha torował sobie drogę między niechętnymi wargami Schyler. Jej opór zelżał trochę, po chwili poddała się całkowicie. Pocałunek Casha smakował solą i potem.

Równie niespodziewanie jak ją złapał, tak teraz odepchnął.

- Ostrzegałem cię, że nigdy nie jestem miły dla kobiet. Nie oczekuj, że dla ciebie się zmienię.

Odjechał, pozostawiając Schyler w chmurze wirującego białego kurzu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Schyler spoglądała w zapadający mrok. Potem, odgarniając z 'twarzy niesforny kosmyk włosów, okręciła się na pięcie i zamarła.

Cash, opierając się o ścianę, palił papierosa. Nie spodziewała się go tutaj, jednak powinna była wyczuć zapach dymu. Papieros zwisał mu niedbale z kącika ust. Patrzył na nią, trzymając kciuki zatknięte za pasek.

- Jednak nadrobiliśmy stracony rano czas - zagadnęła Schyler.

Oui.

- Parę razy zaczynałam wątpić, czy nam się uda.

Zaciągnął się po raz ostatni i cisnął niedopalek na plac.

- Ja nie wątpiłem w to ani przez chwilę.

- Podziękuj swoim ludziom w moim imieniu.

- Jeden z kierowców przyniósł na porębę wiadomość, że obiecałaś premię.

- Tak.

- Będą cię trzymać za słowo.

- Dostaną ją, gdy tylko odbiorę zapłatę od Endicotta i spłacę dług w banku.

- Jesteś mi winna skrzynkę piwa.

- Czy możesz z tym poczekać do jutra?

- W porządku.

Weszła do biura. Nie usiadła w fotelu, obawiając się, że zaraz położyłaby głowę na biurku i z miejsca zasnęła. Wyłączyła lampę i zabrawszy portmonetkę, podeszła do wyjścia.

- Wciąż jesteś na mnie wściekła? - Cash podszedł do niej, sprawdzając, czy zamknęła drzwi na klucz.

- Dlaczego miałabym być?

- Ponieważ nie zabiegam o twoje względy z kwiatami i prezentami.

Odwróciła się twarzą do niego.

- Uważasz, że jestem taka naiwna? Taka głupia? Gdybyś podarował mi kwiaty, uznałabym, że kpisz ze mnie, a nie uwodzisz. Pomijając wszystko, nie chcę, byś mi nadskakiwał. Ani ty, ani nikt inny.

- Dlaczego więc jesteś wkurzona?

- Nie wiem.

Schyler skierowała się do miejsca, gdzie zazwyczaj parkowała swój samochód, by po sekundzie zorientować się, że jej auto zostało tego dnia w Belle Terre. Zmieniła kierunek. Cash złapał ją za ramię.

- Dokąd idziesz?

- Zadzwoń do Kena, żeby po mnie przyjechał.

- Wsiadaj do ciężarówki. Podwiozę cię do domu.

- Ja ...

- Wsiadaj, do cholery!

Schyler wiedziała, że spieranie się z nim, zwłaszcza teraz, gdy czuła się taka zmęczona i brudna, byłoby błędem. Patrząc na niego, zastanawiała się, jak mu się to udaje, że po całym dniu morderczej pracy wygląda wciąż świeżo, podczas gdy ona ledwo trzyma się na nogach. Nie w głowie byłoby jej teraz troszczyć się o swój wygląd. Zbyt wyczerpana, by myśleć, a co dopiero dyskutować, potulnie wypełniła polecenie.

- Chcesz jechać do Jiggera, żeby zobaczyć jego grzechotnika? ..

Flynn był ostatnią osobą, jaką chciałyby teraz spotkać.

Wciąż drżała na każde wspomnienie jego złośliwego uśmiešku, ale pytanie Casha było tak niedorzeczne, że zapytała zdziwiona:

- Co?

- Jigger dostał od kogoś grzechotnika. Słyszałem, że to niesamowity wąż. Jigger nawet pobiera opłatę za możliwość obejrzenia tego cuda. Chcesz się tam zatrzymać po drodze?

- Mam nadzieję, że żartujesz. Jeśli tak, to był to żart w bardzo kiepskim stylu. Nie chcę mieć z Flynnem nic do czynienia, poza wniesieniem, być może, oskarżenia przeciwko niemu za wykorzystywanie Gayli ... A to zaledwie szczyt góry lodowej jego przestępstw. Nie mogę uwierzyć nawet, że pojechałbyś w pobliże jego domu. Flynn może ponosić odpowiedzialność za popełniony dzisiaj sabotaż.

- Myślałem o tym.

- I jeszcze namawiasz mnie na złożenie mu wizyty? - Rozłożyła szeroko ręce. - Och, jak mogłam zapomnieć! Przecież on jest twoim klientem, prawda?

- Masz na myśli lekarstwa?

- Tak.

- Pomogłem Gayli, nie Jiggerowi.
- Ale od niego wziąłeś pieniądze.
- Są tak samo zielone jak wszystkie inne.
- Pieniądze to pieniądze, czy tak?
- Oui. Dla kogoś, kto nigdy ich nie miał, tak to właśnie wygląda, panno Schyler. Nie

wiesz, czym jest ubóstwo.

- Bierzesz forszę bez względu na to, skąd pochodzi?
- Mylisz się. Nie zabiłem dla ciebie tamtych pit bulli, pamiętasz?
- Czyli istnieje parę rzeczy, których nie zrobiłbyś za pieniądze?
- Bardzo niewiele, ale są takie.

Trawiła ją ciekawość, czy należało do nich umieszczenie na czyjejs poduszce szkaradnej lalki z przekłutym sercem.

Cash na pewno miał jakieś pojęcie o voodoo. Gayla słyszała jego nazwisko wymienione przez Flynną, ale o tej lalce chyba nic nie wiedział. Nie traktowałby Gayli tak przyjaźnie, gdy ją znaleźli. Z drugiej strony, czy ktokolwiek mógł liczyć na lojalność Casha? Zawsze robił tylko to, na co sam miał ochotę.

Schyler odwróciła głowę i zaczęła wyglądać przez otwarte okno. Po raz pierwszy tego dnia poczuła na twarzy podmuch wiatru.

Nie ufała jednak wystarczająco Cashowi, by odważyć się na powierzenie mu swoich tajemnic. Bardzo ją to gnębiło, ale nie wspomniała nawet o obecności Jiggera na miejscu wypadku.

Zatrzymał samochód, choć od posiadłości dzieliła ich jeszcze spora odległość.

- Nie chcę, podjeżdżając bliżej, wywołać kolejnego zawału u Cottona - powiedział gorzko.

- Rano podjechałeś pod same drzwi frontowe.
- Rano zdarzył się wypadek. Nawet Cotton zrozumiałby to i wybaczył.
- Łatwiej niż dostarczenie mu spojonej nastoletniej córki?

Roześmiał się krótko.

- Choćbym zaprzeczał aż do dnia Sądu Ostatecznego, on nie zmieni przekonania, że należałem do tych, którzy cię upili tamtej nocy nad stawem. Prawdopodobnie sądzi, że wykorzystałem cię też seksualnie.

- Ale to nie o to się kłóciliście.

Jego uśmiezek ulotnił się jak kamfora. Skupił wzrok na jej twarzy, patrząc tak, jakby chciał ją zabić.

- Co powiedziałaś?

Oczywiście, tamta noc była także dla niego przykrym wspomnieniem. Zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby zmienić temat, ale tak czy inaczej kiedyś przecież musiała znaleźć rozwiązanie tej zagadki.

- Powiedziałam, że kłóciliście się tamtej nocy z innego powodu.

- Skąd wiesz?

- Wasze wrzaski było słyhać w całym domu.

Przez długą chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Och, naprawdę?

- Więc powiedz, o co się kłóciliśmy.

- Nie mogę sobie przypomnieć. - Zmarszczyła czoło, wysilając pamięć. - To musiało dotyczyć czegoś ważnego. Może Monique?

- Mówimy o zdarzeniu sprzed ponad dziesięciu lat. Gwałtownie opadł na fotel i zasłaniając dłonią usta, spojrział w ciemność. - Zapomniałem, o co wtedy chodziło.

- Kłamiesz - stwierdziła spokojnie Schyl er. Odwrócił ku niej głowę. - Pamiętasz. O cokolwiek chodziło, ta sprawa nie została jeszcze załatwiona.

Nie odpowiedział. Znowu uciekł wzrokiem.

- Ach, do diabła z tym - mruknęła Schyler. T o nie była jej sprawa. Zmęczenie zniechęciło ją do rozmowy o tych przykrych dla nich obojga sprawach sprzed lat. - Dzięki za to, co dzisiaj zrobiłeś. Do zobaczenia.

Pchnęła drzwi barkiem, zastanawiając się, skąd wzięła tyle siły na ten ruch. Za ledwie dotknęła ziemi, pochyliła się i zdjęła buty. Trawa łaskotała jej stopy.

Poszła w stronę domu, trzymając się cienia drzew. W gęstym mroku Belle Terre wyglądała niczym zamek z bajki. Okna lśniły przyjemnym złotym światłem. Ukwiecone pnącze oplatało narożną kolumnę werandy.

Schyler ogarnęła nagle nostalgia tak silna, że każdy oddech sprawiał ból. Obejmując nisko rosnący konar dębu, podziwiała ukochany, a jednocześnie jakby nieco obcy dom.

Spędziła w nim większość swego życia. Jego ściany słyszały zarówno jej szloch, jak i

śmiech. Deski podłogi unosiły jej ciężar, gdy uczyła się raczkować i tańczyć walca. Tutaj przyglądała się narodzinom żrebaka i uczyła się na nim jeździć. Jej życie było związane z Belle Terre jak drzewo ze swoimi korzeniami.

Ale ciągle w niewytłumaczalny sposób czuła się w domu intruzem. Nigdy nie należał do niej, więc nie powinna odczuwać tęsknoty za nim. Wiecznie dręczyło ją nie sprecyzowane uczucie niedostatku. Posmutniała.

Wiedziała, że Cash stoi za nią, zanim jeszcze jej dotknał.

Otoczył dłonią jej szyję.

- Co ci dziś wieczorem nie daje spokoju, panno Schyler?

- Jesteś bękartem.

- Zawsze nim byłem.

- Nie odnoszę się do okoliczności twoich urodzin, ale osądzam cię. Jak się zachowujesz, jak traktujesz innych ludzi.

- Mianowicie ciebie?

- T o, co zrobiłeś i powiedziałeś mi tego ranka, było niedelikatne, niepotrzebne.

- Sądziłem, że załatwiliśmy to na placu.

Wzruszyła niecierpliwie ramionami.

- Nie chcę od ciebie hołdów i kwiatów, Cash, ale oczekuję trochę ciepła, trochę miłych słów.

- To przestań.

Pochyliła głowę.

- Nie ustąpisz mi ani o cal, prawda? Nigdy niczego nie dajesz.

- Nie. Nigdy.

Powinna była odejść, lecz nie potrafiła zrobić ani kroku.

Potrzebowała jego ramienia, by się na nim wyplakać. Zrozumiałby ją bardziej niż ktokolwiek, może poza Cottonem.

- Boję się, Cash.

- Czego?

- Utraty BeBe Terre.

Jego kciuki połączyły się, delikatnie masując kark Schyler.

- Robisz wszystko, co możliwe, aby jej nie stracić.

- Ale mogę nie dać rady. Pomimo wszystko. - Przechyliła głowę na bok. Zrozumiawszy ten gest, przesunął palce na jej kark. - Robię krok naprzód, by cofnąć się o dwa.

- Prawie zebrałaś gotówkę, która wyciągnie „Crandab Logging” znowu nad kreskę i uwolni Belle Terre od zagrożenia. Czego się obawiasz?

- Niepowodzenia. Jeśli nie dostarczymy reszty zamówienia, dotychczasowe transporty przestaną się liczyć. To decydujący tydzień. Nasz sabotażysta wie o tym równie dobrze jak my. - Odetchnęła głęboko i zacisnęła pięści. - Kto to jest? Co ja mu zrobiłam?

- Prawdopodobnie nic. Może odgrywa się na Cottonie.

- Dla mnie to to samo.

- Raniąc Cottona, rani ciebie?

- Tak. Kocham go, jakby był moim rodzonym ojcem. Może dlatego rozumiem, dlaczego tak uwielbia to miejsce. Podobnie jak ja przybył tu jako obcy. Musiał udowodnić, że jest wart Belle Terre.

Cash milcząc kontynuował masaż. Jego dłonie przynosiły jej ogromną ulgę.

- Macy nigdy nie była dla mnie matką. Po prostu mieszkała w tym domu i określała panujące w nim reguły. To Cotton był moim rodzicem, moją ostoją. - Westchnęła głęboko. - Ale teraz nasze role odwróciły się. Czuję się jak niedźwiedzica walcząca w obronie swoich młodych, ale mimo wszystko jestem zbyt słaba, by go ochronić.

- Cotton nie potrzebuje twojej ochrony. Będzie musiał zapłacić za swoje błędy, a gdy nadejdzie czas porachunków, nie zdołasz go osłonić.

- Nie mów tak - wyszeptwała gwałtownie. - Przerażasz mnie. Nie mogę go opuścić.

Cash przysunął się do dziewczyny. Dotknął wargami jej szyi u nasady związanych w węzeł włosów. Uniósł jej ręce i położył je na gałęzi.

- Cash, co robisz?

- Daję ci coś do przemyślenia, oprócz twoich kłopotów.

Zaczął gładzić boki jej ciała, dotykając delikatnie piersi.

- Nie chcę myśleć o niczym innym. Poza tym wciąż jestem na ciebie zła.

- Twoja złość zawsze tak bardzo mnie podnieca.

- Jesteś chory. - Westchnęła gwałtownie, gdy nakrył dłonią jej piersi. - Nie.

Uznając sprzeciw Schyler za wyraz oddania się, rozpiął jej bluzkę i biustonosz.

- Nie ... nie tutaj. Nie teraz, Cash.

Głuchy na protesty, kąsał leciutko szyję Schyler, delikatnie naciskając palcami jej sutki.

- Pragniesz mnie - wyszeptał. - Wiesz, że tak jest. Wiesz ...

Jego ręka wśliznęła się pod jej spódnicę. Schyliła się znowu westchnęła, lecz teraz w tym westchnieniu kryło się tylko pożądanie.

- Nie - jęknęła zawstydzona, czując, jak jej ciało poddaje się tej gwałtownej pieści.

- Tak - syknął, wyczuwając palcami wilgoć demaskującą jej kłamstwo. Uniósł spódnicę i przyciągnął dziewczynę do siebie jeszcze mocniej. Otarła się o szorstki materiał jego dżinsów. Przycisnęła czoło do gałęzi, zaciskając na niej dłoń.

- Cash - wymówiła jego imię prawie z jękiem. Szybko rozpiął spodnie.

Jego wejście było rozmyślnie powolne; jak gdyby skąpiąc jej doznań, chciał wzniecić jeszcze większy płomień namiętności.

Schyler odchyliła głowę, szukając jego warg. Ich rozchylone usta spotkały się, języki badały się nawzajem.

Pieszcząc jej piersi, doznał rozkoszy tuż po niej. Osunął się na nią, nagle opadając z sił. Oboje runęli na trawę, gdyby Schyler nie przytrzymała się gałęzi.

Krańcowo wyczerpana, pozwoliła, by doprowadził do porządku jej odzież. Sama nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, wykrztusić choćby słowa.

Zrobiła rzecz nie do pomyślenia, ale stało się. Nie żałowała, choć irytował ją sposób, w jaki Cash ją traktował, wiedząc jednocześnie, że nie potrafiła się przeciwstawić. Miał rację, zapomniała o wszystkim, z Belle Terre włącznie.

Nie zdawała sobie sprawy, że odszedł, aż do chwili, gdy usłyszała warkot uruchamianego silnika. „Może to i lepiej” - pomyślała, odprowadzając wzrokiem ciężarówkę niknącą w szpalerze drzew. I tak nie wiedziałyby, co mu powiedzieć.

Cash zatrzymał się na poboczu drogi i czekał, aż Jigger pożegna ostatniego ze swoich podejrzanych gości. Dopiero wtedy podjechał pod dom. Nawet hałas silnika nie tłumił upiornego grzechotu.

Zgasił motor i wysiadł. Przez otwarte drzwi dostrzegł, że Jigger liczy przy kuchennym stole dzienny dochód. Cash zapukał głośno. Flynn odwrócił się niespodziewanie szybko i wycelował w drzwi pistolet.

- Uspokój się, Jigger. To ja.

- Niewiele brakowało, a odstrzeliłbym twój dumny łeb. - Rzucił pieniądze na stół i

począł do drzwi.

- Co robisz z forszą, Jigger? Upychasz w słoiki po majonezie i zakopujesz na podwórku? A może pod psiarnią?

Oczy starego mężczyzny rozbłysły.

- Skoro chcesz wiedzieć, Boudreaux - zakpił, wymachując pistoletem przed nosem Casha - spróbuj ją znaleźć.

Cash roześmiał się.

- Czy ja wyglądam na durnia? - Jego uśmiech ulotnił się nagle. - Zapewniam cię, że nim nie jestem.

Jigger pochylił głowę i przyjrzał się bacznie Cashowi, marszcząc brwi.

- Powinienem cię zastrzelić tak czy inaczej. Pomogłeś uciec mojej czarnej kobiecie. Zabrałeś ją do Belle Terre.

- Prawie ją zabiłeś.

- Nie twój interes.

- Ależ mój. Nie zostawiłeś jej w spokoju wtedy, gdy ci kazałem. Rozdrażniłeś mnie, Jigger.

- To nie ja, to klient.

- Ale to i tak była twoja wina.

Jigger wzruszył ramionami.

- To tylko kobieta. Wezmę sobie inną.

- Twoja sprawa - stwierdził Cash nonszalancko. - Ale jeśli doprowadzisz ją do stanu, w jakim znalazłem Gaylę Frances, odetnę ci koguta i wcisnę tak głęboko do gardła, aż się nim zadławisz. Rozumiesz, mon ami? - Cash oparł się o obłazącą z farby framugę drzwi. Jego oczy nie zdradzały rozbawienia, lecz na wargach błąkał się cień uśmiechu.

- Straszysz mnie?

- Oui.

Twarz Jiggera wykrzywiła się w komicznym uśmiechu.

- Odbiło ci z powodu tej dziwki, Boudreaux? - Pokręcił głową. - Pieprzysz się z Schyler Crandall.

- Ale mimo to wciąż mnie obchodzi Gayla - odpowiedział z naciskiem Cash.

W milczeniu mierzyli się wzrokiem. W końcu Jigger odrzucił do tyłu głowę, rechocząc

głośno. Cash Boudreaux należał do nielicznych w okolicy, którzy potrafili mu napędzić stracha. Rozwaga nakazywała odwrót. Nie miał zamiaru testować na własnej skórze wprawy Casha w posługiwaniu się nożem. Boudreaux był o dwadzieścia lat młodszy, o trzydzieści funtów cięższy i o wiele szybszy. Jigger w bezpośrednim starciu nie miałby żadnych szans.

Cash rozluźnił się i zapytał:

- Pokażesz mi grzechotnika czy przyjechałem tu na próżno?

Jigger wetknął pistolet za pasek od spodni i dumny jak paw powędrował do beczki na podwórku. Zwisła nad nią naga żarówka. Flynn przekreślił ją, aż rozbłysła ostrym światłem, po czym zepchnął kamień z wieka i otworzył beczkę.

- Spójrz na tego sukinsyna, Boudreaux. Widziałeś kiedy podobnego?

W przeciwieństwie do większości widzów Cash zbliżył się do pojemnika niedbałym krokiem i bez obawy pochylił się nad krawędzią. Pod wpływem przeraźliwego grzechotu nawet ptaki na drzewach umilkły.

Suka na wybiegu warknęła, a potem zaskomliła lękliwie. Jigger w podnieceniu czekał na reakcję Casha. Boudreaux jednak skwitował to, co zobaczył, jedynie wzruszeniem ramion, co srodze rozczarowało gospodarza.

- Prawdę mówiąc, widywałem podobne wiele razy w kanałach.

- Łżesz.

- Nie. Kiedyś powódź wyrzuciła całą kolonię mokasynów. Mama nie pozwalała mi się bawić na dworze przez kilka dni. Podwórko należało do węży wszelkich rozmiarów. Niektóre były nawet większe niż ten. Mogłyby połknąć całego psa.

Przez dłuższy czas stał pochylony nad krawędzią beczki.

Jigger spoglądał ponad jego ramieniem. Nagle Cash odwrócił się. Jigger wypuścił swój krótki łom i odskoczył.

Cash posłał mu łobuzerski uśmiech.

- Jigger, uważam, że ten wąż szarpie ci nerwy.

- Bzdura. - Flynn gniewnie podniósł pokrywę i założył ją na beczkę. Kiedy zabezpieczył się przed nieoczekiwanymi wycieczkami pupila, wyciągnął rękę. - Jeden dolar.

- Jasne. - Cash wyłowił z kieszeni dzinsów zmięty banknot. - Warto wybulić dolca za oglądanie twoich skoków. - Bez pożegnania poszedł w stronę samochodu.

- Boudreaux!

Cash odwrócił się.

- Wiesz, kto przysłał tego węża?

Cash w odpowiedzi wyszczerzył zęby w diabelskim uśmiechu i zniknął w ciemności.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Schyl er zasnęła późno. Gdy budzik zadzwonił o zwykłej porze, przewróciła się na brzuch, stłumiła go i znowu zasnęła. Obudziła się dopiero po paru godzinach. Rzut oka na zegarek wystarczył na zorientowanie się, że zbliża się pora lunchu. Powinna się zawstydzić, ale uznała, że po wczorajszym piekle zasłużyła na wolny dzień. Wzięła prysznic i szybko się ubrała. Po chwili w kuchni wbiła zęby w ociekający miodowym sokiem dojrzały melon.

- Na lunch będzie kurczak w potrawce, jeśli zechce pani zaczekać, aż ostygnie - powiadomiła pani Dunne.

- Dziękuję, ale muszę jechać do biura. - Kilkakrotnie w nocy prześladowała ją myśl o zagrożeniu ostatniego transportu dla Endicotta. Na szczęście pamiętała o tym rano i pragnęła jak najszybciej porozmawiać z Cashem.

- Moim zdaniem pracuje pani zbyt ciężko.

- Nie pytałam pani o opinię - odparowała i mrugnęła porozumiewawczo do gospodyni, by zatrzeć efekt, jaki wywołały jej ostre słowa. Wyszła z kuchni. Mijając salon, dostrzegła przez otwarte drzwi Gaylę odkurzającą książki.

- Gaylo, prosiłam, żeby skatalogować te książki, a nie odkurzać je. Za to płacę pani Dunne.

- Nieważne. Czuję się okropnie, wykorzystując twoją gościnność i nie mogąc zrewanżować ci się w jakiś sposób. - Nie czuję się wykorzystywana. - Schyler uśmiechnęła się do przyjaciółki. Usiadłszy na drabinie, Gayla odwdzięczyła się bladym uśmiechem.

- Czy coś się stało? Mam nadzieję, że nie otrzymałaś więcej żadnych lalek.

- Nie. - Gayla zagapiła się przez szerokie okno na zalany słońcem trawnik. - Po prostu ja ... ja ... - Westchnęła i potrząsnęła głową. - Nic.

- Co?

Gayla machnęła bezradnie ścierką.

- Dziedzinec wygląda teraz tak spokojnie i niewinnie, ale po zmroku mam dziwne uczucie, że ktoś nas obserwuje. - Galyo - Schyler delikatnie przywołała Murzynkę do porządku.

- Wiem, że to głupie. Boję się własnego cienia.

- To zrozumiałe po tym wszystkim, co przeszłaś. Co prawda nie uśmiecha mi się to, ale jeśli chcesz, wezwę szeryfa, by przeprowadził śledztwo.

- Nie! - krzyknęła Gayla. - Nie rób tego. T o nie przyniesie niczego dobrego. Szeryf jest kumplem Jiggera. - Więc sądzisz, że to Flynn jest odpowiedzialny za podrzucenie lalki?

- Zapłacił komuś.

- Ale nie sądzisz chyba, że zrobi coś jeszcze? Nie ośmieli się postawić stopy w Belle Terre.

- Mam taką nadzieję - powiedziała bez przekonania Gayla.

Schyler oparła się o fotel.

- To nie wszystko, prawda?

- Tak.

- Powiedz mi.

Gayla zeszła z drabiny i rzuciła ścierkę do kosza z przyborami do czyszczenia. Jej wąskie ramiona uniosły się i opadły w głębokim westchnieniu.

- Nie wiem, czy potrafię to sprecyzować, Schyler.

- Spróbuj.

- Jesteś zbyt zajęta, by wysłuchiwać mego skomlenia.

- Mam dość czasu. Co cię gnębi?

Gayla przez chwilę zbierała myśli.

- Zastanawiam się, co zrobić z resztą mego życia. Brakuje mi wykształcenia, by znaleźć dobrą pracę. Jestem za stara, by wrócić do szkoły. Nawet bez względu na wiek nie mogłabym sobie na to pozwolić. - Spojrzała z zakłopotaniem. - Co mi pozostało? Gdzie powinnam pójść? Jak będę żyć?

Schyler objęła ją czule.

- Nie spiesz się z podjęciem decyzji. Z czasem wszystko się ułoży. Los się odmieni, a na razie tutaj masz dom.

- Nie mogę w nieskończoność korzystać z twojej dobroci, Schyler.

- Wkurzasz mnie, gdy tak mówisz.

Podniosła głowę Gayli i spojrzała w jej oczy czarne jak kawa, oczy, które powinny się śmiać, a zamiast tego przepelniał je wielki smutek.

Jimmy Don nie odpowiedział na list, który Schyler wysłała mu do więzienia. Była rozczarowana. Wierzyła, że wiedząc o przeżyciach Gayli, zainteresuje się swą dawną miłością. Myliła się.

List od Jimmy' ego Dona dodałby Gayli otuchy i wiary w przyszłość. Schyler nie orientowała się w uczuciach Jimmy' ego Dona, ale sądziła, że zaznajomiony z wszystkimi okolicznościami, wybaczy Gayli to, co kiedyś robiła.

- Jest zbyt piękny dzień, by martwić się przyszłością - powiedziała spokojnie Schyler. - Nie dopuszczam nawet myśli, że opuścisz Belle Terre. Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez twojej przyjaźni.

Miejsce smutku w oczach Gayli zajął teraz gniew.

- Tricia cię nienawidzi. Jak to wytrzymujesz?

- Staram się ignorować jej ataki.

- A jej mąż pozwala tej kobiecie na wszystko. - Murzynka pokręciła głową. - Jest tu coś złego.

- Gdzie?

- Między nimi a tobą.

- To znaczy?

- Nie jestem pewna. Zachowują się jak donosiciele. Ciągłe szepczą przez telefon, a gdy przechodzę obok, kończą rozmowę albo zaczynają mówić bardzo głośno, jakbym była zbyt głupia, by nie zauważyć w tym jakiegoś kantu. - Spojrzała na Schyler z obawą. - Na twoim miejscu wcale bym im nie ufała.

Potajemne telefony dotyczyły zapewne potencjalnych nabywców Belle Terre. Gayla nie była świadoma planów Howellów. Schyler roześmiała się.

- Wątpię, by snuli plany zaduszenia mnie w łóżku.

- Pan Howell nie, ale ona tak. Tricia cię nienawidzi, Schyler. Nie rozumiem, jak dwie dziewczyny mogą dorastać jak siostry i tak bardzo się różnić.

- Pochodzimy od różnych rodziców, a Tricia wcale nie miała łatwego życia. - Gayla zasiała w niej więcej niepokoju, niż Schyler chciała to okazać, starała się więc bronić Tricii. - Matka ignorowała nas obie, a tata nie robił tajemnicy z tego, że mnie kocha bardziej. Nic dziwnego, że moja siostra jest trochę zgorzkniała.

- Szanuję cię za to, że się z nią jeszcze chcesz zadawać, ale dla swojego bezpieczeństwa nie stawaj do niej plecami.

Te słowa dźwięczały w uszach Schyler, gdy zostawiła Gaylę w salonie i skierowała się na tyły domu. Zajrzała do pokoju ojca, ale go tam nie było. Znalazła go na zewnątrz. Siedział w

fotelu na trawniku i karmił orzeszkami wiewiórki, które jadły prosto z jego ręki. Spłoszone pojawieniem się Schyler, pomknęły przez trawnik na najbliższe drzewo.

- Zepsułaś zabawę - mruknął Cotton.

- Dzień dobry! - Pocałowała go w czoło i opadła na fotel obok. - Jak się dzisiaj czujesz, bo ja znakomicie. Przeciągnęła się leniwie.

- Nic dziwnego. Przespałaś połowę dnia.

- Cóż, sądzę, że zasłużyłam na to po wczorajszym dniu. To o prawda. Musieliście sprzątać okropny bałagan.

- Skąd wiesz? - Kiedy wróciła ostatniej nocy, już spał.

Podążyła za jego wzrokiem na leżącą na stoliku między fotelami poranną gazetę. Opis wypadku przyczepy należącej do „Crandall Logging” zajmował całą pierwszą stronę. Towarzyszące informacjom zdjęcie przedstawiało Casha kierującego oczyszczaniem szosy.

- Widzę, że Cash grał w tej imprezie pierwsze skrzypce.

- Jest urodzonym organizatorem. Drwale poszliby za nim w ogień.

- Hmm.

Jedna z wiewiórek zdecydowała, że Schyler nie stanowi zagrożenia, i wróciła. Cotton wychylił się z fotela i rzucił orzech w jej kierunku.

- Czy pani Dunne wie o tych orzeszkach? Powinny zostać zużyte do ciasta.

- Nie zmieniaj tematu.

- Nie wiedziałam, że był jakiś temat - odparła Schyler.

- Dlaczego nie opowiedziałaś mi o tym zdarzeniu?

- Nie widziałam cię od wypadku.

- Dlaczego nie spytałaś mnie o radę, gdy Boudreaux przyjechał tu wczoraj rano?

- Przykro mi. Przeszkodził ci w wypoczynku.

- Zawsze mi przeszkadzał.

Zignorowała jego opryskliwość i odpowiedziała z udanym spokojem na poprzednie pytanie.

- Szczerze mówiąc, nie myślałam o tym, by poprosić cię o radę.

- Muszę cię poinformować, młoda damo, że wciąż jestem szefem tej choleralnej firmy! - wrzasnęła.

- Ale czasowo jesteś wyłączony z akcji.

- Więc powierzyłaś prowadzenie wszystkich operacji temu bękartowi?

- Chwileczkę, tato. Nie poradziłabym sobie bez Casha, zgoda, ale to ja podejmuję decyzje. Przed większością najważniejszych konsultowałam się z tobą. Wczoraj była wyjątkowa sytuacja. Musiałam działać natychmiast, nie miałam czasu.

- Mogłaś zadzwonić lub przesłać wiadomość.

- Być może, ale starałam się zaoszczędzić ci codziennych trudów kierowania „Crandall Logging” ze względu na twoje zdrowie.

- Nie rób mi żadnych cholernych grzeczności. Nie chcę żyć w izolacji. Dość będę miał tego, gdy zamkną mnie w trumnie. Nie przyspieszaj wydarzeń.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od komentarza. Niczym katechizm recytowała wszystkie przyczyny, dla których powinna wybaczyć mu jego niesprawiedliwe zarzuty. Najmniejsze zdenerwowanie mogło się okazać śmiertelne w skutkach. Cotton często popadał w depresję, gdy jego duma cierpiała.

- Oczywiście, teraz, gdy czujesz się znacznie lepiej, będę omawiała z tobą wszystkie sprawy - powiedziała słodkim głosem. - Nie robiłam tego wcześniej tylko przez wzgląd na twoje zdrowie.

- T o bzdura. - Wycelował w jej kierunku palec. - Nie rozmawiasz ze mną, bo wystarczają ci porady Casha. - Na skroni Cottona zaczęła pulsować żyła. - Czy w łóżku także poruszacie sprawy zawodowe?

Schyler wzdygnęła się, usłyszawszy ostatnie zdanie. Na moment zabrakło jej powietrza, ale po chwili opanowała się i śmiało starła się z oskarżycielskim spojrzeniem ojca.

- Jestem dorosłą kobietą i nie zamierzam dyskutować z tobą na temat mego prywatnego życia.

Uderzył pięścią w poręcz fotela.

- Nie obchodzi mnie to, co ty sobie myślisz. Najpierw twoja siostra zrobiła cię w konia i zabrała Kena. Potem przez sześć lat żyłaś z jakimś cholernym pedałem. Dlaczego po tym wszystkim miałbym się martwić, z kim się pieprzysz teraz?

- Więc dlaczego na mnie wrzeszczysz?

Przybliżył ku niej twarz.

- Bo teraz twoim kochankiem jest Cash Boudreaux.

- Czym on się różni od innych?

- Żyje zbyt blisko mojej firmy i mojego domu. Twój romans zagraża wszystkiemu, dla czego nadstawiałem tyłka.

- W jaki sposób?

- Ponieważ ten bękart Cajun ...

Schyler poderwała się z fotela.

- Przestań go tak nazywać! To nie jego wina, że nie ma rodziny.

Cotton osunął się na fotel i z niedowierzaniem spojrział na córkę.

- Boże miłosierny! Ty go kochasz.

Zbladła. Przez kilka długich chwil spoglądała w milczeniu na ojca, potem wróciła na miejsce.

Cotton nie skończył jeszcze. Znowu usiadł prosto i przesunął się na brzeg siedzenia.

- Śmiesz bronić przede mną tego człowieka. Przede mną! - Uderzył się w pierś. Wewnątrz odezwał się kłujący ból, ale gniew uczynił Cottona głuchym na sygnały alarmowe wysyłane przez organizm. - Czy rzeczywiście zrobiłaś coś tak żalnego jak zakochanie się w tym łowcy spódniczek Cashu Boudreaux?

Ponownie zerwała się na nogi i gniewnie stanęła do konfrontacji z Cottonem.

- Dlaczego nie? Ty kochałaś jego matkę.

Jednocześnie zamilkli.

- Więc wiesz - powiedział po chwili.

- Wiem.

- Od jak dawna?

- Od niedawna.

- On ci powiedział?

- Nie, Tricia.

Westchnął ciężko.

- Do diabła, jestem zaskoczony, że nie dowiedziałaś się wcześniej. Pozostawałaś nieświadoma, chyba jako jedyna w okolicy. - Podał orzeszek wścibskiej i odważnej wiewiórce. - Żyłem z Monique przez wiele lat. Uczyniłem z niej swoją nałożnicę.

- Tak.

- I zrobiłbym to jeszcze raz. - Ojciec i córka spojrzeli na siebie. - Nawet gdybym miał się za to smażyć przez wieczność w piekle, znowu kochałbym Monique Boudreaux. - Wyciągnął się

na fotelu i złożył głowę na plecionym oparciu. - Macy nie była ... czułą kobietą, Schyler. Dla niej namiętność równała się utracie samokontroli. Nie była zdolna do miłości.

- A Monique Boudreaux - tak?

Cień uśmiechu zagościł na jego bladych wargach.

- Jeszcze jak! - Odetchnął z wysiłkiem. - Wkładała uczucie we wszystko, co robiła, czy to był śmiech, złorzeczenie czy miłość. - Schyler dostrzegła dziwną zmianę w jego oczach, jak gdyby spoglądał w lustro wspomnień i widział w nim szczęśliwy czas. - Była bardzo piękną kobietą.

Wyraz jego twarzy wprowadził ją w zdumienie. Nigdy nie widziała, żeby twarz Cottona wyglądała tak łagodnie. Jego szczerość głęboko ją poruszyła.

- Cash także jest pięknym mężczyzną•

Wyraz twarzy Cottona uległ natychmiastowej zmianie.

Malowała się na niej złość. Kąciki ust opadły w wyrazie pogardy.

- To dla niego świetny dowcip - zdobycie twojego zaufania.

- Jest dla mnie bezcenny. Jest najlepszym leśnikiem w okolicy. Wszyscy dzielają moje zdanie.

- Do cholery, wiem o tym - burknął. - Także ufam jego umiejętnościom, ale nie włożę mu do łóżka. Nawet nie odwracam się do niego plecami w obawie, że wbije mi nóż. - Cash nie jest taki - powiedziała, wiedząc, że sama nie wierzy w to, co mówi.

- Naprawdę? Gdy mówił ci o Monique i o mnie, czy wspominał ci o swoich groźbach?

- Jakich groźbach?

- Rozumiem z tego, że nie.

- Wiem, że macie za sobą kilka ostrych kłótni. Do jednej z nich doszło w nocy, kiedy przywiózł mnie znad stawu Thibodaux, pamiętasz? T o było zaraz po śmierci mamy.

- Pamiętam - odrzekł powoli.

- Cash pomógł mi tamtej nocy. Nie należał do tych, którzy wlewali we mnie piwo, a ty niesprawiedliwie obwiniłaś go o coś, czego nie zrobił.

- Cash nigdy nie robi niczego z dobroci serca. Może nie upijał cię, ale nie oszukuj się, że obchodzi go twoje dobro.

- O co się wtedy kłóciliście?

- Nie pamiętam.

Kłamał. Podobnie jak Cash.

- O Monique?

- Być może. Po śmierci Macy Cash zażądał, bym poślubił jego matkę.

Schyler przyglądała się uważnie twarzy ojca, poszukując miłości, która objawiła się na niej zaledwie chwilę temu.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś, tato? Skoro tak ją kochałeś ... dlaczego nie pobraliście się po śmierci mamy? - W nagłym poczuciu winy dodała: - Czy z powodu Tricii i mnie?

- Nie. Z powodu zobowiązania, jakie uczyniłem przed Macy.

- Ale ona już nie żyła.

- T o nie miało znaczenia. Dałem jej słowo. Nie mogłem poślubić Monique. Ona zrozumiała mnie i zrezygnowała z tego. Cash nie.

- Winisz go? Uczyniłeś z życia jego matki piekło. Czy wiedziałeś, że była z tobą w ciąży i poroniła?

Jego oczy napęłniły się łzami.

- Niech będzie przeklęty, jeśli ci o tym powiedział.

- To prawda?

- Tak, ale nie wiedziałem wcześniej, że była w ciąży. Przysięgam na Boga.

Wierzyła mu. Mógł coś pominąć przez zapomnienie, ale nigdy nie skłamał jej rozmyślnie.

- Monique żyła jak wyrzutek społeczeństwa. Z powodu związku z tobą nie mogła nawet praktykować swej religii.

- Dokonała wyboru.

- Ale po śmierci mamy miałeś szansę, by odmienić jej los, i nie uczyniłeś tego.

- Nie mogłem - powtórzył, prawie krzycząc. - Powiedziałem to Cashowi, teraz to samo mówię tobie. Nie mogłem. - Przerwał, by wziąć głęboki oddech. - Wtedy Cash przysiągł na różaniec swojej matki, że ją pomści. Oskarżył mnie, że zrobiłem z Monique dziwkę. Obiecał, że zrukuje mnie i Belle Terre. - Z trudem chwycił powietrze. - Dlaczego, twoim zdaniem, mężczyzna z takim doświadczeniem i wiedzą miałby tutaj żyć jak biała nędza przez tyle lat?

- Pytałam go o to.

- I co powiedział?

- Powiedział, że obiecał matce na łożu śmierci nie opuścić Belle Terre przed twoją śmiercią. Prosiła go, by cię pilnował.

Cotton na moment zagapił się na Schyler, ale w końcu pokręcił przecząco głową.

- Nie wierzę w to ani przez chwilę. Spędzony tutaj czas traktuję jako inwestycję. Czeka przyczajony jak pantera, by rzucić się na nie spodziewając się ataku zdobycz. W Anglii pewnie byłaś pozbawiona miłości przez długi czas. Przyjechałaś i bam! Znalazł okazję, by ostatecznie wziąć rewanz. Choroba zmusiła mnie do wycofania się, więc Cash przystąpił do pracy z nie spotykanym wcześniej zapalem. W maksymalnym stopniu wykorzystał sytuację i posiadał cię, prawda?

- Nie.

- Nie mam racji?

- Nie!

Jego oczy zwęziły się.

- Nie wykorzystuje okazji, by odpłacić mi za sypianie z jego matką? Wszyscy w okolicy wiedzą, jak bardzo cię kocham, Schyler. Chłopak nie jest tępy. Jeżeli chciał mi naprawdę porządnie dopieprzyć, najlepszym sposobem było zaciągnięcie mojej ukochanej córki do łóżka.

Schyler przyłożyła do ust zaciśniętą pięść i potrzęsła gwałtownie głową, a jej oczy załśniły łzami.

- Cash dorównuje przebiegłością lisowi z moczarów, Schyler - mruknął Cotton. - Monique była zbyt dumna, by kiedykolwiek wziąć ode mnie pieniądze, choć za ledwie wiazali koniec z końcem. Nic dziwnego, że dorastanie w takich warunkach wypaczyło charakter Casha. On nas nienawidzi. Odziedziczył po Monique cały jej wdzięk, ale nic z jej łagodności. - Wzniósł ostrzegawczo palec. - Nie możesz mu ufać. Jeśli to zrobisz, narazisz nas. On porwie się na wszystko, byle zrujnować całą rodzinę. Nie wątpię w to ani przez chwilę.

Schyler, czując, że nie zniesie tego dłużej, odwróciła się i uciekła.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

„To wszystko nieprawda” - usiłowała wmówić w siebie. Dotarła na plac, jednak zasiane przez Cottona w jej umyśle podejrzenia wciąż nie dawały jej spokoju.

Zahamowała i otworzyła drzwi samochodu. Pikap Casha stał obok jednej z platform, więc jego właściciel był tutaj, nie w lesie. Była zadowolona, że nie będzie musiała go szukać. Ta rozmowa nie mogła czekać. Chciała niezwłocznie uzyskać pewność, że rację ma ona, a myli się Cotton.

Pobiegła do biura i zamknęła za sobą z trzaskiem drzwi.

Cash, siedząc za biurkiem, przeglądał rachunki. Uniósł głowę.

- Nie uwierzysz w to, Schyler, ale Ken Howell regularnie cię oszukiwał.

- Ty też - odpowiedziała chłodnym, spokojnym głosem, choć znać w nim było wielkie napięcie.

Było oczywiste, że nie spodziewał się tego. Przyjrzał się jej badawczo. Stała w progu, oddychając szybko z oburzenia. Jego oczy bez pośpiechu prześliznęły się w dół po wysmukłej sylwetce i wróciły do góry. Niedbale odrzucił ołówek na zaśmiecone biurko i splótł dłonie za głową.

- To prawda, ale dotychczas nie uskarżałaś się na ten układ.

- Dlaczego? Co cię pchało do takiego zachowania?

- Dlaczego? - powtórzył z uśmiechem niedowierzania. Zobaczywszy, że Schyler nie podziela żartobliwego nastroju, rzucił nonszalancko: - To mi sprawia przyjemność.

- Czy to jedyna przyczyna? Przyjemność? - Jej głos stawał się coraz bardziej ochrypły. - Czyli wystarczyłaby ci jakakolwiek kobieta. Więc dlaczego ja?

Opuścił dłonie i wstał. Obszedł biurko i przysiadł na jego krawędzi.

- Co się stało?

- Odpowiedz, Cash! - zażądała podniesionym głosem.

- Skoro każda kobieta jest w stanie cię zaspokoić, więc dlaczego ja?

Przygryzł kącik ust.

- Prosto z mostu?

- Tak.

- Dobrze. Po prostu robiłaś to lepiej niż jakakolwiek inna w moim długim życiu -

stwierdził bezczelnie. - Zapragnąłem cię, gdy natknąłem się na ciebie śpiącą pod drzewem. Przy każdym następnym spotkaniu chciałem cię jeszcze bardziej, aż w końcu dostałem cię.

Z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Dlaczego nie postawiłeś sprawy jasno?

- Kiedy?

- Po pierwszym razie.

- Ponieważ patrzyłaś na mnie, jakbyś się spodziewała przeprosin. Nigdy nie przeproszam kobiet. Za nic, a szczególnie za to, że idę z nimi do łóżka.

- Dostałeś to, czego chciałeś. Poddałam się. Nawet sama przyszedłam do ciebie. Dlaczego nie poprzestałeś na tym?

Spojrzał na nią przeciągle.

- Nie byłem usatysfakcjonowany. Wciąż nie jestem. Pragnę twoich piersi i ud, twego ciała i ust, twoich jęków, gdy zbliżasz się do szczytu, i sposobu, w jaki układasz głowę. Mam mówić dalej?

Schyler walczyła ze sobą w myślach. Dama wychowana przez Macy chciała wymierzyć mu policzek i wyjść. Kobieta, którą była - rzucić się w jego ramiona. Córka Cottona pragnęła rozszarpać go paznokciami, zadać mu podobny ból, jaki czuła, zraniona jego cynizmem.

- Dlaczego ... dlaczego wzięłeś mnie ostatniej nocy w Belle Terre?

- To był nagły impuls.

- Dlaczego w ten osobliwy sposób?

- Nie udawaj, że nie przypadł ci do gustu.

- Tego nie powiedziałam! - wrzasnęła. - Pytałam, dlaczego zrobiłeś to wtedy i tam.

- Ponieważ sprawiło mi to ...

- Przyjemność?

- Oui! - krzyknął. - Było mi cholernie dobrze. Bez zastanowienia zapragnąłem cię mieć.

Rozum przestał funkcjonować, najważniejsze były zmysły.

- Z tego, co słyszałam, na ogół z tobą tak bywa. Wypuścił z sykiem powietrze.

- Słuchaj, chciałaś tego. Ja też, zrobiliśmy to i było wspaniale. - Podszedł do niej. Odgarnął ze złością zwisający nad brwiami kosmyk włosów. - Dlaczego więc robisz z tego teraz taki problem? Porozmawiajmy o czymś naprawdę ważnym, na przykład o tym, jak twój szwagier przez lata sprytnie zgarniał śmietankę. - Jego oczy pociemniały.

- To nie jest zabawne ..

- Masz rację, że nie.

- Opowiedz mi o Kenie - powiedziała surowo Schyler, kipiąc ze złości.

- To proste. Z powodu tego gnoja firma traciła pieniądze pomimo dodatniego bilansu. Nie wiem, czy Cotton przejrzał jego kombinacje. Jeśli tak, to nie reagował. Może dlatego, że Howell należy do rodziny lub po prostu twój ojciec zdziwaczał na starość. To Howell przerobił Endicotta. Zapewne podrobił podpis Cottona na czeku i schował szmal do kieszeni, ale zapomniał napomknąć komukolwiek o zleceniu i zaliczce. - Machnął ręką w stronę opastłych tomów na biurku. - Te zapiski usiane są popełnionymi przez niego malwersacjami.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- To Glee odkrył zonglerki cyframi, jakie robił Ken.

- Glee?

- Powiedziałaś, że mam dla niego znaleźć robotę, więc przyniosłem mu duplikaty wszystkich zapisów i kazałem przejrzeć. Stwierdził, że nie są ...

- Kto ci pozwolił? - Schyler wpadła w furję.

- Co?

- Słyszałeś dobrze.

Potrząsnął głową, by odrzucić do tyłu włosy.

- Chwileczkę - stanął w rozkroku. - Wkurz a cię, że Glee znalazł dowody, dzięki którym można posłać twójego byłego kochanka do pudła?

- Nie - zazgrzytała zębami. - Wkurz a mnie, że zrobiłeś coś, do czego cię nie upoważniłam.

- Och, rozumiem - stwierdził chłodno. - Przekroczyłem swoje kompetencje.

- Właśnie.

- Czy istnieje związek pomiędzy tym a naszą poprzednią dyskusją? Czy przekraczam swoje kompetencje za każdym razem, gdy biorę pannę Schyler Crandall do łóżka? - Uwielbiasz to, prawda? Popisywanie się autorytetem, naruszanie cudzej własności. Czy nie dlatego kochasz się ze mną?

- Nie uważam tego za miłość.

- Rozumiem. To nie miłość, to ruja.

Wzruszył ramionami.

- Sądę, że to równie dobre określenie jak każde inne. - Nagle na twarzy Schyler dostrzegł smutek. - Nazywam rzeczy po imieniu. Nie wierzę w słowo „miłość”, więc go nie używam. Ono nic nie znaczy. Jedyne, co ludzie robią w imię miłości, to wzajemnie się ranią. Twój ojciec twierdził, że kochał moją matkę ...

- Bo tak było. Powiedział mi o tym dziś rano.

- W takim razie dlaczego został z kobietą, której nie darzył miłością, której nawet nie lubił? Ponieważ jego wielka miłość do mojej matki nie dorównywała jego przekłetej ambicji i zachłanności. Moja matka także twierdziła, że mnie kocha. - Widząc, że Schyl er znowu chce mu przerwać, nakazał jej gestem milczenie. - Ale kogo przywoływała w chwili śmierci? Cottona. Chociaż traktował ją jak śmiecia, krzyczała, nie chcąc go opuścić. - Potrząsnął głową rozzłoszczony i roześmiał się gorzko. - W tej bzdurze nie ma nawet odrobiny miłości. Pewnie, że pod przykrywką tego słowa wszystko wydaje się ... bardziej eleganckie. To świetne usprawiedliwienie dla wielu rzeczy. Śmiało, użyj słowa, ale nie ma ono żadnego znaczenia.

- Przykro mi z powodu twojego smutnego życia - powiedziała ochryple Schyler.

- Daj spokój. Nie chcę mieć nic do czynienia z miłością. Nie, jeśli oznacza ona nadstawianie drugiego policzka. Mam gdzieś bierny opór. Cash Boudreaux oddaje ciosy.

- Oko za oko.

- Dokładnie.

- Czyli skoro Cotton używał twojej matki, czułeś się usprawiedliwiony, używając mnie w identyczny sposób? Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Nie znalazła w nich jednak ciepła ani współczucia. Pozbawione były radości życia, tak jak jego smutna egzystencja. - Czy tak było?

- Tak właśnie myślisz?

Powoli skinęła głową. Jej serce błagało, by zaprzeczył, lecz Cash niczego takiego nie zrobił.

- Rozumiem, że Cotton otworzył ci oczy - stwierdził spokojnie.

- Podobno odgrażałeś się, że doprowadzisz go do ruiny. To prawda? - Nie odpowiedział. - Przysiągłeś na różaniec matki, że zniszczysz jego i Belle Terre. Czy oznacza to, że mnie również? Czy manipulowałeś przy sprzęcie, by spowodować opóźnienia w dostawach? Wypełnienie tego zamówienia postawiłoby przecież przedsiębiorstwo na nogi.

W jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Nie brak ci przebiegłości, skoro mnie przejrzałaś.
- Jednocześnie sypanie ze mną czyniło z całej sprawy świetny dowcip, prawda?
- Na samą myśl o tym chce mi się śmiać.

Nie uśmiechnął się jednak. Jego twarz pozostawała niewzruszona. Schyler zmusiła się, by zachować zimną krew.

- Masz się stąd natychmiast wynosić! Nie wracaj. Nie kręć się wśród pracowników.
- Sądzisz, że uda ci się mnie powstrzymać?

- Masz na nich ogromny wpływ. Prawdopodobnie byłbyś w stanie przekonać ich, by przzerwali pracę. Przechyliła głowę na bok. - Ale ciekawa jestem, czy zastrajkowaliby, jeśli oznaczałoby to utratę obiecanej premii. Interesuje mnie też, co zrobiliby z tobą, gdyby uznali cię za winnego sabotażu i zniszczenia urządzeń.

- Widzę, że dokładnie przemyślałaś ten problem.

- Chcę, żebyś opuścił Belle Terre do końca tygodnia. Zwolnij tamten dom. Możesz go nawet spalić, nie obchodzi mnie to. Jeśli kiedykolwiek zobaczę cię na terenie mojej posiadłości, zastrzelę cię.

Nie przestraszył jej wyraz jego oczu. Wzruszywszy ramionami, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

- Nie masz szans, by beze mnie wyrobić się w terminie, wiesz przecież.
- Spróbuję, choćbym miała paść trupem.

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

- Uważaj, bo wykraczesz.

Drzwi zatrzęsły się za nim z hukiem bardziej złowieszczym niż wystrzał z dubeltówki.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Schyler weszła do jadalni i bez słowa rzuciła teczkę na stół przed Kenem.

- Co to? - zapytał.

- Dowody wystarczająco obciążające, by posłać cię do więzienia.

Po drugiej stronie stołu Tricia zatrzymała rękę unoszącą widelec w połowie drogi do ust. Ken, udając zdziwienie, uśmiechnął się słabo.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Nie zamierzam poruszać tej sprawy tutaj, gdzie mogłaby usłyszeć nas pani Dunne lub Gayla. Spotkamy się w salonie.

Parę minut później zasiadła w fotelu. Jej twarz przybrała stanowczy wyraz. Faktycznie czuła się jednak słaba jak puch dmuchawca, który można strząsnąć ręką.

Gdy tylko dołączyli do niej Howellowie, zabrała głos. - Proszę, zamknijcie dokładnie drzwi.

- Och, ależ jesteśmy dzisiaj dramatyczni! - Tricia wtuliła się w fotel naprzeciwko siostry i przewiesiła nogę przez poręcz. Skubnąwszy parę winogron z przyniesionej ze sobą kiści, wrzuciła je do ust. - Uwielbiam intrygi, ale dlaczego jesteś tak strasznie tajemnicza?

- Ken opowie ci wszystko. - Ignorując bezczelność Tricii, Schyler spojrzała na swego byłego narzeczonego. To porównanie było nielojalne, ale jego niepowodzenia przy sukcesach Casha wręcz kłuły w oczy.

Ken miał nad Boudreaux przygniatającą przewagę. Pochodził z dobrej rodziny, wykształcenie zdobył w prywatnej szkole, miał pieniądze, lecz wszystko to zmarnował. Cash zaczynał od zera, w dodatku nie pochodził z prawego łóża, a mimo to osiągnął dużo w życiu. Wciąż nie posiadał zbyt wielu dóbr materialnych, dlatego jego sukces nie mógł być mierzony w dolarach, ale zasłużył sobie na szacunek.

Kochała obu mężczyzn. Obaj byli oszustami. Czuła, że ten fakt bardziej obciąża ją niż ich. To ona z dziwnym upodobaniem wybierała sobie złych mężczyzn.

Ken stuknął brzegiem teczki w dłoń.

- Słuchaj, Schyler, nie mam pojęcia, na co, twoim zdaniem, wskazują te dokumenty, ale ...

- Dowodzą one czarno na białym, że podkradałeś pieniądze „Crandall Logging”, odkąd mój ojciec wciągnął cię na listę płac.

Tricia usiadła prosto i opuściła stopy na podłogę.

- Co?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - wybełkotał Ken, pryskając w podnieceniu śliną.

- Liczby nie kłamią, Ken - zauważyła spokojnie Schyler. - Widziałam podrobione podpisy taty na zrealizowanych czekach.

Ken oblizwał nerwowo wargi.

- Nie wiem, kto wbił ten... ten dziwaczny pomysł do twojej głowy, ale ... Boudreaux, prawda? Tego sukinsyna - parsknął - nic nie powstrzyma przed rozbiciem naszej rodziny. Nie rozumiesz, że próbuje zwrócić cię przeciwko mnie?

Schyler pochyliła się i rozmasowała obolałą głowę.

- Ken, przestań, proszę. Wiem' o błędach w księgowości od czasu spotkania z Endicottem. Nie rozumiem tylko, dlaczego tata nie zwracał na nie uwagi. To doprowadziło firmę na skraj bankructwa.

- Pozwól, że ci wyjaśnię.

Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku, z którego dobiegł głos Cottona. Stał w progu pokoju. Podczas choroby stracił sporo na wadze, ale gdy tak stał wyprostowany, nadal imponował swą znamionującą siłę sylwetką.

W szedł do środka.

- Ignorowałem jego kombinacje, gdyż nie chciałem przyznać, że pod moim własnym dachem żyje złodziej.

- Teraz ...

- Zamknij się - rozkazał zięciowi Cotton. - Jesteś cholernym złodziejem. I kłamcą. Także nałogowym hazardzistą, co mógłbym wybaczyć ci, gdybyś okazał się w tym trochę lepszy niż we wszystkim innym, za co się bierzesz. Wiem wszystko o ludziach, którym winien jesteś pieniądze.

Ken zaczął się pocić. Bezwiednie zaciskał i otwierał pięści.

- O czym on mówi, Ken? - spytała Tricia. Odpowiedzi udzielił jednak Cotton.

- Tonie w długach po uszy.

- Czy dlatego proszę cię o pieniądze? - przypomniała sobie tamtą rozmowę Schyler.

Ken stał z opuszczoną głową jak skarcony uczeń. Cotton zmarszczeniem brwi wyraził dezaprobatę dla tej niemęskiej postawy.

- Sądziłem, że brutalnie wbiją ci trochę rozumu do głowy, ale okazałeś się zbyt głupi, by

potraktować poważnie ich ostrzeżenia. Potem zacząłem żywić nadzieję, że posuną się do ostateczności i zabiją cię. Jakoś znieśliśmy tę niepowetowaną stratę•

- Lepiej pohamuj się, stary człowieku - warknął Ken. Cotton nie zwrócił na niego uwagi.

- Nigdy nie mogłem cię strawić, Howell. Potrafiłeś okpić obie moje córki, ale rozszyfrowałem cię w dniu, w którym pozwoliłeś, żeby tej małej dziwce - wskazał na Tricię - uszło na sucho kłamstwo, że jest z tobą w ciąży. Jesteś słabeuszem bez charakteru. Nie potrafię znieść ani twojego widoku, ani nawet zapachu. Śmierdzisz porażką.

Schyler podniosła się z fotela.

- Usiądź, tato.

Oblicze Cottona pokrywał silny rumieniec. Ujęła ojca pod ramię i zaprowadziła do najbliższego fotela. Chrapliwie chwycił powietrze.

Jej pomoc wprawiła go we wściekłość.

- Wydaje się wam, że razem z sercem wysiadł mi mózg. Stąpacie na paluszkach, by nie zakłócić staruszkowi spokoju, ale wiem wszystko i nie mogę powiedzieć, bym był zachwycony tym, co do mnie dociera.

- Wszelkie kłopoty zaczęły się, gdy Schyler wróciła do domu. - Tricia była coraz bardziej rozdrażniona. - Wcześniej nasze sprawy toczyły się zgodnie ze swoim biegiem i było dobrze, lecz ona musiała się wtrącić i wszystko nam zabrać.

- Co wzięła od ciebie? - zainteresował się Cotton.

- Mojego męża - zareplikowała Tricia.

- To kłamstwo! - Nie mogła się powstrzymać Schyler.

- Ciągłe go chcesz? - zapytał starszą córkę Cotton.

- Nie.

Stary Crandall powrócił wzrokiem do Tricii.

- Ona go nie chce. Gdyby było inaczej, uznałbym, że jest szalona. Jakie masz inne powody do narzekań?

- Przejęła kierownictwo nad naszym domem. Wyrzuciła gospodynię.

- Dzięki ci Panie na wysokościach - wyraził swą wdzięczność Cotton. - Kuchnia tej wysuszonej starej jędzy niewarta była splunięcia. Powiadam: baba z wozu, koniom lżej.

- A co powiesz na temat pewnej czarnej osóбки, która zamieszkała z nami?

- Córka Vedy? Co masz przeciwko niej?

- Wiadomo, czym się zajmowała. Kto to wie, jakie przywlokła choroby?

- To, co mówisz, jest ohydne - rzuciła z wściekłością Schyler.

Tricia obdarzyła ją spojrzeniem pełnym pogardy.

- Zmieniłaś ten dom w schronisko dla hołoty wszelkiej maści. Mama przewraca się pewnie w grobie.

- Twoja matka nigdy o nikogo się nie troszczyła zwrócił się do Tricii ojciec. - A ty jesteś pod tym względem identyczna. Na szczęście Schyler nie podziela twoich uprzedzeń.

Tricia zawrzała oburzeniem.

- Oczywiście. Jasne. Broń Schyler. Bez względu na to, co robi, pozostanie twoją ukochaną córeczką, nieprawdaż? - Jej niebieskie oczy rozbłysły złowrogo. - A czy orientujesz się, że ona sypia z Cashem Boudreaux? Cash Boudreaux! To przypomina grzebanie się w odpadkach z kosza na śmieci, może nie? Co teraz myślisz o swojej drogocennej Schyler, tato?

- Nie przyszedłem tutaj, by roztrząsać uczucia Schyler.

- Nie?! - krzyknęła Tricia. - Oczywiście, że nie. Schyler jest doskonałością, nawet jeśli zadaje się z nędzą.

- Dość tego!

- Tato, opamiętaj się.

- Zamknij się wreszcie, Tricio! - ryknął Ken.

- Nie! - wrzasnęła Tricia do męża. - Tata ma rację. Jesteś mięczakiem, który nie umie nic powiedzieć. Dlaczego mnie nie bronisz? - Uderzyła się wskazującym palcem w pierś. Doprowadzona do pasji, nie zważała na gromadzącą się w kącikach jej ust ślinę. - Mieszkałam w tym rozpadającym się starym domu przez lata, podczas gdy Schyler doskonale się bawiła w Londynie. Zostałam tu i opiekowałam się tobą - dodała, zwracając się do Cottona - gdy Schyler cię opuściła. Otrzymuję za to piękne podziękowanie. Wciąż ukazujesz mi życie Schyler, usiłując zrobić z niego przykład do naśladowania.

Spojrzenie ojca zmroziło Tricię do szpiku kości.

- Zostałaś tu, żeby uniemożliwić Schyler powrót do domu. To jedyna przyczyna.

Tricia kilka razy odetchnęła głęboko, starając się uspokoić nerwy.

- To nieprawda, tato - powiedziała cichym głosem.

Cotton skinął siwą głową.

- Ależ prawda. Nie chciałaś Kena, ale wiedziałaś, że Schyler go kocha. Żyć w Belle Terre

także nie chciałaś, lecz zdawałaś sobie sprawę, że zmusiwszy siostrę do opuszczenia domu, zadasz jej bolesny cios. - Patrząc na córkę, pokręcił smutno głową. - Zawsze myślałaś tylko i wyłącznie o sobie, Tricio. Jeśli w twych żyłach płynęła kiedykolwiek kropla dobroci, Macy zatrula ją swą filozofią. Jesteś zawziętą, zakłamaną kobietą, Tricio. Choć z wielkim smutkiem, ale przyznaję, że taka jest właśnie prawda o tobie.

Tricia wzdrygnęła się pod wpływem jego słów.

- Kimkolwiek się stałam, to twoja wina. Widziałeś, że mama nas nie kocha. Ty swoje uczucia okazywałeś tylko Schyler. Mnie ignorowałeś, jakbym w ogóle nie istniała. Nie dostrzegałeś mnie nigdy, oślepiiony blaskiem złotej aureoli Schyler.

- Próbowałem cię pokochać, ale nie pozwalałaś mi na to. Nigdy nie przywiązywałem wagi do faktu, że nie ja cię spłodziłem, ale pewne jak diabli, że miało to znaczenie dla ciebie.

Tricia powoli podniosła się z fotela.

- Cieszę się, że nie jestem twoją rodzoną córką zasyczała. - Jesteś ordynarnym prostakiem, dokładnie takim, jakim zawsze widziała cię mama. Nic dziwnego, że zabroniła ci dostępu do swej sypialni. Stąpałeś dumnie, jakbyś był Bogiem Wszechmogącym, ale faktycznie niewiele przewyższasz białą nędzę. Pozostałbyś nią, gdybyś się nie wzenił w rodzinę Laurentów.

Odwróciła się do Schyler.

- Jestem także zadowolona, że nas nie łączą więzy krwi. Po powrocie tutaj celowo wyróciłaś dom do góry nogami, choć zajmowałam się nim, mimo że gardzę tym miejscem. Zrobiłaś z mego męża głupca, który nie potrafi panować nad przedsiębiorstwem, a teraz oskarżasz go o kradzież.

- Bo on jest złodziejem - warknął Cotton.

Schyler nie obeszły te pełne nienawiści słowa Tricii, bała się natomiast o ojca. Był bardzo zdenerwowany, a w jego stanie mogło się to okazać niebezpieczne w skutkach.

- Tato, porozmawiamy o tym później.

- Porozmawiamy o tym teraz! - przeciwstawił się podniesionym głosem, uderzając pięścią w poręcz fotela. W obawie przed całkowitym wyprowadzeniem go z równowagi Schyler zrezygnowała z wysiłków, by zakończyć tę rozmowę. Cotton ponownie zwrócił się do Kena: - Latami doileś forszę z mojego interesu. Powinienem był położyć temu kres, gdy tylko to odkryłem, ale wierzyłem, że nabierzesz w końcu rozumu i przestaniesz sam, zanim cię ktoś przyłapie.

- Nie musiałbym uciekać się do takich machinacji, gdybyś wypłacał mi przyzwoitą pensję.

- Przyzwoitą pensję? - powtórzył Cotton z niedowierzaniem. - A niech cię cholera! Otrzymywałeś trzy razy więcej, niż dostaje przeciętny drwal, a on poci się i ryzykuje życie za każdego zasranego dolara. - Cotton nachylił się do zięcia. - Czy kiedykolwiek zrobiłeś coś, by zasłużyć na te pieniądze? Odpowiem ci. Trzy popołudnia w tygodniu grałeś w golfa, a wieczorami wysiadywałeś przy barze w Country Clubie.

- Poświęciłem dla „Crandall Logging” sześć najlepszych lat swego życia.

- I niczego nie dokonałeś w ciągu tego czasu ... - odparł Cotton. - Z wyjątkiem licznych kradzieży.

- Gdybyś traktował mnie jak mężczyznę ...

- Nigdy nie zachowywałeś się jak mężczyzna.

- Gdybyś nałożył na mnie większą odpowiedzialność, jak zrobiłeś z Boudreaux, ja ...

- Spieprzyłbyś wszystko jeszcze bardziej - dokończył szorstko Cotton.

Zapadła cisza. W końcu Schyler odezwała się:

- Jesteśmy dzisiaj wszyscy zmęczeni i zdenerwowani. Być może ta kłótnia pomogła nam wyładować emocje i dowiedzieć się czegoś na swój temat, ale - zerknęła na ojca - z pewnością zaszkodziła tacie. - Wyciągnięty na oparciu fotela, sprawiał wrażenie krańcowo wyczerpanego. - Proponuję, byśmy zakończyli na tym. Jestem pewna, że po zrealizowaniu zamówienia Endicotta wszyscy poczujemy się znacznie lepiej.

- Tylko to ma dla ciebie znaczenie? - zapytała Tricia.

- Teraz tak - odpowiedziała dobitnie Schyler. - Jeżeli nie dostarczymy w terminie ostatniego transportu, nie otrzymamy zapłaty. Jeśli nie dostaniemy pieniędzy ...

- Belle Terre zostanie przejęta przez bank. Taka sytuacja niezmiernie by mi odpowiadała.

- Deklaracja Tricii wyrwała Cottona z krótkiego letargu. Uniósł głowę i spojrzał na nią, jakby nie dosłyszał. - Właściwie mam nadzieję, że to właśnie nastąpi.

- Tricio, przestań.

- Pozwólmy tacie poznać nasz stosunek do tej sprawy, Schyler.

- Nie teraz.

- Dlaczego nie? Możemy nie mieć następnej szansy. - Spojrzała na Cottona. - Ken i ja chcemy sprzedać Belle Terre, zabrać przypadającą nam część pieniędzy i wyjechać stąd na

zawsze.

Schyler uklękła przy fotelu ojca i ujęła jego dłoń.

- Nie przejmuj się nimi, tato. Nigdy do tego nie dojdzie. Przysięgam ci.

- Uważaj na to, co mówisz, Schyler - zasyczała Tricia.

- Biorąc pod uwagę problemy, z którymi się borykasz, nie jestem taka pewna, czy starczy ci czasu.

Schyler zerwała się na równe nogi i stanęła przed Tricią.

- Nie obawiaj się. Pozostało mi jeszcze dobrych parę dni.

- To niewiele.

- Wystarczy.

- Nie, jeżeli zdarzy się coś nieprzewidzianego.

- Dopilnuję, by do niczego takiego nie doszło. Poza tym nie zamierzam czekać do ostatniej minuty. Po dzisiejszej inwentaryzacji sądzę, że do środy będę dysponowała wystarczającą ilością drzewa, by wypełnić zamówienie. Nie ma potrzeby, żeby zwlekać z tym do przyszłego tygodnia.

Zamierzała omówić ten plan z Cashem, teraz zdecydowała się zrealizować go nawet bez jego pomocy.

- Od jutra nasi ludzie będą pracować o dwie godziny dłużej. Sądzę, że za premię, którą zamierzam zaproponować, wszyscy chętnie poświęcą trochę wolnego czasu.

- Organizację pracy pozostaw Cashowi - poradził Cotton, trzymając dłoń na piersi w okolicy serca.

Schyler zastanawiała się gorączkowo nad tym, czy powiedzieć ojcu, że zwolniła Casha. Uznała, że fakt zerwania z nim umowy przyniesie Cottonowi ulgę.

- Cash już nie pracuje u nas. Dzisiaj go zwolniłam.

Jej oświadczenie wprawiło całą trójkę w osłupienie. Największe zaskoczenie malowało się na twarzy Cottona.

- Wywaliłaś Casha?

- Tak. Kazałam mu też się wynieść z Belle Terre. Ma na to czas do końca tygodnia.

- Cash ma opuścić Belle Terre? - powtórzył Cotton przeciągle.

- Czy nie tego sobie życzyłeś?

- Oczywiście, oczywiście - odpowiedział. - Jestem tylko wstrząśnięty, słysząc, że się

zgodził.

Nie spodziewała się takiej reakcji. Pragnęła, aby Cotton wyjaśnił swoje niezrozumiałe dla niej zachowanie, ale Tricia znowu wtrącała się do rozmowy.

- Zamierzasz zająć się tym wszystkim sama?

- Właśnie.

Tricia stłumiła śmiech.

- Klęska Schyler Crandall będzie dla mnie znakomitą rozrywką. Sprzedaż Belle Terre wydaje mi się jedynym możliwym zakończeniem tej komedii. Nie sądzę, tato, by pozostawiono nam inny wybór. Idziesz, Ken?

Dostojnym krokiem opuściła pokój.

Schyler pospieszyła do drzwi i zawołała panią Dunne.

- Proszę zaprowadzić tatę do jego pokoju i położyć go do łóżka - zakomenderowała, gdy gospodyni zjawiała się w salonie. - Gorzej się czuje, niech zażyje swoje lekarstwa, choć jest jeszcze na to o godzinę za wcześnie. Powinien iść spać.

- Nie rób zamieszania, Schyler - mruknął opryskliwie Cotton, usiłując wstać z fotela. - Jeszcze potrafię chodzić. Potrzeba czegoś więcej niż Kena, Tricii i ich śmierdzących planów, żeby mnie wykończyć.

- Wiedziałaś, że zamierzają sprzedać naszą posiadłość? Uśmiechnął się i puścił do niej oko.

- Jestem okropnym sukinsynem. Nauczyłem się dbać o siebie w dokach Nowego Orleanu. Potrafię zdobywać wiadomości.

- Belle Terre należy do ciebie i nikt ci jej nie odbierze. Pokręcił głową z zadumą na twarzy.

- Belle Terre nie jest niczyją własnością. To my należymy do niej.

Pozwolił jednak, by pani Dunne pomogła mu iść. Schyler odprowadziła ich wzrokiem. Wyglądał tak krucho, lecz nadal był silny duchem. Nic nie mogło pokonać jej ojca.

Bardziej niż kiedykolwiek pożałowała teraz lat, które przeżyła z dala od niego na skutek intryg Tricii. Przypomniała sobie jej nie dawne oświadczenie i w duchu przyznała rację. Także cieszyła się z tego, że w ich żyłach nie płynie ta sama krew.

Cofnęła się do pokoju. Prawie zapomniała, że wciąż przebywał tam Ken.

- Myślałam, że wyszedłeś razem z żoną. Wciągnął powoli powietrze i wypuścił je powoli.

- Nie ... nie rozwiązaliśmy jeszcze naszego problemu.

- Jakiego problemu?

- Tego. - Wskazał teczkę.

- Zapomniałam zupełnie. Pokryję spowodowane przez siebie straty, tak jak wcześniej robił to Cotton.

- Nie musisz mi robić grzeczności - stwierdził sarkastycznie.

- Wolisz siedzieć w więzieniu?

- Nie, jasne, że nie, ale chcę, żebyś wiedziała, iż nie jestem złodziejem.

- Wzięłaś coś, co nie należało do ciebie. To jest właśnie działanie zwane ogólnie kradzieżą.

- Brałem tylko tyle, ile potrzebowałem. ..

- By powstrzymać wierzycieli przed przetrąceniem ci nóg.

- I żeby Tricia przestała zadrezczać mnie ciągłym wyciąganiem ode mnie pieniędzy. Ta kobieta uważa, że jest księżniczką i musi żyć na odpowiednim poziomie. A Cotton zawsze skąpił mi grosza.

Schyler uciekła wzrokiem na bok, by nie okazać, co o tym wszystkim myśli. Ken dostrzegł jednak powątpiewanie w jej oczach.

- Pewnie, tak jak Cotton, sądzisz, że nie jestem wart nawet tego, co otrzymywałem.

- Dobranoc, Ken. Wybacz, ale ledwo stoję na nogach. Howell zastąpił jej drogę.

- Wiem, o czym myślisz.

- O czym?

- Że adorowałem cię tylko dla pieniędzy.

- Było inaczej?

- Tak.

- Wybacz, ale już ci nie wierzę. Niezbyt to nam obojgu pochlebia, prawda? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Teraz nie ma to dla mnie znaczenia. W końcu i tak odeszłabym od ciebie.

Spróbowała go obejść, ale powtórnie ją powstrzymał.

- Czy mnie zwolnisz?

- Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym. Nie jestem w stanie myśleć o wszystkim.

- Ale zwolnienie mnie byłoby w twoim stylu, nieprawdaż? Lubisz pokazywać swą władzę. Wiesz, że Cotton zawsze marzył o tym, by mieć syna, więc chcesz go zastąpić. Z

pewnością dlatego splawiłaś Boudreaux. Dwa ogiery nie mogą stać w jednej stajni.

- Dobranoc, Ken. - Spróbowała odepchnąć go na bok. Chwycił ją brutalnie za ramię.

- Tricia ma rację. Odkąd wróciłaś, wszystko się rozsypuje. Dlaczego nie zostałaś z tamtym pedałem? To związek odpowiedni dla ciebie. Byłaś dla niego namiastką mężczyzny. Dlaczego musiałaś wrócić i rozpieprzyć wszystko?

Schyler wyrwała rękę.

- To ty ponosisz winę za obecne problemy. Ty i Tricia. Ja zamierzam tylko zaprowadzić tu porządek i nic mnie nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Gayla, stojąc na werandzie, usłyszała ostatnie słowa wypowiedziane przez Schyler. Obserwowała przez okno, jak dziewczyna przechodzi do holu i skręca do sypialni ojca. Ken rozluźnił węzeł krawata i nalał sobie porcję bourbona, rzucając przy tym mocne wyzwiska pod adresem Schyler, Cottona i Tricii.

Gayla uważała Kena za niebezpiecznego mężczyznę. Przypominał teraz zranioną bestię. Gotów był rzucić się na każdego, nawet na osobę, która próbowałaby mu pomóc. Ludzie o słabym charakterze stanowią często największe zagrożenie.

Gayla nie podsłuchiwała umyślnie. Piła razem z panią Dunne w kuchni kawę. Gdy w salonie podniósł się krzyk, spojrzały na siebie i zaraz powróciły do rozmowy, starając się ignorować podniesione głosy. Gdy pani Dunne wyszła, by zabrać pana Crandalla do łóżka, Gayla wymknęła się przez tylne drzwi.

Wieczorne spacerowanie po werandzie stały się już codziennym rytuałem. Od czasu pojawienia się na jej poduszce lalki z przebitym sercem nie spotkało dziewczyny nic złego podczas tych nocnych wycieczek.

Wiedziała jednak, że w ciemności czai się, czekając na sposobną chwilę, ktoś, kto nie życzy dobrze mieszkańcom Belle Terre.

Dzień wcześniej pojechała z panią Dunne do miasta. Pierwszy raz od chwili ucieczki. Po przyjeździe do supermarketu pozostała jednak w samochodzie i dokręciła wszystkie okna. Prażyła się w południowym upale, niespokojnie rozglądając się wokół.

„To dziecinada” - wmawiała w siebie. Jej pokryte bliznami ciało mówiło jednak zupełnie coś innego. Najstraszliwsze blizny szpeciły jej serce i umysł. Co noc modliła się o śmierć Jiggera, choć wiedziała, że będzie się za to smażyć w piekle. Za to, za bycie jego dziwką i za zdradę miłości Jimmy'ego Dona.

Jedyną radość czerpała z faktu, że razem z nią będzie smażyć się Jigger. Miała nadzieję, że ci, którzy grzeszyli z konieczności, będą traktowani lepiej niż degeneraci w rodzaju jej niedawnego pana i władcy.

Wierzyła, że Jimmy Don nie podzieli jej kary. To ona ponosiła odpowiedzialność za jego uwięzienie.

Zatoczyła już prawie pełne koło. Okrążyła róg werandy, ale natychmiast cofnęła się:

zatykając dłonią usta, by powstrzymać okrzyk przestachu. Wciąż miała przed oczami cień, który pojawił się przed momentem na tle rododendronów.

Instynkt mówił, by jak najszybciej uciekła do najbliższych drzwi, ale zmusiła się do pozostania na miejscu. Po kilkunastu sekundach wychyliła się ostrożnie za róg, ale nie dostrzegła żadnych śladów czyjejkolwiek obecności.

„Może to przywidzenie” - pomyślała, przesuwając się cal po calu wzdłuż ściany. Dotarłszy do okna salonu, zerknęła do środka. Zobaczyła Kena, który pijąc i przeklinając, chodził po pokoju.

Prześliznęła się pod oknem nie zauważona. Z powodu zbyt jasnego światła z salonu nie można było zobaczyć werandy, ale z zewnątrz każdy bez trudu mógł śledzić sytuację w salonie i usłyszeć wszystko co zostało tam powiedziane. Nikogo tutaj nie było. Prawdopodobnie krzyk podniósł jakiś nocny ptak, a cień był tylko wymysłem jej chorej wyobraźni.

Prawie przekonana, że zszargane nerwy splątały jej figła, zeszywniała nagle. W nieruchomym powietrzu wyczuła zapach dymu papierosowego.

Następnego ranka, dwie minuty po dziewiątej, na biurku Dale'a Gilbreatha zadzwonił telefon.

- Zamierza zrealizować zamówienie przed terminem. Co ty na to?

Wyprostował się, jakby trafił go piorun.

- Wysyła transport w środę.

- Dlaczego?

- A jak myślisz? - zapytał niecierpliwie jego rozmówca. - Bo jest cholernie cwana baba. Próbuje uniknąć tego, co przygotowaliśmy na dzień wysłania ostatniego transportu drewna.

Dale szybko przeanalizował sytuację.

- Nie sądzę, by spowodowało to jakieś kłopoty. Flynn zgodził się na naszą cenę. Fakt, że ta czarna Frances przebywa w Belle Terre, nie jest jego jedyną motywacją.

- Masz pewność, że poradzi sobie ze sprzętem?

- Tak. Dopilnuj tylko, żeby go otrzymał. Sam przekażę mu informację o zmianie terminu.

O której w środę?

- Zgodnie z rozkładem jazdy pociąg przyjedzie o siedemnastej piętnaście.

- Wiesz - zamyślił się Dale - że jeśli w tym zasranym pociągu ktoś zginie, będziemy winni morderstwa. - Tak. Szkoda, że nie będzie w nim Schyler.

Środowy poranek przywitał świat zamglonym niebem.

Powierzchnię nieruchomej wody w kanałach muskały jedynie leniwe owady. Na horyzoncie od strony zatoki unosiły się ciemne chmury, ale o piątej dziesiątej po południu zaświeciło słońce.

Wybuch nastąpił zaledwie ćwierć mili od placu przeładunkowego „Crandall Logging”. Szyby, które wypadły z ram okiennych, zasypały biuro odłamkami szkła, wbijając się przy tym w skórzane obicie fotela Cottona.

Nad stertą poskręcane go żelastwa unosił się wysoki słup czarnego dymu. Z pewnością można go było dostrzec na kilka mil, a huk usłyszano chyba na końcu świata. Pod wpływem wstrząsu butelki w kafejce Reda Broussarda zabrzęczały gwałtownie, jakby przerażone.

Samotnie siedzący przy stoliku jeden z częstszych bywalców knajpy uśmiechnął się z ogromną satysfakcją. Zrobił cholernie dobrą robotę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

- Przestań tak na mnie patrzeć, tato. Nic mi się nie stało.

Policzki Cottona pokryły się rumieńcem. Schyler była zadowolona, że ojciec nie wstaje z łóżka.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze. Co się stało z twoim kolanem?

Zerknęła na nogi i dopiero teraz zauważyła, że kolana krwawią, podobnie jak dłonie.

Usiłując nie zwracać uwagi na kłujący ból, otrzepała je z piasku.

- Stałam na platformie, obserwując przyjazd pociągu.

Podmuch wybuchu zbił mnie z nóg i wylądowałam na rękach i kolanach obok torów.

- Mogłaś zginąć.

Uznała, iż lepiej nie wspominać, że prawdopodobnie tak właśnie by się stało, gdyby siedziała w biurze.

- Dzięki Bogu, wszyscy żyją.

- A w pociągu?

- Pchał przed sobą dwie puste lokomotywy. To one najbardziej ucierpiały. Maszyniści w trzeciej nie zostali nawet zranieni. Oczywiście, przestraszyli się. Mimo wszystko był to dość kosztowny, eee ... wypadek.

- Gówno tam wypadek. Co się stało, Schyler? - Zmarszczył brwi. - Nie próbuj niczego przede mną ukrywać. Co się naprawdę wydarzyło?

- Sabotaż - przyznała z głębokim westchnieniem. - Użyto ...

- Oui?

- Ktoś podłożył ładunek wybuchowy. Gdy dym się przerzedził i stwierdziliśmy, że nie ma rannych, szeryf przeprowadził wstępne śledztwo.

- Śledztwo? - zakpił Cotton. - Ten dureń Patout nie zauważy tropu, nawet gdyby ktoś podstawił mu go pod nos.

- Obawiam się, że masz rację, dlatego też zostałam z nim. To dlatego tak okropnie wyglądam. - Wytarła spocone dłonie o przód sukienki. - Kłębi mi się w głowie tysiąc pytań bez odpowiedzi. Pociąg był międzystanowy, więc niedługo zaroi się tu od agentów federalnych. Przegrzebanie tego rumowiska zabierze im tygodnie, jeśli nie miesiące.

- Naczepy też uległy zniszczeniu?

- Tak.

Cotton usiadł przygnębiony na skraju łóżka.

- Nie rozumiem tylko - kontynuowała Schyler dlaczego wybuch nastąpił, zanim pociąg dojechał do placu. Jeżeli komuś zależało na zatrzymaniu transportu, dlaczego nie przeprowadzono akcji po załadowaniu drzewa?

- I tak udało mu się nie dopuścić do realizacji zlecenia.

- Jak diabli - odpowiedziała Schyler z ozywieniem.

- Przysięgam ci, że zdążę przed terminem.

- Może powinnaś dać sobie spokój? - zasugerował zrezygnowany Cotton.

- Nie mogę, tato - stwierdziła dobitnie. - W ten sposób oddałabym Belle Terre.

- Ale nie możesz działać sama.

Trafił w sedno sprawy. Pozostała sama, Cotton mógł jedynie doradzać w razie potrzeby, ale choroba uczyniła go niezdolnym do udzielenia prawdziwej pomocy. Żałowała, że nie ma już Casha.

Rozpaczliwie potrzebowała teraz jego rady, ale może to on ponosi odpowiedzialność za dzisiejsze zniszczenia? W Wietnamie był ekspertem od materiałów wybuchowych. Potrafiłby unieruchomić „Crandall Logging” nie zabijając nikogo. Ale czy porwałby się na coś takiego? Poza tym dlaczego miałby niszczyć własne dzieło?

Przypomniała sobie zimny wyraz jego twarzy podczas ostatniego spotkania, oczy pozbawione iskierki ludzkiego uczucia. Tak, był zdolny do wszystkiego, mogła go podejrzewać o ten zamach. Gdyby nie to, schowałaby dumę do kieszeni i choćby na klęczkach prosiła o radę.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Gilbreatha i nie zaapelować do jego ludzkich uczuć, lecz, szczerze mówiąc, powątpiewała w nie. Skoro nie przedłużył terminu z powodu choroby Cottona, dlaczego miałby zrobić to teraz? Poza tym czuła, że bankier macza palce w każdym z nieszczęśliwych wypadków, które jak plaga nękały ostatnio „Crandall Logging” i ją samą.

Najbardziej niepokoił ją fakt, że o zmianie terminu wysyłki wiedziała jedynie grupa najbliższych jej osób. Tylko im zaufała.

Ken. Z pewnością nie zaliczał się do jej sprzymierzeńców.

Ujawnienie przez nią jego nieuczciwości tylko powiększyło wzajemną wrogość. Wątpiła jednak, by był zdolny do fizycznej przemocy. Potrafił jedynie gadać. Poza tym nie miał

odpowiedniego przeszkolenia, jakiego wymagało przeprowadzenie tego typu akcji.

Tricia. Nie znała bardziej mściwej osoby. Przyklasnęłaby niepowodzeniu firmy, gdyż załatwiałyby ono sprzedaż Belle Terre. Ale ona także nie miała doświadczenia w sprawach, w których w grę wchodziła przemoc.

Jigger Flynn. Motyw - owszem. Ale brak sposobności.

Nie mógł wiedzieć o nagłej zmianie w jej planach.

Cash także należał do osób nie znających jej zamysłów, ale mógł się dowiedzieć. Drwale z pewnością czuli, co się święci, skoro tak goniła ich przez ostatnie kilka dni. Wieczorem pili w knajpach, a alkohol rozwiązuje języki. Cash mógł wyciągnąć od nich wszystko.

- Boję się o ciebie. - Chrapliwy głos Cottona wyrwał ją z rozmyślań.

Masując jego stopy, zmusiła się do uśmiechu.

- Bardziej się boję o Belle Terre.

- Czy zrobił to Cash? - Bolesny zawód sprawił, że skutki choroby objawiły się na jego twarzy wyraźniej niż zwykle.

- Nie wiem, tato.

- Czy on mnie aż tak bardzo nienawidzi? - Zagapił się w okno. - Nie zachowałem się fair w stosunku do tego chłopca.

- On nie jest chłopcem. To mężczyzna.

- Mógł mieć lepsze życie. Monique nie pozwalała mi kupować mu ubrań, płacić za cokolwiek. W szkole wyśmiewano się z niego. - Zaciśnął powieki. - T o zawsze wpływa na dziecko, które albo staje się życiowym słabeuszem, albo podłym sukinsynem. Cash teraz chce się odgryźć za wszystko.

- Twoje nieporozumienia z nim nie usprawiedliwiają jednak dzisiejszego zdarzenia - zauważyła Schyler. - Jeżeli znajdą dowody świadczące przeciwko niemu, dopilnuję, by ukarano go z całą surowością.

Pierś Cottona uniosła się i opadła w głębokim westchnieniu.

Monique nie zniosłaby świadomości, że jej syn siedzi w jakimś cholernym więzieniu. Cash należy do lasu, do świata kanałów. Często mawiała, że w jego żyłach zamiast krwi płynie chyba ciemna woda Kanału Laurenta. - Złapał się za głowę. - Chryste!

Schyler położyła dłoń na jego gęstych, białych włosach.

- Nie martw się o Casha. Powiedz, co powinnam zrobić. Drzewo jest wciąż nietknięte.

Przywieziono właśnie z lasu ostatnią partię ...

Przerwała nagle.

- Tato, jak transportowaliście drzewo do odbiorców, gdy przejmowałeś kampanię?

Jego niebieskie oczy rozbliły.

- Przed zbudowaniem placu i linii kolejowej? Tak jak teraz robi to większość niezależnych. Samochodami.

- To jest to! - Schyler pochyliła się i cmoknęła go w usta. - Zawieziemy drzewo pod same drzwi Joego Juniora.

- Dlaczego tak sknocił zadanie? - zasyczał w słuchawkę tajemniczy rozmówca.

Gilbreath, zgarbiony nad biurkiem, zadawał sobie to samo pytanie.

- Musiał być pijany i przekreślił nasze instrukcje. Nie znajduję innego wytłumaczenia.

Byliśmy głupcami, polegając na nim. - Nie mieliśmy wyboru.

- Współpraca z tobą to też głupota. Nie jesteś mi właściwie potrzebny.

- Nie groź mi - powiedział zimno Dale. - Niczego dotąd nie straciliśmy. Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłaby teraz dostarczyć na czas towar.

- Chcesz się założyć? Stanie się to jutro w nocy.

- Co?

- Nie przesłyszałaś się, jutro w nocy. Ciężarówkami.

- „Crandall Logging” nie posiada aż tylu.

- Schyler gromadziła je przez cały dzień. Wynajmuje każdego, kto dysponuje odpowiednim pojazdem, i obiecuje maksymalne stawki. Mówię ci, da radę. Chyba że ją powstrzymamy.

Gilbreathowi zaczęły się pocić dłonie.

- Znowu będzie nam potrzebny Jigger.

- Też tak sędzę, ale tym razem upewnij się, że wie, co ma zrobić.

- Dopilnuję, by nie popełnił następnego błędu. Nie bój się.

- Zabawne, ale jednak się boję.

Gilbreath postanowił zlekceważyć przytyk.

- O której jutro?

- Jeszcze nie wiem. Gdy się dowiem, zadzwonię.

- Jigger będzie musiał użyć zapalnika czasowego.

- Prawdopodobnie.
- Tym razem ryzyko jest o wiele większe. Pojazdami będą kierować ludzie.
- Dam radę żyć z poczuciem winy, jeśli ty nie stchórzysz.
- Och, co za podejrzenie! - zachichotał Gilbreath.
- Chciałem się tylko upewnić co do twojej determinacji.
- Nie miej żadnych wątpliwości.
- Sądzę, że po jutrzejszym telefonie nie powinniśmy więcej ze sobą rozmawiać.
- Zgadzam się. Szkoda, że nie będziemy mogli wspólnie oblać sukcesu.
- Gdy zamieszkamy z Rhodą w Belle Terre, zaprosimy Clę na szampana.

Odpowiedział mu śmiech.

- Koniecznie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

- Jutro odbiję sobie tę zarwaną noc. - Uścisnęła czule dłoń Cottona. - Niepotrzebnie się przejmujesz. Endicott nas oczekuje. Wyjaśniłam, dlaczego konwój przybędzie tak wcześnie. Sądzi pewnie, że oszalałam, ale on sam jest zwariowany, więc dobraliśmy się jak w korcu maku - zakończyła ze śmiechem.

Cotton nie podzielał jej rozbawienia.

- Poczuję się znacznie lepiej, gdy bezpiecznie wrócisz do domu - stwierdził z grobową miną.

- Niby dlaczego miałoby być inaczej? Przedtem czeka mnie jednak mnóstwo ciężkiej pracy.

- Dlaczego musisz jechać osobiście?

- Nie muszę, ale chcę do rąk własnych dostać ten śliczny czek. To będzie ukoronowaniem mojej pracy. Obiecuję, że pojedę z najlepszym kierowcą. Kogo proponujesz?

- Casha.

- Casha? - powtórzyła zaskoczona. - On nie jedzie.

- Wiem, ale gdyby to zależało ode mnie, wybrałbym właśnie jego,

Miał rację. Cash powinien razem z nią odebrać zapłatę z rąk Endicotta. To także jego sukces. Chyba że jego praca stanowiłaby tylko zasłonę dymną, podobnie jak jego namiętność.

Poprawka: Cash nikogo nie kocha. Przyznał się do tego z brutalną szczerością.

Schyler chrząknęła i przywołała na usta uśmiech.

- Kogo proponujesz w drugiej kolejności? - Cotton wymienił nazwisko. - Więc pojedę z nim. - Postanowiła i kładąc dłonie na ramionach ojca, popchnęła go z powrotem na poduszki. - Śpij już. Wrócę do domu niedługo po twoim przebudzeniu. - Pocałowała go na pożegnanie. - Dobranoc, tato. Kocham cię.

W progu jeszcze odwróciła się i uniosła do góry kciuk, ale Cotton zamknął już oczy.

Wyszła na palcach.

- Mam cudowny pomysł - zagruchała Rhoda, siedząc w wannie pełnej pachnącej piany. Sięgnęła po kieliszek i wypila łyk zimnego szampana. Potem kusząco wysunęła język i oblizła znacząco górną wargę. - W wannie starczy miejsca dla dwojga.

- Dziękuję, ale wolę popatrzeć.

- I zrobić zdjęcia?

- Tak, później.

- Świątujemy?

Dale ukląkł obok wanny i rozsunął pianę, by uwidocznic skorygowane chirurgicznie piersi żony. Jej sutki dotykały powierzchni wody. Wziął do rąk kieliszek wina i kropla po kropli oblewał je chłodnym płynem.

- Tak.

- Z jakiej okazji?

Dale odebrał jej kieliszek i zamienił go na kostkę pachnącego mydła.

- Umyj się.

Rhoda zaczęła pocierać mydło, aż jej dłonie pokryły się pianą. Powoli rozprowadzała ją po pełnych piersiach, patrząc na męża z uśmiechem.

Dale nie spuszczał z niej wzroku. Zaczął szybciej oddychać.

- Świątujemy nasz sukces.

- Hmm. Czy ma on coś wspólnego z wybuchem na placu Crandalla?

- Nie. Tamta sprawa nie poszła do końca po naszej myśli.

- Och?

- Nie zapominaj o reszcie ciała - poinstruował ją•

Rhoda z pobłażliwym uśmiechem ułożyła stopy na przeciwległym brzegu wanny i rozchyliła uda.

- Co się wtedy nie udało?

- Nasza operacja opóźniła wyprawę Schyler, ale jej nie powstrzymała - wysapał. - Dzisiaj wieczór jednak rozprawimy się z nią na pewno. Musi się udać. Sprzęt jest bez zarzutu.

- To dobrze. - Zdmuchnęła na bok wyspę piany, by odsłonić Dale' owi widok. Wyraz jego twarzy, gdy na nią patrzył, bawiłby ją setnie, gdyby nie pochłaniał jej przedmiot ich rozmowy. - Popęlnić taki błąd to niepodobne do Casha.

- Pospiesz się z tym myciem, kochanie. Proszę cię wydyszał. - Boudreaux? Co on ma z tym wspólnego?

- Myślę, że wszystko. Czy to nie on spowodował eksplozję?

- Do diabła, nie. To dzieło Jiggera Flyna.

Rhoda usiadła gwałtownie, wychlapując wodę z wanny.

- Ale to Cash zaplanował akcję i pokazał mu, jak ma podłożyć ładunki, prawda?

- Nie.

- Sądziłam, że zatrudniłeś Casha. Powiedziałeś, że wiążesz z nim pewne plany.

- Początkowo tak było, ale zmieniłem decyzję. Za bardzo związał się z Belle Terre. Nie wiem, jak dalece lojalny jest w stosunku do Schyler.

- Sypia z nią.

- On śpi z każdą! - ryknął rozzłoszczony uwagą Rhody. Sugerowała mu, że jest durniem. - Przynajmniej dotychczas nie był w tej materii wybredny - dodał zjadliwie.

- Ty bękarcie! - Rhoda, ochlapując męża wodą, wyszła z wanny i sięgnęła po ręcznik. - Więc wynajęłaś Flynnę.

- Można mu ufać, bo pragnie zobaczyć upadek Schyler Crandall.

- A Cash? - nalegała Rhoda. - Gdzie jest dziś wieczorem?

- Zszedł ze sceny. Wywaliła go.

- Ty głupcze! - zawołała. - Sądysz, że będzie się spokojnie przyglądał, jak Belle Terre wpada w twoje łapy? On chce jej dla siebie. Sam mi to powiedział. Kto go dzisiaj pilnuje?

Gilbreath zorientował się, że popełnił poważny błąd.

Wyskoczył z łazienki i pobiegł do sypialni. Pospiesznie wykręcił numer telefonu.

- Co to ma znaczyć?

Ken przyglądał się sypialni całkowicie wywróconej do góry nogami. Na łóżku leżały dwie otwarte walizki. Ubrania Tricii zwisały z krzeseł. Pokrywały zresztą każdy cal przestrzeni. Koronkowa bielizna wylewała się z wysuniętych szuflad komody.

- Pytasz, co robię? Pakuję się.

- Wyjeżdżasz? Dokąd?

- Do Nowego Orleanu, do Dallas, może do Atlanty. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się promiennie. - Szczerze mówiąc, jeszcze nie zdecydowałam. Myślę, że pojedę samochodem do Lafayette, skrećę na autostradę między stanową i zobaczę, co przyjdzie mi do głowy.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Przytrzymał ją za ramię•

Wyrwała się.

- Mówię o wolności, o wydostaniu się z Heaven na zawsze.

- Nie możesz tak po prostu wyjechać.

- Mylisz się i zaraz ci to udowodnię. - Teatralnym gestem cisnęła parę butów do walizki.

- Nie masz pieniędzy.

- Póki nie zdobędę trochę gotówki, wystarczy mi karta kredytowa.

- A niby skąd ją wydobędziesz?

- Niech cię o to głowa nie boli, kochanie. Ja nie pytam cię o nic. - Poglaskała go po wilgotnym policzku.

Znowu szarpnął ją za rękę.

- Jestem twoim mężem. Jaka jest moja rola w twoich planach?

- Żadna. Nasze małżeństwo jest skończone.

- Co to znaczy „skończone”?

Tricia westchnęła zniecierpliwiona. Nie chciała tracić czasu na wyjaśnianie spraw oczywistych.

- Nasze małżeństwo zbudowaliśmy na kłamstwie. Spróbujmy chociaż zakończyć je na prawdzie. Nie kochamy się. Nigdy nie łączyło nas żadne uczucie. Zmusiłam cię do ślubu oszustwem. Jedynym powodem, dla którego postanowiłam wyjść za ciebie, był twój związek z Schyl er. Ona już cię nie chce, więc ja też nie.

- Ty dziwko!

- Och, proszę. Oszczędź mi teatralnych scen i daruj sobie tę urażoną minę. Niczego ci nie brakowało przez te sześć lat. Większość ludzi uważa Belle Terre za piękną posiadłość. Miałaś przywilej rezydować tu, nie płacąc złamanego grosza za swoje utrzymanie. Nie musiałaś pracować. Ciągnęłaś pieniądze z rodzinnej skrzyni. Bóg jeden wie, ile tego było. Upiekło ci się. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz ślub to farsa. Wiesz, że jestem samolubną intrygantką, a ty - pozbawionym ambicji słabeuszem. Na seks także nie możesz narzekać. O ile mnie pamięć nie myli, nigdy ci nie odmówiłam, a gdy odwiedzałaś burdele, udawałam, że o niczym nie wiem. Czas zakończyć ten żaloszny teatr. - Uniosła się na palcach i pocałowała go lekko w usta. - Poradzisz sobie beze mnie. Odstaw bourbona na miesiąc lub dwa i zajmij się swoim brzuchem. Ciągłe niezłe się prezentujesz. Znajdziesz zamożną kobietę usychającą z pragnienia, by zaopiekować się tobą.

- Nie potrzebuję niańki.

- Ależ tak, słodczy ty moja. Zawsze ktoś podejmował za ciebie decyzje.

Na nocnym stoliku zadzwonił telefon. Z ujmującym uśmiechem Tricia poklepała Kena po policzku i podniosła słuchawkę. Ledwie wyrzuciła z siebie „halo!”, jej uśmiech znikł. Zamilkła i

zaczęła uważnie słuchać.

Jigger obudził się z przejmującym bólem głowy i językiem przyschniętym do podniebienia. Przetoczył się na brzuch i ukrył twarz w śmierdzącej potem brudnej poduszce. Pijacki jazgot w głowie nie ustępował.

Gdy po kilku minutach zdał sobie sprawę, że nie zaśnie, usiadł na brzegu łóżka, przytrzymując się materaca dla zachowania równowagi.

Bezskutecznie próbował otrząsnąć się z oparów alkoholu.

Potężne ziewnięcia nie zlikwidowały szumu pod czaszką. Nie powinien był pić ostatniej kwarty whisky tak szybko. Przeklinając własną głupotę, ruszył w głąb domu.

Po wykonaniu zlecenia wrócił o zmierzchu do domu.

Teraz była już noc, ale ze względu na obolałą głowę nie włączył światła. Po kilku zderzeniach z meblami dotarł do kuchennego zlewu i odkręcił kurek. Musiał spłukać ten ohydny smak.

W gruncie rzeczy nie żałował ostatniego pijaństwa. Należało mu się. Podkładając ładunek, ryzykował, że zostanie przyłapany. Kilka razy dostrzegł, jak to babsko, Schyler Crandall, wychodzi z biura i wydaje rozkazy niczym sierżant podczas musztry. Niedługo dobierze się do niej.

Z diabolicznym śmiechem napełnił szklanek wodą i uniósł do ust. Znajdowała się już w połowie drogi, gdy zorientował się, że obudził go nie hałas, lecz jego brak.

Grzechotnik ucichł.

Upuszczona szklanka roztrzaskała się o podłogę, a woda chlusnęła na brudne stopy, ale on nie zwrócił na to uwagi.

Wybiegł w pośpiechu tylnymi drzwiami, prawie przewracając się na betonowych schodach.

Odetchnął, widząc w świetle księżycy, że beczka nie zmieniła położenia. Na wieku wciąż spoczywał spory kamień. Rozejrzał się po podwórku, wszystko było w najlepszym porządku. Skierował wzrok na zagrodę dla psów. Suka przyglądała mu się ciekawie. Po chwili położyła się spokojnie, pozwalając szczeniakom ssać.

Przez cały wieczór nie zaszczekała ani razu, inaczej z pewnością by się obudził. Mógł przysiąc, że gdy wrócił do domu, wąż tkwił w beczce, wydając mrożący krew w żyłach dźwięk.

Dlaczego teraz siedzi cicho? Co mu przeszkadzało? Szczura dostał parę dni temu, więc

powinien już dawno go strawić. Dlaczego ten sukinsyn przestał grzechotać?

Nie żyje? Gównu! Wygląda na to, że wszystko, czego się ostatnio dotknął, obracało się w gówno. A planował już, że użyje węża do treningu młodych psów, opracuje pokaz z nim i którąś z zatrudnionych przez siebie dziwek i wyjedzie w trasę. Jeśli wąż zdechł, jego fantastyczne plany okażą się nic nie warte.

A może go tam nie ma? Może jakiś złodziejski bękart usłyszał o jego planach i zabrał mu węża? Odnajdzie go, odnajdzie ...

Miotając przekleństwa, podbiegł do beczki i zepchnął kamień. Głaz wylądował z łomotem, wzbijając tuman kurzu. Jigger chwycił pokrywę, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Uwielbiał węża, ale wciąż był to groźny przeciwnik. Cofnął spocone dłonie i wytarł je w spodnie.

- Dlaczego ustał grzechot? Czy on tam w ogóle jest?

Mrucząc pod nosem, podszedł do sterty drzewa na opał i podniósł długie polano. Przy klientach nie przesadzał z ostrożnością, ale teraz czuł, że nie należy ryzykować.

Ponownie zbliżył się do beczki. Wyglądała tak samo jak wcześniej, ale odkąd ucichł grzechot, przypominała mu raczej przedmiot z jakiegoś koszmarnego snu.

Chciało mu się sikać. Oddychał z lekkim wysiłkiem, gapiąc się na pokrywę. Szturchnął ją szybko polanem. Bez odzewu.

Węża tam nie było. A może jednak był? Zaczynał gonić w piętękę. Musiał to sprawdzić. Pchnął kijem brzeg pokrywy. Ani drgnęła. Przeklinając włożył w to więcej siły. Znowu bez skutku. Zacięła się? Zapierając się o ziemię, zawisł całym ciężarem ciała na zaimprovizowanej dźwigni.

Nagle wieko odpadło i z hałasem potoczyło się po podwórzu.

Wytracony z równowagi Jigger wpadł na beczkę. Jego głowa zawisła nad krawędzią. Wrzasnął przerażony.

Po chwili roześmiał się nerwowo. Ulżyło mu, gdy na dnie zobaczył zwiniętego węża. Ale dlaczego nie hałasował? Może zdechł?

Pochylił się bardziej i zerknął powtórnie do środka.

W tym samym momencie na jego kark opadła ciężko czyjaś ręka i unieruchomiła go żelaznym chwytem.

Jigger kwiknął jak zarzynane prosię.

- Jak widzisz, on wciąż tutaj jest, ty sukinsynu usłyszał przepelniony nienawiścią szept. - Opary benzyny nieco go otumanily, ale gdy się obudzi, będzie wściekły jak wszyscy diabli i wyżyje się na tobie.

Jigger wrzasnął. Kopnął w panice do tyłu, młóćąc jednocześnie ramionami. Jego wysiłki nie przynosiły jednak żadnego efektu. Głowa i barki, przytrzymywane przez silne ramiona, wciąż wisiały nad otwartą beczką.

- Zanim się obudzi, będziesz miał dość czasu, by przemyśleć wszystkie podłości, jakich się dopuściłeś. To jest dzień sądu nad tobą, Jigger. Czeka cię długa i straszna podróż do piekła.

Napastnik uderzył go łańcuchem. Jigger jęknął z bólu.

Przerażenie pozbawiło go sił.

Do końca łańcucha przyczepione były kajdanki. Przyglądał się, jak zatraskują się teraz na jego nadgarstkach. Szarpnięciem przeciągnięto jego ręce w poprzek beczki tak, że górną częścią ciała zakrył otwór. Następnie owinięto łańcuch wokół pojemnika i przywiązano doń jego nogi.

Jigger próbował trzymać oczy zamknięte, ale nawet na to brakowało mu sił. Gapił się na tłuste, ohydne cielsko pod sobą. Właśnie zaczęło się poruszać. Wrzasnął.

- Dobrze, krzycz. Krzycz głośniej, tak by usłyszeli cię w piekle. - Oprawca uderzył go polanem po pośladkach. - Powinienem wsadzić ci to w tyłek, ale nie chcę, byś zdechł w ten sposób. Będziesz umierał widząc swą głowę odbitą w oczach węża. Ciekawe: ile razy cię dziabnie, zanim wykitujesz?

- Uwolnij mnie. Proszę. Uwolnij mnie. Słodki Jezu!

- Tak, Jigger, módl się.

- Co ci zrobiłem? Kim jesteś, ty sukinsynu?

- Jestem aniołem. Albo nie; jestem demonem z piekieł. To nie ma dla ciebie znaczenia. - Nieznajomy silnie nachylił głowę Flynna w głąb beczki. - Umrzesz w straszliwych męczarniach - wyszeptał z rozkoszą.

- O Jezu, Jezu! - wyjęczał Jigger. - Zrobię wszystko. - Proszę. Błagam. Oddam ci wszystko. Pieniądze wszystkie, jakie mam, co do centa.

Kat, zmęczony krzykami Jiggera i jego błaganiami o litość, odwiązał z szyi chustkę i wepchnął skazańcowi w usta. Jigger spróbował ją wypluć, ale doprowadził tylko do tego, że jego usta wypełniły się wymiocinami. Szarpnął się jak oszalały, próbując zerwać więzy.

- Nie pozostaniesz długo sam, Jigger. Wkrótce będziesz miał towarzystwo, już niedługo. Wiesz, jak twoja głowa do rana spuchnie? Będziesz wyglądać jak kupa mięsa pokrytego na całej powierzchni identycznymi dziurami. Pa, pa, Jigger. Następnym razem zobaczymy się w piekle.

Mściciel przystanął przy wybiegu i rzucił suce kawałek kiełbasy. Najwyraźniej oczekiwała tego. Szczeniaki z zaufaniem lizały jego rękę. Potem zniknął w ciemnym lesie.

Jigger odchylił się w stronę psiarni tak bardzo, jak pozwalała na to łańcuch. Krzyknął, ale tylko echo odpowiedziało na wołanie. Serce raz po raz boleśnie uderzało, oczy zalewał gryzący pot. Zamrugał i zobaczył wąskie szpary oczu swego pięknego węża.

Ogon grzechotnika zaczął drgać.

Gayla koniec tej nocy powitałaby z radością.

Co za okropna noc! Najpierw wyjechała Schyl er. Gayla uznała, że jej przyjaciółka jest szalona, wracając na plac po wybuchu. Wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki Schyler nie sfinalizuje przedsięwzięcia z Endicottem i nie wróci do domu.

Jakby nie było dość powodów do zmartwień, niedługo' potem przed dom wybiegła Tricia i po paru sekundach wróciła pędem do środka.

- Gdzie, do diabła, jest mój samochód?

Gayla, na swoje nieszczęście, była jedyną osobą w domu, która знаła odpowiedź.

- Pani Dunne pojechała nim do miasta.

- Co?! - wrzasnęła Tricia.

- Jej samochód się zepsuł, a ma dzisiaj wolny wieczór, więc Schyler pozwoliła jej wziąć twój, skoro nigdzie się nie wybierałaś.

- Właśnie się wybieram.

- W takim razie obawiam się, że pozostaje ci tylko samochód pana Howella.

- Nic z tego - mruknęła Tricia. - Jego wóz ma automatyczną skrzynię biegów. Nie umiem sobie z nią poradzić ... Dlaczego, do cholery, stoję tutaj i tłumaczę się właśnie tobie?

Obróciła się na pięcie i wyszła majestatycznym krokiem, nie zwracając uwagi na drzwi, które zatrzasnęły się za nią z hukiem. Gayla wyjrzała przez okno.

Tricia przebiegła przez dziedziniec i zniknęła w stajni.

Parę minut później wyjechała konno. Dokądkolwiek się wybierała, czyniła to piekielnie szybko.

Wtedy zszedł do salonu Ken. Gayla słyszała, jak grzebie w szufladach i zamyka je z

trzaskiem, widocznie szukając czegoś bardzo ważnego. Wyglądał na wyprowadzonego z równowagi w takim samym stopniu jak Tricia. Niedługo potem on także gdzieś pojechał.

Ulżyło jej trochę, gdy nareszcie została sama w domu.

Nie licząc oczywiście pana Crandalla, lecz ten spał spokojnie, gdy ostatnio do niego zaglądała. Schyler poprosiła ją, by zaopiekowała się Cottonem i w razie potrzeby wezwała doktora Cottinsa.

Nie uważała tego za przykry obowiązek. Opieka nad starszym panem sprawiała jej przyjemność. Instynktownie wyczuwała, gdy czegoś potrzebował, ale duma nie pozwalała mu prosić. Rzadko dziękował jej głośno, lecz zawsze patrzył na nią z wdzięcznością.

Gdy zapadł zmrok, jej zdenerwowanie wzrosło. Kręciła się po całym domu, sprawdzając, czy wszystkie drzwi i okna są dobrze zamknięte. Zrezygnowała z nocnego spaceru po werandzie, bała się wyjść na zewnątrz.

Próbowała oglądać telewizję, ale program nie wzbudził jej zainteresowania. Usiłowała poczytać, lecz nie była w stanie usiedzieć nawet chwili. Dlatego też z radością powitała bicie zegara, wskazujące, że minęło już sześćdziesiąt minut, odkąd po raz ostatni sprawdzała pokój pana Crandalla.

Udała się do jego sypialni i uchyliła drzwi. Wsunęła przez szparę głowę i zlustrowała pograżone w ciemności pomieszczenie. Ciało Cottona wyraźnie rysowało się pod kołdrą. Leki spełniły swoje zadanie, zasnął bez trudu. Przez moment wsłuchiwała się w jego rytmiczny oddech, po czym ostrożnie wycofała się z pokoju i zamknęła drzwi.

Atak nastąpił tak nieoczekiwanie, że nim zdążyła krzyknąć, na jej ustach zacisnęła się męska dłoń. Silne ramię jak macka oplotło jej talię.

Ktoś ciągnął ją z powrotem do holu. Próbowała się zapierać, ale napastnik niemal niósł jej szczupłe ciało. Zaczęła szarpać paznokciami zakrywającą usta dłoń i kopnęła napastnika w goleń, lecz nie udało jej się wyrwać.

Pociągnął ją do salonu i pchnął na ścianę.

Oszołomiona i przerażona uniosła głowę. Rozpoznawszy go, patrzyła z niedowierzaniem i lękiem. Ułożyła usta, by wypowiedzieć jego imię, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Jimmy Don - wyszeptała w końcu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Był naj prawdopodobnie pijany. Niektórym pijakom pojawiały się przed oczyma różowe słonie, a on zobaczył blondynkę pędzącą na koniu w kierunku jego chaty. Przypomniała mu o Schyler. Na wspomnienie jej imienia poczuł narastające pożądanie. Żałował, że nie może opanować tych reakcji towarzyszących każdej myśli o niej.

Jednym łykiem opróżnił szklanekę do połowy. To był trzeci albo czwarty drink, odkąd wrócił niedawno do domu. Przez kilka godzin sprawdzał każde podejrzanymie miejsce, ale wciąż wydawało mu się, że coś przeoczył, nie zajrzał pod jeden z kamieni, jedyny, jaki się liczył. Ta myśl męczyła go jak ból zęba. Co przeoczył?

Łącząc z kąta w kąt i pijąc, próbował odegnąć niepokój.

Do diabła, to nie jest jego problem. Niech każdy się martwi o siebie. Alkohol nie przynosił jednak ukojenia, jedynie przywoływał złudzenia. Jadąca konno blondynka. Cholera jasna!

Jeszcze raz zatrzymał się przy oknie. Tym razem powoli odsunął szklanekę od ust. Wyraźnie widział, jak kobieta zsiada z konia i podbiega do jego drzwi. Odstawił naczynie i poszedł otworzyć.

- Cześć, Cash - przywitała się zdyszana, kładąc rękę na piersi.

- Zgubiłaś się? - Musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć, iż wkładając obcisły podkoszulek zapomniała jednocześnie o biustonoszu.

Brakowało jej tchu, jakby biegła, a nie jechała konno.

Rozkładając szeroko ręce, wzruszyła ramionami, wprawiając przy tym piersi w efektowne drganie.

- Właściwie tak - zachichotała. - Możesz mi powiedzieć, jak wrócić do BeBe Terre?

Cash wyszedł na próg.

- Nie wiem - wycedził. - Mogę?

Tricia, uśmiechając się sztucznie, cofnęła się pod cyprysowy słup podtrzymujący zadaszenie werandy.

- Z tego, co słyszałam o tobie, Cashu Boudreaux, możesz zaprowadzić kobietę nawet do miejsc, do których ona nie ma zamiaru iść.

- Czy tak jest naprawdę?

Spojrzała na jego piękny tors, widoczny spod rozpiętej koszuli.

- Eee ... hmm ... Tak słyszałam. - Uniosła głowę. - oczywiście, nie wiem na pewno. -

Mogłaś zapytać siostrę.

Uśmiech Tricii nieco przygasł.

- Schyler? Ją masz na myśli? Wiesz przecież, że ona nie jest moją prawdziwą siostrą.

Cash przesunął palcem po jej ramieniu.

- Ale zapytać jej mogłaś.

Tricia poddała się jego pieścizocie.

- Do niektórych prawd wolę dochodzić sama.

Cash zmierzył ją chłodnym spojrzeniem i odsunął się z szelmowskim uśmiechem.

- Napijesz się?

- Dziękuję, z chęcią. Zupełnie zaschło mi w gardle.

Przytrzymał otwarte drzwi.

- Zapraszam do środka.

Otarła się o niego w wąskim przejściu.

- Co za uroczy domek! Po prostu zachwycający. Spójrz na to śliczne krzeselko. Ręczna robota, prawda?

- Qui. Może być bourbon?

- Z ociupinką wody i lodu, proszę. - Powoli obracała się wokół własnej osi, oglądając dom. - Więc to tutaj mój tata spędzał tyle namiętnych godzin z twoją mamą?

- Widzę to następująco - zaczął Cash, zalewając dwie kostki lodu alkoholem i wodą. - Jeśli Schyler nie jest twoją siostrą, to Cotton nie jest twoim ojcem. - Odwrócił się w samą porę, by pochwycić pełne wrogości spojrzenie gościa, które błyskawicznie zastąpił promienny uśmiech.

Przyjęła szklanekę, rozmyślnie dotykając jego palców.

- Sądzę, że masz rację. - Napila się, gdy tylko naczynie znalazło się w jej dłoni. Rozglądała się ukradkiem, ciągle próbując wyrzeć przez okno. - Faktem jest, że nie czuję przywiązania do tego miejsca.

- Och?

- Wyjeżdżam z Heaven.

- Sama?

- Tak. Rozstaję się z Kenem.

- Szkoda.

- Jestem innego zdania.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Prawdopodobnie jutro.

- Dokąd?

- Nie jestem pewna.

- Wybrałaś nie najlepszy czas na konną przejażdżkę.

- Cóż, ja ... - zająknęła się. - Zmęczyłam się pakowaniem. Poza tym chciałam się pożegnać z BeBe Terre.

- Hm ... i zgubiłaś się.

Dokończyła drinka, przyglądając się mężczyźnie spod rzes.

- Wiem, dlaczego tutaj przyjechałam, Cash - przyznała się zmienionym głosem.

- Chcesz się ze mną przespać.

Jego przenikliwość mieszała jej szyki.

- Niewielu znam ludzi, którzy potrafią mówić bez osłonek. Wstydź się, Cashu Boudreaux, wprawileś mnie w zakłopotanie - stwierdziła, ponownie kładąc rękę na sercu.

Cash ruszył ku niej, rozpinając po drodze pasek.

- Znam cię od momentu, gdy zostałam adoptowana przez Cottona i Macy. Nigdy nie poświęciłaś mi nawet sekundy, panno Tricio. Za każdym razem, gdy spotykaliśmy się na ulicy, całą duszę wkładałaś w to, by zadrzeć nos i patrzeć w inną stronę. Skoro masz na mnie taką ochotę, co powstrzymywało cię tak długo?

Tricia, śledząc spokojnie ruchy jego palców rozpinających dzinsy, oblizwała wargi.

- Słyszałam, co o tobie mówią inne kobiety.

- A co takiego mówią?

- Że jesteś najlepszy. Chciałam się przekonać.

- Mogłaś to zrobić wcześniej. Dlaczego zwlekałaś?

- Nie potrafiłam się zebrać na odwagę.

Cash złapał brzeg podkoszulka Tricii i zaczął go unosić.

- Nurtuje mnie jeszcze tylko, dlaczego przyszedłaś dzisiaj, skoro tak jesteś zajęta pakowaniem i tak dalej. - Ściągnął jej podkoszulek przez głowę i rzucił na podłogę.

Tricia złożyła ramiona na jego barkach i przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Nie traćmy czasu na głupie rozmowy.

Cash chwycił ją za włosy, przechylając głowę dziewczyny. Jego gorący oddech przesycony był bourbonem.

- Powinnaś wiedzieć o mnie jedno, panno Tricio. Nigdy nie marnuję czasu.

Jak na razie wszystko szło zbyt gładko. Nieszczęście wisiało w powietrzu. Schyler zastanawiała się tylko, jaką przybierze formę. Pół godziny przed planowanym terminem odjazdu otrzymała odpowiedź. Winę za jej kłopoty ponosili ludzie, którym ufała.

Kierowcy uporczywie odmawiali wyjazdu, jeśli Cash nie poprowadzi ich konwoju w pierwszej ciężarówce.

- Pan Boudreaux już u nas nie pracuje - poinformowała grupę niezadowolonych mężczyzn. Nie przyjmowali tego do wiadomości, obojętni na jej tłumaczenia. - On nie chce dla nas pracować.

- Boudreaux nie przerywa pracy przed jej zakończeniem - odparł ktoś z tyłu. Reszta zgodnym pomrukiem przyznała mu rację.

Zagrała ostatnią kartą.

- Wszyscy znacie warunki umowy. Jeśli interes z Endicottem nie zostanie sfinalizowany, nie otrzymacie obiecanych premii. Żaden z pracowników nie dostanie ani centa. - Wszyscy podzielają nasze zdanie. Nie ruszymy, póki nie przyjdzie Cash. - Chóralne potwierdzenie słów mężczyzny dodało mu pewności siebie.

Opadły jej ręce. Nie mogła poprowadzić do Teksasu całego konwoju. Brakowało jej czasu na zwerbowanie innych kierowców. Tutejsi stali murem za Cashem. Nowych musiałaby szukać w promieniu wielu mil.

Nie miała wyboru.

- W porządku, poczekajcie na mnie. Macie być w każdej chwili gotowi do odjazdu. Rozumiecie? Pilnujcie pojazdów i uważajcie na każdego obcego, który by się tu przypętał.

W porozumieniu z szeryfem Patoutem zorganizowała eskortę policyjną do granicy stanu. Dwa wozy policyjne miały czekać na nich o dziesiątej po drugiej stronie mostu. Biegając do samochodu, zerkała na zegarek. Była za dwadzieścia dziesiąta.

Z piskiem opon ruszyła wyboistą drogą prowadzącą do domu Casha. Zastanawiała się; co zastanie na miejscu. Nie spodziewała się niczego dobrego. Mógł ją wyśmiać lub zatrzaskać drzwi

przed nosem. Mógł już wyjechać z miasta, mógł być chory, pijany, śpiący lub wszystko razem.

Gdy dojechała na miejsce, w jego domu nie paliło się światło. Modliła się w duchu, żeby Cash był w środku.

Nie wyłączając silnika, wysiadła i, nie zamykając drzwi, podbiegła do werandy, wołając go po imieniu.

Zabębniła w drzwi.

- Cash?! - zawołała. Sekundę później jego sylwetka zamajaczyła za zasłoną. - Cash, dzięki Bogu, że jesteś. Posłuchaj mnie. Wiem, że nie mam prawa cię prosić, ale musisz mi pomóc. Musisz ...

Potok słów został przerwany w momencie, gdy zza ramienia Casha wyłoniła się Tricia. Schyler patrzyła, jak siostra naciąga podkoszulek i wygładza go na piersiach. Nie spodziewała się zobaczyć jej tutaj w takiej sytuacji.

Spojrzała na Casha. Nie uszła jej uwagi jego rozchełstana koszula i rozpięte dzinsy, zmierzwione włosy i bezczelny wyraz twarzy. I złośliwy uśmieszek.

- Mój Boże! - Zabrakło jej powietrza. Nieświadomie przycisnęła dłoń do piersi, jakby obawiała się, że za chwilę serce przestanie bić. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić, by oszczędzić sobie choć wstydu omdlenia. Nie chciała dać żadnemu z nich jeszcze tej jednej satysfakcji.

Po raz drugi przeżyła koszmar z przyjęcia zaręczynowego, kiedy Tricia powiadomiła o swej ciąży i jej sprawcy. Ponownie znalazła się w otchłani rozpacz, a kobieta, którą nazywała siostrą, rozkoszowała się zadaniem przez siebie ciosem z takim samym jak wtedy uśmieszkiem. I tak jak wtedy mężczyzna, na którym jej zależało, milczał, nie przyznawał się i nie zaprzeczał.

Cash nigdy nie odczuwał potrzeby usprawiedliwienia się.

Nigdy nie zdarzyło mu się przeproszać lub tłumaczyć. Pogrążała się w morzu zwątpienia, a on nie robił nic, by jej pomóc się wydostać.

Miała ochotę odwrócić się i uciekać przed siebie bez opamiętania. Znalazła jednak w sobie dość siły, o posiadaniu której nie miała dotychczas pojęcia, by grać do końca. Wzięła głęboki oddech.

- Wybacz, że cię nachodzę. Nie wiedziałam, że masz ... gościa.

- W czym problem?

Splotła dłonie i przełknąwszy ślinę, wypowiedziała najtrudniejszą kwestię w swoim

życiu.

- Potrzebuję cię. - Gdy już te słowa zostały wypowiedziane, reszta wydała się stosunkowo łatwa. - Kierowcy odmawiają wyjazdu, dopóki nie przyłączysz się do nich. Nie pomagają ani groźby, ani obietnice. Nie mam już czasu na negocjacje. Szeryf da nam eskortę do granicy stanu, ale pod warunkiem, że wyjedziemy teraz. Więc decyduj: tak lub nie. Nie ma czasu na zastanawianie się. Muszę wiedzieć teraz. Pomożesz mi ten jeden, ostatni raz?

Bez słowa wyszedł na werandę i minął ją, zapinając po drodze spodnie. Schyler podążyła za nim.

- A co ze mną? - Tricia pospieszyła za nimi. - Cash, wracaj. Nie możesz zostawić mnie tutaj samej.

- Wracaj do domu w ten sam sposób, w jaki dostałaś się do mojej chaty - poradził, siadając za kierownicą samochodu Schyler.

- Cash, dlaczego z nią jedziesz? - Z oczu Tricii pociekły łzy. - Co cię obchodzi, co się stanie z tym nieszczęsnym transportem? Schyler cię wyrzuciła. Czy nie masz dumy? Cash, nie próbuj mnie tutaj zostawić.

- Jeżeli nie chcesz zostać, to wsiadaj do samochodu. Tricia, kipiąc gniewem, wgramoliła się do środka. Zanim zdążyła zamknąć drzwi, Cash zawrócił i popędził w stronę placu.

Schyler przez całą drogę musiała zaciskać zęby, by powstrzymać się od obelżywych słów pod adresem ich obojga. Chciała ukarać ich dotkliwie, choć poza tajemną miłością nie miała do tego żadnego prawa. Ból z powodu tej drugiej zdrady był zabójczy, ale robiła wszystko, by mu nie ulec. Kiedy zapewni spokojną przyszłość Belle Terre, będzie mogła umrzeć z dwukrotnie złamanym sercem, ale dzisiaj musi być silna.

Kierowcy rozsiedli się na placu, paląc papierosy i gawędząc. Gdy nadjechał samochód Schyler, podnieśli się i spojrzeli nań wyczekująco. Gdy wysiadł z niego Cash, rozległy się okrzyki radości.

- Co tu się, do diabła, dzieje?! - ryknął. - Ruszcie swoje tłuste tyłki i wsiadajcie do ciężarówek. Chcecie, by drzewa puściły korzenie, zanim dotrzemy do Endicotta?

Jego szorstkie słowa podziały na nich niby czarodziejski pył. Znużenie zniknęło i rzucili się do samochodów, śmiejąc się i poklepując po plecach.

- Do którego ja mam wsiąść? - zapytał Cash.

- Do pierwszego. - Dotzymała mu kroku.

- Dokąd się wybierasz?

- A jak myślisz?

- Do Endicotta?

- Tak, i pojedę z tobą. Cotton zarekomendował cię jako najlepszego kierowcę.

Przystanął i spojrzał jej prosto w oczy. Schyler oderwała od niego wzrok dopiero wtedy, gdy na drugim końcu mostu zatrzymały się dwa wozy policyjne.

- Czas ruszać. - Nie czekając na niego, wspięła się do kabiny.

Cash obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik, sprawdził oba lusterka wsteczne, wcisnął sprzęgło i włączył pierwszy bieg. Przejechali jednak tylko kilka stóp.

- Czekaj! - zawołała Schyler. Cash posłusznie zahamował. - To wygląda na samochód Kena. Co on wyczynia?

Ken przemknął między wozami patrolowymi i zatrzymał się na środku mostu. Cash nacisnął klakson. Schyler wychyliła się przez okno i pomachała ręką.

- Ken, co robisz? Musimy wyjechać. Nie blokuj mostu. Howell wysiadł z samochodu. Schyler, oślepiona reflektorami jego auta, ledwo mogła dostrzec sylwetkę szwagra.

- Co on wyrabia? - zapytała zaskoczona.

- Dobija się do piekła. Och, cholera jasna!

W tej samej chwili Schyler zobaczyła to, co ujrzał Cash.

- O mój Boże, nie!

Ken uniósł pistolet i postąpił kilka kroków naprzód.

- Wszyscy uważaliście mnie za durnia. - Wcześniej sporo wypił i połykał teraz głoski, ale jego chód był pewny, podobnie jak trzymająca broń ręka. - - - Myśleliście, że nie mam ani jaj, ani mózgu. Pokażę wam. Pokażę wam wszystkim. Zobaczycie, że mam mózg, kiedy rozprysnie się po całym moście.

- Musimy coś zrobić. - Schyler otworzyła drzwi, lecz Cash zatrzymał ją w kabinie.

- Jeszcze nie.

- Ale on może pociągnąć za spust w każdej sekundzie.

- Zrobi to, jeśli go sprowokujesz.

- Cash, proszę. - Spróbowała uwolnić ramię•

- Daj mi chwilę - odpowiedział. - Niech pomyślę.

- Wynoś się z mostu, ty idioto!

Odwrócili się w kierunku, z którego dobiegł krzyk. Zdążyli już zapomnieć o Tricii, która stała skulona pod ścianą biura.

- O co jej chodzi? - zdziwiła się głośno Schyler. - Dlaczego nie jest ...

- Wynoś się z mostu! - wrzeszczała Tricia, złożony dłoń w tubę. - Ken! Słyszysz mnie?! Uciekaj z mostu!

Schyler ponownie spojrziała na Kena.

- Nie rozumiem. Co?

- Jezu! - Cash pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Przeciągnął Schyler przez kabinę i zeskoczył na ziemię. - Wsiadaj!

Pociągnął ją ku sobie. Posłuchała bez namysłu.

Ułamek sekundy później most, zaminowany przez Jiggera Flynna, wyleciał w powietrze.

Gayla przesuwiała dłońmi po piersiach Jimmy'ego Dona, po jego twarzy, ramionach.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś tutaj, że właśnie cię dotykam i... że nie pogardzasz mną. - Łzy wypełniły jej oczy, choć już dawno powinna wszystkie wypłakać. Odkąd jej ukochany pojawił się znikąd, płakała najpierw ze strachu, potem ze wstydu, a teraz ze szczęścia.

- Nie pogardzam tobą, Gaylo. Z początku tak było. Przez cały czas w więzieniu nienawidziłem cię, ale dostałem list od Casha tego samego dnia co od Schyler. Napisał, że bym spotkał się z nim zaraz po wyjściu z ciupy. Pogładził ją pieszczotliwie po policzku. - Opowiedział, jak z tobą było, dlaczego sprawy przybrały taki obrót.

- Więc dlaczego mnie śledziłeś? Uśmiechnął się i pchnął huśtawkę.

- Cash mnie wynajął.

- Kazał ci szpiegować Belle Terre?

- Mieć ją na oku. Obawiał się, że Jigger spróbuje się zemścić.

Zastanowiła się nad jego słowami.

- Cash obawiał się o Schyler?

- O wszystkich: Schyler, ciebie, starszego pana.

- Napędziłeś mi stracha. Wiedziałaś, że ktoś się tu kręci i czyha na sposobność, by zrobić nam coś okropnego.

- Tak było. - Jego nozdrza zadrgały gniewnie. - Nie tylko ja się tu kręciłem. Jigger też. Pewnej nocy zauważyłem, jak wchodzi do środka.

- Więc to on położył na moim łóżku lalkę?

- O czym mówisz?

- O fetyszu.

- Nie widziałem, co tam robił. Nie mogłem go powstrzymać, bo ujawniłbym swoją obecność tutaj. Upewniłem się tylko, że wyszedł, nie zrobiwszy nikomu krzywdy, i odprowadziłem go do domu.

- Parę nocy temu ktoś podsłuchiwał pod oknem salonu.

- To także był Jigger. Widziałem, jak wychodzisz na werandę. Chciałem cię ostrzec, byś nie przekraczała rogu budynku, ale Cash kazał mi się nie pokazywać, aż Jigger przytnie sobie paluszki.

- Ale nic z tego nie wyszło.

Jimmy Don wzruszył ramionami.

- Dla niego jest już na wszystko za późno. Dzisiaj zostanie odprawiony transport do Teksasu. Cash przez ostatnie kilka dni był strasznie nerwowy. Nieskończoną ilość razy przeszukiwał okolice placu.

- Czego szukał?

- W tym problem. Nie wiedział. Rozumiał jedynie, że ktoś się zawziął na Schyler i z pewnością nie poprzestanie na wysadzeniu torów, że spróbują zatrzymać konwój.

- Oni?

- Cash podejrzewał, że Jigger nie działał w pojedynkę.

Gayla zadrzała na dźwięk tego imienia.

- Musisz się trzymać z daleka od Jiggera. Jeżeli zobaczy cię ze mną, także ty narazisz się na wyrok śmierci.

- Jigger nigdy więcej nie zrobi nikomu krzywdy.

Ton jego głosu zmroził Gaylę. Spojrzała na niego z lękiem.

- Jimmy, nie ... ?

Położył palec na jej ustach.

- Nigdy mnie o to nie pytaj.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu, potem przytuliła się do niego z cichym okrzykiem ulgi.

Uwolniony się w końcu z jego objęć, podeszła do balustrady okalającej werandę.

- Spałam z tyloma mężczyznami, że trudno ich wszystkich zliczyć, Jimmy Donie.

Podszedł do niej.

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. - Przyglądała się przez łyzy swoim dłoniom. - Zanim zaczęłam pracować w tamtej knajpie, nigdy nie miałam nikogo oprócz ciebie. Przysięgam na Boga.

Położył uspokajająco dłonie na jej ramionach.

- Wiem. Oboje cierpieliśmy przez tego drania, Gaylo. - Obrócił ją tak, by widzieć jej twarz. - W więzieniu zmuszono mnie do ... - Jego głos załamał się. Wspomnienia były zbyt bolesne, by mówić o nich.

Intuicyjnie zrozumiała go.

- Nie musisz mi niczego opowiadać - wyszeptała.

- Muszę. Kocham cię, Gaylo, i chcę być z tobą. Pragnąłbym poślubić cię, tak jak zawsze to planowaliśmy. Ale nie mogę prosić cię o rękę. - Przechyliwszy głowę na bok, spojrzała na niego badawczo. Przełknął ślinę, lecz nie potrafił powstrzymać łez. - Było paru ludzi, którzy wyzywali się na mnie. - Odwrócił głowę i zacisnął powieki.

- Nie wiem, czy mogę czy mogę być jeszcze z kobietą. Obawiam się, że jestem impotentem.

Gayla ujęła jego twarz w dłonie i odwróciła z powrotem ku sobie. Otworzył z zakłopotaniem oczy pełne łez.

- Nie dbam o to, Jimmy Donie - powiedziała z powagą• - Wierz mi, kochany, po tym, co przeszłam, nie pamiętam nawet, co to oznacza chcieć mężczyzny w ten sposób. Po prostu bądź dla mnie delikatny i czuły. Kochaj mnie, to wszystko, czego od ciebie chcę.

Po jej gładkich, ciemnych policzkach znowu pociekły łyzy. Przyciągnął ją do siebie i przytulił mocno. W tym momencie nic nie potrafiłoby ich rozdzielić. Nic poza wybuchem, od którego zatrzęsły się szyby w oknach Belle Terre, a niebo zapłonęło.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Jimmy Don. - Wygląda na to, że Cash miał rację.

- Schyl er!

- Zostaniesz tutaj. - Jimmy Don odsunął dziewczynę od siebie.

- Chcę iść z tobą.

- Musisz zostać ze starszym panem. - Przeskoczył przez balustradę werandy.

- Nie ma żadnego samochodu.

- Pobiegnę.

- Bądź ostrożny, kochany. Natychmiast nas zawiadom, gdy się czegoś dowiesz!

Machnął ręką, dając znak, że usłyszał. Odprowadziła go wzrokiem, póki nie zniknął za zakretem. Nagle usłyszała za plecami skrzypnięcie drzwi.

- Panie Crandall, proszę wracać do łóżka! - Podbiegła i podtrzymała go pod ramię. W oczach Cottona odbijał się blask ognia.

- To na placu.

- Jestem pewna, że wszystko w porządku. Jimmy Don pobiegł sprawdzić. Obiecał zadzwonić, gdy tylko rozezna się w sytuacji.

Cotton nie pytał o Jimmy' ego Dana. Nie przejął się, że były więzień przebywa w jego domu. Wpatrywał się w lunę rozszerzającą się nad wierzchołkami drzew.

- Muszę się tam dostać - wysapał.

- Nie może pan tego zrobić. Proszę wrócić do łóżka.

- Nie chcę. - Szarpnął się, ale przytrzymała go.

- Panie Crandall, nawet gdybym panu pozwoliła na to, nie mamy samochodu. Nie ma sposobu, by dostać się teraz na plac. - Niech to szlag! - Osunął się gwałtownie na futrynę drzwi. Jego oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy. Przycisnął rękę do serca.

Gayla zaczęła się bać.

- Proszę teraz wrócić do łóżka.

- Zostaw mnie w spokoju. - Odtrącił jej dłoń. - Nie jestem dzieckiem. Przestań mnie tak traktować.

Dalszy sprzeciw mógł się okazać zgubny w skutkach.

Gayla ustąpiła.

- Dobrze. Usiądziemy na werandzie. Jeśli zadzwoni telefon, usłyszymy go tutaj.

Cotton pozwolił, by doprowadziła go do wiklinowego fotela. Posadziwszy go, zajęła miejsce na najwyższym stopniu drewnianych schodów i otuliła spódnicą łydki. W milczeniu oglądali, jak nocne niebo przybiera kolor krwi.

Gayla spała oparta o kolumnę, gdy na podjeździe zadudniły koła pikapa. Obudził ją dopiero trzask otwieranych drzwi. Uniosła głowę i osłoniła oczy przed blaskiem porannego słońca.

Aleją szli Cash i Schyler. Oboje wyglądali, jakby wracali z pola bitwy. Ze skrzyni ciężarówki wygramolił się Jimmy Don i zeskoczył na ziemię. Na jego widok uśmiechnęła się

nieśmiało. Odpowiedział jej uśmiechem.

- Tato! - Schyl er wbiegła po schodach. - Co tutaj robisz? Dlaczego nie jesteś w łóżku?

- Nie mogłam go przekonać, by się położył - wyjaśniła Gayla. - Nie chciał wrócić do sypialni nawet wtedy, jak Jimmy Don zadzwonił i powiadomił nas, że jesteś cała i zdrowa.

- Siedzieliście tutaj przez całą noc?

Gayla skinęła głową. Kobiety wymieniły pełne obawy spojrzenia. Cotton wyglądał bardzo źle.

- Cóż, mogłeś nakrzyczeć na Gaylę, ale ze mną ci się nie uda - stwierdziła apodyktycznie Schyler, patrząc na ojca. - Natychmiast wracaj do łóżka.

Cotton odepchnął córkę na bok.

- Chcę znać prawdę. - Jego głos, choć cichy, smagnał jak bicz. - Czy to ty mi to zrobiłeś?

Spojrzał na Casha. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem pełnym wzajemnej wrogości.

- Nie.

- T o był Jigger Flynn, tato - szybko dodała Schyler, pragnąc jak najszybciej rozpędzić nadciągającą burzę. Powietrze było przesycone nienawiścią. Zdawała sobie sprawę z ich antypatii, ale nie spodziewała się, że jest aż tak silna.

W krótkich, treściwych zdaniach zrelacjonowała Cottonowi wydarzenia ostatniej nocy. Nie wdawała się w szczegóły. Postanowiła dawkować mu je jak lekarstwo do czasu, kiedy jego stan poprawi się na tyle, że będzie zdolny ich wysłuchać. Dlatego też przemilczała fakt, że Ken zginął w eksplozji na chwilę przed popełnieniem samobójstwa. Nie wspomniała też o konszachtach Tricii z Dale'em Gilbreathem.

W tym momencie Tricia w obecności swojego prawnika składała przed szeryfem zeznania, mając nadzieję na łagodniejszy wyrok. Jej adwokat już szukał okoliczności łagodzących i planował linię obrony. Groziło jej, że razem z Gilbreathem i Flynnem zostanie oskarżona o zamordowanie męża.

T o wszystko mogło poczekać na bardziej dogodny czas.

Cotton ledwo trzymał się na nogach.

- Pożar wyglądał znacznie gorzej, niż był w rzeczywistości - kontynuowała z niepokojem Schyler. - Uratowaliśmy większość drzewa. Zdażymy dostarczyć je Endicottowi, a o bank nie musimy się martwić.

Wydawało się, że Cotton nie słyszy ani słowa. Uniósł rękę i wycelował w Casha wskazujący palec.

- Wkroczyłeś na cudzy teren.

- Tato, co się z tobą dzieje? Cash wykonał dla ciebie w nocy pracę dziesięciu mężczyzn.

Jego wyciągnięta ręka zaczęła drżeć.

- Ty ... ty ... - Z trudem chwytając powietrze, Cotton zacisnął palce na piersi w okolicy serca i cofnął się o krok.

- Tato! - krzyknęła Schyler.

Cotton osunął się na podłogę. Schyler rzuciła się obok niego na kolana.

- Wezwę lekarza - powiedziała Gayla i wbiegła do środka. Jimmy Don poszedł za nią.

- Tatusiu! - Schyler załamała ręce. Trupio blada twarz ojca pokryła się potem. Oddychał ze świstem.

Schyler uniosła głowę i z rozpaczą spojrzała na Casha.

Zaskoczyło ją widoczne na jego twarzy napięcie.

Klęknął przy niej i uniósł głowę ojca.

- Niech cię diabli porwą, jeśli teraz umrzesz. Nie umieraj, staruszk. Nie umieraj!

- Cash, co robisz?

Cash potrząsnął Cottonem. Niebieskie oczy umierającego były utkwione w udreżone oblicze Casha. W orzechowych oczach młodszego mężczyzny zalśniły łzy. Włosy opadły mu na czoło.

- Nie umieraj, póki tego nie powiesz. Patrz na mnie. Powiedz to! - Zacisnął mocniej dłonie i przyciągnął do siebie Cottona. Pochylił głowę, aż dotknął czoła Cottona i przez zaciśnięte zęby błagał z tęsknotą w głosie: - Powiedz! Chociaż raz w całym moim nędznym życiu powiedz to! Nazwij mnie wreszcie synem!

Cotton uniósł z wysiłkiem rękę i dotknął pokrytego kilkuniedniowym zarostem policzka Casha. Głaskał go pozbawionymi krwi palcami, ale wyszeptane przez niego imię nie należało do syna.

- Monique. Wtedy umarł.

Jego ręka opadła z głuchym odgłosem na deski werandy.

Cash długo jeszcze podtrzymywał głowę Cottona i spoglądał w martwe niebieskie oczy, które nigdy nie patrzyły na niego z miłością.

Potem wstał i zszedł po schodach do samochodu. Zanim odjechał, obdarzył Schyler przelotnym spojrzeniem zmęczonych oczu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Każdy zachód słońca w Belle Terre był piękny.

Tego dnia bardziej niż zwykle zachwycał swą wspaniałością. Wcześniej padał deszcz, ale niebo nad lasem zdążyło się rozpogodzić. Fioletowe chmury burzowe na zachodnim horyzoncie przypominały pęk hortensji. Promienie słońca przeszywały je, dając cudowny efekt.

Takie chwile przywracały wiarę w świat i ludzi.

Schyler oglądała to przez okno sypialni. Na ścianach i podłodze tańczyły długie cienie. W promieniach słońca wirowały pyłki kurzu. W domu panowała cisza. Ani ona, ani pani Dunne nie robiły zbyt wiele hałasu.

Gayla wyprowadziła się po ślubie z Jimmym. Zamieszkali w pobliskim mieście. Gayla planowała zapisać się jesienią do szkoły dla pielęgniarek. Jimmy Don pracował w „Crandall Logging”. Przejął księgowość po Kenie Howellu. Jego kurator był zadowolony. Odkąd zabrakło Jiggera Flynna, Schyler patrzyła na przyszłość tej pary z wielką nadzieją. Powinno im się udać.

Schyler była wstrząśnięta tajemniczymi okolicznościami towarzyszącymi śmierci Flynna. Policja nie wpadła na żaden ślad w sprawie tego odrażającego mordu. Każdy z okolicznych mieszkańców mógł wymienić całą listę przypuszczalnych sprawców, ale nikogo formalnie nie oskarżono o I° zbrodnię. Jigger przysparzał sobie wrogów tak zapamiętałe, jak dbały ogrodnik piele swoje grządki. Niewielu opłakiwało tę śmierć. Sprawa wkrótce została umorzona.

Pogrzeb Cottona był jednym z największych, jakie w ciągu dziesięcioleci oglądała okolica. Kościół baptystów wypełnił się po brzegi żałobnikami. Między rzędami ławek i w bocznych nawach dostawiono dodatkowe krzesła. Kiedy nawet te pozajmowano, tłum zaczął gromadzić się na zewnątrz.

Kaznodzieja wspiął się na wyżyny swej elokwencji. W ceremonii wziął też udział chór w pełnym składzie. Kiedy dotarli do ostatniego wersu „Zdumiewającej Łaski”, łzy w oczach mieli nawet ci, którzy nazywali zmarłego oportunistą, ponieważ wżenił się w pieniądze.

Nie pochowano go jednak obok żony w grobowcu rodziny Laurentów. Miejsce jego spoczynku znajdowało się gdzieś na terenie Belle Terre. Jedyne Schyler wiedziała, gdzie. Tylko ona wiedziała też, że obok jest inny grób.

Cotton zaaprobowałby jej decyzję.

Dzień przed pogrzebem ojca pojechała do Nowego Orleanu, by pochować Kena obok

jego rodziców. W ostatniej drodze towarzyszył mu żałośnie skromny tłumek. Tricia nie wylewała łez. Odmówiła rozmowy z siostrą i została odprowadzona przez policjantów zaraz po zakończeniu krótkiej ceremonii. Schyler opłaciła jej obrońców. Innej pomocy Tricia nie zaakceptowała. Odmówiła widzenia z siostrą, gdy Schyler próbowała odwiedzić ją w więzieniu.

Podczas pierwszych dni żałoby Schyler zadzwoniła do Marka do Londynu, ale oboje zdawali sobie sprawę, że nie ma powrotu do przeszłości.

Większość czasu Schyler spędzała sama w wielkim domu.

Nigdy nie czuła się bardziej samotna niż tego wieczora. Wcześniej wykapała się w starej łazience i spakowała ubrania. Spoczywały teraz w równych stosikach w leżącej na łóżku walizce. Czekala ją ostatnia noc pod dachem Belle Terre.

Gdy słońce poddało się ostatecznie po męskiej walce i zniknęło za horyzontem, otrząsnęła się z tego ciężkiego przygnębienia i odwróciła od okna.

Stał w progu jej sypialni oparty o futrynę i milcząc patrzył na nią. Był ubrany w to, co zwykle: w dzinsy, wysokie buty i prostą, roboczą koszulę. Schyler spieszyła się. Fakt, że okrywała ją tylko halka, dodatkowo potęgował jej skrepowanie.

- Widzę, że twoje maniery nie uległy oszalamiającej przemianie od czasu naszego ostatniego spotkania - zauważyła. - Nie mógłbyś w końcu zacząć pukać?

- Nigdy nie musiałem pukać, by wejść do sypialni kobiety.

Wszedł do środka, wyciągnął z kieszeni kopertę i rzucił ją na stół.

- Dostałem twój list.

- Więc wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, zostało powiedziane, prawda?

Podniósł kryształowy flakonik perfum i powąchał.

- Ten rodzaj wiadomości zazwyczaj przekazywany jest osobiście.

Grasował po jej pokoju, dotykając każdej rzeczy. Czowała się, jakby ją obnażał.

- Myślałam, że najlepiej dla nas obojga będzie nie spotykać się już więcej. Mój prawnik poradził, bym powiadomiła cię listownie.

- Czy pochwalił twą decyzję, by przepisać na mnie Belle Terre?

- Nie.

- Ponieważ jestem bękartem Cottona?

- Uważał po prostu, że nie powinnam zmieniać ostatniej woli taty.

- Czyli równego podziału między ciebie, Tricię i mnie? Tak.

- Ale ty uważałaś inaczej?

- Tak.

- Z jakiego powodu? - Rozwalił się na kanapie i przerzucił przez poręcz jedną nogę.

Drugą, zgiętą w kolanie, kołysał powoli.

- T o trudne do wytłumaczenia, Cash.

- Spróbuj.

- Mój ojciec ... Nasz ojciec traktował cię bardzo źle.

- Starasz się naprawić jego błędy?

- Można to tak nazwać.

- Dzieciak z nieprawego łoża nie ma praw, Schyler.

- Byłeś dla niego kimś więcej.

Roześmiał się gorzko.

- Żyjącym wyrzutem sumienia.

- Być może. Opuszczając Nowy Orlean, nie zamierzał porzucić twojej matki i ciebie.

Kochał ją. Jego testament udowodnił, że tak było.

- Nigdy nie powiedział mi dobrego słowa - stwierdził gniewnie.

- Nie mógł sobie na to pozwolić. - Jego kolano zatrzymało się nagle. Patrzył na nią uważnie, jakby chciał za wszelką ceną uwierzyć w to, co mówiła. - Kochał cię, Cash, tylko nie mógł pozwolić sobie na zbliżenie się do ciebie. - Zastanawiając się zmarszczyła brwi. - Nie rozumiem, dlaczego tak właśnie było. Dlaczego nie powiadomił cię przed śmiercią.

- Przyrzekł Macy, że zachowa milczenie. Ich umowa przewidywała możliwość posiadania przez Cottona kochanki, ale nie mógł mieć jej syna.

- Ale dlaczego nie przyznał się do ciebie po śmierci Macy?

- Umowa z Macy obowiązywała przez całe życie Cottona. Przynajmniej tak powiedział mamie i mnie, gdy zażądałem, by ją poślubił. Macy nie miała wyboru, musiała pozostawić mu Belle Terre. Zrobiła: jednak wszystko, by nie czuł się tu za bardzo szczęśliwy.

- Przedkładał Belle Terre ponad własne szczęście. Ponad własnego syna. - Schyler pokręciła ze smutkiem głową. - Kochał cię, Monique, mnie, ale największą miłością darzył Belle Terre. - Spojrzała na niego. - Podobnie jak ty, Cash. Dlatego właśnie pozostawałeś tutaj przez cały czas. Czułeś, że Belle Terre należy się tobie. Czekaleś na nią całe życie, prawda? - Nie odpowiedział. - Nie musisz już dłużej czekać. Oddaję ci swoją część, mój list to potwierdza. To

chyba wszystko - dodała po krótkiej pauzie. - Akt własności jest teraz wypisany na twoje nazwisko. Czek Endicotta pokrył weksel bankowy. Masz pod dostatkiem kapitału. Z uczciwym księgowym uczynisz „Crandall Logging” tym, czym było za najlepszych lat Cottona, albo jeszcze bardziej rentownym przedsiębiorstwem. Jesteś znakomitym leśnikiem. Najlepszym. Cotton był z ciebie dumny.

Uśmiechnęła się do niego blado.

- Prawdopodobnie będziesz chciał zmienić nazwę firmy. Skoro odziedziczyłeś Belle Terre...

- Wolałbym raczej mieć kobietę niż dom. Schyler westchnęła.

- Co?

Wstał i podszedł tak blisko, że musiała odchylić głowę, by spojrzeć.

- Nie robiłem tego z Tricią - powiedział. - Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Wiedziałem, że najprawdopodobniej przysłano ją jako przynętę, bym nie ruszał się z domu. Zamierzałem wydobyć z niej trochę informacji.

Zanurzył palce we włosy Schyler i odchylił do tyłu jej głowę.

- Kochasz to miejsce, Schyler. Dlaczego mi je oddajesz?

- Ponieważ zawsze czułam, jakby mi je tylko wypożyczono. Nigdy do mnie nie należało. Ty jesteś ciałem i krwią Cottona, jego synem. - Pokręciła głową, patrząc na niego uważnie. - Jesteś do niego tak bardzo podobny. Dlaczego tego wcześniej nie dostrzegłam? - Wpatrywała się w twarz, którą tak bardzo kochała. - Po śmierci Cottona w końcu przypomniałam sobie, co powiedziałeś tej nocy, gdy przywiozłeś mnie znad stawu Thibodaux. Wcześniej nie miało to dla mnie sensu. Tata kazał ci trzymać się z daleka od domu. Odkrzyknąłeś mi: „Mam większe prawo niż one, by mieszkać tutaj!” Miałeś na myśli Tricię i mnie, prawda?

- Oui. Straciłem wtedy panowanie nad sobą.

- Ale miałeś rację.

- Miałem obsesję na punkcie Belle Terre, odkąd po raz pierwszy usłyszałem tę nazwę od matki. - Pocałował Schyler w usta. - Ale nie jestem podobny do ojca, nie zamierzam wynosić Belle Terre ponad wszystko inne. Nie tego pragnę najbardziej. O tym, czego chcę najbardziej, dowiedziałem się, gdy zobaczyłem cię śpiącą pod drzewem.

- Cash?

- Dlaczego oddałaś mi Belle Terre?

- Wiesz, dlaczego - jęknęła. - Kocham cię, Cashu Boudreaux.

Pocałował ją. Jego wargi były ciepłe i słodkie. Badał delikatnie językiem wnętrze jej ust. Rozczesał palcami jej włosy i pozwolił im opaść na ramiona i piersi Schyler. Pieścił palcami jej sutki, potem jego dłonie ześliznęły się ku talii. Nie przestając całować, cofał się, pociągając dziewczynę za sobą. Gdy zbliżyli się do pośłania, usiadł na brzegu łóżka i przytrzymał ją między udami.

- Nigdzie nie wyjedziesz - mruknął, wtuliwszy twarz między piersi Schyler. - Zostaniesz tutaj ze mną. A gdy umrzemy, nasze dzieci pochowają nas razem. W Belle Terre.

Oczy Schyler napełniły się łzami. Mocniej przytuliła do swych piersi głowę Casha.

- Schyler?

- Tak?

Kilka chwil wypełnionych gwałtownym biciem serca.

- Kocham cię.